

**NORA ROBERTS**

# **HOLD**

*Tribute*

*Przełożył Jan Kabat*

*Jasonowi i Kat, w chwili, gdy zaczynają wspólne życie.  
Oby ogród, któryż, taką pieczołowitością urządzacie, zakorzenił się mocno i  
rozbłysnął wspaniałymi kolorami kwiatów.*

# CZĘŚĆ I

# ROZBIÓRKA

*Przeszłości  
nie da się urzeczywistnić;  
Nie możemy znać tego,  
czym nie jesteśmy.  
Bo nad przeszłością,  
teraźniejszością i przyszłością  
Zwiesza się jednaka zasłona.*

Henry David Thoreau

## ROZDZIAŁ 1

Według legendy Steve McQueen pływał kiedyś nagi między rogożami i liliowymi liśćmi w stawie na Małej Farmie. Jeśli była to prawda, a Cilla lubiła tak myśleć, to aktor zrzucił z siebie ubranie i wskoczył do wody po nakręceniu *Siedmiu wspaniałych*, a przed *Wielką ucieczką*.

Niektórzy twierdzili, że Steve nie tylko ochłodził się w tę parną letnią noc w Wirginii, ale zrobił coś jeszcze, na dodatek z babką Cilli. Chociaż oboje w tym czasie byli w związkach małżeńskich, legenda niosła ze sobą raczej podziw niż potępienie. A ponieważ bohaterowie tej historii od dawna już nie żyli, nie mogli ani niczemu zaprzeczyć, ani niczego potwierdzić.

Z drugiej strony - pomyślała Cilla, wpatrując się w ciemną wodę porośniętego liliami stawu - prawdopodobnie żadne z nich nie zadało sobie trudu, by potwierdzić te pogłoski lub im zaprzeczyć, dopóki jeszcze mieli szansę.

Nieważne, czy była to prawda, czy fałsz, ale Cilla wyobrażała sobie, że Janet Hardy, wspaniała, tragiczna, olśniewająca, udręczona, bawiła się doskonale, słuchając plotek na swój temat. Nawet ikony muszą skądś czerpać energię.

Stojąc w żółtym blasku słońca i czując na twarzy tępy dotyk marcowego chłodu, Cilla widziała to wyraźnie. Parna letnia noc, błękitna poświata księżycy przypominającego jupiter. Ogrody w szczycie wspaniałego rozkwitu, napełniające powietrze swym aromatem. Woda była pewnie zimna i jedwabista w zetknięciu ze skórą, a drobne rośliny o różowych i białych kwiatach pokrywały ją gdzieś tam niczym lśniące perły.

Janet też była pewnie w rozkwicie - rozmyślała Cilla. Burza rozpuszczonych złocistych włosów, spływających na białe ramiona. .. Nie, te też były złociste od letniej opalenizny. A raczej miedziane, w wodzie koloru herbaty. Lodowato niebieskie oczy rozjaśniał uśmiech i - najprawdopodobniej - heroiczne spożycie alkoholu.

Muzyka wibrująca i przeszywająca ciemność jak świetliki, które migoczą nad żyznymi polami i aksamitnymi trawnikami - fantazjowała Cilla. Głosy weekendowych gości, spacerujących po murawie, werandach i tarasach, świetlistych niczym muzyka. Głosy gwiazd tak olśniewających jak te zawieszane w górze, niczym małe klejnoty rozrzucone wokół krągłego księżycy.

Mroczne plamy cienia, strumienie barwnego światła ogrodowych lamp.

Tak właśnie musiało to wyglądać. Świat, w którym żyła Janet, świecił cudownym blaskiem albo pograżał się w nieprzeniknionym mroku. Zawsze.

Cilla nie miała wątpliwości, że Janet wskoczyła do tego stawu zuchwale naga, pijana,

głupia i szczęśliwa. I całkowicie nieświadoma, że jej wypełnione po brzegi, rozpaczliwe, olśniewające życie skończy się niespełna dziesięć lat później.

Cilla, zanim odwróciła się od stawu, umieściła stosowną uwagę w swoim grubym notatniku. Należało wodę oczyścić, skontrolować i dostosować do wymogów ekologii. Zapisała sobie jeszcze, by poczytać o utrzymaniu i konserwacji takiego zbiornika, zanim sama zabierze się do roboty albo wynajmie jakiegoś specjalistę.

Potem ogrody. Albo to, co z nich pozostało - pomyślała, idąc po wysokiej, grudkowatej trawie. Chwasty, istne zasłony winorośli, poprzebijane gałązkami krzewów przypominającymi zbrązowiałe kości - wszystko to stłumiło niegdysiejszą bujność. Przyszło jej do głowy, że to kolejna metafora - metafora tego wszystkiego, co jasne i piękne, a co zdławiła i pogrzebała zachłanność.

Doszła do wniosku, że będzie potrzebować w tym wypadku pomocy. Znacznej pomocy. Bez względu na to, jak bardzo pragnęła podjąć się tego zadania, wiedziała, że nie będzie w stanie pielnić i karczować, ścinać i palić, a potem projektować wszystko o własnych siłach.

Budżet musiał uwzględniać zaangażowanie specjalistów od architektury krajobrazu. Zanotowała sobie, by przestudiować stare fotografie ogrodów, kupić w celach edukacyjnych kilka książek o ich urządzeniu i skontaktować się z miejscowymi firmami, by spytać o koszty.

Przystanęła i powiodła wzrokiem po zniszczonych trawnikach, wałących się ogrodzeniach, smutnej starej stodole, brudnoszarej i poznaczonej śladami aury. Były tu kiedyś kurczęta - tak w każdym razie jej mówiono - kilka ładnych koni, schludne pola zbóż, niewielki i kwitnący sad drzewek owocowych. Chciała wierzyć - może musiała wierzyć - że potrafi przywrócić to do życia. Że do następnej wiosny i po wszystkich kolejnych będzie mogła tu stanąć i patrzeć, jak wszystko pączkuje i rozkwita, jak odradza się to, co należało niegdyś do jej babki.

I co należało teraz do niej.

Patrzyła na to, co jest teraz i co było dawniej, swoimi lodowato niebieskimi oczami, osłoniętymi daszkiem czapki. Jej włosy, bardziej przypominające barwą miód niż złoty pył, opadały na plecy długim i masywnym warkoczem. Miała na sobie grubą bluzę z kapturem, okrywającą silne ramiona i smukły tułów, na długich nogach zaś spłowiałe dżinsy i buty kupione dawno temu, jeszcze przed wyprawą turystyczną, której celem były Blue Ridge Mountains. Te same góry, które teraz wznosiły się na tle nieba.

Lata temu - pomyślała. To był ostatni raz, kiedy wybrała się na wschód. Kiedy przyjechała właśnie tutaj. Kiedy zostało zasiane ziarno teraźniejszości, jak przypuszczała.

Czy oznaczało to, że ponosi winę za ostatnie cztery lata zaniedbań, a nawet pięć? Mogła bardziej nalegać, mogła żądać. Mogła coś zrobić.

Robię to teraz - odrzuciła wszelkie swoje wątpliwości. Nie żałowała tej zwłoki, tak jak nie żałowała tych wszystkich manipulacji i gorzkich argumentów, którymi zmusiła matkę do zrzeczenia się prawa własności na jej korzyść.

- Teraz Mała Farma należy do ciebie - powiedziała głośno. - Nie schrzań tego.

Odwróciła się i otuliwszy się ramionami, ruszyła przez wysoką trawę i dzikie cierniste krzewy w stronę starego domu, gdzie Janet Hardy urządziła olśniewające przyjęcia albo dokąd uciekała między jednym filmem a drugim. I gdzie, w 1973 roku, również w parną letnią noc, odebrała sobie życie.

Tak głosiła legenda.

Czaiły się tam duchy. Ich obecność była niemal tak wyczerpująca jak zwiedzanie trzech zniszczonych kondygnacji domu, konfrontacja z brudem, kurzem, zniechęcającą ruiną. Duchy, jak przypuszczała Cilla, skutecznie odstraszały wandalów i dzikich lokatorów. Przyszło jej do głowy, że legendy bywają użyteczne.

Wcześniej kazała włączyć elektryczność i przywiozła ze sobą mnóstwo żarówek, a także, jak miała nadzieję, dostatecznie dużo środków czystości, by zacząć porządki. Złożyła stosowne podania w lokalnym wydziale budownictwa i zaczęła poszukiwania wśród miejscowych firm remontowych.

Nadszedł czas, by się do czegoś zabrać.

Zgodnie z listą priorytetów przystąpiła do porządków w pierwszej z czterech łazienek, które nie widziały szczotki od dobrych kilku lat.

Podejrzewała, że poprzedni mieszkańcy nie przejmowali się zbytnio takimi drobnostkami.

- Mogłoby być jeszcze gorzej - mruzczyła pod nosem, drapiąc i szorując. - Mogłoby się tu roić od węży i szczurów. Do diabła, przymknij się! Nie wywołuj wilka z lasu.

Po dwóch godzinach mordęgi i opróżnieniu niezliczonych wiader brudnej wody mogła korzystać z urządzeń sanitarnych bez konieczności uprzedniego poddawania się szczepieniom. Popijając wodę mineralną, ruszyła w stronę tylnych schodów, żeby zabrać się z kolei do wielkiej kuchni wiejskiego domu. Przyglądając się niebiesko - białemu laminatowi na blatach pękających szafek, zastanawiała się, kto wpadł na pomysł takiego unowocześnienia i dlaczego sądził, że będzie pasować do starego piecyka i równie starej lodówki. Z estetycznego punktu widzenia kuchnia prezentowała się okropnie, ale pierwszeństwo należało się sprzętom.

Otworzyła tylne drzwi i zablokowała je z myślą o właściwej wentylacji, po czym z powrotem włożyła gumowe rękawiczki i bardzo ostrożnie opuściła drzwiczki piekarnika.

- O rany, ale paskudztwo!

Kiedy żel do piecyków robił swoje, zajęła się stalową kratką, palnikami, pokrywą piecyka i okapem. W jej myślach pojawiła się nagle fotografia. Janet, w fartuszkach z falbankami osłaniającym wcięciem w talii sukienkę, z połyskującymi włosami zebranymi z tyłu w szykowny warkocz, mieszająca coś w wielkim garnku. Uśmiechająca się do obiektywu, w towarzystwie dwójki pełnych uwielbienia dzieci.

Zdjęcie na użytek publiki, jak pamiętała Cilla. Dla jednego z magazynów kobiecych „Redbook” albo „McCall's”. Stary wiejski piecyk, z grillem pośrodku, błyszczał niczym nowa nadzieja. Obiecała sobie, że przywróci mu dawny blask i że pewnego dnia będzie mieszać w garnku, na tym samym piecyku, z taką samą udawaną wprawą jak jej babka.

Już miała przykucnąć, żeby sprawdzić, jak żel radzi sobie z brudem w piekarniku, gdy drgnęła gwałtownie, słysząc swoje imię.

Stał w otwartych drzwiach, blask słońca malował aureolę wokół przyprószonych siwizną jasnych włosów. Uśmiech pogłębiał mu zmarszczki na wciąż przystojnej twarzy i ocieplał spokojne orzechowe oczy.

Serce zabiło jej żywiej, najpierw z zaskoczenia, potem z zadowolenia, wreszcie z zakłopotania.

- Tata.

Kiedy zbliżył się, rozkładając szeroko ramiona, by ją objąć, uniosła ręce i cofnęła się.

- Daj spokój. Jestem absolutnie odrażająca. Cała pokryta...

nie chcę nawet wiedzieć, czym. - Otarła wierzchem nadgarstka czoło, szybkim ruchem ściągnęła gumowe rękawice i powtórzyła: - Tata.

- Widzę czysty skrawek. - Uniósł jej brodę i pocałował w policzek. - Niech ci się przyjrzę.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił. - Ale roześmiała się, gdy poczucie zakłopotania minęło. - Skąd się tu wzięłeś?

- Ktoś cię rozpoznał w mieście, kiedy kupowałaś zapasy, i powiedział Patty. A Patty - ciągnął, mówiąc o żonie - zadzwoniła do mnie. Dlaczego nie dałaś znać, że przyjeżdżasz?

- Zamierzałam. To znaczy chciałam do ciebie zadzwonić. - W którymś momencie. W końcu. Kiedy by wreszcie zdecydowała, co powiedzieć. - Najpierw chciałam tu dotrzeć, a potem... - Zerknęła na piecyk. - Zabrałam się do roboty.

- Właśnie widzę. Kiedy przyjechałaś?

Poczuła wyrzuty sumienia.

- Słuchaj, wyjdźmy na ganek. Dom nie wygląda tak źle od frontu, poza tym mam tam przenośną lodówkę z kanapkami.

Umyję się tylko, a potem pogadamy.

Rzeczywiście, nie wyglądało to źle z zewnątrz - pomyślała, kiedy już usiadła z ojcem na zapadających się schodkach - ale i tak nie najlepiej. Zarośnięty, zachwaszczony trawnik i ogrody, trio krzywych gruszy Bradforda, dzika płatanina glicynii, jak się domyślała, wszystko to można było doprowadzić do porządku. Tak przynajmniej sądziła. Ale wspaniała stara magnolia rozrastała się wszędzie, gęsta od połyskliwych liści, a uparte żonkile rozpychały się wśród kolczastej zbroi pnącej róży wzdłuż kamiennego muru.

- Przepraszam, że nie zadzwoniłam wcześniej - powiedziała Cilla, podając ojcu butelkę mrożonej herbaty do popicia kanapki. - Że nie zadzwoniłam teraz.

Poklepał ją po kolanie, otworzył jej butelkę, potem swoją.

To do niego takie podobne - pomyślała. Gavin McGowan przyjmował wszystko z niezmaconym spokojem - rzeczy dobre czy złe. Jakim cudem zakochał się w tej tak emocjonalnie skomplikowanej kobiecie, jaką była jej matka, stanowiło dla niej zagadkę. Ale to było dawno temu i daleko stąd.

Ugryzła kanapkę.

- Jestem złą córką.

- Najgorszą - przyznał, a ona się roześmiała.

- Jest jeszcze Lizzie Borden, no wiesz, ta, która podobno zamordowała ojca i macochę.

- W takim razie jesteś druga. A powiedz mi, jak w ogóle się czuje matka?

Cilla znów odgryzła kawałek kanapki i przewróciła wymownie oczami.

- W tym momencie na matczynej skali Lizzie jest daleko za mną. Poza tym wszystko w porządku. Numer Pięć załatwia mamie występy na estradzie. - Dostrzegając spokojne spojrzenie ojcowskich oczu, wzruszyła ramionami. - Kiedy kolejne małżeństwo trwa przeciętnie trzy lata, określanie mężów numerami jest praktyczne i całkowicie wystarcza. Numer Pięć jest w porządku. Lepszy od Numeru Cztery i Dwa i na pewno mądrzejszy od Numeru Trzy. Stanowi też powód, dla którego siedzę tu i jem kanapki z Numerem Jeden, któremu nikt nie dorówna.

- Jak to rozumiesz?

- Występ, na który składa się śpiew i taniec, wymaga pieniędzy. Miałam trochę.

- Cilla...

- Chwileczkę, nie spiesz się. Tak jak mówiłam, miałam trochę pieniędzy, a ona miała coś, czego chciałam. Tego miejsca, tato. Długo na nie czekałam.

- Ale ty...

- Tak, kupiłam farmę. - Cilla odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła śmiechem. - I jest na mnie taka wkurzona. Bóg jeden wie, że jej nie potrzebowała. Wystarczy się tylko rozejrzeć. Nie była tu od lat, od dziesięcioleci, wyrzucała każdego zarządcę, każdego nadzorcę, każdego opiekuna tej posiadłości. Nie zamierzała mi jej oddawać, a ja popełniłam błąd, prosząc ją o to dwa lata temu. I nie sprzedałaby mi jej wtedy.

Pochłaniała teraz kanapkę, która zaczęła jej smakować.

- Uraczyła mnie wówczas opowieścią o Janet i zrobiła tragiczną minę. Ale teraz potrzebowała pieniędzy, chodziło o to, żebym zainwestowała. Powiedziałam twardo „nie”. Skończyło się awanturą i wielkim dramatem. Oświadczyłam jej i przy okazji Numerowi Pięć, że kupię farmę, a potem wymieniłam sumę i dałam jasno do zrozumienia, że mówię poważnie.

- Sprzedała ci. Sprzedała Małą Farmę.

- Najpierw zgrzytała zębami, beczała i rozwodziła się nad moim żalnym zachowaniem jako córki, i to od dnia narodzin. I tak dalej.

Nie ma to większego znaczenia. - Albo żadnego - pomyślała. - Nie chciała tej farmy: ja chciałam. Już dawno by ją sprzedała, gdyby to było możliwe. Wolno ją było sprzedać i przekazać tylko członkowi rodziny do... dwa tysiące dwunastego roku, tak? W każdym razie Numer Pięć uspokoił ją i wszyscy dostali to, na czym im zależało.

- Co zamierzasz z nią zrobić, Cilla?

Zamierzam tu żyć - pomyślała. Oddychać.

- Pamiętasz ją, tato? Widziałam tylko zdjęcia i stare filmy rodzinne, ale ty tu byłeś, kiedy Mała Farma przeżywała dni świetności. Kiedy otoczenie było wspaniałe, a werandy lśniły blaskiem. Kiedy to miejsce miało swój własny charakter i wdzięk. To właśnie zamierzam odtworzyć. Przywrócić ją do życia.

- Dlaczego?

Usłyszała niewypowiedziane „Jak?” i przyznała, że to bez znaczenia. To, że ojciec nie wie, co ona ma zrobić. Albo prawie bez znaczenia.

- Ponieważ zasługuje na coś więcej. Ponieważ myślę, że Janet Hardy zasługuje na coś więcej. I ponieważ mogę. Zajmuję się renowacją domów od prawie pięciu lat. Od dwóch na własny rachunek. Wiem, że żaden z nich pod względem skali nie mógł się równać z Małą Farmą, ale mam do tego smykałkę. Nieźle zarabiam na swoich projektach.



- W tym wypadku też chodzi ci o zysk?

- Może zmienię zdanie za pięć lat, ale chwilowo nie. Nigdy nie znalazłam Janet, ale była obecna przez całe moje życie. Coś ją tu przyciągało, nawet pod koniec. Tak samo jest ze mną.

- To miejsce jest z dala od wszystkiego, co znasz, co jest ci bliskie - zauważył Gavin. - Nie chodzi mi tylko o odległość, ale także o atmosferę. O kulturę. Dolina Shenandoah, w każdym razie ta jej część, to wciąż tereny wiejskie. W Skyline Village mieszka tylko kilka tysięcy ludzi, a nawet większe miasta, takie jak Front Royal i Culpepper, nie umywają się do Los Angeles.

- Chcę chyba odkryć to wszystko i spędzić trochę więcej czasu ze swoimi korzeniami na wschodnim wybrzeżu. - Pragnęła aby był zadowolony zamiast się martwić, że się jej nie uda albo że się podda. Znowu. - Jestem zmęczona Kalifornią. Zmęczona tym wszystkim, tato. Nigdy nie chciałam tego, co chciała mama. dla mnie czy dla siebie.

- Wiem, kochanie.

- Więc pomieszkam tu przez jakiś czas.

- Tutaj! - wykrzyknął zdumiony. - Chcesz tu mieszkać? Na Małej Farmie?

- Wiem, to szaleństwo. Ale spędziłam mnóstwo czasu na kempingach, tak w każdym razie będzie to wyglądało przez kilka najbliższych dni. Potem jakoś przetrwam w czterech ścianach. Remont, doprowadzenie wszystkiego do porządku potrwa jakieś dziewięć, dziesięć miesięcy, może rok. Wtedy będę wiedziała, czy chcę tu zostać, czy może przenieść się gdzie indziej.

Jeśli zdecyduję się na to drugie, to pomyślę, co zrobić z farmą.

Ale na razie, tato, mam dość przeprowadzek.

Gavin nie odzywał się przez chwilę, potem otoczył Cillę ramieniem. Czy miał w ogóle pojęcie - zastanawiała się - ile znaczył dla niej ten odruchowy gest wsparcia? Skąd miał wiedzieć?

- Było tu cudownie. Tak, to miejsce pulsowało pięknem, nadzieją i szczęściem - przyznał. - Pasły się konie, pies drzemał w słońcu. Kwiaty były urocze. Myślę, że Janet sama robiła niektóre rzeczy w ogrodzie, kiedy tu była. Przyjeżdżała, żeby się odprężyć, jak mówiła. I odprężała się, na krótko. Ale potem znów potrzebowała ludzi - tak mi się przynajmniej wydaje. Potrzebowała gwaru i śmiechu, światła. Ale od czasu do czasu pragnęła być sama. Bez przyjaciół, bez rodziny, bez prasy. Zawsze się zastanawiałem, co robiła podczas tych samotnych wizyt.

- Poznałeś tu mamę.

- Poznałem. Byliśmy jeszcze mali, a Janet wydała przyjęcie dla Dilly i Johnniego.

Zaprosiła mnóstwo dzieciaków z sąsiedztwa. Janet mnie polubiła i zapraszała, ilekroć Dilly i Johnnie tu byli. Bawiłem się z Johnniem, przyjaźniliśmy się jako nastolatki, chociaż zaczął obracać się w innych kręgach. Potem zginął i wszystko pogrążyło się w mroku, a Janet coraz częściej przyjeżdżała tu sama. Kiedy wracałem z college'u, wspinałem się na mur, żeby sprawdzić, czy jest tutaj, czy jest z nią Dilly. Widziałem, jak Janet spaceruje albo jak pałą się światła w domu. Rozmawiałem z nią kilka razy, trzy czy cztery, kiedy już Johnnie zmarł. Potem odeszła. Od tamtej pory nigdy nie było tu tak jak kiedyś. Rzeczywiście to miejsce zasługuje na coś lepszego - przyznał z westchnieniem. - Tak jak i ona. Jesteś jedyną osobą, która powinna coś z tym zrobić. Jedyną, która może coś zrobić.

- Dzięki.

- Pomożemy ci, ja i Patty. Może zatrzymasz się u nas, zanim dom będzie się nadawał do zamieszkania?

- Chętnie skorzystam z pomocy, ale wolę zostać tutaj. Wchłonąć atmosferę tego miejsca. Rozglądałam się już, ale byłoby dobrze, gdybyś mi polecił miejscowych pracowników - wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych. Hydraulików, elektryków, stolarzy, projektantów ogrodów. I ludzi o silnych mięśniach, którzy będą służyć wskazówkom.

- Przynies swój notatnik.

Wstała ze schodków i ruszyła w stronę drzwi, ale po chwili się odwróciła.

- Tato, gdyby się ułożyło między tobą i mamą, robiłbyś to, co robiłeś? Zostałbyś w Los Angeles?

- Może. Ale nigdy nie byłem tam szczęśliwy. Albo nie byłem szczęśliwy zbyt długo. I nie byłem znakomitym aktorem.

- Byłeś dobry.

- Dość dobry - odparł z uśmiechem. - Ale nie chciałem tego, co chciała Dilly, dla siebie czy dla mnie. Rozumiem więc, co miałaś na myśli, mówiąc podobnie. To nie jej wina, Cilla, że każde z nas chciało czegoś innego.

- Tu znalazłeś to, czego chciałeś.

- Tak, ale...

- To nie znaczy, że ja też znajdę - powiedziała. - Wiem. Ale może mi się uda.

Cilla uświadomiła sobie, że najpierw musi się zorientować, czego naprawdę pragnie. Przez ponad połowę życia robiła to, co jej mówiono, i akceptowała to, co posiada, jako coś, czego powinna pragnąć. Poza tym, jak musiała przyznać sama przed sobą, uciekała od tego albo po prostu wszystko ignorowała czy też traktowała tak, jakby przytrafiło się to komuś innemu.

Była aktorką, jeszcze zanim nauczyła się mówić, ponieważ chciała tego jej matka. Przez całe dzieciństwo odgrywała inne dziecko - to, które było o wiele miłsze, mądrzejsze i słodsze niż ona. Kiedy zaczęła dorastać, musiała przejść przez trudny okres, który agenci i producenci uważali za kiepskie lata, ponieważ było mało propozycji. Nagrała z matką album, który okazał się klęską, i zagrała w kilku krwawych horrorach dla nastolatków, gdzie gnębiono ją w niesamowity sposób, co wówczas uważała za szczyt szczęścia.

Skończyłam się przed osiemnastymi urodzinami - pomyślała, rzucając się na łóżko w swoim pokoju w motelu. Przygasła gwiazda, której udało się wystąpić kilka razy gościnnie w filmach telewizyjnych i podłożyć głos w reklamach.

Ale udział w tasiemcach telewizyjnych i kilku zapomnianych filmach klasy B zapewnił jej konkretny dochód. Była na tyle mądra, żeby oszczędzać i szukać czegoś innego, co rozbudziłoby jej zainteresowanie.

Matka nazywała to marnowaniem daru bożego, a jej terapeuta określał jako ucieczkę.

Ona sama nazywała to praktyczną lekcją.

Bez względu na określenie zaprowadziło ją do tego dość obskurnego hotelu w Wirginii i perspektywy ciężkiej, wyczerpującej pracy przez następnych kilka miesięcy. Nic mogła już się doczekać, kiedy zacznie.

Włączyła telewizor, by zagłuszyć ciszę, i usadowiwszy się na niewygodnym łóżku, jeszcze raz przejrzała notatki. Usłyszała, jak na korytarzu spada do podajnika w automacie z napojami kilka puszek. Przez ścianę za jej głową, niczym duchy, przenikały stłumione dźwięki włączonego telewizora.

Przy monotonnym akompaniamencie lokalnych wiadomości sporządziła listę priorytetów na następny dzień. Najpierw łazienka. Spanie w prowizorycznych warunkach nie stanowiło dla niej problemu, ale wymagało funkcjonowania podstawowych urządzeń sanitarnych. Ciężka praca oznaczała, że niezbędny jest sprawny prysznic. Hydraulika - najważniejsza rzecz.

Kiedy dobrnęła do połowy listy, poczuła, jak ciężą jej powieki. Przypominając sobie, że chce się wymeldować z motelu i zabrać do roboty przed ósmą, zgasła telewizor, a potem światło.

Kiedy zapadała w sen, przez ścianę zaczęły przenikać z sąsiedniego pokoju duchy. Usłyszała, jak wspaniały głos Janet Hardy przedzie melodię piosenki, która miała łamać serca.

- Doskonale - wymamrotała Cilla, kołysana do snu tym dźwiękiem.

Siedziała na uroczej werandzie, skąd roztaczał się widok na piękny staw i zielone

wzgórza, które ciągnęły się pofalowane aż po niebieskawe góry. Róże i lilie nasycaly powietrze aromatem; pszczoły bzyczały jak pijane, a koliber, bezczelnie śmiały, nurkował w poszukiwaniu nektaru. Na bezchmurnym niebie świeciło jasne i mocne słońce, zalewając wszystko złotym bajkowym blaskiem. Ptaki śpiewały z całego serca, niczym w disnejowskiej harmonii.

- Zaraz pojawi się Bambi i zacznie baraszkować z zającem - zauważyła Cilla.

- Tak to widziałam. W dobrych czasach. - Młoda, piękna, w delikatnej białej sukience, Janet popijała musującą lemoniadę. - Jako wspaniały plan filmowy, na który za chwilę wkroczę.

- A w złych czasach?

- Jako ucieczkę, więzienie, błąd, kłamstwo. - Janet wzruszyła uroczymi ramionami. - Ale zawsze z dala od świata.

- Przywoziłaś go ze sobą. Dlaczego?

- Potrzebowałam go. Nie mogłam być sama. Kiedy człowiek jest sam, pozostaje za dużo miejsca. Jak je wypełnić? Przyjaciółmi, mężczyznami, seksem, narkotykami, przyjęciami, muzyką. Mimo wszystko potrafiłam na chwilę pogrążyć się w spokoju. Mogłam udawać tutaj, że znów jestem Gertrudą Hamilton. Chociaż ona umarła, kiedy miałam sześć lat. i narodziła się Janet Hardy.

- Chcesz znowu być Gertrudą?

- Oczywiście, że nie. - W powietrzu zatańczył śmiech, jasny i śmiały jak dzień. - Lubiłam jednak udawać, że chcę. Gertruda byłaby lepszą matką, lepszą żoną, prawdopodobnie lepszą kobietą. Ale nie byłaby nawet odrobinę tak interesująca jak Janet. Kto by ją pamiętał? A Janet? Nikt nigdy jej nie zapomni. - Przechyliwszy głowę, obdarzyła Cillę swoim słynnym uśmiechem - pełnym humoru i ukrytej wiedzy. Z odrobiną seksu. - Czyż nie jesteś tego dowodem?

- Może jestem. Ale uważam, że to. co stało się z tobą i z tym miejscem, jest okropną stratą i marnotrawstwem. Nie mogę przywrócić cię do życia, nie mogę cię nawet poznać. Ale mogę odrodzić to miejsce.

- Robisz to dla siebie czy dla mnie?

- Dla siebie i dla ciebie. - Widziała teraz sad, cały pokryty różowymi i białymi kwiatami, pełen woni i mocy. I konie pasące się na zielonych polach, złote i białe na tle wzgórz. - Nie patrzę na to jak na doskonały plan filmowy. Nie potrzebuję doskonałości. Patrzę na to jak na twoją spuściznę dla mnie i - jeśli zdołam przywrócić to do życia - jak na swój hołd dla ciebie. To dzięki tobie istnieję, a poprzez ojca dzięki temu miejscu. Chcę to

wiedzieć, chcę to poczuć.

- Dilly nienawidziła Małej Farmy.

- Nie wiem, czy tak było zawsze. Ale nienawidzi jej teraz.

- Marzyła o Hollywood - o Hollywood pisanym dużymi, lśniącymi literami. Urodziła się, pragnąc go i jednocześnie nie mając talentu albo wytrwałości, by cokolwiek osiągnąć. Nie jesteś jak ona i nie jesteś jak ja. Może... - Janet uśmiechnęła się, znów popijając lemoniadę. - Może bardziej przypominasz Gertrudę. Trudy.

- Kogo zabiłaś tamtej nocy? Janet czy Gertrudę?

- Dobrze pytanie - zauważyła Janet, po czym odchyliła głowę i przymknęła powieki.

Ale jak brzmiała odpowiedź? Cilla zastanawiała się nad tym. wracając tego ranka na farmę. I dlaczego miało to znaczenie? Po co zadawać pytania z jakiegoś snu?

W końcu to. co martwe, było martwe. Jej przedsięwzięcie nie dotyczyło śmierci, tylko życia. Polegało na tym, by zrobić coś dla siebie z wszystkiego, co porzucono na pastwę losu.

Kiedy zatrzymała samochód, żeby otworzyć starą, strzegącą podjazdu żelazną bramę, zaczęła się zastanawiać, czyjej nie usunąć. Symbol otwarcia na nowo tego. co było tak długo zamknięte, czy może rzecz bezgranicznie głupia, która naraziłaby zarówno ją. jak i posiadłość na niebezpieczeństwo? Wrota zaprotestowały, gdy je pchnęła, i zostawiły na jej dłoniach rdzę.

Do diabła z symbolami i głupotą! - zdecydowała. Bramę należało rozebrać, ponieważ stanowiła irytującą przeszkodę. Potem mogłaby zainstalować ją z powrotem.

Zaparkowała przed domem i otworzyła drzwi wejściowe na oścież z myślą o porannym powietrzu. Wciągnęła na dłonie rękawiczki gumowe. Pomyślała, że dokończy robotę w kuchni. I miała nadzieję, że pojawi się hydraulik polecony jej przez ojca.

Tak czy inaczej postanowiła tu zostać. Nawet gdyby miała rozbić na podwórzu cholerny namiot.

Udało jej się już sporo zrobić, kiedy zjawił się hydraulik, mężczyzna o zarośniętych policzkach, imieniem Buddy. Obszedł z nią posiadłość i wysłuchał planów, drapiąc się często po brodzie. Koszt, jaki jej podał, przyprawił ją o zawrót głowy. Posłała mu tępe spojrzenie.

Uśmiechnął się i znów podrapał po brodzie.

- Mógłbym trochę opuścić. Byłoby taniej, gdybyś sama kupowała elementy instalacji i tak dalej.

- Kupię.

- Okej. Opracuję kosztorys. Dogadamy się.

- Świetnie. Ile byś wziął za przepchanie wanny na górze?

Woda kiepsko spływa.

- Może to obejrzę? Za darmo, zresztą od tego tu jestem.

Stała mu nad głową, ale nie z braku zaufania; nigdy nie wiadomo, czego człowiek może się przy okazji nauczyć. Zorientowała się, że hydraulik nie zamierza się guzdrać i że wynagrodzenie za tę drobną usługę - a także szybkie sprawdzenie zlewu i ubikacji - oznacza, że chciał tej roboty i że się dogadają co do kosztów.

Zanim wgramolił się z powrotem do swojej półciężarówki, miała nadzieję, że ze stolarzem i elektrykiem, z którymi się umówiła, też zdoła się dogadać.

Wyciągnęła notatnik, żeby odhaczyć spotkanie z Buddym. Potem wzięła do ręki wielki młot. Była w nastroju do rozbiórki, a spróchniałe deski frontowej werandy świetnie się do tego nadawały.

## ROZDZIAŁ 2

Z młotem na ramieniu i okularami ochronnymi na oczach. Cilla przyjrzała się uważnie mężczyźnie, który zbliżał się od strony podjazdu. Obok niego dreptał brzydki jak z komiksu czarno - biały pies z wielką głową i małym, pękatym tułowiem, zakończonym krótkim, chudziutkim ogonkiem.

Lubiła psy i miała nadzieję, że któregoś dnia postara się o własnego. Ale ten przypominał dziwnego stwora o wyłupiastych oczach i małych, ostro zakończonych uszkach, nasadzonych na zbyt duży łeb.

Jeśli chodzi o człowieka, prezentował się znacznie lepiej od psa. Pod spłowiałymi i postrzępionymi przy nogawkach džinsami i obszerną szarą bluzą kryła się sylwetka szczupłego, długonogiego mężczyzny o wzroście około stu dziewięćdziesięciu centymetrów. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne w drucianej oprawie, a na wysokości kolana widniało poziome rozdarcie w spodniach. Policzki i szczękę pokrywał dwudniowy zarost, jaki zawsze uważała za coś zbyt wystudiowanego, by można było go uznać za modny. Mimo wszystko pasował do gęstych kasztanowych włosów, które kręciły mu się nad uszami.

Nie ufała mężczyznom, którzy zdobili włosy jaśniejszymi pasemkami, co zauważyła u nieznajomego. Przypuszczała też, że złotą opaleniznę załatwił sobie w solarium. Czy nie lekceważyła takich typów w Los Angeles? Choć wszystko to wydawało jej się dość nieszkodliwe, a na ładnie wykrojonych ustach gościł przyjazny uśmiech, zacisnęła palce mocniej na uchwycie młota.

Mogła użyć go do czegoś innego niż rozwalanie starych, spróchniałych desek, gdyby zaszła taka potrzeba.

Nie musiała patrzeć mu w oczy. by wiedzieć, że i one bacznie ją obserwują.

Zatrzymał się u podnóża schodów, podczas gdy pies wbiegł na ganek, by obwąchać jej buty - choć dźwięk, jaki przy tym wydawał, przypominał raczej pochrząkiwanie świni.

- Hej - zagadnął, a jego usta rozciągnęły się w uśmiechu jeszcze bardziej. - Mogę w czymś pomóc?

Przechyliła głowę na bok.

- W czym na przykład?

- We wszystkim, czym się zajmujesz. Sam się zastanawiam, co to może być, skoro trzymasz w ręku ten wielki młot i przebywasz na prywatnym terenie - Wsunął kciuki w kieszenie džinsów i dodał tym samym przeciągłym akcentem Wirginii: - Nie wyglądasz na wandalę.

- Jesteś policjantem?

Pokazał w uśmiechu zęby.

- Nie wyglądam na policjanta bardziej niż ty na wandala.

Słuchaj, nie chcę stawać ci na drodze, ale jeśli zamierzasz rozwalić kilka kawałków tego domu, a potem wystawić je na sprzedaż w Internecie, to muszę prosić, żebyś się zastanowiła.

Młot zaczął jej ciążyć, więc ściągnęła go z ramienia i oparła głowicą o deski werandy. Mężczyzna nie poruszył się nawet, kiedy to robiła, poczuła jednak, jak zeszywniał odrobine.

- W Internecie?

- Więcej kłopotu, niż jest to warte. Kto uwierzy, że sprzedajesz autentyczny fragment domu Janet Hardy? Więc może dasz sobie spokój? Zamknę bramę i nikomu nic się nie stanie.

- Jesteś dozorcą tej posiadłości?

- Nie. Byli tacy, ale ktoś ciągle ich wyrzucał. Wiem, że właściwie nikogo nie obchodzi to miejsce, ale nie można tu przychodzić ot tak sobie i walić młotem.

Cilla, zaintrygowana, przesunęła okulary ochronne na czubek głowy.

- Jeśli nikogo to nie obchodzi, to dlaczego obchodzi ciebie?

- Nie wiem, nic na to nie poradzę. Może podziwiam odwagę, z jaką rozwalasz zamki i wymachujesz młotem w biały dzień, ale, mówiąc poważnie, powinnaś się stąd zabrać. Rodzina Janet Hardy ma pewnie w nosie to, czy ten dom zawali się podczas następnej wichury, ale mimo wszystko... - Urwał nagle, zsuwając okulary w dół nosa i przyglądając jej się ponad oprawkami, zanim zdjął je do końca i założył sobie za ucho. - Wolno dziś myślę. Zdażyłem tylko łyknąć kawy, kiedy zobaczyłem twoją półciężarówkę, otwartą bramę i całą resztę. Cilla... McGowan. Dopiero teraz się zorientowałem. Masz oczy swojej babki.

Sam miał oczy koloru zielonego, jak zauważyła.

- Nie mylisz się ani co do mojej tożsamości, ani co do oczu.

A ty kim jesteś?

- Ford. Ford Sawyer. A ten pies, który liże ci buty, to Spock.

Mieszkamy po drugiej stronie drogi. - Wskazał kciukiem za siebie, przyciągając jej wzrok do obszernego domu w stylu wiktoriańskim na ładnym wzgórzu. - Nie zamierzasz walnąć mnie w głowę tym młotem, jak wejść na ganek?

- Pewnie nie. Jeśli mi powiesz, dlaczego zjawileś się tutaj dopiero dzisiaj rano i nie zauważyłeś mnie wczoraj przez cały dzień. Ani hydraulika Buddy'ego czy różnych fachowców, którzy byli tu jeszcze pół godziny temu.

- Jeśli chodzi o wczoraj, to wciąż jeszcze byłem na Kajmanach. Zrobiłem sobie



krótkie wakacje. A co do tych różnych fachowców, to dopiero pół godziny temu wstawałem z łóżka.

Właśnie piłem pierwszą filiżankę kawy na werandzie. Wtedy zauważyłem półcieżarówkę i otwartą bramę. Okej?

Brzmiało to przekonująco, jak doszła do wniosku Cilla. I może te jasne pasemka we włosach i opaleniznę zawdzięczał słońcu, a nie solarium. Oparła młot o balustradę werandy.

- Skoro jesteś jednym z tych nielicznych ludzi, których obchodzi w ogóle ta posesja, to doceniam, że jej pilnujesz.

- Nie ma o czym mówić.

Wszedł na schody i zatrzymał się na ostatnim stopniu. Biorąc pod uwagę, że ich oczy znalazły się na tym samym poziomie i że mierzyła sto siedemdziesiąt centymetrów, uznała, że nie pomyliła się co do jego wzrostu.

- Co zamierzasz rozwaląć tym młotem?

- Spróchniałe deski. Werandę trzeba odbudować. A nie można jej odbudować, jeśli wcześniej się jej nie rozwali.

- Nowa weranda, hydraulik Buddy, który chyba zna swój fach, tak przy okazji... różni specjaliści. Wydaje się, że zamierzasz doprowadzić to wszystko do użytku.

- Owszem. Wyglądasz na takiego, który ma silne ręce. Zależy ci na robocie?

- Mam już pracę, poza tym takie narzędzia to nie moja działka. Ale dzięki mimo wszystko. Spock, pożegnaj się.

Pies usiadł, przekrzywił wielki pudełkowaty łeb i podniósł łapę.

- Uroczy. - Cilla odpowiedziała na ten gest, pochylając się i ściskając łapę, podczas gdy Spock patrzył na nią swoimi wylupiastymi i błyszczącymi oczami. - Co to za rasa?

- Czteronożna. Miło będzie spojrzeć w tę stronę i widzieć, że to miejsce wygląda tak, jak pewnie kiedyś wyglądało. Remontujesz, żeby sprzedać?

- Nie. Remontuję, żeby tu mieszkać. Przez jakiś czas.

- No cóż, jest tu uroczo. Albo mogłoby tak być. Gavin McGowan to twój tata?

- Tak. Znasz go?

- Uczył mnie angielskiego w ostatniej klasie szkoły średniej.

Zdałem celująco, ale kosztowało mnie to sporo potu i wysiłku. Pan McGowan nie dawał człowiekowi odetchnąć. No cóż, rozwalaj dalej te deski. Pracuję w domu, więc jestem przez większość czasu na miejscu. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, wystarczy zawołać.

- Dzięki - odparła, nie zamierzając korzystać kiedykolwiek z jego propozycji. Opuściła na oczy okulary i wzięła do ręki młot, podczas gdy mężczyzna ruszył w stronę

bramy z drepczącym psem u boku. Zawołała odruchowo: - Hej? Kto daje dziecku imię na cześć samochodu?

Odwrócił się i ruszył w jej stronę.

- Moja mama odznacza się dużym i nieco osobliwym poczuciem humoru. Twierdzi, że tata mnie spłodził, kiedy szyby w ich fordzie zaparowały podczas pewnej chłodnej wiosennej nocy. Może tak było.

- Pewnie się jeszcze zobaczymy - rzuciła.

- To więcej niż prawdopodobne.

Fascynujące - rozmyślał Ford, zanosząc na werandę świeżą filiżankę kawy, by odbyć spóźniony poranny rytuał. Wciąż tam była. niczym długi łyk wody o zimnych niebieskich oczach, i rozwalala stary ganek.

Ten młot był prawdopodobnie cholernie ciężki. Dziewczyna miała krzepę.

- Cilla McGovan - zwrócił się do Spocka, który gonił po podwórzu niewidzialne koty.  
- Wprowadziła się naprzeciwko.

Czyż nie było to niesamowite? Ford przypomniał sobie, jak jego własna siostra niemal wielbiła Katie Lawrence. bohaterkę, którą Cilla grała ile?... pięć lat? Sześć? Siedem? Kto, u diabła, może to wiedzieć? Przypominał sobie, jak Alice taszczyła wszędzie ze sobą pudełko na lunch z napisem *Nasza rodzina*, bawiła się lalką Katie i z dumą nosiła plecak Katie.

Ponieważ jego siostra miała zwyczaj gromadzenia wszelkich rzeczy, podejrzewał, że ma gdzieś schowane w Ohio, tam gdzie teraz mieszka, wszystkie rekwizyty *Naszej rodziny* i Katie. Zamierzał wysłać jej e - maila i poinformować ze złośliwą przyjemnością, kto jest jego nową sąsiadką.

Tamten telewizyjny tasiemiec był wtedy dla niego zbyt grzeczny. Wolał pełnych akcji *Transformers* i fantazję *Knight Rider*. Pamiętał, jak po jakiejś wielkiej awanturze z Alice, nie bardzo wiadomo o co. dokonał zemsty i rozebrał Katie do naga, po czym zakleił usta taśmą i przywiązał do drzewa, wokół zaś rozstawił na warcie armię swoich Storm Troopers.

Zdrowo za to oberwał, ale warto było.

Wydawało się to dziwaczne - stać tu teraz i widzieć dorosłą, żywą wersję Katie, która wywija ciężkim młotem zamiast jakimś poręcznym łomem. I wyobrazać ją sobie nagą.

Odnaczał się cholernie bujną wyobraźnią.

Minęły już cztery lata, jak wprowadził się do domu po drugiej stronie drogi - rozmyślał Ford. Przeżył dwóch dozorców, którzy zjawili się i odeszli po pewnym czasie, ten drugi ledwie sześć miesięcy temu. I ani razu, aż do dzisiaj, nie widział nikogo z rodziny Janet Hardy. Odejmując dwa lata, które spędził w Nowym Jorku, mieszkał tu przez całe życie i aż

do dzisiaj nie zauważył nikogo. Słyszał o tym, że córka pana McGovana. Cilla, była tu przejazdem raz czy dwa, ale nigdy nie miał okazji jej spotkać.

Teraz rozmawiała z hydraulikami, rozwalala ganki i... przerwał rozmyślenia, widząc, jak na podjazd skręca z drogi czarny pikap, w którym rozpoznał wóz swego przyjaciela Matta Brewstera, miejscowego stolarza. Kiedy po niespełna półminucie pojawił się drugi pikap, Ford postanowił nalać sobie jeszcze jedną filiżankę kawy, może też miskę płatków śniadaniowych, i wyjść na werandę, by spokojnie wszystko obserwować.

Powinien pracować - wmawiał sobie godzinę później. Wakacje skończyły się na dobre, a jemu nad głową wisiał termin. Ale tu było tak interesująco! Po jakimś czasie do dwóch wozów dołączył jeszcze jeden, i ten też rozpoznał. Brian Morrow, były sportowiec i łapacz drużyny futbolowej, a także trzeci członek odwiecznego triumwiratu, Matt, Ford i Brian, prowadził firmę projektowania ogrodów. Ford obserwował z werandy, jak Cilla obchodzi swoje włości z Brianem, jak gestykułuje, a potem zagląda do grubego notesu.

Podziwiał bezwiednie sposób, w jaki się ruszała. Pewnie z powodu nóg, które zdawały się nieść ją lekko nad ziemią, choć na pierwszy rzut oka poruszała się wolno i z rozmysłem. Z powodu tej energii, która kryła się w smukłej i zwiewnej sylwetce, zimnych niebieskich oczu i porcelanowej skóry, maskujących siłę, jakiej wymagało...

- Czekaj chwilę. - Wyprostował się, zmrużył oczy i ponownie odmalował ją sobie z ciężkim młotem na ramieniu. - Krótsza rączka - mruknął. - Dwustronna głowica. Tak, tak. Wygląda jednak na to, że wezmę się do roboty.

Wszedł do domu, wziął szkicownik i ołówki, a następnie, pod wpływem inspiracji, wygrzebał lornetkę. Kiedy znalazł się z powrotem na werandzie, nastawił ostrość na sylwetkę Cilli i zaczął studiować z uwagą jej twarz, zarys szczęki, budowę ciała. Miała fascynujące, seksowne usta - marzył w duchu - z tym głębokim dołkiem pośrodku górnej wargi.

Nanosząc na papier pierwszy rysunek, tworzył w głowie scenariusze, odrzucając jeden po drugim, niemal tak szybko, jak się pojawiały.

Wiedział, że prędzej czy później coś mu zaświta. Pomysły często brały się z samych rysunków. Widział ją... Dianę, Maggie, Nadine. Nie, nie, nie. Cass. Prosta, odrobinę androginiczna. Cass Murphy. Cass Murphy. Inteligentna, poważna, samotna, nawet trochę opuszczona. Atrakcyjna. Znów spojrzał przez lornetkę.

- O tak, atrakcyjna.

Niechlujne robocze ubranie nie mogło tego ukryć, ale też nie pomagało. Rysował dalej, całą postać, twarz w zbliżeniu, promieniała. Po chwili przerwał, żeby postukać ołówkiem o papier i zastanowić się. Okulary mogą wyglądać na banał, ale to symbol

bystrości. I zawsze dobra maska dla alter ego.

Dorysował je, zwykłą ciemną oprawkę, kwadratowe szkła.

- No i jesteś, Cass. A może powinienem powiedzieć: „Dr Murphy”?

Przerzucił kartkę i zaczął od nowa. Koszula safari, spodnie khaki, wysokie buty, kapelusz o szerokim rondzie. Prosto z sali szkolnej albo laboratorium w teren. Skrzywił wargi, ponownie przewracając kartkę, i zaczął gorączkowo szkicować to, kim i czym miałyby się stać ta świeżo stworzona przez niego Cass. Skóra, napierśnik - a nad nim urocza para bliźniąt. Srebrne opaski na ramiona, długie odsłonięte nogi, dzika burza włosów z obręczą na głowie - oznaką urzędu. Pas wysadzany drogimi kamieniami? - zastanawiał się. Może. Starodawna broń - młot o podwójnej głowicy. Połyskujący jak srebro, gdy rękojeść ujmuje potomkini wojowniczej bogini...

No i potrzebował dla niej imienia.

Gdzie szukać natchnienia? Rzym? Grecja? Wikingowie? Celtowie?

Celtowie. Pasowało.

Podniósł szkicownik i stwierdził, że uśmiecha się szeroko do rysunku.

- Witaj, piękna. Razem skopujemy parę tyłków.

Zerknął ku domowi po drugiej stronie drogi. Półciężarówki już odjechały i choć Cilli nie było nigdzie widać, drzwi wejściowe stały otworem.

- Dzięki, sąsiadko - oznajmił Ford. wstał i poszedł zadzwonić do swojego agenta.

Surrealistyczny - to właśnie słowo nasuwało się Cilli, kiedy siedziała na ładnym patio ojcowskiego domu z cegły w stylu kolonialnym i popijała marudnie herbatę mrożoną, którą podała jej macocha. Ta scena po prostu nie pasowała do tego wszystkiego, co wcześniej wydarzyło się w jej życiu. Kiedy była dzieckiem, rzadko przyjeżdżała na wschód. Praca uniemożliwiała częste wizyty, zwłaszcza w przypadku matki.

Ojciec przyjeżdżał od czasu do czasu, jak pamiętała Cilla. Zabierał ją do zoo albo Disneylandu. Ale przynajmniej, w czasach największej chwały, zawsze towarzyszyli jej paparazzi albo roiły się wokół niej dzieci z rodzicami, którzy pstrykali jej zdjęcia. Praca przewyższa wszelką fantazję, czy się tego chce. czy nie - pomyślała Cilla.

Potem ojciec i Patty doczekali się oczywiście własnej córki. Angie, własnego domu, własnego życia na drugim końcu kraju. Co było równoznaczne z drugim końcem świata.

Nigdy do niego nie pasowała.

Czy nie to właśnie próbował zawsze powiedzieć jej ojciec? Było za daleko i nie chodziło tylko o odległość w kilometrach. Miło tutaj powiedziała Cilla, badając grunt.

- Nasze ulubione miejsce w całym domu - odparła Patty, siląc się na uśmiech. - Choć

jest jeszcze trochę za chłodno.

- Jest bardzo dobrze. - Cilla zaczęła rozmyślać gorączkowo.

Co miała powiedzieć tej miłej, matczynej kobiecie o uroczej twarzy, ciemnych włosach i nerwowych oczach? - Założę się, że za tydzień czy dwa. kiedy wszystko zacznie kwitnąć, ogród będzie wyglądać wspaniale.

Przesunęła wzrokiem po grządkach, krzewach i winoroślach, po schludnym pasie trawnika, który wkrótce miał pokryć się plamami cienia, rzucanymi przez liście klonu i wiśni.

- Włożyliście w to mnóstwo pracy.

- Och, głównie się objam. - Patty musnęła palcami krótkie ciemne włosy i zaczęła się bawić małym srebrnym kolczykiem w uchu. - To Gavin jest ogrodnikiem w naszej rodzinie.

- Och! - Cilla skierowała spojrzenie na ojca. - Naprawdę?

- Lubię grzebać w ziemi. Chyba nigdy z tego nie wyrosłem.

- Jego dziadek był farmerem. - Patty posłała Gavinowi promienne spojrzenie. - Gavin odziedziczył zamiłowanie do ogrodnictwa właśnie po nim.

Wiedziała o tym? Dlaczego więc ona, Cilla, nie miała o niczym pojęcia?

- Twój dziadek był farmerem? Tutaj, w Wirginii?

Patty zrobiła wielkie oczy i zerknęła na Gavina.

- Oho, chyba coś palnęłam.

- Myślałem, że wiesz, Cilla. Twoja babka kupiła farmę mojego dziadka.

- Co? Małą Farmę? Należała do ciebie?

- Nigdy nie była moja, kochanie. Dziadek sprzedał ją, kiedy byłem chłopcem. Pamiętam, jak goniłem tam kurczęta i dostawałem za to burę. Dziadek nie chciał zajmować się farmą, a jego bracia i siostry - ci, którzy wtedy żyli - w większości rozjechali się po świecie. No więc sprzedał ją. Akurat była tu Janet, kręciła film. *Taniec w stodole*.

- Znam ten fragment historii. Zakochała się w farmie, z której korzystała ekipa, i kupiła ją bez zastanowienia.

- Mniej lub bardziej bez zastanowienia - odparł Gavin z uśmiechem. - A dziadek kupił sobie wóz z przyczepą mieszkalną - słowo daję - i razem z babką ruszyli w trasę. Przez następnych sześć czy siedem lat podróżowali po całym kraju, dopóki babka nie doznała wylewu.

- A więc to była ziemia McGowanów.

- Wciąż jest. - Nie przestając się uśmiechać, Gavin łyknął herbaty. - Czyż nie?

- Myślę, że historia zatoczyła koło. - Patty wyciągnęła rękę i poklepała dłoń Cilli. - Pamiętam, jak w tamtym domu paliły się światła, kiedy przebywała tam Janet. Jak latem,

kiedy przejeżdżało się tamtędy samochodem z opuszczonymi szybami, słychać było muzykę, niekiedy nawet można było dostrzec kobiety w pięknych strojach i najprzystojniejszych mężczyzn. Czasem pojawiała się w mieście albo po prostu jeździła swoim kabrioletem. Robiła wrażenie. - Patty wzięła dzbanek z herbatą, jakby musiała mieć cały czas zajęte czymś dłonie. - Raz nawet zatrzymała się pod naszym domem, kiedy mieliśmy szczenięta na sprzedaż. Po pięć dolarów. Nasza collie miała przelotny romans z jakimś psim komiwojażerem niewiadomego pochodzenia. Janet kupiła od nas jednego szczeniaka. Usiadła na ziemi, a wszystkie te maluchy łąziły po niej i skakały. A ona się śmiała, bez końca. Miała taki wspaniały śmiech. Przepraszam, rozgadałam się trochę.

- Nie, nie, w porządku. Nie miałam o tym pojęcia. Czy właśnie ten pies...

- Tak. Wabił się Bohater, tak go nazwała. Stary Fred Bates znalazł go włóczącego się na drodze, zabrał do swojego pikapu i przywiózł z powrotem na farmę. To on znalazł ją tamtego ranka. To był smutny dzień. No ale teraz ty tu jesteś. - Patty znowu położyła rękę na dłoni Cilli. - Znow rozbłyszła światła i zagra muzyka.

- Kupiła od was psa - mruknęła Cilla. - A farmę od twojego dziadka. - Popatrzyła na Gavina. - Jeszcze jedno koło, które zakreśliła historia. Zastanawiam się, czy nie pomógłbyś mi z ogrodem.

- Z chęcią.

- Zatrudniłam dzisiaj specjalistę, ale muszę zdecydować, co posadzić. Kupiłam sobie książkę na ten temat, ale przydałyby mi się dobre rady kogoś doświadczonego.

- Załatwione. Też mam ze dwie książki na temat ogrodnictwa: może podsuną ci jakiś pomysł.

- Ze dwie? - rzuciła żartobliwie Patty.

Gavin uśmiechnął się, kiedy jego żona wzniosła oczy ku górze.

- No. może więcej niż dwie. Kogo zatrudniłaś?

- Nazywa się Morrow. Brian Morrow.

- Trafny wybór. Dobrze pracuje, poza tym można na nim polegać. W szkole był gwiazdą futbolu i bardzo przeciętnym uczniem. Ale udało mu się stworzyć niezłą firmę i wyrobić sobie nazwisko.

- Tak słyszałam. Poznałam dziś jeszcze jednego z twoich uczniów. Forda Sawyera.

- Bystry chłopak, zawsze taki był. - Gavin skinął głową, podnosząc szklanekę do ust. - Trochę skłonny do marzycielstwa. ale jeśli zajęło mu się czymś umysł, to potrafił zrobić z niego użytek.

Też mu niezłe poszło.

- Tak? Czym się zajmuje?

- Pisze powieści w formie komiksów. Ilustruje też książki, co nie jest takie częste. *Poszukiwacz*. To właśnie jego. Ciekawa rzecz.

- *Poszukiwacz*? Jak Superman, który zwalcza przestępczość?

- Coś w tym rodzaju. Opowieść o pechowym prywatnym detektywie. Odkrywa spisek jakiegoś szaleńca, który planuje zniszczenie wielkich dzieł sztuki za pomocą molekularnej wirówki, sprawiającej, że wszystko znika. Ma nadzieję, że uda mu się powstrzymać złoczyńcę i zdobyć przy okazji sławę i fortunę.

W rezultacie ginie jego ukochana dziewczyna. Uznają go za martwego, gdy w rzeczywistości zostaje poddany działaniu wirówki.

- I jest obdarzony darem niewidzialności - dokończyła Cilla. - Słyszałam o tym. Dwaj faceci, którzy pracowali ze mną. Pasjonowali się takimi powieściami. Steve zresztą też - powiedziała, mając na myśli swojego eksmęża. - Spierali się przez pół dnia. kto jest lepszy. *Poszukiwacz*, czy *Mroczny rycerz*, albo *X - men*. i jak się to ma do *Fantastycznej czwórki*. Kiedy powiedziałam coś o dorosłych mężczyznach, którzy zajmują się komiksami, spojrzeli na mnie wzrokiem, który mógłby zabić.

- Gavin uwielbia takie książki. Zwłaszcza te autorstwa Forda.

- Naprawdę? - Myśl o spokojnym i zrównoważonym nauczycielu szkoły średniej, ślęczącym nad komiksami o superbohaterze, rozbawiła ją. - Dlatego, że go uczyłeś?

- Owszem, między innymi. Poza tym chłopak potrafił stworzyć dobrą, ciekawą historię ze skomplikowanym bohaterem, który szuka odkupienia poprzez walkę ze złem. Stara się robić coś słusznego, ale z niewłaściwych powodów. Próbował powstrzymać złoczyńcę, ale dla własnych osobistych korzyści. I ten jeden czyn kosztował życie kobiety, która go kochała i którą traktował lekceważąco. Moc niewidzialności staje się w jego przypadku metaforą - przemienia się w bohatera, ale nigdy nie będzie widziany. Ciekawa rzecz.

- Ford jest kawalerem - dorzuciła Patty, prowokując Gavina do śmiechu. - No, wspominam o tym tylko dlatego, że mieszka po drugiej stronie drogi, a Cilla będzie na farmie sama. Przyda jej się od czasu do czasu towarzystwo.

Od razu utnij dyskusję - pomyślała Cilla.

- Prawdę mówiąc, zamierzam całymi dniami pracować, a wieczory poświęcać na planowanie. Będę zbyt zajęta, żeby znaleźć czas na towarzyskie spotkania. Właściwie już powinnam wracać do pracy. Mam jutro mnóstwo roboty.

- Nie możesz zostać na kolacji? - zaprotestowała Patty. - Zjedz coś domowego, zanim pójdziesz. Mam przygotowaną kabanosy, wystarczy podgrzać w piekarniku. Nie potrwa długo.

- Brzmi wspaniale. - Cilla uświadomiła sobie, że mówi szczerze. - Z przyjemnością zostanę.

- Posiedź tu sobie z ojcem i napij się jeszcze herbaty.

Cilla patrzyła, jak Patty zrywa się z miejsca, przemierza pospiesznie patio i wchodzi do domu.

- Powinam jej pomóc?

- Uwielbia krzątać się przy posiłkach. To ją uspokaja, tak jak mnie grzebanie w ogrodzie. Na pewno woli, żebyś tu siedziała i pozwoliła jej wszystko przygotować.

- Robi się nerwowa w mojej obecności.

- Trochę. To przejdzie. Zapewniam cię, że byłaby rozczarowana, gdybyś nie została na kolacji. Lazania to specjalność Patty. Każdego lata przyrządza sos z moich pomidorów i wekuje.

- Żartujesz.

Jej bezwiedne i całkowite zdumienie wywołało na jego twarzy leciutki uśmiech.

- Tu jest inny świat, kochanie.

- Właśnie widzę.

W tym świecie, jak odkryła Cilla, ludzie spożywali domową lazanię oraz deser z jabłek na gorąco i traktowali posiłek jak jedzenie, a nie rytuał. A gość albo członek rodziny - przypuszczała, że plasuje się gdzieś pośrodku - dostawał na odchodnym talerz przykryty folią aluminiową. Jeśli prowadził samochód, proponowano mu kieliszek wina do kolacji, a potem pojono kawą.

Cilla zerknęła z uśmiechem na zegarek. Mogła zjawić się pod swoimi drzwiami jeszcze przed ósmą.

Wsadziła dwa talerze do zaufanej lodówki, oparła dłonie o biodra i rozejrzała się wkoło. Nagie żarówki rzucały ostre światło i nieprzeniknione cienie, odsłaniając spękany tynk i porysowane deski podłogowe. Biedna staruszko - pomyślała. Potrzebujesz na gwałt face liftingu.

Wzięła latarkę, zapaliła ją, zgasiła światło i ruszyła w stronę schodów, przyświecając sobie.

Zerknęła w okno i zobaczyła migotliwe światła domów rozrzuconych po polach i wzgórzach. Przypuszczała, że inni ludzie kończą właśnie domowe posiłki i siadają przed telewizorami albo przy biurkach, żeby uporać się z jakąś papierkową robotą. Może kładą dzieciaki do łóżek albo mówią im, żeby dokończyły odrabianie lekcji.

Wątpiła, czy ktokolwiek zapoznaje się ze zmianami w scenariuszu przed jutrzejszymi



zdjęciami czy ziewa, czytając po raz któryś z rzędu swoją rolę. To głupie - pomyślała Cilla - zżardzić im tego, czego nigdy nie miała.

Stojąc tak, dostrzegła światła w domu Forda.

Czy pracował nad kolejnym odcinkiem przygód *Poszukiwacza*? Może pochłaniał mrożoną pizzę, która, jak sobie wyobrażała, stanowiła kawalerską wersję domowego posiłku. I co twórca komiksów - pardon, autor powieści z rysunkami - robił w pięknie odrestaurowanym domu wiktoriańskim w wiejskiej Wirginii?

Samotny autor książek z rysunkami - przypomniała sobie z ironicznym uśmiechem. Facet o niewątpliwie seksownym południowym akcencie i leniwym chodzie, który niemal przypominał krok pewnego siebie twardziela. I ten dziwaczny mały pies.

Bez względu na powody miło było widzieć płonące światła po drugiej stronie drogi. Blisko, ale nie za bardzo. Dziwnie pocieszona tym widokiem, odwróciła się i ruszyła na górę po schodach, gdzie zamierzała wślizgnąć się do spiwora i zastanowić nad planami.

Dźwięk komórki wyrwał ją z głębokiego snu; otworzyła bezwiednie oczy i natychmiast je zamknęła, oślepiąca blaskiem światła, które zapomniała zgasić przed położeniem się do łóżka. Przeklinając pod nosem, uchyliła jedną powiekę i zaczęła szukać na podłodze telefonu.

Która, u diabła, była godzina?

Z bijącym mocno sercem odczytała cyfry na wyświetlaczu - 3.28 - i numer matki.

- Cholera! - Otworzyła komórkę. - Co się stało?

- Tak się odpowiada na czyjś telefon? Nie zamierzasz się nawet przywitać?

- Cześć, mamó. Co się stało?

- Nie jestem z ciebie zadowolona, Cilla.

Nic nowego - pomyślała. Poza tym jesteś albo pijana, albo naćpana. Albo jedno i drugie.

- No cóż, przykro mi to słyszeć, zwłaszcza o wpół do czwartej nad ranem. Czas wschodniego wybrzeża. To znaczy tam.

gdzie w tej chwili jestem, jeśli pamiętasz.

- Wiem, gdzie jesteś. - Głos Bedelii miał w sobie ostry ton, nawet kiedy bełkotała. - Wiem cholernie dobrze. Jesteś w domu mojej matki, w domu, który zabrałaś mi podstępnie. Chcę go odzyskać.

- Jestem w domu mojej babki, który mi sprzedałaś. I nie możesz go odzyskać. Gdzie jest Mario? - spytała. Mario był obecnym mężem jej matki.

- To nie ma nic wspólnego z Mariem. To sprawa między tobą a mną. Jesteśmy tym

wszystkim, co z niej pozostało! Wiesz doskonale, że wykorzystałaś moją chwilę słabości. Wykorzystałaś moją bezbronność i mój ból. Masz natychmiast wracać i podrzeć wszelkie dokumenty.

- A ty podrzesz czek za cenę zakupu?

Nastąpiło długie i kruche milczenie. Cilla zaś położyła się z powrotem i ziewnęła.

- Jesteś zimna i niewdzięczna.

Cieniutka powłoka łez na słowach była zbyt wykalkulowana. zbyt przewidywalna, by odnieść pożądaną skutek.

- Owszem, zgadza się.

- Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam, po tych wszystkich poświęceniach, które odrzuciłaś. A teraz, zamiast odpłacić mi za te lata, które ci oddałam, rzucasz mi pieniądze w twarz.

- Możesz tak na to patrzeć. Zatrzymam farmę. Tylko proszę, nie próbuj marnować mojego i swojego czasu, by przekonać którąkolwiek z nas, że to miejsce cokolwiek dla ciebie znaczy.

Jestem tu i widzę, jak ci na nim zależało.

- Była moją matką!

- Tak, a ty jesteś moją. To są krzyże, które musimy dźwigać.

Cilla usłyszała brzęk i wyobraziła sobie, jak kieliszek, w którym znajdował się ulubiony wieczorny trunek matki, Ketel One z lodem, roztrzaskuje się o ścianę. Po chwili znów rozległ się płacz.

- Jak możesz mówić mi coś tak strasznego!

Kładąc się na plecach, Cilla zasłoniła ramieniem oczy i czekała, aż ten napad rozpacz minie.

- Powinnaś iść do łóżka, mamó. Nie powinnaś dzwonić, kiedy pijesz.

- Jakby cię to obchodziło! Może zrobię to, co ona. Może skończę z tym wszystkim.

- Nie mów tak. Rano poczujesz się lepiej. - Może. - Prześpij się. Czeka cię występ.

- Wszyscy chcą, żebym była taka jak ona.

- Nie, nieprawda. - Głównie ty tego chcesz. - Idź się położyć, mamó.

- Mario. Chcę, żeby tu był Mario.

- Połóż się. Zajmę się tym. Przyjdzie do ciebie. Obiecuj mi, że się położysz.

- W porządku, w porządku. I tak nie mam ochoty z tobą rozmawiać.

Kiedy rozległ się trzask słuchawki, Cilla leżała jeszcze chwilę bez ruchu. Rozległ się sygnał, który oznaczał, że Dilly skończyła, poszła do łóżka albo po prostu położyła się na

pierwszej z brzegu płaszczyźnie i odpłynęła. Najgorsze jednak już minęło.

Cilla nacisnęła klawisz szybkiego wybierania i połączyła się z Numerem Piątym.

- Mario? - powiedziała, kiedy się odezwał. - Gdzie jesteś?

Wyjaśnienie sytuacji zabrało około minuty; potem przerwała połączenie, odgradzając się od zgryzoty Maria. Cilla nie miała wątpliwości, że popędził do domu i ofiarował Dilly współczucie, uwagę i pociechę, jakich potrzebowała.

Rozbudzona na dobre i poirytowana, wysunęła się ze śpiwora. Wzięła latarkę i skorzystała z łazienki, a potem zeszła na dół po butelkę świeżej wody. Zanim wróciła na górę, otworzyła drzwi wejściowe i stanęła na ocalałych resztkach werandy.

Zauważyła, że wszystkie migotliwe światełka już zgasły i że wzgórze są absolutnie i doskonale czarne. Choć zza chmur wyglądały rozrzucone po niebie gwiazdy, miała wrażenie, że zstąpiła do grobu. Ciemnego, milczącego i zimnego. Zdawało się, że góry zagłębiły się przed nocą w ziemi, a cisza była tak absolutna, że wydało jej się, iż dom za jej plecami oddycha.

- Przyjaciel czy wróg? - spytała głośno.

Wiedziała, że Mario pospieszy do domu w Bel Air, że będzie cicho przemawiał i głaskał, schlebiał i przymilał się, i w końcu zdoła wziąć ten ludzki wrak - swoją pijaną żonę w swe mocne (i młodsze) włoskie ramiona, by zanieść ją na górę do łóżka.

Dilly natomiast powie - jak często to robiła - że jest samotna, że zawsze była samotna. Cilli przyszło do głowy, że matka nie wie, co to oznacza. Nie знаła głębi tego doznania.

- Wiedziałaś? - zwróciła się z tym pytaniem do Janet. - Myślę, że wiedziałaś, co to znaczy być samotną. Być otoczoną ze wszystkich stron przez ludzi i jednocześnie czuć się całkowicie i żałośnie samotną. Hej, ja też wiem. I tak jest lepiej.

Lepiej - pomyślała Cilla. Lepiej być samej w cichą noc niż być samej w tłumie. O wiele lepiej.

Weszła z powrotem do środka i zamknęła za sobą drzwi. Poczowała westchnienie domu, który ją otaczał.

### ROZDZIAŁ 3

Ford spędził dwie pełne godziny na obserwowaniu Cilli przez lornetkę i szkicowaniu jej postaci pod różnymi kątami. Bądź co bądź nie tylko jej wygląd, ale i sposób, w jaki się poruszała, podsunął mu ten pomysł. Linie ciała, zaokrąglenia, kształty, barwa - każdy element postaci. Ale najważniejszy był ruch. To on stanowił klucz. Wdzięk i siła. Nic baletowego w żadnym razie. Raczej... wdzięk biegacza. Moc i celowość, nie zaś sztuka i płynność.

Wdzięk wojowniczy - pomyślał. Ruch, oszczędny i jednocześnie śmiertelnie niebezpieczny.

Żałował, że nie może zobaczyć jej z rozpuszczonymi włosami zamiast z warkoczem. Uważał też, że warto by się przyjrzeć jej ramionom... a także nogom. Do diabła, każda odsłonięta część jej ciała z pewnością nie zraniłaby jego uczuć.

Wyszukał jej nazwisko w Google i przestudiował parę zdjęć, ściągnął też kilka jej filmów, żeby je obejrzeć. Ale ostatni film, który nakręciła - *Też patrz!* - pochodził sprzed mniej więcej ośmiu lat.

Potrzebował kobiety, nie dziewczyny.

Miał już w głowie całą historię, która tkwiła tam i z wolna nabierała wyraźnych kształtów. Poprzedniego wieczoru oderwał się na dwie godziny od ostatniej książki o przygodach *Poszukiwacza*, żeby nakreślić zarys fabuły. Może i tego dnia zapomniał o pracy, ale chciał stworzyć kilka dokładnych wizerunków, a nie zamierzał tego robić bez dokładniejszych szkiców.

Problem polegał na tym, że jego modelka miała na sobie za dużo cholernego ubrania.

- Naprawdę chciałbym zobaczyć ją nagą - rzekł głośno.

Spock wydał z siebie pełne wyrozumiałości prychnięcie. - Nie w tym sensie. No cóż, w tym sensie także. Kto by nie chciał? Ale mnie chodzi o profesjonalizm.

Rozległy się powarkiwania i piski, kiedy Spock położył się na boku.

- Jestem profesjonalistą. Płacami i w ogóle, dzięki czemu mogę kupować ci jedzenie.

Spock chwycił zębami małego i sponiewieranego pluszowego misia, którym się bawił, i rzucił go na stopę Forda. Potem zaczął kręcić się zawzięcie w miejscu.

- Już to przerabialiśmy. Sam musisz go nakarmić. To twój obowiązek.

Ignorując psa, znów pomyślał o Cilli. Przyszło mu do głowy, że warto złożyć jej jeszcze jedną dobrosąsiedzką wizytę. Przekonać się, czy zdołałby ją namówić, żeby mu pozowała.

Wszedł do domu, gdzie spakował szkicownik, ołówki i egzemplarz *Poszukiwacza*:

*Niewidzialnego*, a następnie zaczął się zastanawiać, czy ma w domu coś, co mogłoby posłużyć za łapówkę.

Zdecydował się na butelkę caberneta, którą wsunął do torby, po czym ruszył w stronę domu po drugiej stronie drogi. Spock zostawił swojego misia i podążył za swoim panem.

Zobaczyła, jak się zbliża, kiedy wyrzucała do wynajętego kontenera kolejną porcję śmieci i gruzu. Wewnątrz domu zaczęła układać sterty drewna i stolarki, które zamierzała oszczędzić. Reszta? Musiała wylądować na wysypisku. Sentyment nic mógł w cudowny sposób odnowić spróchniałych desek.

Cilla opróżniła wiadro, po czym wsparła na biodrach dłonie w rękawiczkach. Czego znów chciał ten jej atrakcyjny sąsiad ze swoim osobliwie brzydkim psem?

Ogolił się, jak zauważyła. A więc ten niechlujny wygląd mógł być wynikiem lenistwa, a nie świadomego działania. Wolała lenistwo. Niósł przerzuconą przez ramię skórzaną torbę i zbliżając się, uniósł dłoń w przyjacielskim powitaniu.

Spock obwąchał kontener i z zadowoleniem podniósł nogę.

- Hej! Sporo zrobiłaś przez te dwa dni.

- Nie ma sensu marnować czasu.

Uśmiechnął się swobodnie.

- Marnowanie czasu też może mieć sens. - Zerknął na kontener. - Patroszysz dom?

- Niecały, choć miałam początkowo nadzieję, że będzie tego mniej do rozbiórki. Efekty zaniedbania niszczy się dłużej niż efekty staranności, ale też skutecznie załatwiają sprawę. Cześć, Spock.

Pies, słysząc swoje imię, podszedł do niej i podał łapę. Okej - pomyślała Cilla, kiedy się witali. Paskudny, ale czarujący.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Ford?

- Właśnie do tego zmierzam. Ale najpierw chcę ci coś dać.

Zaczął grzebać w swojej torbie i w końcu wyciągnął butelkę czerwonego wina.

- To miłe. Dzięki.

- I jeszcze to. - Wyjął książkę, powieść w formie komiksu. - Odrobina lektury i wina pod koniec dnia. Tym się właśnie zajmuję.

- Pijesz wino i czytasz komiksy?

- Owszem, ale chodziło mi o to, że je piszę.

- Ojciec mi mówił, więc to był sarkazm z mojej strony.

- Zorientowałem się. Znam sarkazm tak jak wiele innych języków. Zdarza ci się czytać takie książki?

Zabawny facet - pomyślała. Z zabawnym psem.

- Pochłonęłam mnóstwo Batmanów, kiedy szukali dziewczyny do wersji z Clooneyem. Przegrałam z Alicią Silverstone.

- I bardzo dobrze, jeśli przypomnisz sobie, co wyszło z tego filmu.

Cilla uniosła brew.

- Pozwól, że powtórzę. George Clooney. Rozumiesz?

Ford tylko potrząsnął głową.

- Prawdziwym Batmanem był Michael Keaton. Wszystko sprowadza się do tego szaleństwa w oczach. Nie mówiąc już o tym, że po filmach z Keatonem zatracili poczucie operetkowości. I nie wspominaj mi o Valu Kilmerze.

- Okej. Tak czy inaczej przygotowywałam się do przesłuchań, oglądając poprzednie filmy - owszem, Keaton był cudowny - i czytając niektóre z komiksów, żeby wkuć mitologię. Pewnie przesadziłam i dlatego odpadłam. - Zbyła wzruszeniem ramion ten cios, jaki spotkał ją w wieku szesnastu lat. - Nie tylko piszesz, ale i sam rysujesz?

- Tak.

Przyglądał się jej, kiedy ona przyglądała się okładce. Te usta - pomyślał - kształt brody. Palce go świerzbiły, by sięgnąć po szkicownik i ołówki.

- Mam swoje terytorium i strzegę go zazdrośnie. Nikt nie potrafi robić tego tak jak ja, więc nikt nie ma szansy mi dorównać.

Kiedy mówił, wertowała książkę.

- Dużo tego. Zawsze myślałam, że komiks to dwadzieścia stron jasnych kolorów i bohaterów, którym ciągle towarzyszą odgłosy w rodzaju BUM! czy ŁUP! To, co tworzysz, jest mocne i wyraziste, z mnóstwem mrocznych elementów.

- Poszukiwacz ma mnóstwo mrocznych elementów. Właśnie kończę kolejną część cyklu. Powinienem uporać się z tym w ciągu kilku dni. Byłoby gotowe już dzisiaj, gdybyś nie zaprzętnęła mojej uwagi.

Poczuła, jak butelka wina, trzymana w zagłębieniu ramienia, waży odrobinę więcej.

- Jakim cudem?

- Chodzi o to, jak wyglądasz, jak się ruszasz. Nie mam tu na myśli aspektu osobistego.

- Jego spojrzenie zsunęło się niżej. - Na razie - ocenił. - To wyłącznie podejście profesjonalne.

Próbuję stworzyć nowego bohatera, główną postać kolejnej serii, prócz Poszukiwacza. Kobieta - kobieca siła. wrażliwość, poglądy, problemy. I dwoistość... nietypowa w dzisiejszych czasach - oznajmił. - Jesteś moją kobietą.

- Słucham?

- Doktor Cass Murphy, archeolog, profesor w tej dziedzinie.

Chłodna, opanowana, samotna kobieta, która całe serce wkłada w swoją pracę w terenie. Wspaniałe odkrycia. Wyjątkowy talent.

Nikt nie jest w stanie zbliżyć się do Cass. Wcielenie profesjonalizmu i trzeźwości. Tak została wychowana. Pełna zahamowań emocjonalnych.

- Mam zahamowania emocjonalne?

- Nie wiem, jak ty, ale ona tak. Zobacz. - Wyjął swój szkicownik i przewrócił kartkę.

Przekręciwszy głowę, Cilla studiowała z uwagą rysunek, wpatrując się w konserwatywny strój, rozsądne czółenka i okulary.

- Wygląda nudno.

- Bo chce tak wyglądać. Nie chce być zauważana. Gdyby ludzie ją zauważali, mogliby stawiać jej na drodze, zmusić ją, by czuła to, czego nie chce czuć. Nawet podczas wykopalisk... Widzisz?

- Hm. Nie jest tu nudna, ale skuteczna i praktyczna. Może odrobinę sexy, biorąc pod uwagę męski krój koszuli i spodni. W ten sposób sprawia wrażenie bardziej odprężonej.

- Właśnie. Masz niezłe oko.

- Niejeden raz miałam do czynienia ze schematem kadrów.

Nie znam się za bardzo na twojej dziedzinie, ale jakoś nie widzę szczególnej akcji, jeśli chodzi o tę bohaterkę.

- Och, Cass ma w sobie liczne warstwy - zapewnił. - Musimy tylko je odkryć, tak jak ona odkrywa artefakty podczas wykopalisk.

I tak jak odkryje starożytną broń i symbol władzy, kiedy zostanie uwięziona w jaskini na mitycznej wyspie, którą muszę stworzyć, ale najpierw ujawni tchórzliwe plany finansującego przedsięwzięcie miliardera, który jest także złym czarnoksiężnikiem.

- No jasne.

- Muszę jeszcze nad tym popracować, ale spójrz na nią. To Brid, wojownicza bogini - Rany!

Rzeczywiście, przekraczało to jej najśmielsze oczekiwania. Skóra, długie nogi, plastron i mocne piersi. To, co było wcześniej nudne i praktyczne, zamieniło się w śmiałe, niebezpieczne i sexy. Stała wyprostowana, w butach wysokich do kolan, burza kręconych włosów i wzniesiony ku niebu dwustronny młot o krótkim uchwycie.

- Chyba przesadziłeś z rozmiarem stanika - skomentowała.

- No... och, trudno powiedzieć. Poza tym kształt napierśnika podnosi biust. I tu

dochodzimy do tego. co możesz dla mnie zrobić. Pozować. Mogę się opierać na szkicach, ale poszłoby mi lepiej, gdyby...

- Coś takiego! - Trzepnęła go po dłoni, kiedy doszedł do strony pokrytej jej niewielkimi podobiznami. - To nie są rysunki przedstawiające bohaterkę. To ja.

- No, owszem, ale to jedno i to samo, zasadniczo.

- Siedziałeś tam na werandzie i obserwowałeś mnie tutaj, rysując mnie bez mojej zgody? Nie uważasz, że to niegrzeczne i wścibskie?

- Nie, to moja praca. Gdybym się tu podkładał i zaglądał w okna, byłoby to niegrzeczne i wścibskie. Poruszasz się jak lekkoatletka i masz w sobie odrobinę tancerki. Nawet kiedy stoisz nieruchomo, masz w sobie charakter. O to mi właśnie chodzi. Nie potrzebuję specjalnej zgody, by wzorować swoją bohaterkę na twojej fizyczności, ale poszłoby mi lepiej, gdybym zapewnił sobie współpracę modelki.

Odsunęła jego dłoń, żeby odwrócić z powrotem kartkę, na której widniała wojownicza bogini.

- To moja twarz.

- I to wspaniała.

- A jeśli powiem ci, że zamierzam zadzwonić do swojego adwokata?

Spock, usadowiony u stóp Forda, mruknął coś.

- Byłoby to krótkowzroczne i bezwzględne. Twój wybór. Nie wydaje mi się, byś coś wskórała, ale żeby oszczędzić sobie kłopotów, mogę dokonać kilku zmian. Szersze usta, dłuższy nos.

Zrobię z niej rudowłosą - to nie jest zły pomysł. Ostrzejsze kości policzkowe. Przekonajmy się.

Wygrzebał z torby ołówek, przewrócił kilka kartek, szukając czystej. Podczas gdy Cilla przyglądała się, nakreślał szybkimi ruchami dłoni surowy szkic.

- Zachowam oczy - mruknął, nie przerywając pracy. - Masz oczy zabójczym. Poszerzyć usta, powiększyć o włos dolną wargę, wyostrzyć krawędzie kości policzkowych, wydłużyć nos.

Twarz nieco toporna, ale też doskonała.

- Jeśli myślisz, że zdołasz mnie namówić na...

- Ale twoją wolę bardziej. Daj spokój, Cilla. Kto nie chce być superbohaterem? Obiecuję, że Brid skopie więcej tyłków niż Batgirl.

Nie znosiła czuć się głupio i nie lubiła ulegać emocjom.

- Idź już. Czeka mnie mnóstwo roboty.



- Mam rozumieć, że odmawiasz pozwania.

- Masz rozumieć, że jeśli się stąd nie wyniesiesz, to przyniosę swój własny magiczny młot i rozwalę ci głowę.

Jej dłonie zacisnęły się w pięści, kiedy spojrzał na nią z uśmiechem.

- Ujawnia się w tobie duch wojowniczkki. Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie - powiedział, chowając szpicownik do torby. - Do zobaczenia.

Potem wsunął sobie ołówek za ucho i ruszył w stronę bramy ze swoim małym brzydkim psem.

Gotowała się w środku. Praca fizyczna pomagała zapanować nad nerwami, ale stłumienie złości wymagało czasu. Takiego już miała pecha, cholernego pecha, że mogła przeprowadzić się na jakieś pustkowie i trafić na wścibskiego, nachalnego i nietaktownego sąsiada, który nie miał żadnego szacunku dla nietykalności i prywatności.

Jej nietykalności. Jej prywatności.

Wszystko, czego chciała, to robić to, co chciała, kiedy chciała i na swój własny sposób - głównie swoimi rękami. Pragnęła coś tu zbudować, urządzić sobie życie, stworzyć dom. Na własnych warunkach.

Nie przejmowała się trudami i znojem ciężkiej fizycznej pracy. Na dobrą sprawę traktowała je jak powód do chwały, bez względu na pęcherze i odciski.

Niech ją diabli, jeśli miałyby pozwolić, by każdy jej krok i ruch był utrwalany przez jakiegoś artystę z ołówkiem.

- Wojownicza bogini - mruzczała do siebie, czyszcząc zapchane i oberwane rynny. - Rude włosy, wargi z kolagenu i stanik rozmiar D. Typowe.

Zeszła z drabiny, a ponieważ rynny stanowiły ostatnią robotę tego dnia, położyła się na ziemi.

Bolały ją wszystkie kości.

Miała ochotę zanurzyć się w jacuzzi, a potem zafundować sobie godzinny masaż. Na koniec uraczyć się dwoma kieliszkami wina i uprawiać seks z Orlandem Bloomem. Może poczułaby się wreszcie jak człowiek.

Ponieważ jedynym dostępnym rekwizytem na tej liście życzeń było wino, zdecydowała, że się napije. Kiedy już będzie miała siłę wstać.

Uświadomiła sobie z westchnieniem, że złość już z niej wyparowała, i teraz, kiedy mogła myśleć jasno i czuła zmęczenie, zrozumiała swoją reakcję na rysunki Forda.

Dziesięcioletnia terapia nie poszła na marne.

Jęknęła i podniosła się z ziemi. Weszła do domu napić się wina.

Podczas gdy Spock i jego miś chrapali majestatycznie, Ford poprawiał atramentem ostatni rysunek. Chociaż wersja końcowa miała być w kolorze, zawsze traktował malowanie atramentem jako finalną czynność. Zdażył już uporać się z ramami obrazka i naszkicować elementy tła. Dokończył pierwszy plan, po czym cofnął się o krok; mrużył oczy, przyglądał się uważnie, aprobował. Kolejny raz Poszukiwacz, przygarbiwszy ramiona, ze wzrokiem wbitym w ziemię, obrócony połową twarzy, przemykał ku cieniom, które go prześladowały.

Biedny frajer.

Ford oczyścił stalówkę, którą się posługiwał, i umieścił ją w odpowiedniej przegródce stołu roboczego. Następnie wybrał pędzelek, zanurzył w tuszu i zaczął śmiałymi ruchami nakładać strefy cienia. Płukał co chwila włosie. Proces wymagał czasu, cierpliwości i pewnej ręki. Wyobrażając sobie te duże przestrzenie czerni na ostatnim posępnym rysunku, wypełniał je tylko częściowo, wiedząc, że zbyt gruba warstwa tuszu może wypaczyć kartkę.

Kiedy pracę przerwało mu donośne pukanie do drzwi na dole - i pełen przerażenia szczek Spocka - zareagował tak jak zawsze, gdy ktoś mu przeszkadzał. Sklął tego osobnika. Gdy już wyczerpał repertuar, wypowiedział pod nosem kilka mrukliwych słów - rytualną litanię. Ponownie opłukał pędzelek w wodzie i zszedł z nim na dół, żeby otworzyć.

Irytacja przerodziła się w ciekawość, gdy zobaczył przez szybki w drzwiach Cillę z butelką wina.

- Wszystko w porządku, Spock - powiedział, chcąc uciszyć wściekłego ujadającego psa, który trząsał się ze złości u szczytu schodów.

Podszedł do drzwi i otworzył je.

- Nie lubisz czerwonego wina? - spytał.

- Nie mam korkociągu.

Tym razem pies powitał ją kilkoma radosnymi skokami i entuzjastycznym ocieraniem się o jej nogi.

- Ja też się cieszę, że cię widzę - zwróciła się do czworonoga Cilla.

- Ulżyło mu, że nie jesteś wrogą siłą z jego rodzimej planety.

- Mnie także.

Ford uśmiechnął się, słysząc jej odpowiedź.

- Och, wejdz. Poszukam korkociągu. - Zrobił kilka kroków w stronę przedpokoju, przystanął i odwrócił się. - Chcesz go tylko pożyczyć czy chcesz, żebyśmy otworzyli butelkę i żebyśmy napili się razem?

- Może sam ją otworzysz?

- Więc lepiej idź na tyły domu. Muszę najpierw umyć pędzel.

- Pracujesz. Może jednak zabiorę ten korkociąg i pójdę sobie.

- Kto daje i odbiera... Praca może poczekać. A w ogóle która godzina?

Zauważyła, że nie nosi zegarka, potem spojrzała na swój.

- Około wpół do ósmej.

- Praca może zdecydowanie poczekać, ale nie pędzel. Mydło, woda, korkociąg i kieliszki są dla wygody zlokalizowane w kuchni.

Ujął ją odruchowo za ramię, ale jego uścisk był na tyle mocny, by mógł zaprowadzić ją tam, gdzie chciał.

- Podoba mi się twój dom.

- Mnie także. - Poprowadził ją szerokim korytarzem o wysokim suficie z kremową sztukaterią. - Kupiłem go z grubsza w takim stanie, w jakim się znajduje. Poprzedni właściciele starali się, więc musiałem tylko wstawić meble.

- Co cię w nim zainteresowało? Zwykle jest jedna albo dwie rzeczy, które działają na nabywcę. - Kiedy weszli do wielkiej kuchni z szerokim granitowym barem, otwierającym się na pokój rodzinny, dodała: - O, coś dla mnie.

- Prawdę powiedziawszy, spodobał mi się widok z góry.

I światło. Pracuję na piętrze, więc to było najważniejsze.

Wysunął szufladę i bez trudu odnalazł korkociąg, z czego wywnioskowała, że jest dobrze zorganizowany. Położył go na blacie i podszedł do zlewu, by umyć pędzel.

Spock odstawił coś, co przypominało taniec z podskokami i stepowanie pazurami, po czym wypadł na dwór.

- Dokąd tak pędzi?

- Jestem w kuchni, a fakt ten uruchamia w jego mózgu sygnał posiłku. To był jego taniec radości.

- Naprawdę?

- Tak, to gość, który nie ma wielkich wymagań. Jedzenie go uszczęśliwia. Ma w pralni podajnik z żarciem i uchylną klapę, przez którą może tam wchodzić. W każdym razie rzadko korzystam z kuchni, tak jak z części jadalnej, którą tam urządzili, ponieważ nie tyle biesiaduję, ile się odżywiam. Zasadniczo nie mam wielkich wymagań, ale lubię mieć dużą przestrzeń.

Umieścił wymyty pędzel w szklance.

- Siadaj - poprosił, biorąc do ręki korkociąg.

Usiadła przy barze, podziwiając podwójny piekarnik z nierdzewnej stali, wiśniowe szafki, piecyk z sześcioma palnikami i grillem pod lśniącem stalowym okapem. A także -

ponieważ nie oślepla od zmęczenia po ciężkiej pracy - tyłek Forda.

Wyjął z szafki o drzwiczkach z ciętego szkła dwa kieliszki do czerwonego wina i napełnił je. Podszedł do baru, podał jej jeden i, podnosząc swój, nachylił się nad kontuarem w jej stronę.

- A więc?

- A więc... będziemy najprawdopodobniej mieszkać naprzeciwko siebie przez jakiś czas. Lepiej załagodzić sytuację.

- Czemu nie.

- To pochlebne, że jestem postrzegana jako mityczna bogini - zaczęła. - Dziwne, ale pochlebne, mogłabym nawet czerpać z tego frajdę, wiesz, Xena w połączeniu z Wonder Woman, styl dwudziestego pierwszego wieku.

- Dobrze, ale nie do końca.

- Nie podoba mi się, że mnie obserwujesz albo rysujesz, kiedy nie jestem tego świadoma. To dla mnie problem.

- Ponieważ traktujesz to jako naruszenie prywatności. A dla mnie to tylko naturalna obserwacja.

Pociągnęła łyk.

- Przez całe życie ludzie mnie obserwowali, robili mi zdjęcia. Właśnie, obserwowali. Spacer, zakupy w sklepie z obuwiami, lody, wszystko nadawało się na zdjęcie. Może było to zaplanowane, ale nie miałam nad tym żadnej kontroli. Choć nie siedzę już w tym biznesie, wciąż jestem wnuczką Janet Hardy, więc coś takiego zdarza się od czasu do czasu.

- I nie bardzo ci się to podoba.

- Nie tylko. Skończyłam z tym raz na zawsze. Nie chcę ściągać tutaj tego hollywoodzkiego produktu ubocznego.

- Mogę zmienić twarz, ale oczy muszę zachować.

Znów łyknęła.

- I to jest dla mnie kłopotliwe. Nie chcę, żebyś posłużył się inną twarzą. Czuję się głupio, ale podoba mi się pomysł, że będę inspiracją dla bohaterki komiksu. Nigdy nie przypuszczałam, że powiem coś takiego.

Ford na podobieństwo swojego psa też odstawił pełen radości taniec, tyle że w duchu.

- A więc nie chodzi o rezultaty, tylko o sam proces. Chcesz coś zjeść? Bo ja tak.

Odwrócił się, otworzył szafkę i wyjął paczkę doritos.

- To nie jest jedzenie.

- Dlatego jest dobre. Przez całe życie obserwowałam ludzi - ciągnął, grzebiąc w torbie.

- I rysowałem. Prawdę mówiąc, robię to od chwili, gdy potrafiłem utrzymać w palcach kredkę. Obserwowałem, jak ludzie się ruszają, jak gestykują, jak ich twarze i ciała współgrają ze sobą. Jak się zachowują. To jest jak oddychanie.

Coś, co muszę zrobić. Mógłbym obiecać, że nie będę ci się więcej przyglądał, ale to byłoby kłamstwo. Mogę obiecać, że pokażę ci każdy rysunek, jaki wykonam, i spróbuję dotrzymać słowa. Sięgnęła po chipsa.

- A jeśli mi się nie spodoba?

- Spodoba, jeśli masz dobry gust, ale jeśli nie, będzie kiepsko.

Zastanawiając się, zjadła jeszcze jednego chipsa. Zauważyła, że jego głos jest wciąż swobodny, ale wyczuwała w nim stalową nutę.

- Jasno stawiasz sprawę.

- Nie jestem, jak byś to powiedziała, elastyczny, jeśli chodzi o moją pracę. Co do reszty bywa różnie.

- Znam to. Co się dzieje, kiedy rysunki są już gotowe?

- Trzeba mieć jakąś historię. Ilustracje to dopiero połowa takiej książki. Ale musisz... weź swoje wino i chodź ze mną na górę.

Wyjął ze szklanki pędzelek.

- Właśnie kryłem tuszem ostatni panel *Rewanżu*, kiedy zapukałaś - wyjaśnił, wyprowadzając ją z kuchni i zmierając w stronę schodów.

- Te stopnie są oryginalne?

- Nie wiem. - Popatrzył na schody ze zmarszczonym czołem. - Może. Dlaczego pytasz?

- Piękna robota. Paliki, poręcz, wykończenie. Ktoś bardzo dbał o ten dom. Wygląda zupełnie inaczej niż mój.

- No cóż, teraz ty o niego dbasz. I zatrudniłaś Matta do stolarki. To mój kumpel. Wiem, że pracował tutaj, zanim to kupiłem. Dla mnie też robił tu potem to i owo.

Skierował się do swojej pracowni. Cilla zobaczyła wspaniałą podłogę o szerokich deskach z orzecha, piękne wysokie okna i ich szerokie, błyszczące obramowanie. - Jaki piękny pokój!

- Duży. Został zaprojektowany jako główna sypialnia, ale nie potrzebuję takiej przestrzeni, żeby spać.

Cilla znów dostroiła się do niego i skupiła uwagę na różnych stanowiskach pracy w tym pomieszczeniu. Pod jedną ścianą stało pięć dużych i brzydkich szafek na dokumenty. Na drugiej wisiały półki zawalone, bez ładu i składu na pierwszy rzut oka, materiałami i

narzędziami. Część pokoju przeznaczona była na modele postaci i akcesoria. Rozpoznała kilku znajomych i zaczęła się zastanawiać, dlaczego Darth Vader i Superman wydają jej się tacy bliscy.

Na środku stała wielka rysownica, a na niej, jak się domyśliła, panele, o których wcześniej wspomniał. Po obu stronach warsztatu znajdowały się tacki i przegródki z różnymi narzędziami, ołówkami, pędzlami, ryzami papieru. Fotografie, szkice, zdjęcia wyrwane albo wycięte z magazynów i przedstawiające ludzi, miejsca, budynki. Na jeszcze jednej podpórcie przy rysownicy znajdował się komputer, drukarka, skaner. Naprzeciwko stało wysokie lustro.

- Mnóstwo sprzętu.

- Tyle potrzeba. Żeby stworzyć jedną książkę, o czym powinnaś wiedzieć, wykonuję masę rysunków, zatrudniam modeli, ubieram ich w kostiumy, robię próby z tłem, z pierwszym planem, scenerią - jednocześnie piszę scenariusz, dzielę go na panele. Potem tworzę zwięzły szkic - małe, pospieszne rysunki, żeby się zorientować, jak podzielić przestrzeń, jak wszystko skomponować. Następnie umieszczam rysunki na panelach. Wreszcie tuszuję, co wygląda tak, jak brzmi.

Podeszła do rysownicy.

- Czerń i biel, światło i cień. Książka, którą mi dałeś, była kolorowa.

- Ta też taka będzie. Kiedyś nanosiłem kolor ręcznie. Sprawia dużo frajdy - wyjaśnił. - I zabiera mnóstwo czasu. I jeśli chce się wydać książkę za granicą, a ja tak robiłem, trudno zmieniać rysowane ręcznie dymki, żeby mogły pomieścić tłumaczenie. Więc robię to cyfrowo. Skanuję pokryte tuszem panele i koloruję za pomocą Photoshopu.

- Ta rzecz jest cholernie dobra - oznajmiła Cilla. - Opowiada historię niemal bez tekstu. Przemawia obrazem.

Ford odczekał chwilę.

- Czekam na to.

Zerknęła na niego przez ramię.

- Na co?

- Żebyś spytała, dlaczego marnuje talent na komiksy zamiast poświęcić się autentycznej karierze artystycznej.

- I będziesz długo czekał. Nie dostrzegam żadnego marnotrawstwa, kiedy ktoś robi to, co chce, i jest w tym doskonały.

- Wiedziałem, że cię polubię.

- Nie mówiąc już o tym, że rozmawiasz z kimś, kto grał przez osiem sezonów w półgodzinnych sitkomach. Nie był to może Ibsen, ale autentyzmu nie brakowało. Ludzie

rozpoznają mnie w twojej książce. Moja popularność nieco przygasła, ale jestem podobna do babki, a ludzie wciąż ją pamiętają. Zawsze ją będą pamiętać. Zorientują się, o kogo chodzi.

- To dla ciebie problem?

- Na razie nie wiem.

- Masz dwa dni, żeby to rozważyć. Albo... - Przesunął się, wysunął jedną z szuflad, wyciągnął jakieś papiery.

- Sporządziłeś umowę? - zauważyła Cilla, zerknąwszy na dokumenty.

- Pomyślałem sobie, że albo przyjdiesz, albo nie. I że gdybyś przyszła, moglibyśmy od razu mieć to z głowy.

Zbliżyła się do okna. Światła znowu migoczą - pomyślała. Błyski małych diamentów w ciemności. Obserwowała je. I psa, który gonił za cieniami na podwórku Forda. Łyknęła wina. Potem spojrzała na niego przez ramię.

- Nie będę pozowała w plastronie na piersiach.

Jego oczy błysnęły wesoło, jeszcze zanim się uśmiechnął.

- Jakoś sobie z tym poradzę.

- Żadnej golizny.

- Tylko do mojej prywatnej kolekcji.

Parsknęła śmiechem.

- Masz pióro?

- Kilkaset.

Wybrał standardowy długopis.

- Jeszcze jeden warunek - powiedziała, podchodząc do niego. - Osobiste i drobne żądanie. Chcę, żeby moja bohaterka skopała więcej tyłków niż Batgirl.

- Załatwione.

Kiedy podpisała trzy kopie, wręczył jej jedną.

- Do twojej dokumentacji. Może napijemy się jeszcze tego wina, zamówimy pizzę i uczcimy interes?

Zawahała się. To nie on naruszył jej prywatną przestrzeń, tylko ona jego. Ale poczuła drgnienie krwi, które nakazało jej zachować dystans.

- Nie, dzięki. Masz jeszcze robotę, tak jak ja.

- Noc jeszcze wczesna. - Wyszli z pokoju. - A do jutra daleko.

- Nie taka wczesna, a do jutra nigdy nie jest dość daleko.

Poza tym potrzebuję trochę więcej czasu, żeby pofantazjować o zainstalowaniu jacuzzi.

- Mam je u siebie.

Spojrzała na niego, kiedy schodzili na dół.

- Nie sądzę, byś miał również pod ręką masażystę.

- Nie, ale mam naprawdę wprawne dłonie.

- Jestem pewna. No cóż, gdybyś był Orlandem Bloomem, uznałabym to za znak od Boga i poszła z tobą do łóżka za jakieś półtorej godziny. Ale ponieważ nim nie jesteś - dodała, otwierając sobie drzwi wejściowe - powiem tylko dobranoc.

Stał, przyglądając jej się ze zdziwieniem, a potem wyszedł na werandę, podczas gdy ona skierowała się w stronę drogi.

- Orlando Bloom?

Podniosła po prostu rękę i machnęła mu na pożegnanie, nie zatrzymując się.



## ROZDZIAŁ 4

Miała za sobą dwa dobre i produktywne dni. Umówiła się z hydraulikiem, elektrykiem i stolarzem, dysponowała też trzema wstępnymi kosztorysami dotyczącymi wymiany okien. Ale uważała, że najbardziej poszczęściło jej się w przypadku wiekowego człowieczka imieniem Dobby i jego energicznego wnuka Jacka, którzy mieli ocalić i odnowić oryginalny tynk na ścianach.

- Stary McGowan zatrudnił moją tatę do tych ścian gdzieś około tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego - powiedział Dobby, kiedy stał na swoich krótkich, pałkowatych nogach w salonie Małej Farmy. - Miałem jakieś sześć lat i przyszedłem tu razem z nim, żeby pomagać przy mieszaniu zaprawy. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego domu.

- Wykonaliście dobrą robotę.

- Czerpał z tego dumę, nauczył mnie fachu. A pani Hardy zatrudniła mnie do spoinowania i tynkowania, kiedy robiła przebudowę. To było chyba w sześćdziesiątym piątym, jak mi się zdaje.

Twarz Dobby'ego przypominała Cilli kawałek cienkiego brązowego papieru, który zwinięto w ścisły rulon, a potem byle jak wygładzono. Zmarszczki pogłębiały się niczym doliny, kiedy się uśmiechał.

- Nigdy też nie widziałem nikogo takiego jak ona. Wyglądała jak anioł. I była miła, nie puszyła się, jak można by oczekiwać po gwiazdce filmowej. Podpisała też jeden ze swoich albumów i dała mi, kiedy zdobyłem się na odwagę i ją o to poprosiłem. Żona nie pozwalała mi go potem puszczać. Kazała go oprawić i powiesiła na ścianie, a do słuchania kupiła nowy. Wciąż wisi w salonie.

- Cieszę się, że pana znalazłam. Podtrzymujemy tradycję.

- Nie było trudno mnie znaleźć, jak mi się zdaje. Mnóstwo ludzi za czasów pani Hardy, i z jej pieniędzmi, zdecydowałoby się na płyty kartonowo - gipsowe. - Obrócił głębooko brązowe oczy na Cillę. - Większość zrobiłaby tak teraz zamiast zachować tynk.

- Nie mogę zachować wszystkiego, panie Dobby. Coś trzeba będzie zmienić, a coś po prostu usunąć. Ale zamierzam pozostawić, co tylko się da. - Przesunęła palcem po długiej szczelinie, która widniała na ścianie salonu. - Myślę, że dom zasługuje na szacunek z mojej strony.

- Szacunek. - Skinął głową, bez wątplenia zadowolony. - Tak należy na to patrzeć. Dobrze, że znów mieszka tu ktoś z McGowanów, i to ze strony pani Hardy. Razem z wnukiem odwalimy dla pani dobrą robotę.

- Jestem pewna, że tak będzie.

Uścisnęli sobie dłonie, w miejscu, gdzie być może jego ojciec ścisnął dłoń jej pradziadka. I gdzie Janet Hardy podpisała album, który miał być oprawiony.

Spędziła kilka godzin poza domem, u miejscowego specjalisty od szafek kuchennych. Szacunek był ważny, ale stare metalowe szafki nie mogły zostać. Planowała oszlifować kilka, pomalować na nowo i wykorzystać w pomieszczeniu, które projektowała, a które miało spełniać funkcję pralni i jednocześnie schowka.

Kiedy wróciła do domu, znalazła pod drzwiami wejściowymi butelkę caberneta z idiotycznym korkiem w kształcie głowy jakiegoś kosmity, świecącej w ciemności, a także leżący obok korkociąg. Na karteczce pod butelką było napisane:

*Przepraszam, że nie dostarczyłem Ci tego wcześniej, ale Spock przykuł mnie do rysownicy. Zwiął ostatnio, a Ciebie nie było w domu. Można wypić to egoistycznie w pojedynkę albo zaprosić spragnionego sąsiada w któryś wieczór. Ford.*

Rozbawiona, zastanawiała się, czy tego nie zrobić - w któryś wieczór. Zerknąwszy przez ramię, poczuła cień rozczarowania, kiedy zobaczyła, że nie stoi na jego werandzie. Ale za chwilę przyszła refleksja, czy nie było zbyt pochopne częstowanie się winem z gorącymi facetami, którzy mieszkali po drugiej stronie drogi.

Kiedy się nad tym zastanawiała, kiedy rozmyślała o tym mężczyźnie, przypomniła sobie jego pracownię - jej przestrzeń, światło. Czy nie byłoby dobrze mieć tak duże pomieszczenie, tak dobrze oświetlone, i urządzić w nim gabinet? Jeśli zamierzała nadal zajmować się remontami i przebudową domów, przydałoby się jej atrakcyjne i praktyczne miejsce do pracy.

Sypialnia na piętrze, którą zamierzała przeznaczyć na ten cel, z pewnością by się świetnie nadawała. Gdy jednak wyobraziła sobie pracownię Forda, odstawiając wino na blat starej kuchennej szafki (którą zamierzała nazajutrz rozwalić), planowany gabinet wydał jej się mały, ciasny i niezbyt praktyczny.

Mogła usunąć ścianę między drugą i trzecią sypialnią - jak przypuszczała. Ale nie uzyskałaby odpowiedniego światła, wyglądu, o jaki jej chodziło.

Krążąc po parterze, zmieniała w myślach układ wnętrza, projektowała, rozważała. Można by to zrobić - przyszło jej do głowy, ale nie chciała mieć gabinetu na dole, na głównej kondygnacji domu. Nie chciała mieszkać w pracy, by się tak wyrazić. Nie na dłuższą metę. Poza tym, gdyby wcześniej nie widziała fantastycznej pracowni Forda, byłaby całkowicie zadowolona z przerobionej odpowiednio sypialni.

A później, gdyby interes się rozkręcił, mogłaby dobudować pasaż od południowej

strony, następnie zaś...

- Zaraz, chwileczkę.

Wbiegła szybko na schody i ruszyła korytarzem w stronę drzwi prowadzących na strych. Zaprotestowały jękliwie, kiedy je otworzyła, ale pojedyncza, nieosłonięta żarówka u szczytu wąskich i stromych schodów zamrugała posłusznie po naciśnięciu kontaktu.

Wystarczyło jedno spojrzenie na zakurzone stopnie, by Cilla wycofała się po notatnik i latarkę, tak na wszelki wypadek. „Uporządkować strych. Zainstalować nowe światło”. Weszła na górę i pociągnęła łańcuszek przy pierwszej żarówce.

- O tak. To rozumiem.

Było to długie i szerokie pomieszczenie o spadzistym dachu, pełne kłopotów i pajęczyn. I w jej przekonaniu kryły się tu ogromne możliwości. Choć strych zajmował na jej liście najniższe miejsce, jeśli chodzi o sprzątanie i przebudowę, w głowie zaświeciło jej się światelko.

Przestrzeń była ogromna, odsłonięte belki sufitowe znajdowały się dostatecznie wysoko, by można się wyprostować spokojnie, pułap zniżał się dopiero po bokach. W tej chwili znajdowały się tu dwa małe okna na obu końcach, ale można było to zmienić. Wiedziała, że tak się stanie.

Pudła, skrzynie, porysowana komoda, stare meble, równie stare lampy stojące o pozółkłych abażurach - wszystko to pokrywała warstwa kurzu. Brudne duchy przeszłości. Na starej półce tłoczyły się książki, pełne prawdopodobnie rybików, i stare płyty, spaczony zapewne po dziesięcioleciach letniego upału.

Zajrzała tu wcześniej, rzuciła na to okiem, po czym przesunęła uporządkowanie strychu na bliżej nieokreślony termin.

Ale teraz...

Przejrzeć te rupiecie - myślała, pisząc szybko w notatniku. Oddzielić ziarno od plew. Posprzątać. Doprowadzić do porządku schody i korytarz. Powiększyć otwory okienne. Wyjście na zewnątrz - co oznaczało zewnętrzne schody, może z drzwiami w stylu atrium. Zaizolować, oszlifować i uszczelnić belki, nie zakrywać ich. Elektryka, ogrzewanie i klimatyzacja. Także hydraulika, ponieważ było tu dość miejsca na małą łazienkę. Może założyć też świetliki.

O rany! Jej budżet wzrósłby o tonę.

Ale czyż nie byłoby to wspaniałe?

Siedząc po turecku na zakurzonej podłodze, spędziła szczęśliwą godzinę, nakreślając różne opcje i pomysły.

Ile z tych rupieci należało do jej pradziadka? Czy on sam albo jego córka lub syn naprawdę korzystali z tego starego białego dzbana i miski do zmywania naczyń? Albo bujali niespokojne dziecko na tym rozklekotanym koniu na biegunach?

Kto czytał te książki, słuchał muzyki, taszczył pudła, w których odkryła lampki na choinkę i grube, staromodne bombki?

Wyrzucić, oddać za darmo czy zachować - zastanawiała się. Uznała, że trzeba to wszystko posortować. W kolejnych pudłach znalazła jeszcze więcej gwiazdkowych ozdób, kawałki materiału, które ktoś przechowywał, żeby coś uszyć, jak przypuszczała. Znalazła też trzy stare tostery z postrzępionymi drutami, które zapewne poobgryzały myszy, połamane lampy porcelanowe, obłupane filiżanki. Ludzie trzymali na strychach najdziwniejsze rzeczy.

Odkrywszy cztery pułapki na myszy, na szczęście puste, pomyślała o stadach gryzoni w swoim domu. Zaciekawiona, kucnęła, by wyjąć z półki kilka książek. Nie przejmowała się kurzem; i tak już była brudna. Może udałoby się ocalić niektóre egzemplarze.

Kto czytał Zane Grey? - zastanawiała się. Komu podobał się Frank Yerby i Maria Stewart? Ułożyła książki w równy stos i sięgnęła po inne. Steinbeck i Edgar Rice Burroughs, Dashiell Hammett i Laura Ingalls Wilder.

Zaczęła wyciągać egzemplarz *Wielkiego Gatsbyego* i poczuła, jak jej palce wgniatają okładkę. Obawiając się, że strony w środku mogą być zniszczone, otworzyła ostrożnie książkę. Wewnątrz, w zagłębieniu wokół nierównych krawędzi wyciętych kartek, spoczywał pokaźny plik listów przewiązanych spłowiałą czerwoną wstążką.

- Trudy Hamilton - przeczytała Cilla. - O mój Boże!

Siedziała z otwartą książką na kolanach, złączywszy dłonie jak do modlitwy, dotykając opuszkami palców warg. Listy do jej babki, wysłane na imię i nazwisko, którymi Janet nie posługiwała się od dzieciństwa.

U góry pierwszej koperty widniał adres pocztowy w Malibu. A stempel...

Cilla wyjęła z czcigi listy i podniosła do światła.

„Front Royal, Wirginia, styczeń 1972”. Półtora roku przed jej śmiercią - pomyślała.

Listy miłosne. Cóż innego, skoro były przewiązane wstążką i starannie ukryte. Sekret kobiety, która, znajdując się bezustannie pod mikroskopem sławy, mogła pozwolić sobie na nieliczne tajemnice; sekret, który ukryła własnymi dłońmi, zanim umarła młodo i tragicznie, jak Gatsby.

Ulegasz romantyzmowi - uświadomiła sobie Cilla. Mogły to być zwykłe plotkarskie listy od starej przyjaciółki czy dalekiej krewnej.

Ale to nie była zwykła korespondencja. Wiedziała o tym. Schowała listy z powrotem

do książki, zamknęła ją i zanosła na dół.

Najpierw wzięła prysznic, wiedząc, że nie miałyby odwagi zająć się skarbem, który odnalazła, dopóki nie uwolniłaby się od brudu.

Odświeżona, ubrana w spodnie flanelowe i bluzę od dresu, z przewiązanymi z tyłu włosami, nalała sobie kieliszek wina, które dostała od Forda. Stojąc w ostrym świetle lampy fluorescencyjnej - którą też należało zmienić - popijała trunek i wpatrywała się w książkę.

Listy należały teraz do niej, nie miała w tym wypadku żadnych skrupułów. Och, jej matka z pewnością by się z tym nie zgodziła - i zrobiłaby to głośno. Płakałaby z powodu straty swego prawa do wszystkiego, co było kiedyś własnością Janet. Potem sprzedalaby listy na aukcji, tak jak uczyniła to z tyloma innymi przedmiotami matki w ciągu tych lat.

Dla potomności - twierdziłaby Dilly. Dla publiczności, która ją uwielbiała. Tyle że byłyby to bzdury - myślała Cilla. Chodziłoby bowiem o pieniądze, o odprysk blasku sławy, rozkładówkę w magazynie „People”, ze zdjęciami Dilly trzymającej ze łzami w oczach plik listów; a obok zdjęcia jej samej i Janet. Ale wierzyłaby w skuteczność własnej manipulacji. To był jeden z największych talentów Dilly, tak wrodzony jak umiejętność przywołania łez w odpowiednim momencie.

Co należało zrobić z tymi listami? Schować z powrotem, zwrócić nadawcy? Oprawić jak płytę i powiesić w salonie?

- Najpierw muszę je przeczytać.

Odetchnęła głęboko, odstawiła kieliszek z winem i przysunęła sobie taboret do kontuaru szafki. Z wielką ostrożnością odwiązała spłowiała wstążkę, po czym wysunęła pierwszy list z koperty. Papier zaszepotał, kiedy go rozłożyła.

Dwie strony pokrywało ciemne, wyraźne pismo.

*Moja Ukochana, Me serce bije szybciej na myśl, że mogą tak Cię nazywać. Moja ukochana. Co zrobiłem w życiu, by zasłużyć na tak cenny dar? Śniesz mi się każdej nocy, śni mi się brzmienie Twojego głosu, zapach Twojej skóry, smak Twoich ust. Drzę cały, przypominając sobie tę wspaniałą chwilę, gdy się z Tobą kochałem.*

*I każdego ranka, gdy się budzę, odczuwam strach, że to wszystko było jedynie snem. Czy tylko to sobie wyobraziłem - to, jak siedzieliśmy przy kominku tamtej zimnej i czystej nocy, rozmawiając tak jak nigdy wcześniej?*

*Uświadamiając sobie to, co do Ciebie czułem, czego od Ciebie chcę, zrozumiałem, że nie możemy być tylko przyjaciółmi. Jak taka kobieta mogłaby kiedykolwiek zapragnąć kogoś takiego jak ja? Czy to się wydarzyło naprawdę? Czy znalazłaś się w moich ramionach? Czy Twoje usta poszukały moich ust? Czy złączyliśmy się, szaleni, podczas gdy ogień płonął, a*

*muzyka grała? Czy był to sen, moja ukochana? Jeśli tak, to chcę żyć we śnie już zawsze.*

*Moje ciało pragnie boleśnie Twojego ciała, teraz, kiedy dzieli nas taka odległość. Tęsknię za Twoim głosem, ale nie tylko tym w radio czy na płycie. Tęsknię za Twoją twarzą, ale nie tylko na zdjęciach czy na ekranie kinowym. To Ciebie chcę, Ciebie, która kryje się w głębi Twej duszy. Pięknej, namiętnej, prawdziwej kobiety, którą trzymałem tamtej nocy w ramionach i we wszystkie noce, które zdołamy ukraść.*

*Przybądź do mnie wkrótce, moja ukochana. Wróć do mnie i do naszego sekretnego świata, gdzie istniejemy tylko Ty i ja.*

*Przesyłam Ci w tym nowym roku całą swoją miłość, całą swoją tęsknotę Jestem teraz i na zawsze Tylko Twój Tutaj? - zastanawiała się Cilla, składając starannie list. Czy działo się to tutaj, w tym domu, przed kominkiem? Czy Janet znalazła miłość i szczęście w tych ścianach przez ostatnie osiemnaście miesięcy swego życia? Czy może był to tylko kolejny przelotny romans, kolejne krótkie spotkanie?*

*Cilla przeliczyła koperty, dostrzegając przy okazji, że wszystkie są zaadresowane w ten sam sposób i tą samą ręką, choć niektóre stemple się różniły. Czterdzieści dwa listy - pomyślała, a na ostatnim widniała data poprzedzająca tylko o dziesięć krótkich dni samobójczą śmierć Janet w tym domu.*

*Otworzyła kopertę odrobinę drżącymi dłońmi.*

*Tym razem tylko jedna strona - zauważyła.*

*To się kończy. Telefony, groźby, histeria. To koniec, Janet. Ostatni raz to była pomyłka i nigdy się nie powtórzy. Jesteś chyba szalona, jeśli dzwonisz, do mojego domu, rozmawiasz z moją żoną, choć muszę powiedzieć, że już wcześniej dostrzegalem w Tobie objawy choroby. Zrozum, nie opuszczę żony, nie opuszczę swojej rodziny. Nie narażę, dla Ciebie wszystkiego, co stworzyłem, i swojej przyszłości. Twierdzisz, że mnie kochasz, ale co taka kobieta jak Ty wie o miłości? Całe Twoje życie oparte jest na kłamstwach i złudzeniach, a ja przez jakiś czas dawałem się. temu uwieść, dawałem się uwieść Tobie. Ale już nigdy więcej.*

*Jeśli jesteś w ciąży, jak twierdzisz, to nie istnieje żaden dowód mojej odpowiedzialności. Nie groź mi ujawnieniem wszystkiego, bo zapłacisz za to, przysięgam.*

*Zostań w Hollywood, gdzie Twoje kłamstwa to obowiązująca waluta. Tutaj są nic niewarte. Nikt Cię nie potrzebuje.*

*- W ciąży.*

*Wydawało się, że te wypowiedziane szeptem słowa odbiły się w całym domu echem.*

*Wstrząśnięta, zsunęła się z taboretu, żeby otworzyć tylne drzwi, stanąć na progu,*

odetchnąć i ochłodzić twarz zimnym powietrzem.

*Culver City 1941*

- By zrozumieć - Janet powiedziała Cilli - musisz zacząć od początku. Jest blisko.

Dłoń trzymająca rękę Cilli była mała i miękka. Podobnie jak we wszystkich snach o Janet obraz na początku przypominał starą fotografię, wyblakłą i postrzępioną, a potem z wolna nabierał barwy i głębi.

Z ramion bawełnianej sukienki zwieszały się dwa długie warkocze niczym linie światła słonecznego na łące pełnej więdnących kwiatów. Te olśniewające, zimne i czyste niebieskie oczy spoglądały na świat. Na jego iluzję.

Wszędzie wokół Cilli i dziecka, które w przyszłości miało stać się jej babką, tłoczyli się ludzie, przemieszczający się piechotą albo w małych autobusikach, które jeździły tam i z powrotem po szerokiej jezdni. Piąta Aleja - pomyślała Cilla - albo jej kinowy odpowiednik.

Oto miała przed sobą MGM u szczytu sławy. Było tu więcej gwiazd, niż pomieściłoby niebo, a dziecko ściskające jej dłoń miało być jedną z najjaśniejszych.

- Mam siedem lat - oznajmiła Janet. - Od trzech lat występuję na scenie. Najpierw wodewil. Chciałam śpiewać, grać.

Kochałam aplauz publiczności. To tak, jakby obejmowało cię tysiąc ramion. Marzyłam o tym, by stać się gwiazdą - ciągnęła, prowadząc Cillę. - Gwiazdą filmową, z mnóstwem sukienek, w blasku jasnych świateł. I mieć wszystkie cukierki w sklepie ze słodyczami.

Janet przystanęła i wykonała skomplikowany i pełen wigoru numer ze stepowaniem, wywijając zdartymi sandałami.

- Mogę też tańczyć. Potrafię się nauczyć numeru w ciągu jednej próby. Mój głos to magia w moich ustach. Pamiętam wszystkie teksty, ale umiem też grać. Wiesz, dlaczego?

- Dlaczego? - spytała Cilla, chociaż znała odpowiedź. Czytała wywiady, książki, biografie. Znała to dziecko.

- Ponieważ wierzę w to. Za każdym razem wierzę w odgrywaną historię. Sprawiam, że jest dla mnie prawdziwa, i chcę, aby stała się prawdziwa dla wszystkich ludzi, którzy przychodzą zobaczyć mnie na ekranie. Też tak robiłaś?

- Czasem. Ale to oznaczało ból, kiedy było już po wszystkim. Dziewczynka przytaknęła, a jej oczy zaszły mgłą dorosłego smutku.

- Kiedy się ból kończy, przypomina to umieranie, więc trzeba znaleźć coś, co znów przywoła blask. Ale to będzie później.

Jeszcze tego nie wiem. Teraz wszystko tonie w blasku. - Dziecko rozłożyło ramiona,

jakby chciało objąć całe otoczenie. - Jestem młodsza od Judy i Shirley i kamera kocha mnie niemal tak bardzo, jak ja kocham ją. Nakręcę cztery filmy w tym roku, ale ten jeden uczyni ze mnie prawdziwą gwiazdę. „Mała Kometka”, tak będą mnie nazywać po premierze *Rodziny o'Hara*.

- Zaśpiewałaś *Dam sobie radę* i przemieniłaś to w piosenkę miłosną dla swojej rodziny. To będzie twój popisowy numer.

- Zagrają ją na moim pogrzebie. Tego też jeszcze nie wiem.

Spójrz, to jest Studio Jeden. Brownstone Street. - W jej głosie, kiedy edukowała swą wnuczkę i prowadziła małą, miękką rączką, pojawiła się nutka pedantyzmu. - O'Hara mieszkają w Nowym Jorku i tworzą trupę teatralną, której się nie wiedzie. Ci z wytwórni myślą, że to jeszcze jeden film, którego akcja rozgrywa się w epoce kryzysu. Ale on zmieni wszystko. Potem długo będą jechać na ogonie Małej Kometki. Jestem już narkomanką, ale to kolejna rzecz, o której jeszcze nie wiem. Zawdzięczam to mamie.

- Seconal i benzendryna. - Cilla wiedziała. - Karmiła cię nimi dzień i noc.

- Dziewczynka musi się porządnie wyspać, żeby rano mieć energię i zapał. - Z dziecięcej twarzyczki spoglądały pełne goryczy oczy dorosłego człowieka. - Chciała być gwiazdą, ale jej się nie udało. Mnie się udało, więc pchała mnie, pchała bezustannie i wykorzystywała. Nigdy mnie nie przytuliła, ale publiczność robiła to cały czas. Mama zmieniła mi imię i pociągała za sznurki. Podpisała siedmioletni kontrakt z panem Mayerem, który znów zmienił mi imię, i zabierała wszystkie pieniądze. Dawała mi pigułki, żeby wydusić ze mnie jeszcze więcej. Nienawidziłam jej - nie teraz, ale wkrótce. Dzisiaj się tym nie przejmuję. - Wzruszyła ramionami, a warkoczyki zakołysały się wesoło. - Dzisiaj jestem szczęśliwa, ponieważ wiem, jak zaśpiewać piosenkę. Zawsze wiem, jak ją zaśpiewać.

Pokazała palcem jakiś budynek.

- To jest hala dźwiękowa. To tu dokonuje się magia. Tutaj jesteśmy tylko duchami, duchami i marzeniami - ciągnęła, gdy przez ich bezcielesne postaci przejechał autobus pełen aktorek i aktorów w sukniach wieczorowych i smokingach. - Ale tam, w środku, wszystko jest rzeczywiste. Kiedy kamera jest włączona, nie istnieje nic więcej.

- To nie jest prawdziwe, Janet. To tylko praca.

W niebieskich oczach pojawił się ciepły blask.

- Może dla ciebie, ale dla mnie to była prawdziwa miłość, moje zbawienie.

- Zabiło cię.

- Najpierw mnie stworzyło. Chciałam tego. Musisz to zrozumieć, jeśli chcesz pojąć resztę. Chciałam tego bardziej niż cokolwiek wcześniej albo cokolwiek potem, niemal



do samego końca. Tych kilku chwil, kiedy odgrywam scenę, śpiewam piosenkę; nawet w oczach reżysera pojawiały się łzy.

Potem woła: „Cięcie” i cała ekipa oraz aktorzy zaczynają bić brawo, a ja czuję ich miłość. To było to, czego chciałam najbardziej w świecie i co próbowałam znaleźć raz za razem. Czasem mi się udawało. Byłam tu szczęśliwa, zwłaszcza gdy miałam siedem lat. - Westchnęła z uśmiechem. - Mieszkałabym tu. gdyby mi pozwolili, wędrowałabym z Nowego Jorku do starożytnego Rzymu, ze starego zachodu do małomiasteczkowej Ameryki. Czyż może istnieć wspanialszy plac zabaw dla dziecka? To był dom, prawdziwszy niż ten, który miałam. Odczuwałam żalną wdzięczność.

- Wykorzystali cię.

- Nie dzisiaj, nie dzisiaj. - Marszcząc z irytacji czoło, Janet zbyła tę myśl machnięciem ręki. - Dzisiaj wszystko jest doskonale. Dziś mam wszystko, czego pragnęłam.

- Kupiłaś Małą Farmę, setki kilometrów stąd. Na drugim końcu świata.

- To było później, prawda? Poza tym zawsze wracałam. Potrzebowałam tego. Nie mogłabym żyć bez miłości.

- Dlatego się zabiłaś?

- Tak wiele rzeczy dzieje się z tak wielu powodów. Trudno wskazać jeden. To chcesz właśnie zrobić. To, co będziesz musiała zrobić.

- Ale jeśli byłaś w ciąży...

- Jeśli, jeśli, jeśli. - Śmiejąc się, Janet pokonała tanecznym krokiem chodnik i wbiegła na schody przed statecznym budynkiem o fasadzie z czerwonobrazowego piaskowca. - „Jeśli” jest dla jutra, dla następnego roku. Ludzie będą bawić się tym Jeśli” w odniesieniu do całego mojego życia, kiedy już umrę. Będę nieśmiertelna, ale tu mnie zabraknie, by się tym cieszyć.

Znów wybuchnęła śmiechem i zakreśliła się na postumencie latarni jak Gene Kelly w *Deszczowej piosence*.

- Tylko nie wtedy, kiedy o mnie śnisz. Nie przestawaj śnić, Cilla. Możesz mnie wskrzesić jak Małą Farmę. Jesteś jedyną osobą, która jest w stanie tego dokonać. - Zeskoczyła z latarni. - Muszę iść. Czas na moją scenę. Czas na magię. To naprawdę mój początek.

Posłała Cilli całusa i pobiegła przed siebie chodnikiem.

Kiedy iluzja Nowego Jorku blakła z wolna, a Cilla wynurzała się na powierzchnię z głębin snu, gdzieś w dali unosił się serdeczny i bolesny śmiech Janet.

*Dam sobie radę dopóki cię mam.*

Ale nie poradziłaś sobie - pomyślała Cilla, wpatrując się w miękki blask słońca

wnikający przez okna.

Wysunęła się z westchnieniem ze śpiwora i ocierając twarz z resztek snu, podeszła do okna, żeby popatrzeć na zbocza gór. I pomyśleć o tym świecie i życiu, pięć tysięcy kilometrów na zachód.

- Jeśli tam był twój dom, jeśli tak pragnęłaś tamtego, to czemu wróciłaś tu, tak daleko, żeby umrzeć?

Czy z jego powodu? Czy wciąż żył, wciąż przebywał w Wirginii? I jak zdołałaś ukryć ten romans przed okiem publiczności? Dlaczego? - były to o wiele ważniejsze pytania - zdecydowała Cilla.

Czy to on stanowił powód, dla którego wyłączyłaś tamtej nocy telefon, a potem połykałaś tabletki i piłaś wódkę, piłaś wódkę i połykałaś tabletki, aż w końcu odeszłaś? Nie z powodu Johnniego - podejrzewała Cilla. Nie, jak wielu przypuszczało, z powodu poczucia winy i żalu po stracie twego rozpieszczonego osiemnastoletniego syna. Albo nie tylko z tego powodu.

Ale ciąża, tak blisko śmierci? Czy było to coś przyniatającego, czy może promyk światła w mroku?

To istotne - uświadomiła sobie Cilla. Wszystko wydawało się istotne, nie tylko dlatego, że Janet Hardy była jej babką, ale również dlatego, że ona, Cilla, trzymała dziecięcą rączkę we śnie. Rączkę uroczej małej dziewczynki, która stała na niebotycznej krawędzi niewyobrażalnej sławy.

To było istotne. Musiała znaleźć odpowiedzi na te wszystkie pytania.

Nawet jeśli jej matka stanowiła wiarygodne źródło informacji - w co Cilla wątpiła - było o kilka godzin za wcześnie, by do niej zadzwonić. Zresztą w ciągu pół godziny mieli się zjawić robotnicy. Postanowiła więc, że będzie tylko rozmyślać o tym w trakcie roboty, wciąż powracając do nurtujących ją pytań.

Wzięła do ręki listy i przewiązała spłowiałą wstążką. Wsunęła je z powrotem do Fitzgeralda, a książkę położyła na składanym stoliku, służącym za prowizoryczne miejsce pracy, obok stosu teczek i magazynów na temat dekoracji wnętrz - i komiksu Forda.

Postanowiła, że dopóki nie podejmie jakiejś decyzji, co zrobić z tymi listami, będą one stanowiły jej sekret. Tak jak stanowiły sekret Janet.

## ROZDZIAŁ 5

Niczym nerwowy rodzic, który po raz pierwszy posyła najstarsze dziecko do szkoły, Cilla nadzorowała załadunek starych urządzeń kuchennych na ciężarówkę. Po odnowieniu miały być klejnotem w jej przebudowanej kuchni. Tak w każdym razie planowała.

Tymczasem musiała jej wystarczyć mała lodówka barowa, płyta elektryczna i mikrofalówka - wszystko, co bardziej się nadawało do akademika niż prawdziwego domu.

- Kup sobie nowy sprzęt u Searsa - poradził jej Buddy.

- Nie chcę, choć może uznasz mnie za wariatkę. - Cilla podejrzewała, że w tym wypadku nie rozmija się z prawdą. - Pogadajmy o zainstalowaniu ubikacji na strychu.

Następną godzinę spędziła na zatechłym poddaszu z Buddym, elektrykiem i jednym ze stolarzy, nakreślając swoją wizję wnętrza, a potem wnosząc poprawki, jeśli ich sugestie wydawały jej się sensowne.

Przy akompaniamencie młotków, wiertel i zawodzących pił zabrała się do mozolnej roboty sortowania i wynoszenia zawartości strychu do starej stodoły. Tam, gdzie w powietrzu wciąż unosiła się, niczym duch, woń siana i koni, układała zarówno śmieci, jak i skarby. Gdy wszędzie wokół dawała znać o sobie wiosna, Cilla patrzyła, jak w miejsce starych okien wstawia się nowe, a popękane płytki lądują w kontenerze. Wdychała zapach trocin i tynku, kleju do drewna i potu.

W nocy opatrywała pęcherze i zadrapania i często odczytywała listy napisane do jej babki.

Pewnego wieczoru, zbyt niespokojna, by usiąść, kiedy już ekipa odjechała, wybrała się na oględziny swojej żelaznej bramy. Albo wykorzystała to jako wymówkę, jak przyznała, widząc Forda na swojej werandzie. Jego odruchowy ruch ręką, kiedy tak stała na poboczu drogi, i energiczne merdanie psiego ogona sprawiły, że przejście na drugą stronę wydało się czymś prostym, nawet naturalnym.

- Widziałem, że przebudowujesz werandę - zauważył. - Gdzie się nauczyłaś posługiwać narzędziami elektrycznymi?

- Tu i tam. - Przywitała się z psem, a potem odwróciła i spojrzała na swoją farmę. - Moja weranda nie wygląda stąd tak źle, zważywszy, że nie jest ukończona ani pomalowana. Nowe okna też prezentują się dobrze. Instaluję większe na strychu, dorzucę też świetliki.

- Świetliki na strychu?

- To nie będzie strych, kiedy skończę. To będzie moja pracownia. To twoja wina.

Uśmiechnął się leniwie.

- Naprawdę?

- Zainspirowałaś mnie.

- Przypuszczam, że to wet za wet, by się tak wyrazić. - Podniósł butelkę. - Chcesz piwa?

- Z chęcią.

- Rozgość się.

Rozsiadła się na jednym z jego foteli i podrapała wielki łeb Spocka z maleńkimi spiczastymi uszami. Ford zaś wszedł do domu po jeszcze jedno piwo. Miała dobry widok na swój dom. Bez trudu mogła dostrzec, gdzie należało posadzić nowe drzewa i krzewy, w którym miejscu od strony południowej ustawić treliaz, jak ułożyć kamienną ścieżkę łączącą starą stodołę z domem. Albo ścieżkę z cegieł. Może wykładaną płytami.

- Przypuszczam, że dźwięk niesie się aż tutaj - powiedziała, kiedy Ford wrócił z piwem. - Denerwuje cię pewnie ten hałas.

- Niewiele słyszę, kiedy pracuję. - Podał jej butelkę i usiadł. - Chyba że chcę.

- Wyższa siła koncentracji?

- Ładnie to ujęłaś. Po prostu się wyłączam. Jak idzie robota?

- Nieźle. Czasem utyka w miejscu, jak to bywa przy tak dużym projekcie. - Pociągnęła z butelki, zamykając oczy. Boże, zimne piwo po całym dniu pracy! Powinni zapisać to w prawie lokalnym.

- Wydaje się, że zwyczajowo daję ci alkohol.

Spojrzała na niego.

- A ja ci się nie odwzajemniłam.

Z uśmiechem wyciągnął przed siebie nogi.

- Właśnie zauważyłem.

- Mój dom nie nadaje się chwilowo nawet na przypadkowe wizyty. Ja też nie. Widzisz tę żelazną bramę?

- Trudno jej nie zauważyć.

- Mam ją odnowić czy wymienić?

- Do czego ci jest potrzebna? Mnóstwo kłopotów, trzeba zatrzymać samochód, wysiąść, otworzyć skrzydła, przejechać na drugą stronę, znów wysiąść i zamknąć bramę. Nawet jeśli zainstalujesz coś automatycznego, to też będzie kłopotliwe.

- Mówiłam tak sobie wcześniej. Zmieniłam zdanie. - Spock trącił łbem jej dłoń kilka razy, a ona właściwie przetłumaczyła sobie jego sygnał i znów zaczęła go drapać. - Ta brama jest tam z jakiegoś powodu.

- Rozumiem, dlaczego twoja babka jej potrzebowała. Nie zauważyłem jednak, żebyś z niej korzystała od czasu, jak się tu wprowadziłaś.

- Nie, nie korzystałam. - Uśmiechnęła się lekko, pijąc piwo. - Ponieważ rzeczywiście sprawia zbyt dużo kłopotu. Jakoś nie pasuje do atmosfery tego miejsca, prawda? Obszerny dom, wielka stara stodoła. Ale ona jej potrzebowała. Stanowi tak naprawdę iluzję. - Bóg wiedział, że Janet jej potrzebuje. - Nie chodzi o to.

że trudno się na nią wspiąć albo na mur. Ale potrzebowała iluzji bezpieczeństwa, prywatności. Wiesz, znalazłam listy.

- Które napisała?

Nie zamierzała początkowo wspominać o nich nawet słowem. Czy wystarczyły dwa łyki piwa, żeby rozwiązał się jej język? Czy może jego towarzystwo? - zastanawiała się. Nie była pewna, czy kiedykolwiek spotkała kogoś tak wewnętrznie odprężonego.

- Nie, to listy do niej. Napisane w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy jej życia. Przez kogoś miejscowego, jak wskazuje na to większość stempli pocztowych.

- Listy miłosne.

- Takie przynajmniej sama początku. Namiętne, romantyczne, intymne. - Przechyliła głowę i przyglądała mu się przez chwilę nad butelką piwa. - Dlaczego ci o tym mówię?

- A dlaczego nie?

- Nikomu jeszcze nie powiedziałam. Próbuję je jakoś rozgryźć, zorientować się, kto był ich autorem. Zamierzam porozmawiać o tym w stosownej chwili z ojcem; przyjaźnił się z synem Janet - moim wujem. Cały ten romans zakiełkował chyba w zimie poprzedzającej jego śmierć - i zaczął przygasać kilka miesięcy później.

- Chcesz wiedzieć, kto był ich autorem. - Ford pocierał leniwie stopą swojego psa, gdy ten przesunął się i przywarł do niego. - Jak je podpisywał?

- „Tylko Twój”, dopóki nie zmienił tego na „odwal się” czy coś w tym rodzaju. Nie skończyło się to dobrze. Był żonaty - ciągnęła, podczas gdy Spock, uznawszy, że już dość pieszczot, zwinął się w kłębek pod fotelem Forda i ułożył do snu. - Nie jest żadną tajemnicą, że miewała przygody z żonatymi mężczyznami. Przelotne romanse i poważne związki. Zakochiwała się tak.

jak inne kobiety zmieniają uczesanie. Ponieważ wydawało się to wówczas doskonałym pomysłem.

- Żyła w innym świecie niż większość kobiet.

- Zawsze uważałam to za doskonałą wymówkę albo usprawiedliwienie bezmyślności czy egoizmu.

- Może. - Ford wzruszył ramionami. - Co nie zmienia faktu, że to prawda.

- Pragnęła miłości, fizycznej i duchowej. Stanowiła dla niej taki sam nałóg jak pigułki, którymi matka karmiła ją od najwcześniejszego dzieciństwa. Ale myślę, że tym razem to było coś poważnego.

Bo trzymała to w tajemnicy.

Znów na niego spojrzała. Zaskoczył ją trafnym spostrzeżeniem.

- Tak. właśnie. Trzymała wszystko w tajemnicy, ponieważ było to dla niej ważne. Być może śmierć Johnniego sprawiła, że stało się bardziej intensywne i rozpaczliwe. Nie wiem. co do niego pisała, ale sądząc po jego listach, wyczuwam jej desperację i tę straszliwą potrzebę, tak jak jego przygasające zainteresowanie, jego obawę, że zostanie odkryty, w końcu jego odrazę. Ale ona nie chciała rezygnować. Ostatni list został wysłany stąd. dziesięć dni przed jej śmiercią. - Teraz to ona się odwróciła i skupiła wzrok na swojej farmie. - Umarła w tym domu po drugiej stronie drogi. Powiedział jej w jasnych i bardzo brutalnych słowach, że to skończone, że ma go zostawić w spokoju. Musiała wsiąść do samolotu zaraz po otrzymaniu tego listu. Zeszła z planu swego ostatniego, niedokończonego filmu, tłumacząc się zmęczeniem, i przyleciała tutaj. To nie było w jej stylu. Kochała swoją pracę, szanowała ją. ale tym razem sobie odpuściła. I tylko tym razem. Musiała mieć nadzieję, że zdoła go odzyskać. Jak myślisz?

- Nie wiem. Ty wiesz.

- Wiem. - Uświadomiła sobie, że to boli. Lekkie ukłucie w sercu. - I kiedy zdała sobie sprawę, że przegrała, zabiła się.

Jej wina. Tylko jej - oznajmiła, zanim Ford zdążył cokolwiek powiedzieć. - Bez względu na to. czy było to przypadkowe przedawkowanie, jak twierdził koroner, czy samobójstwo, co wydaje się o wiele bardziej prawdopodobne. Ale ten człowiek musi wiedzieć, że ma swój udział w tym, co Janet postanowiła zrobić tamtej nocy.

- Chcesz odnaleźć ten kawałek układanki, by ujrzeć cały obraz.

Pomyślała, że cienie są teraz, długie. Coraz dłuższe. Niebawem na zboczach miały zamigotać światła, a szczyty gór. widoczne gdzieś w tle. zniknąć w mroku.

- Dorastałam z nią jak z inną osobą w domu, towarzyszyła mi, gdziekolwiek poszłam, cokolwiek robiłam. Jej życie, jej praca, jej wielkość, jej wady. jej śmierć. A teraz... spójrz, co zrobiłam. - Wskazała farmę butelką trzymaną w ręku. - Mój wybór Mam możliwości, których nigdy bym nie miała, gdyby Janet Hardy nie była moją babką. I musiałam się zmagać przez lata z paskudnymi rzeczami, właśnie dlatego, że Janet Hardy była moją babką. Tak. chcę ujrzeć cały obraz. Albo możliwie znaczący jego fragment. Nie musi mi się podobać, ale

chciałabym, może nawet pragnę, mieć szansę jego zrozumienia.

- Wydaje mi się to rozsądne.

- Naprawdę? Mnie też. z wyjątkiem chwil, kiedy się takie nie wydaje i kiedy mam wrażenie, że to obsesja.

- Stanowi część twojego dziedzictwa, poza tym dzieli was tylko jedno pokolenie. Mógłbym ci opowiedzieć przeróżne historie o swoich dziadkach ze strony ojca i matki. Oczywiście, troje z całej czwórki wciąż żyje - a z tych trojga dwoje mieszka niedaleko. I mógłbym zagadać cię na śmierć, gdybym tylko miał okazję.

- Ja pewnie też. Muszę wracać. - Podniosła się z fotela. - Dzięki za piwo.

- Może wrzucę coś na grilla? - On też wstał i przesunął się tak, że znalazła się między jego ciałem a poręczą. - Grill i mikrofalówka to obszary mojej działalności kulinarnej. Napijesz się jeszcze piwa, a ja coś upichcę.

O tak, mógł coś upichcić w pewnym sensie, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Wysoki, opalony i czarujący, z odrobiną dziwactwa. Zbyt pociągający jak dla niej.

- Jestem na nogach od szóstej rano. a jutro czeka innie ciężki dzień.

- Robisz sobie kiedykolwiek wolne? - Przesunął opuszkami palców - tylko opuszkami - po jej ramieniu. - Chyba się do ciebie przystawiam, i to oficjalnie.

- Tak podejrzewałam. Nie planuję w najbliższym czasie robić sobie wolnego.

- W takim razie będzie lepiej, jeśli wykorzystam chwilę.

Spodziewała się, że poczuje coś spokojnego i aksamitnego, sądząc po tym, jak nachylił ku niej głowę, i po jego oczach, w których pojawiło się leniwe zainteresowanie. Później, kiedy mogła się nad tym spokojnie zastanowić, doszła do wniosku, że nie myliła się tak całkiem. Było to gładkie, jak gładki jest porządny łyk doskonałej whisky bez lodu.

Ale zamiast aksamitności poczuła silny i gwałtowny wstrząs, kiedy jego usta przywarły do jej warg. Wstrząs, który sięgnął samego jej brzucha. Dłonie, które zaciskały się na jej ramionach, przyciągnęły ją zdecydowanym ruchem, zmuszając, by przytuliła się do niego. Jeszcze jeden nieznaczny ruch z jego strony i oparła się plecami o słupek poręczy, a jej usta poddały się zupełnie.

Od zera do setki - pomyślała. I zapomniała zapiąć pasy.

Oparła mu dłonie na biodrach i zatraciła się w tym niesamowitym pędzie.

Wszystko, co sobie wcześniej wyobrażał - a jego wyobrażenia nie znała granic - zbladło. Jej smak był silniejszy, wargi bardziej szczodre, ciało bardziej elastyczne. Jakby namalował swój pierwszy pocałunek w najjaśniejszych i najśmielszych kolorach ze swojej

palety.

A i one nie wydawały się dostatecznie głębokie.

Było to jak lot na grzbiecie smoka, podróż w przestrzeni kosmicznej, skok do głębokiej wody zaczarowanego morza.

Jego dłonie przesunęły się z jej ramion ku twarzy, potem sięgnęły włosów, by pociągnąć za opaskę. Odsunął się nieznacznie, by ujrzeć ją z rozpuszczonymi włosami, by zobaczyć jej oczy i twarz, po czym znów zaczął przyciągać ją do siebie.

Ona jednak oparła mu dłoń na piersi.

- Lepiej nie. - Odetchnęła ostrożnie. - Już wykorzystałam dopuszczalną liczbę błędów w tym dziesięcioleciu.

- Nie wydawało mi się, żeby to był błąd.

- Może tak, może nie. Muszę to przemyśleć.

Zsunął dłonie do jej łokci i cofnął się, obserwując ją uważnie.

- Naprawdę szkoda.

- Owszem. - Znów odetchnęła. - Absolutnie, ale...

Odsunął się, kiedy go lekko trąciła.

- Muszę wiedzieć jedną rzecz. Można być upartym, potem nachalnym i wreszcie upierdliwym. Zastanawiam się, do której kategorii byś mnie zaliczyła, gdybym wpadał do ciebie od czasu do czasu albo zapraszał cię tutaj i próbował nakłonić, żebyś się rozebrała.

Pies wydał spod fotela dziwny gardłowy dźwięk i Cilla dostrzegła jedno wylupiaсте oko. Jakby i on czekał na odpowiedź.

- Nie doszedłeś jeszcze do trzeciej kategorii, ale dam ci znać, jeśli tak się stanie.

Wyminęła go.

- Ale jeśli chodzi o tę propozycję grilla i nagości, to będę musiała chwilowo odmówić.

Mam do skończenia werandę.

- Och, stara wyświechtana wymówka.

Roześmiała się i zeszła po schodach, bojąc się, że zmieni zdanie.

- Ale dziękuję za piwo. I za to, że mnie wysłuchałeś i zalecałeś się do mnie.

- Jeśli zapragniesz jednej z tych rzeczy, które właśnie wymieniłaś, albo wszystkich naraz, zawsze jesteś mile widziana.

Oparł się o poręcz i patrzył, jak przechodzi przez drogę, a potem pomachał w odpowiedzi na jej gest, kiedy dotarła do bramy. Schylił się i podniósł małą niebieską opaskę, którą ściągnął z jej włosów.

Ford zastanawiał się, czy nie dać jej trochę czasu, trochę swobody. Potem doszedł do



wniosku, że do diabła z tym. Jego ostatnia książka leżała na biurku wydawcy, a do pracy nad Brid potrzebował wizualnego wsparcia. Nie mówiąc już o tym, że Cilla nie wydawała się zniechęcona natarczywością, więc zamierzał być natarczywy.

Kiedy już zwał się z łóżka o cywilizowanej porze, to znaczy o dziesiątej, wyjrzał na podwórko i zobaczył, że Spock już dawno wstał i goni za swoimi kocimi fantomami. Wyniósł kawę na zewnątrz i przyglądał się, jak Cilla pracuje na swojej werandzie.

Zastanawiał się, czy nie zrobić jej kilku bardzo przyzwoitych zdjęć w ruchu za pomocą teleobiektywu. Uznał jednak, że graniczy to z mroczną strefą podstępności. Przygotował sobie talerz płatków śniadaniowych i jadł na stojąco, obserwując ją.

Miała wspaniałe ciało. Długie, szczupłe i wysportowane. Cass pasowałaby - zdecydował - ale jednocześnie ukrywała Jej... atrybuty. Brid, no cóż, ta byłaby odpowiednia.

Włosy, ten głęboki odcień blond jak przyćmiony blask słońca - pomyślał. Nietrudno będzie to zmienić. Cass wiązałaby je z przyzwyczajenia; włosy Brid unosiłyby się i falowały. Potem twarz. Żałował, że nie widzi teraz twarzy Cilli, ale była przysłonięta daszkiem czapki, którą wkładała do pracy. Nie miał większych problemów, by odmalować ją sobie w wyobraźni, ten kształt, płaszczyzny, tony. Byłaby to twarz, którą Cass starałaby się bagatelizować, twarz wyciszona i intelektualna dzięki okularom i nieobecności makijażu.

Piękno poskromione, jak w przypadku włosów.

Jeśli zaś chodzi o Brid, piękno było śmiałe i świetliste. Nie uwolnione, ale wręcz dzikie.

Czas zacząć.

Wszedł do domu, znów spakował torbę i zawiesił sobie na szyi aparat. Zaczął się zastanawiać, czy nie wziąć czegoś jeszcze, i w końcu wsadził do torby jabłko.

Dźwięk jej pistoletu do gwoździ przesywał powietrze jak stłumiony odgłos strzałów, co nasunęło Fordowi na myśl bitwę Brid nigdy nie posługiwałaby się bronią palną - zbyt prostackie, zbyt zwyczajne. Ale jak by się broniła przed wrogami? Mieczem i młotem, zmieniając lot kul niczym magiczne bransolety Wonder Woman? Może.

Kiedy podszedł bliżej, usłyszał, że z radia któregoś z robotników dobiega muzyka country. Dlaczego oni zawsze puszczejają country? - zastanawiał się. Czy było to coś w rodzaju prawa budowlanego?

Muzyka country (w tym także muzyka kilku wybranych artystów wykraczających poza styl) dobiegała z przenośnych odbiorników na wszystkich możliwych budowach.

Rozpoznał brzęczenie piły, zawodzenie wiertarki i różne stukoty docierające z wnętrza domu. Biorąc to wszystko pod uwagę, wraz z ozdobą, jaką stanowił kontener i półciężarówki.

poczuł zadowolenie, że kupił swój dom w stanie wykończonym.

Poza tym wątpił, czy ktoś z robotników, których by wynajął, odznaczałby się tak wspaniałym tyłkiem jak ten opięty teraz zakurzonymi lewisami i obrócony szczęśliwie w jego stronę.

Mógł się oprzeć pokusie, ale jak? Podniósł więc aparat, skadrował ją i zrobił zdjęcie, nie zatrzymując się.

- Wiesz, dlaczego w sklepach ze sprzętem mechanicznym sprzedają te kalendarze ze skąpo ubranymi kobietami, trzymającymi wiertarki i temu podobne narzędzia?! - zawołał.

Cilla spojrzała przez ramię i obrzuciła Forda uważnym spojrzeniem zza okularów ochronnych.

- Żeby mężczyźni mogli sobie wyobrazić, że zamiast fiutów mają wiertła?

- Nie, żebyśmy mogli sobie wyobrazić, że kobiety tak sobie wyobrażają.

- Przyznaję się do błędu. - Wstrzeliła dwa ostatnie gwoździe, potem odwróciła się i usiadła. - Gdzie twój wierny towarzysz?

- Spock? Jest zajęty, ale przesyła pozdrowienia. Gdzie się nauczyłaś strzelać z tego pistoletu?

- Szkolenie w godzinach pracy. Mam jeszcze kilka płyt do przycięcia i zamocowania, jeśli chcesz pomóc.

- Zdarzają się tragiczne i straszne rzeczy, kiedy biorę do ręki narzędzia. Nie robię więc tego i nie narażam nikogo na śmierć. - Sięgnął do swojej torby. - Przyniosłem ci prezent.

- Jabłko?

- Doda ci sił. - Rzucił jej owoc, a kiedy złapała go zgrabnie jedną ręką, uniósł z podziwem brew. - Wiedziałem, że tak będzie.

Przyglądała się przez chwilę jabłku, potem je ugryzła.

- To znaczy?

- Że złapiesz wszystko, co polecą w twoją stronę. Masz coś przeciwko temu, żebym zrobił ci kilka zdjęć w trakcie pracy?

Muszę zabrać się do bardziej szczegółowych szkiców.

- A więc upierasz się przy tym pomysle z wojowniczą boginią.

- Brid. Owszem, upieram się. Mogę poczekać, aż zrobisz sobie przerwę, jeśli aparat ci przeszkadza w czasie pracy.

- Spędziłam ponad połowę życia przed obiektywem. - Podniosła się i wyprostowała. - Nie deprymuje mnie.

Rzuciła ogryzek jabłka do kontenera, a potem podeszła do sterty drewna. Ford

pstrykał zdjęcia, kiedy wybierała odpowiednią deskę, mierzyła i kładła na blat pły mechanicznej.

Obserwował jej oczy, kiedy ostrze cięło drewno, zawodząc. Wątpił, czyjego aparat uchwyci skupienie widoczne w jej źrenicach.

Uchwycił jednak napięcie przedramion, nieznaczny ruch mocnych mięśni, kiedy podnosiła deski i zanosila na werandę.

- Spodziewam się, że jako kobieta mieszkająca w Kalifornii spędzałaś dużo czasu w siłowni.

Cilla ułożyła deskę w odpowiednim miejscu i zamontowała wkładki rozporowe.

- Lubię zaglądać do dobrej siłowni.

- Zauważyłem, że ćwiczenia ci służą.

- Gdybym nie ćwiczyła, byłabym koścista. Remont pomaga mi utrzymać kondycję - ciągnęła, wstrzeliwując pierwszy gwóźdź. - Ale brakuje mi regularnych ćwiczeń. Znasz jakąś siłownię w okolicy?

- Tak się składa, że znam. Wiesz co, wpadnij do mnie, jak już skończysz robotę na dzisiaj. Pokażę ci siłownię, a potem zjemy kolację.

- Może.

- Nie jesteś z natury kokieteryjna. „Może” oznacza...

- Zależy od tego, kiedy skończę.

- Siłownia jest otwarta dwadzieścia cztery godziny przez siedem dni w tygodniu.

- Poważnie? - Rzuciła mu szybkie spojrzenie, po czym zaczęła wstrzeliwać gwoździe wzdłuż deski. - To dogodne. „Może” zamieniam na „prawdopodobnie”.

- Trochę lepiej. Jeśli chodzi o kolację, to jesteś wegetarianką, frutarianką czy jakąś inną tarianką, co wymaga ograniczeń w menu?

Śmiejąc się, przysiadła na piętach.

- Jestem wszystkotarianką. Zjem to, co przede mną postawisz.

- Dobrze wiedzieć. Nie masz nic przeciwko temu, żebym zajrzał do środka i sprawdził, co tam wbijają i piłują? Będę miał okazję pożartować sobie z Matta.

- Śmiało. Oprowadziłabym cię, ale mój szef wścieka się z powodu niezaplanowanych przerw w pracy.

- A mój to mięczak. - Wszedł na werandę, nachylił się i powąchał ją. - Pierwszy raz sobie uświadamiam, że zapach trocin jest sexy. - Wkroczył do domu i wykrzyknął zdumiony:

- Niech mnie diabli!

Spodziewał się co prawda chaosu, bałaganu i niejakiego zamieszania, ale nie czegoś,

co wydawało mu się obłąkaną destrukcją. Przypuszczał, że kryje się za tym jakiś cel, ponieważ Cilla zrobiła na nim wrażenie osoby przy zdrowych zmysłach, ale on jakoś nie mógł dojrzeć w tym wszystkim sensu.

Po podłodze walały się narzędzia, co głęboko go wzburzyło, bo z natury był pedantem. Jak ktokolwiek mógł znaleźć coś w tym pobojowisku? Wszędzie wily się i plątały przewody. Z sufitu zwieszały się nieosłonięte żarówki. W ścianach ziały dziury, które ktoś wyciął albo wyrąbał z powodów całkowicie mu nieznanym. Szerokie deski podłogowe były zasłane brudną odzieżą i kartonami.

Zbity z tropu i nieco przerażony, wędrował po domu, znajdując w każdym pokoju pobojowisko jak po bombardowaniu.

W jednym z nich natknął się na Matta; kręcone blond włosy przyjaciela przykrywała czerwona czapka, na biodrach miał pas z narzędziami, w ręku taśmę pomiarową. Przywitał Forda beztroskim uśmiechem.

- Hej!

- Ty narobiłeś tego bałaganu?

- Po części. Szefowa ma różne pomysły. Niezłe. Ta kobieta wie, czego chce.

- Skoro tak twierdzisz... Jak tam Josie?

- W porządku. Zrobiliśmy zdjęcie Bestii.

Ford wiedział, że Bestia to dziecko, którego Josie właśnie się spodziewała. Ich dwuletni synek, zanim się urodził, był nazywany Brzuchem.

Wziął do ręki zdjęcie USG, które Matt wyjął z kieszeni, Przyjrzał mu się, odwrócił i w końcu dostrzegł zarys ciała. Nogi, rączki, tułów, głowę.

- Wygląda tak jak poprzedni. Karzełek kosmita z Planety Łono.

- To ona. Właśnie się dowiedzieliśmy. Dziewczynka.

- Tak? - Ford zauważył, że przyjaciel szczerzy radośnie zęby. sam też poczuł, jak uśmiecha się bezwiednie. - Po jednym z każdego rodzaju. Niezłe wam poszło.

- Nie puszczę jej na randkę, dopóki nie skończy trzydziestki. - Matt wziął od Forda zdjęcie, popatrzył na nie z czułością i wsunął z powrotem do kieszeni. - Wybierasz się wieczorem na pokera u Bri?

Ford pomyślał sobie, że wolałby umówić się z dentystą na leczenie kanałowe niż na wieczór z pokerem. Ale przyjaźnił się z Mattem i Brianem niemal całe życie.

- Jeśli nie ma absolutnie wyjścia.

- Dobra. Potrzebuję forsy. Potrzymaj chwilę koniec tej taśmy.

- Lepiej, żebym tego nie dotykał.

- Słusznie. - Matt sam rozciągnął taśmę. - Jeśli jej dotkniesz, to pewnie wybuchnie mi w rękach. Mogłbym stracić palec. Obejrzałeś już dom?

- Właśnie zacząłem.

- Rozejrzyj się. Będzie wyglądać piekielnie dobrze.

- Już wygląda piekielnie.

Nie mogąc się oprzeć ciekawości, wyszedł z pokoju i ruszył na górę. Nie było tu o wiele lepiej. To, co pełniło kiedyś funkcje łazienki, przypominało teraz gołe pudło o obdartych ścianach i szkieletowych rurach, z dziurami w podłodze i suficie. Dwie sypialnie stały otworem, bez drzwi, a na oknach wciąż widniały nalepki producenta; podłogi zakryte były starymi paskudnymi dywanami.

Lecz kiedy wszedł do sąsiedniej sypialni, zaskoczenie przerodziło się szybko w złość. Co ona sobie, u diabła, wyobrażała? Dmuchany materac i śpiwór, pudła tekturowe i stary stolik do kart?

- Jednak jest stuknięta - mruknął i skierował się pospiesznie na dół.

Znalazł ją na werandzie; stała przed nową boazerią i piła wodę z butelki. Ciepło panujące na dworze i wysiłek związany z pracą uwidaczniały się na jej białym podkoszulku w postaci ciemnej linii potu. Myśl, że ta spocona i prawdopodobnie nieźrównoważona kobieta pociąga go tak bardzo, tylko podsyciła w nim irytację.

- Jesteś szalona czy po prostu głupia? - rzucił stanowczym głosem.

Powoli opuściła butelkę. I równie powoli opuściła głowę, aż te chłodne niebieskie oczy napotkały jego wzrok. - Co?

- Kto tak żyje? - Wskazał kciukiem wewnątrz domu, podchodząc bliżej. - Dom jest rozwalony i w kawałkach, cała kuchnia to płyta elektryczna, a ty śpisz na podłodze i funkcjonujesz na pudłach kartonowych. Co się, u diabła, z tobą dzieje?

- No dobra, powiem ci. Żyję w ten sposób, ponieważ realizuję właśnie duży projekt, co tłumaczy, dlaczego dom jest rozbebeszony, choć nie w kawałkach. Muszę gotować na płycie, ponieważ przebudowuję kuchnię. Śpię na materacu, nie na podłodze, ponieważ nie zdecydowałam jeszcze, jakie łóżko wstawię do sypialni. Poza tym nic się ze mną nie dzieje.

- Idź na górę i zabierz wszystko, czego potrzebujesz. Zajmiesz mój wolny pokój.

- Już dawno temu przestałam słuchać czyichkolwiek poleceń. Matki, agentów, menedżerów, reżyserów, producentów i wszystkich innych, którzy uznali, że wiedzą najlepiej, co jest dla mnie dobre, czego chcę i co powinnam robić. Obawiam się, że się spóźniłeś.

- Żyjesz jak dzika lokatorka.

- Żyję, jak chcę.

Dostrzegł nagły błysk gniewu w tych chłodnych niebieskich oczach, ale brnął dalej.

- Tam, w moim domu, jest sypialnia z doskonałym łóżkiem, na którym jest prześcieradło.

- Och, jeśli jest prześcieradło... nie. Odejdź, Ford. Moja przerwa dobiegła końca.

- Twój wredny szef będzie musiał dać ci jeszcze kilka minut.

Ta twoja ruina jest o rzut kamieniem od mojego domu, możesz do niej dotrzeć każdego ranka w ciągu półtorej minuty - kiedy już się porządnie wyśpisz w prawdziwym łóżku i skorzystasz z łazienki, która nie przypomina psychodelicznego snu w kolorze czarnym i niebieskim i nie ma rozmiarów ćwierćcentówki.

Z jakiegoś powodu jego nieklamana furia nie wywołała w niej gniewu. Rozbawiona, roześmiała się bez skrępowania.

- Łazienka jest okropna, przyznaję. Ale nie skłoni mnie do tego, żebym zwinęła manatki. Mam wrażenie, że jesteś znacznie bardziej wybredny ode mnie.

- Nie jestem wybredny. - Jego złość przerodziła się szybko w oburzenie. - Starzy mężczyźni w zapinanych swetrach są wybredni. To, że chcę spać w normalnym łóżku i sikać w ubikacji, która została wyprodukowana w ostatniej połowie tego wieku, nie oznacza, że jestem wybredny. Poza tym krwawi ci ręka.

Spuściła wzrok.

- Musiałam się skaleczyć - powiedziała i otarła niedbale płytkie rozcięcie na skórze o dzinsy.

Przyglądał jej się z uwagą. Co się, u diabła, ze mną dzieje? - zadał sobie pytanie i chwycił ją gwałtownie, po czym szarpnął w górę, że niemal stanęła na palcach. Chciał, by te zimne niebieskie oczy znalazły się na wysokości jego wzroku, żeby te cudowne, pełne smaku usta znalazły się w pobliżu jego warg. Nim zdążył pomyśleć, pochylił się gwałtownie i wziął bez pytania to, czego pragnął.

Była spocona, pokryta trocinami i prawdopodobnie nie zrównowazona. A on nigdy, przenigdy nie pragnął nikogo tak bardzo.

Zignorował jej zaskoczenie i szok. Gwałtowny przyływ pożądania, które go ogarnęło, stłumił wszelkie myśli o subtelnościach. Chciał i wziął. Pierwotny odruch, nic więcej.

Butelka wody wysunęła się z jej dłoni i spadła na ziemię. Nie pamiętała już, kiedy ostatnim razem ktoś tak ją zaskoczył. Nie przewidziała tego i nawet siła pocałunku z poprzedniego wieczoru nie przygotowała jej na to, co teraz się wydarzyło.

Było to skrajnie żywiołowe, nieprzyzwoite i tak dogłębne, że poczuła, jak drżą jej

mięśnie. Chciała, przez jedną szaloną chwilę, by pochłoniął ją chciwie, pragnęła, by przerzucił ją sobie przez ramię i zaniósł do jakiejś ciemnej jaskini.

Kiedy ją od siebie odsunął, niemal szarpnęła głową.

- Wybredny, akurat.

Patrząc na Forda, usłyszała, jak Buddy wymawia jej imię za plecami.

- Nie chcę przeszkadzać - ciągnął. - Ale może zechcesz rzucić okiem na to, co zamierzam zainstalować w łazience. Kiedy znajdziesz minutkę.

Podniosła rękę i pomachała nią niedbale, nie odwracając się nawet.

- Jesteś niebezpiecznym człowiekiem, Ford.

- Dzięki.

- Nie wiem, jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć. Zazwyczaj potrafię rozpoznać niebezpiecznych mężczyzn.

- Myślę, że mi to służy, bo sam tego nie zauważałem przez całe życie. W drugiej sypialni jest zainstalowany zamek. Mogę ci dać słowo, że nie wyważę kopniakiem drzwi, chyba że dom się będzie palił. A nawet wtedy, biorąc pod uwagę, że żadnych drzwi nigdy nie wyważyłem, będziesz miała mnóstwo czasu, by się odpowiednio przygotować.

- Jeśli kiedykolwiek będę spała w twoim domu, to na pewno nie w jakimś wolnym pokoju. Ale chwilowo się stąd nie ruszam.

Jesteś niebezpiecznym mężczyzną, Ford - powtórzyła, nim zdążył się odezwać. - A ja jestem zdeterminowaną kobietą. Nie tylko chcę tu mieszkać, ale również muszę. W przeciwnym razie zatrzymałabym się w najbliższym motelu. Teraz idę do środka.

Instaluję umywalkę w kształcie miednicy z odsłoniętymi rurami i armaturą na ścianie. Podobnie jak ty, Buddy nie rozumie, o co mi chodzi.

Zerknął ponad jej ramieniem w głąb domu i potrząsnął głową. - Podejrzewam, że w tej chwili nikt prócz ciebie nie rozumie, o co ci chodzi.

- Jestem do tego przyzwyczajona.

- Wpadnij, kiedy już skończysz, obejrzymy tę siłownię. - Podniósł swoją torbę i aparat. Potem butelkę. - Masz mokre buty.

Z tymi słowami ruszył w stronę swojego domu. Cilla popatrzyła na swoje stopy. Do diabła, rzeczywiście miała mokre buty. Popiskując podszwami, weszła do środka, żeby pogadać z Buddym.

## ROZDZIAŁ 6

Cilla większość poranka spędziła na oglądaniu toalet. I na wybieraniu umywalki. Zastanawiała się nad zaletami płytek z trawertyny, granitu, piaskowca i ceramiki. Ostatnim razem, kiedy zajmowała się domem, budżet był najważniejszy. Nauczyła się go nie przekraczać, wybierać to, co najlepsze, i patrzeć nie tylko na sam dom, ale także sąsiedztwo. Za dużo przesady, za dużo pod kreską i jej zysk zostałby wchłonięty jak brud przez odkurzacz.

Tym razem sprawa przedstawiała się inaczej. Chociaż budżetu nigdy nie należało lekceważyć, dokonywała wyborów z myślą o własnym domu, nie o odsprzedaży. Jeśli zamierzała mieszkać na Małej Farmie, urządzić tu sobie życie i zrobić karierę, to nie kto inny, ale właśnie ona ponosiłaby konsekwencje tych wyborów przez bardzo długi czas.

Kiedy zaczęła się jej przygoda z nieruchomościami, uświadomiła sobie, że ma do tego smykałkę i że potrafi właściwie ocenić kolor, strukturę, równowagę i potencjał. I odkryła, że jest wybredna. Nieznaczna różnica w odcieniu, kształcie czy rozmiarach płytek do łazienki miała ogromne znaczenie. Potrafiła godzinami dobierać odpowiedni uchwyt do szuflad.

I odkryła, że kiedy to robi i wreszcie znajduje odpowiednią rzecz, jest szczęśliwa.

Po powrocie do domu, który stanowił teraz pustą konstrukcję, uśmiechnęła się na widok nowych desek swojej werandy. Sama to zrobiła, tak jak balustradę i słupki, a potem pomalowała na świeży biały kolor, typowy dla domu na farmie. Prawdopodobnie biały. Może lekko kremowy. Niewykluczone, że w odcieniu kości słoniowej.

Odgłos stóp na tych deskach wydawał jej się muzyką.

Zaniosła przywiezione próbki do łazienki, gdzie spędziła mnóstwo czasu, układając je w różny sposób i studiując poszczególne wzory. I zanurzając się w swojej wizji. Ciepłe, czarujące, proste płytki, w sam raz do gościnnej łazienki.

Armaturę z brązu, którą już kupiła i według której zaplanowała łazienkę, podkreślałyby wspaniałe kafelki o delikatnym odcieniu i umywalka w starym stylu.

Pomyślała, że Buddy odszczeka wszystkie zastrzeżenia, kiedy robota będzie ukończona.

Pozostawiła próbki tam, gdzie je położyła - chciała przyjrzeć im się w naturalnym świetle poranka - i niemal tanecznym krokiem ruszyła pod prysznic, by zmyć z siebie brud i pot po całym dniu pracy.

Śpiewała, a jej głos odbijał się echem od popękanej, żalosznej glazury jej własnej łazienki, glazury, która niebawem miała być skuta. Żaden playback ze studia dźwiękowego



czy hali zdjęciowej nie sprawił jej nigdy większej przyjemności.

Kiedy Ford otworzył drzwi, Cilla wyciągnęła w jego stronę wędrującą butelkę caberneta. Wziął ją, podniósł do góry i ocenił, że została jeszcze połowa wina.

- Zdrowo ciagniesz.

- Wiem. To problem. Więc może się napijemy przed wyprawą do siłowni?

- Pewnie.

Zauważył, że rozpuściła sobie włosy, które spływały, proste jak strzała, na ramiona. Jej zapach przywodził żywe wspomnienie kwitnącego nocą jaśminu, który rósł bujnie wokół domu jego babki w Georgii.

- Dobrze wyglądasz.

- I czuję się dobrze. Kupiłam dziś trzy toalety.

- No, to z pewnością zasługuje na drinka.

- Wybrałam płytki do łazienki - ciągnęła, idąc za nim do kuchni. - Rączki do szafek, lampy i wannę. Prawdziwie wspaniała klasyczną wannę na czterech łapach. To wielki dzień. I zastanawiam się nad stylem art deco w głównej łazience.

- Art deco?

- Widziałam dziś fantastyczną umywalkę i pomyślałam sobie: tak, to właśnie to. Mogłabym dać tam mnóstwo chromu i bladoniebieskiego szkła. Czarno - biała glazura, a może czarna i srebrna. Odrobina metalicznych akcentów. Trochę krzykliwości i retro. Ekstrawagancji. Jak tam wejdiesz, to będziesz miał ochotę włożyć jedwabny szlafrok z piórami marabuta.

- Zawsze mam na to ochotę. Tak jak się zawsze zastanawiałem, co to jest marabut i dlaczego ma pióra.

- Nie wiem, ale może kupię taki szlafrok, żeby go tam powiesić jako zwieńczenie wystroju. Będzie robił wrażenie.

- I to wszystko zaczęło się od jednej umywalki? - spytał, podając jej kieliszek z winem.

- Tak to zwykle bywa w moim przypadku. Widzę jakiś element, coś mnie w nim porusza i wiem, jak wokół niego zorganizować przestrzeń. Tak czy inaczej miałam dobry dzień. - Uniosła kieliszek. - A co u ciebie?

Promienieje - pomyślał. Wystarczyła wyprawa do marketu budowlanego czy gdziekolwiek i zaczęła świecić jak blask słońca.

- No cóż, nie kupiłem żadnych toalet, ale nie mogę narzekać.

Dobrze mi poszło z książką, opracowałem fabułę i udało mi się przenieść sporo na

papier. - Przyglądał jej się, kiedy piła wino. - Chyba rozumiem tę historię z umywalką. Widziałem cię - to właśnie ty wszystko poruszasz, a reszta wokół ciebie dokonuje się sama.

- Mogę przeczytać?

- Pewnie. Jak tylko to trochę wyładzę.

- To okropnie normalne i pozbawione jakiegokolwiek temperamentu. Większość pisarzy, jakich znam, dzieli się na dwa obozy.

Na tych, którzy błagają człowieka, by przeczytał każde słowo, jakie napisali, i na tych, którzy wydlubaliby ci oko widelcem do krewetek, gdybyś spojrział na jedną stronę niedopracowanego tekstu.

- Założę się, że większość pisarzy, jakich znałaś, pracuje w Hollywood.

Zastanawiała się chwilę.

- Masz rację - przyznała. - Kiedy grałam, musiałam w trakcie kręcenia sceny chwytać w locie kartki. Tak naprawdę lubiłam to. Spontaniczność pozwalała podtrzymać energię. Ale zawsze się zastanawiałam: czy to bardzo trudne? Po prostu przelewasz na papier pewien pomysł w słowach. I przekonałam się, jakie to mozolne, kiedy zaczęłam pisać scenariusz.

- Napisałaś scenariusz?

- Zaczęłam. O kobiecie, która działa w branży filmowej.

Wiesz, spojrzenie kogoś od wewnątrz - wloty i upadki, walka, triumfy i ponizenia. Pisz to, co znasz, myślałam sobie, a znałam to nieźle. Udało mi się spłodzić dziesięć stron.

- Dlaczego przerwałaś?

- Zapomniałam wziąć pod uwagę pewien drobny szczegół.

Nie potrafię pisać. - Wybuchnęła śmiechem i potrząsnęła głową. - To, że przeczytało się milion scenariuszy, nie oznacza wcale, że samemu można jeden napisać. Nawet kiepski. A ponieważ z tego miliona scenariuszy, które przeczytałam, dziewięćset tysięcy było do niczego, wiedziałam, że mój jest taki sam. W przypadku gry aktorskiej musiałam wierzyć - nie udawać, tylko wierzyć. Zasada numer jeden Janet Hardy. Stwierdziłam zaskoczona, że to samo dotyczy pisania. A nie potrafiłam pisać tak, żeby uwierzyć. Ty potrafisz.

- Skąd wiesz?

- Dostrzegłam to, kiedy zacząłeś mi opowiadać o nowym pomysle, o tej nowej postaci. Poza tym widać to w twojej pracy, w słowach i obrazach.

Wskazał na nią palcem.

- Przeczytałaś książkę.

- Owszem. Przyznaję, że początkowo zamierzałam ją tylko przewertować, zorientować się w niej z grubsza, żeby nie podpaść, gdybyś spytał mnie o treść. Ale

wciągnęła mnie. Twój Poszukiwacz jest niedoskonały, mroczny, ludzki. Nawet gdy działa w stylu superbohatera, widać jego człowieczeństwo, jego rany.

O to chyba chodziło.

- Słuszne przypuszczenie. Właśnie zasłużyłaś na jeszcze jednego drinka.

- Lepiej nie. - Przykryła dłonią kieliszek, kiedy sięgnął po butelkę. - Może później, przy kolacji. Kiedy już pokażesz mi siłownię. Mówiłeś, że to niedaleko.

- Tak, zgadza się. Rzuć na to okiem.

Najpierw wskazał ręką, a potem otworzył drzwi kryte wiśniowym drewnem, które tak jej się podobały. Niższy poziom - domyśliła się, a ponieważ zawsze lubiła oglądać domy, ruszyła za nim na dół.

- O, znowu ładne schody - zauważyła. - Ktokolwiek zbudował ten dom, naprawdę... O rany!

Zdjęta nagłym podziwem, a nawet zazdrością, zatrzymała się u podnóża stopni. Dzięki nachyleniu zbocza pomieszczenie otwierało się na tyły domu, widoczne przez szklane drzwi i okna, i na małe, ładne patio wykładane kamiennymi płytkami, gdzie akurat spał pies, leżąc na plecach.

Ale w samym pomieszczeniu, na matach zakrywających dębową podłogę o szerokich deskach, stały urządzenia gimnastyczne.

Zaczęła krążyć w milczeniu, oglądając eliptyczne koło, ławę do podnoszenia ciężarów, stojak ze sztangami, rower, łódź wiosłarską.

Niezły sprzęt - pomyślała.

Jedną ścianę zakrywał wielki płaski ekran telewizyjny. Zauważyła małą lodówkę ze szklanymi drzwiami, w której stały butelki z wodą. W narożniku, gdzie drewniane deski podłogi łączyły się z płytkami, stało jacuzzi w lśniącym czarnym kolorze.

- Dzieło Matta?

- Tak. W większości.

- Jestem coraz bardziej zadowolona, że wykazałam się dobrym instynktem, zatrudniając go. Możesz w ogóle nie wychodzić z domu.

- Taki mi przyświecał cel. Lubię się zaszywać na długo. To pomieszczenie zostało zaprojektowane jako pokój rodzinny, ale ponieważ moja rodzina tu nie mieszka, pomyślałem sobie: po co jeździć do siłowni, skoro mogę mieć ją tutaj? No i nie muszę płacić abonamentu. Oczywiście wyklucza to oglądanie wysportowanych i spoconych ciał kobiecych, ale nie można mieć wszystkiego.

- W moim domu jest piwnica - zaczęła myśleć głośno Cilla. - Prawdziwa podziemna,

bardzo duża. Chciałam ją ostatecznie urządzić, ale raczej jako składzik. Jednak przy odpowiednim oświetleniu...

- Tymczasem możesz korzystać z mojej sali.

Marszcząc czoło, odwróciła się ku niemu.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie?

- Nie unikaj odpowiedzi. Dlaczego?

- To nie było unikanie. - Stanowił dziwne połączenie ostrożności i otwartości. - Jeśli potrzebujesz szczegółów, to powiem, że korzystam z niej tylko przez kilka godzin tygodniowo. Więc i ty możesz korzystać z niej kilka godzin tygodniowo. Nazwij to południową gościnnością.

- Kiedy zwykle ćwiczysz?

- Nie mam ustalonej pory. Zależy od nastroju. Staram się, żeby był odpowiedni pięć czy sześć dni w tygodniu, bo inaczej zacznę przypominać Szkieletora.

- Kogo?

- No wiesz, Szkieletora. Władcę wszechświata. Arcywroga ludzkości. Nie, nie wiesz. Dam ci książkę. Porównanie jest zresztą nietrafne, ponieważ Szkieletor, wbrew swojemu imieniu, to mięśniak. Tak czy owak możesz korzystać z tych drzwi na górze, ilekroć będziesz miała ochotę. Nie będę nawet wiedział, że tu jesteś. I może mi się poszczęści i akurat przyjdzie mi ochota poćwiczyć, kiedy się zjawisz - wtedy mimo wszystko obejrzę sobie wysportowaną, spoconą kobietę.

Zmrużyła oczy.

- Podciągnij koszulę.

- Myślałem, że nigdy o to nie poprosisz.

- Nie mówiłam o spodniach, tylko o koszuli, Ford. Chcę ci sprawdzić mięśnie brzucha.

- Dziwna z siebie kobieta, Cilla - zauważył, ale posłusznie podciągnął koszulę.

Dotknęła palcem jego skóry.

- Okej. Chciałam się tylko upewnić, że naprawdę korzystasz z tego sprzętu, a odpowiedni nastrój jest tylko uboczną korzyścią, a nie celem samym w sobie.

- Mam cel, jeśli chodzi o ciebie.

- Ja też mam i jestem zadowolona. Ale naprawdę chciałabym poważnie potraktować twoją ofertę i zrobić to bez żadnych zobowiązań czy oczekiwań. Doceniam twoją gościnność, Ford. Poza tym cieszysz się aprobatą Matta, a ja go lubię.

- To dobrze, bo płacę mu za to pięć stów rocznie.

- Kocha cię. Wyszło na jaw, kiedy subtelnie i sprytnie wypytałam go o ciebie.

Poczuł nagły przypływ zadowolenia.

- Wypytywałaś go o mnie?

- Subtelnie - powtórzyła. - I sprytnie. Jest miłym facetem, więc... - Przesunęła spojrzeniem po siłowni, po sprzęcie, a on niemal wyczuwał jej zapał. - Może zabawimy się w handel wymienny? Skorzystam z radością z twojego sprzętu, a jeśli będziesz musiał coś naprawić w domu, zajmę się tym.

- Chcesz być moją złotą rączką?

- Cholernie dobrą rączką.

- Założysz swój pas z narzędziami i naprawdę krótką spódniczkę?

- Pas z narzędziami owszem. Spódniczkę nie.

- Do diabła!

- Jeśli nie zdołam sobie z tym poradzić, przyślę jednego z chłopaków. Może któryś z nich włoży naprawdę krótką spódniczkę.

- Zawsze mogę mieć nadzieję.

- Umowa stoi?

- Stoi.

- Doskonale. - Uśmiechając się, znów zaczęła wodzić wzrokiem po pomieszczeniu. - Przyjdę tu jutro z samego rana.

A może to ja zabiorę cię na kolację, żeby uczcić interes?

- Skorzystam z zaproszenia kiedy indziej, bo przygotowałem już menu.

- Będziesz gotował?

- Swoją specjalność. - Ujął ją za ramię i poprowadził w stronę schodów. - Tylko jedną, która nie wymaga użycia mikrofalówki. Trzeba wrzucić dwa steki na grill, nadziać na rożen parę papryk i upiec kilka ziemniaków. Jak przyrządzić ci mięso?

- Tak, żebyś słyszała, jak porykuje.

- Cilla, jesteś kobietą moich marzeń.

Nie była. Nie interesowały jej marzenia, tylko pogoń za swoimi celami i satysfakcja z ich osiągnięcia. Ale musiała przyznać, że Ford stanowi pokusę. Zajmował jej umysł, raz przyprowadzając go o spokój, a raz o gorączkę. Niezwykła umiejętność - przyszło jej do głowy. Lubiła jego towarzystwo bardziej, niż uważała to za rozsądne, zwłaszcza że planowała spędzać więcej czasu w samotności.

I wyglądał diabelnie dobrze, stojąc nad dymiącym grillem.

Zjedli na tylnej werandzie, w towarzystwie Spocka, który teraz chrapał z

zadowoleniem, suto nakarmiony. Cilla stwierdziła, że bardzo jej smakował ten prosty, niewyszukany posiłek.

- Boże, jak tu pięknie! Cisza i spokój.

- Nie kusi cię, żeby włączyć się po klubach i zrobić krótki wypad na Rodeo Drive?

- Dawno już nacieszyłam się jednym i drugim. Wydawało się to kiedyś zabawne, ale szybko się nudzi, jeśli nie jest to twoje ukochane miejsce. Moje nie było. A ty? Mieszkałeś przez jakiś czas w Nowym Jorku, prawda? Nie kusi cię, żeby skosztować jeszcze Wielkiego Jabłka?

- Było to ekscytujące i lubię wracać tam od czasu do czasu, wchłonąć energię miasta. Wiesz, wydawało mi się, że będę tam mieszkał, biorąc pod uwagę to, co chciałem robić. Po jakimś czasie się zorientowałem, że pracuję intensywniej, spędzając kilka dni u rodziców, że przebywam więcej z przyjaciółmi niż przez ten sam czas w mieście. W końcu doszedłem do wniosku, że w Nowym Jorku jest za dużo myślących ludzi, na okrągło, dzień i noc. I pomyślałem sobie, że lepiej mi będzie tutaj.

- To zabawne - odparła.

- To znaczy?

- Raz, podczas jakiegoś wywiadu, pewien dziennikarz spytał moją babkę, dlaczego kupiła tę małą farmę w Wirginii. Powiedziała, że słyszy tu swoje myśli, które ulatniały się natychmiast, tak jak innym, kiedy mieszkała w Los Angeles.

- Doskonale rozumiem, o co jej chodziło. Czytałaś wiele jej wywiadów?

- Czytałam, wracałam do nich, słuchałam, oglądałam w telewizji. Nie pamiętam, by kiedykolwiek mnie nie fascynowała. Ten olśniewający blask, ta tragiczna ikona, od której sama pochodziłam. Nie mogłam przed nią uciec, musiałam więc ją poznać. Nie znosiłam jej jako dziecko. Byłam wiecznie do niej przyrównywana, zawsze na swoją niekorzyść.

- Porównania są od tego, żeby ktoś wypadł gorzej.

- Rzeczywiście. Nim skończyłam dwanaście czy trzynaście lat, zaczęły mnie naprawdę wkurzać. Więc postanowiłam ją zgłębiać, celowo, szukając jakiejś sztuczki, jakiegoś sekretu.

Ujrzałam kobietę, która odznaczała się zdumiewającym i wrodzonym talentem. Każdy w porównaniu z nią wypadał blado.

Uświadomiłam to sobie i przestałam odczuwać do niej niechęć.

To byłoby tak, jakbym miała pretensje do diamentu, że migocze.

- Dorastając, dużo o niej słyszałem, ponieważ miała tu dom.

Umarła tutaj. Moja matka często puszczała jej płyty. Była na kilku przyjęciach na

farmie - dodał. - To znaczy moja matka.

- Naprawdę?

- Jej powodem do sławy był fakt, że całowała syna Janet Hardy, innymi słowy - twojego wuja. Trochę dziwne, że siedzimy tak tutaj, a kiedyś, tyle lat temu, moja matka i twój wuj kochali się ukradkiem po drugiej stronie drogi. Będziesz jeszcze bardziej zdziwiona, kiedy powiem, że moja mama robiła mniej więcej to samo z twoim tatą.

- O Boże! - Cilla wybuchnęła śmiechem, wzięła kieliszek z winem i łyknęła pospiesznie. - Nie zmyślasz tego?

- To absolutna prawda. Działo się to, oczywiście, jeszcze zanim skupiła się na moim ojcu, a twój wyjechał za twoją matką do Hollywood. Skomplikowana sprawa, kiedy teraz o tym myślę.

- Nie przeczę.

- Poczulem się zażenowany, jak mi o tym powiedziała. Żeby było śmieszniej, kiedy poszedłem do szkoły średniej, to wylądowałem w klasie twojego ojca. Myśl, że moja matka całowała się z panem McGowanem, przyprawiła mnie niemal o traumę. - W jego oczach błysnęły wesołe iskierki. - Teraz podoba mi się ta synchroniczność; syn mojej matki całował się z córką pana McGowana.

Życie, które zatacza krąg - pomyślała Cilla. Przyszło jej to samo do głowy, kiedy przyjechała tu odbudować farmę babki. Teraz pojawił się nowy krąg, łączący ją z tamtym czasem.

- Byli tacy młodzi - zauważyła cicho. - Johnnie miał tylko osiemnaście lat, kiedy zginął. To musiało być straszne dla Janet i dla rodziców dwóch pozostałych chłopców - jeden martwy, drugi sparaliżowany. Nigdy się z tego nie otrząsnęła. Widać to na każdym ujęciu, na każdym zdjęciu, jakie zrobiono po tamtej nocy. Nigdy już nie była taka jak dawniej.

- Moja matka wykorzystywała ten wypadek jako straszak, kiedy byłem dostatecznie duży, żeby prowadzić samochód. Można było czasem spotkać w mieście Jimmy'ego Hennessy'ego na wózku inwalidzkim, a ona nigdy nie omieszkła wspomnieć, co mogłoby się stać, gdybym był na tyle nieostrożny, żeby się upić albo naćpać, a potem prowadzić albo wsiąść do samochodu z kimś, kto prowadzi w takim stanie. - Potrząsnął głową i uporał się do końca ze swoim stekiem. - Wciąż nie potrafię pójść do baru i wypić jednego piwa bez wyrzutów sumienia, jeśli sam muszę usiąść za kierownicą, żeby wrócić do domu. Matki umieją skomplikować człowiekowi życie.

- Czy wciąż tu mieszka? Ten chłopak - no, już nie chłopak - ten, który przeżył wypadek?

- Zmarł w zeszłym roku. Albo dwa lata temu. Nie jestem pewien.

- Nie słyszałam o tym.

- Spędził resztę życia w domu. Rodzice się nim opiekowali.

Kiepska sprawa.

- Tak. Jego ojciec winił Janet. Za to, że przywlokła tutaj tę swoją hollywoodzką niemoralność, że folgowala synowi, że kupila mu szybki samochod.

- W samochodzie bylo jeszcze dwóch chlopcow. Nikt nie kazal im do niego wsiadac - zauwazył Ford. - Nikt nie wlewala im na silę piwa do gardeł ani nie pompowal w nich trawki. Byli mlodzi i glupi, wszyscy trzej. I zaplacili za to straszliwą cenę.

- Ona tez. Matka twierdzila - a jej rozgoryczenie dowodzi w tym wypadku prawdomównosci - ze Janet zaplacila kazdej z rodzin znaczna sumę pieniędzy. Nieujawniona, nawet moja matka jej nie znala. I znów, według ewangelii Dilly, Janet zatrzymala farmę tylko dlatego, ze stanowila cos w rodzaju pomnika na cześć Johnniego i ze z tego samego powodu zabronila sprzedac jej po swojej śmierci.

- A jak ty sádzisz?

- Sádzę, ze Janet ją zatrzymala, poniewaz byla tu szczęśliwa. Poniewaz słyszala tu swoje myśli, nawet jeśli byly mroczne i straszne. - Westchnęła i oparla się o fotel. - Nalej mi jeszcze, Ford. To będą razem trzy kieliszki, co stanowi mój absolutny limit alkoholu.

- A co się dzieje po trzech kieliszkach?

- Nie przekroczyłam tej liczby od lat, ale jeśli historia się powtórzy, to najpierw będę odprężona i przyjemnie zawiana, a potem dostatecznie wstawiona, żeby wypić jeszcze jeden, a może nawet dwa. Wtedy naprawdę się zaleję, rzucę się na ciebie i obudzę się rano z kacem i bardzo niewyraźnym wspomnieniem naszego dzisiejszego spotkania.

- Wobec tego to ostatni kieliszek. - Nalał jej wina. - Kiedy się obudzimy, twoja pamięć będzie krystalicznie czysta.

- Jeszcze niczego nie zdecydowałam, jak wiesz.

- Nie szkodzi, ja zdecydowałem. - Wsparł brodę na pięści i zaczął się jej uważnie przyglądać. - Nie mogę oderwać wzroku od twoich oczu, Cilla. Bezustannie mnie przyciągają.

- Oczy Janet Hardy.

- Nie. Oczy Cilli McGowan.

Uśmiechnęła się i dopiła wino.

- Zamierzałam wymyślić jakiś powód - albo nawet nie zawracać sobie tym głowy - żeby nie przychodzić tu dziś wieczorem.



- Naprawdę?

- Naprawdę. Ponieważ zacząłeś być apodyktyczny w kwestii moich planów mieszkaniowych.

- Przez „apodyktyczny” rozumiem „rozsądny”. Więc dlaczego w końcu przyszedłeś?

- Zakup toalet wprowadził mnie w doskonały nastrój. Poważnie - zapewniła, kiedy parsknęła śmiechem. - Znalazłam to, czego szukałam. Po bardzo długim czasie.

- Znalazłeś to, czego szukałeś, w toaletach.

Teraz to ona się roześmiała.

- Znalazłam to, czego szukałam, w czymś zniszczonym i zaniedbanym, a może odrobinę zmęczonym, i postanowiłam przywrócić temu blask. Uczynić to lepszym. Dzięki temu sama staję się lepsza. I ponieważ byłam w doskonałym nastroju, przeszłam na drugą stronę drogi. Naprawdę się cieszę, że to zrobiłam.

- Ja też.

Nie widziała ani jego, ani Spocka, kiedy weszła sama do siłowni nazajutrz rano. Cilla włączyła swojego iPoda i zabrała się do roboty. Zafundowała sobie porządną godzinę ćwiczeń i w pewnym momencie na tylne podwórze wkroczył pies, po czym podniósł kilka razy nogę. Wciąż jednak nie było nigdzie widać ani słyszeć Forda, kiedy wychodziła z sali, zerknąwszy na jego niesamowitą wannę.

Nie ma czasu na bicze wodne i leniuchowanie - upomniała się w myślach. Ale ponieważ Spock podbiegł do niej, najwyraźniej uradowany jej widokiem, przez dobre dziesięć minut drapała go za uchem, on zaś pomrukiwał i gulgotał, co w jego przypadku stanowiło zapewne jakąś formę komunikacji. Ćwiczenia, ten niemądry psiak, wreszcie sam dzień wprowadziły ją w dobry humor, kiedy przebiegała przez drogę. Zmyła pod prysznicem pot, wypila kawę i zjadła jogurt z borówek. Nim zdążyła zapiąć na biodrach pas z narzędziami, zaczęli się zjeżdżać pracownicy.

Robota szła wolno każdego ranka, ale Cilla lubiła tak spędzać czas. Gadając, oceniając, rozwiązując problemy.

- Zamierzam poszerzyć łazienkę, Buddy - powiedziała mu, a on, tak jak się tego spodziewała, westchnął głośno. - Tę, z której teraz korzystam, nie tę, którą z grubszą zaplanowałeś.

- Tak czy owak to sporo roboty.

- Rozmawiałam już z Mattem - oznajmiła. - Chodź na górę, pokażę ci, co będziesz robił.

Wahał się i zwlekał, ale to też było do przewidzenia. Prawdę powiedziawszy, nawet

tego oczekiwała.

- Skoro urządzamy moją pracownię na górze zamiast w tej sypialni, zamierzam zrobić z tego apartament. Rozwalimy tę ścianę - oznajmiła na początek.

Słuchał, bazgrał coś, potrząsał głową.

- Będzie cię to sporo kosztować.

- Tak, wiem. Później rozrysuję to w szczegółach, ale ogólny pomysł jest taki. - Otworzyła notatnik na kartce ze szkicem, który nakreśliła z pomocą Matta. - Zachowamy tę starą wannę na łapach, odnowimy i postawimy tutaj. Rury i odpływy w podłodze. Podwójne umywalki w tym miejscu, myślę też o półce.

- Coś mi się zdaje, że chcesz tu wstawić kawałek granitu czy czegoś w tym rodzaju.

- Nie, cynku.

- Czego niby?

- Blatu cynkowego. A tutaj zamontujemy prysznic parowy.

Tak - rzuciła, nim Buddy zdążył się odezwać. - Pomysły z Hollywood. Szklana ścianka tutaj, jako osłona ubikacji. Zobaczysz, wszystko zgodne z zasadami i szacunkiem wobec architektury, hołd złożony stylowi retro. Będzie robić wrażenie.

- Ty jesteś szefową.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Święte słowa.

Szefowa wyszła na zewnątrz, żeby zająć się balustradą w kwietniowym słońcu.

Kiedy jej ojciec zajechał na farmę, robiła bokami i zdążyła się już porządnie spocić.

- Ładnie wygląda - zauważył.

- Robi się.

Wskazał głową dom, skąd dochodziła kakofonia budowlanych hałasów.

- W środku robi się chyba jeszcze więcej.

- Pierwszy etap rozbiórki zakończony. Zmieniłam parę rzeczy, więc później dojdzie jeszcze rozbiórka na piętrze. Ale inspektor z nadzoru budowlanego przychodzi jutro. - Podniosła dłoń, żeby pokazać, że trzyma kciuki. - Przyjąć kanalizację i elektrykę. Potem będziemy świętować.

- Wszyscy w mieście o tym gadają.

- Wyobrażam sobie. - Wskazała drogę. - Ruch się nasilił.

Ludzie zwalniają, nawet się zatrzymują, żeby popatrzeć. Dzwonili z lokalnej redakcji z prośbą o wywiad. Nie chcę jeszcze żadnych zdjęć.

Większość ludzi nie potrafi się zorientować na tym etapie, jak to będzie wyglądało,

więc opisałam wszystko pokrótce przez telefon.

- Kiedy ma się ukazać ten wywiad?

- W niedzielę. W „Lifestyle”. Janet Hardy wciąż budzi emocje. - Cilla zsunęła czapkę na tył głowy i otarła wierzchem dłoni pot z czoła. - Znałeś ją, tato. Nie miałyby nic przeciwko temu?

- Myślę, że kochała to miejsce. I byłaby chyba zadowolona, że i tyje kochasz. I że odciskasz na nim swoje piętno. Sama robisz tę balustradę?

- Tak.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że potrafisz coś takiego. Wydawało mi się zawsze, że tylko masz pomysł, a potem najmujesz ludzi, żeby go zrealizowali.

- Tak też bywa. Najczęściej, jak mi się zdaje. Ale lubię robotę. Zwłaszcza tego rodzaju. Zamierzam zdobyć licencję przedsiębiorcy budowlanego i otworzyć interes.

- Aha... no, a to tutaj?

- Dom? Znany w całej okolicy, co może mi zapewnić dochody.

Myślę, że ludzie będą chcieli zatrudnić kobietę, która odbudowała Małą Farmę Janet Hardy, zwłaszcza jeśli tą kobietą jest jej wnuczka. A potem? - Zmrużyła oczy, w których pojawił się wesoły błysk. - Będą mnie zatrudniać, bo wiedzą, że jestem dobra.

- Naprawdę zamierzasz tu zostać?

A więc wcześniej w to nie uwierzył. Właściwie dlaczego miałby uwierzyć?

- Chcę zostać. Lubię zapach tego miejsca. Dobrze się tu czuję. Spieszysz się?

- Nie.

- Chcesz się ze mną przejść i pobawić w konsultanta architektury krajobrazu?

Uśmiechnął się z wolna.

- Z przyjemnością.

- Poczekaj, wezmę tylko notatnik.

Spacerując przy boku ojca, słuchając go, kiedy pokazywał okolicę, opisywał krzewy i sugerował, jak je rozmieścić, Cilla dowiadywała się o nim więcej.

O jego umiejętności uważnego słuchania, o tym, jak odpowiadał, jak milczał, zastanawiając się nad czymś. O jego swobodnym i niespiesznym sposobie bycia.

Przystanął nad brzegiem stawu i uśmiechnął się.

- Pływałem tu kilka razy. Będziesz musiała wziąć pod kontrolę te lilie i rogoże.

- Mam to na swojej liście. Brian powiedział, że może posadzimy trochę żółtych irysów.

- Dobry wybór. Mogłabyś posadzić tam wierzbę. Ładnie wygląda, płacząc nad wodą.

Zaczęła gryzmolić w swoim notatniku.

- Zastanawiałam się, czy nie postawić tutaj kamiennej ławeczki, żeby było na czym siedzieć. - Nagle coś sobie przypomniała i podniosła wzrok znad kartki. - A więc to tu całowałaś matkę Forda Sawyera?

Otworzył usta ze zdumienia i, ku zadowoleniu Cilli, oblał się rumieńcem.

- Skąd o tym wiesz?

- Mam swoje źródła informacji.

- A ja mam swoje. Słyszałem, że całowałaś się z synem Penny Sawyer na podwórzu.

- Buddy.

- No, nie on bezpośrednio, ale wyszło to od niego.

- To trochę dziwne.

- Trochę - zgodził się Gavin.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie.

- Chyba muszę przyznać, że całowałem Penny Quint - bo tak się wtedy nazywała - co najmniej kilka razy. Chodziliśmy ze sobą w szkole, przez parę miesięcy. Zanim mi złamała serce.

Powiedział to z uśmiechem na ustach, a Cilla też się uśmiechnęła.

- Szkoła to piekło.

- Z pewnością. Do złamania serca doszło także tutaj, jak się okazało. I tam, obok stawu. Penny i ja pokłóciliśmy się o coś. Bóg jeden wie, o co. Muszę wyznać, że byłem rozdarty; nie wiedziałem, czy dalej się do niej zalecać, czy starać się o względy twojej matki.

- Ty psie! - fuknęła żartobliwie.

- Większość chłopców w wieku osiemnastu lat to psy. Potem zobaczyłem Penny, jak całuje się nad stawem z Johnniem. - Westchnął, nawet teraz, po tylu latach, wspominając tę scenę. - To był cios. Moja dziewczyna, tak przynajmniej o niej myślałem, i jeden z moich przyjaciół. Całkowite złamanie zasad.

- Przyjaciele nie powinni mieć pretensji do byłych dziewczyn - zauważyła Cilla. - To też zasada.

- Johnnie i ja poprzytykaliśmy się o to. Od czasu do czasu Penny też potrafiła mi nagadać do słuchu. Mniej więcej w tym czasie pojawiła się twoja matka. Zawsze ciągnęło ją do dramatu.

Wyjechałem z nią, ukoilem serce i zranione ego. To był ostatni raz, kiedy rozmawiałem z Johnniem. Ostatnie słowa, jakie sobie powiedzieliśmy, nie były miłe. Zawsze tego żałowałem.

Tym razem nie było uśmiechu, Cilla dostrzegła natomiast dawny niewygasły żal.

- Zginął dwa dni później. I drugi z moich przyjaciół, a Jimmy Hennessy został sparaliżowany. Miałem z nimi jechać tamtej nocy.

- Nie wiedziałam o tym. - Poczula, jak coś się w niej ścisła. - Nigdy o tym nie słyszałam.

- Miałem siedzieć w tym samochodzie, ale Penny pocałowała Johnniego, a ja wymieniałem z nim kilka ostrych słów. I nie pojechałem.

- Boże! - Po jej plecach przeszedł dreszcz. - Zawdzięczam nieco matce Forda.

- Następnej jesieni poszedłem na studia, tak jak planowałem - po dwóch latach przerwałem naukę, pojechałem do Hollywood. Załatwiłem sobie kontrakt. Myślę, że twoja matka ponownie się mną zainteresowała, ponieważ w jakimś stopniu przypominałem jej brata i matkę. Była zbyt młoda na to wszystko.

Oboje byliśmy za młodzi. Zareczyliśmy się w sekrecie, publicznie zerwaliśmy. Odchodziliśmy i wracaliśmy, i tak przez lata.

Potem uciekliśmy, żeby się pobrać. Po roku przyszedł na świat.

Otoczył Cillę ramieniem. - Staraliśmy się z wszystkich sił.

Wiem, że nie było za dobrze, ale się staraliśmy.

- To trudno powiedzieć, że wszystko, co się wydarzyło, co zostało zrobione, wyniknęło w najgorszym razie ze śmierci, w najlepszym - z błędów.

- Nigdy nie byłaś błędem.

Nie odpowiedziała. Jak mogła to zrobić? Dostatecznie często była określana tym mianem.

- Wciąż byłeś w college'u, kiedy Janet zmarła?

- Kończyłem pierwszy rok.

- Słyszałeś kiedykolwiek o człowieku, kimś stąd, z kim była związana?

- Ciągłe były jakieś domysły i plotki, jeśli chodzi o Janet i mężczyzn. Nie przypominam sobie, żebym dowiedział się czegoś nadzwyczajnego czy słyszał jakąś rozmowę na temat kogoś, kto tu mieszkał. Dlaczego pytasz?

- Znalazłam listy, tato. Listy do niej, od kochanka. Były wysyłane stąd, większość. Ukrywała je. Ostatni, pełen wyrzutów, po zerwaniu, nadano na dziesięć dni przed jej śmiercią.

Ruszyli z powrotem w stronę domu i stanęli pod tylną werandą.

- Myślę, że wróciła tu, żeby się z nim zobaczyć, twarzą w twarz. Czula się rozpaczliwie nieszczęśliwa, jeśli wierzyć choćby w połowę tego, co o niej wtedy mówiono.

Chyba była zakochana w tym człowieku, w tym żonatym człowieku, z którym miała namiętny i burzliwy romans przez ponad rok, zanim wszystko ostygło.

- Myślisz, że to ktoś miejscowy? Jak miał na imię?

- Nie podpisywał się imieniem. Ona... - Cilla zerknęła przez ramię i zauważyła, że stoją bardzo blisko otwartego okna. Wzięła ojca za ramię i odciągnęła na bok. - Powiedziała mu, że jest w ciąży.

- W ciąży? Cilla, przecież była sekcja zwłok!

- Mogli to ukryć. Niewykluczone, że to nieprawda, co mu powiedziała, ale jeśli nie było to kłamstwo, dzięki któremu chciała go odzyskać, to mogli wszystko zatuszować. Groził jej. W ostatnim liście napisał, żeby nie ujawniała ich związku, bo zapłaci za to.

- Nie chcesz uwierzyć, że się zabiła... - zaczął Gavin.

- Samobójstwo czy nie, jest martwa. Chcę poznać prawdę.

Ona na to zasługuje, ja też. Ludzie od lat mówią o morderstwie i spisku. Może mają rację.

- Była narkomanką, kochanie. Narkomanką, która nie przestała rozpaczać po stracie dziecka. Nieszczęśliwą kochanką, która świeciła wspaniałym blaskiem przed kamerami, na scenie, ale która nigdy nie znalazła szczęścia z dala od nich. A kiedy zginął Johnnie, pogrzeżyła się w żalu, który tłumiała tabletkami i alkoholem.

- Wzięła sobie kochanka. I wróciła tutaj. Johnnie pocałował twoją byłą dziewczynę, a ty dzięki temu przeżyłeś. Drobne chwile zmieniają życie. I odbierają je. Chcę się dowiedzieć, jaka chwila, jakie wydarzenie zabrało jej życie. Nawet jeśli zrobiła to sama.

## ROZDZIAŁ 7

*Las Vegas 1954*

Janet podciągała plisowaną sukienkę bez rękawów i obracała się przed lustrem.

- Jak myślisz? - spytała Cillę. - Różowy jest bardziej elegancki, ale tak naprawdę chcę ubrać się na biało. Każda dziewczyna powinna tak się ubrać w dniu swego ślubu.

- Będziesz wyglądać pięknie. Będziesz piękna i młoda, i tak niewiarygodnie szczęśliwa.

- Jestem. Jestem piękna, młoda i szczęśliwa. Jestem gwiazdą filmu. Moja płyta jest na pierwszym miejscu na krajowej liście przebojów. Jestem zakochana.

Znowu zawirowała i znowu złotawe włosy unosiły się w powietrzu lśniącymi falami.

Nawet we śnie jej czysta radość tańczyła wokół niej i opływała skórę Cilli.

- Jestem szaleńczo zakochana w najwspanialszym, najprzystojniejszym mężczyźnie na świecie. Jestem bogata, jestem piękna, a świat - w tym momencie - należy do mnie.

- Będzie należał do ciebie bardzo długo - odparła Cilla.

Ale nie dość długo. Nigdy dość długo.

- Powinam upinać wysoko włosy. - Janet rzuciła sukienkę na łóżko, gdzie leżał już zmięty różowy brokat. - Wyglądam dojrzałej z upiętymi wysoko włosami. W studio nigdy się nie chcą na to zgodzić. Nie chcą, żebym już była kobietą, prawdziwą kobietą. Zawsze dziewczyną z sąsiedztwa, zawsze dziewczycą.

Śmiejąc się, zaczęła układać lśniące rozpuszczone włosy w kok.

- Nie jestem dziewczycą od piętnastego roku życia. - Janet napotkała w lustrze wzrok Cilli. Z radością mieszało się rozbawienie i odrobina pogardy. - Myślisz, że publiczność obchodzi, czy uprawiałam seks?

- Niektórych obchodzi. Niektórych będzie to obchodziło. Ale to twoje życie.

- Święte słowa. I moja kariera. Pragnę dorosłych ról i zamierzam je zdobyć. Frankie mi pomoże. Kiedy się już pobierzemy, pokieruje moją karierą. Wszystkim się zajmie.

- Tak - mruknęła Cilla. - Zajmie się.

- Och, wiem, o czym myślisz. - Stojąc w swojej białej jedwabnej halce, Janet upinała szpilki we włosy. - W ciągu roku złożę wniosek o rozwód. Potem pogodzimy się na krótko i on zrobi mi drugie dziecko. Teraz jestem w ciąży, ale jeszcze o tym nie wiem. Johnnie już rośnie w moim wnętrzu. Od mniej więcej tygodnia, ale już zaczął rosnać. Wszystko się dzisiaj zmienia.

- Uciekłaś do Vegas, poślubiłaś Frankiego Bennetta, który był niemal o dziesięć lat

starszy od ciebie.

- Vegas to był mój pomysł. - Janet wzięła z toaletki pojemnik i zaczęła rozpylać wokół duszące chmury lakieru do włosów. - Chciałam chyba wcisnąć im to na siłę. Janet Hardy, z tymi swoimi rolami, nie powinna nawet wiedzieć, że Vegas w ogóle istnieje. No i jestem, w apartamencie hotelu Flamingo, wkładając suknię ślubną. I nikt o tym nie wie prócz mnie i Frankiego.

Cilla podeszła do okna i wyrzała na zewnątrz.

W dole migotał basen, dalej ciągnęły się bujne ogrody. Jeszcze dalej widać było budynki, maleńkie i nieco tandetne. Kolory płówały, kształty rozmywały się, jak stare fotografie, które starała się połączyć w jeden krajobraz snu.

- Wszystko tak naprawdę będzie wyglądało inaczej. To znaczy Vegas - powiedziała Cilla.

- Jak to rozumiesz?

- Po ślubie z Frankiem Bennettem studio będzie robić wszystko, by zminimalizować szkody. Niepotrzebnie. Wyglądacie razem olśniewająco, to wystarczy. Iluzja dwojga cudownych zakochanych ludzi. A ty przyjmiesz pierwszą prawdziwie dorosłą rolę Sarah Constantine w *Pieśni serca*. Będziesz nominowana do Oscara.

- Dopiero po Johnnie. Będę miała Johnniego przed *Pieśnią miłości*. Nawet pani Eisenhower przyśle w podarunku zabawkę.

Skończę z tabletkami. - Postukała buteleczkę na toalecie, zanim się odwróciła, by wziąć sukienkę. - Wciąż potrafię to zrobić, ograniczyć tabletki, alkohol. Jest łatwiej, gdy czuję się szczęśliwa, tak jak teraz.

- A gdybyś wiedziała, co się stanie? Gdybyś wiedziała, że Frankie Bennett będzie cię zdradzał, będzie przegrywał twoje pieniądze, a marnował jeszcze więcej? Gdybyś wiedziała, że złamie ci serce i że podejmiesz pierwszą próbę samobójczą po loku... zdecydowałabyś się na to wszystko?

Janet zaczęła wciągać na siebie sukienkę.

- Gdybym się nie zdecydowała, to gdzie byś teraz była? - Odwróciła się do Cilli plecami. - Możesz zapiąć?

- Powiedziałaś... później powiesz, że twoja matka ofiarowała cię jak dziewicę studiu filmowemu, a studio wydarło z ciebie niewinność, kawałek po kawałku. I że Frankie Bennett wziął te kawałki i pociął jak konfetti.

- Studio zrobiło ze mnie gwiazdę. - Przypięła sobie klipsy z perłami. - Nie odeszłam. Pragnęłam tego, co mi dali, i dałam im swoją niewinność. Chciałam Frankiego i oddałam mu



to, co Pozostało.

Podniosła podwójny sznur pereł, a Cilla, domyśliwszy się, o co chodzi, wzięła je i zapięła na szyi Janet.

- Wykonam zdumiewającą pracę w ciągu następnych dziesięciu lat. Najlepszą. I nieźle mi pójdzie przez następne dziesięć.

No, prawie dziesięć - dodała ze śmiechem. - Ale kto to liczy?

Może potrzebowałam chaosu, by wznieść się na wyżyny. Kto wie? Kogo to obchodzi?

- Mnie.

Janet odwróciła się z miękkim uśmiechem i pocałowała Cillę w policzek.

- Szukałam przez całe życie miłości i dawałam ją zbyt często i zbyt intensywnie. Może gdybym szukała jej dostatecznie wytrwale, ktoś też odpłaciłby mi miłością. Czerwony pas! - Odwróciła się tanecznym ruchem, by złapać grubą szkarłatną szarfę leżącą pośród rzeczy rzuconych na łóżko. - To odpowiedni akcent, poza tym czerwony to ulubiony kolor Frankiego. Uwielbia mnie w czerwonym.

Zapięła pas, niczym wstęgę krwi, i wsunęła stopy w buty o tym samym kolorze.

- Jak wyglądam?

- Doskonale.

- Chciałabym, żebyś też przyszła, ale będę tylko ja i Frankie, no i stary śmieszny sędzia i kobieta, która gra na szpincie. Frankie przekaże to prasie, nic mi nie mówiąc, i w ten sposób nasze zdjęcie, na którym wychodzimy z tandetnej małej kaplicy, dostanie się do „Photoplay”. Potem zacznie się skandal. - Wybuchnęła śmiechem. - Ale numer!

Śmiała się bez końca i Cilla słyszała echo tego śmiechu, kiedy się obudziła.

Chcąc oderwać myśli od hałasu i wszystkiego, co ją zajmowało, Cilla spędziła właściwie całe dwa dni na sortowaniu dziesiątków pudeł i kufrów, które zaciągnęła do stodoły.

Zorientowała się już na początku, że matka zdążyła splądrować ten zbiór i zabrać wszystko, co uważała za wartościowe. Ale Dilly pominęła kilka skarbów. Często jej się to zdarzało, jak pamiętała Cilla; pragnąc za wszelką cenę położyć rękę na najbardziej olśniewającym przedmiocie, nie dostrzegała małych nieoszlifowanych diamentów.

Chociażby ta stara fotografia wetknięta w książkę. Janet, w zaawansowanej już ciąży, w leniwej pozie na leżaku nad stawem, pozująca przed obiektywem z olśniewająco przystojnym Rockiem Hudsonem. Albo scenariusz *Z fiołkami* - druga nominacja do Oscara dla Janet - zagrzebany na dnie kufra ze starymi kocami. Znalazła też małą pozytywkę w kształcie fortepianu, która grała *Dla Elizy* Beethovena. W środku tkwiła mała karteczka ze

słowami: „Od Johnniego, w Dniu Matki, 1961”, skreślonymi zamaszystym charakterem pisma Janet.

Zanim deszczowe popołudnie dobiegło końca, zgromadziła bezładny stos rzeczy przeznaczonych do wyrzucenia i kilka pudełek, które zamierzała zachować.

Kiedy wypchnęła taczkę ze śmieciami ze stodoły, stwierdziła, że deszcz zamienił się w kruchy blask słońca, a na podwórzu jest mnóstwo ludzi. Ford i jej architekt krajobrazu stali na mokrej trawie i śmiali się do siebie, razem z jakimś mężczyzną o stalowoszarych włosach, który miał na sobie lekką wiatrówkę. Od strony małego czerwonego pikapu zmierzał w ich stronę właściciel firmy dekarskiej, którego zatrudniła. Za nim dreptał mniej więcej dziesięcioletni chłopiec z dużym białym psem.

Spock, który przez chwilę wyglądał ciekawie zza nóg Forda, w końcu ruszył na palcach - jeśli to możliwe w przypadku czworonoga - i zbliżył się do białego psa, powąchał go, po czym przewrócił się na plecy i odsłonił brzuch w geście poddaństwa.

- Dzień dobry. - Cleaver z firmy „Cleaver - dachy i rynny” skinął jej na powitanie głową. - Właśnie kontrolowałem jedną robotę w okolicy i pomyślałem sobie, że wstąpię tu, wracając do domu. Zaczynamy jutro, jeśli pogoda będzie odpowiednia.

- Wspaniale.

- To moi wnukowie, Jake i Lester. - Mrugnął do Cilli. - Nie gryzą.

- Dobrze wiedzieć.

- Dziadku. - Chłopiec przewrócił wymownie oczami. - Lester to mój pies.

Gdy Cilla przykucnęła, by przywitać dużego psa, podbiegł do nich Spock, by upomnieć się o pieszczoty. Przesłanie było jasne: „Hej, to ja jestem pierwszy”.

Cleaver pozdrowił trzech mężczyzn, którzy zbliżali się do nich.

- Tommy, ty skurczy... - Cleaver zerknął na wnuka i uśmiechnął się nieznacznie. - Ty draniu. Myślisz, że uda ci się zagadać panią i namówić ją do sprzedaży. Kładę tu dach.

- Jak się masz, Hank? Nie mam zamiaru nic kupować. Sprawdzam, jak idzie mojemu chłopakowi.

- Cilla, to mój tata. - Brian, architekt krajobrazu, dotknął ojcowskiego ramienia. - Tom Morrow.

- To spryciarz, pani McGowan - ostrzegł ją Hank, mrugając okiem. - Proszę na niego uważać. W mgnieniu oka namówi panią do sprzedania tej posiadłości i postawi tu dwanaście domów.

- Na tej działce? Nie więcej niż sześć. - Tom uśmiechnął się do Cilli i wyciągnął rękę. - Witamy w Wirginii.

- Dzięki. Jest pan budowlancom?

- Developerem. Budownictwo mieszkaniowe i komercyjne.

Niezły projekt. Słyszałem, że zatrudniła pani porządnych fachowców. Z wyjątkiem obecnej tu firmy - oznajmił, szczerząc zęby do Hanka.

- Powiem ci coś, zanim ci dwaj wezmą się za łby - wtrącił Brian. - Mam kilka szkiców terenu, które chciałem ci pokazać.

Potrzebujesz pomocy przy tym sprzątnięciu?

Cilla potrząsnęła głową.

- Dam sobie radę. Przeglądałam właśnie rzeczy, które ściągnęłam ze strychu i przeniosłam do stodoły. Praca w sam raz na deszczowy dzień, jak sądzę.

Brian wziął z taczki powyginany toster.

- Ludzie przechowują najdziwniejsze rzeczy.

- Mogę o tym zaświadczyć.

- Sprzątaliśmy strych, kiedy matka zmarła - wtrącił Hank. - Znaleźliśmy całe pudło popękanych talerzy i drugie, pełne papierów. Rachunki ze sklepu spożywczego sprzed trzydziestu lat i Bóg wie, co jeszcze. Ale trzeba być ostrożnym przy takim sortowaniu, pani McGowan. Znaleźliśmy tam listy, które mój tata pisał, kiedy był na wojnie w Korei. Matka przechowywała wszystkie nasze świadectwa ze szkoły średniej - a było nas sześcioro. Nigdy nie wyrzuciła żadnego śmiecia, ale można było tam znaleźć naprawdę niesamowite rzeczy.

- Zamierzam wszystko dokładnie sprawdzić. Jak na razie jest to ciekawy zbiór pamiątek z obu stron rodziny.

- Zgadza się, to była kiedyś farma McGowanów. - Tom rozejrzył się wkoło. - Pamiętam, jak pani babka kupiła ją od starego McGowana, to było gdzieś około tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego. Mój ojciec miał chrapkę na tę ziemię, chciał kupić ją pod zabudowę. Zastanawiał się przez miesiąc, kiedy Janet Hardy ją nabyła, a potem doszedł do wniosku, że nowa właścicielka nie wytrzyma nawet pół roku, a on kupi tę posiadłość za bezcen.

Przeliczył się. To ładne miejsce. - Tom trącił syna w żebra. - Dopilnuj, żeby było jeszcze ładniejsze. Lepiej już pojedę. Powodzenia, pani McGowan. Jeśli będzie pani potrzebować informacji o wykonawcach, proszę tylko zadzwonić.

- Chętnie skorzystam.

- Ja też muszę lecieć. - Hank pociągnął za daszek czapki. - Podwożę wnuki na kolację.

- Dziadku, daj spokój z tymi wnukami.

- Będą gadać przez następne pół godziny - oznajmił Brian, kiedy jego ojciec i Hank szli w stronę czerwonego pikapu. - Ale naprawdę muszę się zbierać. - Podał Cilli dużą szarą kopertę. - Daj mi znać, co myślisz i jakie zmiany chcesz wprowadzić.

- Dobra, dzięki.

Brian wrzucił toster do kontenera i wycelował palec w Forda.

- Do zobaczenia, Rembrandt.

Ford parsknął śmiechem i pomachał mu.

- Na razie, Picasso.

- Rembrandt? - zainteresowała się Cilla.

- Stara historia. Czekał, o rany! - Kiedy podała mu kopertę do potrzymania i zaczęła pchać taczkę po rampie kontenera, Ford odsunął ją na bok. - Możesz sobie przeżyć mięśnie, kiedy tylko chcesz, ale nie wtedy, kiedy stoję z tym papierem, a obok są chłopaki.

Wetknął jej kopertę w dłonie, wjechał taczką po rampie i opróżnił ją do kontenera.

- Brian i ja potrafiliśmy rysować i jakoś tak się złożyło, że urządziliśmy sobie konkurs, no wiesz, części ciała i pozycje seksualne. Przyłapali nas, jak wymienialiśmy się kartkami w czasie nauki własnej. Kosztowało nas to trzy dni.

- Trzy dni czego?

Spojrzał na nią z góry.

- Zawieszania. Nie chodziłaś chyba do normalnej szkoły.

- Brałam prywatne lekcje. Ile mieliście wtedy lat?

- Mniej więcej czternaście. Uszy paliły mnie ze wstydu, kiedy matka mnie odbierała ze szkoły, a potem przez dwa tygodnie nie wolno mi było wyjść z domu. To była dopiero kara. Hm.

- Założę się, że jeszcze mają te rysunki - powiedziała Cilla, kiedy Ford sprowadził taczkę na dół. - A przyszłe pokolenia znajdą je na strychu.

- Tak myślisz? No cóż, były bardzo obiecujące i dowodziły żywej wyobraźni. Masz ochotę na przejażdżkę?

- Przejazdkę?

- Moglibyśmy się gdzieś wybrać na obiad, pójść do kina.

- Co grają?

- Nie mam pojęcia. Chodzi mi o popcorn i całowanie po szyi.

- Ciekawa propozycja - zawyrokowała. - Możesz odprowadzić taczkę do stodoły, a ja się w tym czasie umyję.

Kiedy już rzeczoznawca zaakceptował instalację elektryczną, Cilla przyglądała się, jak

Dobby i jego wnuk tynkują i wygładzają ściany w salonie. Doszła do wniosku, że sztuka może przybierać różne formy i że właśnie udało jej się znaleźć dwóch artystów. Wiedziała, że robota będzie szła powoli, ale efekt zapowiadał się doskonały.

- Wykonujecie też fikuśne elementy? - spytała Dobby'ego. - Medaliony, stiuki?

- Czasem. Nie ma na to w tej chwili wielkiego zapotrzebowania. Można kupić taniej gotowe ozdoby, więc większość ludzi tak robi.

- Ja to nie większość ludzi. Ozdoby nie bardzo by tu pasowały. - Opierając dłonie na biodrach, obróciła się dookoła pomieszczenia, gdzie wszystko było pozakrywane ochronnym materiałem. - Ale coś prostego i ciekawego, owszem. Także w głównej sypialni i jadalni. Nic szczególnie wyszukanego - rozmyślała głośno. - Żadne cherubiny ze skrzydłami czy zwieszające się kiście winogron. Może jakiś wzór. Coś celtyckiego... co przypominałoby gałęzie McGowanów i Moloneyów.

- Moloneyów?

- Co? Ach, przepraszam. - Rozkojarzona, znów spojrzała na Dobby'ego. - Tak powinna mieć na nazwisko moja babka, ale matka zmieniła je na Hamilton, kiedy Janet się urodziła. Potem wytwórnia filmowa zmieniła Hamilton na Hardy. Od Gertrudę Moloney do Trudy Hamilton, a potem do Janet Hardy. Kiedy była dziewczynką, mówili na nią Trudy - dodała i pomyślała o listach.

- Naprawdę? - Dobby potrząsnął głową i nabrał zaprawy na pacę. - Ładne, staromodne imię: Trudy.

- I nie dość błyskotliwe dla Hollywood, w każdym razie nie wtedy, kiedy się tam zjawiała. Powiedziała w jednym z wywiadów, że nikt już nie mówi do niej Trudy, kiedy wymyślili tę Janet. Nawet w rodzinie. Ale czasem patrzyła w lustro i witała się z Trudy, żeby sobie przypomnieć, jak ma naprawdę na imię. No dobra, jeśli wymyślę jakiś wzór, to pogadamy o tym na górze.

- Nie ma sprawy.

- Pogrzebię w papierach. Może uda nam się... przepraszam - powiedziała, kiedy odezwała się jej komórka w kieszeni. Wyciągnęła ją i stłumiła westchnienie, poznając numer matki. - Przepraszam - powtórzyła i wyszła na zewnątrz. - Cześć, mamó.

- Myślałaś, że się nie dowiem? Myślałaś, że nie zobaczę?

Cilla oparła się o kolumnę werandy i skierowała wzrok ku ładnemu domowi Forda po drugiej stronie drogi.

- U mnie wszystko w porządku, dziękuję. Jak się czujesz?

- Nie masz prawa mnie krytykować, osądzać. Winić mnie - Podkreśliła to słowo.

- W jakim kontekście?

- Oszczędź sobie sarkazmu, Cilla. Wiesz doskonale, o czym mówię.

- Naprawdę nie wiem.

Co robi Ford - zastanawiała się Cilla. Czy rysował? Pisał? Zamieniał ją w wojowniczą boginię? W kogoś, kto stawiałby czoło złu zamiast kalkulować i kombinować, jak rozciągnąć budżet, żeby starczyło na ręcznie wykonane medaliony z gipsu, albo jak poradzić sobie z irytacją matki na odległość.

- Chodzi o artykuł w gazecie. O tobie, o farmie. O mnie.

Podchwyciła to Associated Press.

- Naprawdę? I to cię denerwuje? Przecież to publicity.

- „Celem pani McGowan jest odbudowanie i przywrócenie szacunku wobec zaniedbanego dziedzictwa. Oświadcza przy akompaniamencie walących młotów i brzęczenia pił: Moja babka zawsze mówiła o Małej Farmie z miłością i nadmieniała, że było to dla niej magiczne miejsce od samego początku. Fakt, że kupiła dom i ziemię od mojego pradziadka ze strony ojca, stanowi dla mnie jeszcze jedno niezwykle silne ogniwo rodzinne”.

- Wiem, co powiedziałam, mamó.

- „Moim celem, może nawet misją, jest złożenie hołdu swojemu dziedzictwu i swoim korzeniom, nie tylko przez odnowienie domu i jego otoczenia, ale także przywrócenie im blasku. I to z szacunkiem dla ich integralności i dla społeczności”.

- Brzmi trochę pompatycznie - przyznała Cilla. - Ale tak właśnie jest.

- I tak dalej, i tak dalej, ulubione miejsce dla znakomitości w czasach wizyt Janet Hardy. Niegdyś sielska kraina dla jej dzieci, teraz zaś obłaząca farba, przegniła roślinność i zarośnięte dziko ogrody, efekt wieloletnich zaniedbań i braku zainteresowania ze strony córki Janet Hardy, Bedelii, która próbowała pójść w matczyne ślady. Jak mogłaś pozwolić, by coś takiego wydrukowali?

- Wiesz równie dobrze jak ja, że nie da się kontrolować prasy.

- Nie chcę, żebyś udzielała jakichkolwiek wywiadów.

- I powinnaś też wiedzieć, że nie możesz kontrolować tego, co robię czy nie robię. Koniec z tym. Wykorzystaj to, mamó.

Wiesz, jak. Żał nie pozwalał ci tu wrócić i tak dalej. Każdą szczęśliwą godzinę, którą tu spędziłaś, pogrążało w mroku, a nawet tłumilo, wspomnienie matczynej śmierci. Zyskasz współczucie i reklamę.

Długie milczenie po drugiej stronie oznaczało, że matka rozważa wszystkie za i przeciw, o czym Cilla doskonale wiedziała.

- To miejsce jest dla mnie grobem. Jak mogłabym myśleć inaczej?

- No widzisz.

- Tobie jest łatwiej. Patrzysz na to inaczej. Nigdy jej nie znałaś. Dla ciebie jest tylko obrazem, fragmentem filmu, zdjęciem.

Dla mnie była istotą z krwi i kości. Była moją matką.

- Okej.

- Byłoby lepiej dla wszystkich, gdybyś weryfikowała wywiady ze mną albo z Mariem. I uważam, że każdy dziennikarz, który pracuje dla porządnej gazety, skontaktowałby się z moimi ludźmi w sprawie komentarza czy cytatu. Dopilnuj, żeby tak się stało następnym razem.

- Wcześniej wstałaś - zauważyła Cilla wymijająco.

- Mam próby, przymiarki kostiumu. Jestem wykończona, zanim jeszcze zacznę.

- Jesteś weteranką sceny. Chcę cię o coś spytać. Czy wiesz, z kim babka była związana przez mniej więcej ostatni rok przed śmiercią?

- Uczuciowo? Ledwie mogła sama wstać z łóżka przez kilka pierwszych tygodni, kiedy zginął Johnnie. Albo piła i wołała, że chce widzieć ludzi i wydać przyjęcie. Najpierw do mnie Ignęła, a w chwilę później mnie odpychała. To mnie przerażało, Cilla.

Straciłam brata i matkę, którzy byli sobie bardzo bliscy. I tak naprawdę straciłam ich oboje tamtej nocy, kiedy zginął Johnnie.

Cilla wierzyła, że jest to głęboko i boleśnie prawdziwe, i dlatego powiedziała łagodniejszym tonem:

- Wiem. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jakie to musiało być straszne.

- Nikt nie może sobie wyobrazić. Byłam sama. Skończyłam ledwie szesnaście lat i byłam sama. Ona mnie porzuciła, Cilla. W tym domu, który chcesz za wszelką cenę zamienić w jej świątynię.

- Nie zamierzam tego robić. Z kim była związana, mamó? Sekretny romans, żonaty mężczyzna. Romans, który skończył się fiaskiem.

- Miała romanse. Dlaczego nie? Była piękna i pełna życia. I potrzebowała miłości.

- Chodzi mi o konkretny romans, w tamtym czasie.

- Nie wiem. - W głosie Dilly pojawiła się twarda nuta. - Staram się nie myśleć o tamtym czasie. To było dla mnie piekło.

Dlaczego cię to interesuje? Po co to wyciągać? Nienawidzę tych wszystkich teorii i spekulacji.

Postępuj ostrożnie - upomniała się w myślach Cilla.

- Jestem po prostu ciekawa. Słyszysz się plotki, poza tym spędziła tu sporo czasu przez ten ostatni rok, a właściwie półtora roku. Nie była z nikim tak naprawdę związana w Los Angeles, o ile wiem. To mi do niej nie pasuje - obywać się długo bez mężczyzny, kochanka.

- Mężczyźni nie mogli się jej oprzeć. Dlaczego ona miałaby się im oprzeć? Potem ją porzucali. Zawsze tak robią. Składają obietnice, których nie dotrzymują. Oszukują, kradną i Bóg jeden wie, że nie potrafią znieść kobiety, która odnosi sukcesy.

- Więc jak mają się sprawy z num... z Mariem?

- Stanowi wyjątek od reguły. Wreszcie znalazłam mężczyznę, którego potrzebuję. Mamie się to nigdy nie udało. Nigdy nie znalazła nikogo wartego siebie.

- I nigdy nie przestała szukać - drażyła Cilla. - Przecież pragnęła pociechy, miłości i wsparcia, zwłaszcza po śmierci Johnniego. Może szukała tutaj, w Wirginii.

- Nie wiem. Nigdy nie zabrała mnie już ze sobą na farmę.

Mówiła, że musi być sama. Zresztą nie chciałam wracać. To było zbyt bolesne. Dlatego nie przyjeżdżałam tam przez te wszystkie lata. To wciąż zbyt świeża rana w moim sercu.

No i zatoczyliśmy pełne koło - pomyślała Cilla.

- Tak jak mówiłam, jestem po prostu ciekawa. Jeśli coś lub ktoś przyjdzie ci do głowy, daj mi znać. Kończmy, lepiej idź już na próbę.

- Och, niech trochę poczeka! Mario wpadł na wspaniały pomysł. To fenomenalne i taka okazja dla ciebie. Opracujemy duet, ty i ja, w drugim akcie. Składanka piosenek mamy z fragmentami i zdjęciami z jej filmów na ekranie za naszymi plecami.

Na koniec zaśpiewamy we trzy *Dam sobie radę*; przywołamy ją na scenę, tak jak zrobili to z Elvisem i Celiną Dion. Mario prowadzi rozmowy z HBO w sprawie transmisji.

- Mamo...

- Musisz tu przyjechać w przyszłym tygodniu na próby, omówić projekt kostiumu i choreografię. Wciąż pracujemy nad kompozycją, ale numer potrwa jakieś cztery minuty. Cztery wspaniałe minuty, Cilla. Chcemy ci dać prawdziwą szansę na comeback.

Cilla zamknęła oczy, zastanawiając się, czy nie lepiej będzie odłożyć słuchawkę, ale w końcu zrezygnowała z tej myśli.

- Doceniam to, naprawdę. Ale nie chcę wracać, ani w sensie geograficznym, ani zawodowym. Nie chcę występować. Chcę budować.

- Będiesz budować. - Entuzjazm w głosie matki zawędrował na drugi koniec kontynentu. - Swoją karierę. I pomagać mi.

Trzy kobiety o nazwisku Hardy, Cilla. To wydarzenie.



Moje nazwisko brzmi McGowan - pomyślała Cilla.

- Uważam, że będzie lepiej, jeśli wystąpisz sama. Duet z Janet? To mogłoby być cudowne, wzruszające.

- To tylko cztery minuty, Cilla. Możesz poświęcić mi cztery pieprzone minuty w ciągu jednego wieczoru raz na kilka tygodni. I zmieni to twoje życie. Mario mówi...

- Właśnie skończyłam je zmieniać i podoba mi się tu, gdzie jestem. Muszę kończyć. Mam robotę.

V Cilla przerwała połączenie i schowała komórkę starannie do kieszeni. Usłyszała, jak ktoś odchrząkuje za jej plecami; obróciła się i zobaczyła Matta stojącego w drzwiach.

- Właśnie położyli fugę w łazience na górze. Pomyślałem sobie, że chciałabyś ją zobaczyć.

- Tak. Więc będziemy instalować jutro armaturę.

- Zgadza się.

- Pójdę tylko po młot. Możemy zacząć rozwalać tę ścianę.

Jestem w nastroju do demolki.

Niewiele było rzeczy bardziej satysfakcjonujących niż rozwalenie czegoś w drobny mak - oceniła Cilla. Uwalniało frustrację, przynosiło krótką i dziką radość i zaspokajało wszelkiego rodzaju mroczne fantazje. Nie mogła zaprzeczyć, że było to - na kilku poziomach - tak terapeutyczne jak dobry seks.

A ponieważ nie uprawiała seksu - dobrego czy innego - w tym momencie, rozwalanie ścian załatwiało sprawę. Mogłaby go teraz uprawiać - pomyślała, wychodząc z domu i ciągnąc za sobą ślad gipsu. Ford ze swymi magicznymi ustami dowodził tego dobitnie.

Ale była tu w trakcie swoistego moratorium, będącego częścią programu zmiany życiowej, jak przypuszczała. Nowy świat, nowe życie, nowy styl. I znalazła w tym wszystkim nową Cillę McGowan.

Podobała jej się.

Musiała przebudować dom, zdobyć licencję przedsiębiorcy budowlanego i założyć interes. I odkryć tajemnicę rodzinną. Planowanie seksu ze swoim nowym sąsiadem nie byłoby najmądrzejszym posunięciem.

Oczywiście, musiał akurat stać na swojej werandzie, kiedy wyszła z domu, myśląc o seksie. I łaskotanie, które czuła gdzieś w dole, kazało jej zadać sobie pytanie, czy rzeczywiście, całkowicie i bezwarunkowo, należało się od tego powstrzymać. Oboje byli dorośli, niezwiązani z nikim, zainteresowani sobą, więc dlaczego nie miałyby podejść tam i zaproponować, żeby spędzili razem wieczór? Robiąc coś bardziej konkretnego niż picie

piwa?

Od razu do rzeczy. Żadnych tańców, udawania, złudzeń. Czy nie tego pragnęła prawdziwa Cilla? Pochyliła głowę, zastanawiając się nad tym. Z daszka jej czapki spadł deszcz tynku.

Może najpierw powinna wziąć prysznic.

- Jesteś słaba i żalosna - mruknęła i, śmiejąc się z samej siebie, ruszyła na tyły domu, gdzie przebywała ekipa od architektury krajobrazu.

Usłyszała głęboki, gardłowy dźwięk supersilnika i obróciła się. Drogą pędził czarny, smukły harley i niczym pocisk śmignął przez otwartą bramę. W chwili, gdy spod kół trysnął żwir, podbiegła do motoru, śmiejąc się radośnie.

Motocyklista zeskoczył ze swojego wehikułu, wylądował na podrapanych wojskowych butach i chwycił Cillę w biegu.

- Cześć, laleczko!

Obrócił nią raz, a potem ucałował serdecznie.

## ROZDZIAŁ 8

Kto to, u diabła, był? I dlaczego, do licha, ją całował?

Ford stał z puszką coli w dłoni, już po kawie i przed piwem, wpatrując się w mężczyznę, do którego w tej chwili przywierała Cilla - jak na przykład sumak do dębu.

Co to za facet z kucykiem? I w butach wojskowych? I dlaczego te ręce - gość nosił mnóstwo pierścionków, na litość boską - głaskały tyłek Cilli?

- Odwróć się, kolego. Odwróć się i zdejmij te gogle, żebym lepiej mógł przyjrzeć się twojej twarzy.

Spock, świadomy tonu, jakim przemawiał jego pan, wydał z siebie niskie, pełne aprobaty warczenie.

- Jezu, ma wytatuowane całe ramię, aż do rękawa podkoszulka. Widzisz to? Widzisz? - spytał, a pies mruknął coś niewyraźnie.

A ten blask? Ach tak, to był kolczyk w uchu.

- Zabierz te łapy, koleś. Masz zabrać te łapy, bo inaczej... - Ford popatrzył na swoje i ze zdziwieniem zauważył, że zgniótł puszkę coli, a jej zawartość oblewa mu palce.

Ciekawe - pomyślał. Zazdrość? Nie był typem zazdrośnika. A jeśli? Okej, może zdarzyło mu się to ze dwa razy w szkole średniej i ten jeden raz w college'u. Ale tak to jest, kiedy się dojrzewa. Z pewnością nie wkurzyłyby się z powodu jakiegoś wytatuowanego faceta z kolczykiem, całującego kobietę, którą on, Ford, znał zaledwie od miesiąca.

Okej, może wpadła mu w oko. I Spockowi, co musiał przyznać, gdy pies przeżył się, powarkując i mrucząc. Ale mógł też tłumaczyć tę reakcję swoją pracą i główną rolą, jaką ta kobieta w niej odgrywała. Jeśli strzegł swojego terenu, to był to tylko produkt uboczny jego roboty. Nic ponad to.

Może trochę więcej, ale żaden mężczyzna nie lubi stać i patrzeć, jak kobieta przykleja się wargami do jakiegoś obcego, kiedy jeszcze kilka dni temu kleiła się wargami do niego. Mogłaby przynajmniej nie afiszować się tym na jego oczach i wejść do środka, gdzie...

- Cholera! Cholera! Wchodzą.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś.

- Mówiłem ci, że zajrzę, jeśli będę miał czas.

- Nie sądziłam, że go znajdziesz albo że będziesz pamiętał, by tu wpaść.

Steve opuścił okulary i popatrzył na Cillę swoimi głębokimi i marzycielskimi oczami o kasztanowej barwie.

- Kiedy o tobie zapomniałem?

- Mam ci pokazać listę?

Roześmiał się i trącił ją w biodro, kiedy wchodzili do środka.

- Owszem, zapomniałem, kiedy się opłacało. O rany! - Zatrzymał się w drzwiach, obrzucił wzrokiem wnętrze, plamy wysychającego tynku, pstrokaciznę porysowanych podłóg i narzuty ochronne na sprzętach. - Wspaniale!

- Prawda? I potem też będzie wspaniale.

- Niezła przestrzeń. Usunęłaś deski z podłóg. Położysz orzech?

- Pewnie.

- Świetnie.

Przechadzał się po pomieszczeniach, rzucając pracownikom, którzy sprząтали po całym dniu roboty, zwyczajowe: „Jak leci?”.

Poruszał się zwinnie i wyglądał na drobnego. Ale Cilla wiedziała, że wygląd może być mylący. Pod T - shirtem i džinsami był umięśniony. Steve Chensky rzeźbił swoje ciało z zapalem ewangelisty.

Cilla pomyślała, że gdyby chociaż w połowie tak ciężko pracował nad muzyką, to dawno przestałby być początkującym artystą i stałby się prawdziwą gwiazdą rocka. Tak przynajmniej mu mówiła, i to wielokrotnie. Z drugiej strony, gdyby posłuchał, życie ich obojga mogłoby przybrać zupełnie inny obrót.

Przystanął w kuchni, po czym obejrzał dokładnie wnętrze przez ciemne okulary. Nosił je zatknięte za podkoszulek pod szyją.

- Jaki jest tu plan?

- Zobacz.

Zaczęła wertować notatnik leżący na jedynym ocalałym blacie szafki i po chwili znalazła najlepszy szkic.

- Nieźle, Ciii. Wygląda nieźle. Dobry ciąg komunikacyjny, dobra przestrzeń robocza. Wszystko ze stali nierdzewnej?

- Nie, kazałam odnowić urządzenia z lat pięćdziesiątych. Słuchaj, Steve, są niesamowite. Szukam odpowiednich kranów. Zastanawiam się, czy nie wybrać miedzianych. Czegoś staromodnego.

- Będzie cię kosztować.

- Owszem, ale to dobra inwestycja.

- Granitowe blaty?

- Zastanawiałam się, czy nie użyć szlifowanego betonu, ale jak by pasował? Musi być granit. Nie wybrałam jeszcze odpowiedniego, ale szafki są właśnie w robocie. Szklane fronty,

miedziane szprosy. Prawie się zdecydowałam na białe, ale chcę czegoś ciepłego, więc będą wiśniowe.

- Muszą jakieś być. - Tym razem trącił ją łokciem. - Zawsze miałaś smykałkę do tych spraw.

- Otworzyłeś odpowiednie drzwi, więc wykorzystałam to.

- Ja je otworzyłem, a ty wyważyłaś. Odwiedziłem dom w Brentwood, zanim wyruszyłem do Nowego Jorku. Ze względu na stare czasy. Wciąż nieźle wygląda. Masz piwo?

Otworzyła lodówkę i wyjęła dwie puszki.

- Kiedy musisz wracać do Los Angeles?

- Mam dwa tygodnie. Zakwateruj mnie w zamian za robotę.

- Mówisz poważnie? Jesteś zatrudniony.

- Jak za dawnych czasów - powiedział i stuknął się z nią butelką. - Pokaż mi resztę domu.

Ford czekał na właściwy moment. Czekał całą godzinę, kiedy ekipa budowlana odjechała. Uważał, że nic nie zaszkodzi tam zajrzeć. Przyjacielska wizyta. Popatrzył spode łba na harleya i gdy Spock obsikał obficie przednie koło, przykucnął, żeby przybić piątkę swemu najbardziej lojalnemu przyjacielowi.

Jeździł kiedyś na motorze. Odbył kilka rundek w swoim czasie. Okej, jedną rundkę. Nie lubił po prostu mieć robaków na zębach.

Ale mógłby prowadzić motor, gdyby tylko chciał.

Wsunął dłonie w kieszenie spodni i oparł się pokusie, by wymierzyć harleyowi kopniaka. Usłyszał muzykę - tym razem był to ostry rock - i zamiast wejść od frontu ruszył na tyły, skąd dobiegał dźwięk.

Rozsiedli się na stopniach werandy z dwiema butelkami piwa i paczką doritos. Jego ulubionym doritos, jak zauważył. Z głową opartą o słupek balustrady, Cilla śmiała się tak głośno, że zagłuszała muzykę. Jej śmiech przewiercał go na wylot.

Wytatuowany facet szczyrzył do niej zęby w sposób, który świadczył dobitnie o miłości, intymności i wspólnej przeszłości.

- Nigdy się nie zmienisz. A gdybyś... Cześć, Ford.

- Hej!

Spock zbliżył się sztywno do wytatuowanego faceta.

- Steve, to jest Ford, mój sąsiad z naprzeciwka. A to jest Spock.

Steve zboczył z drogi, jadąc z Nowego Jorku do Los Angeles.

- Jak się masz? Hej, stary, co tam u ciebie? - zwrócił się Steve do psa, tarmosząc jego wielki łeb swoją upierścienioną dłonią.

Ford skrzywił z odrazą wargi, kiedy pies - jego lojalny przyjaciel - oparł czule głowę na kolanie Steve'a.

- Masz ochotę na piwo? - spytał Steve, drapiąc Spocka po grzbiecie.

- Pewnie. Jeździsz po kraju harleyem?

- Jedyne sposob podróżowania. - Steve otworzył butelkę i podał ją Fordowi. - Motor to moja dziewczyna, moja jedyna prawdziwa miłość. Oprócz Cilli, oczywiście.

Cilla parsknęła.

- Wciąż stawiasz motor na pierwszym miejscu, jak widzę.

- Nigdy mnie nie opuści, tak jak ty to zrobiłaś. - Steve klepnął Cillę w kolano. - Byliśmy kiedyś małżeństwem.

- Ty i motocykl?

Na tę uwagę Steve odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Wciąż jesteśmy małżeństwem. A z Cillą tylko byliśmy.

- Tak, około pięciu minut.

- Daj spokój. Co najmniej piętnaście. Przysiądź się - zaproponował Steve Fordowi.

Byłoby grzecznie i rozsądnie wycofać się teraz, odejść. Ale Ford nie miał najmniejszej ochoty zachowywać się grzecznie czy rozsądnie. Usiadł. I posłał Spockowi takie spojrzenie, że ten spuścił łeb.

- A więc mieszkasz w Los Angeles.

- Moje miasto.

- To Steve wkręcił mnie w interes. Kupowanie domów z myślą o ich sprzedaży - dodała Cilla. - Pewnego dnia potrzebował kogoś do niewolniczej pracy i zatrudnił mnie. Spodobało mi się.

Więc najął mnie do następnej roboty.

- Kiedy byliście małżeństwem - zauważył Ford.

- Nie, skąd, lata później.

- Pisałaś scenariusz, kiedy byliśmy małżeństwem.

- Nie, podkładałam wtedy głos i nagrywałam. Scenariusz zasnąłam pisać później.

- Racja, racja. Pracowałam przy jednej sesji z Cillą, zarobiłam trochę forsy i nawiązałam kontakty, próbując jednocześnie ruszyć ze swoją kapelą.

- Jesteś muzykiem - zauważył Ford; można się było tego spodziewać.

- W tej chwili jestem przedsiębiorcą budowlanym, który grywa na gitarze i ma

program w telewizji.

- *Rock the House* - dodała Cilla. - Wiesz, ten, w którym pokazują przebudowę domu, urządzenie, sprzedaż. Tak nazywała się firma budowlana Steve'a.

Facet z TV - pomyślał Ford. Tego też można się było spodziewać.

- Zajmowałem się budownictwem dla forsy w czasach, kiedy chciałem być gwiazdą rocka - ciągnął Steve. - Namówiłem Cillę, żeby sfinansowała mój pierwszy projekt, kiedy zorientowałem się, że rynek nieruchomości idzie w górę, a ta historia z kapelą przygasła. Spodobało się dziewczynie. Ten dom wiktoriański po drugiej stronie drogi to twoja chałupa?

- Tak.

- Niezła. Wiesz, gdzie można w okolicy dostać pizzę?

Pizza była hasłem wywoławczym dla Spocka, który podniósł swój bezwstydną łeb i rozpoczął taniec radości.

- Na wynos czy na miejscu?

- Na wynos, stary. Ja płacę.

- Mam numer pizzerii - powiedziała Cilla. - Chcesz taką, jak zwykle?

- Jasne.

- Ford?

- Zdaję się na twój wybór.

- Zamówię.

Kiedy Cilla weszła do domu, Steve łyknął piwa.

- Sam przebudowałeś swój dom?

- Nie, kupiłem go w takim stanie.

- Czym się więc zajmujesz? Co robisz po drugiej stronie drogi?

- Piszę powieści rysunkowe.

- Nie gadaj. - Steve trącił Forda butelką w ramię. - Coś w rodzaju *Mrocznego rycerza i Z piekła?*

- Bardziej w stylu *Mrocznego rycerza*. Lubisz takie książki?

- Pochłaniałem komiksy na śniadanie, obiad i kolację, kiedy byłem dzieciakiem. Ale te powieści odkryłem dopiero kilka lat temu. Może nawet czytałem którąś z twoich. Zaraz, cholera, ty jesteś Ford Sawyer? - W kasztanowych oczach pojawił się błysk dziecięcego podniecenia. - To ty jesteś autorem pieprzonego *Poszukiwacza?*

Więc może facet nie był takim skończonym dupkiem - zdecydował Ford.

- Tak, zgadza się.

- Niesamowite. Nie z tej ziemi. Zobacz.

Steve wstał, podciągnął podkoszulek i odwrócił się. Na jego plecach, między innymi wizerunkami, znajdował się na lewej łopatce tatuaż przedstawiający Poszukiwacza.

- No... rany - zdołał tylko zauważyć wygadany zwykle Ford.

- Ten twój facet jest absolutnie niesamowity. Rozumiesz, robi wrażenie. Cierpi, a ja to czuję. - Steve walnął się pięścią w pierś. - Ale się nie daje. Zbiera się do kupy i robi to, co musi.

I drań potrafi przenikać pieprzone ściany! Jak ty wymyślasz takie rzeczy?

- Jezus, Steve, znowu się rozbierasz? - spytała Cilla, stając w drzwiach.

- Masz po drugiej stronie drogi samego Forda Sawyera. Tego, który stworzył Poszukiwacza.

Cilla przyjrzała się tatuażowi, który Steve poklepał, zerknąwszy przez ramię.

- Kiedy zamierzasz z tym skończyć?

- Kiedy całe moje ciało będzie opowiadać jakąś historię.

Wciąż mam cię na swoim tyłku, laleczko.

- Nie ściągaj spodni - uprzedziła, znając go doskonale. - Pizzę przywiozła za jakieś pół godziny, może nawet szybciej.

- Wezmę prysznic. - Steve klepnął Forda w ramię i podrapał uszczęśliwionego Spocka za uchem. - Ten pies jest wspaniały.

Kiedy drzwi z siatką ochronną zamknęły się za nim, Ford zaczął studiować z uwagą swoje piwo.

- To było dosyć dziwne.

- To był Steve.

- Z którym byłeś w związku małżeńskim przez pięć minut.

- Praktycznie pięć miesięcy. - Znowu usiadła i wyciągnęła drugie nogi. - Czekasz pewnie na moją opowieść.

- Byłbym idiotą, gdybym nie czekał.

- Nie jest aż tak ciekawa. Poznaliśmy się, zaiskrzyło. Chciał być gwiazdą rocka, a ja, w wieku siedemnastu lat, byłam aktorką, która już próbuje wrócić na scenę. Tyle że nie bardzo chciałam, nawet wtedy. A Steve stanowił dokładne przeciwieństwo tego, czego wszyscy ode mnie oczekiwali. Był więc idealny.

- Dobra dziewczyna spotyka złego chłopaka.

- Coś w tym rodzaju. Mimo wszystko ja nie byłam taka dobra, a on nie był taki zły. Kochaliśmy się, bawiliśmy świetnie, a seks był naprawdę niezły. Czego więcej można pragnąć? Więc gdy tylko skończyłam osiemnaście lat, zwaliśmy i wzięliśmy ślub. Po mniej



więcej pięciu minutach zaczęliśmy się zastanawiać - po kiego diabła to zrobiliśmy? - Odchyliła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem. - Nie chcieliśmy się wiązać, ani z sobą, ani z nikim innym. Chcieliśmy być przyjaciółmi, przebywać razem i może od czasu do czasu zabawić się w dobry seks. Więc załatwiliśmy sprawę, zanim cokolwiek zaczęło się paskudzić; wciąż się kochamy. Jest najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałam. I pomijając tatuaże, to najbardziej stały i solidny człowiek.

- Nie zawiódł cię.

Cilla popatrzyła na niego i przytaknęła.

- Ani razu. Nigdy. Nie mogłabym robić tego, co tu robisz, gdyby nie Steve. On mnie nauczył. To przedsiębiorca budowlany w piątym pokoleniu. Ta historia z rockiem to bunt przeciwko tradycji, można powiedzieć. Hej, człowieku, walę gitarą, nie młotem. Ale w końcu się zorientował, że lepiej mu idzie, i to znacznie lepiej, z młotem. Pożyczyłam mu trochę pieniędzy na pierwszy dom, smutną małą rudere w południowym Los Angeles. Poszło mu dobrze, spłacił mnie, kupił następny dom. Spytał, czy chcę wejść do interesu, i tak już poszło. Teraz ma własną firmę i swój program w telewizji. Wciąż odnawia małe smutne rudery i handluje nieruchomościami wartymi milion dolarów.

Otwiera filię w Nowym Jorku, mówi się także o emisji jego programu na wschodnim wybrzeżu. Pojechał tam, żeby to omówić, a w drodze powrotnej do Los Angeles zajrzał tutaj.

- I ma twój wizerunek wytatuowany na tyłku.

- Przez wzgląd na dawne czasy. Masz jakieś?

- Tatuaże? - Dziwne, ale poczuł się głupio. - Nie. A ty?

Uśmiechnęła się, popijając piwo.

- Wiele może się zdarzyć w ciągu pięciu minut małżeństwa.

Ford dokończył pizzę i zaczął się zastanawiać, jakiego rodzaju tatuaż wybrała sobie Cilla i gdzie kazała go sobie zrobić.

Ponieważ wiedział, że ta myśl już go nie opuści, doszedł do wniosku, że Brid powinna mieć coś takiego. Po powrocie do domu zaczął szukać odpowiednich symboli, dzięki czemu przestał się obsesyjnie zastanawiać, czy Cilla i Steve rozmawiają o przebudowie, czy też uprawiają dobry seks.

Okolo drugiej nad ranem jego oczy i energia dały za wygraną. Mimo to ciekawość zaprowadziła go do jednego z okien frontowych, by po raz ostatni popatrzeć na dom po drugiej stronie drogi. Jego usta wykrzywił leniwy uśmiech, kiedy ciemność przeciął strumień światła z latarki, zmierzający w stronę stodoły.

Jeśli Steve zamierzał tam spać, to dobry seks nie znajdował się w jego nocnych

planach.

- I niech tak pozostanie - mruknął Ford, zdejmując ubranie i padając twarzą na łóżko.

- Słyszałaś to? - Steve szturchnął Cillę, wybijając ją ze snu, co nie było trudne, skoro leżeli w tym samym śpiworze.

- Co? Nie. Zamknij się.

Przekręcając się na drugi bok, Cilla przyrzekła sobie, że następnej nocy Steve poszuka sobie innego legowiska.

- Coś słyszałem. Jakby jęk, wiesz, kiedy otwierają się drzwi opuszczonego domu w jakimś horrorze. Powinniśmy to sprawdzić.

- Pamiętasz, co ci powiedziałam, kiedy zaproponowałeś seks?

- Powiedziałaś: „nie”.

- Teraz odpowiedź brzmi tak samo. Kładź się spać.

- Nie wiem, jak możesz spać w takiej ciszy. - Zaczął się przekręcać, aż w końcu wtuliła się w niego. - Potrzebujesz odrobiny hałasu.

- Potrzebuję drugiego śpiwora.

- Ostra jesteś. - Pocałował ją w czubek głowy. - Będzie ci przykro, kiedy wpadnie tu jakiś mieszkaniec gór o obłąkanym wzroku i z tasakiem w ręku.

- Jeśli tak się stanie, obiecuję, że cię przeproszę. A teraz się zamknij i śpij. Robotnicy przychodzą o siódmej.

Wyszukane mosiężne wezglowie łóżka uderzało rytmicznie o czerwoną ścianę, a temu dźwiękowi towarzyszyły jej krzyki rozkoszy. Snop księżycowego światła dobywał z mroku te niebieskie kryształowe oczy, które lśniły teraz, kiedy się w nią zagłębiał. Wykrzykiwała jego imię, niemal śpiewnie, podczas gdy jej ciało falowało pod nim.

Ford! Ford!

Hej, Ford!

Obudził się z imponującą poranną erekcją; w oczy świeciło mu słońce, czuł też lekkie zakłopotanie, że to Steve wołał jego imię. Ale dzięki temu czuł przynajmniej, jak opuszcza go powoli podniecenie.

Ford wystawił głowę przez okno i odkrzyknął: „Cześć!”. Wciągnął dzinsy i poczłapał na dół.

- Mam pączki - oznajmił Steve, kiedy Ford otworzył drzwi.

- Hm?

- Hej, człowieku, wyciągnąłem cię z wyra?

Ford gapił się na przyjacielski uśmiech Steve'a i na torebkę w jego dłoniach.

- Kawa.

- Rozumiem.

Kiedy Ford się odwrócił i ruszył zaspany w stronę kuchni, Steve podążył za nim.

- Wspaniały dom, człowieku. Mówię poważnie. Wykorzystanie przestrzeni, wybór materiałów. Myślałem, że wstałeś, kiedy Cilla przyszła tu poćwiczyć. Wykombinowałem sobie, że przehandluję pączki za prawo korzystania z siłowni.

- Okej.

Ford umieścił kubek na swoim miejscu, włączył ekspres do kawy, potem położył pudełko Steve'a na blacie szafki. Zapach uderzył go z siłą gromu.

- Kofeina i cukier. - Steve uśmiechnął się szeroko, kiedy Ford wziął pączka. - Najlepszy sposób, żeby zacząć dzień, jeśli nie liczyć seksu.

Ford mruknął coś i wstawił do ekspresu drugi kubek.

- W domu Cilli od samego rana trwa wściekła robota, więc wybrałem się na poszukiwanie pączków. Budowlańcy uwielbiają pączki. Hej, człowieku, spójrz na swojego psa.

Ford zerknął w stronę okna i zobaczył, jak Spock biega, skacze i węszy przy ziemi.

- Tak, to koty.

- Że co?

- Poluje na koty. Takie magiczne, które tylko on widzi.

- Kawał cwanego sukinsyna z tego twojego psa. - Steve wyjrzał z szerokim uśmiechem przez okno, wsuwając kciuk z pierścionkiem za pasek spodni. - Więc będzie w porządku, jeśli poćwiczę z Cillą rano albo pod wieczór? Nie masz nic przeciwko?

- W porządku. - Dawka cukru otworzyła Fordowi oczy, a fala kofeiny dokonała reszty.

- Myślałem, że wstaniesz dzisiaj później. Miałeś wczoraj długi dzień, a pewnie się nie wyspałeś za dobrze w stodole.

- Lubię długie dni. - Steve wziął kawę od Forda i dolał sobie mleka z kartonu, który stał na blacie szafki. - W jakiej stodole?

Cilli? Ciii nigdy nie pościeliłaby mi w jakiejś stodole. Załapałem się do jej śpiwora.

- Och! - Do diabła! - Pracowałem do późna, widziałem, jak tam idziesz. Przyszło mi do głowy, że...

- Skąd! Człowieku, tam jest ciemno. Jak cholera. A ja jestem chłopak z miasta. - Przekrzywił głowę. - Widziałeś tam kogoś?

- Widziałem światło, to była latarka. Tak mi się wydaje. Było późno, może się pomyliłem...

- Nie ma mowy! - Walnął Forda w ramię tak, że ten omal się nie wywrócił. - Mówiłem jej, że coś słyszę, ale kazała mi się zamknąć i spać. O której to było?

- Nie wiem. Ach... trochę po drugiej.

- Zgadza się. Ktoś szedł do stodoły? Musimy to sprawdzić.

- Cholera! - Ford łyknął jeszcze kawy. - Chyba masz rację.

Muszę tylko włożyć koszulę i buty.

- Mogę wejść na górę? Mam fioła na punkcie domów.

- Nie krępuj się. - Irytowało go trochę, że daje się wciągać w przyjaźń z facetem uprawiającym seks z kobietą, z którą on chciał to robić. Wydawało się jednak, że to nie najlepsze wyjście zostawić sprawę swojemu biegowi. - Więc... nie przywiozłeś ze sobą własnego śpiwora.

- Co ty, człowieku, śpię w hotelach. Obsługa, bary, materace z poduszkami. To Ciii lubi biwakować. Nie masz przypadkiem wolnego pokoju?

- Prawdę mówiąc...

- Rany! Niech mnie diabli! To Cilla.

Zanim Ford zdążył odpowiedzieć, Steve wkroczył zdecydowanym krokiem do jego pracowni i zbliżył się do szkiców porozwieszanych na ścianach.

- Super. Ekstra. - Steve postukał palcem w narożnik jakiegoś szkicu. - Nie do wiary! Jesteś geniuszem. To nie styl Poszukiwacza.

- Nie. Nowa postać, nowa seria. Dopiero zaczynam.

- A Cilla to... co, modelka? Wie o tym?

- Tak. Obgadaliśmy to.

Przytakując, Steve oglądał z szerokim uśmiechem szkice i rysunki.

- Od razu cię wyczułem, jak tylko pojawiłeś się wczoraj. Ale widząc to, kapuję, dlaczego z miejsca odrzuciła zeszłej nocy propozycję małego randez - vous.

- Ona... - Ford zacisnął w myślach pięści. - Więc... wy dwoje nie...

- Masz wolną drogę, chłopie. Powiem wprost, iść z nią do łóżka to jedno - jeśli ona nie ma nic przeciwko temu. Ale wykorzystywać ją? To coś zupełnie innego. Zrób to, a wyrwę ci żywcem serce. Poza tym wszystko w porządku, nie będę ci przeszkadzał.

Ford przyglądał się twarzy Steve'a i doszedł do wniosku, że każde słowo, które tamten wypowiedział, to prawda.

- Rozumiem. Włożę buty.

Steve wsunął głowę do łazienki, potem do sypialni.

- Masz tu dobre światło. Jakim cudem jeszcze tego nie załatwiłeś?

- Co? Światła?

- Daj spokój. - Steve potrząsnął głową, podczas gdy Ford wciągał na siebie podkoszulek. - Chodzi mi o Cillę. Jakim cudem jeszcze tego nie załatwiłeś? Wiedziałbym, gdyby tak było.

A ona jest tu już około miesiąca.

- Posłuchaj, nie bardzo rozumiem, dlaczego cię to obchodzi. Bez obrazy.

- Jasne, że bez obrazy. Tyle że rozumiem, jak to jest, bo nikt nie znaczy dla mnie więcej niż ona. Nie chcę powiedzieć, że jest jak moja siostra, bo to byłoby chore, biorąc wszystko pod uwagę.

Ford usiadł na brzegu łóżka, żeby włożyć buty.

- Wydaje się, że naszej pani się nie spieszy. Więc i mnie się nie spieszy. To wszystko.

- No to w porządku. Lubię cię, więc dam ci dobrą radę. Jest twarda i, jak byś powiedział, wytrzymała. Potrafi zadbać o siebie i nie daje sobie dmuchać w kaszę. Ale ma w sobie głębię, a w tej głębi jest wrażliwa. Więc musisz uważać.

- Nie robiłaby tego, co robi po drugiej stronie drogi, gdyby nie miała głębi i gdyby nie była wrażliwa.

- Okej. No to bądźmy mężczyznami i sprawdźmy tę stodołę.

W pomieszczeniu, które miało w przyszłości pełnić funkcję pralni i składziku, Cilla wyprostowała się, żeby ulżyć plecom. Tak jak przypuszczała, stare i żółknące linoleum pokrywało zniszczoną, ale nadającą się do uratowania podłogę z twardego drewna. Wolałaby siedzieć teraz na górze i bawić się narzędziami elektrycznymi, ale pomyślała, że sensowniej napracować się przy zrywaniu linoleum. Stolarz jej nie potrzebował, zwłaszcza że Steve tu był, więc...

Przez okno dostrzegła Steve'a, który najwyraźniej nie był na górze, skoro zmierzał w stronę stodoły w towarzystwie Forda. Odłożyła narzędzia i wyszła na zewnątrz, żeby sprawdzić, dlaczego jej przyjaciel wybrał się na poranny spacer zamiast nadzorować przebudowę głównego pokoju na piętrze.

Drzwi stodoły były otwarte i obaj mężczyźni zniknęli już w środku, kiedy tam dotarła. O ile mogła się zorientować, zastanawiali się, który z nich ma wejść po drabinie na stryszek.

- Co wy, u diabła, tu robicie? - spytała ostro.

- Sprawdzamy - wyjaśnił zwięźle Steve. - Zauważyłaś, żeby czegoś brakowało?

- Nie, a dlaczego miałoby brakować?

- Ford widział kogoś, kto czaił się tu zeszłej nocy.

- Nie powiedziałem, że ktoś się „czaił”. Powiedziałem, że widziałem kogoś z latarką.

- Jak ktoś kręci się z latarką po czyjejś posesji w środku nocy, to znaczy, że się czai. - Steve wysunął palec w stronę Cilli. - Mówiłem ci, że coś słyszałem.

Cilla potrząsnęła głową i zwróciła się do Forda.

- Ze swojego domu po drugiej stronie drogi, w środku nocy, widziałeś kogoś, kto kręcił się koło mojej stodoły?

- Chociaż muszę się zgodzić z definicją określenia „kręcić się”, to tak jak mówiłem - widziałem tylko światło, no wiesz, strumień światła z latarki, zmierzający w stronę stodoły.

- To pewnie było odbicie. Blask księżyca czy coś w tym rodzaju.

- Wiem, jak wygląda strumień światła z latarki.

- Poza tym kiedy otworzyliśmy drzwi stodoły, zajęczały - wtrącił Steve. - Taki właśnie dźwięk słyszałem ostatniej nocy.

Ktoś tu wszedł. Masz w tej stodole mnóstwo rupieci, Cilla.

- I nie ulega wątpliwości, że wciąż mam i że nic nie zginęło.

- Może jedna albo nawet parę rzeczy - zauważył Ford. - Zgromadziłaś tu cały inwentarz, który próbujesz zawzięcie uporządkować, ale założę się, że nie wiesz dokładnie, co tutaj jest albo gdzie co kładłaś ostatnim razem.

- No dobra, nie wiem.

Oparła dłonie na biodrach i powiodła wzrokiem po stertach i stosach. Czy sama tak ułożyła te pudła? Czy rzeczywiście przesunęła ten połamany fotel bujany w lewo? Skąd, u licha, miałyby wiedzieć?

- Mam mnóstwo do przejrzenia, ale jak dotąd nie znalazłam nic szczególnie wartościowego. W porządku, jeśli chodzi o łyżeczkę, którą Janet Hardy zanurzała w cukiernicy, wielu ludzi zaryzykowałoby włamanie i najście.

- Kto wie, że trzymasz tutaj takie rzeczy?

- Wszyscy - odpowiedział Ford na pytanie Steve'a. - W domu pracuje wielu ludzi, widzieli, jak Cilla przenosi te rupiecie do stodoły - nawet jej pomagali. Więc wie o tym każdy, z kim rozmawiali, ten każdy też z kimś rozmawiał i tak dalej.

- Założę kłódkę.

- Dobry pomysł. A listy?

- Jakie listy? - spytał zaciekawiony Steve.

- Mówiłaś komuś jeszcze o tych listach, które znalazłaś na strychu?

- Ojcu, ale nie mogę uwierzyć, że...

- Znalazłaś listy na strychu? - przerwał jej Steve. - Sekretna korespondencja? Człowieku, to jak jeden z tych programów BBC.

- Nigdy nie oglądasz takich programów BBC.

- Owszem, jeśli występują w nich gorące laski. Jakie listy?

- Listy pisane do mojej babki przez człowieka, z którym miała romans na rok przed śmiercią. Tak, to sekretne listy. Ukryła je. Powiedziałam o nich tylko Fordowi i swojemu ojcu - który pewnie powiedział mojej macosze. Ale nikomu więcej. - Taką miała nadzieję. - Z wyjątkiem... - odetchnęła głęboko. - Kiedy mówiłam o tym ojcu, uświadomiłam sobie, że stoję obok otwartego okna, więc odciągnęłam go na bok. Ale jeśli ktoś znajdował się w pobliżu, to usłyszałby dostatecznie dużo. - Potarła oczy. - To było głupie. Poza tym wypytywałam wczoraj matkę, czy Janet miała kochanka pochodzącego z tych okolic, zanim umarła. Wygadałaby się, gdyby była w odpowiednim nastroju. Nie mówiąc już o tym, że była na mnie wkurzona.

Steve poklepał ją po ramieniu. - Nic nowego, lalczko.

- Wiem. Ale biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajduje, mogła kogoś tu przysłać, żeby się rozejrzył i poszukał czegoś wartościowego.

- Daj mi te listy i wszystko, na czym ci zależy. Nikt nie będzie tego u mnie szukał - powiedział Ford, kiedy popatrzyła na niego.

- Może. Zastanowię się.

- Tak czy inaczej możemy wykluczyć dzikiego człowieka gór o oszalałym wzroku i z tasakiem w ręku. Zgadza się? Albo wykluczymy, jak tylko Ford wlezie na górę i sprawdzi, czy nie ma tam jakichś zwłok albo odciętych części ciała.

- Och, na litość boską! - jęknęła poirytowana Cilla i obróciła się w stronę drabiny.

Ford zastąpił jej drogę i odsunął ją na bok.

- Ja to zrobię.

Stawiał ostrożnie stopę na każdym szczeblu, sprawdzając, czy się nie złamie, i widząc w wyobraźni, jak spada i łamie sobie kości na betonowej podłodze. Kiedy dotarł na szczyt, zaklął siarczyście.

- Co się stało?! - zawołała z dołu Cilla.

- Nieważne. Drzazga. Nic tu nie ma. Choćby jednej odciętej głowy robotnika sezonowego.

Kiedy zszedł na dół, Cilla wzięła go za rękę i skrzywiła się na widok kawałka drewna w podbiciu jego dłoni.

- Mocno siedzi. Chodź do domu, wyciągnę to.

- Mogę sam...

- Kiedy wy się będziecie bawić w doktora, zapnę pas z narzędziami i zajmę się męską

robotą - oznajmił Steve.

Cilla zerknęła na niego.

- Najwyższy czas.

- Muszę dostarczyć wszystkim pączki. Do zobaczenia później ! - rzucił pod adresem Forda i oddalił się.

- Przyniósł ci pączki? - spytała Cilla.

- Tak. Łapówka za korzystanie z siłowni.

- Hm. Chodź i zabierz ze sobą kawałek mojej drabiny. Podejrzewam, że cię obudził.

- Podejrzewasz trafnie. - Ford zamknął drzwi stodoły. - I to obudził z bardzo interesującego snu z twoim udziałem, z czerwonym pokojem i mosiężnym wezłowiem. Ale pączek wynagrodził mi wszystko.

- Steve wierzy w siłę pączków. No dobra, co robiłam w czerwonym pokoju przy mosiężnym wezłowiu?

- Trudno to opisać. Ale mógłbym chyba zademonstrować.

Spojrzała mu w oczy.

- Nie mam czerwonego pokoju. Ani ty.

- Pojadę kupić farbę.

Śmiejąc się, sięgnęła do klamki składziku i nagle stwierdziła, że przyciska plecy do ściany. Zdumiewało ją nieodmiennie, jak mocne, jak niebezpieczne potrafią być te usta. Te same usta - pomyślała mgliście, gdy przywarł nimi do jej warg - te same, które uśmiechały się tak czarująco, które mówiły tak swobodnie o codziennych sprawach. Potem zamknęły się na jej wargach, a jej ciało przeszył dreszcz gorączki.

Ugryzł ją lekko w dolną wargę, zanim się od niej odsunął.

- Myślałem, że to Steve poszedł wczoraj w nocy do stodoły.

Żeby tam spać.

- Dlaczego Steve miałby spać w stodole? - Musiała upłynąć co najmniej minuta, by jej umysł zaczął funkcjonować normalnie. - Och! Jesteśmy dorośli, Ford. Nie muszę prosić Steve'a, żeby spał w stodole.

- Tak, rozumiem. Ale zamierza pożyczyć ode mnie śpiwór.

Kie używam go od jakichś piętnastu lat albo od chwili, gdy spanie na ziemi przestało mi sprawiać frajdę. Spodoba mu się. To śpiwór Spidermana.

- Masz w domu śpiwór Spidermana?

- Dostałem go na ósme urodziny. To było niesamowite, nigdy nie stracił swego blasku.

- Nachylił się, musnął ją ustami i otworzył drzwi za jej plecami. - Jestem naprawdę



szczęśliwy, mogąc wyciągnąć go z szafy, żeby Steve mógł w nim spać, kiedy tu jest.

- Sąsiedzka pomoc.

- Nie powiedziałbym. Otworzyła apteczkę i sprawdziła jej zawartość.

- Mam tu wszystko, co trzeba. Zrobmy to na zewnątrz, przy świetle dziennym.

Kiedy wyszli na werandę, dała mu znak, żeby usiadł. Nasączyła watkę wodą utlenioną i zdezynfekowała ranę.

- To nie pomoc sąsiedzka - ciągnął Ford. - Motywy są całkowicie egoistyczne. Nie chcę, żeby z tobą spał.

Spojrzała mu w oczy, dezynfekując igłę i pincetę alkoholem. - Naprawdę?

- Gdybyś chciała z nim spać, to miałbym pecha.

- A skąd wiesz, że nie śpię? Że nie spałam?

- Bo chcesz spać ze mną. Au! - Spojrzał na swoją dłoń i dziurę, którą zrobiła w drzazdze igłą. - Jezu!

- Siedzi za głęboko, żeby sama wyszła. Musisz jej pomóc. Wyssij ją. Jeśli chcę z tobą spać, to dlaczego jeszcze tego nie zrobiłam?

Obserwował z niepokojem igłę w jej dłoni.

- Bo nie jesteś jeszcze gotowa. Mogę poczekać, aż będziesz.

Ale - tylko nie dźgnij mnie tym znowu - niech mnie diabli, jeśli chcę, żebyś w tym czasie spała z kimś innym, przez wzgląd na dawne czasy czy z innego powodu. Chcę mieć cię tylko dla siebie, całą. I chcę, żebyś to przemyślała.

- A więc pożyczysz Steve'owi swój cenny śpiwór Spidermana, żeby mogła to przemyśleć, nie zaspokajając swoich potrzeb i nie śpiąc z nim, choć jest pod ręką.

- Mniej więcej.

- Spójrz na to.

Odwrócił głowę, żeby popatrzeć we wskazanym kierunku. Niemal podskoczył, czując gwałtowne, ostre ukłucie. Kiedy zaklął, Cilla pokazała mu wielką drzazgę, którą trzymała pęsetą.

- Chcesz zachować na pamiątkę?

- Nie, dzięki.

- No, załatwione. - Zamknęła apteczkę, potem chwyciła go za włosy i przywarła łapczywie do jego ust. I tak samo gwałtownie oderwała się od niego i wstała z klęczek. - A ty możesz myśleć o tym, kiedy będziesz czekał.

Weszła z zimnym uśmiechem do domu, a drzwi same się za nią zatrzasnęły.

## ROZDZIAŁ 9

Cilla tak bardzo się przyzwyczaiła do samochodów, które zwalniały albo zatrzymywały się na końcu jej podjazdu, że przestała je niemal dostrzegać. Ciekawscy, gapie, nawet ci, którzy robili zdjęcia, jak się jej zdawało, nie musieli sprawiać kłopotu.

Pomyślała, że prędzej czy później przywykną do niej, więc doszła do wniosku, że najlepiej ich zignorować albo od czasu do czasu pomachać im od niechcenia.

By żyć się ze społecznością, postanowiła ujawnić swoje zamiary i pragnienia. Robiła więc zakupy w lokalnym supermarkecie, najmowała do pracy lokalną siłę roboczą, kupowała większość materiałów w lokalnych źródłach zaopatrzenia. I gawędziła ze sprzedawcami, budowlańcami i dawała autografy tym, którzy wciąż uważali ją za telewizyjną Katie.

Uznała za gest symboliczny i oznakę swoich zamiarów fakt, że kazała usunąć bramę, idąc za radą Forda i swoim pierwszym odruchem. Co więcej, posadziła wzdłuż podjazdu płaczącą odmianę wiśni. Deklaracja - pomyślała, stojąc na poboczu drogi i przyglądając się rezultatom. Nowe życie. Wiedziała, że przyszłej wiosny, kiedy drzewka znów zakwitną, będzie tu, żeby na to patrzeć. Spojrzała na dom z miejsca, w którym teraz stała. Wyobraziła sobie ogrody, młode konary i wspaniałą starą magnolię. Jej wspaniałą starą magnolię z woskowate białymi kwiatami, rozsiewającymi w powietrzu słodycz. A farba na ścianach domu będzie świeża i czysta, nie stara i obłaząca. Krzesła na werandzie i donice z różnymi kwiatami. A gdyby udało jej się wycisnąć coś jeszcze z budżetu, to pośród bujnych zielonych trawników pojawiłyby się ścieżki wyłożone kamieniem w odcieniu ziemi. - Wiedziała, że w końcu ludzie w samochodach zaczną zwalniać, żeby podziwiać ładną siedzibę w równie ładnym otoczeniu, a nie po to, żeby się zastanawiać, co, u diabła, kobieta z Hollywood robi z domem, gdzie Janet Hardy połknęła zbyt wiele pigułek, popijając je wódką.

Przysunęła się do muru na dźwięk nadjeżdżającego samochodu, po czym obróciła się szybko, kiedy zatrąbił, i zobaczyła małą czerwoną hondę, która zaparkowała na poboczu.

Dopiero po chwili, z poczuciem winy, rozpoznała ładną blondynkę w dżinsach bez nogawek i bluzeczce na ramiączkach.

- Cześć! - Zaśmiewając się, Angela McGowan, przyrodnia siostra Cilli, podbiegła do niej, by ją uściskać.

- Angie. - Cilla poczuła, jak wraz z ramionami otaczają świeża i elegancka woń. - Obcięłaś włosy. Niech ci się przyjrzę.

Nie, nie, nie obejmuj mnie po raz drugi. Jestem brudna.

- Rzeczywiście. - Znów wybuchając śmiechem, Angie odsunęła się i spojrzała na Cillę

swoimi wielkimi orzechowymi oczami. Oczy ich ojca - pomyślała Cilla. Córka ich ojca. - I nieładnie pachniesz. - Rozpromieniona, chwyciła dłonie Cilli. - Ale i tak jesteś piękna.

- Wyglądasz cudownie. - Cilla przesunęła opuszkami palców po włosach siostry. - Są takie krótkie.

- Wystarczy dwie sekundy, żeby się z nimi rano uporać. - Angie potrząsnęła głową, by pokazać, jak szybko jej płowe włosy się układają. - Założyłam przepaskę na oczy, zapaliłam papierosa i było po wszystkim.

- Są fantastyczne. Co ty tu robisz? Myślałam, że jesteś w college'u.

- Zaliczyłam semestr, więc chwilowo siedzę w domu. Nie mogę za to uwierzyć, że ty tu jesteś. No i to jeszcze. - Wskazała dom. - Naprawdę mieszkasz na Małej Farmie i remontujesz wszystko... i w ogóle?

- Dużo tego „wszystkiego”.

- Piękne drzewa. O wiele piękniejsze niż ta stara brama. - Angie dotknęła jednej z wygiętych gałęzi, obsypanych miękkim wiosennym różem. - Wszyscy mówią tylko o tym, co się tu dzieje. Jestem tu ledwie od wczoraj, a uszy mam już spuchnięte od tego gadania.

- A co gadają? Dobrze czy źle?

- A dlaczego nie mieliby gadać dobrze? - Angie przekrzywiła głowę. - To miejsce było koszmarne. Owszem, teraz też nie wygląda szczególnie, ale coś z tym robisz. Nikt inny nie robił.

Jest ciężko? Nie mam na myśli roboty, bo oczywiście... chodzi mi o to, czy ciężko tu być, mieszkać?

- Nie. - Cilla wiedziała, że Angie będzie się dopytywać, że będzie się martwić, więc wyjaśniła: - Na dobrą sprawę jest łatwo. Wydaje się to lepsze niż cokolwiek innego, niż jakiegokolwiek inne miejsce. To dziwne.

- Wcale nie. Myślę, że każdy powinien gdzieś być, a szczęśliwcy wiedzą, gdzie. Więc masz szczęście.

- Chyba tak. - Cilla przypomniała sobie, że Angie zawsze roztaczała wokół siebie aurę niezachwianego optymizmu. Nieodrodna córka swojego ojca. Ich ojca, poprawiła się w myślach Cilla. - Chcesz wejść do środka, rzucić na to okiem? W tej chwili to istne pobożowisko, ale posuwamy się wolno do przodu.

- Chętnie, ale innym razem. Jestem umówiona z przyjaciółmi, zboczyłam na chwilę z drogi, żeby się z tobą zobaczyć. Nie spodziewałam się, że cię spotkam na poboczu, więc też pewnie mam szczęście. Jeśli w takim razie... oho!

Cilla podążyła za wzrokiem Angie i zauważyła białą furgonetkę, która właśnie

zwolniła i zatrzymała się po drugiej stronie drogi.

- Kto to jest? - spytała Cilla. - Widziałam tu już tę furgonetkę wcześniej, i to kilka razy.

- To wóz Hennessy'ego. Jego syn...

- Wiem. Był jednym z tych chłopców, którzy siedzieli w samochodzie z Johnniem podczas wypadku. Okej. Zostań tutaj.

- O Boże, Cilla, nie podchodź do niego. - Angie chwyciła Cillę za ramię. - Jest okropny. Kawał sukinsyna. Jasne, to, co się wtedy wydarzyło, było straszne, ale on nas nienawidzi.

- Nas?

- Wszystkich. Tata mówi, że to uraz. Nie powinnaś mu wchodzić w drogę.

- Ale to moja droga, Angie.

Cilla przeszła na drugą stronę jezdni i gdy obchodziła wóz, zmierzając ku drzwiom po stronie kierowcy, napotkała spojrzenie zgorzkniałych oczu w chudej twarzy o ściągniętych ustach, widocznej za przednią szybą. Furgonetka z podnośnikiem, jak zauważyła dopiero teraz. Przystosowana do przewozu wózka inwalidzkiego.

Nachylenie pobocza sprawiało, że znalazła się w niekorzystnej pozycji - trudno było jej zachować równowagę, poza tym znajdowała się o kilka centymetrów niżej niż mężczyzna, który oglądał na nią gniewnie.

- Jestem Cilla McGowan, panie Hennessy.

- Wiem, kim pani jest. Wygląda pani tak samo jak ona.

- Z przykrością się dowiedziałam, że stracił pan syna w zeszłym roku.

- Straciłem go w siedemdziesiątym drugim, kiedy ten pani krewny złamał mu kręgosłup. Pił, ćpał i nic go nie obchodziło z wyjątkiem własnej osoby, bo tak został wychowany. Nic go nie obchodziło.

- Może i tak. Wiem, że ci trzej chłopcy zapłacili tamtej nocy straszną cenę. Nie mogę...

- Nie różni się pani od niej, myśląc, że jest pani lepsza od innych, bo ma pieniądze i oczekuje, że wszyscy się będą przed nią płaszczyć.

Cilla poczuła, jak jej współczucie z wolna przygasa.

- Nie zna mnie pan.

- Akurat. Znam panią, znam takie jak pani, pani rodzinę.

Myśli pani, że może tu przyjeżdżać, tu, gdzie puszczała się ta kobieta, gdzie pozwalala panoszyć się swoim dzieciom jak wilkom, gdzie pozbawiła mojego chłopaka rąk, nóg i życia?

- Pod wpływem gniewu podniósł kościste palce i zaczął dźgać nimi powietrze. - Myśli pani, że jak kupi trochę drewna i farby, to zakryje pani smród tego miejsca? Powinienem spalić ten dom już dawno temu. Do gołej ziemi.

- To tylko budynek, panie Hennessy. Drewno i szkło.

A ty - pomyślała bez cienie współczucia - jesteś stuknięty.

- Przeklęty tak samo jak ona. Jak pani. - Splunął przez okno, a plwocina ominęła o centymetr czubek jej buta. - Niech pani wraca tam, skąd przyjechała. Nie chcemy tu pani. I jej podobnych.

Ruszył tak szybko, zarzucając tyłem wozu, że Cilla musiała odskoczyć. Ześliznęła się po nachylonym poboczu i wylądowała na kolanach. Angie podbiegła do niej.

- Nic ci się nie stało? Jezu, Jezu, nie potracił cię chyba?

- Nie, nie. - Ale wpatrywała się zmrużonymi oczami w pędzącą furgonetkę. - Wszystko w porządku.

- Dzwonię na policję. - Trzęsąc się z oburzenia, Angie wyciągnęła z kieszeni komórkę w zjadliwie różowym kolorze. - Splunął na ciebie! Widziałam to, i omal cię nie przejechał, i...

- Nie rób tego. - Cilla położyła dłoń na telefonie. - Daj spokój. - Westchnęła i zaczęła pocierać sobie kolano. - Opuść sobie.

- Skaleczyłaś się? Porządnie walnęłaś o ziemię. Trzeba ci obejrzeć kolano.

- Nic mi nie jest, mamusiu.

- Mówię poważnie. Podwiozę cię do domu i sprawdzimy, czy nie trzeba z tym jechać do lekarza. Stary drań!

- Kolano jest w porządku. Nic mi się nie stało, jestem tylko wkurzona.

Jakby dla uspokojenia, Angie odetchnęła dwa razy przeciągle, przyglądając się z uwagą Cilli.

- Nie wyglądasz na wkurzoną.

- Wierz mi. Jak sobie przypomnę, co wygadywał... puszczała się, dzieci jak wilki, dom przeklęty, nie chcemy tu pani. Dupek!

Angie wybuchnęła śmiechem.

- No, już lepiej. Podrzucę cię do domu. I nie opieraj się.

- Dobra. Dzięki. Wobec ciebie też się tak zachowuje? - spytała Cilla, kiedy szły w stronę hondy.

- Powarkuje, mrczy pod nosem i rzuca nienawistne spojrzenia. Nie pluje. Wiem, że wyżywa się na tacie. Boże, znasz kogoś bardziej współczującego niż tata? To, że przyjaźnił się z synem Hennessy'ego i z pozostałymi, nie znaczy wcale, że jest odpowiedzialny za to, co

się stało. Nie było go tam wtedy. Nie wspominając już o tym, że ciebie nie było nawet na świecie.

- Powiedziałabym, że działa tu syndrom „grzechów ojca”. Jeśli chce sobie jeździć, patrzeć spode łba i roić złe myśli, to Bóg z nim.

Podjechały pod dom i Cilla otworzyła drzwi wozu. Sama teraz odetchnęła głęboko i uświadomiła sobie, że czuje się lepiej i pewniej. Przypuszczała, że za sprawą siostry.

- Dzięki, Angie.

- Chciałabym obejrzeć twoje kolano, zanim odjadę.

- Z kolaniem wszystko w porządku.

Aby to udowodnić i ożywić nieco nastrój, Cilla zaczęła szybko stepować na łysawym trawniku i zakończyła swój występ zamaszystym wywijasem. Angie zachichotała.

- Rany! Rzeczywiście, chyba wszystko w porządku.

- Niezłe nóżki, laleczko. - Na werandzie pojawił się Steve, cały w tatuażach i z pasem na narzędzia. - Kim jest twoja przyjaciółka?

- Nie jesteśmy przyjaciółkami - wyjaśniła Angie. - Tylko siostrami.

- Angela McGowan, Steve Chensky. Steve to przyjaciel z Los Angeles. Pomoże mi przez parę dni.

- Może trochę dłużej. - Usta Steve'a wykrzywił wielki i bezczelny uśmiech.

- Angie wróciła właśnie z college'u, a teraz jedzie na spotkanie ze znajomymi.

- Owszem, jadę. I jestem spóźniona. Opowiedz mu o panu Hennessym - rzuciła pośpiesznie Angie, wsiadając do samochodu.

- O jakim panu? - spytał zaskoczony Steve.

- Opowiem. Baw się dobrze.

- Taki mam zamiar. Wpadnę tu jeszcze. Miło było cię poznać, Steve.

Pomachała przez okno, zawróciła zgrabnie na trzy i odjechała.

- Niezłą masz siostrę.

- Jest ledwie pełnoletnia, więc trzymaj od niej ręce z daleka.

- „Ledwie” niczemu nie przeszkadza. Trzeba kochać DNA McGowanów.

- Nie, nie trzeba. Jak idzie robota na strychu?

- Jest tam gorąco jak cholera. Muszą uporać się szybko z klimatyzacją. Starają się. Bierz swoje narzędzia, laleczko. Czas ucieka.

- Idę.

Miał rację co do strychu. Cilla obliczała, że zrzuciła z kilogram potu, zanim rozpięła pod koniec dnia pas z narzędziami. Wzięła długi, zimny prysznic w niemal wykończonej

łazience. Pozostało jeszcze malowanie i oświetlenie. I pomyślała o przyrządzeniu sobie porządnej kanapki.

Zjadła ją samotnie na tylnej werandzie, wyobrażając sobie kwitnące krzewy, ozdobne drzewa, barwne rośliny w miejscu wyciętych chwastów. I kamienną ławkę pod rozłożystymi konarami wielkiego platanu, nowe płyty i cegły na patiach i ścieżkach. Płaczącą wierzbę nad stawem, cień czerwonych klonów, połyskliwe piękno magnolii.

Dom nie był przeklęty - pomyślała, pocierając lekko kolano, odrobinę sztywne i obtarte. Zapomniany, zaniedbany przez zbyt długi czas, ale nie przeklęty pomimo słów starego, zgorzkniałego człowieka.

Postanowiła zbudować domek dla jaskółek, karmniki dla kolibrów. Wiedziała, że ptaki się zjawiają. Zamierzała urządzić ogród własnymi rękami - sprawdziwszy najpierw, co można w nim posadzić - i zwabić więcej ptactwa i motyli, by przy akompaniamencie trzepoczących skrzydeł zbierać kwiaty do wazonów.

Pomyślała o psie, który będzie gonił za patykami, wiewiórkami i królikami i którego ona będzie gonić, jeśli zacznie rozkopywać ogrody. Może nawet uda jej się wyszukać gdzieś niesamowicie brzydkiego, takiego jak Spock.

Będzie wydawać przyjęcia z kolorowymi światłami i muzyką i patrzeć, jak goście przechadzają się po domu, po trawniku, wypełniając otoczenie głosami i gwarem. Pulsem, uderzeniami serca i głosami.

I będzie się budzić każdego ranka w domu. W swoim domu. Spojrzała na papierowy talerzyk na kolanach i zauważyła, jak spada na niego łza.

- O Boże, co to takiego? - Otarła mokre policzki i przycisnęła dłonie do piersi, w której czuła ucisk. - Co to takiego? Siedziała sama na zapadniętej werandzie, spoglądając na zniszczone ogrody, podczas gdy słońce zsuwało się ku góróm. I uległa łzom. Rozkleiła się - przyszło jej mgliście do głowy. Musiało się tak stać.

Psy, ludzie, kolorowe światła? Już prędzej klęska. Nie, dom nie był przeklęty. Miał dobry kościec, dobre mięśnie. Ale czy ona sama nie była przeklęta? Czy zrobiła kiedykolwiek coś, co miałoby większe znaczenie? Czy kiedykolwiek udało jej się doprowadzić coś do końca? Nie, nigdy. Porażka - to wychodziło jej najlepiej.

- Przestań. Skończ z tymi bzdurami.

Stłumiła w krtani wzbierający szloch i wstała. Wzięła talerzyk i na wpół zjedzoną kanapkę, weszła do domu i wyrzuciła je. Oddychając powoli, spryskiwała sobie twarz zimną wodą, a potem poczekała, aż wyschnie. Już spokojniejsza, poszła na górę, umalowała się starannie, by ukryć niedawny atak smutku, po czym wzięła egzemplarz *Gatsby'ego*.

Zaniosła go na drugą stronę drogi i zapukała do drzwi domu Forda.

- Zjawiasz się w samą porę - oświadczył, kiedy jej otworzył. Spock przestał się trząść, jakby oczekiwał najazdu obcych, i rzucił się do nóg Cilli. - Właśnie przeglądałem krótką listę powodów, zastanawiając się, który wykorzystać i pójść do ciebie.

Siedziałem na tyłach domu, żeby nikt nie pomyślał, że robię rozpoznanie przed włamaniem.

Weszła do środka i podała mu książkę.

- Mówiłeś, że mogę przechować to u ciebie.

- Pewnie. Listy?

- Tak. - Zauważyła, że pies patrzy na nią z czułością w wyłupiastych oczach, więc uklękła na chwilę, by podrapać go i poczochrąć, wprawiając zwierzaka w ekstazę. - Jestem w kiepskim nastroju. Nie chcę, żeby w tej chwili leżały u mnie w domu.

- Okej.

- Poczytasz je sobie, kiedy znajdziesz wolną chwilę? Myślę, że nie miałabym nic przeciwko temu, żeby ktoś jeszcze rzucił na nie okiem.

- To ulga. Nie muszę staczać codziennej walki z ciekawością i uczciwością. Zaniosę je do pracowni. Chcesz tam zajrzeć na moment? Mam kilka rysunków, które chyba ci się spodobają.

- Tak. - Niepokój - pomyślała. Odczuwała niepokój, nie mogła sobie znaleźć miejsca, trochę bolała ją głowa. Uznała, że lepiej się czymś zająć. - Owszem, czemu nie?

- Chcesz piwa, trochę wina?

- Nie, nie, nic mi nie trzeba.

Alkohol nie był najlepszym remedium na płaczliwą chandrę.

- Gdzie jest Steve? Wydawało mi się, że słyszałem jego motor.

- Wyjechał. Powiedział, że potrzebuje ruchu, może pogra w bilard z chłopakami. Chyba chce spróbować szczęścia z dziewczyną od architektury krajobrazu. Na imię ma Shanna. - Shanna i ja znamy się od lat. To znaczy nie w tym sensie - wyjaśnił pospiesznie. - Przyjaźnimy się od małego. Ja, ona, Bri, Matt.

- To miłe. Mieć przyjaciół, z którymi człowiek zna się od lat.

O rany Zobaczyła dwie plansze zakryte rysunkami. Pozy w ruchu - pomyślała. W skoku, w marszu, w półobrocie. W każdym przypadku wyglądała - bez wątpienia była to jej twarz - na osobę silną, niezłomną, dzielną i genialną.

Wszystko, tylko nie to, czym się czuła w tej chwili, jak przyszło jej nagle do głowy.

- Zastanawiam się nad tatuażem. Utknąłem w miejscu. Teraz ustalam, co i gdzie. -



Wsunął dłonie w tylne kieszenie spodni i zaczął przyglądać się krytycznie rysunkom. - Na krzyżu, łopatkach, przedramionach. Myślę o czymś małym i symbolicznym, czymś, czego ludzie nie będą dostrzegać na ciele Cass, ale co będzie się pojawiać, kiedy Cass zacznie się przemieniać w Brid. W ten sposób nie będzie to tylko symbol, ale także źródło mocy. Przyglądał się rysunkom spod przymrużonych powiek.

- Muszę to wykombinować, zanim zacznę tworzyć panele.

Mam już opracowaną fabułę i podoba mi się. Trzyma się kupy, ale...

Ponieważ Spock zaczął popiskiwać, Ford zerknął na niego. I nagle poczuł, jak jego myśli gubią swój tor. Po twarzy Cilli spływały łzy.

- Boże! Co jest? Co się stało?

- Przepraszam. Przepraszam. Wydawało mi się, że to koniec.

Ze jestem załatwiona. - Wycofując się, ocierała policzki. - Muszę już iść.

- Nie. Już dobrze. - Poczuł gwałtowny ucisk w żołądku, ale ją za ramię, a jego dłoń była silna. - Co się stało? Co zrobiłem?

- Wszystko. Nic.

- To znaczy?

- Wszystko się stało. Ty nic nie zrobiłeś. Nie chodzi o ciebie.

Chodzi o mnie. O mnie, o mnie, o mnie. To nie ja. - Wskazała gwałtownym gestem rysunki. Jej ton, ruch jej ręki sprawiły, że Spock podkulił ogon i czmychnął na swoje posłanie. - Nie jestem taka. Nie mogę się nawet zmusić do seksu z tobą. Chcesz wiedzieć, dlaczego?

- Jestem szczerze zainteresowany.

- Dlatego, że to schrzanię, zrujnuję, a potem nie będę miała z kim rozmawiać. Nic mi nie wychodzi. Pieprzę wszystko, nic mi się nie udaje.

- Nie z mojego punktu widzenia. - Zaskoczony, potrząsnął głową. - Skąd się to bierze?

- Z rzeczywistości. Z przeszłości. Nic o tym nie wiesz.

- Więc mi powiedz.

- Na litość boską, byłam wypalona już w wieku dwunastu lat.

Miałam narzędzia, miałam możliwości i spieprzyłam to. Zawaliłam sprawę.

- Bzdura! - Jego głos miał rzeczowy ton, o wiele bardziej pocieszający niż delikatne współczucie. - Jesteś za mądra, żeby w to wierzyć.

- Nie ma żadnego znaczenia, że wiem, iż to nieprawda - absolutnie. Ale jeśli powtarzają ci w kółko, że do niczego się nie nadajesz, to zaczynasz w to wierzyć. Ten cholerny serial telewizyjny to była moja rodzina, i nagle bum! Nie ma. Nie mogłam do tego

wrócić, do rodziny, do pracy. Potem mówią: dawaj koncerty, występy na żywo, a ja nie mogę. Trema, ataki paniki. Nie zamierzałam brać pigułek.

- Jakich pigułek?

- Boże! - Przycisnęła palce do oczu i stwierdziła z ulgą, że łzy przestały jej płynąć. Spock oddalił się chyłkiem, pozostawiając zmiętoszonego misia u jej stóp. - Mój menedżer, moja matka, ludzie. Potrzeba czegoś, co pozwoli ci funkcjonować, występować. Żebyś mogła przynosić dochód, żeby twoje nazwisko trwało w publicznej świadomości. Ale nie mogłam i nie robiłam tego.

i właśnie o to chodzi. Zaczęły się kiepskie filmy, koszarne recenzje - i coś gorszego według niektórych, to znaczy brak jakichkolwiek recenzji. I Steve.

Podniecona, zaczęła machać rękami i chodzić tam i z powrotem po pokoju.

- Rzuciłam się na łeb na szyję w to małżeństwo w dwie sekundy po ukończeniu osiemnastu lat, ponieważ w końcu, wreszcie, pojawił się ktoś, kto mnie kochał, komu zależało, kto rozumiał. Ale nie potrafiłam tego utrzymać. Próbowałam z college'em i nienawidziłam tego. Byłam żałosna i czułam się głupio. Nie byłam na to przygotowana i nie spodziewałam się, że tak wielu ludzi będzie chciało, żeby mi nie wyszło. Więc mi nie wyszło. Dostosowałam się do ich miernych oczekiwań. Jeden semestr, i wyleciałam. Potem podkładałam głos i grałam ponizające rólki. Napisałabym scenariusz, ale tego też nie umiałam. Może fotografia? Nie, byłam kiepska. Miałam dochody dzięki Katie i dzięki temu - o czym dowiedziałam się po wielu latach - że ojciec zrobił wszystko, aby mój dochód był legalnie chroniony, dopóki nie uzyskam pełnoletności. W wieku czternastu lat poszłam na terapię. W wieku szesnastu myślałam o samobójstwie. Gorąca kąpiel, różowe świece, żyłotka. Tyle że kiedy weszłam do wanny, pomyślałam sobie: to głupie. Nie chcę umierać. Więc wzięłam tylko kąpiel. Próbowałam różnych rzeczy. Wyobrażałam sobie, że może pokieruję czyjąś karierą albo zajmę się choreografią. Czym tylko chcesz. Próbowałam. I nic. Nie potrafię niczego doprowadzić do końca. Nie umiem przy niczym wytrwać.

- Czekaj, chwilę - nakazał Ford tak surowym i władczym tonem, że tylko spojrzała na niego zdumiona. - Byłaś uroczym dzieciakiem z TV, uroczym i utalentowanym.

- Och, daj spokój. - Siedź cicho przez chwilę. Nie znam się na tym, ale wyobrażam sobie, że w pewnym momencie ten serial musiał się skończyć. V - Święte słowa.

- Tylko że nikt nie wziął pod uwagę, iż grał tam dzieciak, który dorastał jednocześnie i który musiał się czuć tak, jakby oderwali go od rodziny. Osierocili. Który mógł sobie pomyśleć, że to jego wina.

- Tak. Rzeczywiście tak myślałam. Wiem, że to nieprawda, ale...

- Każdy, kto szpikuje środkami uspokajającymi czternastoletnią dziewczynkę, żeby mogła występować, powinien być rozstrzelany. Tu nie ma żadnych wątpliwości, nie dla mnie. Nie możesz uważać tego wszystkiego za swoją porażkę. Przykro mi, ale to nie tak. Na dobrą sprawę poszło ci doskonale - ciągnął, podczas gdy ona gapiała się na niego. - Z college'em nie wyszło, z pisaniem, z fotografią, czymkolwiek. To nie porażki, Cilla, to próby. Zgłębianie. Małżeństwo nie wyszło, a mimo to pozostaliście przyjaciółmi - prawdziwymi przyjaciółmi, ty i twój były. To ma być porażka? Zrozum, dla mnie to wielki sukces. A domy, które wyremontowałaś w Kalifornii i sprzedawałaś? Jeśli po drugiej stronie drogi natrafiłaś na szkopuł, to po prostu będziesz musiała sobie z tym poradzić.

- Nie, to nie jest tak. - Poprawiła włosy i odetchnęła, o dziwo, spokojnie. - Po drugiej stronie drogi wszystko idzie zgodnie z planem. Przepraszam. Przepraszam. Nie mogę uwierzyć, że wylałam ci swoje żale na głowę. Rozkleiłam się wcześniej i myślałam, że znów zawaliłam. Z jakiegoś powodu te twoje rysunki wszystko mi przypomniały.

Pochyliła się i zaczęła głaskać Spocka, który przyglądał się jej z wielką troską. Wzięła do ręki małego, złachanego niedźwiadka.

- Okropnie wygląda.

- Tak. Spock ma go już od pewnego czasu. Daje go tylko tym ludziom, których kocha.

- No cóż. - Nachyliła się i ucałowała Spocka w nos. - Dzięki, mały. Masz, lepiej zabierz go z powrotem.

Pomachał ogonem, jakby chciał powiedzieć: „Kryzys minął”, i zaniósł niedźwiadka na swoje legowisko.

- A co tak naprawdę sprawiło, że się rozkleiłaś?

- O Boże! - Odeszła od Forda i jego rysunków i zbliżyła się do okna. Słońce schowało się za górami i teraz jego blask otaczał jak aureola ich dumne szczyty. Ten widok, odległy, nieco wzniosły, przynosił ukojenie. - Zajrzała dziś do mnie moja przyrodnia siostra, Angie, którą w duchu nazywam czasem córką mojego ojca.

Sama o sobie nieczęsto tak myślę. Albo nie myślałam. Tak było mi łatwiej. Ona jest taka „właściwa”. Szczęśliwa, bystra, ładna. Miła dziewczyna, ale nie aż tak, żeby nie można było z nią wytrzymać. Nigdy się specjalnie z nianie przyjaźniłam ani z macochą. Ot, kartki z życzeniami i odpowiedni prezent na Gwiazdkę czy urodziny. Nie poznałam jej w pierwszej chwili, obcięła włosy, ale nie chodziło o to. Nie do końca. Po prostu zgłupiałam. Czułam się sztywno i niezręcznie, a ona nie. Naszły mnie wyrzuty sumienia, poczułam się więc jeszcze bardziej sztywno, bardziej niezręcznie, a ona trajkotała, uszczęśliwiona, że mnie widzi. Nie udawała, to nie było zaplanowane z góry.

Westchnęła teraz, poirytowana na samą siebie. Wielka beksa - pomyślała. Nie może znieść, że wszystko jednak idzie dobrze.

- Gratulowałam sobie, że usunęłam bramę - wiesz, znaczenie symboliczne - i że posadziłam drzewa. Zaczynam nowy rozdział, zapuszczam korzenie, spoglądam w przyszłość, a ona uświadomiła mi, że ślizgam się po powierzchni, jeśli chodzi o ludzi i związki, tak jak kamień, rzucony odpowiednio, ślizga się po powierzchni wody. Że nie chcę się zanurzyć.

- Może po prostu stąpasz chwilowo po wodzie.

- Zerknęła na niego. Wyglądał tak cholernie dobrze w tym starym swetrze, podartych džinsach, z rozczochranymi włosami.

- Może. Tak czy owak, kiedy tak stałyśmy, rozmawiając, a ja próbowałam się pozbiierać, po drugiej stronie drogi zatrzymał się pan Hennessy. Widywałam już wcześniej jego furgonetkę, po prostu siedział w niej. Angie go rozpoznała. - Odwróciła się. - Wiedziałaś, że prześladowuje mojego ojca i rodzinę?

- Nie. Ale się nie dziwię. To trudny człowiek, Cilla.

- Przekonałam się o tym, kiedy do niego podeszłam. Obwinia mnie i moich bliskich za to, co stało się z jego synem. Dom jest przeklęty, moja babka była dziwką, nie jestem od niej lepsza i tak dalej. Właściwie to napluł na mnie.

- Drań.

- Wyjąłeś mi to z ust. Potem odjechał tak szybko, że straciłam równowagę i obtarłam sobie kolano. Angie skakała nade mną jak kwoka.

- Trzeba było wezwać policję. Pogadaliby z nim.

- I powiedzieliby mu, żeby mi nie pluł na buty? Lepiej, jak sama dopilnuję, żeby więcej nie miał okazji tego zrobić. Nie mam ochoty się obwiniać za to, co się stało, kiedy nie było mnie jeszcze na świecie. Myślałam, że jestem tylko wkurzona, zabrałam się do roboty i mi przeszło. Ale potem wszystko się znów odezwało i w rezultacie zaczęłam się nad sobą użalać, czego właśnie byłeś świadkiem.

- Nazwałbym to raczej chandrą średnich rozmiarów, co świadczy, że oceniasz się zbyt surowo. Nie znam się na remontowaniu domów, ale znam tę osobę, która pilnuje tego, co dzieje się po drugiej stronie drogi. Nie jest nieudacznikiem. Jest inteligentna, odważna i walczy o to, czego pragnie. Może nie odznacza się mistycznymi mocami bogini, ale... - Postukał palcem w jeden z rysunków. - To ona. To ty, Cilla. Taka, jaką cię widzę.

Zdjął jeden ze szkiców przedstawiających Brid, która ścisnęła w obu dłoniach młot i na twarzy której malowała się moc i zdecydowanie.

- Weź go i powieś gdzieś. Jak będziesz czuła, że znów ci się zbiera na płacz, popatrz na niego. To ty.

Cilla oderwała wzrok od rysunku i spojrzała mu w oczy. Znów poczuła ucisk w piersiach, ale nie ten, który zapowiadał łzy. Jakby zwiastun tego, co otwierało się na nowo.

- Dzięki. Za to i za resztę. A w rewanżu...

Odwróciła się, a on poczuł nagłe uderzenie pulsu, kiedy podciągnęła koszulę na plecach i pochyliła się nieznacznie, by pasek dżinsów odgiął się na wysokości krzyża. Widniały tam, głęboko niebieskie, trzy linie potrójnej spirali.

Jego libido zareagowało równie szybko jak intelekt.

- Celtycki symbol siły żeńskiej. Potrójna spirala. Panna, matka, starucha - zauważył.

Spojrzała przez ramię, unosząc brew ze zdumieniem.

- Mądrała z ciebie.

- Przeprowadziłem badania. - Podeszedł bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć tatuazowi. - I ten właśnie symbol znalazł się na szczycie mojej listy, jeśli chodzi o Brid. Niesamowity zbieg okoliczności. Kismet.

- Powinna mieć to na mięśniach dwugłowych.

- Co? Przepraszam. Jestem nieco rozkojarzony.

- Na mięśniach przedramion. - Cilla odwróciła się i naprężyła swoje. - Tu będzie wyglądało mocniej. Nie tak sexy, ale mocniej, jak sądzę. I jeśli wciąż chcesz, żeby ten symbol się pojawiał w chwili transformacji, to będzie to wyraźniejszy akcent.

- Widzę, że uważnie słuchałaś.

- Ty też. - Podniosła dłoń i dotknęła jego policzka. - Jesteś w tym dobry.

- Okej. Musimy teraz wyjść z domu.

- Naprawdę?

- Tak. Bo mógłbym cię teraz namówić na łóżko i naprawdę tego chcę. Potem byśmy się zastanawiali, czy to dlatego, że miałaś zły dzień, a ja byłem pod ręką. Żal i zakłopotanie gwarantowane. Więc... chodźmy na lody.

Okazało się, że to kolejne słowo - klucz, na którego dźwięk Spock porzucał swojego misia i zaczynał skakać jak szalony. Uśmiechając się, zsunęła palce z jego policzka na brodę.

- Chcę, żebyś namówił mnie na łóżko właśnie teraz. W tej chwili.

- Tak. Zamknij się. Lody. Chodźmy.

Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Pies wyprzedził ich, pędząc ku drzwiom.

- Zagadkowy z ciebie człowiek, Ford.

- Sam nieraz nie potrafię się zrozumieć.

## ROZDZIAŁ 10

W przekonaniu Steve'a niewiele mogło się równać z uczuciem, jakiego doznawał, pędząc po szosie i pokonując zakręty w ciepłym sumieniu nocnego wiatru. Może lepszy byłby tylko seks z gorącą brunetką, Shanną od architektury krajobrazu, ale był już bliski tego.

I zawsze mógł liczyć na ten następny raz.

Miał już przedsmak tego, co go czeka, i odnosił wrażenie, że posiłek będzie równie wspaniały jak zakąska. Tak. Wyszczrzył do wiatru zęby. Następny raz.

Ale teraz, kiedy pędził po opustoszałej drodze, po małym piwie, bilardzie, zabawie i preludium z Shanną, czuł się wspaniale.

Wystarczało mu. Przyjazd tutaj, na dwa tygodnie, żeby spotkać się z Cillą... tak, dobrze mu to zrobiło.

Podjęła się dużej sprawy - pomyślał. Wielki, skomplikowany projekt, związany z przeszłością babki. I miała z tego frajdę, co dostrzegał w jej wyglądzie, w jej słowach. Wiedział, że robi także coś dla siebie - coś wielkiego, niebywale trudnego. Zawsze tego potrzebowała.

Mógłby poświęcić jej jeszcze jeden tydzień, może nawet dziesięć dni. Do diabła! Ta przebudowa naprawdę go wzięła, i to tak bardzo, że chciał się jej przyglądać odrobinę dłużej. I chciał trochę dłużej przebywać z Cillą, patrzeć, jak kładzie podwaliny swojego nowego życia.

I miał nadzieję, że on sam dogada się przy okazji z Shanną.

Tydzień powinien wystarczyć - zdecydował, pokonując zakręt i wjeżdżając na drogę prowadzącą do domu Cilli. Wiedział, że wiejski urok doliny Shenandoah przestanie go potem pociągać. Pragnął gwaru i pośpiechu miasta i choć Nowy Jork wzbudzał w nim na krótko fascynację, to Los Angeles, ze swoim blaskiem i pozą, było dla niego ukochanym domem.

Nie dla Cilli. Steve popatrzył leniwie na jakiś samochód zaparkowany na poboczu długiej, biegnącej pod górę szosy. Nie, ona traktowała Los Angeles wyłącznie jako jedno z wielu miejsc. Może to kolejny powód, dla którego ich małżeństwo było poronionym pomysłem. Nawet wtedy pragnęła stamtąd uciec, a on chciał pozostać.

I w jakiś sposób im się udało.

Skręcił w jej podjazd i uśmiechnął się do siebie, dostrzegając, że zostawiła dla niego światło na zewnątrz i w jednym z pomieszczeń domu. To była właśnie Cilla - pomyślał. Pamiętała o drobnostkach, uwzględniała szczegóły.

Światło w oknie przypomniało mu, że musi być po drugiej w nocy. W tej wiejskiej

ciszy jego harley hałasował jak tornado pędzące do samego Oz. Pewnie by się nie obudziła - kiedy zasypiała, to na dobre - ale mimo wszystko zgasił silnik w połowie podjazdu i jechał przez jakiś czas na jałowym biegu.

Podśpiewując pod nosem, zeskoczył z siodełka, żeby zaprowadzić maszynę do stodoły. Zdjął kask, przyczepił go do kierownicy, po czym otworzył skrzypiące wrota. Nie wyłączył reflektora, żeby rozproszyć mrok, i z głośnym beknięciem, które przywołało wspomnienie piwa, wysunął stopą podpórkę. Kiedy ustawił przednie koło pod odpowiednim kątem, strumień światła z reflektora padł na jedno z pudeł Cilli. Było otwarte, wieko leżało obok, ziemia zasłana była papierami i zdjęciami.

- Hej!

Podszedł bliżej, żeby się dokładnie przyjrzeć. Niczego nie usłyszał, niczego nie zobaczył, czuł tylko przez chwilę rozdzierający ból, zanim runął twarzą na beton.

Cilla odbyła pierwsze z planowanych spotkanie z Mattem - nazwała je burzą mózgow - tuż po siódmej rano. Planowała podobne z elektrykiem i hydraulikiem, ale chciała, żeby był przy nich obecny Steve. Dopóki tu siedział, zamierzała go wykorzystać, chciała też, żeby pojechał z nią na zakupy. Musiała wybrać glazurę i narzędzia do domu i ogrodu, a także armaturę, zamierzała też zamówić więcej drewna. Przed wpół do ósmej dom wypełniła kakofonia pił, młotów i radiodbiorników; domyśliła się, że Steve wrócił późno w nocy i, kierowana współczuciem, zniosła kubek kawy na górę do sypialni, gdzie miał spać w pożyczonym śpiworze Spidermana.

Kiedy stwierdziła, że śpiwór jest pusty, westchnęła znacząco. Komuś się poszczęściło - mruknęła i sama wypila kawę, zszedłszy na dół.

Wzięła listę sprawunków, notatnik i torebkę. Kiedy wyszła na zewnątrz, na podwórko zajechała właśnie ekipa zajmująca się zielenią. Cilla uniosła zaskoczona brwi, dostrzegając Shannę. Z kim więc poszczęściło się Steve'owi? - zastanawiała się. Shanna uniosła dłoń na powitanie i zbliżyła się z papierowym kubkiem kawy w ręku.

- Dzień dobry. Brian musiał dopilnować innej roboty, ale zjawi się za kilka godzin.

- Świetnie. Wybieram się po materiały. Jestem do czegoś potrzebna?

- Damy sobie radę. Ale powinnaś do nas zajrzeć, jak wrócisz.

Zaczynamy dziś kamieniarkę - patio i ścieżki. - Shanna zerknęła na dom. - Steve jest wśród żywych?

- Nie widziałam go jeszcze.

- Nie dziwię się. - Poprawiając czapkę na ciemnych włosach, Shanna błysnęła uśmiechem. - Siedzieliśmy wczoraj w knajpie niemal do samego końca. Jedno ci powiem, ten

Steve potrafi tańczyć.

- Owszem.

- Jest słodki. Pojechał za mną do domu, by się upewnić, że dotarłam bezpiecznie na miejsce, a potem nie naciskał - w każdym razie nie za bardzo - żeby wejść. Gdyby naciskał trochę mocniej, to kto wie? - Wybuchnęła śmiechem.

- Nie został z tobą?

- Nie. - Uśmiech na twarzy Shanny przygasł. - Dotarł do domu?

- Nie wiem. Nie widziałam go w środku, więc pomyślałam sobie... - Cilla wzruszyła ramionami i zadzwoniła kluczami. - Sprawdzę, czyjego motor stoi w stodole.

Shanna ruszyła za nią.

- Był w porządku, kiedy odjeżdżał, rozumiesz, o co mi chodzi. Nie wypił dużo. Ze dwa piwa przez całą noc. Mieszkam zaledwie dwadzieścia minut drogi stąd.

- Pewnie go nie zauważyłam. - Ale poczuła, jak podskakuje w niej żołądek, kiedy dotarła do drzwi stodoły. - Może wszedł na górę, kiedy akurat schodziłam.

Do stodoły wtargnął blask słońca i eksplodował drobinkami kurzu. Cilla zamrugwała, żeby przyzwyczaić oczy do mroku, i poczuła nową falę niepokoju, gdy nie zauważyła od razu harleya.

Wchodząc do środka, dostrzegła, że niektóre pudła zostały przewrócone, a zawartość rozsypana na betonową podłogę. Stare krzesło leżało połamane na boku. Wtedy zobaczyła przewrócony motor. Kierownica sterczała do góry, jakby motocyklistę zrzuciło z siodełka. Pod maszyną, przygnieciony jej masywną sylwetką, leżał Steve, ręce i nogi miał szeroko rozrzucone.

- O Boże!

Skoczyła do przodu, żeby zrzucić motor ze Steve'a, Shanna też podbiegła. Włosy miał zlepione krwią, widniała też na posiniaczonej i poobdzieranej ze skóry twarzy. Bojąc się go ruszyć, Cilla przycisnęła palce do jego szyi. I niemal zadrżała, wyczuwając bicie serca.

- Żyje. Ma puls. Zadzwoń...

- Już dzwonię. - Przykucnąwszy, Shanna wystukiwała na swojej komórce 911. - Nie powinnyśmy go przykryć kocem? Nie powinnyśmy...

- Powiedz im, żeby się pospieszyli. Nie ruszaj go. Cilla podniosła się szybko i pobiegła do domu.

Zwykle spał jak kamień. Ale do jego świadomości dotarły krzyki, a po chwili wdarł się w nią dźwięk syren. Zbyt nieprzytomny, by skojarzyć jedno z drugim, Ford zwał się z łóżka i wyszedł na werandę. Ziewając, popatrzył ku domowi po drugiej Stronie drogi;



żałował, że nie potrafi wyczarować siłą umysłu filiżanki kawy. Na widok karetki pod stodołą Cilli oprzytomniał jednak natychmiast. Kiedy nigdzie jej nie dostrzegł, wodząc w panice wzrokiem, wbiegł z powrotem do domu, żeby wciągnąć na siebie ubranie.

Pokonał biegiem drogę i popędził podjazdem Cilli, starając się o niczym nie myśleć. Wiedział, że jeśli pojawi się w nim choć jeden obraz, to przyciągnie mnóstwo innych, równie strasznych, rozepchnął się przez tłum robotników, wypowiadając jej imię jak modlitwę.

- Kiedy dostrzegł ją stojącą za składanymi noszami na kółkach, jego serce znów zaczęło bić. Po chwili podjechało mu do gardła; uświadomił sobie, że na noszach leży Steve.

- Jadę z nim. Jadę. - Jej głos balansował na cienkiej granicy między opanowaniem a histerią. - Nie pojedzie sam.

Gdy przenosili rannego do karetki, chwyciła za brzeg noszy, przywierając do nich jak klej.

Strach w jej oczach zmroził Forda do szpiku kości.

- Cilla, pojedę za tobą. Nie zostawię cię.

- Nie może oprzytomnieć. Nie potrafią przywrócić mu świadomości.

Nim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać, weszła do karetki. Wziął jej torebkę, którą Shanna przyniosła i wcisnęła mu w dłoń. Policzki miała zalane łzami.

- Był w stodole - wyrzuciła z siebie ze szlochom i przytuliła się do niego, szukając pociechy. - Leżał na ziemi, pod swoim motorem. Krew.

- Okej, Shan. Okej, kochanie. Muszę jechać. Dowiem się, co z nim.

- Zadzwoń do mnie. Proszę, zadzwoń.

- Natychmiast.

Po szaleńczej jeździe do szpitala Ford zaniósł torebkę Cilli na oddział nagłych wypadków, zbyt zmartwiony, by czuć się choć odrobinę głupio.

Znalazł ją przy jakichś podwójnych drzwiach; sprawiała wrażenie bezradnej.

- Powiedziałam im wszystko, co wiem o jego stanie zdrowia, to, co pamiętałam. Kto jest w stanie zapamiętać coś takiego? - Zaczęła szukać palcami kołnierza koszuli, jakby pragnęła się czegoś trzymać. - Ale podałam im jego grupę krwi. To sobie przypomniałam. A minus. Pamiętam dobrze.

- Okej. Usiądźmy.

- Nie wpuszczą mnie do niego. Nie pozwolą mi z nim zostać.

Nie obudzi się.

Ford otoczył ją ramieniem, zdecydowanie odciągnął od drzwi i posadził na krześle. Sam nie usiadł, tylko kucnął przed nią, tak aby jego wzrok znajdował się na wysokości jej

twarzy.

- Zajmą się nim. Od tego są. Okej?

- Krwawił. Jego głowa. Jego twarz. Leżał tam i krwawił. Nie wiem, jak długo.

- Powiedz mi, co się stało.

- Nie wiem! - Przycisnęła obie dłonie do ust i zaczęła się kołysać. - Nie wiem. Nie było go w jego pokoju, więc pomyślałam sobie, wykombinowałam, że udało mu się, zabalował. To wszystko. Niewiele brakowało, żebym wyjechała z domu do miasta.

Boże, Boże, niemal wyjechałam, nie szukając go, nie sprawdzając. Mogły jeszcze upłynąć godziny.

- Oddychaj. - Powiedział to ostrym tonem, ujął jej dłonie i ścisnął. - Patrz na mnie i oddychaj.

- W porządku. - Oddychała i drżała, ale Ford dostrzegł cień rumieńca na jej twarzy. - Myślałam, że został u Shanny, więc zamierzałam wybrać się po materiały, ale okazało się, że nie nocował u niej. To znaczy przyjechała i powiedziała, że nie nocował. Przestraszyłam się, że gdzieś się zgubił albo coś w tym rodzaju. Nie wiem nawet. Ale poszłam sprawdzić, czy jest jego motor. I znalazłyśmy go - W stodole.

- Leżał pod motorem. Nie wiem, co się stało. Jego głowa, twarz. - Teraz zaczęła pocierać dłonią miejsce między piersiami; Ford niemal słyszał uderzenia jej serca. - Mówili, że ma prawdopodobnie połamanych kilka żeber, pękły, kiedy motor go przygniótł. Ale jakim cudem mógł go przygnieść motor? I... obrażenia głowy. Źrenice. Mówili coś o rozerwanej źrenicy. Wiem, że to niezbyt dobrze. Występowałam kiedyś gościnnie w *Oстрым dyżurze*. - Zaczepnęła trzykrotnie powietrza i odetchnęła gwałtownie, a wraz z oddechem powróciły łzy. - Kto, u diabła, ma wypadek motocyklowy w stodole? To cholernie głupie.

Biorąc łzy i złość za dobry znak, Ford usiadł obok niej i wziął ją za rękę.

Kiedy drzwi otworzyły się na oścież, zerwali się jednocześnie z miejsc.

- Co się dzieje? Dokąd go zabieracie? Steve.

- Przepraszam. - Jedna z pielęgniarek oddziałowych zastąpiła Cilli drogę. - Zabierają pani przyjaciela na salę operacyjną.

- Na salę operacyjną? Po co?

- Ma krwotok mózgowy spowodowany obrażeniami głowy. Muszą go operować. Zaprowadzę panią do poczekalni oddziału chirurgicznego. Jeden z lekarzy wszystko pani wyjaśni.

- Czy jest źle? Może mi pani od razu powiedzieć. Czy jest źle?

- Robimy wszystko, co w naszej mocy. Mamy na dyżurze bardzo dobry zespół

operacyjny. - Wskazała windę. - Wiecie może, czy pan Chensky brał udział w jakiejś bójce?

- Nie. A o co chodzi?

- O ranę, którą ma na potylicy. Wygląda tak, jakby go ktoś uderzył. Nie mógł odnieść takiego obrażenia w wyniku upadku.

Oczywiście, jeśli jechał bez kasku...

- To się nie stało w czasie jazdy. Nie na drodze.

- Tak pani mówiła.

- Cilla. - Ford dotknął jej ręki, zanim zdążyła wejść do windy. - Musimy zawiadomić policję.

Jak miała spokojnie myśleć? Jak mogli siedzieć w tym pokoju, podczas gdy gdzieś indziej obcy ludzie operowali Steve'a? Sala operacyjna. Zespół operacyjny. Nazywali to zespołem. Czy lekarze i pielęgniarki to aktorzy? Kto zajmował pierwsze miejsce na afiszu?

- Pani McGowan?

- Co? - Wpatrywała się w obojętne oczy policjanta. Jak się nazywał? Już zapomniała. - Przepraszam. - Zaczęła przedzierać się przez chaos myśli, szukając odpowiedzi na jego pytanie. - Nie jestem pewna, o której wrócił. Położyłam się około północy, wtedy go jeszcze nie było. Shanna powiedziała, że rozstali się przed drugą. Tuż przed drugą.

- Zna pani nazwisko Shanny?

- Shanna Stiles - wtrącił Ford. - Pracuje dla Briana Morrowa. „Morrow, Krajobraz i Projektowanie”.

- Znalazła pani pana Chenskiego mniej więcej o wpół do ósmej dziś rano?

- Już mówiłam. Nie mówiłam? - Cilla odrzuciła włosy. - Nie było go w domu, więc sprawdziłam w stodole, czy nie ma jego motoru. I znalazłam go.

- Pani i pan Chensky mieszkaliście razem?

- Odwiedził mnie. Miał mi pomagać przez kilka tygodni.

- Skąd przyjechał?

- Z Los Angeles. Nowego Jorku. To znaczy był w Nowym Jorku i wracał do Los Angeles. - Czują, jak coś wzbiera w jej żołądku i pragnie się wydostać. - Co to za różnica?

- Proszę posłuchać, funkcjonariuszu Taney. - Ford dotknął dłoni Cilli i ścisnął ją. - Chodzi o to, że kilka dni temu, w nocy, widziałem, jak ktoś szedł do stodoły. Było późno. Pracowałem i akurat wyjrzałem przez okno, idąc do łóżka, i kogoś zobaczyłem, dostrzegłem także blask latarki. Myślałem, że to Steve, więc nie przejąłem się tym szczególnie.

- Ale to nie był on. - Cilla zamknęła oczy, by tym lepiej sobie przypomnieć. - Miałam kupić kłódkę, ale w końcu tego nie zrobiłam. Zapomniałam, nie myślałam o tym, a teraz...

- Co pani trzyma w stodole? - spytał Taney.

- Porządkowałam strych i wszystko przeniosłam właśnie tam. Musiałam przejrzeć mnóstwo rzeczy. Poza tym są tam starocie, narzędzia, sprzęt.

- Kosztowności?

- Dla niektórych wszystko, co jest związane z moją babką, to kosztowności. To była głupota z mojej strony sądzić, że dam radę to przejrzeć i coś z tym zrobić.

Zrobić z tego swoją własność - przyszło jej do głowy. Głupie.

- Coś zniknęło?

- Nie wiem. Po prostu nie wiem.

- Pan Chensky wyjechał z domu około ósmej wieczorem i wybrał się do baru. Nie zna pani jego nazwy...

- Nie, nie znam. Może pan spytać Shannę Stiles. I jeśli pan podejrzewa, że się upił i jakimś cudem sam rozwalił sobie głowę od tyłu, walnął twarzą o beton i przewrócił na siebie motor, to się pan myli. Steve nie wsiadłby na swój motor pijany. Może pan o to spytać Shannę i każdego, kto był zeszłego wieczoru obecny w barze.

- Zamierzam to zrobić, pani McGowan, i jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, pojedę obejrzeć pani stodolę.

- Nie, proszę bardzo.

- Mam nadzieję, że pani przyjaciel wyjdzie z tego. Będziemy w kontakcie - dodał, wstając.

Ford patrzył, jak zmierza w stronę pokoju pielęgniarek, wyjmując jakąś kartkę.

- Uważa, że to wszystko z powodu pijaństwa albo że Steve się naćpał i zgłupiał.

- Może tak myśli. - Ford obrócił się ku Cilli. - Może. Ale będzie wszystko sprawdzał, przesłuchiwał świadków. Steve też pewnie coś powie, kiedy odzyska przytomność.

- Mógł umrzeć. Nie muszą mi tego mówić, wiem o tym.

Może nigdy się nie obudzi. - Zadrżały jej wargi, ale się opanowała. - Wciąż go widzę jak w scenie z *Chirurgów*, gdzie stażyści patrzą z oszklonej galerii na operowanego Steve'a. I każdy myśli bardziej o seksie niż o nim.

Ford ujął jej twarz w dłoń.

- Ludzie wykonują swoją pracę, myśląc o seksie. Cały czas.

W przeciwnym razie nic nie dałoby się zrobić. - Kiedy się roześmiała słabo, pocałował ją w czoło. - Przejdźmy się, trzeba odetchnąć świeżym powietrzem.

- Nie powinnam wychodzić. Muszę tu być.

- To trochę potrwa. Chodź, otrzeźwimy się i poszukamy porządnej kawy.

- Okej. Kilka minut. Nie musisz tu zostawać. - Kiedy szli do windy, uświadomiła sobie, że wciąż trzyma ją za rękę. - Nie musisz tu zostawać. Ledwie znasz Steve'a.

- Nie bądź niemądra. Znam go i lubię. Tak czy owak nie zostawię go.

Nic nie odpowiedziała, kiedy zjeżdżali na dół, nie mogąc znaleźć słów. Piekły ją oczy stęsknione za łzami. Jej ciało pragnęło rozpaczliwie wtulić się w niego, przywrzeć do tej niewzruszoności, poszukać tam ukojenia. Poczuć bezpieczeństwo. Pomyślała, że chce, by tak się stało. By jej pozwolono na to.

- Masz ochotę coś zjeść? - spytał, kiedy wysiedli z windy na parterze.

- Nie, nie mogłabym.

- Mniejsza z tym. Pewnie wciąż serwują tu kiepskie żarcie.

- Wciąż?

- Kilka lat temu, przez dwa dni, w tym szpitalu leżał mój tata, więc skorzystałem ze stołówek raz czy dwa. Nie poprawiła się od czasu, jak byłem dzieciakiem i sam tu trafiłem.

- Trafiłeś?

- Och, spędziłem jedną noc na obserwacji - wstrząśnienie mózgu, złamana ręka. Wpadło mi do głowy, żeby założyć rzepy na rękawice śnieżne i skarpety. Myślałem, że będę mógł wspinać się po budynkach jak Spiderman. Na szczęście okno mojej sypialni nie było wysoko.

- Może trzeba było spróbować wspinaczki, a potem schodzenia w dół.

- Przewidywanie po fakcie.

- Chcesz, żebym przestała myśleć o Stevie; doceniam to, ale...

- Pięć minut - powiedział Ford, prowadząc ją na zewnątrz. - Świeże powietrze.

- Ford? - usłyszeli za plecami.

Cilla odwróciła się, tak jak i on, i zobaczyła ładną kobietę w krwistoczerwonym kostiumie. Na wargach umalowanych na ten sam śmiały kolor gościł uśmiech; zdjęła okulary przeciwsłoneczne, odkrywając głębokie brązowe oczy.

Rozłożyła szeroko ramiona i objęła go władcym gestem. Cilla dosłyszała towarzyszące temu efekty dźwiękowe - ciche, mrukliwe „mmm”. Potem kobieta cofnęła się i potrząsnęła krótko obciętymi lśniąco czarnymi włosami, ufarbowanymi pod kolor oczu.

- Całe wieki!

- Uplynęło trochę czasu - przyznał Ford. - Wyglądasz cholernie dobrze.

- Staram się. - Spojrzała z uśmiechem na Cillę. - Witam.

- Cilla, to jest mama Briana, Cathy Morrow. Bri odwała robotę dla Cilli.

- No tak - powiedziała Cathy. - Wnuczka Janet Hardy. Trochę ją znałam. Jesteś do niej

bardzo podobna. Remontujesz starą fermę.

- Tak. - Rozmowa ta wydawała się nierealna. Cilla miała wrażenie, że to kwestie z jakiejś sztuki. - Brian mi bardzo pomaga. Jest utalentowany.

- Mój chłopak. Co tu robicie?

- Przyjaciel Cilli jest na chirurgii. Miał wypadek.

- O Boże, tak mi przykro! - Beztroski, zalotny uśmiech zamienił się w grymas troski. - Mogę coś zrobić?

Cathy otoczyła ramiona Cilli gestem tak szczerym, że ta przytuliła się do kobiety instynktownie.

- Po prostu... czekamy.

- To jest najgorsze. Czekanie. Słuchajcie, pracuję tu społecznie dwa razy w tygodniu i przewodniczę kilku komitetom, które zajmują się zbieraniem funduszy. Znam wielu ludzi z personelu. Kto się nim zajmuje?

- Nie mam pojęcia. Wszystko stało się tak szybko.

- Może spróbuję się zorientować, uzyskać jakieś informacje? Nie bardzo wiem, dlaczego nie pojmują, że byłoby dla nas lepiej, gdybyśmy wiedzieli, co i jak.

Propozycja była jak woda na poparzone gardło.

- Mogłaby pani?

- Na pewno warto spróbować. Chodź, kochanie. Chcesz kawy, wody? Nie, mam inny pomysł. Słuchaj, Ford, skocz i przynieś Cilli piwo imbirowe.

- Okej. Spotkamy się na górze. Jesteś w dobrych rękach, Cilla.

Tak się wydawało. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Cilla czuła, że najlepiej sobie odpuścić i pozwolić komuś innemu kierować sprawami.

- Co się stało twojemu przyjacielowi?

- Nie wiemy dokładnie. Na tym między innymi polega problem.

- No cóż, dowiemy się tyle, ile zdołamy. - Cathy ścisnęła Cilli dłoń dla dodania odwagi, kiedy weszły do zatłoczonej windy, pełnej odwiedzających z kwiatami i balonikami.

- Jak się nazywa?

- Steve. Steven Chensky.

Cathy wyjęła oprawiony w czerwoną skórę notatnik i srebrne pióro, żeby zanotować dane.

- Jak długo tu przebywa?

- Nie jestem pewna. Straciłam poczucie czasu. Dotarliśmy tu chyba około ósmej, najpierw był na oddziale urazowym, trzymali go tam trochę, a potem przewieźli na górę.

Jakąś godzinę temu.

- Wiem, że wydaje się to bardzo długo, ale w rzeczywistości nie jest. No dobrze. - Cathy poklepała Cillę po plecach, kiedy drzwi windy się rozsunęły. - Usiądź, a ja zobaczę, co się da zrobić.

- Dziękuję. Naprawdę.

- Daj spokój.

Cilla poszła do poczekalni, ale nie usiadła. Nie chciała siedzieć z innymi, którzy czekali na słowo o znajomym, bliskim. O życiu i śmierci. Żałowała, że nie ma tu okna. Kto wpadł na pomysł, żeby zaprojektować poczekalnię bez okien? Nie rozumieją, że ludzie muszą wyglądać na zewnątrz? Uwalniać myśli od tego miejsca?

- Hej! - Obok niej pojawił się Ford z dużym kubkiem.

- Dzięki.

- Cathy rozmawia z personelem.

- To bardzo miłe z jej strony. Bardzo cię lubi. Kiedy ją zobaczyłam, przyszło mi do głowy, że to twoja dawna dziewczyna.

- Jezu! - Chwila osłupienia. - To mama. Mama Briana.

- Wielu mężczyzn leci na starsze kobiety, kolego. A ona wygląda naprawdę nieźle.

- Mama - powtórzył Ford. - Mama Briana.

Cilla zaczęła się już uśmiechać, kiedy dostrzegła Cathy.

- Pierwsza rzecz, operuje go doktor North - poinformowała szybkim i rzeczowym tonem, niezwykle pocieszającym. - Jest jednym z najlepszych chirurgów. Pod tym względem macie szczęście.

- Okej. - Cilla odetchnęła wreszcie. - W porządku.

- Po drugie, chcecie usłyszeć fachową diagnozę, cały ten medyczny żargon? - Cathy podniosła swój notatnik.

- Ja... nie, nie. Chcę po prostu wiedzieć, co mu jest.

- Trzyma się. Jego stan jest stabilny. Operacja potrwa jeszcze Co najmniej dwie godziny. Są jeszcze inne obrażenia, którymi trzeba się zająć. - Otworzyła teraz notatnik. - Dwa złamane żebra. Pęknięty nos i lewa kość policzkowa, stłuczenie nerki. Najpoważniejsze są obrażenia głowy, właśnie tym zajmuje się teraz doktor North. Steve jest młody, sprawny, zdrowy, co przemawia na jego korzyść.

- Okej - przytaknęła Cilla. - Dziękuję pani.

- Chcesz, żebym się za jakiś czas dowiedziała, co i jak? - spytała Cathy, biorąc Cillę za rękę.

- Jestem pani ogromnie wdzięczna, pani Morrow.

- Mów mi Cathy. I nie ma za co dziękować. Zaopiekuj się nią - zwróciła się do Forda i zostawiła ich samych.

- Muszę wyjść i zadzwonić do domu. Trzeba wszystkim powiedzieć, co się dzieje.

- Już to zrobiłem - oznajmił Ford. - Kiedy poszedłem po piwo dla ciebie. Ale możemy dostarczyć najświeższe wiadomości.

Spacerowali. Siedzieli. Wpatrywali się w ekran telewizora w poczekalni, który ktoś nastawił na CNN. Kiedy przewidywane dwie godziny upływały powoli, zjawiała się Cathy.

- Jest już po operacji. Doktor North przyjdzie za chwilę, żeby z wami porozmawiać.

- Steve jest...

- Lekarz wiele wam teraz nie powie, z wyjątkiem tego, że zabieg się udał. To dobra wiadomość. Ford, daj Cilli mój numer.

Będiesz mogła do mnie zadzwonić, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Zgoda?

- Tak.

Palce Cilli zacisnęły się jak kleszcze na dłoni Forda, kiedy w drzwiach stanął mężczyzna w zielonym fartuchu. Przesunął spojrzeniem po poczekalni i jego wzrok zatrzymał się na Cathy, jakby ją rozpoznał. Cathy dotknęła szybko ramienia *Cilli*.

- Zadzwon - powtórzyła i odsunęła się na bok, kiedy doktor podszedł do nich.

- Pani McGowan?

- Tak. Jak Steve?

North usiadł. Cilla pomyślała, że lekarz ma spokojną twarz. Niemal błogą i gładką, gładką jak aksamit. Nachylił się ku niej i, nie odrywając od niej ciemnych oczu, wyjaśnił:

- Steve doznał uszkodzenia czaszki w dwóch miejscach. Linijne pęknięcie w tym miejscu - przesunął palcem wzdłuż ciemienia. - Nie powoduje przemieszczenia kości. Takie obrażenia same się goją. Ale drugie pęknięcie wystąpiło tutaj. - Teraz przysunął dłoń do potylicy. - Pęknięcie podstawy czaszki. To znacznie poważniejsze, doprowadziło do obrzęku mózgu i krwotoku.

- Poskładał go pan.

- Przeżył operację. Wymaga dalszych badań. Będziemy monitorować ciśnienie wewnątrzczaszkowe na OIOM - ie za pomocą urządzenia, które zainstalowałem w trakcie zabiegu. Kiedy obrzęk ustąpi, usuniemy je. Są duże szanse.

- Duże szanse - powtórzyła.

- Mogło dojść do uszkodzenia mózgu, przejściowego albo trwałego. Za wcześniej, żeby cokolwiek powiedzieć. Na razie czekamy i monitorujemy go. Jest w śpiączce. Ma



bardzo silne serce.

- Tak, to prawda.

- Są duże szanse - powtórzył North. - Ma jakąś rodzinę?

- Nie tutaj. Ma tylko mnie. Mogę go zobaczyć?

- Niedługo przyślę tu kogoś, zaprowadzi panią na OIOM.

Kiedy tam dotarli, pochylili się nad nim. Jego twarz, pokryta sińcami i plamami, była śmiertelnie blada. Wszystko nie tak - zdołała tylko pomyśleć. Wszystko nie tak. Nie był nawet do siebie podobny z tymi poczerniałymi, zapadniętymi oczami, ze spuchniętym nosem i białymi bandażami wokół głowy.

Zdjęli mu kolczyk. Dlaczego to zrobili? Nie wyglądał jak Steve.

Ściągnęła swoje małe srebrne kółeczko i, pochylając się nad nim, założyła je na jego ucho. I musnęła posiniaczony policzek ustami.

- Teraz lepiej - szepnęła. - Lepiej. Zostanę tu, dobrze? - uniosła jego dłoń i ucałowała palce. - Nawet jak mnie tu nie będzie, to i tak będę. Nie wolno ci odejść. Tak ma być. Nie wolno ci odejść ode mnie.

Pozostała, trzymając go za rękę, dopóki pielęgniarka nie kazała jej stanowczo wyjść.

# CZEŚĆ II

## PRZEBUDOWA

*Zmieniaj poglądy,  
Trwaj przy zasadach;  
Zmieniaj liście,  
Nie naruszaj korzeni.*

Victor Hugo

## ROZDZIAŁ 11

- Możemy czuwać na zmianę. - Ford zerknął na Cillę, kiedy jechali samochodem. Nie sprzeciwiała się, kiedy nalegał, że powinna pojechać do domu, odpocząć trochę, zjeść coś. I to właśnie go martwiło. - Na OIOM - ie obowiązują surowe przepisy i nie pozwoliliby ci siedzieć tam za długo, więc będziemy się zmieniać. Ty, ja, Shanna i kilku chłopaków. Damy radę.

- Nie wiedzą, jak długo będzie w śpiączce. Może godziny, a może dni, jeśli...

- Obudzi się, kiedy się obudzi.

- Nigdy nie odznaczałam się zbyt optymistyczną naturą.

- Nie szkodzi. - Starał się mówić stanowczo i zarazem ze Współczuciem. - Ja mam taką naturę i mogę pożyczyć ci jej kawałek.

- Wygląda na to, że został pobity. Po prostu pobity.

- To pęknięcie czaszki. Rozmawiałem z jedną z pielęgniarek, kiedy przy nim siedziałś. Stąd ten jego wygląd. - Nawet wiedząc to, odczuwał szok, gdy stał przez chwilę nad Steve'em. - I śpiączka.

W tym wypadku jest pożądana, Cilla. Jego organizm ma szansę się wyleczyć. Skupia się na tym.

- Rzeczywiście masz w sobie mnóstwo optymizmu. Ale to nie komiks, gdzie dobry facet wychodzi z wszystkiego obronną ręką. I nawet jeśli, jak mówisz optymistycznie, obudzi się, kiedy się obudzi, pozostaje jeszcze możliwość uszkodzenia mózgu.

Nie można było tego wykluczyć, ale nie widział sensu w rozpatrywaniu najgorszego scenariusza.

- W moim optymistycznym świecie i w twojej pesymistycznej wersji mózg potrafi uczyć się wszystkiego na nowo. To sprytny drań.

- Nie założyłam przeklętej kłódki.

- Jeśli ktoś dostał się do stodoły i rzucił na Steve'a, to myślisz, że kłódka by go powstrzymała?

Zacisnęła dłonie, kiedy zbliżali się do jej podjazdu.

- Usunęłam bramę. I posadziłam pieprzone drzewa.

- Tak, przypuszczam, że to wszystko przez drzewa. Czyli twoja wina. - Czekał, aż wydrze się na niego, co było lepsze niż pławienie się w smutku, jak sądził. Ale ona nic nie powiedziała. - No dobra, gdyby ktoś chciał dostać się do środka, to czy powstrzymałaby go zwykła żelazna brama, składająca się z dwóch skrzydeł? O tym nie wspominasz. Co się stało

z pesymizmem?

Potrząsnęła tylko głową i spojrzała na dom.

- Nie wiem, co tu robię. Ten stuknięty stary człowiek miał prawdopodobnie rację. To miejsce jest przeklęte. Mój wuj tu zmarł, moja babka, a teraz może umrzeć Steve. Za co? Żeby mogła tu polerować i wygładzać, malować i doprowadzać to wszystko do porządku? Szukając ogniwa, więzi ze swoją babką, bo nie czuję żadnej z matką? Jaki to ma sens? Jest martwa, więc jaki to ma sens?

- Tożsamość. - Ford ujął ją mocno za ramię, nim zdążyła otworzyć drzwi wozu. - Jak możemy się zorientować, kim naprawdę jesteśmy, jeśli nie będziemy wiedzieć, skąd przyszlśmy, i dopóki tego nie przezwyciężymy, nie zbudujemy na tym czegoś czy nie zaakceptujemy?

- Wiem, kim jestem. - Wyswobodziła się z jego uścisku, pchnęła drzwi wozu, a potem zatrzasnęła je za sobą.

- Nie, tak naprawdę nie wiesz - odparł Ford.

Ruszyła wzdłuż bocznej ściany domu. Robota - pomyślała - kilka godzin porządnej roboty, a potem się umyje i pojedzie z powrotem do szpitala. Patio zostało naprawione, nowe płyty położone, ścieżki wytyczone i wykopane z wyjątkiem jednej, którą po namyśle dodała do ogólnego planu. Prowadzącą do stodoły. Jej drzwi przecinała żółta taśma policyjna niczym brzydka wstążka na nieładnym prezencie. Wpatrywała się w nią, gdy Shanna rzuciła na ziemię szpadel i ruszyła biegiem przez trawnik.

Cilla znów przywołała całe swoje współczucie. Nie ona jedna się martwiła i denerwowała.

- Nie ma zmiany - oznajmiła, ściskając wyciągniętą dłoń kobiety.

Pozostali ludzie z ekipy ogrodniczej przerwali pracę, z wnętrza domu wyłoniło się też kilku mężczyzn.

- Żadnych zmian - powtórzyła, podnosząc głos. - Trzymają go na OIOM - ie, monitorują i przeprowadzają badania. Możemy tylko czekać.

- Jedziesz tam? - spytała Shanna.

- Tak, za chwilę.

- Brian? - zwróciła się Shanna do szefa.

Brian skinął szybko głową.

- Jasne, możesz jechać.

Wyciągając komórkę z kieszeni, Shanna ruszyła w stronę domu.

- Siostra ją odwiezie - wyjaśnił Brian. Zdjął czapkę z krótkich kasztanowych włosów i

przejechał po nich brudnymi palcami. - Chciała jechać, jak tylko wrócisz, i zobaczyć Steve'a.

- To dobrze. Naprawdę.

- Pozostali, Matt, Dobby i reszta... też pojedziemy do szpitala. Nie wiemy, czy nas do niego wpuszczą, ale pojedziemy. Shanna miała wcześniej napad płaczu. Winię się za to wszystko.

- Dlaczego?

- Gdyby pozwoliła mu zostać na noc i tak dalej... - Wzdychając, włożył z powrotem czapkę. Zerknął na Forda i zrozumiał. Zdjął okulary przeciwsłoneczne i skupił spojrzenie niebieskich oczu na Cilli. - Powiedziałem jej, że nie ma żadnego „gdyby” i że winić można tylko tego, kto zrobił to Steve'owi. Bo w przeciwnym razie można by powiedzieć, że gdyby nie pojechał do baru na bilard, że gdyby nie wchodził do stodoły i tak dalej. A to bzdura. Najlepiej trzymać się dobrej myśli. Tak czy inaczej. Wyjął z kieszeni bandanę i otarł sobie pot z czoła.

- Byli tu gliniarze, jak się zapewne domyślasz. Zadawali pytania. Nie potrafię powiedzieć, co o tym wszystkim sądzą.

- Mam nadzieję, że przestaną podejrzewać, jakoby się upił i sam to sobie zrobił.

- Shanna wyjaśniła im wszystko.

- To dobrze. - Poczula się trochę spokojniejsza. - Spotkałam twoją matkę.

- Naprawdę?

- W szpitalu. Bardzo nam pomogła. No cóż. - Poczula piekące łzy, kiedy spojrzała w słońce. - Patio wygląda nieźle.

- Robota pomaga na stres.

- Tak, to prawda. Wobec tego znajdź mi jakąś.

- Da się zrobić. - Uśmiechnął się do Forda. - A ty? Chcesz łopatę?

- Lubię się przyglądać - odparł Ford beztrąsko. - Muszę sprawdzić, jak się miewa Spock.

- Może to i lepiej. Dać temu facetowi łopatę albo kilof? - zwrócił się do Cilli. - Jeśli w ziemi będzie rura albo kabel, to uszkodzi je, jak tylko zaczniesz kopać.

- To stało się tylko raz. No, może dwa - uściślił Ford.

Kiedy ekipa ogłosiła fajrant, Cilla też skończyła pracować i wzięła prysznic. Chciała powiedzieć, że znów się czuje po ludzku, ale daleko było jej do tego. Jak automat wkładała świeże ubranie. Postanowiła, że kupi kilka magazynów, coś, czym będzie mogła zająć umysł w szpitalu, może nawet zje kanapkę z automatu.

Kiedy zeszła na dół, Ford stał w jej nieukończonym salonie.

- Powiedziałbym, że robota się posuwa, ale nie znam się na tym i jakoś tego nie widzę.

- Posuwa się.

- To dobrze. Przygotowałem kolację na werandzie. Spock przesyła pozdrowienia. Dziś wieczorem je w domu.

- Kolacja? Posłuchaj, ja...

- Musisz jeść. Ja też. - Wziął ją za rękę i wyciągnął z domu. - Czeka na nas moja drugorzędna specjalność.

Patrzyła na papierowe talerzyki i filiżanki, butelkę wina i puszkę coli. Na środku składanego stolika stał półmisek z makaronem zapiekany w sosie serowym.

- Sam to zrobiłeś?

- Owszem, zrobiłem. To znaczy wsadziłem paczkę do mikrofalówki i nastawiłem ją według instrukcji. Jeśli nie jesteś zbyt wybredna. - Nalał wina do papierowego kubka. - A to pomoże ci przełknąć.

- Nie nalewasz sobie.

- Wystarczy mi mikrofalowa wersja posiłku, poza tym odwiozę cię do szpitala.

Gorący posiłek, towarzystwo. Pomoc. Oferowano jej to, choć nie prosiła.

- Nie musisz tego robić.

Wysunął spod stołu krzesło i pchnął ją lekko, zmuszając, by usiadła.

- To bardziej satysfakcjonujące robić coś, czego człowiek nie musi robić.

- Dlaczego? - Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. - Dlaczego robisz to dla mnie?

- Wiesz, Cilla, nie jestem do końca pewien, ale... - Przycisnął usta do jej czoła, zanim usiadł. - Wydaje mi się, że wiele dla mnie znaczysz.

Zacisnęła dłonie na udach, kiedy umieścił na jej talerzu dwie kopiaste łyżki makaronu. Czując ucisk w gardle, łyknęła wina.

- Już po raz drugi mówisz mi dzisiaj coś, czego wcześniej nikt mi nigdy nie mówił.

Podniósł wzrok i spojrzał na nią.

- Nikt ci nigdy nie mówił, że dużo znaczysz?

- Może Steve. Ujmował to inaczej, w inny sposób. Nie w taki.

- Po prostu znaczysz. Zabieraj się do jedzenia. Jak ta potrawa robi się zimna, to zamienia się w cement.

- Druga rzecz, czy raczej pierwsza, którą mi dzisiaj powiedziałaś... że nie zostawisz mnie samej.

Popatrzył na nią, a ona nie potrafiła powiedzieć, czy dostrzega w jego twarzy współczucie czy zrozumienie, czy po prostu cierpliwość. W każdym razie wiedziała, że to jest

coś, czego właśnie potrzebuje. I czego nigdy nie spodziewała się znaleźć.

- Chyba mówisz poważnie, ponieważ uraczyłeś mnie wspaniałym posiłkiem. - Nabrała porcję na widelec, wsunęła sobie do ust i uśmiechnęła się. - Jest okropny. Dziękuję.

Wzięła kolejną porcję.

- Proszę bardzo - odparł Ford.

Nic się nie zmieniło, kiedy zjawili się w szpitalu, tak jak kilka godzin później, kiedy wychodzili. Cilla spała z telefonem w zaciśniętej dłoni, pragnąc, by dyżurna pielęgniarka zadzwoniła i powiedziała, że Steve się obudził i jest przytomny.

Ale nie doczekała się żadnego telefonu. W przeciwieństwie do snu.

*Shenandoah Valley 1960*

- Tak właśnie wyglądała, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłam.

Moja mała farma.

Janet, w czerwonych rybaczkach, białej bluzce związanej w talii na supeł i białych tenisówkach, spacerowała z Cillą u boku. Świetliste włosy, spięte w modny koński ogon, podskakiwały wesoło.

- Oczywiście, to nie do końca prawda, ponieważ kiedy po raz pierwszy tu przyjechałam, wszędzie było pełno przyczep, reflektorów, przewodów, ciężarówek. Miasto, które urządziliśmy na planie. Wiesz.

- Tak, wiem.

- Ale teraz przyjrzymy się temu dokładnie. Tak jak robiłam to wtedy. Co widzisz?

- Ładny dom o prostych liniach. Rodzinną siedzibę z szerokimi, gościnnymi werandami, a na nich stare fotele bujane, gdzie można usiąść i nic absolutnie nie robić. Cudowne małe ogrody i wielkie ocieniające drzewa.

- Dalej.

- Wielka czerwona stodoła i... och! Konie na padoku! - Cilla podbiegła do ogrodzenia, podniecona wiatrem, który oplatał jej włosy i falował na grzywie kobyły i żrebaka. - Są takie piękne.

- Zawsze chciałaś mieć kucyka?

- Oczywiście. - Śmiejąc się, Cilla odwróciła głowę i popatrzyła na Janet. - Każda mała dziewczynka chce mieć kucyka. I szczeniaczka. I małego kotka.

- Ale nigdy ich nie miałaś.

- Nie, miałam harmonogramy planów zdjęciowych i temu podobne. Sama wiesz.

- Tak, wiem.

- Kurnik! Tylko posłuchaj, jak gdaczą! - Ten dźwięk znów przyprawił ją o śmiech. - I

świnie, które ryją w swojej zagrodzie.

Spójrz na pola. To kukurydza? I ogród przykuchenny. Widzę stąd pomidory. Mogłabym je uprawiać.

Uśmiech na ustach Janet był pełen pobłażania i jednocześnie rozbawienia.

- I mieć kucyka, szczeniaczka i małego kotka.

- Czy tego chcę? - spytała Cilla. - Nie mam już dziesięciu lat. Nie potrafię chyba powiedzieć z całą pewnością. A ty tego chciałaś.

- Chciałam wszystkiego, czego nie miałam, a jeśli to dostawałam, to nie było do końca tym, czego mimo wszystko pragnęłam. Na dłuższą metę. Nawet to miejsce. - Wyciągnęła rękę gestem tancerza i zatoczyła nią łuk, jakby chciała objąć farmę. - Zakochałam się w nim, ale wtedy zakochiwałam się łatwo i często, jak wszyscy wiedzą, a potem się odkochałam. I pomyślałam sobie, że muszę je mieć.

Unosząc obie ręce, Janet obracała się raz za razem.

- Dom rodzinny z szerokimi, gościnnymi werandami, wielką czerwoną stodołą, pnączami pomidorów. Nigdy tego nie miałam.

Ale mogę to kupić, mogę to posiadać. - Przestała się obracać. - Potem, oczywiście, trzeba było to zmienić. Ogrody musiały być bujniejsze, barwy śmielsze, światła jaśniejsze. Pragnęłam jasnych, bardzo jasnych światel. I choć sprawiłam, że barwy były śmielsze, a światła jaśniejsze, choć sprowadziłam tu gwiazdy, by spacerowały po trawniku jak duchy Gatsby'ego, tak naprawdę nic się nie zmieniło. To miejsce nigdy nie straciło swej gościnności. A ja nigdy się nie odkochałam.

- Przyjechałaś tu, żeby umrzeć.

- Naprawdę? - Janet przechyliła na bok głowę i spojrzała spod rzęs, a w jej wzroku pojawiła się nagle przebiegłość. - Zastanawiasz się, czy tak? To jeden z powodów, dla których tu jesteś. Sekrety - wszyscy je mamy. Twoje też tu są. Dlatego tu przyjechałaś.

Powiedziałaś sobie, że przywrócisz temu miejscu blask, że będzie takie jak dawniej i że w jakiś sposób wskrzesisz mnie. Ale tak jak ja wprowadzisz zmiany. Już to zrobiłaś. To nie mnie tu szukasz.

Tylko siebie.

Cilla poczuła we śnie nagły dreszcz, chłód prawdy.

- Nie ma mnie bez ciebie. Widzę cię, kiedy spoglądam w lustro. Słyszę cię, kiedy mówię. Wszystko to przykrywa zasłona, dostatecznie gęsta, by przyćmić blask i wspaniałość, i ty się za nią chowasz.

- Chciałaś kucyka czy harmonogramu planu zdjęciowego, Cilla?



- Przez chwilę chciałam jednego i drugiego. Ale byłabym szczęśliwsza z kucykiem. -  
Znów spojrzała w stronę domu. - Tak, i z domem rodzinnym. Masz rację. Dlatego tu jestem.  
Ale to nie wszystko. Sekrety, ich cienie. Wciąż tu są. Ludzi spotyka krzywda w ciemności.  
Steve'a spotkała krzywda w ciemności.

- Więc zapal światło.

- Jak?

- Jestem tylko snem - odparła z uśmiechem Janet, wzruszając ramionami. - Nie znam  
żadnych odpowiedzi.

Obudziła się i chwyciła telefon, który upuściła we śnie, i wystukała numer szpitala.  
Bez zmian.

Leżała w przyćmionym świetle wczesnego brzasku, przyciskając komórkę do piersi i  
zastanawiając się, czy powinna odczuwać strach, czy może ulgę. Nie umarł w nocy, nie  
wymknął się jej, kiedy spała. Ale wciąż leżał uwięziony między światłami, w tym miejscu  
między życiem a śmiercią.

Postanowiła, że porozmawia z nim, będzie nalegać, namawiać, by się obudził. Zsunęła  
się z łóżka, umyła. Pomyślała, że przyrządzi sobie kawę i ułoży listę fachowców, których  
mogłoby jej zabraknąć podczas wizyt w szpitalu.

Przechodząc obok sąsiedniego pokoju, zatrzymała się i spojrzała na Forda. Spał w  
śpiworze, odsłonięty do połowy. Musiała przyznać, że bardzo jej się podoba to, co było  
widać.

Pies zwinął się w kłębek u nóg swego pana, chrapiąc jak piła łańcuchowa w trakcie  
masakry. Przypomniała sobie, że Ford nie chciał, by Spock spędzał noc sam, i poszedł po  
niego, kiedy wrócili ze szpitala. Zaproponował, że prześpi się u niej w gościnnym pokoju.

Nie chciał zostawiać jej samej. Zeszła na dół, zaparzyła kawę i wypiła ją na tylnej  
werandzie. Nie było w jej śnie patio, ale podświadomość jej podpowiadała, że Janet  
dobudowała je dopiero później, tak jak później wytyczyła ścieżki. Zboża na polach, jeszcze  
jeden pewnik. Ogród warzywny? Nie mogła sobie przypomnieć, czy istniał tu zawsze, czy był  
to jeszcze jeden pomysł Janet. Nieważne; uznała, że warto się nad tym zastanowić.

A stodoła? Nie była już czerwona. Ten jaskrawy kolor spłowieł dawno temu. Cilla  
poczuła, jak kawa w jej ustach nabiera goryczy, gdy spojrzała na żółtą taśmę przecinającą  
drzwi. Postanowiła, że jeśli Steve umrze, to rozwali tę przeklętą rudere, Rozwali, spali, wraz z  
wszystkim, co znajdowało się w środku.

Zaciskając mocno powieki, stłumiła w sobie gniew, który gwałtownie chciał się  
uzewnętrznić. Jeśli Steve przeżyje - powiedziała sobie - jeśli wyjdzie z tego cało, to znów

pomaluje stodołę na radosny czerwony kolor. Z białym szlaczkiem.

- Błagam, Boże!

Co Boga by obchodziło, gdyby spaliła ją do gołej ziemi albo pomalowała na czerwono z żółtymi uśmiechniętymi buziami - nie potrafiła powiedzieć. Ale nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Wróciła do domu, naląła jeszcze jeden kubek kawy i zaniósła na górę Fordowi.

Usiadła obok niego ze skrzyżowanymi nogami i, popijając swoją drugą filiżankę, przyglądała mu się uważnie. W przeciwieństwie do swojego psa nie chrapał, co przemawiało na jego korzyść; gorzej, że się rozwalał podczas snu. Pomyślała, że trzeba mu odjąć kilka punktów. Miał gęsty zarost, zważywszy, że się nie ogolił dzień wcześniej, ale musiała przyznać, że przydaje mu to męskiego uroku.

Nie określiłaby go jako mięśniaka, był raczej dobrze zbudowany, ale jednocześnie szczupły. Odrobina niezgrabności - pomyślała. Kilka dodatkowych punktów za urok.

Miał dobre ramiona. Silne, bardziej szczupłe niż masywne. A najważniejsze, że wiedziały, jak obejmować. Duży plus - przyszło jej do głowy. Robił z nich odpowiedni użytek.

I wargi - najwyższa punktacja. Nachyliła się i musnęła je ustami. Wydał z siebie cichy pomruk i wyciągnął ręce. Kiedy się cofnęła, otworzył oczy.

- Cześć.

- Cześć.

- Miałaś zły sen?

- Nie. Dziwny, ale to dla mnie typowe. Jest rano.

- Uhm. - Przesunął się, by obrócić nadgarstek i spojrzeć na zegarek, mrugając. Leżący w jego nogach Spock ziewnął, wydając z siebie wysoki pisk, po czym znów zaczął chrapać. - Nie. Za dwadzieścia siódma to nie rano. Wejdz tu do mnie. Udowodnię ci to.

- Kuszące. - Tym bardziej że przyciągnął jej głowę i uraczył ją znacznie namiętniejszą wersją jej porannego pocałunku. - Bardzo kuszące, ale za jakieś dwadzieścia minut zaczną się zjeżdżać robotnicy.

- Mogę to załatwić w dwadzieścia minut. - Skrzywił się. - No, chyba nie przemawia to na moją korzyść.

- Napij się kawy. - Wyciągnęła dłoń z kubkiem i przesunęła pod jego nosem.

- Przyniosłaś mi kawę? - Usiadł i upił łyk. - Teraz musisz wyjść za mnie.

- Naprawdę?

- Tak, urodzić mi ośmioro dzieci, tańczyć przede mną w każdy wtorek nago i budzić

mnie kawą - najpierw seks - każdego ranka. Takie jest prawo Kroblatu.

- Kto to jest Kroblat?

- Nie kto, tylko co. Planeta Kroblat. To bardzo uduchowione miejsce - wyjaśnił pospiesznie. - Staram się żyć zgodnie z jej prawami. A więc musimy się pobrać, nie wspominając już o reszcie.

- Wrócimy do tego przy pierwszej okazji. - Musnęła mu dłonią włosy. - Dzięki, że zostałeś ze mną.

- Hej, załatwiłem sobie w ten sposób kawę, żonę i ośmioro dzieci. Sprawdzałaś, co ze Steve'em?

- Bez zmian. Wybieram się do szpitala. Może zdołam go obudzić, zrzedząc mu nad głową.

- Może. Daj mi dziesięć minut, zawiozę cię.

- Nie, nie trzeba. Chcę z nim chwilę posiedzieć, pomęczyć go odrobinę. Potem kupię trochę zapasów i materiałów i przywiozę tutaj. Będę jeździć tam i z powrotem. Pozwól, że cię o coś spytam. Gdybym zawarła pakt z sobą... albo z Bogiem czy z losem, nieważne. Chodzi o to, że pomalowałabym stodołę na czerwono z białym obramowaniem na drzwiach, gdyby Steve wyszedł z tego cało... tylko czy... prowokowałabym złe fatum, kupując farbę... zanim wyzdrowieje? - Nie. Prawdę mówiąc, to dowód wiary.

Potrząsnęła głową.

- Wiedziałam, że tak powiesz. Ze mną jest wprost przeciwnie. Za bardzo się boję kupić tę cholerną farbę. - Podniosła się. - Zobaczymy się później.

- Dojadę do szpitala.

Przystanęła w drzwiach, zawahała się, odwróciła i spojrzała na niego.

- Mogę przyrządzić dziś kolację, jeśli chcesz.

- Byłoby wspaniale.

- Naprawdę chcę się z tobą przespać. - Uśmiechnęła się, kiedy omal nie wylała kawy, a uszy Spocka podniosły się gwałtownie. Niezłą parę obaj stanowili. - Naprawdę chcę się przekonać, jak to jest: pójść na żywioł. Ale chwilowo to przypomina kupowanie farby.

Wpatrywał się w nią długą chwilę i wreszcie uśmiechnął się z namysłem.

- Mam czas. Do zobaczenia.

Ford siedział w śpiworze, popijając kawę i odnotowując sobie w myślach, by zapisać później tę historię z Kroblatem. Mogła się kiedyś przydać.

Doszedł do wniosku, że czuje się cholernie dobrze jak na faceta, który spał na podłodze i który z trudem starał się nie myśleć o kobiecie śpiącej na podłodze w sąsiednim

pokoju.

Postanowił, że skoro obudził się o tak niehumanitarnej porze, to zawlecze swój tyłek na drugą stronę drogi, poćwicz w siłowni, dowie się, co u Steve'a, spędzi dwie solidne godziny nad książką, a potem zajrzy do szpitala.

- Ty też rusz swój leniwy tyłek - zwrócił się do Spocka i obudził psa na dobre, trąc go nogą.

Kiedy wciągał spodnie, usłyszał, jak na podwórzu zajeżdża pierwsza półciężarówka. Zanim ubrał się do końca i nalał sobie drugi kubek kawy, a Spock zrobił to, co zwykle musiał robić na tyłach domu, hałas i krzątanina osiągnęły poziom krytyczny. Postanawiając, że pożyczycie sobie kubek i zwróci go później, wyszedł z kawą na zewnątrz.

Zobaczył Briana, który właśnie posyłał jednego ze swoich ludzi na tyły domu z czymś, co wyglądało jak góra piachu. Ford pomachał.

- Cześć, Bri.

- Cześć. - Wsunąwszy kciuki w kieszenie, Brian podszedł do niego i spojrzał znacząco na dom. - Jak poszło?

- Nic nie poszło. Osobne pokoje. Nie chciałem, żeby była sama.

- Jak się trzyma?

- Chyba lepiej. Właśnie wybrała się do Steve'a.

- Shanna dzwoniła do szpitala. Na razie bez zmian. Niech to diabli! Steve to cholernie miły facet.

- Tak. - Ford rzucił okiem na stodołę. - Jak myślisz, ile farby potrzeba, żeby pomalować tę stodołę?

- Nie mam pojęcia. Spytaj malarza.

- Słusznie. - Zobaczył, że na podwórzu zajeżdża następny samochód. - To istny dom wariatów. Idę do siebie.

- Gliniarze. - Brian podniósł gwałtownym ruchem głowę. - Znów tu są. Mam nadzieję, że nie zamierzają znów gadać z Shanną. To ją dobija.

- Zobaczą, co się da zrobić.

Żaden z mężczyzn, którzy wysiedli z forda crown victoria, nie był policjantem - Taney się nazywał, przypomniał sobie Ford - z którym rozmawiali dzień wcześniej. Żaden z nich nie nosił munduru, tylko garnitury i krawaty. Detektywi - domyślił się.

- Hej, co słyhać?

Ten wyższy, z lekką siwizną i wydatną żuchwą, skinął nieznacznie głową. Drugi, niższy, szczupły i czarnoskóry, przyglądał mu się chłodno.

I obaj, jak zauważył, popatrzyli z góry na psa, który spoglądał na nich z dołu.

- Cilla, to znaczy pani McGowan, jest w tej chwili nieobecna - zaczął Ford. - Wyjechała do szpitala jakieś piętnaście, dwadzieścia minut temu.

Wysoki biały gliniarz przyglądał mu się z uwagą.

- A pan jest...

- Sawyer. Ford Sawyer. Mieszkam po drugiej stronie drogi. Rozmawiałem wczoraj z funkcjonariuszem Taneyem.

- Mieszka pan po drugiej stronie drogi, ale nocował pan tutaj dziś w nocy. Z panią McGowan.

Ford łyknął kawy i napotkał wzrok niskiego czarnego gliniana, podczas gdy Spock zaczął warczeć.

- To stwierdzenie czy pytanie?

- Wciąż ma pan mokre włosy od prysznic.

- Rzeczywiście. - Ford zdobył się na swobodny uśmiech i znów pociągnął z kubka.

Wysoki biały gliniarz wyjął notatnik i przerzucił kilka kartek.

- Może nam pan powiedzieć, gdzie pan był przedwczorajszej nocy, między drugą a piątą rano?

- Pewnie. Zechcą się panowie przedstawić, jeśli mogę prosić?

- Detektyw Urick, a to mój partner, detektyw Wilson - oznajmił wysoki biały gliniarz i obaj pokazali legitymacje.

- Okej. Byłem w łóżku - tam, po drugiej stronie drogi - od mniej więcej pierwszej nad ranem aż do chwili, kiedy usłyszałem syreny.

- Ktoś był z panem?

- Tak, Spock. - Wskazał psa. - Możecie go przesłuchać, ale musiałbym robić za tłumacza, więc pewnie nic by z tego nie wyszło. Słuchajcie, wiem, że musicie sprawdzić wszystko i wszystkich, ale jest faktem, że ktoś tu był kilka nocy wcześniej. Widziałem kogoś, jak kręcił się tu z latarką.

- Wiemy, o tym - przytaknął Urick. - Jest pan jedynym, który twierdzi, że coś widział. Co pana łączy z panią McGowan?

Ford skrzywił usta w przesadnym uśmiechu wiejskiego prostaka.

- Jesteśmy przyjaciółmi i sąsiadami.

- Wydaje nam się na podstawie pewnych źródeł, że łączy was coś więcej niż tylko przyjaźń.

- Jeszcze nie.

- Ale chciałby pan, żeby tak było.

Ford odetchnął zniecierpliwiony, a Spock zaczął okrężać policjantów. Nie ugryzłby, ale Ford wiedział, że dostatecznie poirytowany, z pewnością może podnieść nogę i wyrazić swoją opinię.

Kiepski pomysł - prawdopodobnie.

- Spock, przywitaj się. Przepraszam, czuje się trochę zirytowany i ignorowany. Jeśli zadacie sobie nieco trudu i uściśnicie mu łapę, to się uspokoi.

Wilson przykucnął i ujął łapę czworonoga.

- Jak leci? Nie widziałem jeszcze tak dziwnego psa.

- Załatwcie tu sobie bulteriera - doradził Urick, który też się pochylił i przywitał z psem.

- Tak, już to słyszałem. Okej, wracając do tego, czy chciałbym, żeby to było coś więcej niż przyjaźń... widzieliście Cille?

Poznaliście ją? Jeśli tak, to wiecie, że byłbym głupi, gdybym tego nie chciał. Co to ma wspólnego ze Steve'em?

Urick podrapał odruchowo Spocka za uchem, potem się wyprostował.

- U pani McGowan zatrzymał się jej były mąż. Troje to już tłum.

- Może i racja, tyle że znów musiałbym być głupi. Ale daliście już jasno do zrozumienia, że to, co się stało, nie było żadnym nieszczęśliwym wypadkiem. - Ford odwrócił się i spojrzał na stodołę. - Ktoś tam był i ten ktoś rozwalił czaszkę Steve'owi i zostawił go. Po prostu go zostawił.

Na samą myśl o tym poczuł wściekłość, nad którą zdołał jakoś zapanować.

- Sukinsyn. Czego, u diabła, tam szukał?

- Dlaczego uważa pan, że ktoś czegoś szukał? - spytał ostro Urick.

Oczy Forda przypominały zielony lód, kiedy się odwrócił do policjantów.

- Przestańcie udawać. To nie był jakiś zbieracz śmieci, jakiś dupek, który szukał pary butów Janet Hardy, żeby je potem wystawić na aukcji w Internecie. To się nie trzyma kupy.

- Zastanawiał się pan nad tym.

- Owszem. Posłuchajcie, możecie wpatrywać się we mnie, jak długo chcecie i tak twardo, jak chcecie. Jeśli przyjdą wam do głowy jeszcze jakieś pytania, to będę w pobliżu.

- Znajdziemy pana, jeśli zajdzie konieczność! - zawołał za nim Wilson.

Bez wątpienia - pomyślał Ford, kierując się wraz z psem w stronę domu.

## ROZDZIAŁ 12

Ford chciał się dostać do stodoły, ale przyszło mu do głowy, że gdyby tak zrobił, to wzbudziłby jeszcze większe podejrzenia w policjantach.

Zaliczał się do podejrzanych. I było to absurdalne.

Boże, jak ktoś jest głupi, to zawsze taki pozostanie - pomyślał, ćwicząc na siłowni.

Kiedy się już porządnie spocił i zgłodniał, zadzwonił do szpitala i zjadł trochę płatków owsianych. Wziął prysznic, ogolił się, ubrał i poszedł do swojej pracowni, gdzie stanął przy rysownicy. Zamknął oczy, podniósł do góry ręce i oznajmił:

- Niech moc będzie z tobą.

Ten dziecienny rytuał sprawił, że teraz nie liczyło się nic, tylko praca i jego zaangażowanie. Usiadł, wziął do ręki narzędzia i zaczął rysować pierwszy panel z Brid.

Cilla obróciła krzesło w stronę łóżka, by móc patrzeć na twarz Steve'a i jednocześnie mówić. I mówiła, prowadząc nieprzerwanie jednostronną rozmowę, jakby choć jedna krótka chwila milczenia mogła stanowić śmiertelne zagrożenie.

- Wszystko posuwa się do przodu. Idzie lepiej, niż przypuszczałam, nawet biorąc pod uwagę zmiany, jakie wprowadziłam do pierwotnego planu. Przestrzeń na strychu jest naprawdę obiecująca. Później zamierzam dobrać podłogę, a także armaturę i płytki do łazienki obok i tej głównej. Będziemy mogli napić się piwa na patio, jak tylko będziesz gotów. Potrzebuję doniczek. Dwóch wielkich donic. Ogromnych. Och, zamierzam jeszcze posadzić pomidory. Myślę, że jest odpowiedni moment, żeby to zrobić.

I powiedzmy - paprykę, może marchew i fasolę. Powinnam poczekać do następnego roku, kiedy dom będzie gotowy, ale jakoś wygospodaruję kawałek ziemi na mały ogród już teraz. Potem...

- Pani McGowan.

Cilla odetchnęła głęboko. Jeśli czuła ból w piersiach, oznaczało to, że trzeba zrobić przerwę.

- Tak. - Jak miała na imię ta pielęgniarka, ta z kręconymi blond włosami i ciepłymi brązowymi oczami? Dee. - Mów mi Cilla.

- Cilla, zjawiała się policja. Dwóch detektywów. Chcą z tobą rozmawiać.

- Och, jasne. Już idę. - Zwróciła się do Steve'a: - Zostawię cię na chwilę. Zaraz wracam.

Od razu ich rozpoznała. Przyszło jej do głowy, że to najprostsza rzecz, jakątego dnia zrobiła. Podeszła do nich.

- Jestem Cilla McGowan.

- Detektyw Wilson. Mój partner, detektyw Urick. Możemy gdzieś tu porozmawiać?

- Na dole jest mała poczekalnia. Podają tam coś, co nazywają kawą. Prowadzicie śledztwo w sprawie Steve'a?

- Tak, proszę pani.

- Wiecie więc, że nie potknął się o własne stopy, nie walnął się sam w głowę i nie upadł pod własny motor. - Nalała sobie kawy z dzbanka i dosypała zabielaacza. - Wiecie, co się dokładnie stało?

- Badamy to - odparł Urick. - Czy zna pani kogokolwiek, kto chciałby zaszkodzić panu Chenskiemu?

- Nie. Jest tu dopiero od kilku dni. Steve na ogół zyskuje przyjaciół, nie wrogów.

- Byliście małżeństwem.

- Zgadza się.

- Żadnej urazy? - drażył Wilson.

- Żadnej. Byliśmy przyjaciółmi, zanim się pobraliśmy. I pozostaliśmy przyjaciółmi.

- Mieszka z panią.

- Nie, jest tylko przejazdem, miał mi pomagać przez kilka tygodni. Przebudowuję dom. Zna się na tym.

- *Rock the House* - zauważył Urick. - Widziałem ten program.

- Najlepszy, jaki jest. Chcecie wiedzieć, czy śpimy ze sobą.

Nie. Spaliśmy, ale teraz już nie.

Wilson wysunął wargi i przytaknął.

- Pani sąsiad, pan Sawyer, twierdzi, że widział kilka nocy wcześniej jakiegoś intruza na pani posesji.

- Tak, to było zaraz po przyjeździe Steve'a. Steve słyszał jakiś hałas na zewnątrz.

- Pani nie słyszała.

- Nie, śpię jak kamień. Ale Steve mnie obudził i powiedział, że coś słyszał. Nie zwróciłam na to uwagi. - Znow poczuła wyrzuty sumienia. - Potem Ford wspomniał o świetle latarki. Miałam kupić kłódkę do stodoły, ale jakoś o tym zapomniałam.

- Zauważyliśmy, że składowe tam pani różne rzeczy. Pudła, meble...

- Graty - dokończyła Cilla i przytaknęła. - Zniosłam je ze strychu. Wykańczam go, więc musiałam opróżnić pomieszczenie.

Staram się posegregować to wszystko, ale jest z tym mnóstwo roboty. Pomyślałam, że zachowam rzeczy, które mają jakąś wartość, ale trudno to ocenić tak od razu.



- Zauważyła pani, żeby czegoś brakowało?

- Nie potrafię w tej chwili powiedzieć.

- Niektóre z pudeł zostały zgniecione, meble poprzewracane - przypomniał Wilson. - Wyglądało tak, jakby pan Chensky wjechał swoim motorem do stodoły, stracił nad nim panowanie i przewrócił się.

- To nie tak. Wiecie, że nie był ani pijany, ani odurzony narkotykami.

- Poziom alkoholu w jego krwi nie przekroczył dopuszczalnej normy. Był nawet niższy - przyznał Urick. - Nie stwierdzono też w organizmie obecności narkotyków.

Poczuła, jak serce w jej piersi zaczyna bić szybciej.

- Trzeźwy człowiek, który jeździ na harleyu od dwunastu lat, nie zsiada z motoru, nie otwiera drzwi stodoły, nie wsiada z powrotem na maszynę i nie wjeżdża jak wariat w stos pudeł i mebli.

- Prześwietlenie wykazało, że pan Chensky został uderzony w podstawę czaszki. Prawdopodobnie łomem albo łyżką do opon.

Cilla przycisnęła do piersi dłoń, która zwinęła się w pięść.

- O Boże!

- Siła ciosu pchnęła go do przodu i rzuciła na beton, co spowodowało drugie pęknięcie czaszki. Według naszych ustaleń ktoś podprowadził harleya do miejsca, w którym leżał pan Chensky, a następnie przygniótł go motorem, łamiąc mu dwa żebra i uszkadzając nerkę.

Urick czekał i patrzył, jak Cilla odstawia drżącą dłonią kawę. Bładość na jej twarzy zamieniła się w trupa biel.

- Pozwoli pani, że spytam jeszcze raz. Zna pani kogokolwiek, kto chciałby skrzywdzić pana Chenskiego?

- Nie, nie znam nikogo, kto chciałby go skrzywdzić. Nikogo, kto chciałby zrobić mu coś takiego.

- Jakie stosunki łączyły go z Sawyerem?

- Z Fordem? - Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. - Doskonałe. Od razu się polubili. Bardzo. Steve był jego fanem. Miał nawet... och, na litość boską!

Pojmując wreszcie, o co chodzi, Cilla przycisnęła dłonie do oczu, a potem przesunęła palcami po włosach.

- Okej, proszę bardzo, idźmy tym tropem. Nie śpię i nie spałam ze Steve'em. Nie śpię i nie spałam z Fordem, choć się na to zanosi.

Ford nie zaatakował Steve'a w ataku wściekłej zazdrości, w ogóle nie sędzę, by był porywczy, co ważniejsze, wiedział, że nie ma powodów do zazdrości. Byłam z nim szczerą,

jeśli chodzi o moje relacje ze Steve'em; prawdę mówiąc, byłam z Fordem tamtej nocy, kiedy Steve został napadnięty. Tej nocy, kiedy oboje wiedzieliśmy, ja i Ford, że Steve wybrał się na randkę z Shanną Stiles. Nie ma tu żadnego romantycznego czy seksualnego trójkąta. Tu nie chodzi o seks.

- Pani McGowan, wygląda na to, że ktoś był w pani stodole i być może się tam ukrył. Pani i Sawyer wiedzieliście, że pan Chensky wybrał się wieczorem do miasta i że zawsze wprowadzał motor do stodoły, - Zgadza się, ma pan absolutnie rację, detektywie Wilson. Tak jak wiemy obydwoje, że wybrał się na spotkanie z bardzo atrakcyjną brunetką. Żadne z nas nie miało pojęcia, czy mu się poszczęści, czy też odejdzie z kwitkiem. Więc sugeruje pan, że po spędzeniu wieczoru ze mną Ford się wymknął, schował w mojej stodole, tak na wszelki wypadek, gdyby Steve wrócił wcześniej. To nie ma żadnego sensu.

Szok, gniew, poczucie winy, irytacja - wszystko to przerodziło się w nieklamany ból.

- Chcielibyśmy, żeby przejrzała pani te wszystkie rzeczy w stodole i sprawdziła, czy niczego nie uszkodzono albo nie zabrano.

- W porządku.

- Pani babka pozostawiła tu po sobie trwałe ślady - ciągnął Wilson. - Jak przypuszczam, ludzie sądzili, że wszystko, co do niej należało, zostało już dawno z domu zabrane. I, jak to często bywa, nagle się rozchodzi po okolicy, że coś jeszcze zostało; ktoś mógł się tym zainteresować; przyszło mu do głowy, żeby się włamać do stodoły.

- I rozwalić czaszkę człowiekowi. Tak. Wie pan co? Większość tego, co znajduje się w stodole, należało do McGowanów. To ta druga strona rodziny. Ta zwyczajna.

Wróciła do Steve'a, ale tym razem milczała. Kiedy wyszła z jego pokoju i zbliżała się do windy, zobaczyła, jak wychodzi z niej jej ojciec.

- Tata.

- Cilla. - Zbliżył się do niej szybko i ujął ją za ramiona. - Jak się czuje?

- Chyba bez zmian. Jest w stanie krytycznym. Przeżył operację i to jest plus, ale... za dużo niewiadomych, tych wszystko „Jeśli” i „może”.

- Tak mi przykro. - Przytulił ją na chwilę. - Widziałem go tylko kilka razy, ale zdążyłem polubić. Co mogę zrobić?

- Nie wiem, naprawdę.

- Chodź, zejdziemy na dół, zjesz coś.

- Nie, prawdę mówiąc, wychodzę na chwilę. Mam parę spraw do załatwienia. - Chciała się na jakiś czas wyrwać, przestać myśleć o tym wszystkim na kilka godzin. - Może... mógłbyś wejść do niego i posiedzieć z nim przez chwilę? Porozmawiać z nim?

On też cię lubił.

- Jasne, pójdę do niego.

- Jak będziesz od niego wychodził, to przypomnij mu, że później wrócę. Wrócę.

- W porządku.

Przytaknęła i wcisnęła guzik od windy, zrzucając torbę na ramię.

- Doceniam... naprawdę doceniam, że przyszedłeś. Prawie go nie znałeś. Do diabła!

Mnie też prawie nie znasz.

- Cilla...

- Ale przyszedłeś. - Weszła do windy, odwróciła się i napotkała wzrok ojca. -

Przyszedłeś. To dużo znaczy.

Po chwili rozdzieliły ich drzwi.

Praca. Praca pozwoliła jej przetrwać dzień. I następny. Pomyślała, że lepiej sobie radzi z robotą niż z sentymentem, wyrażaniem emocji - chyba że z tymi w scenariuszu. Nakreśliła sobie plan i trzymała się go. Tyle godzin poświęconych domowi, tyle poświęconych zieleni, tyle w szpitalu, tyle w stodole.

I tyle godzin na jej dmuchanym materacu, kiedy dzień dobiegał końca.

Jak dotąd wszystko szło dobrze.

Z tą różnicą, że matka Steve'a zeskoczyła w pewnym momencie ze swojej miotły i wrzuciła plan pracy do kontenera ze śmieciami. A zatem trzeba teraz nadgonić robotę - powiedziała sobie Cilla. Bardziej się starać, by doprowadzić rzecz do końca.

Podniosła z ziemi lampę stojącą i spojrzała, skrzywiona, na sześć lejkowatych abażurów, umieszczonych wzdłuż poplamionego mosiężnego pręta.

- Musieli być chyba naćpani, kiedy to kupowali.

Pod wpływem jakiegoś impulsu pokonała kilka kroków biegiem i cisnęła prętem jak oszczepem w otwarte drzwi stodoły. Po sekundzie pisnęła przerażona, gdy w polu jej widzenia pojawił się nagle Ford. Odskoczył na bok, a pałak lampy przeleciał tuż obok jego twarzy.

- Jezu Chryste!

- Przepraszam, przepraszam. Nie widziałam cię.

- Nie powinnaś krzyknąć wcześniej: „Uwaga” czy coś w tym rodzaju? - spytał. - Jak, u diabła, miałbym to wyjaśnić lekarzowi? Doktorze, nadziano moją głowę na pal za pomocą najbrzydszej lampy w historii lamp stojących.

- Nie wydaje mi się, żebyś nabił sobie głowę na pal. Raczej Zrobił sobie wgniecenie. Tak czy owak jej widok był obrazą dla mojego oka.

- Dla mojego też. Niemal dosłownie. Co ty tu robisz? Za wcześnie jak na ciebie - dodał, kiedy spojrzała na niego zaskoczona. - Widziałem twój samochód. Pomyślałem sobie, że może...

- Nie, nic nowego. Tyle że matka Steve'a zjawiała się w szpitalu.

- Tak. Widziałem ją przez chwilę dziś rano. - Wsunął dłonie w kieszenie spodni i przygarbił się nieznacznie. - Budzi grozę.

- Nie znosi mnie. Za to, że się pobraliśmy ze Steve'em, i za to, że się rozwiedliśmy. Prawdę powiedziawszy, nie chodzi o to, że tak bardzo lubi Steve'a, ale o to, że mnie nienawidzi. Więc ustąpiłam jej pola. Właściwie zdezerterowałam. Jakoś nie idzie mi z matkami.

- Ale z macochą się dogadujesz. Przysłała wczoraj wieczorem zapiekankę.

- Z tuńczyka. Nie wiem, czy to objaw sympatii.

- Owszem, uwierz mi na słowo. - Obszedł rupiecie, zbliżył się do niej i dotknął jej policzka. - Pracujesz za ciężko, piękna blond dziewczyno.

- Nieprawda. - Odsunęła się i kopnęła jedno z pudeł. - Policja chce, żebym przejrzała to wszystko i sprawdziła, czy czegoś brakuje.

- Tak. Myślę, że na liście podejrzanych spadłem o kilka oczek w dół, co jest dla mnie dziwnie przykre. Wysoki biały facet poprosił, żebym mu podpisał dla wnuka egzemplarz *Poszukiwacza i Niezniszczalnego*.

- Wysoki... aha, Urick. Powiedziałam im, że nie chodzi o ciebie, Steve'a czy o mnie. Ale co, u diabła, jest w tej stodole? Co ktoś chciałby tak bardzo zdobyć? To śmieci. Graty. Wszystko to nadaje się do wyrzucenia. Co też uczynię - zdecydowała. - Pomóż mi.

Chwycił ją i odciągnął, kiedy zaczęła podnosić jakieś pudło.

- Nie. Nie będziesz tego robić, kiedy jesteś zdenerwowana.

I wiesz, że to, co ktoś chciałby zdobyć, nie znajduje się tutaj. Ponieważ już to znalazłaś i schowałaś gdzie indziej.

- Listy.

- Zgadza się. Powiedziałaś o nich policjantom?

- Nie.

- Dlaczego?

- Właściwie nie wiem. Może dlatego, że przede wszystkim myślałam o Stevie. Zresztą co mieliby zrobić z tymi listami?

Czterdzieści dwa stare listy, niepodpisane, bez adresu zwrotnego.

- Odciski palców, DNA. Nie oglądasz kryminalów?

- Fakt, to czysta fantazja. I wyjdzie na jaw. Zawsze coś takiego wychodzi na jaw, to kolejny fakt. Listy od kochanka na kilka dni przed śmiercią. Samobójstwo? Morderstwo? Czy nosiła w sobie dziecko miłości? Wszystkie te spekulacje, gazety, telewizja, reporterzy, obsesyjni fani. Jeśli miałam jakąkolwiek szansę na spokój i normalne życie w tym miejscu, to wszystko to diabli wezmą.

- Dlaczego?

- Nie chcę tak żyć, w obiektywie kamery. Chcę, żeby to był mój dom. - Dosłyszała nutę rozpaczy w swoim głosie, ale nie zdołała jej stłumić. - Chciałam coś z niej odtworzyć, i dla niej.

Ale koniec końców chciałam, by było to wyłącznie moje.

- Nie chcesz wiedzieć, kto napisał te listy?

- Owszem, chcę. Ale nie chcę zrujnować mu życia, Ford, ani życia jego dzieciom, tylko dlatego, że miał romans, a potem go zerwał. Nawet jeśli postąpił okrutnie. Obowiązuje jakaś zasada przedawnienia. Trzydzieści lat pewnie wystarczy.

- Zgadzam się.

Nie powiedział nic więcej, tylko zaczął się jej przyglądać, patrzeć jej w oczy, aż w końcu je zamknęła.

- Jak ktokolwiek zdołałby to udowodnić? - spytała. - Jeśli, jeśli, jeśli się nie zabiła. Jeśli, jeśli, jeśli jakieś teorie spiskowe są bliskie prawdy i ktoś - ten ktoś - zmusił ją do zażycia pigułek albo podsunął je Janet w jakiś sposób. Jak moglibyśmy to udowodnić?

- Nie wiem, ale pierwszym krokiem byłoby zadanie właściwych pytań właściwym ludziom.

- Nie znam ludzi ani pytań i nie mogę teraz o tym myśleć.

Nie teraz. Muszę przebrnąć przez dzień dzisiejszy, a potem jutrzejszy. Muszę...

Rzuciła mu się w ramiona, objęła go za szyję i przywarła ustami do jego warg. Nie był przygotowany na ten wybuch, na ten gwałtowny atak rozpaczy i pragnienia. Kto mógłby się spodziewać czegoś takiego? Wydawała z siebie szybkie i urywane westchnienia, ciche, pełne podniecenia jęki, jakby chciała go pochłonać. Otoczyła go od tyłu tą swoją długą nogą, zatopiła zęby w jego wardze, pociągnęła ją. A on poczuł natychmiast beznadziejne pożądanie.

Ocieraała się o niego, aż krew odpłynęła mu z twarzy.

- Zamknij drzwi. - Jej wargi przesunęły się do jego ucha, rozsunęły i szepnęły bez tchu: - Zamknij drzwi.

Zadrzał, gdy uświadomił sobie siłę własnego pragnienia, która niczym pięści uderzała w jego głowę, brzuch, lędźwia.

- Zaczekaj.

Kiedy to powiedział, jego usta zwały się z jej ustami na jeszcze jedną, pełną pożądania chwilę. Ale zdołał się jakoś od niej oderwać, a potem położył dłonie na jej ramionach i odsunął ją odrobinę.

- Zaczekaj - powtórzył i utknął w miejscu, gdy tylko te olśniewająco niebieskie oczy wlepiły w niego spojrzenie.

- Nie. Teraz.

- Cilla. Rany. Jezu. Prawie czuję, jak mi rosną piersi, kiedy mówię: „Zaczekaj”.

Ujęła jego dłonie, przyciągnęła do siebie, przycisnęła do piersi.

- Te są moje.

- Tak. - Miękkie, mocne. - To prawda. - Z żalem i, jak mu się zdawało, heroicznym samozaparciem, znów położył jej dłonie na ramionach. - Do diabła! To znaczy, nawet ryzykując, że będę gadał jak dziewczyna, to nie jest w porządku.

Przesunęła dłonią po jego kroczu.

- W takim razie co to jest?

- Penis ma swój własny umysł. Rany, rany - zdołał wymamrotać, chwytając jej wędrującą dłoń i podciągając ją do góry. - Powiniennem dostać za to nagrodę. Powinni postawić mi pomnik.

Dajmy spokój.

- Dajmy spokój? - Tym słowom towarzyszył szok i oburzenie. - Dlaczego? Co się, u diabła, z tobą dzieje?

- Penis zadaje te same pytania. Ale chodzi o to, że... czekaj - rzucił stanowczym tonem, ujmując ją za ramiona, kiedy chciała się wyszarpnąć. - Chodzi o to, Cilla, że nie możesz wyrzucać tych wszystkich śmieci ze stodoły, kiedy jesteś wzburzona. Tak jak.

kiedy jesteś wzburzona, nie możesz... zamykać drzwi stodoły.

- To tylko seks.

- Może. Może. Ale wiesz, jak powinno być, kiedy się to stanie?

Powinniśmy być tylko ty i ja. Tylko ty. - Sprawdził swoją siłę woli nachylając się i całując ją miękko i przeciągle. - I tylko ja. Nie Steve albo jego mama, nie Janet Hardy, nie listy. Tylko my dwoje, Cilla. Pragnę spędzać z tobą mnóstwo czasu, ale sam na sam.

Odetchnęła i kopnęła jedno z pudeł, nie żałując nogi.

- I jak mam się czuć po czymś takim? Wkurzona i odrzucona? - Wsuwając kciuki w kieszenie spodni, spojrzała z rozmysłem na jego krocze. - Wygląda na to, że ten twój rówieśnik wciąż się głęboko zastanawia. Co zamierzasz z tym zrobić?

- Muszę tylko przywołać w myślach obraz Maylene Gunner.

- Maylene Gunner?

- Maylene była podstępna jak wąż, wielka jak okręt wojenny i brzydka jak noc. I stłukła mnie na kwaśne jabłko, kiedy miałem osiem lat.

Nie, nie sposób było się wkurzać.

- Dlaczego to zrobiła?

- Bo uwieczniłem ją na bardzo niepochlebnym portrecie. Nie miałem talentu do pochlebnego portretu. Da Vinci nie posiadał aż tyle talentu do niepochlebnego portretu. Narysowałem ją jako coś w rodzaju osobnika z reklamy Goodyeara, unoszącego się w powietrzu i pierdzącego. Niezwykle obrazowo. Małeńcy ludzie na ziemi obejmowali się przerażeni albo kładli na ziemi i tracili przytomność, szukając schronienia.

- Okrutne - zawyrokowała Cilla, czując, jak drgają jej wargi z rozbawienia.

- Miałem osiem lat. W każdym razie dostała wzdęcia - że się tak wyrażę - i urządziła na mnie zasadzkę, a następnie dołożyła mi zdrowo. Więc kiedy trzeba, wyobrażam sobie tę twarz wielkości Jupitera i... - Zerknął w dół i uśmiechnął się. - No, sprawa załatwiona. Chwilowo spokój.

Cilla przyglądała mu się przez chwilę.

- Jesteś bardzo dziwnym człowiekiem, Ford. A jednocześnie piwnie atrakcyjnym. Jak twój pies.

- Nie zaczynaj, bo znów się podniecę. Nawet Maylene Gunter ma ograniczoną siłę działania. Może ci teraz pomogę, a potem wybierzemy się do Steve'a. Razem poradzimy sobie z jego mamą. Tak - pomyślała - bardzo dziwny i atrakcyjny mężczyzna.

- Okej. Możesz zacząć od tego, że wyrzucisz tę lampę do kontenera.

Przetrwała dzień i przetrwała noc. Pozbierała się przed drugą wizytą u Steve'a i drugą konfrontacją z jego matką. Przechadzając się przed wejściem do szpitala, udzielała sobie odpowiednich wskazówek.

Nie chodziło o nią, o dawne sprawy, żale, o to, kto jest lepszy. Nie chodziło o to, żeby wylać kubel wody na głowę starej jędzy. Chodziło o Steve'a.

Przygarbiła ramiona, by rozluźnić je, jak robił bokser przed atakiem, i ruszyła w stronę wejścia, kiedy ktoś zawołał japo imieniu.

Ulga i chwilowe odroczenie wyroku mogły wydawać się tchórzostwem, ale nie zamierzała przepuszczać takiej okazji. Odwróciła się i uśmiechnęła, widząc Cathy i Toma Morrowów.

Cathy wyciągnęła rękę i pogłaskała Cillę po ramieniu.

- Jak twój przyjaciel?

- Bez zmian. Właściwie tak samo jak wcześniej. Chcę ci jeszcze raz podziękować za pomoc, kiedy Steve był operowany.

- Drobnostka.

- Nie dla mnie. Masz tu dzisiaj zebranie?

- Prawdę mówiąc, przyszliśmy tutaj zobaczyć się z naszą córką chrzestną. Urodziła.

- To miłe. No cóż... - Cilla zerknęła w stronę drzwi.

- Chciałabyś, żebym z tobą poszła? - zaproponowała Cathy.

- Nie, nie, wszystko w porządku. Chodzi tylko o to, że... jest tam prawdopodobnie matka Steve'a. Żywi do mnie głęboką niechęć. Kiedy siedzimy razem w pokoju, robi się cholernie ciasno.

- Mogę to załatwić. - Cathy podniosła do góry palec. - Wejść na górę i odciągnę ją na jakieś piętnaście, dwadzieścia minut.

- Jak?

- W stylu wolontariuszki. Zafunduję jej kawę, dodam otuchy.

Odsapnie, a ty będziesz mogła spędzić kilka minut ze swoim przyjacielem.

- Da radę - zapewnił Tom, przytakując. - Nikt się nie oprze Cathy.

- Będę naprawdę wdzięczna.

- Nie ma o czym mówić. Tom, dotrzyмай Cilli towarzystwa przez kilka minut. Pięć powinno wystarczyć.

Cathy pomachała im wesoło i ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę wejścia.

- Jest wspaniała.

- Nie ma drugiej takiej - przyznał Tom. - Usiądźmy tam, będzie miała czas zrobić swoje. Z przykrością się dowiedziałem o twoim przyjacielu.

- Dziękuję.

Trzy dni - pomyślała. Trzy dni w śpiączce.

- Policja wie, co się wydarzyło?

- Niezupełnie. Chyba wszyscy mamy nadzieję, że Steve nam powie, jeśli... kiedy się ocknie - poprawiła się szybko.

Dostrzegła przelotnie białą furgonetkę, która przecięła parking, i z nagłym dreszczem odwróciła wzrok.

- Mam nadzieję, że nastąpi to szybko. - Tom poklepał ją pocieszająco po dłoni. - Jak Brianowi idzie w twoim domu?

- Wszystko zaczyna powoli przybierać kształt. Odwała dobrą robotę. Musi być pan z



niego dumny.

- Każdego dnia. Podjęłaś się ambitnego zadania. Dom, teren wokół. Wymaga to mnóstwa czasu, pieniędzy i potu. Dużo się o tym mówi - dodał.

- Oplaci się. Powinien pan zajrzeć tam kiedyś, zobaczyć, jak idzie praca.

- Właśnie liczyłem na zaproszenie. - Mrugnął do niej.

- Kiedy tylko pan zechce, panie Morrow.

- Mów mi Tom.

- Kiedy tylko zechcesz - powtórzyła Cilla i wstała. - Zajrzę tam i sprawdzę, czy Cathy się powiodło.

- Możesz być tego pewna. Będę się modlił za twojego przyjaciela.

- Dziękuję.

Kiedy Cilla weszła do holu i skierowała się ku windom, przyszło jej do głowy, że właśnie dlatego chciała urządzić tu sobie dom. Z powodu ludzi takich jak państwo Morrow, jak Dee, Vicki i Mike, czyli pracowników OIOM - u, których spotykała każdego dnia. Ludzi, którzy nie byli obojętni, którzy poświęcali swój czas dla innych.

Ludzi jak Ford.

Do diabła, nawet ludzi tak zdziwaczałych i niestrawnych jak Buddy.

Wyszła z windy i zauważyła Mike'a obok pokoju pielęgniarek.

- Co u niego?

- Bez zmian. Nerka funkcjonuje normalnie. To oznaka poprawy.

- Tak, na pewno. Jest ktoś przy nim?

Mike uniósł wymownie brwi.

- Pani Morrow wpadła do pokoju jak burza i zabrała panią Chensky na kawę. Masz wolną drogę.

- Alleluja!

Twarz Steve'a wciąż pokrywały sińce, ale żółkły na obrzeżach. Kiedy się pochyliła, żeby go pocałować, ukłął ją gęsty i szorstki zarost, który pokrywał mu szczękę.

- Wróciłam. Jest dziś gorąco. Pogoda plażowa.

Nie chcąc słuchać szumu urzędów medycznych, odwróciła się do okna, by opisać mu widok, potem zaś zamierzała opowiedzieć o postępie robót na budowie. I wtedy zauważyła rysunek przyklejony do szyby.

- A co my tu mamy? Conan Nieśmiertelny? - Zerknęła szybko na Steve'a. - Widziałeś to? Uderzające podobieństwo.

Ford to narysował. Cilla nie musiała odczytywać zamaszystego podpisu u dołu kartki,

by wiedzieć, kto jest autorem. Steve został przedstawiony w pozycji stojącej, ubrany tylko w przepaskę na biodra z grubymi czarnymi pasami, krzyżującymi się na piersi, i w buty do kolan. Włosy miał rozwiane, jakby przez poryw gwałtownego wiatru, a na twarzy widniał okrutny i lekceważący uśmiech. Dłonie spoczywały na rękojeści miecza, którego czubek tkwił w ziemi między stopami wojownika.

- Wielki miecz, oczywisty symbolizm. Spodobałby ci się. I te mięśnie rozpierające opaski na ramionach, te tatuaże, naszyjnik z kłów. Conan Nieśmiertelny. Doskonale cię przedstawił, prawda?

Poczuła w krtani gorące łzy i przełknęła je bezlitośnie.

- Musisz to zobaczyć, zgoda? - Podeszła do łóżka i wzięła go za rękę. - Musisz się obudzić i to zobaczyć. To już za długo trwa, Steve, mówię poważnie. Do diabła! Za długo się już ciągnie ten cyrk, więc przestań się opieprzać i... O Boże!

Czyjego ręka drgnęła? Poruszył nią w jej dłoni czy tylko to sobie wyobraziła? Odetchnęła powoli i spojrzała uważnie na palce, które ścisnęła.

- Nie prowokuj mnie, bo znów się na ciebie wydrę. Wiesz, że jak się wkurzam, to jestem gorsza od twojej matki. Która zaraz tu wróci, więc...

Palce drgnęły, zakrzywiły się. Ledwie wyczuwalny dotyk na jej skórze.

- Okej, okej, zostań tam, nigdzie nie idź. - Sięgnęła do guzika przywołań i wcisnęła go mocno. - Steve, no dalej, Steve, zrób to jeszcze raz.

Podniosła jego dłoń i przycisnęła do ust. Potem, mrużąc oczy, ugryzła lekko. I roześmiała się, gdy jego palce znów drgnęły i zwinęły się nieznacznie.

- Ścisnął moją rękę! - zawołała, kiedy zjawił się Mike. - Dwa razy. Budzi się? Tak?

- Mów do niego. - Mike przysunął się do brzegu łóżka, uniósł powiekę Steve'a. - Niech słyszy twój głos.

- No dalej, Steve! To ja, Cilla. Obudź się, ty leniwy draniu.

Mam coś lepszego do roboty niż wystawać tutaj i patrzeć, jak śpisz.

Stojący po drugiej stronie łóżka Mike sprawdzał puls, źrenice, ciśnienie. Potem uszczypnął mocno Steve'a w ramię. Ręka drgnęła.

- Poczuł to. Poruszył się. Błagam, nie dręcz mnie. Otwórz oczy. - Cilla objęła twarz Steve'a, niemal przycisnęła nos do jego nosa. - Otwórz oczy.

Powieki zadrgały, po chwili poczuła łaskotanie na brodzie. To było coś więcej niż tylko jego oddech - uświadomiła sobie. To było słowo.

- Co? Co? Powiedz to jeszcze raz.

Nachyliła się, przysuwając ucho do jego warg. Uchwyciła przeciągły oddech i

usłyszała chrapliwy, świszczący szept - pojedyncze słowo.

- Cholera.

Cilla wydała z siebie szloch, który zamienił się w śmiech.

- Cholera. Powiedział: „Cholera”.

- Nie dziwię się. - Mike zbliżył się szybko do drzwi i dał znak pielęgniarce. - Proszę wezwać doktora Northa. Jego pacjent się budzi.

- Widzisz mnie? - spytała Cilla, kiedy Steve otworzył oczy. - Steve? Widzisz mnie?

Wydał z siebie pełne znużenia westchnienie.

- Cześć, laleczko.

Porozmawiała z doktorem, uśmiechnęła się nawet szczerze do matki Steve'a, zanim zamknęła drzwi w łazience, by popłakać sobie z ulgi. Potem obmyła twarz, umalowała się pospiesznie, włożyła okulary przeciwsłoneczne i poszła do pokoju pielęgniarok.

- Śpi - poinformował ją Mike. - To sen naturalny. Jest osłabiony i czeka go jeszcze długi powrót do zdrowia. Powinnaś wrócić do domu, Cilla. Sama się porządnie wyśpij.

- Tak. Jeśli będzie o mnie pytał...

- Zadzwonimy do ciebie.

Po raz pierwszy Cilla wchodziła do windy z lekkim sercem. Kiedy znalazła się w holu na dole, wyjęła komórkę i zadzwoniła do Forda.

- Hej, piękna blond dziewczyno!

- Obudził się. - Ruszyła chodnikiem w stronę parkingu, niemal podskakując z radości przy każdym kroku. - Obudził się.

Ford. Rozmawiał ze mną.

- Co powiedział?

- Najpierw: „Cholera”.

- Tak jak trzeba.

- Poznał mnie, wiedział też, jak się nazywa i wszystko inne. Lewą stronę ma trochę słabszą niż prawą, chwilowo. Ale lekarz mówi, że wygląda dobrze. Muszą zrobić badania i...

- Najważniejsze, że dobrze wygląda. Chcesz, żebym tam przyjechał i przywiózł ci jakiś obiad?

- Nie, właśnie wracam do domu. Śpi. Po prostu śpi. Chciałam ci powiedzieć... chciałam ci powiedzieć, że widziałam twój rysunek i nabijałam się ze Steve'a tuż przed tym, jak... chyba podziałało.

- Nic nie może długo powstrzymać Conana Nieśmiertelnego.

- Jesteś taki... O Boże! Co za sukinsyn!

- Co? Co się stało?

Wpatrywała się w drzwi swojego pikapu.

- Będę w domu za kilka minut. Zajrzę do ciebie.

Wyłączyła się, zanim Ford zdążył odpowiedzieć. I przeczytała to, co ktoś napisał czarnym flamastrem na drzwiach po stronie kierowcy.

**DZIWKI WYDAJĄ NA ŚWIAT DZIWKI!**

## ROZDZIAŁ 13

Ford przyglądał się, jak Cilla fotografuje aparatem cyfrowym litery na drzwiach swojego wozu. Czuł narastającą wściekłość, ale nie bardzo wiedział, co ma zrobić, by dać jej upust.

Kopnąć opony? Walnąć pięścią w jakieś drzewo, może nawet dwa? Chodzić tam i z powrotem i pnieć się? Żadna z tych możliwości nie wydawała się szczególnie pomocna czy satysfakcjonująca. Stał więc tylko z dłońmi w kieszeniach, kipiąc w duchu.

- Policja robi zdjęcia - zauważył.

- Chcę mieć własne. Poza tym nie sądzę, by Wilson albo Urick potraktowali to jako rzecz priorytetową.

- To może mieć związek ze sprawą. Będą tu rano.

Wzruszyła ramionami, a potem wyłączyła aparat i schowała do kieszeni.

- Nie schodzi. Słońce przypiekło tusz, równie dobrze mogłaby to być farba. Będę musiała pomalować całe te cholerne drzwi.

Nie jeżdżę tym wozem nawet trzy miesiące.

Wściekła, kopnęła w oponę. Doszedł do wniosku, że miał rację. Nie wyglądała na usatysfakcjonowaną.

- Możesz korzystać z mojego wozu, dopóki nie uporają się z twoim.

- Będę jeździła tym. - W jej oczach błysnął gniew i zawziętość. - Wiem, że nie jestem dziwką. Widziałam na parkingu furgonetkę Hennessy'ego, zanim poszłam do Steve'a. Mógł to zrobić. Mógł go napaść. Jest do tego zdolny.

- Steve wspominał coś o tym?

- Nie pytaliśmy go. Wciąż był osłabiony i dezorientowany.

Prawdopodobnie jutro, jak powiedział doktor. Jutro będzie mógł rozmawiać z policją. Do diabła!

Krażyła przez kilka minut, ale jak zauważył, nie toczyła piany z ust ani nie tukała w żadne drzewo. Potem przystanęła i odetchnęła głośno.

- Okej. Okej. Nie pozwolę, żeby jakiś dupek popsuł mi ten wspaniały dzień. Czy w sklepie z alkoholem mają na składzie szampana?

- Nie wiem. Ale ja mam.

- Jakim cudem masz wszystko?

- Byłem skautem. Mówię poważnie - oznajmił, kiedy wybuchnęła śmiechem. - Zdobywałem sprawności, mogę to udowodnić.

Miała rację - przyznał - żaden dupek nie powinien im popsuć tego wspaniałego dnia.

- Może podgrzejemy mrożoną pizzę i odkorkujemy butelkę? Usadowiony na werandzie, Spock podskoczył i zaczął swój taniec.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Kiedy przysunęła się do niego, rozległ się wesoły dźwięk klaksonu.

- No cóż - powiedział Ford, kiedy za wozem Cilli zaparkował kabriolet mustang w krwistoczerwonym kolorze, a Spock zbiegł po schodach i kręcił się jak oszalały w kółko. - Tak bywa.

Wyrazisty kolor samochodu nie mógł się równać z rozwiewanymi przez wiatr czerwonymi włosami kobiety, która pomachała z przedniego fotela, potem opuściła wielkie ciemne okulary w stylu Jackie Onassis, by popatrzeć na Cillę, i w końcu wysiadła z wozu na koturnach z odsłoniętymi palcami, żeby powitać podskakującego i wirującego psa.

Kierowca też wysiadł. Jego wzrost i budowa ciała od razu zwróciły uwagę Cilli, jeszcze zanim przyjrzała się dokładnie zarysowi szczęki.

Od razu spotniały jej dłonie. Było to bez wątpienia spotkanie z rodzicami. Coś, co w jej przypadku zawsze kończyło się niepowodzeniem.

- Witaj, kochanie! - Penny Sawyer ujęła dłońmi policzki Forda, kiedy zbliżył się do wozu, i pocałowała go hałaśliwie. Jej śmiech przypominał zwir przesiąknięty whisky.

- Cześć, mamó. Cześć, tato - powiedział Ford, kiedy mężczyzna o srebrnych włosach Cary'ego Granta objął go jedną ręką w niedźwiedzim uścisku. - Co wy tu robicie?

- Jedziemy do Susie i Billa. Do Texasu, na turniej. - Trąciła Forda żartobliwie w pierś, podczas gdy jego ojciec przykucnął, by uściskać łąpę Spocka. - Przejeżdżaliśmy obok, więc postanowiliśmy wpaść. Na wypadek, gdybyś chciał się przyłączyć.

- Zawsze przegrywam w pokera.

- Nie masz w sobie żyłki hazardzisty. - Penny obróciła zaciekawione spojrzenie na Cillę. - Ale masz towarzystwo. Nie musisz mi mówić, kto to jest. Wyglądasz jak twoja babka.

- Penny podeszła z wyciągniętą ręką. - Najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałam.

- Dziękuję. - Nie mając wyboru, Cilla otarła pospiesznie dłonie o nogawki spodni, zanim uścisnęła dłoń Penny. - Miło mi panią poznać.

- Cilla McGowan, a to moi rodzice, Penny i Rod Sawyer.

- Znam bardzo dobrze twojego tatę - zwróciła się Penny do Cilli, rzucając przy tym szelmowskie spojrzenie mężowi.

- Daj spokój - upomniał ją Rod. - Zawsze próbujesz wzbudzić we mnie zazdrość. - Po chwili zwrócił się do Cilli: - Słyszałem o tobie dużo dobrego.

- Nie zauważyłam, by wspomniał o tym choć słowem. - Penny znów trąciła Forda.

- Jestem uosobieniem dyskrecji.

Penny znów parsknęła swoim gardłowym śmiechem, potem zaczęła grzebać w torebce i wyciągnęła ogromną paczkę milk bone, co wprowadziło Spocka w doskonały nastrój - zaczął powarkiwać, pomrukiwać i poszczekiwać, trzęsąc ciałem i wytrzeszczając oczy.

- No, pokaż, co potrafisz - powiedziała do psa, a Spock uniósł się na tylnych łapach, żeby zatańczyć. - Kochany jesteś - oznajmiła śpiewnie i podała mu herbatnika.

Spock ujął go zębami, po czym, kołysząc się na boki, uciekł, by w spokoju zająć się spożywaniem przysmaku.

- Muszę go psuć - zwróciła się do Cilli. - To namiastka wnuka, którą zafundował mi ten osobnik.

- Masz dwoje wnuków rodzaju ludzkiego dzięki Alice - przypomniał jej Ford.

- I dostają ciastka, kiedy mnie odwiedzają. - Wskazała dom po drugiej stronie drogi. - To dobrze, że przywracasz to miejsce z powrotem do życia. Zasługuje na to. Twój dziadek zasiądzie dziś wieczorem przy stole, Ford. Mój tata kochał się szaleńczo w twojej babce.

Cilla zamrugnęła zaskoczona.

- Naprawdę?

- Na całego. Ma mnóstwo jej zdjęć, które pozwalała mu robić przez lata. Nie sprzedałby ich za żadną cenę, nawet kiedy zamierzałam oprawić kilka i powiesić w księgarni.

- Mama jest właścicielką Book Ends w Village - wyjaśnił Cilli Ford.

- Naprawdę? Byłam tam. Kupiłam kilka książek o urządzaniu ogrodu i wzornictwie. Miły sklep.

- Nasza mała klitka - oznajmiła Penny. - O Boże, spóźnimy się. Dlaczego pozwalasz mi mówić tak dużo, Rod?

- Nie mam pojęcia.

- Zarezerwujemy ci miejsce przy stoliku, na wypadek gdybyś zmienił zdanie co do pokera. Wszyscy by się ucieszyli, jakbyś i ty przyszła, Cilla! - zawołała Penny, którą Rod ciągnął już do samochodu. - Wezmę od taty kilka tych zdjęć, żeby ci pokazać.

- Dziękuję. Miło mi było panią poznać.

- Ford! Przyprowadź kiedyś Cillę na kolację.

- Do samochodu, Penny.

- Idę, idę. Słyszałeś?

- Tak, mam! - odrzyknął Ford. - Wygraj majątek.

- Czuję, że dopisze mi szczęście! - zawołała Penny, kiedy Rod cofnął gwałtownie

samochód i pomknął przed siebie.

- Rany - powiedziała tylko Cilla.

- Wiem, nie musisz nic mówić. Jakby przeleciał koło ciebie huragan. Człowiek jest oszołomiony, zaskoczony i przekonany, że jeszcze chwila i wylądowałby na tyłku.

- Przypominasz ojca, który jest bardzo przystojny, tak na marginesie. Ale twoja matka jest oszłamiająca.

- Strzela niczym korek, jak lubi mówić jej własny ojciec.

- Niczym korek. - Cilla wybuchnęła śmiechem, kiedy ruszyli w stronę domu. Beknąwszy grzecznie, Spock zrównał się z nimi. - No cóż, podoba mi się, a zwykle patrzę na matki podejrzliwie. Skoro mówimy o korku, gdzie jest szampan?

- W drugiej lodówce, w składziku.

- Przyniosę, a ty załatw pizzę.

Kilka chwil później weszła do kuchni z butelką veuve clicquot i zmarszczonym czołem.

- Ford, co zamierzasz zrobić z tą całą farbą?

- Z czym? - Podniósł wzrok znad piecyka. - A, o to chodzi. Mam hektolitry podkładu, hektolitry czerwonej zewnętrznej i nieco mniej wewnętrznej białej.

Poczuła, jak żywiej zabiło jej serce, i postawiła butelkę na blacie szafki.

- Kupiłeś farbę z myślą o stodole.

- Nie wierzę w pecha. Wierzę w pozytywne myślenie, które jest po prostu czymś w rodzaju nadziei.

Miała wrażenie, że wszystko się w niej kłębi. Otwiera. Zbliżyła się do niego, położyła dłoń na jego policzku i dotknęła ustali jego ust. Pocałunek, ciepły jak aksamit, delikatny jak muśnięcie. Niespieszny i jedwabisty, głęboki i senny, nawet kiedy Ford się przysunął, a ona przywarła do szafki.

Kiedy ich usta oderwały się od siebie, westchnęła i przywarła do niego policzkiem, okazując mu czułość, którą tak rzadko okazywała komukolwiek.

- Ford. - Odsunęła się i znów westchnęła. - Mam w głowie za dużo Steve'a, żeby spełnić dziś wieczór twoje wymagania seksualne.

- W porządku. - Przesunął palcem po jej ramieniu. - Realistycznie rzecz biorąc, to raczej sugestie i skojarzenia niż wymagania.

Roześmiała się i dotknęła czule jego policzka.

- Wymagania są w porządku. Chciałabym je spełnić.

- Nie mogę winić nikogo prócz siebie.



Odsunął się od niej, żeby wstawić pizzę do piekarnika.

- A więc zjemy kiepską pizzę, upijemy się trochę szampanem i nie będziemy uprawiać seksu.

Ford potrząsnął głową, ściągając sreberko i drucik z butelki.

- Bardzo bliskie tego, co lubię robić z piękną kobietą.

- Nie zakochuję się w facetach. Taką mam zasadę - wyznała, a on znieruchomiał i spojrzał na nią. - Biorąc pod uwagę cechy dziedziczne i dokonania mojej babki i matki na tym terenie, zrobiłam sobie wolne. Steve stanowił wyjątek, co tylko pokazało, czym się to kończy. Więc nie zakochuję się w facetach. Ale chyba zakochuję się w tobie.

Korek wystrzelił z butelki, kiedy Ford przyglądał się jej zaciekawiony.

- To cię przeraża? - spytała.

- Nie. - Odchrząknął. - Trochę. Umiarkowanie.

- Pomyślałam, że może się boisz, bo robię się nerwowa i nieobliczalna. Więc doszłam do wniosku, że lepiej cię ostrzec.

- Doceniam to. A tak przy okazji, jaka jest twoja definicja określenia „zakochać się”?

Boże - pomyślała, patrząc na niego. O Boże, była beznadziejna.

- Może wyjmiesz kieliszki? Chyba trzeba się napić.

Wynajęła malarzy i kazała przynieść farbę do stodoły. Rozmawiała z policjantami i załatwiła w miejscowym warsztacie malowanie drzwi wozu. Ilekroć dostrzegała gdzieś białą furgonetkę, nie wahała się, by pokazać w wulgarnym geście środkowy palec.

Brak dowodów - oznajmili policjanci. Nic nie wskazywało na obecność Hennessy'ego na miejscu przestępstwa w tamtą noc, kiedy zaatakowano Steve'a. W żaden sposób nie można było dowieść, że to on ozdobił jej samochód z nienawiści.

Cilla postanowiła przeczekać faceta, a gdy ten wykona następny ruch, będzie przygotowana.

Tymczasem Steve został przeniesiony na zwykłą salę szpitalną, a jego matka znów wskoczyła na miotłę i ruszyła na zachód.

Ociekając potem po robocie na strychu, Cilla przyglądała się wypatroszonej łazience.

- Dobrze wygląda, Buddy. Przed jutrzejszą inspekcją.

- Nie mam pojęcia, po co komu, u licha, te wszystkie prysznice.

- Chodzi o natrysk ciała. To nie tylko prysznic, to także doznanie. Widziałeś armaturę? Przywieźli dziś rano.

- Widziałem. Nieźle wygląda - powiedział dostatecznie zrzędlwym tonem, by wywołać na jej twarzy uśmiech.

- Jak ci idzie z prysznicem parowym?

- Dam radę, bez obawy. Tylko nie stój mi nad głową.

Zaczęła stroić miny, kiedy się odwrócił.

- Jak już mówimy o prysznicu, muszę się umyć przed wizytą u Steve'a.

- Woda jest zakręcona. Jak chcesz, żebym się z tym uporał, to musi zostać zakręcona.

- No tak, racja. Do diabła! Będę musiała pójść do Forda.

Nie umknął jej uwadze uśmiezek na jego ustach, ale postanowiła nie zwracać na to uwagi. Chwyciła czyste rzeczy i wepchnęła do swojej torby. Na dole zamieniła kilka słów z Dobbym, poszła do kuchni, dokąd ją wezwano, po czym spędziła następny kwadrans na zewnątrz, omawiając rozmieszczenie roślin i krzewów.

Przebiegła przez drogę, nim ktokolwiek inny zdążył jej zawrócić czymkolwiek głowę, i zdecydowała się wśliznąć pod prysznic obok siłowni zamiast budzić Forda.

Dopiero gdy była czysta, sucha i owinięta wielkim białym ręcznikiem, uświadomiła sobie, że zostawiła w domu torbę z czystymi rzeczami na werandzie frontowej.

- O, cholera! - Popatrzyła na przepocone, brudne ubranie, które z siebie zdjęła, i przesunęła dłonią po umytych włosach. - Nie, nie zamierzam wciągać tego na siebie.

Pomyślała, że i tak będzie musiała obudzić Forda. Zawinawszy bieliznę i workowate szorty w podkoszulek, zawiązała go na supeł i wzięła pakunek ze sobą.

Otworzyła drzwi do kuchni, gdzie zastała zaskoczonego Forda.

- O, cześć. Słuchaj...

- Ford, nie powiedziałeś, że mamy towarzystwo - usłyszała czyjś głos.

- Nie wiedziałem o tym. Hej, Cilla.

Widoczne na jej twarzy zdumienie przerodziło się w nieklamana grozę, kiedy obróciła głowę i zobaczyła matkę Forda, która siedziała przy kuchennym barze z jakimś starszym mężczyzną.

Gdy tak stała niczym słup soli, Spock podbiegł do niej, by otrzeć się o jej gołe łydki.

- O Boże. O Boże. Ja tylko... Boże. Przepraszam. Proszę mi wybaczyć.

Ford ujął ją za ramię.

- Jeśli uciekniesz stąd w takim stanie, to zwalisz się ze schodów. Znasz moją matkę. A to jest mój dziadek, Charlie Quint.

- Och, no cóż, witam. Przepraszam. Jestem... co mogę powiedzieć? Ford, nie chciałam ci przeszkadzać. Myślałam, że pracujesz. Musieli u mnie na jakiś czas zakręcić wodę, więc przyszłam tutaj, żeby wziąć prysznic na dole - dziękuję tak przy okazji.

A potem uświadomiłam sobie, że kiedy zajmowałam się krzewami, zostawiłam na

werandzie torbę z rzeczami na zmianę. Przyszłam, żeby się spytać, czy nie poszedłbyś tam, wiesz, żeby je przynieść. To znaczy moje rzeczy.

- Pewnie. - Powąchał ją. - Moje mydło pachnie lepiej na tobie niż na mnie.

- Bardzo śmieszne.

- Cilla, założę się, że masz ochotę na szklanekę mrożonej herbaty. - Penny wstała, żeby wziąć szklanekę.

- Och, proszę sobie nie robić kłopotu...

- Żaden kłopot. Pospiesz się, Ford, przynieś dziewczynie ubranie.

- Jasne. Ale to doprawdy wstyd, no nie, dziadku?

- Ładne nogi u ładnej kobiety to zawsze rozkosz dla oka. Nawet starego oka. Bardziej przypominasz ją na żywo niż na zdjęciach, które widziałem.

Czy mogło być jeszcze gorzej? - zastanawiała się Cilla, gdy Ford mrugnął i wyszedł.

- Znał pan moją babkę.

- Znałem. Zakochałem się w niej, gdy zobaczyłem japo raz pierwszy na ekranie. Była tylko małą dziewczynką, a ja tylko chłopcem i była to najśłodsza szczenięca miłość. Nigdy się nie zapomina pierwszej miłości.

- Chyba nie.

- Chodź, kochanie, może usiądziesz?

- Nie, nie, postoję. Dziękuję.

Patrzyła na szklanekę, którą podawała jej Penny, i zastanawiała się, jak ją wziąć, skoro w jednym ręku ścisnęła tobołek, a drugą przytrzymała ręcznik.

- Och, to twoje brudne rzeczy? Daj mi je. Wrzucę je do pralki Forda.

- Och, nie, nie trzeba...

- Żaden problem. - Penny zabrała jej tobołek i wcisnęła w dłoń szklanekę. - Tato, może pokażesz Cilli zdjęcia? Chcieliśmy tu nawet wpaść w tym celu - ciągnęła Penny, która dotarła już do pralni. - Zajrzeliśmy właśnie do Forda, żeby się z nim przywitać. Wielkie nieba! Sądząc po twoich rzeczach, musiałas odwalić dzisiaj kawał roboty!

Wznosząc oczy ku sufitowi, Cilla przysunęła się bliżej barku, kiedy Charlie otwierał album ze zdjęciami.

- Są wspaniałe! - Rzuciwszy okiem na fotografię, od razu zapomniała, że ma na sobie tylko ręcznik, i przysunęła się jeszcze bliżej. - Nie widziałam ich wcześniej.

- Moja prywatna kolekcja - wyjaśnił jej z rzewnym uśmiechem. - To tutaj? - Postukał palcem pod zdjęciem. - Pierwsze, jakie jej kiedykolwiek zrobiłem.

Janet siedziała na stopniach werandy, odchylając się, zrelaksowana i uśmiechnięta, w

spodniach roboczych z podwiniętymi nogawkami i koszuli w kratę.

- Wygląda na szczęśliwą. Jest w domu.

- Pracowała właśnie z ogrodnikami - spacerowała z nimi i pokazywała, gdzie chce posadzić róże i inne krzewy. Dowiedziała się, że robię zdjęcia, i spytała, czy nie zechciałbym przyjść i zrobić kilka fotografii domu i terenu, kiedy trwa przebudowa. I pozwoliła mi zabrać parę zdjęć. O, tutaj jest z dziećmi. To twoja matka.

- Tak. - Wesoła i szczęśliwa - pomyślała Cilla. Obok swojego brata, którego los był przesądzony. - Wszyscy są tacy piękni, prawda? To niemal rani wzrok.

- Rزتaczała wokół siebie blask. Tak.

Cilla przerzucała kartki w albumie. Janet, złocista i promienna, na izabelowatym koniu, baraszkuje na trawie z dziećmi, śmiejąca się i machająca nogami w stawie. Janet sama, Janet z innymi. Podczas przyjęć wydawanych na farmie. Ze sławnymi i zwykłymi ludźmi.

- Nigdy nie sprzedał pan żadnego zdjęcia?

- To tylko pieniądze - wzruszył ramionami Charlie. - Gdybym je sprzedał, nie byłyby już moje. Dałem jej odbitki tych, na których jej szczególnie zależało.

- Chyba widziałam kilka. Moja matka ma całe pudła zdjęć.

Nie jestem pewna, czy widziałam wszystkie. Aparat fotograficzny kochał Janet. Och! Moja ulubiona fotografia.

Janet stała w otwartych drzwiach domu, z lekko przekrzywioną głową i skrzyżowanymi ramionami. Miała na sobie proste ciemne spodnie i białą koszulę. Stopy nagie, włosy rozpuszczone. Z doniczek na werandzie wylewały się kwiaty, a u szczytu schodów spał zwinięty w kłębek szczeniaczek.

- Kupiła psa od Clintonów. - Penny stanęła obok swojego ojca i położyła mu dłoń na ramieniu. - Od rodziny twojej macochy.

- Tak, mówiła mi.

- Janet uwielbiała tego psa - mruknął Charlie.

- Musisz zrobić odbitki dla Cilli, tato. Zdjęcia rodzinne to ważna rzecz - zauważyła Penny.

- Chyba dam radę.

- Dziadek zrobi odbitki dla Cilli - oświadczyła Penny, kiedy do kuchni wkroczył Ford z torbą Cilli. - Ma negatywy.

- Mógłbym je zeskanować. Jeśli mi je powierzysz. Masz, przyniosłem ci rzeczy. - Podał jej torbę.

- Dzięki. - Wyczuwając wahanie Charliego, Cilla nie naciskała. - To wspaniałe fotografie. Bardzo chciałabym przejrzeć pozostałe, ale muszę jechać do szpitala. Zejdę... - podniosła wymownym gestem torbę - na dół.

- Jesteś do niej bardziej podobna niż twoja matka - zauważył Charlie, kiedy Cilla była już przy drzwiach. - Masz to w oczach.

A w jego przetrwał smutek. Cilla nic nie powiedziała, tylko szybko zeszła po schodach.

Zatańczyła radośnie w duchu, kiedy w nowej łazience położono pierwsze płytki. Odkręciła gulgoczącą wodę i wyobraziła sobie, jak przechodzi przez cokół wspaniałej kabiny parowej.

Wzór czarno - biały, niesamowite retro Deco, doda odpowiedniej atmosfery.

Stan, glazurnik, zerknął przez ramię.

- Cilla, musisz tu koniecznie uruchomić klimatyzację.

- Pracujemy nad tym. Do końca tygodnia, obiecuję.

Powinno działać do końca tygodnia - pomyślała. Podobnie jak powinno być dostarczone łóżko, które zamówiła. Było niewskazane, by Steve dochodził do siebie w parnym domu, leżąc w śpiworze.

Wróciła do budowy szkieletu garderoby w głównej sypialni. Za dwa tygodnie, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, miałyby dwie gotowe łazienki, a trzecia i czwarta, a także damska toaleta, będą bliskie ukończenia. Zacznie się kłaść płyty kartonowo - gipsowe w jej pracowni na strychu, a tynki wewnętrzne będą prawdopodobnie gotowe. Wtedy Dobby mógłby się zająć medalionami na suficie. No cóż, mógłby się tym zająć, gdyby tylko opracowała odpowiedni wzór.

Wyobrażała sobie to wszystko, przykładając poziomnicę do drewna, wprowadzając poprawki i wstrzeliwując gwoździe.

Wiedziała też, że za kilka tygodni będzie zdawać egzamin na przedsiębiorcę budowlanego. Ale nie chciała o tym myśleć. Uświadamiała sobie, że jeśli się jej nie uda, to będzie musiała poprosić o pracę jednego z własnych podwykonawców, i to jeszcze przed końcem roku. Gdyby jej się nie udało, nie mogłaby sobie pozwolić na kupno tej cudownej małej posesji przy drodze w Village, która, o czym doskonale wiedziała, przyniosłaby spory zysk przy odsprzedaży.

Gdyby jej się to nie udało, byłaby to jeszcze jedna porażka. Naprawdę uważała, że wyczerpała już swój limit klęsk.

Pozytywne myślenie - upomniała się w duchu. Tak powiedziała Ford. Nie zawadzi

spróbować.

- Dokonam tego - oznajmiła głośno i cofnęła się o krok, kwitując szkielet garderoby pełnym aprobaty skinieniem głowy. - Zaliczę te cholerne egzaminy. Cilla McGowan, licencjonowany przedsiębiorca budowlany.

Zbierając swoje narzędzia, poszła obejrzyć postęp robót przy zewnętrznych schodach pracowni; po drodze rzucała okiem na glazurę. Przyłączyła się do stolarzy, podczas gdy malarze, stojąc na nowym rusztowaniu, zaczęli pokrywać stodołę farbą.

Powietrze pachniało mierzwą położoną świeżo wokół posadzonych roślin i tych, które zdołano ocalić. Róże, hortensje, staromodne kapryfolium i grządki pełnych nadziei roślin całorocznych, już bujnie kwitnących.

Jest jeszcze sporo do zrobienia - uświadomiła sobie. Ale postęp był widoczny. Czas pielienia dobiegł końca. Zaczął się czas odrodzenia.

Przypomniała sobie o albumie Charliego. Odrywając się od obowiązków, pobiegła po aparat, żeby utrwalić kolejny etap robót.

Półnaczy, ślisy od potu mężczyźni na rusztowaniu i ochrona przeciwsłoneczna. Shanna w szortach, jasnoróżowym podkoszulku i czapce z daszkiem, pracująca z Brianem przy niskim murku ogrodowym, układanym bez zaprawy. Szkielet schodów, na w pół ukończona weranda od tyłu. I ta gotowa - od frontu.

Przez chwilę widziała oczami wyobraźni uśmiechniętą Janet, opierającą się o framugę otwartych drzwi wejściowych. - Powraca - powiedziała cicho.

Odwróciła się i zobaczyła na podjeździe Forda w towarzystwie Spocka.

Pies przy dreptał do niej, otarł się o jej nogi, po czym usiadł i popatrzył na nią z uwielbieniem i radością. Podrapała go, pogłaskała, pocałowała w nos.

- Przyniosłem ci prezent. - Ford wręczył jej jedną z dwóch puszek coli, które trzymał w ręku. - Zajrzałem do Steve'a. Mówi, że zwolni go za parę dni.

- Szybko wraca do zdrowia. - Jak farma - pomyślała. - Naciskam, żeby zamontowali klimatyzację, i zamówiłam łóżko.

- Chcesz, żeby po pęknięciu czaszki dochodził do siebie na budowie? Słyszysz to? - spytał Ford, stukając się w ucho.

Cilla zbyła wzruszeniem ramion szum maszyn, walenie młotów, jazgot wiertła.

- Dla ludzi takich jak ja i Steve to muzyka kameralna.

- Muszę ci wierzyć na słowo. Ale mógłby leżeć u mnie. Mam łóżko i klimatyzację. I kablówkę.

Łyknęła coli, przyglądając mu się z uwagą.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej. Żal mi każdego, kto nie ma kablówki.

- Nie dziwię się. Ale nie pozwolę ci odebrać sobie byłego małżonka... A kto to taki? -  
zdziwiła się, kiedy w podjazd skręcił ostrożnie czarny lexus.

- Samochód z miasta - zauważył Ford. - Z dużego miasta.

- Nie wiem, kto... o, cholera!

Ford uniósł brwi, gdy z wozu wysiedli dwaj mężczyźni.

- Znajomi?

- Nie. Ale kierowca to Numer Piąty mojej matki.

- Cilla!

Mario, zabójczo przystojny na włoską modłę, w mokasynach od Prądy i dzinsach od Armaniego, rozłożył szeroko ramiona i obdarzył ją równie szerokim uśmiechem. Ruszył z wdziękiem do przodu, ale zatrzymał się na widok węszącego Spocka i obszedł go ostrożnie.

Jego oczy kryły się za ciemnymi okularami, ale Cilla podejrzewała, że są ciemne i błyszczące. Opalony, szczupły jak pantera, z rozwianym włosom, zbliżył się do niej, objął ją serdecznie i ucałował w policzki.

- No, no! Jak zawsze w formie.

- Owszem. Co cię tu sprowadza, Mario?

- Mała niespodzianka. Cilla, to jest Ken Corbert, jeden z naszych producentów. Ken, to Cilla McGowan, moja pasierbica.

- To dla mnie prawdziwa przyjemność. - Ken, niski i chudy, z siwizną na skroniach, uścisnął energicznie dłoń Cilli. - Jestem pani wielkim fanem. Więc... - Powiódł wzrokiem wkoło. - A więc to jest to miejsce.

- Moje miejsce - odparła chłodno. - Ford, to jest Mario i Ken. Niestety, nie mogę was zaprosić do środka. Robota idzie pełną parą.

- Widzę. - Uśmiech nie zniknął z twarzy Maria ani na chwilę. - I słyszę.

- Spock, przywitaj się - rozkazał Ford, kiedy jego pies uporał się już z oponami. -  
Chce podać wam łapę - dodał tonem wyjaśnienia. - Żeby się upewnić, że jesteście swoi.

- Ach! - Mario przyglądał się niepewnie zwierzakowi, dotykając wyciągniętej łapy koniuszkiem kciuka i palca wskazującego.

Spock wydawał się niewzruszony.

Ken uścisnął psią łapę z takim samym wigorem jak wcześniej rękę Cilli.

- Urocza okolica - ciągnął Mario. - Po prostu urocza. Przyjechaliśmy aż z Nowego Jorku. Mieliśmy tam kilka spotkań. Ale sceneria! Matka przesyła pozdrowienia - dorzucił. -

Przyjechałaby, ale wiesz, jakie to dla niej trudne. Te wszystkie wspomnienia. ..

- Jest w Nowym Jorku?

- Krótki pobyt. Ledwie mieliśmy czas odetchnąć. Przymiarki, próby, spotkania, media. Aleja i Ken musimy cię porwać, późny lunch, wczesny drink. Dokąd chcesz jechać?

- Nigdzie, ale dzięki. Pracuję.

- A nie mówiłem? - Mario roześmiał się serdecznie, podczas gdy Spock przysiadł na zadzie i zaczął mu się przyglądać podejrzliwym wzrokiem. - Cilla to najbardziej zdumiewająca kobieta.

Jest tak utalentowana. Możesz poświęcić nam godzinę, *cara*.

- Naprawdę nie mogę. Zwłaszcza jeśli chodzi o występ mamy.

Mówiłam jej, że nie jestem zainteresowana.

- Przyjechaliśmy tu po to, żeby cię przekonać o czymś wprost przeciwnym. Może zechce nam pan wybaczyć? - zwrócił się do Forda.

- Nie, nie zechce. - Cilla wskazała palcem Forda. - Nie zechcesz.

- Chyba nie zechcę.

Mario zacisnął na chwilę usta w grymasie irytacji. Głuche warczenie, które dobyło się z krtani Spocka, kazało mu spojrzeć na psa z niejaką obawą.

- Masz szansę przejść do historii, Cilla. Trzy pokolenia podczas wspólnego występu. Widziałas, jak Celinę Dion występuje z Elvise? Dysponujemy taką techniką. Możemy ściągnąć Janet na scenę, z tobą i Bedelią. Jeden nadzwyczajny występ, na żywo. - Mario...

- Rozumiem, że masz obawy, jeśli chodzi o wykonanie z matką wszystkich duetów, choć mogę ci powiedzieć - tak jak Ken - że będzie to miało ogromne znaczenie dla samego występu i dla ciebie. Dla twojej kariery.

- Zajęliśmy się już reklamą i promocją - wtrącił Ken. - Możemy niemal zagwarantować komplet widzów w każdym miejscu.

Potem specjalne nagranie w kablówce, kompakt i DVD. Rynki zagraniczne już robią szum. Może nawet podpiszemy kontrakt na drugi krążek, tylko pani, solo. Prawdę mówiąc, szukamy tu z Mariem pomysłu na wideo. Masz rację, Mario, sfilmowanie tego miejsca to strzał w dziesiątkę.

- Napracowaliście się, co? - Głos Cilli był równie cichy i groźny jak warczenie Spocka. - I traciliście czas. Nie. Przykro mi, Ken, ale Mario się pomylił. Dajcie sobie spokój z przekonywaniem, powrotem na scenę i promocją. Nie macie prawa rozmawiać o mnie z producentami i specami od reklamy - zwróciła się do Maria. - Nie jesteś moim agentem ani menedżerem. Nie potrzebuję agenta ani menedżera. Mam swój własny show. To jest to, czym



się zajmuję. Domy. Remontuję je. Podziwiającie scenerię w drodze powrotnej.

Wiedziała, że Mario łatwo nie odpuści. Obracając się na pięcie, usłyszała, jak woła jej imię. I usłyszała, jak Ford mówi coś do Kena. Wychwyciła w jego głosie groźny ton.

- Spock, zostań na miejscu. A więc przyjechaliście tu aż z Nowego Jorku?

- Cilla, *cara*. Pozwól mi...

- Dotknij mnie, Mario, a przysięgam, że cię walnę.

- Dlaczego jesteś taka zła? - W jego głosie pojawiła się nuta zastanawiającego smutku.

- To niesamowita okazja. Chodzi mi tylko o twoje dobro.

Zatrzymała się, tłumiąc gniew, który groził wybuchem.

- Może w głębi duszy naprawdę w to wierzysz. Ale potrafię zadbać o swoje dobro, robię to zresztą od bardzo długiego czasu.

- Kochanie, źle tobą kierowano. W przeciwnym razie byłabyś już wielką gwiazdą.

- Może byłabym wielką gwiazdą, gdybym miała talent i zdolności. Posłuchaj uważnie: nie chcę być wielką gwiazdą. Nie chcę występować. Nie interesuje mnie taka praca. Nie interesuje mnie takie życie. Jestem tu szczęśliwa, Mario, jeśli ma to dla ciebie znaczenie. Do szczęścia wystarcza mi to, co mam i czym jestem.

- Cilla, twoja matka cię potrzebuje.

- No, zaczyna się - oznajmiła, odwracając się z niechęcią.

- Ona się już na to nastawiła. A sponsorzy wykorzystają to. czego tu dokonałaś. Ona jest tak...

- Nie mogę tego zrobić, Mario. I nie zrobię. Nie chodzi o to, że jestem wredna. Nie mogę. Nie czuję tego. Trzeba było ze mną porozmawiać, zanim się tu zjawiłeś i zanim przywoziłeś ze sobą Kena. I powinieneś słuchać, kiedy mówię „nie”. Nie jestem Dilly.

Nie opowiadam nikomu bzdur i nie grywam w niczym.

Wykorzystała już cały swój repertuar zarzutów. Nie zamierzam robić tego dla niej.

Jego twarz i głos wyrażały teraz tylko smutek.

- Jesteś bezlitosna, Cilla.

- Okej.

- To twoja matka.

- Zgadza się. A to oznacza, że jestem jej córką. Jej córką.

Może tym razem - ten jeden raz - pomyśli o tym, czego ja potrzebuję, czego ja chcę. - Uniosła rękę. - Wierz mi, jeśli powiesz coś jeszcze, tylko pogorszysz sprawę. Nie trać już więcej forsy, powiedz jej, że życzę szczęścia i połamania nóg. Szczerze. Ale to wszystko, na co mnie stać.

Potrząsnął głową, jak dorosły na widok boczącego się dziecka. Odszedł w tych swoich wspaniałych butach, po czym wsiadł razem z Kenem do wielkiego wozu z miasta i odjechał.

Ford podszedł do niej i spojrzał na stodołę, podczas gdy Spock ocierał się o nogi Cilli.

- Ten czerwony kolor będzie nieźle wyglądał.

- Tak. Nie zamierzasz pytać, o co chodziło?

- Zorientowałem się z grubsza. Oni chcieli, ty nie chciałaś.

Naciskali, ty byłaś twarda. Wkurzyli cię, co jest w porządku. Ale aa koniec posmutniałaś, a to już gorzej. Więc mam ich gdzieś, a przy okazji to, czego chcieli. Mówię: „Pieprzyć ich”, poza tym ta czerwień pasuje do stodoły.

Uśmiechnęła się odruchowo.

- Dobrze mieć cię przy boku, Ford. - Nachyliła się i zmierzwiła sierść Spocka. - Was obu. W Los Angeles zapłaciłabym kilkaset dolarów za taką terapię.

- Prześlemy ci rachunek. A tymczasem może mi pokażesz, co się tu dzisiaj dzieje.

- Chodźmy wkurzyć faceta od glazury. To moje ulubione zajęcie.

Wzięła Forda za rękę i weszła z nim do domu.

## ROZDZIAŁ 14

Kiedy Cilla pokazała Dobby'emu wzór, który obmyśliła dla medalionów, podrapał się po brodzie. Dostrzegła, jak drgnęły mu usta w kącikach.

- Koniczyny - wyjaśniła.

- Wypiłem w swoim czasie dość piwa w dniu świętego Patryka. Wiem, że to koniczyny.

- Zastanawiałam się nad innymi symbolami. Bardziej formalnymi albo bardziej subtelnymi lub bardziej skomplikowanymi. Ale w końcu pomyślałam sobie: chrzanić to, podobają mi się koniczyny. Są proste i przynoszą szczęście. Myślę, że Janet by się spodobały.

- Chyba tak. Lubiła proste rzeczy, kiedy tu siedziała.

- Dasz radę?

- Zrobi się.

- Chcę trzy. - Czują upojenie jak mała dziewczynka. - Trzy to też szczęśliwa liczba. Jeden medalion w stołowym, jeden w głównej sypialni i jeden tutaj, w salonie. W każdym pomieszczeniu trzy kręgi koniczyny. Nie chodzi mi o jednostajność, raczej o symetrię.

Zostawiam to tobie - powiedziała, a on przytaknął.

- Dobrze tu pracować. Przypominają mi się stare czasy.

Siedzieli przy prowizorycznym stole, blat ze sklejkki na dwóch kozłach do piłowania drewna. Przyniosła mu kubek herbaty; pili sobie, podczas gdy Jack kończył poprawki tynkarskie.

- Widywałeś ją, kiedy tu przyjeżdżała?

- Od czasu do czasu. Zawsze zagadała do człowieka. Uśmiechała się po swojemu, mówiła: „Cześć, jak się masz”.

- Posłuchaj, Dobby, przez te dwa ostatnie lata, kiedy tu bywała, czy ludzie mówili, że... zaprzyjaźniła się z kimś miejscowym?

- Chodzi o to, czy się w kimś durzyła?

Durzyła - pomyślała Cilla. Jakie delikatne określenie.

- Tak, to właśnie mam na myśli.

Zmarszczki i fałdy na jego twarzy pogłębiły się.

- Trudno powiedzieć. Kiedy umarła i zjechali tutaj ci wszyscy dziennikarze, niektórzy tak gadali. Ale gadali różne rzeczy, a większość tego nie miała wiele wspólnego z prawdą.

- No cóż, posiadam pewne informacje, które wskazują, że się w kimś durzyła. I to bardzo. Pamiętasz kogoś, z kim spędzała dużo czasu w ciągu tego ostatniego roku,

powiedzmy - półtora? Często wtedy wychodziła z domu.

- Owszem - przyznał. - Kiedy zginął jej chłopak, ludzie mówili, że zamierza sprzedać tę posiadłość. Nie chciała tu więcej przyjeżdżać. Ale nie sprzedała. Nie urzędowała też przyjęć ani nie zapraszała nikogo. Nigdy też nie wyprowadzała dziewczynki - to znaczy twojej matki - w każdym razie nie widziałem tego ani nie słyszałem, żeby ktoś o tym mówił. O ile sobie przypominam, wychodziła zawsze sama. Gdyby ktoś zobaczył, jak spotyka się z jakimś miejscowym facetem, to gęba by mu się nie zamykała.

- Nie było w okolicy wielu ludzi, którzy mogliby gadać - zauważył Jack, odkładając pacę. - Chodzi mi o to, że obok farmy nie stało dużo domów. Prawda, dziadku?

- Prawda. Nie było domów po drugiej stronie drogi, tam były pola. Zaczęli je stawiać może dwadzieścia pięć, trzydzieści lat temu, tak mi się zdaje, kiedy Bucknerowie sprzedali swoją farmę.

- Więc nie było w pobliżu żadnych sąsiadów.

- Tylko Bucknerowie, o ile sobie przypominam. Jakieś półtora kilometra stąd.

To ciekawe - zastanawiała się Cilla. Nietrudno było ukryć romans bez wścibskich sąsiadów, którzy mogliby wyglądać przez okna. No tak, byli jeszcze dziennikarze, ale przecież nie koczowali na poboczu drogi przez siedem dni w tygodniu, kiedy Janet tu przyjeżdżała.

Z tego, co Cilla wyczytała albo usłyszała, mogła wywnioskować, że Janet była mistrzynią w ukrywaniu pewnych sfer swojego życia przed okiem publiczności. Po jej śmierci zaczęły się mnożyć fakty, mity, plotki, tajemnice, przypuszczenia.

A mimo to tożsamość ostatniego kochanka Janet pozostawała białą plamą. Cilla zaczęła się zastanawiać, czy pragnie ją wypełnić w życiorysie swojej babki.

Tak, i to bardzo - musiała przyznać. Odpowiedź na to jedno pytanie mogła wyjaśnić ostatecznie poważniejszą kwestię.

Dlaczego Janet zmarła w wieku trzydziestu dziewięciu lat?

Cilla, przywożąc Steve'a do domu, czuła jednocześnie podniecenie i przerażenie. Był żywy i uznano, że ma się dostatecznie dobrze, by opuścić szpital. Dwa tygodnie wcześniej siedziała przy jego łóżku, próbując wyrwać go ze śpiączki. Teraz stała obok niego, kiedy przyglądał się z uwagą domowi. Wspierał się na lasce na głowie miał czapkę, na oczach ciemne okulary, a ubranie dosłownie wisiało na nim, bo tak bardzo schudł w szpitalu.

Chciała wprowadzić go do środka i położyć do łóżka. I nakarmić zupą.

Poczuła przerażenie na myśl, czy potrafi się nim zaopiekować.

- Przestań się na mnie gapić, Cilla.

- Powinieneś chyba wejść do środka, żeby nie stać na słońcu.

- Spędziłem mnóstwo czasu w zamkniętym pomieszczeniu, z dala od słońca. Dobrze mi tutaj. Podoba mi się stodoła. Stodoły zawsze powinny być czerwone. Gdzie się, u licha, wszyscy podziali? Środek dnia, a nie ma wozów ani hałasu.

- Powiedziałam robotnikom, żeby dali mi jeden wolny dzień.

Pomyślałam, że przyda ci się trochę spokoju i ciszy.

- Jezu! Cilla, kiedy to potrzebowałam spokoju i ciszy? To ty tego chcesz.

- Owszem, chciałam. Wchodzimy do środka. Wyglądasz, jakbyś się ledwie trzymał na nogach.

- Trudno się dziwić. Dam radę - odparł rozzłoszczony, kiedy chciała ująć go za zdrową rękę. Pokonał z trudem schody i werandę.

Przestał się krzywić, kiedy wszedł do domu i rozejrzał się wkoło.

- Tynk wygląda dobrze. Pozbyłaś się tych drzwi, poszerzyłaś wejście, bardzo dobrze. Będzie lepszy przewiew.

- Zastanawiam się, czy nie urządzić tutaj czegoś w rodzaju salonu przedpołudniowego. Potem, jeśli z tego nie zrezygnuję, mogłabym dobudować oszkloną werandę, zainstalować jacuzzi, kilka urządzeń do ćwiczeń, posadzić ładne rośliny. W przyszłości.

- Zrobisz, jak zechcesz.

Dosłyszała w jego głosie zmęczenie i niewiele brakowało, żeby go zaczęła prosić, by się położył. Postanowiła jednak spróbować innej taktyki. Wiedziała, że najpierw musi zaprowadzić go na górę - Odwaliliśmy sporo roboty na piętrze. Główna sypialnia jest prawie gotowa. Musisz ją obejrzeć.

Te schody były trudniejsze do pokonania. Niemal czuła, jak podczas wspinaczki drży mu lewy, kontuzjowany bok.

- Trzeba było skorzystać z propozycji Forda. U niego byłoby ci wygodniej.

- Mogę wejść na te cholerne schody. Boli mnie tylko głowa, to wszystko. Normalna rzecz w tej sytuacji.

- Jeśli chcesz się położyć... mam tu twoją pościel.

- Nie chcę się kłaść. Na razie. - Odsunął jej wyciągniętą rękę.

I znów z jego twarzy zniknął grymas wysiłku, kiedy rozglądał się po nowej sypialni. - Zawsze miałaś dobre oko. Odpowiednie linie, odpowiednie światło. Fajna garderoba, laleczko.

- Najlepsza przyjaciółka dziewczyny. Skończyłam ją wczoraj.

Otworzyła z rozmachem drzwi schowka.

- Boazeria cedrowa. Dobra robota - przyznał.

- Uczyłam się od najlepszych.

Odwrócił się i pokuśtykał w stronę łazienki, ale dostrzegła wyraz jego oczu.

- Co jest? Co się stało?

- Nic. Sexy i z klasą - odezwał się z łazienki. - Deco. Szklane bloczki na ścianie prysznicza? Kiedy się zdecydowałaś?

- Zmiana w ostatniej chwili. Podoba mi się efekt. Nieźle wygląda z czarno - białymi płytkami. - Umilkła i oparła mu głowę na ramieniu. - Proszę, powiedz mi, o co chodzi.

- A jeśli nie będę mógł więcej tego robić? Jeśli nie będę umiał posługiwać się narzędziami? Ciężko mi się myśli, a te bóle głowy mnie wykańczają.

Chciała go wziąć w ramiona, przytulić, pocieszyć, ale tylko popatrzyła z łagodną irytacją.

- Steve, dopiero wyszedłeś ze szpitala. Co sobie wyobrażałeś, że zaczniesz od razu machać młotkiem?

- Coś w tym rodzaju.

- Trzymasz się na nogach. Rozmawiasz ze mną. Lekarz mówił, że to trochę potrwa. Tak jak mówił, wracasz do zdrowia w niesamowitym tempie. Wszystko wskazuje, że odzyskasz całkowicie siły.

- To może potrwać miesiące. Nawet lata. I nic nie pamiętam. - Prócz rozdrażnienia wyczuła w jego głosie lęk. - Do diabła, nie pamiętam nic z tego, co się wydarzyło tamtej nocy, kiedy wyjechałem do miasta. Nie pamiętam, jak dotarłem do baru, jak tam siedziałem, jak towarzyszyłem Shannie w drodze do domu, chociaż ona twierdzi, że tak było. Pustka. Pamiętam, że wsiadałem na motor.

Pamiętam, że się zastanawiałem, czy nie pójść do łóżka z Shanną, która ma wielkie brązowe oczy i supertyłek. Potem już tylko pamiętam, jak krzyczałaś do mnie i nachylałaś się nade mną. Wszystko, co się wydarzyło pośrodku, zniknęło. Po prostu zniknęło.

Wzruszyła ramionami, jakby chodziło o drobnostkę.

- Jeśli miałeś coś zapomnieć, to właśnie tę noc. Nie ma się co dziwić.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Niezła z ciebie pocieszycielka, co? Zdrzemnę się trochę. Wezmę leki i się położę.

- Doskonały pomysł.

Nie miał nic przeciwko temu, by się na niej wesprzeć, i pozwolił się zaprowadzić do pokoju gościnnego. Ściany były pomalowane na spokojny, kojący błękit, podobnie jak boazeria. Okna były obramowane listwami orzechowymi, które sama oszlifowała i odnowiła.

Podłoga lśniła głębokim połyskiem. Żelazne węzłowie o poważnej ołowianej barwie współgrało z prostą białą - niebieską narzutą i chodniczką w gwiazdki, z niebieskim obszyciem. Na stole pod oknem stał kobaltowy wazon z bukietem białych stokrotek.

- A co to takiego, u licha? Już tu skończyłaś robotę?

- Niespodzianka. Myślę, że wygląda trochę ciekawiej niż pokój w szpitalu.

- Jest wspaniały. - Wycelował w nią oskarżycielsko palec, ale na jego twarzy malowało się zadowolenie. - Co ty sobie myślisz? Układasz podłogę tylko w jednym pomieszczeniu?

- To miłe mieć jeden pokój ukończony albo prawie ukończony. Potrzebuję kilku obrazów na ściany i muszę uporać się jeszcze z listwami przypodłogowymi, ale poza tym wszystko jest okej. Zobacz. - Otworzyła starą garderobę, pokazując płaski telewizor. - Mam kablówkę. - Uśmiechnęła się do niego. - Cyfrową, Ford mnie namówił. Łazienka też jest ukończona. I wygląda wspaniale, jeśli sama tak uważam.

Steve usiadł na brzegu łóżka.

- Remont w takim stylu zakłóca harmonogram.

- Nie spiesz mi się. - Nalała z dzbanka szklankę wody i postawiła na stoliku nocnym, potem wzięła buteleczkę z pastylkami. - Do dna, a potem cię rozbierzemy i położymy do łóżka.

W jego oczach pojawił się przelotny błysk.

- Był czas, kiedy kładłaś się razem ze mną.

- Był. - Przykucnęła, żeby zdjąć mu buty.

- Chcę, żeby budowlańcy wrócili jutro.

- Od kiedy to jesteś szefem robót? - Podnosząc się, dała mu znak, żeby rozłożył ramiona. Uśmiechnęła się jednak, ściągając z niego koszulę. - Wróć. Chcieli urządzać przyjęcie powitalne. Piwo i kanapki. Powiedziałam „nie”. Chyba trzeba było się zgodzić.

- Nie sądzę, żebym się nadawał do przyjęć. - Położył się, żeby mogła zdjąć mu spodnie. - Dzień, w którym pozwalam się kobiecie rozebrać i nie zamierzam się zrewanżować, nie jest odpowiedni na przyjęcia.

- Daję ci tydzień. - Nie mogąc się dłużej powstrzymać, pogłaskała go po policzku. - Słyszałam, jak przystawiałeś się do pielęgniarek.

- A czego się spodziewałaś? Mike'a sobie darowałem - Uśmiechnął się słabo. - Co nie znaczy, by było coś w tym złego.

Ściągnęła narzutę, pomogła mu się położyć, zdjęła okulary przeciwsłoneczne i ściągnęła z ogolonej głowy czapkę. Na widok gładkiej powierzchni, którą przecinała linia

szwów, poczuła ból w całym ciele.

- Posiedzę na dole, mam trochę papierkowej roboty. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, po prostu zawołaj. Jeśli zechcesz pooglądać telewizję, masz tu pilota. Jestem niedaleko.

- Chcę się tylko kimnąć.

- Okej.

Pocałowała go w czoło i wyszła cicho z pokoju.

Kiedy został sam, zaczął wpatrywać się w sufit. Wreszcie Westchnął i zamknął oczy.

Cilla wyniosła laptop na zewnątrz. Chociaż zajrzała do Steve'a dwa razy w ciągu pierwszej godziny, udało jej się załatwić sporo rachunków i kosztorysów. Usłyszała chrzęst kroków na ścieżce. Podniosła głowę i zobaczyła Forda w towarzystwie Spocka.

- Cześć, sąsiadko! - zawołał. - Skoro tu siedzisz, to przypuszczam, że nasz bohater jest już w lepszej formie.

- Śpi. - Spojrzała na zegarek. - Już piąta? Jak to możliwe?

- Ziemia okrąża słońce, obracając się wokół swojej osi, a tym samym...

- Mądrała.

- Pewnie. A tak przy okazji... - Potrząsnął torbą w dłoni. - Mam coś dla Steve'a. Kilka DVD, skoro zainstalowałaś telewizor w jego pokoju.

Cilla przechyliła głowę.

- DVD? Porno?

Ford zmarszczył brwi.

- Porno to takie nieładne słowo. Posłuchaj tylko, jak brzmi.

To krótkie, twarde sylaby. Mam *Spidermana*, wszystkie trzy części. Wydawało mi się, że to odpowiednia rzecz. I kilka innych, z nagimi kobietami na motocyklach. Nazwałbym to rozrywką dla dorosłych. Spock je wybrał.

Spojrzała na psa, który przekrzywił łeb z niewinną miną.

- Jestem pewna, że spodobają się Steve'owi.

- Spock uważa, że *Podejrzana motocyklistka* to bardzo niedocenione dzieło.

- Wierzę mu na słowo. - Usłyszała za plecami kroki i zerwała się z miejsca, po czym otworzyła drzwi z ochronną siatką, zanim Steve zdążył dotknąć klamki z drugiej strony. - Wstałeś. Dlaczego mnie nie zawołałeś? Nie powinieneś sam schodzić po schodach.

- Nic mi nie jest. Wszystko w porządku. Cześć, Ford.

- Cieszę się, że wyszedłeś ze szpitala.

- Ja też. Hej, Spock. Jak się masz, chłopie. - Usiadł na jednym z plastikowych białych



krzesel, głaszcząc psa, który oparł się przednimi łapami o jego kolana.

- Wyglądasz lepiej - oceniła Cilla.

- Magiczne pastylki i trochę snu. Śpię teraz jak niemowlę. To mi pomaga.

- Jesteś pewnie głodny. Może coś przygotuje? Chcesz pić? przyniosę ci...

- Ciii. - Już chciał jej powiedzieć, żeby nie zwracała sobie głowy, ale się rozmyślił. -

Tak, zjadłbym chętnie kanapkę czy coś takiego. Byle nie szpitalne żarcie i przemycane smakołyki.

Może upichciłabyś coś dla wszystkich?

- Jasne. Daj mi pięć minut.

Kiedy weszła pospiesznie do środka, Steve potrząsnął głową.

- Wciąż eksperymentuje z domem.

- Wyperswadowałem jej mały kibelek obok sypialni.

- Jestem ci wdzięczny. Co tam masz?

Ford podał mu torbę. Steve zajrzał do środka i po chwili uśmiechnął się szeroko.

- No, to rozumiem. Dzięki. Posłuchaj, muszę się trochę poruszać. Popilnujesz mnie w czasie spacerku?

- Okej.

Ford zaczekał, aż Steve zejdzie po schodkach, a potem zaczęli się obaj oddalać od domu.

- Jak głowa?

- Mam w niej cholerny bałagan. Przytkane szare komórki. Gliny nie dorwały jeszcze tego palanta, co?

- Niedługo dorwą.

- Wygląda to na jednostkowy numer. Po prostu pech. Chodzi mi o to, że od tego czasu nic się specjalnie nie wydarzyło.

- Nie.

Steve spojrzął z ukosa na Forda.

- Powiedziałbyś mi?

Ford pomyślał o drzwiach w samochodzie Cilli, ale postanowił o tym nie wspominać.

- Nikt się nie włamał do stodoły, nikt nie wlaźł do domu.

- Zalegałeś tutaj, kiedy byłem w szpitalu. Obiło mi się to o uszy.

- Aha, widziałeś mój śpiwór.

- Więc ty i Cilla nie poszliście jeszcze do łóżka?

- Jeszcze nie.

- Ale niewiele wam brakuje. Posłuchaj, to twoja sprawa, jej sprawa i takie tam bzdury, ale pytam, ponieważ chcę wiedzieć, czy się nią zaopiekujesz, kiedy wyjadę.

Ford przystanął, gdy Steve się zatrzymał.

- Wybierasz się dokądś?

- Jeszcze nic jej nie mówiłem. Zamierzałem, kiedy przyjechaliśmy ze szpitala, ale Jezu, przygotowała mi pokój. Nawet kwiaty postawiła na stole. I dzięki za kablówkę.

- Nie ma o czym mówić.

Steve skinął głową i znów ruszył przed siebie.

- Prawdę mówiąc, powinienem wyjechać stąd w zeszłym tygodniu, i to najpóźniej. Plany się zmieniły z powodu operacji.

Zostałbym, gdybym uważał, że mnie potrzebuje, że muszę jej pilnować albo jej pomagać. Potrafi o siebie zadbać, to jasne jak słońce, ale... cholera, może chodzi o to, że o mało nie zginąłem.

Tak czy owak chcę wrócić do domu. Posiedzieć na plaży, poopalać się. Ale muszę wiedzieć, że ktoś się nią opiekuje.

- Ja się nią zaopiekuję, Steve.

Steve przystanął, żeby popatrzeć na stodołę.

- Powiedziała, że kupiłeś farbę. Kiedy leżałem w szpitalu. - Skinął głową, jakby chciał wyrazić zadowolenie. - Jesteś w porządku, Ford. Absolutnie nie w typie, jaki jej się zwykle podobał. I bardzo dobrze. Uwielbia świece. Kiedy robi to z facetem - dorzucił tonem wyjaśnienia. - Uwielbia mnóstwo świec. Nie ma też nic przeciwko muzyce. Nie potrzebuje jej. tak jak potrzebują jej inni, ale nie ma nic przeciwko temu. Zapalone światło, zgaszone, może być i tak, i tak. Ale pamiętaj o świeczkach.

Ford odchrząknął zakłopotany.

- Dzięki za wskazówki. Jak się dostaniesz do Los Angeles?

- Lekarz chce mnie widzieć w piątek, muszę więc posiedzieć tu do soboty. Mam kumpla w New Jersey, przyjeżdża tu samochodem rekreacyjnym. Zapakuję się razem z motorem. Nic jej nie mów, okej? Sam chcę to zrobić.

Cilla zagwizdała na nich z werandy.

- Chcecie jeść, chłopaki?

Spock zareagował, pędząc w jej stronę, jakby goniło go stado diabłów.

- Góry są niesamowite - zauważył Steve, kiedy ruszyli w stronę domu. - Między innymi dlatego wyniosła się na wschód. Powiedziała mi, że góry to dla niej dom. A ja? Tęsknię za oceanem. - Trącił Forda łokciem. - I za kobietami w skąpych bikini.

Spała kiepsko, nasłuchując Steve'a i rozmyślając bezustannie o tym, że zamierzał wyjechać w ciągu kilku najbliższych dni.

Jak mogła się nim opiekować, skoro miał ich dzielić dystans pięciu tysięcy kilometrów?

Ledwie wyszedł ze szpitala, a już planował podróż przez cały kraj. W wozie rekreacyjnym? W jego stylu - pomyślała, przekręcając się na plecy. Zawsze musiał podróżować, nigdy nie pozostawał dłużej w jednym miejscu. Stąd wziął się ten biznes z domami - przypomniała sobie. Nie trzeba było się w nich zagnieżdżać, jeśli wciąż pojawiały się nowe.

Ale w sprawie wyjazdu nie chciał jej w ogóle słuchać. A to, że wyszedł dopiero co ze szpitala, utrudniało sprawę, bo nie miała sumienia kopnąć go porządnie w tyłek. Zastanawiała się, kto będzie do niego zaglądał dwa czy trzy razy w ciągu nocy, tak jak ona to robiła. Wszystko było w porządku, kiedy go pilnowała. A gdyby nie było?

Znów się przekręciła na bok i poprawiła poduszkę. I dała sobie spokój.

I tak miało zaraz świtać. Postanowiła, że jeszcze raz do niego zajrzy, a potem zejdzie na dół i zaparzy kawę. Będzie miała chwilę dla siebie, zanim zjawią się ekipy.

Usłyszała, jak Steve chrapie, jeszcze zanim dotarła do jego drzwi, więc od razu zeszła na dół zająć się kawą. Przyszło jej do głowy, że za kilka miesięcy będzie miała prawdziwą kuchnię. Odnowione staromodne urządzenia, blaty, szafki. Prawdziwe naczynia. I niech ją diabli, jeśli nie zafunduje sobie prawdziwego automatu do espresso.

Może nawet nauczyłaby się gotować. Była pewna, że Patty dałaby jej kilka lekcji na temat podstaw. Nic szczególnego, żadne smakołyki. Próbowala już tego i za każdym razem ponosiła spektakularną klęskę. Z wyjątkiem sosu, mięsa i ziemniaków. Wierzyła, że zdoła się nauczyć, jak usmażyć pierś kurczaka.

Kiedy tylko dom będzie ukończony - obiecała sobie. Kiedy będzie miała licencję, rozkręci biznes i zacznie normalnie funkcjonować. Nauczy się gotować zamiast żywić się kanapkami, zupą z puszki i daniami na zamówienie.

Wyniosła kawę na zewnątrz, wdychając jej aromat, podczas gdy nad jej ogrodami, nad ziemią, wciąż skopaną i czekającą na rośliny, pojawiały się senne zwiastuny światła. Popijała gorący napój, podczas gdy znad stawu, który musiała jeszcze oczyścić, unosiła się mgiełka.

Każdego dnia pragnęła to robić. Wychodzić ze swojego domu w miękkim, sennym świetle i widzieć to, co mogłaby zrobić i co już zrobiła. To, co jej dano.

Cokolwiek zapłaciła matce za to miejsce, za to życie, nie miało znaczenia. Stojąc w tym miękkim i sennym świetle, wiedziała, że wszystko, co mogła zobaczyć, dotknąć i poczuć,

było darem od babki, której nigdy nie poznała.

Ona zawsze brała ze sobą kawę na poranne przechadzki - rozmyślała, schodząc z werandy, żeby się przejść. Zawsze była znana z tego, że wcześniej wstawiała, rzecz normalna w filmowym biznesie. Często o świcie była na nogach.

I do świtu - musiała przyznać. To była druga strona osobowości tej kobiety. Rozrywkowa dziewczyna, królowa Hollywood, gwiazda, która piła za dużo i brała za dużo pigułek.

W tym spokojnym poranku Cilla pragnęła towarzystwa tej Janet Hardy, która zakochała się w owym małym zakątku Wirginii. Która przyniosła do domu małego kundelka i sadziła róże pod oknem.

Uśmiechnęła się na widok czerwonej stodoły, spacerując wokół domu. Policyjna taśma już zniknęła, kłódka była na swoim miejscu. A Steve chrapał w ładnym żelaznym łóżku w ładnym pokoju na górze.

Ten koszmar już minął. Szukający ochłapów śmieciarz, który spanikował. Policja wierzyła, że tak właśnie jest, więc kogo chciała przekonywać? Jeśli pragnęła rozwiązać prywatną tajemnicę, to byłaby nią tożsamość autora listów schowanych w egzemplarzu *Gatsby'ego*. W ten sposób znalazłaby jeszcze jeden element układanki, jaką stanowiła postać Janet. Zrobiłaby to dla własnej wiedzy. Własnej historii.

Światło stawało się coraz intensywniejsze, kiedy zbliżała się do domu. W powietrzu unosił się słodki śpiew ptaków, woń róż i spulchnionej ziemi. Czuła na nagich stopach łaskotanie rosy. Sprawiała jej niewymowną radość myśl, że stąpa po swojej ziemi, po zroszonej trawie, ubrana w koszulkę i bawełniane spodnie od piżamy.

I że nikt nie zwraca na to uwagi.

Dokończyła kawę na werandzie od frontu, spoglądając na trawnik.

Jej uśmiech przygasł z wolna, a na czole pojawiła się zmarszczka, kiedy przesunęła spojrzeniem po murze.

Gdzie się podziały drzewa? Powinna widzieć z tego miejsca pochyłające się wierzchołki swoich wiśni. Zmarszczyła czoło jeszcze bardziej, odstawiła kubek na poręcz i zeszała po schodach, by ruszyć przez trawnik obok zwirowanej ścieżki.

Po chwili zaczęła biec.

- Nie! Do diabła, nie!

Jej młode drzewka leżały na wąskim pasie zieleni między murem a poboczem drogi. Ich smukłe pnie nosiły ślady siekiery. Nie trzeba było się wysilać, żeby je ściąć - przyszło jej do głowy, kiedy przykucnęła i przesunęła opuszkami palców po liściach. Wystarczyły trzy

albo cztery uderzenia.

Celem nie była kradzież. Wykopanie ich zabrałoby trochę więcej czasu, sprawiłoby trochę więcej kłopotu. Chodziło o to, żeby zniszczyć. Zabić.

Sama złośliwość tego czynu spowodowała, że Cilla poczuła, jak żołądek skręca jej się z żalu i wściekłości. To nie złodziej - pomyślała. Nie dzieciaki. Rozwalały skrzynki na listy wzdłuż drogi, o czym ją ostrzegano. Dzieciaki nie zadawały sobie trudu, żeby ściąć kilka ozdobnych drzewek.

Wyprostowała się i odetchnęła dla uspokojenia, a potem spojrzała ponad pniakiem jednego z umierających drzew. Poczowała, jak oddech uwiązał jej w krtani. Zadrzała, znów pod wpływem smutku i wściekłości. Stary kamień muru szpeciły czarne litery układające się w napis:

WRACAJ DO HOLLYWOOD, DZIWKO!

ŻYJESZ JAK DZIWKĄ, UMRZESZ JAK DZIWKĄ

- Niech cię diabli! - zaklęła pod nosem. - Do diabła, Hennessy, pieprzyć cię!

Z furią wpadła z powrotem do domu, żeby wezwać policję.

Z gniewem w oczach Cilla ostrzegła wszystkich pracowników, że każdy, kto choćby wspomni Steve'owi o drzewkach albo murze, zostanie zwolniony. Bez wyjątków, bez żadnych tłumaczeń.

Wysłała Briana do szkółki roślin. Chciała posadzić dwa nowe drzewa, i to jeszcze tego samego dnia.

Przed dziesiątą, kiedy policjanci zjawili się, następnie odjechali, ona zaś upewniła się, że jej groźba pod adresem pracowników została potraktowana poważnie i że pod jakimś pozorem zatrzymają Steve'a w domu, poszła wyczyścić mur.

Ford zobaczył ją, jak szoruje kamienie, kiedy wyszedł na zewnątrz z pierwszą filiżanką kawy. I dostrzegł napis. Tak jak ona zrobiła to wcześniej, postawił kawę na poręczu i ruszył w jej stronę na bosaka.

- Cilla.

- Nie mów Steve'owi. To najważniejsze. Nie chcę, żebyś wspomniał mu o tym chociaż słowem.

- Zadzwoń na policję?

- Byli tutaj. Nie wiem, czy cokolwiek to pomoże. To musiał być Hennessy, to musiał być ten sukinsyn. Ale jeśli nie znajdą pod jego paznokciami czarnej farby i kawałeczków drewna, to co z tym zrobią?

- Drewno... - Zobaczył wtedy pniaki i zaklął. - Czekaj chwilę. Daj mi pomyśleć.

- Nie mam czasu. Muszę się tego pozbyć. Nie mogę ryzykować szlifowania tego kamienia papierem ściernym. Jest zbyt ostry. Zniszczyłby powierzchnię, zaprawę i wyrządził tyle szkody co ta głupia farba. Środek chemiczny to najlepsze wyjście.

Prawdopodobnie będę musiała uzupełnić spoiwo, ale to wszystko, co mogę zrobić.

- Będziesz szorować kamień szczotką?

- Zgadza się. - Zaatakowała „W” w słowie dziwka jak zaprzysięgłego wroga. - Nie ujdzie mu to na sucho. Nie będzie paskudził ani niszczył tego, co do mnie należy. Nie prowadziłam tego cholernego samochodu, w którym siedział jego syn. Nie było mnie nawet na świecie, na litość boską!

- I ma osiemdziesiątkę, jeśli się nie mylę. Trudno mi sobie wyobrazić, jak ścina dwa drzewa i maluje coś na murze w środku nocy.

- A kto inny mógłby to zrobić? - Odwróciła się do niego. - Kto inny nienawidzi tak bardzo tego miejsca albo mnie?

- Nie wiem. Ale lepiej, jak zaczniemy to ustalać.

- To mój problem.

- Nie bądź głupia.

- To mój problem, mój mur, moje drzewka. Ja jestem dziwką.

Popatrzyła na niego gniewnie, a on odpowiedział jej chłodnym spojrzeniem.

- Zgoda, twój mur, twoje drzewka, ale problem? Bzdura. Nie chcesz mówić Steve'owi, w porządku. Rozumiem to. Aleja nie wyjeżdżam. Nie wracam do Los Angeles ani nigdzie indziej. - Chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie. - Zostaję tutaj.

I poradzę z tym sobie.

- Ja też próbuję sobie z tym poradzić. I z wyjazdem przyjaciela, który jest w stanie zrobić ledwie pięć kroków za jednym zamachem. Próbuję poradzić sobie z życiem, o którym jeszcze kilka miesięcy temu nawet nie śniłam. Nie wiem, czy zdołam poradzić sobie z czymś jeszcze.

- Będziesz musiała zrobić miejsce dla mnie. - Ujął w dłonie jej twarz i pocałował mocno. - Masz drugą szczotkę?

## ROZDZIAŁ 15

Cilla przez większość dnia harowała przy murze, czasem tylko robiła sobie przerwę, żeby zająć się robotą w domu. Koncentrowała się na ścieraniu paskudnego napisu, kiedy przejeżdżający drogą ludzie zwalniali albo zatrzymywali się, żeby wypowiedzieć jakąś uwagę czy spytać, co się stało.

Chwilami wściekłość, która paliła ją jak ogień, zamieniała się w zwykłe niezadowolenie. Dlaczego ten dupek zadał sobie tyle trudu i napisał tak wiele?

Wróciła do tego zajęcia nazajutrz rano, zanim zdążył się zjawić murarz czy którykolwiek z pracowników. Wjazdu strzegły teraz dwa nowe drzewa. Pomyślała o nich jak o czymś wyzywającym, a nie ozdobnym. A to dodało jej energii.

- Hej!

Odwróciła się i zobaczyła Forda. Ubrany w podarte spodnie od dresu i podkoszulek, stał po drugiej stronie drogi. Spock. z czerwoną chustą na szyi, drżał z niecierpliwości, ale siedział posłusznie u stóp swego pana.

- Wcześniej jak na ciebie - odpowiedziała.

- Nastawiłem budzik. To pewnie miłość. Wpadnij do mnie na chwilę.

- Jestem zajęta.

- A kiedy nie jesteś? Kotku, wykończę się, patrząc tylko na ciebie. Chodź, zrób sobie przerwę. Mam kawę. - Podniósł jeden z dwóch wielkich kubków, które trzymał w dłoniach.

Nastawił sobie budzik i choć nie bardzo wiedziała, co ma o tym myśleć, była mu za to wdzięczna. I za czas, jaki jej poświęcił poprzedniego dnia, choć była niegrzeczna i opryskliwa. Odłożyła szczotkę i przeszła na drugą stronę drogi.

Podał jej kawę i wskazał mur, podczas gdy ona witała się ze Spockiem.

- Odczytaj to głośno. Z tego miejsca.

Wzruszyła ramionami, odwróciła się i popijając kawę, poczuła, jak w krtani wzbiera jej śmiech.

- „Wracaj do Hollywood, żyj jak dzika”.

- Żyj jak dzika - powtórzył w zamyśleniu. - Mógłbym to wykorzystać w jednej ze swoich powieści. Coś mi się zdaje, że próbował cię za wszelką cenę zranić, a ty zakpiłaś sobie z niego.

Dobra robota.

- Rzeczywiście, wyszło śmiesznie. To chyba plus. Niemal udławiłam się z wściekłości. Nie musisz mi dzisiaj pomagać.

Ford. Jak chcesz zrobić ze mnie wojowniczą boginię, skoro będziesz musiał zeszkrobywać graffiti?

- Posuwam się do przodu, jeśli o to chodzi. Mogę poświęcić ci ze dwie godziny, zanim wrócę do roboty. Spock nie może się już doczekać, kiedy zamieni się w psa pracowniczego, jak określają to Brian i Matt. Pobędzie dziś trochę z chłopakami. Stąd ta chusta na jego szyi.

- Wiesz, zamierzam się prawdopodobnie z tobą kochać, nawet jeśli ty ze swej strony nie zamierzasz mi pomóc w tej robocie.

- Mam nadzieję. - Obdarzył ją swobodnym i szczerym uśmiechem. - Zapropionowałbym ci pomoc, nawet gdybyś nie zamierzała się ze mną kochać.

Napiła się w zamyśleniu kawy.

- Jasno stawiasz sprawę. A ja lubię jasne sytuacje. No cóż. - Ruszyła w stronę muru, a Ford i Spock pospieszili za nią. - Mój ojciec się o tym dowiedział i zadzwonił wczoraj wieczorem. Wiesz...

co może zrobić, jak może pomóc. Czy zgodzę się, by zamieszkał u mnie na jakiś czas, dopóki policja nie znajdzie sprawcy? To znaczy, hm, nigdy. Potem słuchawkę wzięła moja macocha. Chce mnie zabrać na zakupy.

- Zakupy? Materiały na nowy mur? Ten się zmywa doskonale.

- Nie, nie mur. - Trąciła go łokciem w żebra, a potem wręczyła mu rękawice ochronne.

- Patty, Angie i Cilla krążą po sklepach. Jakby szukanie okazji mogło rozwiązać moje problemy.

- Rozumiem, że się nie wybierasz.

- Nie mam czasu ani ochoty szukać czółenek czy zalotnej sukienki letniej.

- Czerwone buty, biała sukienka. Przepraszam - dodał, dostrzegając jej wymowne spojrzenie. - Myślę obrazami.

- Uhm. Chodzi chyba o to, że nie jestem przyzwyczajona do sytuacji, w której ludzie coś mi proponują - swój czas, pomoc albo towarzystwo - nie oczekując niczego w zamian.

- Doprawdy szkoda, a może powinienem powiedzieć, że żyjesz jak dzika.

Roześmiała się i zaczęła skrobać mur.

- Idź się pobaw - zwrócił się Ford do Spocka, który podreptał w stronę domu, z tą swoją czerwoną chustą na szyi.

- Muszę się nauczyć akceptować propozycje pomocy bez najmniejszego cienia cynizmu. Ale to chyba trochę potrwa.

Pracował przez jakiś czas w milczeniu.

- Wiesz, co widzę, kiedy patrzę w tę stronę?



- Półciązarówki, cholernie wielki kontener i dom, który rozpaczliwie wymaga pomalowania?

- Zamek Śpiącej Królowny.

- Co? Jakim cudem? Dlaczego?

- Zacznę od tego, że podam w wątpliwość swoją męskość i przyznam, że uwielbiałem podobne opowieści jako dziecko, w takim samym stopniu co *Mrocznego rycerza, X - mana* i tak dalej. Uważałem, że wersja Disneya jest w porządku, a Maleficent to czarny charakter wszech czasów. No dobra. - Wzruszył ramionami, podczas gdy ona przyglądała mu się ciekawie. - Wiesz, jak ten Maleficent rzucił czar i otoczył zamek gigantycznym cierniem... pamiętasz te wielkie, ostre kolce? Zamienił go w mroczne, posępne miejsce, które skrywało smutek i uwięzioną piękność.

- Okej.

- Bohater musiał przedrzeć się przez zapory, ciernie, pułapki.

Cholerne ryzyko, cholerna robota, ale kiedy osiągnął swój cel, zamek ożył. I na okolicznych ziemiach zapanował pokój.

Drapała drucianą szczotką mur.

- I co, może mam jeszcze pocałować księżniczkę?

- W porządku, w moim umyśle pojawia się nowy obraz. Interesujące. Są pewne skazy w tej metaforze, ale ogólnie rzecz biorąc, uwięziony i uspiiony zamek potrzebuje bohatera, który go obudzi. Niektórzy ludzie lubią się tym zajmować. A niektórzy... - Postukał szczotką w dużą czarną literę A. - Lubią to spieprzyć.

- Wiesz, jestem zafascynowana mężczyzną, który przyznaje się, że lubi bajki, podaje w wątpliwość swoją męskość - i bez zmrużenia oka fantazjuje na temat dwóch dziewczyn. Jesteś niejednoznaczny człowiekiem, Ford.

- Tak jak Shrek. Składamy się z wielu warstw.

O tak - pomyślała. Traciła dla niego głowę, i to w zastraszającym tempie.

Przerwała pracę, kiedy zatrzymała się obok nich półciązarówka Buddy'ego. Wychylił się przez okno wozu i popatrzył gniewnie.

- Co to, u diabła, ma znaczyć?

- Według Forda to, że niektórzy ludzie lubią pieprzyć pewne rzeczy.

- Cholerne szczeniaki! Żadnego szacunku.

- Nie chcę, żeby Steve się o tym dowiedział. I bez tego ma dość kłopotów. Muszę z tobą pogadać o wentylacji kabiny parowej. Obejrzałam to wczoraj wieczorem i - zwróciła się do Forda - muszę sprawdzić to z Buddym na miejscu.

- Pewnie. Posiedzę tu jeszcze chwilę.

- Dzięki. Podwieź mnie, Buddy.

Wskoczyła do kabiny i gdy Buddy skręcił na podjazd, próbowała wyobrazić sobie swój dom jako zamek Śpiącej Królowy, wokół którego wycięła cierniste krzewy.

Ford zdrowo się namęczył przy murze, zanim przerwał robotę i poszedł do siebie, żeby pomedytować nad rysunkami i ołówkami. Historia go trochę zaskoczyła, ale uznał, że to dobrze. Postanowił zająć się narracją później, tego samego wieczoru, żeby opracować nowe sceny i akcję, która przyszła mu do głowy.

Musiał poczekać, aż wszystko się wykluje. Nie mógł zająć się tym w chwili, kiedy wszystko kłębiło się w jego mózgu. Co oznaczało, że nadeszła pora na piwo i PlayStation.

Zszedł na dół i otworzył drzwi wejściowe, żeby popatrzeć przez chwilę na to, co nazywał Światem Cilli. Zauważył Steve'a, który szedł z wysiłkiem po ścieżce, z laską w jednej i sześciopakami piwa w drugiej dłoni.

- Doskonałe wyczucie chwili, że się tak wyrażę.

Spock, który stał obok Forda, zaczął niemal skakać i ujadać z radości.

- Zwiąłem. Moja strażniczka pojechała po materiały, więc podwędziłem jej piwo i dałem nogę.

- Kto mógłby mieć do ciebie pretensje? - Ford odebrał od niego butelki i wskazał kciukiem krzesło.

- Lekarz dał mi zielone światło. Jutro wyjeżdżam - oznajmił Steve i usiadł z westchnieniem ulgi, po czym podrapał Spocka po łbie.

- Będzie nam ciebie brakowało. - Ford zdjął wieczka z dwóch puszek i jedną podał Steve'owi.

- Spróbuję wrócić na jesieni, jeśli dam radę. Biorąc pod uwagę tempo, jakie narzuciła, dom będzie prawie gotowy.

Ford popatrzył z powątpiewaniem ku przeciwległej stronie drogi.

- Jeśli tak mówisz...

- Głównie jej zawadzam.

- Ona tak nie uważa.

Steve łyknął piwa.

- Omal mi nie skopała tyłka za to, że polazłem na strych posiedzieć z chłopakami. Chciała, żebym usiadł w fotelu bujanym jak jej dziadek i zajął się paletą kolorów. Jezu, następnym razem każe mi rozwiązywać krzyżówkę czy robić podobne gówna.

- Mogłoby być gorzej. Na przykład szydełkowanie.

Steve stęknął i popatrzył na mur po drugiej stronie drogi.

- Co o tym myślisz?

- Słucham?

- Nie wstawiaj mi kitu. Mój mózg nie jest aż tak uszkodzony.

Chłopaki na budowie plotkują jak dziewczyny. Słyszałem, że jakiś dupek wymalował coś na murze. Poznałem z sześć wersji, ale treść była mniej więcej ta sama.

- Myślę, że jakiś dupek nabazgrał na murze i że to wredny gość. Może ten sam, który cię załatwił, a może nie. Cilla sądzi, że to ten stary, ten Hennessy.

- Ale ty tak nie uważasz.

- Bo jest na to właśnie za stary. Z drugiej strony nie przychodzi mi do głowy nikt inny, kto miałby coś przeciwko niej. I jest twardy. Stary, ale twardy.

- Gdybym był zdrowy albo prawie zdrowy, tobym został. Ale w tej chwili na niewiele bym się jej przydał. - Przechylił puszkę w stronę Forda. - To twoja robota, Sparky, i twojego małego psa.

- Możesz być spokojny.

- Tak. - Steve znów łyknął piwa. - Chyba tak.

Nie płakała, kiedy Steve wgramolił się na przednie siedzenie wozu rekreacyjnego w chłodną i mokrą sobotę. Powstrzymała się od jakichkolwiek sugestii, by zaczekał z podróżą przez cały kraj, aż pogoda się poprawi. Pocałowała go tylko na pożegnanie, a potem stała w deszczu i machała, kiedy odjeżdżał.

Poczuła się straszliwie, boleśnie samotna.

Zamknęła się w domu. Deszcz wykluczał sadzenie roślin czy malowanie. Zastanawiała się, czy nie przenieść swoich rzeczy do pokoju gościnnego, który Steve właśnie zwolnił, ale uznała, że to zbyt swojskie. Potrzebowała porządnej pracy, a nie jej namiastki. Włączyła radio niemal na cały regulador, żeby wypełnić wnętrze domu dźwiękiem. I zabrała się do półek i szkieletu schowka przykuchennego. Mogła z tym poczekać nawet kilka tygodni, ale była to robota, która koła nerwy i uspokajała myśli.

Mierzyła, zaznaczała, piłowała, zatracając się w rytmie stolarskiej pracy. Znów zadowolona, śpiewała razem z radiem, podczas gdy jej wiertarka mocowała kawałek drewna do ściany.

Niemal upuściła sobie sprzęt na stopę, gdy odwróciła się i uchwyciła jakiś ruch kątem oka.

- Przepraszam! Przepraszam! - Patty wyrzuciła w górę ręce, jakby wiertarka była naładowaną bronią. - Nie chciałam cię przestraszyć. Pukałyśmy, ale... Jest tu tak głośno.

Cilla podeszła do radia, żeby je ściszyć.

- Musiałam nastawić na cały regulator, żeby słyszeć cokolwiek.

- Zaniepokoiłam się, kiedy długo nie otwierałaś, no i był cały ten hałas, a twój samochód stał przed domem. Więc weszliśmy.

- W porządku. Po prostu się wystraszyłam. Weszliśmy? My?

- Jest jeszcze Angie i Cathy. Próbowaliśmy wyciągnąć Penny, ale pilnuje sklepu. To taki okropny dzień, że postanowiliśmy pobuszować w centrum handlowym, potem wybrać się do kina, a na koniec pójść gdzieś na kolację. Chcemy cię porwać.

- Och, zanosi się na wspaniałą zabawę. - Raczej torturę - pomyślała. - Doceniam to, ale mam robotę.

- Zasłużyłaś sobie na wolny dzień. Ja stawiam.

- Patty...

- Nie mogę uwierzyć... - przerwała gwałtownie Cathy, która właśnie stanęła w drzwiach i spojrzała szeroko otwartymi oczami na Cillę. - Boże, przyszliśmy nie w porę. Wyglądasz jak prawdziwy budowlaniec z telewizji. Boję się wbić gwóźdź w ścianę, kiedy muszę powiesić obraz, a dla ciebie to pestka.

- Moja siostra, złota rączka. - Angie, pewna siebie w różowej sukience, popatrzyła na Cillę rozpromieniona. - Możemy się rozejrzeć? Nie pogniewasz się? Podobno prace na piętrze są już zaawansowane.

- Pewnie. No, jest jeszcze mnóstwo roboty. Z wszystkim.

- Słowo daję, od lat pragnęłam tu zajrzeć. - Cathy popatrzyła na nagie ściany, naga podłogę, stopy oraz sterty drewna i materiałów. - Jak sobie radzisz bez kuchni?

- I tak kiepska ze mnie kucharka. Oddałam do odnowienia piecyk i lodówkę, które tu już były. Są fantastyczne. Trochę potrwa, więc kuchnia musi jeszcze poczekać. Aha, jadalnia jest tam, więc będzie tu otwarta przestrzeń. Dobre światło, ładny widok.

- Ogrody na tyłach wyglądają cudownie! - Patty stanęła przy rozsuwanych drzwiach. - To było patio?

- Wymagało naprawy, poza tym je przerobiliśmy. Ogrody to było prawdziwe wyzwanie. Twój syn odwalił kawał dobrej roboty - zwróciła się Cilla do Cathy. - I ma prawdziwy talent, jeśli chodzi o projektowanie zieleni.

- Dzięki. Też tak myślę.

- Jadalnia wychodzi na patio, a tu urządzę coś w rodzaju salonu i jednocześnie pokoju telewizyjnego. W toalecie będą nowe płytki i nowa armatura. Garderoba na płaszcze przy wejściu. Jest tu mnóstwo przestrzeni. Praktycznej przestrzeni.

- Podoba mi się, że można wyjść na zewnątrz z każdego pomieszczenia - wyznała Angie, obracając się w kółko.

Cilla zaprowadziła je na górę, gdzie trójka niezapowiedzianych gości zaczęła się zachwycać glazurą i armaturą ukończonej łazienki.

- Nie wiem, co miałabym robić z kabiną parową, ale chciałabym mieć podgrzewaną terakotę w swojej łazience. - Patty popatrzyła rozpromieniona na Cillę. - Nie mam pojęcia, skąd to wszystko wiesz i jak ci to wszystko przychodzi do głowy, ale te dwa ukończone pomieszczenia są piękne. Jak z magazynu.

- Cena odsprzedaży poszybuje w górę - zauważyła Cathy.

- Pewnie tak, gdybym zamierzała to sprzedać.

- Przepraszam, to wpływ mojego męża - zachichotała Cathy. - Nie muszę go pytać, żeby wiedzieć, że chciałby być pierwszy w kolejce, gdybyś zmieniła zdanie. Jaki piękny widok. Ten dom wydaje się taki odosobniony, nawet w sąsiedztwie innych.

Przyznam, że wolę mieszkać bliżej miasta, jest wygodniej i bezpieczniej, ale gdybym miała w sobie żyłkę wiejskiej dziewczyny, to wybrałabym to miejsce.

- Wyczuwasz jej obecność? To znaczy Janet? - spytała Angie.

- Angie, daj spokój.

Angie dostrzegła minę matki i zamruwała zakłopotana, - Przepraszam. Nie powinnam chyba pytać.

- Wszystko w porządku - zapewniła ją Cilla. - Czasem wyczuwam jej obecność. Lubię myśleć, że pochwalałaby to, co robię, nawet te zmiany, które wprowadzam. To ma dla mnie znaczenie.

- Tyle się wiąże z tym domem - dodała Cathy. - Wszyscy ci ludzie, którzy tu przychodzili, te przyjęcia, muzyka. I tragedia. To coś więcej niż dom. To legenda, prawda? Pamiętam, jak to się stało. Byłam od kilku miesięcy w ciąży z drugim dzieckiem i miewałam rano okropne mdłości. Właśnie przytrafiło mi się coś takiego, a Tom próbował dać Mariannie - naszej najstarszej - śniadanie, Nie miała jeszcze dwóch lat, owsianka była wszędzie. Moja sąsiadka, Abby Fox, pamiętasz ją, Patty...

- Owszem. Potrafiła nieprawdopodobnie rozdmuchać każdą plotkę.

- Wiedziała wszystko pierwsza, tak jak i wtedy. Przyszła do nas i powiedziała nam. Od razu się rozplakałam. Chyba hormony.

Znowu zrobiło mi się niedobrze. Pamiętam, że Tom odchodził od zmysłów, nie bardzo wiedząc, jak sobie poradzić z dzieckiem i ze mną. To był okropny dzień. Przepraszam. - Wstrząsnęła się. - Nie wiem, po co w ogóle zaczęłam o tym mówić.

- Ten dom przywołuje wspomnienia - zauważyła Patty. - No dalej, Cilla, umyj się i chodź z nami. Robimy się smutne przez ten deszcz i ponurą pogodę. Nie próbuj się wykręcać.

Zgodziła się dlatego, że, jak przypuszczała, były w przewadze i że wspomnienia Cathy przyprawiły ją o głęboki smutek. Sama była zaskoczona, że się dobrze bawi, krążąc po centrum handlowym, oglądając jakiś ckliwy film, popijając margaritę do sałatki z kurczakiem smażonym na grillu.

Kiedy poszła do toalety, przyłączyła się do niej Angie, żeby poprawić fryzurę i makijaż.

- Co prawda to nie Rodeo Drive w Los Angeles ani premia i kolacja w najmodniejszej restauracji, ale dzień był niezły, he?

- Świetnie się bawiłam. A poza tym nigdy nie przepadałam za Rodeo Drive.

- Ja bym przepadała na twoim miejscu. Nawet gdybym mogła tylko oglądać wystawy i marzyć. Naprawdę ci tego nie brakuje?

- Naprawdę. Ja... przepraszam - powiedziała, gdy odezwała się jej komórka.

Cilla zobaczyła na wyświetlaczu numer telefonu matki i schowała komórkę.

- Możesz odebrać. Wyjdę - zaproponowała Angie.

- Nie. To jeden z tych telefonów, które mogłyby mi popsuć miły i subtelny nastrój wywołany margaritą. Często ci się to zdarza? Wyprawy z matką w deszczowe soboty?

- Owszem. Fajnie się z nią spędza czas. Zawsze staramy się gdzieś wyskoczyć, zwłaszcza od czasu, jak poszłam do college'u i rzadziej jestem w domu. Niekiedy zabieramy ze sobą przyjaciół, a niekiedy urywamy się same.

- Masz szczęście.

Angie położyła dłoń na ramieniu Cilli.

- Wiem, że nie jest twoją matką, ale wiem też, że naprawdę chce się z tobą zaprzyjaźnić.

- Jesteśmy przyjaciółkami. Po prostu nie znamy się za dobrze.

- Na razie?

- Na razie - przyznała Cilla, a Angie tylko się uśmiechnęła.

Po powrocie do domu Cilla sprawdziła wiadomości na komórce. Dwie były od Forda - pewnie dzwonił do niej, kiedy wyłączyła telefon w kinie - i jedna od matki.

Odsłuchiwała najpierw wiadomość od matki. Była długa, jak można się było spodziewać, i obejmowała całą skalę nastrojów, od zimnej pogardy do gniewnych pretensji, z krótkim i płaczliwym interludium.

Cilla skasowała to i odsłuchiwała pierwszą wiadomość od Forda.

„Hej, moja matka postanowiła przygotować spaghetti oraz klopsiki i powiedziała mi, żebym przyjechał na wyzerkę z jakąś przyjaciółką. Nie było cię w domu i nie odbierałaś komórki. Teraz się zastanawiam, czy mam się martwić, czy też być szaleńczo zazdrosnym, bo uciekłaś z jakimś mięśniakiem o imieniu Antonio. Tak czy owak odezwij się, żebym wiedział, co i jak”.

Odsłuchiwała drugą wiadomość.

„Zignoruj tamten telefon. Mój ojciec spotkał twojego, więc baw się dobrze z dziewczynami. Aha, to było określenie twojego ojca. Dziewczyny. Żałuj, że nie spróbowałaś naprawdę niesamowitych klopsów”.

- Boże, jesteś uroczy - mruknęła Cilla. - Gdybym nie była taka zmęczona, poszłabym do ciebie i naprawdę dała ci do wiwatu.

Ziewając, ruszyła po schodach z dwiema torbami w rękach. Na górze czekało prawdziwe łóżko, jak sobie przypomniła. Mogła położyć się na autentycznym materacu i w autentycznej pościeli. Opatulić się i spać, ile dusza zapagnie. Ta myśl była kojąca niczym widok bezchmurnego nieba, kiedy wchodziła do gościnnej łazienki.

To przypominało cios w serce. Wspaniała podłoga była zniszczona - płytki obtłuczone, popękane, wybrzuszone, poznaczone długimi szczelinami. Pośród nich leżała miska nowej umywalki, cała w kawałkach. Zszokowana, cofnęła się odruchowo, wypuszczając torby z rąk. Ich zawartość rozsypała się, kiedy Cilla odwróciła się, czując straszliwy ucisk w żołądku, i pobiegła do głównej łazienki, którą dopiero co wyłożono kafelkami.

Ujrzała to samo bezsensowne zniszczenie.

Duży młot - pomyślała - może kilof. Ktoś walił z całej siły. rąbał, tłukł płytki, szklaną osłonę, ściany. Niszczył długie godziny pracy.

Czując, jak ucisk w jej żołądku zamienia się w lód, zbiegła po schodach na dół i wyszła na zewnątrz, by po raz kolejny wezwać policję.

- Sprawca wszedł przez tylne drzwi - powiedział jej Wilson. - Stłukł szybę, wsunął rękę do środka, uporał się z zamkiem. Wydaje się, że użył pani narzędzi - młotka z krótką rączką, kilofa - żeby dokonać tych zniszczeń. Kto wiedział, że wychodzi pani wieczorem?

- Nikt. Sama nie wiedziałam, że wyjdę. Zdecydowałam się pod wpływem chwili.

- I pani samochód tu został, na ogólnym widoku od strony drogi?

- Tak. Zostawiłam włączone światło na werandzie i w dwóch pomieszczeniach wewnątrz domu - jedno na górze, drugie na dole.

- I wyjechała pani z domu około drugiej po południu, tak?

- Tak, mniej więcej. Pojechaliśmy do centrum handlowego, poszliśmy do kina i na kolację. Wróciłam około wpół do jedenastej .

- Trzy kobiety, z którymi pani była, wiedziały, że w tym domu nikogo nie będzie?

- Zgadza się. Wiedział także mój sąsiad, ponieważ dzwonił do mnie, kiedy przebywałam w mieście. Wiedział także mój ojciec i rodzice mojego sąsiada. Przypuszczam, że wiedział też albo mógł wiedzieć sąsiad pani Morrow. Praktycznie rzecz biorąc, detektywie, każdy, kto się interesował aktualnym miejscem mojego pobytu, mógł wiedzieć albo się zorientować.

- Proponuję, by zamontowała sobie pani alarm, pani McGowan.

- Naprawdę?

- Ta okolica nie jest szczególnie zamieszкана, na tym polega jej urok. Znajduje się stosunkowo daleko od innych zabudowań i była już celem wandalizmu. Robimy, co możemy. Ale na pani miejscu zacząłbym lepiej chronić swoją posesję.

- Może być pan pewien, że to zrobię. - Cilla podniosła się gwałtownie, słysząc głos Forda, który mówił coś zdenerwowany, rozmawiając z jednym z policjantów krążących po jej domu i przyległym terenie. - To mój sąsiad. Chciałabym, żeby wszedł do środka.

Wilson dał znak funkcjonariuszom na zewnątrz. Po chwili do domu wpadł Ford.

- Nic ci się nie stało? Wszystko w porządku? - Ujął jej twarz w dłonie. - Co się wydarzyło tym razem?

- Ktoś się włamał w czasie mojej nieobecności. Zniszczył obie łazienki na górze.

- Panie Sawyer, gdzie pan przebywał po południu i wieczorem, między drugą i jedenastą?

- Detektywie Wilson... - zaczęła Cilla.

- W porządku. - Ford wziął ją za rękę i ścisnął. - Byłem w domu, gdzie pracowałem do około czwartej. Wyszedłem kupić wino i kwiaty dla matki. Zjadłem kolację u rodziców, dotarłem tam mniej więcej o piątej. Wróciłem do domu, to była dziewiąta, może wpół do dziesiątej. Pooglądałem telewizję, zasnąłem na kanapie. Obudziłem się i zacząłem wchodzić na górę. Wyjrzałem przez drzwi wejściowe, mam teraz taki nawyk, i zobaczyłem policjantów.

- Jak oświadczyła pani McGowan, wiedział pan, że nie ma jej w domu.

- Tak, zadzwoniłem do niej, żeby ją zaprosić na kolację u rodziców. Nie, najpierw tu przyszedłem, żeby ją zaprosić. Nie otworzyła drzwi, trochę się zaniepokoiłem, to zrozumiałe, biorąc pod uwagę Wszystko, co się ostatnio wydarzyło. Dopiero potem zadzwoniłem.

Jakiś czas później rozmawiałem z ojcem - matka chciała, żebym po drodze kupił mleko. Powiedziałem mu, że próbowałem się skontaktować z Cillą, by ją zaprosić, a on



wyjaśnił, że spotkał jej ojca i że pojechała z dziewczynami do miasta.

- O której pan tu przyszedł?

- Och, około trzeciej, może trochę później, jak mi się zdaje. Poszedłem sprawdzić w stodole, kiedy nie otworzyłaś, ale na drzwiach była kłódka, więc obszedłem dom. Trochę się martwiłem. Wszystko wyglądało okej. Którędy się włamali?

- Od tyłu - wyjaśniła.

- Tylne drzwi były w porządku. Jak teraz wyglądają?

- Kiepsko.

- Naprawisz je. - Ujął jej dłoń. - Wiesz, jak to zrobić.

Potrząsnęła głową i usiadła na schodach.

- Jestem zmęczona. - Przesunęła dłońmi po twarzy, a potem położyła je na kolanach. - Jestem zmęczona tym wszystkim.

- Może pójdziesz do mnie i się trochę prześpisz? Zostanę tutaj, żeby ktoś był w domu.

- Jeśli się teraz stąd wyniosę, to już tu nie wrócę. Muszę się nad tym zastanowić. Muszę się przekonać, czy ma to jeszcze jakikolwiek sens. W tej chwili nie wiem.

- Posiedzę z tobą. Przyniosę śpiwór. Zostawi pan tu jakichś funkcjonariuszy? - zwrócił się Ford do Wilsona.

Detektyw przytaknął.

- Radiowóz i dwóch ludzi będą na zewnątrz. Pani McGowan? Nie wiem, czy to, co powiem, poprawi pani nastrój, ale ta historia zaczyna mnie wkurzać.

Spojrzała na niego z westchnieniem.

- Niech pan robi swoje.

Kiedy Ford poszedł po psa, sama zasłoniła stłuczone szkło w drzwiach sklejką - gest symboliczny. Sama nie wiedziała, czy ma oznaczać obronę, czy klęskę. Kiedy odłożyła młotek, czuła tylko straszliwe znużenie.

- Nie musisz przynosić śpiwora. Łóżko jest duże, a ty jesteś zbyt przyzwoitym facetem, żeby próbować czegoś w tych okolicznościach. Zresztą nie chcę spać sama.

- Okej. Chodź, położymy się. Jutro wszystko obgadamy.

- Posłużył się moimi narzędziami, żeby to zrobić. - Zaprowadziła Forda na górę. - Dlatego wydaje mi się to jeszcze gorsze.

W sypialni zsunęła buty, pomagając sobie stopami. Potem ściągnęła koszulę. Starczyło jej jeszcze siły na rozbawienie, kiedy Ford odchrząknął i się odwrócił.

Spock natomiast przekrzywił łeb i - jeśli było to w ogóle możliwe - pożerał ją wzrokiem.

- Nie zdemolował ubikacji - powiedziała, wkładając koszulkę i bawełniane spodnie. - Nie wiem, czy się zmęczył albo czy wiedział, że kafelki, umywalka i kabina są droższe i że trudniej będzie je wymienić. Nie mylił się. Ale nie będziesz musiał wychodzić na dwór, jeśli zechcesz się wysiusiać.

- Nie muszę.

- Możesz się już odwrócić. - Położyła się na łóżku, nie zadając sobie trudu, by odsunąć pościel. - Nie musisz spać w ubraniu.

Nie wiem, czy jestem równie przyzwoita jak ty, ale na pewno zbyt zmęczona, żeby czegokolwiek próbować.

Wierząc jej na słowo, rozebrał się do bokserek, a potem wyciągnął na łóżku, z dala od niej.

Sięgnęła do lampy i zgasiła światło.

- Nie zamierzam płakać - odezwała się po chwili milczenia. - Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym, żebyś mnie przytulił.

Przysunął się do niej, otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Lepiej?

- Tak. - Zamknęła oczy. - Nie wiem, co robić. Nie wiem, czego chcę, czego potrzebuję, co powinnam, a czego nie. Po prostu nie wiem.

Pocałował ją w czubek głowy, a ten milczący gest sprawił, że poczuła łzy w krtani.

- W końcu się zorientujesz. Posłuchaj, zaczęło padać. To miły dźwięk o tej porze nocy. Możesz po prostu leżeć i słuchać.

Słuchała, jak ta muzyka rozbrzmiewa wokół domu, który pokochała. A potem, otoczona jego ramieniem, zapadła w głęboki sen.

## ROZDZIAŁ 16

Kiedy się obudziła, usłyszała to samo nieprzerwane bębnienie deszczu, które wcześniej ukołysało ją do snu. Przypomniała sobie mgliście, że Ford ją przytulił, kiedy go o to poprosiła. A potem na pewno trzymał ją w objęciach, gdy leżała pogrążona we śnie.

Teraz zauważyła, że jest opatulona. I sama.

Jakaś część jej istoty broniła się przed tymi wspomnieniami, każąc jej znów pogrążyć się w senną otchłań, poddać się tej posępnej melodii deszczu.

Zaszałaś za daleko - upomniała się w duchu. Zaszłaś za daleko, żeby ulegać takim sentymentom. Weź się w garść, przyjmij fakty do wiadomości. Podejmij decyzję. I rób, co musisz.

Siadając na łóżku, pomyślała, że ten uporczywy, praktyczny głos w jej głowie to wredny i zimny drań.

Wtedy zobaczyła kawę.

Na stoliku ktoś postawił jej termiczny podróżny kubek i oparł o niego notatnik z bezlitośnie trafny i złośliwie niepochlebnym rysunkiem, który przedstawiał ją właśnie tak, jak w tej chwili musiała wyglądać. Rozczochraną, z podkrążonymi oczami, w wymiętoszonym ubraniu i skrzywioną. Poniżej widniało dużymi drukowanymi literami:

JESTEM KAWĄ!

WYPIJ MNIE!

(POTEM ODWRÓĆ KARTKĘ).

- Zabawny facet - mruknęła pod nosem.

Wzięła do ręki notatnik i rzuciła go na łóżko, potem sięgnęła po kawę, która była prawie letnia, ale poza tym mocna i słodka. Postąpiła zgodnie z zaleceniem swojego doktora. Siedziała zadowolona, popijając i czując, jak kawa przywracają do życia.

Odwróciła leniwie kartkę w notatniku.

Nie spodziewała się, że wybuchnie śmiechem, nie wierzyła, że cokolwiek będzie w stanie przebić się przez tę mgłę przygnębienia i sprowokować ją do gwałtownego i nieoczekiwanego chichotu.

Narysował ją karykaturalnie - szeroko otwarte oczy, olbrzymie piersi i mięśnie przedramion rozpierające materiał koszulki, włosy rozwiewane przez niewidzialny wiatr, szeroki, zawzięty uśmiech. W dłoni tkwił jej kubek podróżny, z którego buchała para.

- Tak, zabawny z ciebie facet.

Odłożyła notatnik na miejsce i poszła szukać Forda.

Usłyszała stukotanie, kiedy otworzyła drzwi do sypialni. Dźwięk, jaki wydaje szkło - nie, połamane płytki w zetknięciu z plastikiem. Skierowała kroki do głównej sypialni, pchnęła drzwi i ruszyła w stronę łazienki.

Znalazł gdzieś rękawice robocze, jak zauważyła, i małą łopatkę, a także kilka pustych wiader po zaprawie. Dwa były już wypełnione kawałkami kafelków. Widok tych porządków zrobił na niej jeszcze większe wrażenie niż obraz zniszczenia poprzedniej nocy.

- Tracisz powoli status porannego śpiocha. Wrzucił do kubła jeszcze jedną łopatkę gruzu, wyprostował się i popatrzył na nią.

- Może mnie właśnie zrujnowałaś, i to na całe życie. Jak kawa?

- Doskonała. Dzięki. Nie musisz tego robić, Ford.

- Nic nie wiem o budowaniu, ale mnóstwo o sprzątanii.

- Trzeba będzie czegoś więcej niż kilku wiader i szufelki.

- Tak, zdaję sobie sprawę. Ale przyszło mi też do głowy, że muszę od tego zacząć, ponieważ leżenie obok ciebie w łóżku, w deszczowy niedzielny poranek, sprawiło, że... poczułem się pełen energii.

- Tak to nazywasz?

Jego twarz pozostała śmiertelnie poważna.

- W przyzwoitym towarzystwie.

Przytaknęła i weszła do łazienki, by przyjrzeć się pęknięciom i dziurom w szklanej ścianie kabiny prysznicowej. Kochała jej widok, wzory na szkłe, przenikanie światła. Myślała o tym, by pomalować ściany na czysty, lekko metaliczny srebrny kolor, który podkreślałby blask chromu. Jej elegancka oaza i, owszem, osobisty hołd, złożony Hollywood. Korzeniom jej korzeni.

- Nie wiem jeszcze, co zrobić. Naprawdę nie wiem, czy chcę to wszystko odbudować. Czy mam w sobie siłę, by prowadzić wojnę, którą ktoś mi wypowiedział. Nie przyjechałam tutaj, żeby walczyć. Chciałam coś stworzyć dla siebie i dla niej. Może stworzyć coś dla siebie z niej. Ale sam wiesz, że kiedy fundament pęka, to wszystko zaczyna się walić.

- Nie zważyło się, Cilla, tylko zostało przewrócone. To zasadnicza różnica. - Przechylił głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę, przyglądając się jej twarzy z rozmysłem, a ona dostrzegła, że to zrozumiał. Że chodzi jej o nią samą tak jak o dom, może nawet bardziej.

- Nie widzę żadnych pęknięć.

- Była narkomanką, pijaczką. Może zmuszano ją do tego, wykorzystywano, wyzyskiwano. Rozpieszczano i krzywdzono. Wiem, jak to jest. Może nie zaznałam tego w takim samym stopniu co ona, ale wystarczająco, żeby się domyślać, co czuła. Mogłam

budować gdziekolwiek, ale postanowiłam robić to tutaj. Między innymi z jej powodu. Z powodu tego miejsca. Z powodu swojej zranionej psychiki, by udowodnić sobie własną wartość na własnych warunkach. Z wszystkich tych powodów.

- Są dobre. - Wzruszył ramionami w ten swój beztroski sposób. - Więc zostań tutaj i uporządkuj to. I buduj. Na własnych warunkach.

Potrząsnęła głową.

- Nie masz pojęcia, jaka jestem pokręcona.

- Zauważyłem już. A masz pojęcie, jaka jesteś silna?

Czy mogła sprzeciwiać się temu prostolinijnemu, upartemu przekonaniu?

- To bywa trudne. W tej chwili jestem w dołku.

- Może potrzebujesz jakiegoś bodźca.

- Więcej kawy?

- Nie, porządnego śniadania w niedzielę. - Ściągnął rękawice i rzucił je na klapę sedesu. - Nie musisz decydować o całym swoim życiu akurat teraz albo dzisiaj czy jutro. Może zrobisz sobie przerwę? Poczekaj, nie spiesz się. Przyda nam się jeden wolny dzień. Weźmiemy Spocka, który goni pewnie za tymi swoimi kotami. Napchamy się w The Pancake House, pójdziemy do... zoo.

- Pada.

- Nie będzie padać wiecznie.

Przyglądała mu się przez chwilę, temu swobodnemu uśmiechowi na jego ustach, cierpliwym oczom. Tulił ją - pomyślała. Zostawił jej kawę i rozśmieszył ją, jeszcze zanim się przebudziła na dobre. Sprzątał ten bałagan w jej łazience i nie żądał niczego w zamian.

Wierzył w nią, tak jak nikt inny przedtem, nawet ona sama.

- Masz rację, nie może padać wiecznie, prawda? Nie może.

- Więc ubierz się, nasycimy się węglowodanami, a potem sprawdzimy, co słychać u małąp.

- Prawdę mówiąc, cieszę się na myśl o naleśnikach. Po tym.

- Po czym?

Wybuchnęła śmiechem i tym razem nie wydawało się to zbyt zaskakujące. Chwyliła za przód swojej koszuli i dostrzegła, jak w jego oczach pojawia się zrozumienie.

- Wracajmy do łóżka, Ford.

- Och.

Zaczęła się cofać, ciągnąc go za sobą.

- Tylko my. W tej chwili nie myślę o niczym innym. I naprawdę przyda mi się ten

bodziec.

- Okej.

Wziął ją w ramiona, podniósł i przywarł ustami do jej ust. Kiedy przestało jej się kręcić w głowie, uśmiechnęła się.

- Naprawdę miły początek.

- Zaplanowałem to. Chodziło mi o inne miejsce i inne podejście - wyjaśnił, niosąc ją do sypialni. - Ale jestem elastyczny.

Uśmiechnęła się leniwie, przypominało to przeciągłe, ciche kocie mruczenie.

- Ja też.

- O rany!

Objęła go za szyję i, śmiejąc się, przycisnęła usta do jego warg. Tylko oni - pomyślała, kiedy padli na łóżko. Wszystko inne później. Tylko oni i muzyka deszczu. W miękkim i leniwym świetle, na zmiętoszonej pościeli; zanurzyła się bez reszty w tu i teraz. Podciągnęła mu koszulę, a potem oplótła go nogami i wymamrotała „uhm”.

Mógł bez końca trwać na jej ustach, upajać się ich smakiem, kształtem, ruchem. Ten wspaniały głęboki dołek w jej górnej wardze budził jego nieskończoną fascynację. Podniecający, niespokojny język, który ocierał się o jego język, mógł przyprawiać go o dreszcz godzinami.

Ale było o wiele więcej. Wabiła go jej pełna wdzięku szyja i krągła płaszczyzna policzka, gładka skóra tuż pod jej brodą; odczuwał bezgraniczną przyjemność, kiedy przesuwał się po nich, zanim znów wrócił do jej ust.

Zapach, do którego przyzwyczajał się w ciągu tych tygodni, od chwili, gdy zaczęli ten taniec, teraz wydawał mu się jeszcze bardziej godny pożądania. Wiedział, że wreszcie odurzy go bez reszty.

Mógł przesuwać po niej wargami, uczyć się smaku i dotyku, doprowadzać się do szaleństwa, wyczuwając łagodne nabrzmienie tuż nad prostym bawełnianym materiałem. Dręczył ich oboje, siebie i ją, zwlekając w tym miejscu, choć ona wygięła się niczym łuk, w geście zachęty. Znalazł ciepło, jedwabistość i sekrety, kiedy jej serce uderzało mocno o jego wargi. Gdy jego język wśliznął się pod bawełniany materiał, kiedy zajęczała bezwiednie, znalazł jeszcze więcej.

Podciągał jej bluzkę, centymetr za centymetrem, podniecająco powoli, jego palce muskały ją lekko jak skrzydła ćmy, gdy podniósł głowę, by popatrzeć jej w oczy.

Jej serce zatrzymało się na chwilę, a ciało niemal westchnęło.

- Jesteś naprawdę w tym dobry.

- Jeśli coś warto w ogóle robić... Patrzyłem na ciebie cały czas. Jako artysta. - Jego spojrzenie przesunęło się w dół, kiedy jego palce muskały jej piersi. - Cały czas o tobie myślałem.

Jego kciuki, palce przyprawiały ją o dreszcz.

- Wyobrażałem sobie, że cię dotykam. I że patrzę na ciebie jednocześnie. Że drzysz pod moimi dłońmi. Warto było na ciebie czekać.

Znów przysunął usta do jej warg i pocałował ją głęboko. Mocno przywarł do niej. Poczula gorąco w miejscu, gdzie ciało zetknęło się z ciałem; serce zaczęło walić jej młotem. Drżała, gdy wędrował w dół, powoli i nieubłaganie, dłońmi i wargami.

Wydawało jej się, że gdy tylko padną na łóżko, dozna odprężenia. Ale się myliła. Tamto to było przyzwolenie. To, co teraz robił, było uległością.

Dotykał jej ostrożnie, z ciekawością, jakby była pierwszą kobietą, z jaką miał do czynienia. I sprawiał, że czuła się tak, jakby nikt wcześniej jej nie dotykał.

Coś w niej falowało, zwijało się, przenikało na zewnątrz przez skórę, aż w końcu zaczęła ją szczelnie okrywać przyjemność, niczym blask światła. I to światło rozkwitało z taką intensywnością, że chwyciła za skłębione i zmięte prześcieradło, by unieruchomić się w tym blasku.

Zatracał się w jej kształcie, kiedy z rozkoszy drżała pod nim. Smukła linia jej tułowia, przechodząca w talię, zachwyciła go. Dotyk jej bioder, unoszących się wraz z narastaniem rozkoszy, przyprawiał o dreszcz. Długie, urocze uda przechodziły w cudowne łydki, które drżały leciutko, kiedy gryzł je delikatnie.

Zajęczała, a dźwięk jej głosu wniknął w niego, gdy podciągnął się wyżej, by odkryć to ciepłe, wilgotne, przyjazne miejsce, samo centrum jej ciała. Wyszepiała jego imię, co przypominało szybkie, pozbawione tchu westchnienie. Palcami wodziła po jego włosach, potem po plecach. Wilgotne ciało przesuwano się po wilgotnym ciele, aż znów spojrzał jej w oczy.

Dotknęła jego twarzy i nie odwróciła wzroku, drząc, drząc bez końca, gdy się w nią wślizgiwał. I gdy te lodowate błękitne Oczy wpatrywały się w niego, brał ją przeciągłymi, powolnymi pchnięciami.

Wyginała się w łuk każdą cząstką ciała. Uniosła się ku niemu, beznadziejnie zatracona w tym, co robili. Ogarnięty pożądaniem, wbił się w nią, zadrzał i znów wbił. Kiedy rozkosz ponownie narastała niemal nie do zniesienia, pragnęła trwać w tym jak najdłużej.

Bezwładna, odprężona, ospała, leżała pod nim. Świat powracał z wolna, znów usłyszała bębnienie deszczu, poczuła gorące i zmięte prześcieradło pod swoimi plecami.

Kiedy mgła spowijająca jej umysł opadła, Cilla zaczęła się zastanawiać, czy to, że właśnie przeżyła najwspanialszy seks w życiu, nie oznacza przypadkiem, że teraz już cały czas będzie z górki.

Wtedy on odwrócił głowę, otarł się ustami o jej ramię, ona zaś mogłaby przysiąc, że jej skóra promieniuje.

Uniósł głowę, odsunął jej włosy z policzka, uśmiechając się do niej sennie.

- Okej?

- Okej? - Parsknęła zagadkowym śmiechem. - Ford, naprawdę zasługujesz na medal, a przynajmniej na certyfikat doskonałości. Czuję się tak, jakby każdy skrawek mojego ciała został...

nasycony - zawyrokowała.

- Powiedziałbym, że zrobiłem, co do mnie należało, ale naprawdę to lubię. - Pochylił głowę, a jego pocałunek rozniecił w jej głowie iskry, które rzucały blask. - Ale, jak by to powiedzieć, potrzebuję przerwy na kawę.

Dochodząc do wniosku, że nigdy w życiu nie była tak odprężona i zadowolona, objęła go za szyję.

- Zrozumiałe. Kiedy moje kości odzyskają odpowiednią twardość, chętnie wezmę prysznic. I właśnie przyszło mi do głowy, że nie możemy zrobić tego tutaj.

Dostrzegł, jak w jej wzroku znów pojawia się smutek; odsunął się i pociągnął ją, zmuszając, by usiadła.

- Pójdziemy do mnie. - Tam, gdzie to zniszczenie, jakiego dokonano w jej domu, nie przypominało ciągle o sobie. - Narzuć coś na siebie, cokolwiek. Okazuje się, że wyobrazałem sobie także twoje mokre i śliskie ciało. Teraz sprawdzę, czy miałem rację.

- W porządku. Wspominałeś też o naleśnikach, o ile sobie przypominam.

- O stosach naleśników. Potrzebujemy paliwa, żeby przetrwać jakoś resztę dnia.

Nie pojechali do knajpy. Po długim, gorącym i ożywym prysznicu postanowili zostać i usmażyć naleśniki własnymi rękami. To, co im wyszło, nie wyglądało najlepiej, ale dało się zjeść.

- Trzeba tylko dodać dużo syropu.

Siedząc przy barku, ubrana w podkoszulek Forda, Cilla przerzuciła naleśnik o dziwnym kształcie na swój talerz.

Sądząc po odgłosach, które dochodziły z korytarza, Spock nie miał problemu ze swoją porcją.

- Nie są takie złe. - Ford nabrał na widelec ociekającą tłuszczem masę. - I sprawiają



więcej frajdy niż zwykle jajka. Przyszło mi coś do głowy. Zamiast pojechać do zoo i oglądać małpy możemy zostać i oddać się małpiemu seksowi.

- Jak dotąd twoje pomysły sprawdzają się doskonale, więc nie zamierzam oponować. Co zwykle robisz w deszczowe niedziele?

- To znaczy kiedy nie jem naleśników z oszłamiającymi blondynkami? - Wzruszył ramionami. - Pracuję, zależnie od tego, jak mi idzie, niekiedy się objam i czytam. Czasem wychodzę gdzieś z Mattem albo z Brianem, albo z obydwoma. Jeśli nie ma absolutnie żadnego wyboru, robię pranie. A ty?

- Kiedy byłam w Los Angeles? Jeśli miałam akurat na głowie jakiś projekt, to zajmowałam się urządzaniem wnętrza albo papierkami, albo szukałam nowych rozwiązań. Jeśli nie miałam nagłowie żadnego projektu, przeglądałam Internet i ogłoszenia, żeby coś znaleźć. Tak mniej więcej wyglądało moje życie przez ostatnich kilka lat. Żałosne.

- Wcale nie. Robiłaś to, co chciałaś. Wielu ludzi uważało za żalosne to, że siedzę gdzieś, rysując i bazgrząc, zamiast na przykład grać w koszykówkę. To dlatego, że jestem wysoki. Ale byłem kiepski w koszykówce. Nigdy mi to nie szło. Za to byłem dobry, coraz lepszy, jeśli chodzi o bazgranie i rysowanie.

- Jesteś przerażająco zrównoważony. A może tylko w porównaniu ze mną.

- Sprawiasz na mnie wrażenie osoby dość opanowanej.

- No cóż, mam problemy ze sobą - wyznała, gestykuluje wymownie widelcem. - Mam fobię na punkcie leków, co wiąże się z ich nadużywaniem w rodzinie; kiedy mam połknąć aspirynę, to się pocę ze zdenerwowania. Cierpię na silną tremę, która w mojej wczesnej młodości przybrała tak ostrą formę, że z trudem wytrzymywałam w jednym pokoju z trzema osobami. Z matką mogę wytrzymać tylko wtedy, kiedy jestem daleko od niej, a przez większość życia winiłam siebie albo ojca za to, że nie poznaliśmy się - a właściwie nie znamy się - zbyt dobrze.

Parsknął ironicznie.

- I to wszystko?

- Chcesz więcej? - Zjadła trochę naleśnika, potem nabrała na widelec drugą porcję. - Jest więcej. Miewam sny i prowadzę w nich bardzo szczegółowe rozmowy z nieżyjącą babką, której nigdy nie poznałam i której czuję się bliższa niż komukolwiek z rodziny. Moim najlepszym przyjacielem jest mój były. Miałam czterech ojców zastępczych i niezliczonych „wujków”, a ponieważ nie jesteś głupi, rozumiesz, że jest to jeden z powodów, dla których nigdy nie nawiązałam zdrowego długotrwałego związku z żadnym mężczyzną, pomijając Steve'a. Cały czas się spodziewałam, że będę wykorzystywana i wyzyskiwana albo że ktoś

będzie tego próbował, więc w rezultacie udawało mi się niszczyć w załączku wszelkie szanse na zdrowe i długotrwałe związki, jakie mogły mi się przytrafić. Uczciwie ostrzegam.

Nabrał na widelec kolejny kawałek naleśnika.

- I tylko na tyle cię stać?

Odsunęła ze śmiechem talerz i podniosła kubek z kawą.

- Dość tego śniadania. - Wstała i wyciągnęła do niego rękę. - Przejdźmy się w deszczu. Potem wrócimy i wskoczmy do twojego jacuzzi.

Zostawili w kuchni bałagan i wybrali się na długi spacer z psem.

Czy było coś bardziej romantycznego niż pocałunki w deszczu? - zastanawiała się Cilla. Coś bardziej cudownego niż góry spowite chmurami i mgłą? Coś bardziej wyzwalającego niż trzymanie się za ręce w letniej ulewie, podczas gdy cały świat kulił się gdzieś w środku, za zamkniętymi drzwiami i oknami?

Przemoczeni do suchej nitki, pobiegli do domu w ociekających wodą ubraniach. Potem, w gorącej i bulgoczącej wodzie oddawali się sobie powoli, nie spiesząc się.

Wysuszeni, poszli na górę i jak małe psiaki zwinęli się w kłębek na łóżku Forda.

Obudziła go miłością, senną radością, ciepłym splątaniem rąk i nóg i miękkim dotykiem warg. Kiedy znów zasnęli, łomot deszczu przeszedł w cichy stukot.

Później Cilla wysunęła się z łóżka. Podeszła na palcach do komody i znalazła koszulę. Włożyła ją i wymknęła się z pokoju. Zamierzała zejść na dół i poszukać butelki z wodą mineralną - najchętniej lodowatą - ale skierowała się do pracowni. Pragnienie ustąpiło przed ciekawością.

Kiedy zapaliła światło, od razu przyciągnęły ją rysunki przymocowane szpilkami do tablicy. To takie dziwne widzieć własną twarz, a niżej ciało wojowniczkę - pomyślała. No cóż, jej ciało, musiała przyznać.

Dodał jej tatuaż, ale tak jak zasugerowała, widniał on na jej umięśnionych przedramionach.

Podchodząc do jego warsztatu, popatrzyła ze zmarszczonym czołem na rysownicę. Zakrywały ją drobne szkice - z niewielką liczbą szczegółów, jak dostrzegła, i każdy z kropkowaną linią, biegnącą z góry do dołu. Niektóre uzupełniono o dymki, jak się domyśliła, z numerami w środku. Rozłożyła je, by lepiej im się przyjrzeć.

Niczym rozrysowanie kadrów - uświadomiła sobie. Bohaterowie, akcja, sceny. I jeśli się nie myliła, rozmiary i kształty poszczególnych ramek zostały skalkulowane nie tylko matematycznie, ale i artystycznie. Równowaga i odpowiednie oddziaływanie na widza.

Kto wiedział, że komiks wymaga aż tyle pracy?

Po drugiej stronie na blacie dostrzegła większy arkusz. Kwadraty i prostokąty, a w nich bardziej szczegółowe rysunki, pełne odcieni i nakreślone tuszem. Tak, właśnie. Choć nie uzupełniono ich nałogiem, tło i kreska przyciągały wzrok, tak jak słowa w książce.

Pośrodku stała dr Cass Murphy w zawodowym stroju, jak domyśliła się Cilla. Konserwatywna, przewidywalna. Bez wyrazu. Ubranie, okulary w ciemnych oprawkach i postawa określały osobowość w okamgnieniu. Było to wręcz genialne, jak oceniła.

Uchwycić i oddać jednym pojedynczym wizerunkiem charakter postaci. Konkretniej osoby.

Nie zastanawiając się, podniosła arkusz i zaniósła do tablicy, żeby porównać go z rysunkiem Brid.

Ta sama kobieta, tak, oczywiście, że ta sama. A jednak zmiana była uderzająca i całkowita. Od stłumienia do wyzwolenia, od wahania do celowości. Od cienia do światła.

Kiedy chciała odnieść arkusz na miejsce, zauważyła jeszcze jeden plik kartek. Zapelnionych pismem maszynowym. Przesunęła wzrokiem po pierwszych liniijkach.

Ford obudził się głodny i głęboko rozczarowany, że obok niego nie ma Cilli, która mogłaby zaspokoić w pewnym sensie jego apetyt. Doszedł do wniosku, że najwidoczniej nie może się nią nasycić.

Była piękna, pociągająca, zraniona i mądra. Wiedziała, jak posługiwać się narzędziami elektrycznymi. Jej śmiech budził w nim pragnienie. Widział, jak potrafiła radzić sobie w trudnych sytuacjach i jak się załamywała. Był świadkiem jej absolutnego oddania przyjacielowi, patrzył, jak ogarnia ją zakłopotanie i jak wybucha gniewem.

Wiedziała, co znaczy praca, i wiedziała, co znaczy zabawa.

Myślał o tym, że jest bliska ideału.

Gdzie teraz się podziewała?

Zsunął się z łóżka, włożył spodnie i wyruszył na poszukiwania.

Już miał zawołać jej imię, kiedy ją dostrzegł. Siedziała przy jego warsztacie z podwiniętymi nogami, lekko przygarbiona, podparta na jednym łokciu. Przeszło mu przez myśl, że jeśli posiedzi tak jeszcze dziesięć minut, to nadwyręży sobie szyję i barki.

Zbliżył się do niej i położył dłonie na jej ramionach, w miejscu, gdzie, jak sądził, mógł złapać ją skurcz od tej niewygodnej pozycji. Ona zaś podskoczyła, przestraszona. Pochyliła się gwałtownie, chwyciła blat, cofnęła, prostując nogi. Potem, obracając się na jego krzesło, przycisnęła dłonie do piersi, zaśmiewając się przy tym.

- Boże! Ale mnie wystraszyłeś!

- Tak, zorientowałem się. O mało nie rozbiłaś sobie głowy o moją rysownicę. Co tu

robisz?

- Ja tylko... O Boże! O, cholera! - Odsunęła się z krzesłem i opuściła bezradnym gestem dłoń na kolana. - Przepraszam. Naruszyłam twoją prywatność. Oglądałam te rysunki, które tu zostawiłeś, i zobaczyłam książkę. Chciałam tylko przejrzeć pierwszą stronę. Wciągnęło mnie. Nie powinnam...

- Zaraz, zaraz, oszczędź sobie tych tłumaczeń. Mówiłem ci wcześniej, że możesz to kiedyś przeczytać. Po prostu jeszcze jej nie skończyłem. Jeśli cię zainteresowała, to jest to tylko plus.

- Zrobiłam ci tu trochę bałaganu. - Wzięła do ręki arkusz. - Osobiście nie znoszę, kiedy ludzie beztrąsko przesuwają moje rzeczy.

- Wiem, co gdzie ma leżeć. Masz szczęście, że nie jestem taki porywczy i wrażliwy jak ty. - Odłożył arkusz na miejsce. - I co myślisz?

- Myślę, że historia jest niezła, wciągająca i zabawna, nasycona humorem i oparta na silnym przesłaniu feministycznym.

Uniósł brwi.

- Wszystko to naraz?

- Wiesz o tym cholernie dobrze. Cass zachowuje się w pewien określony sposób i oczekuje od innych określonego zachowania i postawy, ponieważ została wychowana przez dominującego, niesympatycznego ojca. Ma zahamowania seksualne i jest emocjonalnie zablokowana, nauczono ją akceptować wyższość mężczyzn i pewien brak szacunku w jej zdominowanej przez mężczyzn dziedzinie. Widać to wyraźnie w tym jednym portrecie. Tym, który właśnie stworzyłeś. Zostaje zdradzona i uznana za martwą, ponieważ nauczono ją przyjmować rozkazy od męskich autorytetów. Tłumić własny intelekt i pragnienia. Dzięki temu, że staje oko w oko ze śmiercią, że walczy z nią, sama staje się przywódczynią. Wszystko, co było w niej uwięzione, uwalnia się pod postacią Brid. Wojowniczkę. Wywyższenie poprzez moc. Pomyślał, że to fascynujące i jednocześnie przyjemne - słuchać, jak relacjonuje jego opowieść i mówi o jego bohaterce. - Zgadza się na interpretację, która ci się podoba.

- Podoba mi się. I to nie tylko dlatego, że się niedawno kochaliśmy. To jak scenariusz, mocny scenariusz. Zaznaczyłeś nawet kąty widzenia kamery.

- Pomaga mi zapamiętać, jak to wszystko widziałem na etapie pisania, nawet jeśli się to potem zmienia.

- I dodałeś te małe kadry, jak w gotowej książce.

- Ułatwia rozplanowanie rysunków. To też się może zmienić. Fabuła czasem mnie

zaskakuje.

- Dodałeś postać Steve'a. Dodałeś Nieśmiertelnego. Będzie... zachwycony.

- Potrzebowałam łącznika, ogniwa między Cass i Brid. Postaci, która tkwi w obu jej światach i pomaga obu osobowościom naszej bohaterki zrozumieć się nawzajem. - Tak jak Steve pomógł Cilli - pomyślał Ford. - Włączenie go do tej historii zmieniło perspektywę i kosztowało mnie dużo dodatkowej roboty, ale opowieść dzięki temu jest wyrazistsza. To jest coś, o czym powinienem był od razu pomyśleć. Tak czy inaczej rzecz wciąż się rozwija. Fabuła jest opracowana, a teraz muszę ją opowiedzieć rysunkami. Czasem, przynajmniej w moim przypadku, strona graficzna może zmienić opowieść. Zobaczmy, jak będzie.

- Podoba mi się zwłaszcza jeden z tamtych rysunków, ten, na którym Brid wykonuje niemal fouette, jakby zamierzała wymierzyć nogą cios jakiemuś wrogowi.

- Fouette?

- Krok baletowy. - Cilla podeszła do stołu i postukała palcem w rysunek, o który jej chodziło. - Tu jest niemal to samo, nawet ramiona są właściwie ułożone. Ściśle rzecz biorąc, stopa, na której się podpira, powinna być bardziej skrecona, ale...

- Znasz balet? Potrafisz tak zrobić?

- Fouette? Daj spokój. Osiem lat ćwiczyłam. - Wykonała szybki obrót. - I stepowanie.

I jazz.

- Niesamowite. Czekał. - Wysunął szufladę i wyjął aparat fotograficzny. - Obróć się jeszcze raz.

- Jestem prawie goła.

- Tak, dlatego właśnie zamieszczę te zdjęcia w Internecie.

Chcę zobaczyć, jak jest z tymi stopami, o których mówiłaś.

Nie miał pojęcia, ile zaufania mu okazała, robiąc to, o co poprosił.

- Jeszcze raz, dobrze? Doskonale. Świetnie. Fouette. Balet. - Odłożył aparat. - Musiałem to już gdzieś widzieć, tylko nie pamiętam, gdzie. Osiem lat baletu? To chyba tłumaczy, jak zdołałaś skakać tak wysoko w *Wasteland Three*, kiedy uciekałaś przez las przed tym ożywionym psychopatycznym zabójcą.

- Grand jęte. - Wybuchnęła śmiechem. - By się tak wyrazić.

- Myślałem, że ci się uda, tak frunęłaś. Dotarłaś do chaty, unikając zapadni i siekiery, tylko po to, by otworzyć drzwi i stwierdzić, że...

- Ożywiony psychopata wykorzystał skrót, żeby mnie prześcignąć. Najpierw pełen ulgi szloch - powiedziała, odgrywając scenę. - Potem szok i wrzask. Cięcie.

- To był niezły krzyk. Wykorzystują do tego dublerów, co? I wzmacniają dźwięk.

- Czasem. Jednakże... - Wciągnęła powietrze i wydała z siebie mrozący krew w żyłach krzyk, od którego zadrżały szyby w oknach.

Ford cofnął się bezwiednie o dwa kroki.

- Sama to zrobiłam - wyjaśniła.

- Rany! Masz płuca. Chodź, zejdziemy na dół, napijemy się trochę wina i sprawdzimy, czy z moimi bębenkami usznymi jest wszystko w porządku.

- Z przyjemnością.

## ROZDZIAŁ 17

Nie myślała o zniszczeniach. Kiedy tylko pojawiała się myśl o tym, co czeka japo drugiej stronie drogi, natychmiast ją tłumiała. Nie miało to sensu - powiedziała sobie. Nic nie mogła zrobić, ponieważ nie wiedziała, co.

Nie było nic złego w tym, że wzięła sobie wolny dzień. Fantastyczny dzień w gruncie rzeczy, wypełniony seksem i snem w przytulnym schronieniu, otoczonym oknami, po których spływał deszcz. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz spędziła zadowolona tyle czasu w męskim towarzystwie, chyba że chodziło o pracę.

Nawet pomysł z winem i gramami wideo był pociągający. Dopóki Ford nie pobił jej trzy razy z rzędu.

- Jak ona się nazywa... Halle Berry.

- Storm - podsunął Ford. - Halle Berry to aktorka, i to naprawdę gorąca. Storm to jedna z głównych postaci X - Menów.

Też gorąca.

- No cóż, stała tu. - Cilla popatrzyła ze złością na przełączniki. - Skąd mam wiedzieć, który guzik wcisnąć i co przesunąć?

- Praktyka. Poza tym tak jak mówiłem, musisz bardziej strategicznie dobierać zespół. A ty wybrałaś wyłącznie dziewczyny. Powinnaś stworzyć zespół mieszany.

- Moja strategia polegała na solidarności płci.

Spod stołu dobiegło prychnięcie Spocka.

- Ani słowa więcej - mruknęła. - Poza tym myślę, że ten przełącznik jest wadliwy, ponieważ odznaczam się doskonałą koordynacją oka i ręki.

- Chcesz się zamienić i zagrać jeszcze raz?

Przyjrzała mu się spod przymrużonych powiek.

- Jak często w to grasz?

- Od czasu do czasu. Przez całe życie - dodał z szerokim uśmiechem. - Obecnie jestem niepokonany w tej wersji Ultimate Alliance.

- Palant.

- Ofiara losu.

Podąła mu joysticka.

- Odłóż swoje zabawki.

No, no - pomyślała, kiedy się podniósł z miejsca. Porządny superfacet. Porządny prostoliniwny superfacet. Ilu takich było na świecie?

- Ratowanie świata zaostrzyło mi apetyt. A tobie?

- Nie ocalałam świata - przypomniała.

- Próbowalaś.

- Jak zwykle wiesz, co powiedzieć. Jesteś zawsze usystematyzowany i schludny.

- Wobec tego pójdę pozmywać. Mam jeszcze spaghetti i klopsy, wszystko dzięki uprzejmości Penny Sawyer.

- Nieźle się tu urządziłeś, Ford. Masz pracę, którą kochasz, i wielki dom, gdzie możesz się na niej skupić. Masz śmiesznie fascynującego psa. Krąg przyjaciół, jeszcze z dzieciństwa. Rodzinę, z którą utrzymujesz bliskie kontakty, tak bliskie, że dostarcza ci jedzenie. Wspaniała rzecz.

- Nie narzekam. Słuchaj, Cilla...

- Nie, jeszcze nie. - Dostrzegła w jego oczach chęć współczucia i wsparcia. - Nie jestem jeszcze gotowa się nad tym zastanawiać. Na razie wystarczy spaghetti i klopsy.

- Na zimno czy podgrzane?

- Spaghetti i klopsy musiałyby być wyjątkowe, żeby jeść je na zimno.

Podszedł do niej i wziął ją za rękę.

- Chodź ze mną - powiedział i zaprowadził ją do kuchni. - Usiądź.

Wyjął z lodówki pojemnik, ściągnął wieczko i wziął widelec.

- Też dostaniesz - zapewnił Spocka, który tańczył po swojemu i pomrukiwał. Potem się odwrócił, postawił miseczkę na barku i nawinał na widelec trochę makaronu. - Na próbę.

Otworzyła usta i skosztowała posłusznie.

- Och! Okej, to naprawdę dobre. Słowo daję. Daj mi widelec.

Śmiejąc się, spełnił jej prośbę. Nałożył też trochę Spockowi i nalał do pełna dwa kieliszki wina. Usiedli przy barku, zjadając zimny makaron prosto z miski.

- Mieliśmy kucharkę, kiedy byłam jeszcze mała. Annamarię, z Sycylii. Przysięgam, że jej makaron nie był tak dobry jak ten.

Co? - spytała zdziwiona, kiedy potrząsnął głową.

- Po prostu wydaje mi się dziwne, że znam kogoś, kto mówi: „Mieliśmy kucharkę, kiedy byłam jeszcze mała”.

Uśmiechnęła się z pełnymi ustami.

- Mieliśmy kamerdynera.

- Wyjdź stąd.

Uniosła brwi, schyliła głowę i nadziała na widelec klopsa.

- Dwie pokojówki, szofera, ogrodnika, pomocnika ogrodnika, osobistą sekretarkę



matki, chłopca, który zajmował się basenem.

Raz, kiedy matka odkryła, że ten chłopak od basenu, z którym się bżykała, bżyka także jedną z pokojówek, wyrzuciła oboje.

Z wielkim hukiem i rozpaczą. Musiała pojechać na tydzień do Palm Springs, żeby dojść do siebie. Poznała tam Numer Trzy - o ironio, nad basenem. Jestem pewna, że kiedyś on z kolei bżyknął chłopaka od basenu. Nowego chłopaka, imieniem Raoul.

Wysunął widelec w jej stronę i oznajmił:

- Dorastałaś w operze mydlanej rodem z lat osiemdziesiątych.

Zastanawiała się chwilę.

- Coś w tym rodzaju. Tak czy owak Annamaria nie mogła się równać z twoją matką.

- Ucieszyłaby się, gdyby to usłyszała. A tak mówiąc poważnie, jak to jest? Dorastać z pokojówkami i kamerdynerami?

- Jak w tłoku. I nie jest to wcale takie wspaniałe. Wiem, brzmi to zarozumiale - przyznała. - I wyobrażam sobie, że jakaś kobieta, która ma na głowie dom i rodzinę, pracuje na całym etacie i musi przygotować obiad, pewnie chętnie dałaby mi za to po twarzy. Absolutnie. - Wzruszyła ramionami. - Ktoś zawsze jest obok, więc prywatność jest iluzją. Nie ma szans zwędzić piernika przed obiadem. Prawdę powiedziawszy, nie ma w ogóle mowy o piernikach ze względu na kamerę, przed którą musisz odpowiednio wyglądać. Jeśli żresz się ze swoją matką, całe domostwo zna szczegóły. Co więcej, jest bardzo prawdopodobne, że te szczegóły trafią któregoś dnia do tabloida albo znajdą się w książce napisanej przez jakiegoś byłego i rozczarowanego pracownika. Biorąc wszystko pod uwagę, wolę jeść spaghetti na zimno.

- Jeśli sobie dobrze przypominam, nie umiesz gotować.

- Tak, to właśnie jest problem. - Sięgnęła po kieliszek z winem. - Przyszło mi do głowy, żeby poprosić Patty o jakieś wskazówki w tej dziedzinie. Lubię siekać. - Machnęła kilka razy wyprostowaną dłońią w powietrzu, żeby zademonstrować. - Wiesz, warzywa, sałatki. Jestem cholernie dobra w siekaniu.

- Od czegoś trzeba zacząć.

- Samowystarczalność - oto hasło. Ty dajesz sobie radę.

- Owszem, ale nigdy w życiu nie miałem kamerdynera. Tylko raz na dwa tygodnie przychodzi ktoś sprzątać, wiem też dokładnie, gdzie znajdują się knajpy serwujące jedzenie na wynos. No i mam bezpośrednią linię z Brianem, Mattem i Shanną, którzy za piwo wykonają drobne naprawy w domu.

- Niezły system.

- Sprawdza się - przyznał i założył jej za ucho kosmyk włosów.

- Jeśli kiedykolwiek nauczę się przyrządzić coś innego niż kanapkę z grillowanym serem i zupe z puszki, to osiągnę kolejny wzniosły cel w życiu.

- A te inne?

- Wzniosłe cele? Odnawianie domów i sprzedaż z zyskiem.

Zrealizowałam to. Poza tym własny biznes, no i żebyśmy mogła powiedzieć, że przynosi konkretny dochód. Co wymaga najpierw zdobycia odpowiednich uprawnień, a to z kolei wymaga zdania testu. Prawdę mówiąc, za dwa tygodnie, jeśli...

- Musisz zdać test? Uwielbiam testy. - Dostrzegła błysk w jego oczach. - Potrzebujesz faceta do nauki? Nie mylisz się, jestem kujonem.

Znieruchomiała z widelcem w powietrzu i ostatnią, jak mogłaby przysiąc, porcją spaghetti.

- Uwielbiasz testy?

- Pewnie, owszem. Pytania i odpowiedzi. Prawda czy fałsz, testy wielokrotnego wyboru, eseje. Czy można tego nie kochać?

W testach jestem doskonała. To dar. Potrzebujesz pomocy?

- Prawdę mówiąc, jestem nieźle przygotowana. Wkuwam już od jakiegoś czasu. Wydaje mi się, że poznałam takiego typa jak ty podczas tego krótkiego i niefortunnego epizodu, czyli nauki w college'u. Za każdym razem pieprzył jakąś niezłą dziewczynę zamiast mnie. Przez niego odpadłam po pierwszym semestrze.

- Trzeba było go poprosić, żeby pomógł ci w nauce. Poza tym Powinnaś mu podziękować za to, jesteś dokładnie tam, gdzie chcesz być.

- Hm. - Odsunęła od siebie miseczkę wystudowanym ruchem. - Bardzo sprytnie. Wcześniejsze ponizenie i klęska prowadzą do obecnego zadowolenia, wywołanego spożyciem spaghetti i klopsów.

- Lub, reasumując, to, co złe, wychodzi czasem na dobre.

- Tak ludzie mają napisane na zderzakach samochodowych. - Przycisnęła rękę do brzucha i zsunęła się ze stołka. - I zademonstruję samowystarczalność i wdzięczność za obecne zadowolenie, zmywając naczynia, łącznie z tymi ze śniadania.

- Byliśmy zajęci czymś innym.

- Chyba tak.

Przez chwilę rozkoszował się winem i jej widokiem. Ale widok to było za mało. Wstał i podszedł do niej, a potem obrócił jej twarz ku sobie. Trzymała w ręku drewnianą łyżkę, a jej usta wykrzywiał leciutki uśmiech. Owinął sobie dłoń jej włosami - dostrzegł zdumienie w jej

oczach, a potem usłyszał, jak łyżka spada ze stukotem na podłogę - i odgiął jej głowę do tyłu.

I łapczywie przywarł do jej ust.

Poczuł nagły przypływ wszechogarniającego głodu, smagnięcie pragnienia, właśnie teraz. Puścił jej włosy, by ściągnąć z niej koszulę. W chwili, gdy znów przywarł do jej ust wargami, zaczął ściągać spodnie z jej bioder.

Było to tornado pośpiechu i pożądania. Wydawało się, że została rozebrana do naga, nim zdążyła złapać oddech. Wirowało jej w głowie, serce waliło młotem. Osunął się wraz z nią na blat szafki i rozsunął jej nogi.

I zaczął ją brać.

Wyciągnęła gwałtownie rękę, żeby się czegoś przytrzymać. Usłyszała, jak coś spada na podłogę i się tłucze; zaczęła się zastanawiać, czy nie wyobraziła sobie tego tylko. Jej palce zaciskały się na jego biodrach, gdy wbijał się w nią, gdy wbijał w jej wnętrze pragnienie i palącą rozkosz. Oszalała z głodu, otoczyła go nogami w pasie.

Krew pulsowała mu pod skórą tysiącami brutalnych werbli. Pożądanie ogarnęło go tak nagle, że zdawało się trzymać go zębami i wgryzać się jeszcze bardziej, gdy wszedł w nią, by ją zaspokoić. Jego mroczne podniecenie zmusiło go, by ją wziął, wypełnił tym samym dzikim pragnieniem, które w nim płonęło.

Kiedy osiągnęli szczyt, przypominało to nagłe wyjście z ciemności, wprost na oślepiający blask.

Głowa opadła jej bezwładnie na ramię, z ust dobywał się chrapliwy, urywany oddech. Poczwała, jak drży, i znalazła satysfakcję w myśli, że nie tylko ona tak reaguje.

- Och! - zdołała wymamrotać. - Boże!

- Poczekaj. Pomogę ci zejść z szafki.

- Nie spiesz się. Dobrze mi tu. Gdzie jestem?

Jego śmiech połaskotał ją w szyję.

- Może było coś w tym sosie do spaghetti.

- Wobec tego potrzebujemy przepisu.

Już bardziej opanowany, odchylił się i przyjrzał jej z uwagą.

- No, teraz naprawdę przyda mi się aparat. Jesteś pierwszą nagą kobietą, która siedzi na moim barku. Ten moment wymaga uwiecznienia.

- Nie ma mowy. Mój kontrakt wyklucza akty.

- Cholera, szkoda. - Odsunął jej włosy z twarzy. - Po tej zabawie w wikinga i dziewicę pomogę ci zmywać naczynia. Przynajmniej tak się mogę zrewanżować.

- Możesz. Podaj mi koszulę, dobrze?

- Widzisz, skonfiskowałem ją. Będziesz musiała stać przy zlewie naga.

Przechyliła głowę i uniosła gwałtownie brwi. Ford z westchnieniem schylił się po koszulę.

- Nie zawadziło spróbować.

Obudził się w ciemności; w domu panowała cisza, a łóżko było puste. Nieprzytomny i zbity z tropu, wstał, żeby jej poszukać. Jakaś część umysłu podpowiadała mu, że ma prawo być wkurzony, jeśli poszła na drugą stronę drogi, nie budząc go wcześniej.

Zobaczył, że drzwi wejściowe są otwarte, i dostrzegł zarys jej sylwetki na jednym z krzeseł na werandzie. Spock wyciągnął się u jej stóp. Wyczuł zapach kawy, kiedy pchnął drzwi z ochronną siatką.

Zerknęła przez ramię.

- Dzień dobry.

- Dopóki jest ciemno, nie ma ranka. - Usiadł obok niej. - Daj łyka.

- Powinieneś wrócić do łóżka.

- Dasz mi się napić czy sam mam sobie zaparzyć kawę?

Podawała mu kubek.

- Muszę zdecydować, co robić.

- O godzinie... - Ujął jej nadgarstek, obrócił go i spojrzał spod przymrużonych powiek na zegarek. - O piątej zero sześć nad ranem?

- Nie zajęłam się tym wczoraj, w ogóle o tym nie myślałam.

Albo niewiele. Zostawiłam nawet komórkę w domu, żeby policja nie mogła się ze mną skontaktować. Nikt więc nie mógł. Schowałam się i przyczaiłam.

- Zrobiłaś sobie przerwę. Nie ma powodu, żebyś nie wzięła jeszcze kilku wolnych dni, zanim się zdecydujesz.

- Prawdę mówiąc, są konkretne powody, dla których nie mogę dłużej się objąć. Za dwie godziny zjawia się szefowie ekip, chyba że ich odwołam. Jeśli przerwę robotę na jakieś dwa dni, to zawalę harmonogram, który i tak się już zawalił. I koliduje to z ich harmonogramem, nie wspominając o pracownikach. A budowlańcy zawsze mają na głowie kilka robót, więc mogę ich stracić na dłużej niż dwa dni. Jeśli podejmę decyzję, że kończę z tym, będę musiała im o tym powiedzieć.

- Okoliczności nie wynikły z twojej winy i nikt nie będzie miał do ciebie pretensji.

- Nie, chyba nie. Ale to nie zmienia faktu, że powstaje efekt domino. Muszę też brać pod uwagę budżet, a ten wygląda kiepsko. Mam ubezpieczenie, ale zawiera się w nim udział własny.

Już przekroczyłam koszty wszystkich projektów, ale to był mój własny wybór te wszystkie zmiany i dodatkowe roboty.

- Jeśli potrzebujesz...

- Daj spokój. - Nie pozwoliła mu dokończyć. - Finansowo stoję nieźle i jeśli nie dam sobie rady sama, to znaczy, że w ogóle sobie nie dam. Gdybym naprawdę potrzebowała pieniędzy, mogłabym wykonać parę telefonów, załatwić sobie robotę przy dubbingu.

Chodzi o to, że nie mogę tego tak zostawić, kiedy jest wykończony tylko w połowie. Jeszcze w marcu zamówiłam szafki kuchenne, za które będę musiała zapłacić przy odbiorze. Urządzenia kuchenne będą gotowe za dwa miesiące. I inne rzeczy, duże i drobne. Trzeba to skończyć, tu nie ma żadnych wątpliwości. Pytanie brzmi: czy chcę to skończyć i czy chcę zostać? Mogę? Powinnam?

Łyknął jeszcze kawy. Poważna rozmowa wymaga powagi - pomyślał.

- Powiedz mi, co zrobisz, jeśli postanowisz przekazać to komuś, żeby dokończył za ciebie. Jeśli wyjedziesz.

- Jest mnóstwo miejsc, gdzie mogłabym się wybrać bez bagażu, który tu mam. Wskazać palcem na mapie, jak mi się zdaje, i wybrać na chybił trafił. Zaangażować się do dubbingu, żeby podreperować budżet. Znaleźć miejsce, gdzie można remontować domy i sprzedawać z zyskiem. Załatwić sobie hipotekę. Regularne i przyzwoite tantiemy z *Naszej rodziny* wyglądają dobrze na każdym bankowym dokumencie. A jeśli nie będę się chciała w to bawić, zawsze mogę zaangażować się do jakiejś ekipy budowlanej.

Do diabła, mogłabym nawet pracować w Nowym Jorku u Steve'a.

- Wyrzekłabyś się swoich szczytnych celów.

- Powiedzmy, że przełożyłabym je na później. Problem polega na tym, że... - Urwała i napiła się kawy, którą jej oddał. - Problem polega na tym, że Kocham ten dom. Kocham to, czym był, i to, co mogę z niego zrobić. Kocham to miejsce, jest mi w nim dobrze. Kocham to, co widzę, kiedy patrzę przez okna albo wychodzę na werandę. I wkurza mnie, że przez czyjaś podłość muszę się zastanawiać, czy nie dać sobie z tym spokoju.

Napięcie, jakie odczuwał, ustąpiło.

- Wolę o wiele bardziej, kiedy jesteś wkurzona.

- Owszem, jestem, ale trudno udawać, że nie odczuwam czegoś jeszcze. Jeśli akurat nie jestem wściekła albo zniechęcona, to po prostu się boję.

- Bo nie jesteś głupia. Ktoś celowo postanowił ci szkodzić.

Będziesz się bała, Cilla, dopóki się nie dowiesz, kto i dlaczego, nie położysz temu kresu.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Wciąż myślisz, że to ten stary Hennessy?

- Jest jedynym człowiekiem, którego znam albo z którym się tutaj zetknęłam, a który daje mi jasno do zrozumienia, że mnie nienawidzi. Co oznacza - gdyby to był scenariusz - że nie może stać za tym wszystkim, ponieważ to on mnie właśnie nienawidzi.

Ściągnąłby na siebie podejrzenie. Ale...

- Pogadamy z nim. Wprost.

- I co powiemy?

- Coś wymyślimy, ale przedtem damy mu do zrozumienia, że zamierzasz tu zostać, że urządzasz sobie tu dom i że ani ty, ani ten dom nie jesteście odpowiedzialni za coś, co wydarzyło się ponad trzydzieści lat temu. Coś w tym stylu. Zamierzam też zrobić kopie tych listów, które znalazłaś. Poczytać je dokładniej, tobie radzę to samo. Musisz się zastanowić, czy nie przekazać ich policji. Bo jeśli to nie Hennessy, to najprawdopodobniej chodzi o kogoś związanego z tymi listami, kogoś, kto się dowiedział, że wciąż istnieją i że je masz. Ujawniony tajemniczy kochanek Janet Hardy? To byłaby wiadomość. Wielka, sensacyjna, bulwersująca wiadomość.

Zastanawiała się nad tym. Oczywiście, przyszło jej to już do głowy. Ale...

- Nie są podpisane.

- Może zawierają jakieś wskazówki co do tożsamości. Może i nie, ale mówimy o czymś sprzed trzydziestu pięciu lat. Pamiętasz wszystko, co pisałaś trzydzieści pięć lat temu?

- Mam dwadzieścia osiem, ale rozumiem, o co ci chodzi. - Popatrzyła na niego w nieruchomym, miękącym mroku. - Dużo o tym myślałaś.

- Tak. Najpierw ten złodziej w twojej stodole. To mógł być ktoś, kto miał nadzieję, że znajdzie kilka pamiątek po Janet Hardy. Musiałem uwzględnić, że dom stał pusty przez całe lata i że widywałem od czasu do czasu ludzi, którzy się tu kręcili. Z drugiej strony większość nie wiedziała, czy coś się zachowało w środku, a ten, kto wiedział, prawdopodobnie myślał, że to bezwartościowe śmieci, zostawione przez dawnych mieszkańców nie przez samą Janet. I wtedy ty się zjawiasz.

- Sprzątałam dom, wynoszę rzeczy do stodoły i jest jasne, że je przeglądam i odkładam wszystko, co należało do mojej babki.

- Budzi to w kimś ciekawość i odrobinę chciwości. Załóżmy, że tak jest. Po drugie, napaść na Steve'a to może być to samo źródło. Intruz grzebie w tych rzeczach, ktoś nadchodzi niespodziewanie. Panika. I tu już nie idzie o zwykłe, choć irytujące najście. I o zachowanie reputacji nadszarpniętej z powodu listów.

Tu idzie o napaść, prawdopodobnie próbę zabójstwa.

Wstrząsnął nią dreszcz.

- Mówiłam, że jestem wkurzona, zniechęcona i wystraszona, ale teraz to ostatnie wskoczyło na pierwsze miejsce.

- I dobrze, bo będziesz ostrożniejsza. Następna rzecz - drzwi twojego samochodu. To już jest wymierzone osobiście w ciebie. Tak jak napis na murze. Może są w to zamieszane dwie osoby.

- Och, naprawdę mnie pocieszyłeś. Już dwie osoby mnie nienawidzą.

- To tylko przypuszczenie. No i ta ostatnia rzecz - zniszczenia wewnątrz domu. To już bardziej osobiste, bardziej bezpośrednie i bardziej bezczelne. Tak więc dzisiaj załatwisz sobie porządny alarm.

- Naprawdę mam to zrobić?

Zimny ton jej głosu nie wpłynął na niego w najmniejszym stopniu.

- Albo ty, albo ja. Ponieważ to twój dom, wolałbym, żebyś sama to załatwiła. Ale jeśli tego dzisiaj nie zrobisz, ja się tym zajmę. Mam prawo, ponieważ siedziałaś goła na mojej szafce. To coś znaczy. Więc nie narzekaj. Trzeba się liczyć z konsekwencjami swojej decyzji.

Nie odzywała się przez chwilę, próbując zapanować nad złością.

- I tak zamierzałam założyć alarm, bez względu na to, czy zostanę, czy wyjadę.

- Dobrze. Nie lubisz, kiedy ktoś stawia ci ultimatum. Ja też nie, ale w tym szczególnym przypadku robię wyjątek. Mogę tam spać z tobą. Będę naprawdę szczęśliwy. Ale spanie ze sobą to rzecz w pewnym momencie przesądzona, tak jak nieuniknione jest pozostawienie od czasu do czasu pustego domu. Musisz być bezpieczna i czuć się bezpieczna. Musisz pilnować swojej własności. I jeszcze jedno, Cilla. Żadnego „wyjeżdżam”. Już się zdecydowałaś zostać.

Naprawdę chciała wybuchnąć, ale on to jej niezwykle utrudniał.

- Jakim cudem jesteś taki macho i tak upierasz się przy swoim ultimatum, jeśli nie nalegasz, żebym ziała w jakieś bezpieczne miejsce, podczas gdy ty będziesz walczył ze smokiem?

- Moja lśniaca zbroja jest w warsztacie. I może lubię seks, którego nie mógłbym uprawiać z tobą, gdybyś ziała. A może nie chcę widzieć, jak wyrzekasz się czegoś, co kochasz.

Tak, trudno było mu się sprzeciwiać.

- Kiedy przyszłam tu posiedzieć, powiedziałam sobie, że to tylko budynek. Włożyłam mnóstwo wysiłku w inne domy - dlatego warto się tym zajmować - i sprzedawałam je bez

żalu.

To tylko budynek, drewno, szkło, rury i przewody, wszystko na kawałku ziemi. - Spuściła wzrok, kiedy położył ręce na jej dłoniach, dając tym do zrozumienia, że ją rozumie. - Oczywiście, to nie tylko budynek, nie dla mnie. Nie chcę się go pozbyć, Ford. Nigdy bym go nie odzyskała, nigdy bym nie odzyskała tego. co tu znalazłam.

Obróciła dłoń i splotła swoje palce z jego palcami.

- Poza tym lubię seks.

- Tamto jest ważniejsze.

- Okej. - Odetchnęła głęboko. - Muszę wracać do siebie.

Przygotować się. Zabrać się do roboty.

- Pozwól, że włożę buty. Odprowadzę cię.

Matt stał pośrodku głównej łazienki z ponurą miną, opierając dłonie na biodrach.

- Cholernie mi przykro z tego powodu, Cilla. Nie wiem, co wstępuje w ludzi, przysięgam. Naprawimy tę ścianę, nie martw się. A Stan przyjedzie i zajmie się płytkami. Mogę kazać jednemu z moich ludzi obtluc to, co pozostało, ale kabinę lepiej zostawić Stanowi. Zadzwoń do niego w twoim imieniu.

- Będę wdzięczna. Muszę pojechać po glazurę i szkło oraz parę innych rzeczy. Załatwić alarm.

- Rozumiem. Ludzie nie zamykali się tutaj na klucz, kiedy byłem dzieciakiem. Czasy się zmieniają. Prawdziwy wstyd, że dochodzi do takich rzeczy. Powiedziałaś, że wybił szybę w drzwiach od tyłu? Powiem komuś, żeby to naprawił.

- Chcę zamówić nowe drzwi, a także zamek do nich i do tych frontowych. Sklejka chwilowo wystarczy. Będziesz musiał skuć tę zaprawę. Jest jej dość na budowie.

- Jasne. Jeśli będę mógł coś jeszcze zrobić, Cilla, to daj mi znać. Dorwał się też do drugiej łazienki?

- Tak. Nieźle ją urządził.

- Trzeba ją chyba obejrzeć.

Ocenili zniszczenia i omówili naprawę. Kiedy uzupełniała listę zakupów i oglądała resztę budowy, jej pracownicy okazywali współczucie, zadawali pytania, wyrażali oburzenie i złość. Zanim wyjechała do miasta, dzwoniło jej od tego w uszach i od bardziej uspokajających dźwięków - jękliwych wiertel i dźwięcznych pił.

Chcąc nie chcąc, musiała wyjaśnić znajomemu sprzedawcy w dziale glazury i terakoty, dlaczego potrzebuje znacznej liczby płytek, które już kupiła, a także fugi. Straciła na tym trochę czasu, ale wiedziała, że to nieuniknione. Nawet w Los Angeles nawiązywała



bliższą znajomość z facetami od płytek, drewna, armatury. Wymagał tego jej zawód, a poza tym dobre znajomości opłacały się i wynagradzały czas.

Podobnie było w sklepie z wyposażeniem domu. Zajrzała tam, żeby kupić nową umywalkę i inne rzeczy z listy. Czekając, aż sprzedawca znajdzie to, czego potrzebowała, zaczęła przeglądać baterie. Chromowane, niklowane, miedziane, mosiężne. Błyszczące, satynowe, patynowane. Pojedyncze rączki, styl marynistyczny. Odpowiednie wieszaki na ręczniki, haki na szlafrok.

Wszystkie te kształty, różne powierzchnie i odcienie dawały jej taką przyjemność, jaką ktoś może odczuwać, oglądając biżuterię od Tiffany'ego.

Miedź. Może wykończy łazienkę w miedzi. Z umywalką w marynistycznym stylu i...

- Cilla?

Odwróciła się od wystawy i zobaczyła Toma Morrowa i Buddy'ego wyłaniających się z głębi alejki.

- Tak sobie pomyślałem, że to ty - powiedział Tom. - Kupujesz czy się zastanawiasz?

- Jedno i drugie, szczerze mówiąc.

- To tak jak ja. Właśnie zaopatruję firmę. Zwykle zajmuje się tym moja projektantka od kuchni i łazienki, ale jest akurat na urlopie macierzyńskim. Poza tym lubię sam się rozejrzeć od czasu do czasu. Wiesz, jak to jest.

- Tak, wiem.

- Mam tu konsultanta - wyjaśnił, mrugając porozumiewawczo. - Buddy pilnuje, żebym nie kupił czegoś niewłaściwego.

- Zdarzało ci się już wcześniej - zauważył Buddy.

- Nigdy nie dajesz mi o tym zapomnieć. Słyszałem, że nieźle się zabawiłyście w sobotę.

- Rzeczywiście.

- Cathy zawsze mówi, że zakupy to jej hobby. Ja gram w golfa, ona krąży po centrach handlowych i sklepach.

- Nie widzę sensu ani w jednym, ani w drugim. - Buddy pokręcił głową. - Wędkarstwo ma sens.

- Przepraszam. - Podeszedł do nich sprzedawca. - Mamy wszystko na składzie, pani McGowan. I umywalkę wieszaną na ścianie. Ostatnia.

- Że co, umywalka ścienna? - zaczął się dopytywać Buddy. - Przecież instaluję odpływ do postumentu w trzeciej łazience.

- Wymiana. Umywalka, którą założyłeś w gościnnej łazience na piętrze, została

zniszczona.

Cilla pomyślała, że gdyby Buddy był kogutem, to grzebień by mu się zakołysał z oburzenia.

- Jak się to, u licha, stało? Wszystko było w porządku, kiedy ją instalowałem.

Okej - pomyślała Cilla - jeszcze raz. - Miałam włamanie w sobotę. Jakiś wandal.

- Mój Boże! Nic ci się nie stało?! - zawołał Tom.

- Nie, nie było mnie akurat w domu. Właśnie bawiłam się z twoją żoną, Patty i Angie.

- Rozwalił umywalkę! - Buddy zdjął czapkę i podrapał się po głowie. - Po kiego diabła?

- Nie mam pojęcia. Ale oberwały obie łazienki na piętrze, które ukończyliśmy. Sądząc po tym, jak wyglądały, facet posłużył się moim młotem i kilofem; rozwalił mnóstwo płytek, jedną ze ścian, umywalkę, kawałek kabiny prysznicowej.

- Okropne. Takie rzeczy nigdy się tu nie zdarzały. Policja...

- Robi, co może. Tak przynajmniej twierdzą - wyjaśniła Cilla, a ponieważ chciała, by wszyscy się o tym dowiedzieli, dodała: - Zakładam alarm.

- Nie dziwię się. Przykro mi, że tak się stało, Cilla.

- Nie chciałbym, żeby moja córka mieszkała sama gdzieś na uboczu. - Buddy wzruszył ramionami. - Zwłaszcza po tym, co się przydarzyło Steve'owi.

- Takie rzeczy dzieją się wszędzie. Muszę odebrać materiały i dokończyć zakupy. Powodzenia.

- Posłuchaj, Cilla, jeśli będziemy mogli coś zrobić, Cathy albo ja, po prostu zadzwoń. Miasto się rozrasta, ale to nie znaczy, że zapominamy o swoich.

- Dzięki.

Zrobiło jej się ciepłej na sercu i tak się czuła, kiedy ładowali na samochód jej materiały i kiedy potem jechała do domu. Swoi.

## ROZDZIAŁ 18

Cilla z wielką przyjemnością usunęła stare, podniszczone drzwi, z których oblaźła warstwa ochronna, i zainstalowała nowe. Tych starych nie wyrzuciła, tylko schowała je do stodoły.

Przyszło jej do głowy, że nigdy nie wiadomo, kiedy się mogą jeszcze przydać.

Zdecydowała się na mahoń - do diabła z budżetem - w prostym i eleganckim stylu rzemieślniczym. Sześć nakrapianych szybek, ułożonych w dwa rzędy, jeden nad drugim, zapewniało dostateczną ilość światła, a mimo to gwarantowało prywatność.

Pasują idealnie - stwierdziła z zadowoleniem, kiedy jeden z pracowników pomógł jej osadzić drzwi na zawiasach. Pasują jak diabli. Poczekala, aż zostanie sama, a potem przesunęła czule dłońią po drewnie, mrużąc: „Witaj, piękniśiu. Teraz jesteś tylko mój”. Nucąc pod nosem, zabrała się do instalowania zamka.

Zdecydowała się na oleście lśniący brąz, który wybrała też do innych pomieszczeń domu, i gdy zaczęła zakładać zamek, doszła do wniosku, że wybrała doskonale. Ciemna barwa metalu wyglądała dobrze na tle subtelnej czerwieni mahoni.

- Wspaniałe drzwi.

Spojrzała przez ramię i zobaczyła ojca, który wysiadał właśnie z samochodu. Cilla tak często widywała go w nauczycielskim stroju, jak nazywała to w myślach, że przez chwilę musiała się przyzwyczajać do widoku dżinsów, podkoszulka i czapki z długim daszkiem.

- Powściągnij zachwyty! - odkrzyknęła.

- Z pewnością go wzbudzasz.

Przystanął, by popatrzeć na trawniki frontowe. Murawa została starannie przycięta, łyse miejsca obsiano i teraz pod ochronną warstwą słomy widać było delikatne pędy. Pojawiły się też azalie i rododendron, kilka innych krzewów osiągnęło już sporą wysokość, smukły czerwony klon pobłyskiwał liśćmi w blasku słońca.

- Wciąż wymaga to pracy, a nie będę sadiła grządek kwiatowych aż do następnej wiosny, chyba że zdecyduję się na rośliny jesienne. Ale mam jeszcze czas.

- Wykonałaś jak dotąd kawał dobrej roboty. - Wszedł na werandę i stanął dostatecznie blisko, by mogła poczuć nieznaczną woń Iris Spring, jak się jej zdawało. Przyjrzał się dokładnie drzwiom i zamkowi. - Wygląda solidnie. Cieszę się. A co z alarmem? Plotki się szybko rozchodzą - dodał, kiedy uniosła zdziwiona brwi.

- Miałam nadzieję, że tak będzie. Plotka może podziałać równie odstrasząco jak sam alarm, który został zamontowany wczoraj.

Dostrzegła poważne spojrzenie jego orzechowych oczu.

- Szkoda, że nie zadzwoniłaś do mnie, Cilla. I nie powiedziałaś mi o włamaniu.

- I tak nie mógłbyś nic zrobić. Daj mi jeszcze minutkę, już prawie skończyłam. - Umocowała ostatnie wkrety, potem odłożyła śrubokręt. - Tak, wygląda dobrze. Prawie się zdecydowałam na inny styl, ale pomyślałam, że będzie sprawiał wrażenie zbyt ciężkiego. Ten jest lepszy. - Otworzyła i zamknęła drzwi kilka razy. - Dobra. Tak samo będą wyglądały drzwi od tyłu, ale zdecydowałam się na atrium... przepraszam. To cię pewnie nie interesuje.

- Wręcz przeciwnie. Interesuje mnie wszystko, co robisz.

Trochę zaskoczona tonem lekkiej urazy w jego głosie, odwróciła się i spojrzała na niego uważnie.

- Chodziło mi o szczegóły, gałka albo klamka, drzwi klasyczne czy przesuwane, oszklenie. Chcesz wejść do środka? - Znów otworzyła drzwi. - W środku jest głośno, ale przynajmniej chłodniej.

- Cilla, co mogę zrobić?

- Ja... słuchaj, przepraszam. - Boże, była beznadziejna jako córka. Ale czy ktokolwiek mógł się dziwić? - Nie chciałam sugerować, że cię nie obchodzi, co robię.

- Cilla. - Gavin ponownie zamknął drzwi, by odgrodzić ich od panującego w środku hałasu. - Co mogę zrobić, żeby ci pomóc?

Poczuła się winna i trochę spanikowana, kiedy nic jej nie przyszło do głowy.

- Pomóc? W czym? - spytała.

Westchnął, zniecierpliwiony, i wsunął ręce do kieszeni.

- Nie jestem majsterkowiczem, ale potrafię wbić gwóźdź albo wkręcić śrubę. Mogę po coś pojechać albo coś przenieść. Mogę Przygotować mrożoną herbatę albo załatwić kanapki. Mogę machać miotłą.

- Chcesz... chcesz tu pracować?

- Są wakacje, a ja nie wziąłem żadnych dodatkowych zajęć. Mam czas, by ci pomóc, i chciałbym to zrobić.

- No... ale dlaczego?

- Wiem, że masz ludzi takich, którzy znają się na swoim fachu, że płacisz im za robotę. Ale nigdy nic dla ciebie nie zrobiłem.

Płaciłem alimenty. Byłem do tego prawnie zobowiązany. Mam nadzieję, że wiesz albo jesteś w stanie uwierzyć, że robiłbym to nawet bez tego przymusu. Nie uczyłem cię, jak się jeździ na rowerze ani jak się prowadzi samochód. Nigdy nie szykowałem ci prezentów na Gwiazdkę czy na urodziny, a jeśli już, to byłaś zbyt mała, by to pamiętać. Nigdy nie

pomagałem ci w lekcjach ani nie leżałem w łóżku, czekając, aż wrócisz z randki, żebym mógł zasnąć. Nigdy nie robiłem dla ciebie niczego takiego ani setek innych rzeczy. Więc teraz chciałbym coś dla ciebie zrobić. Coś konkretnego. Jeśli mi pozwolisz.

Poczuła, jak drga jej serce, doznała nagle zadowolenia i niepokoju. Wiedziała, że powinna koniecznie coś zaproponować, coś właściwego, i zaczęła się rozpaczliwie zastanawiać.

- Och! Malowałaś kiedykolwiek?

Zobaczyła, jak napięcie na jego twarzy przeradza się w pełen zadowolenia uśmiech.

- Prawdę powiedziawszy, jestem doskonałym malarzem.

Chcesz zobaczyć referencje?

Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Sprawdzę cię. Chodź za mną.

Zaprowadziła go do salonu. Nie planowała jeszcze tu malować, ale nic nie stało na przeszkodzie, by zacząć.

- Tynk jest gotowy, poza tym usunęłam obramowania okien.

Musiałam. Niektóre trzeba było zerwać, sprawa jest załatwiona, jak widzisz. Wciąż pracuję nad zniszczonymi listwami, potem będę je bejcować i zakładać. Tak czy inaczej nie musisz niczego oklejać taśmą malarską albo omijać. Aha, i nie przejmuj się, że pobrudzisz cegły kominka, zamierzam pokryć go granitem. Albo marmurem. W tej chwili nie prowadzi się tu żadnych robót, nie będziesz więc nikomu przeszkadzał i nikt nie będzie przeszkadzał tobie. Podłogę i materiały, które tu leżą, możemy przykryć. - oparła dłonie na biodrach. - Tam *masz* drabinę, kuwety, wałki i pędzle. Podkład znajdziesz w tej wielkiej puszcze, jest odpowiednio oznaczona. Na puszcze z farbą są litery L. R. , rozumiesz, *living room*. Trafiła mi się wyprzedaż w Duronie, wzięłam na zapas. Zresztą i tak musisz zacząć od podkładu. - Zaczęła sprawdzać w myślach, czy czegoś nie zapomniała. - Więc... chcesz, żebym ci pomogła przygotować to wszystko?

- Dam sobie radę.

- Okej. Słuchaj, to duży pokój, więc kiedy tylko się zmęczysz, zrób sobie przerwę. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, znajdziesz mnie na dole, przy tylnych drzwiach.

- Rób swoje. Wiem, co i jak.

Dwukrotnie porzuciła naprawianie drzwi - raz dla samej przyjemności wypróbowania świeżo ukończonych schodów zewnętrznych, po których przeszła się tam i z powrotem. Wymagały jeszcze bejcowania i solidnego zamocowania, a wejście, które prowadziło do jej przyszej pracowni, było chwilowo zasłonięte sklejką i czekało na prawdziwe drzwi. Ale

same schody sprawiały jej taką przyjemność, że krocząc po stopniach, odstawiła zaimprovizowany taniec, co wywołało aplauz i gwizdy podziwu ze strony ekipy budowlanej.

Na trzy godziny zapomniała o ojcu i jego malowaniu. Pełna poczucia winy i niepokoju pospieszyła do salonu, spodziewając się zastać na miejscu typowy rozgardiasz niedzielnego amatora budowlanca, zobaczyła jednak, że wszystko jest starannie przykryte, a sufit i dwie ściany zagruntowane. Ojciec, pogwizdując jakąś wesołą melodię, zaczynał kłaść podkład na trzecią ścianę.

- Jesteś zatrudniony - oznajmiła, stojąc za jego plecami.

Opuścił wałek, zachichotał i odwrócił się.

- Będę pracował za lemoniadę. - Podniósł wysoką szklanę. - Przyniosłem sobie trochę z kuchni. I widziałem twój numer.

- Słucham?

- Ten taniec w stylu Ginger Rogers, który odstawiłaś na schodach. Na zewnątrz. Wyglądałaś na bardzo zadowoloną.

- Jestem zadowolona. Ze stopni, z podestów, z poręczy. Inżynieryjne osiągnięcie Cilli McGowan i Matta Brewstera.

- Zapomniałem już, że potrafisz tak tańczyć. Nie widziałem czegoś takiego od... miałaś kilkanaście lat, kiedy wybrałem się na twój koncert w Waszyngtonie. Pamiętam, że poszedłem za kulisy przed spektaklem. Byłaś blada jak śmierć.

- Trema. Nienawidziłam tych koncertów. Bałam się występować - Właśnie to zrobiłaś.

- Występowałam? Nie, jest występowanie i jest zabawa. To była zabawa. Ale ty, jak widzę, się nie bawisz. Wykonałeś naprawdę porządną robotę. - Podeszła do niego i ze zdziwieniem stwierdziła, że wciąż wyczuwa zapach jego mydła. - Prawie się nie poplamieś.

- Lata praktyki; malowałem w szkole i w domu. Patty ma zwyczaj ciągle coś zmieniać w wystroju. Wiesz, tu wygląda inaczej niż kiedyś - dodał. - Z tym wejściem. Zmieniło kształt tego pokoju, sprawiło, że stał się bardziej otwarty.

- Wygląda inaczej? Zbyt inaczej?

- Nie, kochanie. Domy od tego są, żeby się zmieniać, odzwierciedlać osobowość ludzi, którzy w nich mieszkają. I myślę, że zrozumiesz, o co mi chodzi, kiedy powiem, że ona tu jest.

Janet wciąż tu jest. - Dotknął jej ramienia i nie cofnął ręki, jakby pragnął, by zostali połączeni. - Tak jak moi dziadkowie, mój ojciec. Nawet trochęja. Wiesz, co tu widzę? Odrodzenie.

- Chcesz zobaczyć, dokąd prowadzą moje schody? Chcesz zobaczyć moją mansardę?

- Pewnie.

Była podekscytowana, mogąc mu wszystko pokazać i widząc, jak interesuje się jej projektem przyszłej pracowni. Sama była zaskoczona, że jego przychylność sprawiła jej tyle satysfakcji. Przypuszczała poniekąd, że to przyjemne chwalić się przed kimś, kto pragnie się zachwycić.

- A więc będziesz zajmowała się domami - powiedział, kiedy zaczęli schodzić po niewykończonych schodach.

- Taki mam plan. Remontowanie dla siebie albo dla klientów. Przebudowy. Może doradztwo. Wszystko zależy od tego, czy dostanę uprawnienia budowlane. Mogę bez nich dużo zrobić, ale z nimi jeszcze więcej.

- Jak się zdobywa takie uprawnienia?

- Zdaję jutro egzamin. - Podniosła obie dłonie i skrzyżowała palce na znak szczęścia.

- Jutro? Dlaczego się nie przygotowujesz? Pytam jako nauczyciel.

- Wierz mi, uczyłam się. Kułam jak szalona, zrobiłam próbny test w Internecie. Dwa razy. - Zatrzymała się przy gościnnej łazience. - Jest skończona, po raz drugi.

- Tę właśnie zdemolowano?

- Tak. Nigdy byś się nie domyślił. - Przykucnęła i przesunęła dłonią po świeżo położonych płytkach. - To chyba najważniejsze.

- Najważniejsze, że nic ci się nie stało. Kiedy myślę o tym, co przydarzyło się Steve'owi...

- Wraca do siebie. Rozmawiałam z nim wczoraj. Rehabilitacja przebiega dobrze, pewnie dlatego, że zajmuje się nim młoda dziewczyna. Uważasz, że Hennessy mógł to zrobić? - spytała odruchowo. - Że jest zdolny do czegoś takiego? Fizycznie, z charakteru?

- Jeśli chodzi o charakter, to nie wiem. Ale jest faktem, że nigdy nie przestał odczuwać nienawiści. - Po chwili Gavin westchnął. - Powiedziałbym, że teraz nienawidzi bardziej niż wtedy, kiedy to się stało. A fizycznie? No cóż, to twardy stary gość.

- Chcę z nim porozmawiać, zorientować się, o co mu chodzi.

Nie wiem jeszcze, jak się do tego zabrać. Z drugiej strony, jeśli to on, to pewnie jeszcze się bardziej rozwścieczy. Od dwóch tygodni jest spokój. Chciałabym, żeby tak zostało.

- Nie ma go w mieście od paru dni. Razem z żoną pojechał do jej siostry. Chyba do Vermont. Chłopak moich sąsiadów strzyże mu trawnik - wyjaśnił Gavin.

Sprytne - pomyślała, kiedy ojciec wrócił do swojej roboty. A ponieważ w środku trwało malowanie, wyniosła narzędzia na Zewnątrz, żeby tam popracować.

Rano Cilla uświadomiła sobie, że zachowała się głupio i krótkowzrocznie, nie zgadzając się, by Ford nocował u niej. Nie chciałby cokolwiek ją rozpraszało, kiedy uczyła się do testu, poza tym zamierzała wypać się porządnie przez osiem godzin.

Zamiast tego rozmyślała obsesyjnie o egzaminie, krążąc po domu i bijąc się z myślami. Kiedy wreszcie poszła do łóżka, przewracała się i kręciła, dręczona niespokojnymi snami.

W rezultacie obudziła się spięta i podminowana, czuła niemal mdłości ze zdenerwowania. Wmusiła w siebie pół bułki, czego pożałowała, bo jeszcze bardziej zaczęło ją ścisnąć w żołądku.

Trzykrotnie sprawdziła zawartość torebki, żeby się upewnić, że ma wszystko, czego jej potrzeba, a potem wyszła z domu pół godziny wcześniej, niż planowała, na wypadek gdyby były korki albo gdyby się zgubiła czy nie mogła znaleźć miejsca do parkowania. Albo gdyby porwali ją kosmici.

- Przestań, daj spokój - mamrotała, idąc w stronę pikapu.

Wmawiała sobie, że los całego świata nie zależy od wyniku tego egzaminu.

Tylko jej świata - pomyślała. Jej całej przyszłości.

Mogła poczekać. Mogła zdawać test później. Za jakiś czas. Kiedy ukończy budowę. Kiedy się zadomowi. Kiedy...

Trema - uświadomiła sobie z westchnieniem. Strach przed wyjściem na scenę i porażką, wszystko owinięte śliską wstążką. Czując ściskanie w dołku, otworzyła drzwi wozu.

Z jej krtani dobył się stłumiony dźwięk, na wpół śmiech, na wpół okrzyk zdumienia.

Na siedzeniu leżał rysunek, który, jak przypuszczała, umieścił tam Ford zeszłej nocy.

Miała na nogach wysokie buty, a na biodrach nisko opuszczony pas na narzędzia, który wyglądał niczym kowbojski. W jednym ręku trzymała pistolet do gwoździ, w drugim taśmę mierniczą; można było odnieść wrażenie, że właśnie je wyciągnęła. Wokół wznosiły się stosy drewna, zwoje drutu, piramidy cegieł. Z jej szyi zwieszały się okulary ochronne, a z kieszeni spodni wystawały rękawice robocze. Na twarzy widniał wyraz niemal aroganckiej zaciętości.

Pod jej stopami umieszczono napis:

ZDUMIEWAJĄCA, NIEWIARYGODNA DZIEWCZYNA - PRZEDSIĘBIORCA  
BUDOWLANY - Nie przepuścisz okazji, co? - powiedziała głośno.

Skierowała wzrok ku przeciwległej stronie drogi i posłała całusa, tam gdzie spał, jak sobie wyobrażała. Kiedy usiadła za kierownicą i uruchomiła silnik, natychmiast się odprężyła.

Położyła rysunek na siedzeniu obok, włączyła muzykę w radiu i ruszyła ku



przyszłości, podśpiewując pod nosem.

Ford usadowił się na werandzie z laptopem, szkicownikiem, dzbankiem mrożonej herbaty i torebką smakołyków dla Spocka. Nie wiedział, kiedy Cilla może wrócić. Droga tam i z powrotem do Richmond była mordegą, nawet jeśli nie tworzyły się akurat korki. Poza tym nie miał pojęcia, jak długo może trwać taki egzamin albo co Cilla zechce robić, żeby się zrelaksować po teście.

Tak więc po drugiej po południu zajął miejsce, z którego nie mógł przeoczyć jej powrotu, i zajął się robotą. Wysłał i odebrał e - maila, zajrzał do blogów, które zwykle odwiedzał. Odświeżył swoją własną stronę.

Ignorował Internet przez jakieś dwa ostatnie tygodnie, ponieważ zajmował się pewną szczupłą blondynką. Był pochłonięty komputerem przez dwie godziny, kiedy zauważył, że kilku pracowników po drugiej stronie drogi kończy dzień pracy.

Matt zjechał na pobocze przy domu Forda i wychylił się przez okno.

- Sprawdzasz strony porno?

- Dzień i noc. Jak idzie robota?

- Idzie, i to nieźle. Skończyliśmy dziś uszczelniać dach na strychu. Pieprzona praca. Tak, Spock, cześć, jak leci? - dodał, kiedy pies wydał z siebie głęboki szczek, który oznaczał: „A ja?”. - Jadę do domu, strzelę sobie zimne piwo. Wpadniesz czwartego lipca na burgery i hot - dogi?

- Nie darowałbym sobie tego. Przyprawdzą waszą szefową.

- Tak myślałem. Nieźle ci poszło, stary psie. Nie do ciebie mówię - dorzucił, wskazując Spocka. - Nie wiem, co ona w tobie widzi, ale chyba zdecydowała się na ciebie, bo ja jestem już żonaty.

- Tak, właśnie. Musiała gdzieś pozbyć się frustracji seksualnej.

- Podziękujesz mi później - oznajmił Matt i odjechał z szerokim uśmiechem i ogłuszającym klaksonem.

Ford ponownie nalał sobie herbaty i zamienił laptop na szkicownik. Nie był jeszcze do końca zadowolony z wizerunku swego złoczyńcy. Oparł Devona/Devina głównie na postaci swojego nauczyciela algebry ze szkoły średniej, ale zmiany wprowadzone do historii sprawiły, że zaczął myśleć o czymś bardziej... eleganckim. Zimny, pełen godności złoczyńca pasował bardziej. Zaczął szkicować różne twarze, mając nadzieję, że jedna z nich mrugnie do niego i powie: wybierz mnie!

Nie doczekał się, więc pomyślał, że warto łyknąć zimnego piwa. Potem zapomniał i o pracy, i o piwie, kiedy na jego podjeździe pojawił się pikap Cilli.

Zorientował się, zanim jeszcze wysiadła z wozu. Nie miało znaczenia, że jej oczy kryły się za okularami przeciwsłonecznymi. Uśmiech mówił wszystko. Ruszył w jej stronę, w odległości kilku kroków za uszczęśliwionym Spockiem, gdy tylko wyskoczyła z szoferki. Rzuciła mu się w ramiona.

- Niech zgadnę. Zdałaś.

- W cuglach! - Śmiejąc się, odchyliła gwałtownie głowę, a on musiał zaprzeć się z całej siły nogami, żeby jej nie upuścić. - Po raz pierwszy w życiu poradziłam sobie z egzaminem. Tak mu skopałam tyłek, że przeleciał przez ulicę, granice okręgu i wreszcie wylądował poza stanem. Rany!

Wyrzuciła ręce w górę, a potem objęła go za szyję.

- Jestem dziewczyną budowlańcem! Dzięki. - Pocałowała go tak mocno, że zaboląły go zęby. - Dzięki. Dzięki. Byłam zdenerwowana, trzęsłam się jak galareta, dopóki nie zobaczyłam twojego rysunku. Podniósł mnie na duchu. Naprawdę. - Znow go pocałowała. - Oprawię go. To będzie pierwsza rzecz, jaką powieszę w swoim gabinecie. Gabinetu przedsiębiorcy budowlanego.

- Gratuluję. - Wydawało mu się, że wie, ile dla niej znaczy ta licencja. Dopiero teraz sobie uświadomił, jak mizerne miał o tym pojęcie. - Musimy to uczcić.

- Już to załatwiłam. Kupiłam co nieco. - Pochyliła się i pochwycając w ramiona zachwyconego Spocka, zaczęła go całować po łbie. Potem puściła zwierzaka i pobiegła z powrotem do pikapu. - Bagietki, kawior, pieczony kurczak z dodatkami, coś jeszcze, coś jeszcze, coś jeszcze, a na koniec kruche ciasteczka z truskawkami i szampan. Wszystko schłodzone.

Widząc, że się mocuje z przenośną lodówką, Ford odsunął ją na bok.

- Boże, ruch był okropny. Myślałam, że nigdy tam nie dojadę.

Urządzimy sobie piknik. Za domem, a potem będziemy tańczyć nago na trawie.

To „coś jeszcze” ważyło chyba dobre trzydzieści kilogramów, jak się zorientował, ale nie przejął się tym, widząc, jak bardzo jest rozpromieniona.

- Czytasz w moich myślach.

Wygrzebał koc i trzy bambusowe świeczniki, żeby stworzyć odpowiedni nastrój i odstraszyć robactwo. Zanim Cilla zdążyła przygotować ucztę, pod wiktuałami zniknęła połowa koca.

Spock i jego niedźwiadek zadowolili się obszarpanym chodniczkiem i miską psiego jedzenia.

- Kawior, ser kozi, szampan. - Ford usiadł na kocu. - Mój typowy piknik obejmuje

kubelek kurczaka, sałatkę pomidorową i piwo.

- Uwierz dziewczynie z Hollywood. - Zaczęła nakładać jedzenie na talerz.

- Co to takiego?

- Bliny, do kawioru. Do tego odrobina *creme fraiche*, plaster bielegi i... nigdy wcześniej tego nie jadłeś? - spytała, dostrzegając jego wyraz twarzy.

- Nie wydaje mi się.

- Widzę, że się boisz.

- Boisz się to za mocne słowo. Mam obawy. Czy kawior nie pochodzi z...

- Nie myśl o tym, tylko spróbuj. - Podsunęła mu pod wargi blina obłożonego dodatkami. - Otwórz usta, ty tchórze.

Skrzywił się lekko, ale posłusznie odgryzł kawałek. Połączenie smaków - słonawego, łagodnego, lekko słodkiego - podziało na niego mocno.

- Okej, lepsze, niż się spodziewałem. A dla ciebie?

Wybuchnęła śmiechem i zaczęła szykować następnego blina - Jak zamierzasz to rozruszać? - spytał, kiedy zaczęli jeść. - To znaczy swój interes.

- Hm. - Popiła kawior szampanem. - Mała Farma będzie odskoczną. Przyciąga uwagę z wiadomych względów. Im lepiej mi z nią pójdzie, tym większa szansa, że ludzie zobaczą, na co mnie stać. A ci, których najęłam do roboty, mówią o tym, mówią o mnie.

Zależy mi na rozgłosie. Będę musiała się zareklamować, żeby wiedziano o moim biznesie. Wykorzystam znajomości, chociażby Briana z jego ojcem. Boże! Ale ten kurczak smaczny! W odległości dwudziestu kilometrów są dwa domy do kupienia. Trochę przecenione, zważywszy na okolice i stan, w jakim się znajdują.

Mam na nie oko. Spróbuję zbić cenę i zobaczę, co z tego wyjdzie.

- Zanim skończysz tutaj?

- Tak. Posłuchaj, nawet jeśli dojdę do porozumienia ze sprzedającym, to mam od trzydziestu do dziewięćdziesięciu dni na podpisanie umowy. Będę się upierała przy dziewięćdziesięciu.

Nadejdzie jesień, zanim będę musiała wyłożyć jakąś gotówkę.

A to będzie oznaczało łącznie siedem, osiem miesięcy robót na Małej Farmie. Będę miała dość czasu, żeby opracować harmonogram i budżet. Jeden z tych domów będzie można sprzedać po dwunastu tygodniach. - Przygotowała kolejną porcję blinów dla obojga. - Chciwość i nieznajomość rynku mogą załatwić sprawę bardzo szybko. Zanim człowiek się zorientuje, że fundamenty są zmurszałe albo że dom się zapada.

- Ile chcesz zarobić?

- Na tym domu, który mnie interesuje? Biorąc pod uwagę sumę, jaką jestem gotowa wyłożyć, planowany budżet, przewidywaną cenę przy odsprzedaży? - Odgryzła kawałek blina, obliczając w myślach. - Po uwzględnieniu wszystkich kosztów liczyłabym na jakieś czterdzieści tysięcy.

Uniósł, zdumiony, brwi.

- Czterdzieści tysięcy w trzy miesiące?

- Mogłabym liczyć na czterdzieści pięć, ale wystarczyłoby mi trzydzieści pięć.

- Nieźle. - Jeśli chodzi o kurczaka, też miała rację. - A gdybym kupił ten drugi? I zatrudnił ciebie, żebyś go wyremontowała?

- Jezu, Ford, na oczy go nie widziałeś.

- Ale ty widziałaś. I wiesz, co robisz - w przypadku domów i pikników. Mógłbym potraktować to jako inwestycję, poza tym jest w tym element zabawy. No i byłbym twoim pierwszym klientem.

- Musisz przynajmniej obejrzeć posesję, obliczyć, ile jesteś gotów zainwestować, jak długo możesz czekać. - Podniosła kieliszek z szampanem w geście ostrzeżenia. - I na jakie straty możesz sobie pozwolić, ponieważ rynek nieruchomości i remontowanie domów na sprzedaż to ryzyko.

- Tak jak rynek akcji. Dasz radę obrobić oba domy?

Napiła się.

- Tak, mogłabym, ale...

- Posłuchaj, zrobimy tak. Oblicz, ile czasu zająłby remont tego domu, który chcę kupić, a pogadamy o możliwościach, twoim wynagrodzeniu i innych praktycznych sprawach.

- Okej, okej. Ale żeby było jasne. Najpierw obejrzyś wszystko, a potem zastanowimy się nad prognozami. Jeśli powiesz, że wolisz kupić sobie garść kuponów na loterii zamiast tej rudery, nie będzie sprawy i nikt nie ucierpi.

- Rozumiem i zgadzam się. No dobra, skoro już omówiliśmy interesy... - Nachylił się, żeby ją pocałować. - Co powiesz na czwartą?

- Czwartą? Chodzi ci o blina?

- Nie, Cilla. O Czwartą Lipca. No wiesz, hot - dogi, szarlotka, fajerwerki.

- Och! - Mój Boże - pomyślała - to już prawie lipiec. - Dokąd tu ludzie chodzą, żeby popatrzeć na sztuczne ognie?

- Jest kilka miejsc do wyboru. Ale to wielki stan Wirginia.

Sami potrafimy się bawić.

- Owszem, zdążyłam już zauważyć. Wszyscy jesteście stuknięci.

- Tak czy inaczej Matt urządza grilla. Z jego domu jest blisko do parku, gdzie grają marsze Sousa i gdzie odbywa się słynny na cały świat konkurs jedzenia placka z borówkami. Cztery razy z rzędu wygrał wielki John Porter. Są też inne, typowo amerykańskie rozrywki, a potem pokaz sztucznych ogni. Chcesz iść jako moja dziewczyna?

- Tak, z chęcią. - Nachyliła się nad resztkami uczyty i objęła go za szyję. - Wiesz co, Ford?

- No?

- Jeśli zjem jeszcze choć jeden kawałek, to zrobi mi się niedobrze. Więc... - Wstała szybko i wyciągnęła do niego rękę. - Zatańczmy.

- Nic z tego. Planowałem, że sobie tu poleżę niczym rozpustny żołnierz rzymski i popatrzę, jak tańczysz.

- Nie, nie popatrzysz. Wstawaj, wstawaj, wstawaj!

- Jest jeden problem. Nie umiem tańczyć.

- Każdy umie. Nawet Spock.

- Niezupełnie. No cóż, owszem, on umie - przyznał Ford, kiedy Spock podniósł się z miejsca, by zademonstrować swoje możliwości. - Ale nie ja. Oglądałaś kiedykolwiek *Kroniki Seinfelda*? Ten serial w telewizji?

- Pewnie.

- Widziałaś odcinek, w którym Elaine zjawia się na tym przyjęciu biurowym i, chcąc zachęcić ludzi do tańca, sama zaczyna?

- O tak. - Ta scena od razu jej się przypomniała i przy okazji rozbawiła. - To było okropne.

- Przy mnie Elaine wygląda jak Jenifer Lopez.

- Nie jest chyba aż tak źle. Nie wierzę ci. No dalej, pokaż mi.

Jej oczy wyrażały niekłamane rozczarowanie.

- Jeśli ci pokażę, nie będziesz chciała się ze mną więcej kochać.

- Nieprawda. Pokaż, jak się ruszasz, Sawyer.

- W ogóle się nie ruszam - oznajmił, ale wstał posłusznie z koca.

- Odrobina boogie - zaproponowała.

Zaczęła ruszać biodrami, ramionami, stopami - w takt jakiegoś doskonale naoliwionego wewnętrznego silnika, jak się Fordowi zdawało. Spock chwycił zębami swojego misia i zagulgotał z aprobatą.

- Sama się o to prosiłaś - mruknął Ford.

Poruszył się i mógłby przysiąc, że słyszy zgrzyt zardzewiałych przekładni i jęk złe

dopasowanych kół zębatach. Wyglądał jak Blaszyński Człowiek z Oz, zanim go porządnie nasmarowano.

- No cóż, nie jest to... Okej, rzeczywiście kiepsko. - Starła się stłumić śmiech, choć nie udało jej się to do końca. Dostrzegając pełne niechęci spojrzenie, które jej posłał, wyciągnęła ręce i podeszła do niego szybko. - Czekaj, spokojnie. Nauczę cię.

Tym razem Spock głośno prychnął.

- Inne też próbowały; żadnej się nie udało. Nie mam wycucia rytmu. Jestem rytmicznie upośledzony. Nauczyłem się z tym żyć.

- Bzdura! Każdy, kto potrafi się poruszać horyzontalnie tak jak ty, potrafi się też poruszać pionowo. Patrz. - Wzięła go za ręce, położyła je sobie na biodrach, potem na jego oparła swoje dłonie. - Tak się zaczyna. To nie jest taki taniec jak walc albo quick step, gdzie trzeba znać zasady. To głównie ruch. Odrobina działania biodrami. Nie, rozsuń kolana, to nie jest też krok defiladowy. Lewa, prawa, lewa. Przerzuć na lewo cały ciężar ciała, nie tylko biodro.

- Wyglądam i czuję się jak robot.

- Nieprawda. - Rzuciła Spockowi ostrzegawcze spojrzenie i pies odwrócił głowę. - Rozluźnij się. Dobra, cały czas poruszaj biodrami, trochę w górę, trochę w dół. Wczuj się w to, uwolnij ręce, uwolnij ramiona. W górę i w dół. Nie bądź sztywny, niech ci pracują kolana. No, załapałeś, doskonale. Tańczysz.

- To nie jest taniec.

- Wręcz przeciwnie. - Położyła mu dłonie na ramionach, potem zsunęła je, aż dotknęła jego rąk. - A teraz tańczysz ze mną.

- Stoję jak idiota w jednym miejscu.

- Tym się zajmiemy później. Zaczynamy powoli, bez pośpiechu. Byłoby nawet sexy, gdybyś nie miał takiej sztucznej miny.

Nie przerywaj!

Wykonała szybki obrót i oparła się o niego plecami, potem uniosła dłoń i pogładziła go po policzku.

- Och, dobra, jeśli to jest taniec...

Śmiejąc się, znów się odwróciła i stanęła do niego twarzą.

- Kołysz się. Trochę bardziej. - Zrzuciła mu ramiona na szyję i uniosła wargi do jego ust. - Przyjemnie.

Przysunął się do niej, a potem pochylił wolno i pocałował ją, zsuwając jednocześnie dłonie z jej pleców na biodra.

- Dla mnie to taniec - wyszeptała.

Po chwili otrząsnął się z zauroczenia i uświadomił sobie, że znalazł się o kilka kroków od miejsca, w którym zaczęli.

- Jak to się stało?

- Dałeś się porwać. Przestałeś o tym myśleć.

- Potrafię więc tańczyć, dopóki robię to z tobą.

- Jeszcze jedno.

Cofnęła się rozkołysanym krokiem, ruszając prowokacyjnie biodrami, i zaczęła rozpinąć bluzkę.

- Rany!

- Sądzę, że mój sukces trzeba uczcić tańcem nago.

Zerknął w stronę najbliższych sąsiadów. Zapadł już zmierzch, ale pochodnie, które zainstalował, rzucały blask. Spojrzał na psa, który siedział z przekrzywionym łbem, najwyraźniej zafascynowany.

- Może powinniśmy przenieść się z tym do domu?

Potrząsnęła głową, a bluzka zsunęła się z niej w takt ruchu jej ramion.

- Na trawie.

- Ale pani Berkowitz...

- Nie powinna podglądać swojego sąsiada, nawet gdyby była w stanie zobaczyć cokolwiek zza tego czarnego orzecha. - Cilla rozpięła spodnie i zsunęła buty, które Spock zaniósł jako zdobycz na swój postrzępiony chodniczek. - A kiedy już przestaniemy tańczyć nago, zrobię na trawie coś jeszcze.

- Co?

- Zafunduję ci najostrzejszą jazdę w życiu.

Ściągnęła spodnie, wciąż rozkołysana, i obróciła się, przesuwając jednocześnie dłońmi po swoim ciele, które teraz było ledwie zakryte dwoma białymi skrawkami materiału.

Ford zapomniał o psie, o butach, o sąsiadach. Patrzył na nią i czuł, jak krew odpływa mu z głowy; rozpiął jej staniczek z przodu, rozkoszując się tym. Blask pochodni igrał złotawo na jej skórze, tańczył w jej oczach jak słońce na czystym błękitnym morzu.

Kiedy stanik zsunął się na ziemię, wsunęła koniuszek palca pod gumkę majteczek.

- Wciąż jesteś ubrany. Nie chcesz ze mną tańczyć?

- Tak, och, tak. Mogę coś najpierw powiedzieć?

Przesunęła palcami po swoich piersiach i uśmiechnęła się do niego.

- Śmiało.

- Dwie rzeczy właściwie. O Chryste! - zdołał tylko wyrzucić z siebie, kiedy uniosła włosy, a potem pozwoliła, by spłynęły jej po ramionach. - Jesteś najpiękniejszą istotą. A w tej chwili?

Jestem najszczęśliwszym człowiekiem w znanym nam wszechświecie.

- Będziesz jeszcze szczęśliwszy. - Odrzucając włosy do tyłu, ruszyła ku niemu i przywarła do niego nagim ciałem. - A teraz tańcz ze mną.



## ROZDZIAŁ 19

Rankiem czwartego lipca Ford wygramolił się z łóżka Cilli. Nie zdziwiło go, że już wstała, nawet w dniu święta. To, że zasnął, było dla niego obowiązkiem jako Amerykanina, ale ona najwidoczniej nie podzielała jego zawziętego patriotyzmu. Zszedł półprzytomny na dół i, podążając za znajomym już hałasem, zawędrował do salonu.

Stała na drabinie i wstrzeliwała gwoździe w ramę wokół okna. - Pracujesz - zauważył tonem oskarżenia. Zerknęła na niego przez ramię.

- Trochę. Chciałam zobaczyć, jak to obramowanie będzie Wyglądać na tle farby, skoro ojciec skończył robotę. Wciąż nie mogę uwierzyć, że się z tym wszystkim uporał, i to tak dobrze.

Gdyby nie miał pracy, tobym go zatrudniła.

- Jest kawa?

- Owszem. Spock biega za domem. Boi się pistoletu.

- Jedną chwilę.

Powlókł się do kuchni przy akompaniamencie głośnych strzałów. Ekspres stał na niewielkim fragmencie blatu, który nie został jeszcze zniszczony. Oslaniając oczy przed blaskiem słonecznym, znalazł kubek i napełnił go. Po kilku pierwszych łykach światło wydawało się przyjemniejsze i nie przypominało już kosmicznej broni, której celem było oślepienie całej ludzkości.

Wypił pół kubka, nie ruszając się z miejsca, a kiedy uporał się z resztą kawy, poczuł się niemal rozbudzony. Wrócił do salonu i przez parę minut patrzył, jak Cilla pracuje, podczas gdy kofeina działała cuda.

Stała teraz na podłodze, dopasowując skośne krawędzie dolnego obramowania do tego, które już umocowała. W mgnieniu oka, jak mu się zdawało, wokół okna pojawiły się ciemne, szerokie listwy.

Odłożyła pistolet i cofnęła się o kilka kroków. Usłyszał jej szept:

- Tak, właśnie.

- Dobrze wygląda. Co zrobiłaś z tym, co było tu poprzednio?

- To jest właśnie to, co było poprzednio, albo z grubsza. Musiałam zainstalować od nowa parapet, bo się zniszczył.

- Wydawało mi się, że był biały.

- Bo jakiś idiota pokrył ten wspaniały orzech białą farbą.

Zdarłam ją. Trochę szlifowania, trochę bejcy, kilka warstw politory i wrócił do

pierwotnego wyglądu.

- Hm. Wygląda nieźle. Dopiero teraz zauważyłem odcień tego koloru na ścianach. Wydawało mi się, że jest trochę nudny. Ale w połączeniu z drewnem sprawia wrażenie cieplejszego.

Jak... las we mgle.

- Nazywa się Shenandoah. Wydawał mi się odpowiedni. Jeśli spojrzysz przez okno, to zobaczysz, że taką samą barwę mają góry, niebo, drzewa. Tak jak powinno być.

Podeszła do ściany i wzięła do ręki kolejny kawałek obramowania.

- Wciąż pracujesz.

- Nie musimy się spieszyć jeszcze przez... - Spojrzała na zegarek, obliczając czas. - Około półtorej godziny. Sporo jeszcze zrobię, zanim zaczniemy się szykować.

- Okej. Biorę kawę, psa i idę naprzeciwko. Podjadę po ciebie za półtorej godziny.

- Świetnie. Ale może wcześniej zechcesz włożyć spodnie.

Popatrzył na swoje bokserki.

- Racja. Włożę spodnie, prawdopodobnie buty i tak dalej.

- Będę gotowa.

Nie spodziewał się, że będzie gotowa. Nie dlatego, że miał do czynienia z kobietą, ale dlatego, że wiedział z doświadczenia, co się dzieje, gdy człowiek jest pochłonięty pracą. Jeśli nie nastawił sobie budzika, to z reguły się spóźniał albo nie przychodził na umówione spotkanie.

Zdziwiło go więc, kiedy wyszła z domu w chwili, gdy pojawił się przed jej drzwiami. A jej widok odebrał mu na chwilę mowę.

Rozpuściła włosy, co rzadko robiła, więc teraz spływały na plecy ciemną i jakby lekko pozłączaną kaskadą. Włożyła jasno - czerwoną sukienkę z białymi wstawkami, cienką i zwiewną, o delikatnych ramiączkach, które podkreślały mocno zarysowane ramiona.

Spock, opierając się łapami o karoserię, wychylił się przez okno wozu. Ford przetłumaczył sobie odgłosy wydawane przez psa jako gwizd podziwu.

Wysiadł z samochodu - po prostu musiał - i tylko rzekł:

- Rany!

- Podoba ci się? Spójrz na to. - Odwróciła się, by mógł podziwiać jej odsłonięte plecy z krzyżującymi się kusząco paseczkami.

- Mogę tylko powtórzyć: rany. Nigdy wcześniej nie widziałem cię w sukience, a ta naprawdę robi wrażenie.

Na jej twarzy natychmiast pojawiło się zniechęcenie.

- Jest przesadna, zbyt elegancka jak na piknik. Mogę się Przebrać w ciągu pięciu minut.

- Po pierwsze, nigdy w życiu. Po drugie, „przesadna” to ostatnie określenie, jakiego bym użył. Wyglądasz wakacyjnie sexy, jak dziewczyna, która wybrała się na lody. Żałuję tylko, że nie pomyślałem wcześniej, by zabrać cię gdzieś, gdzie nosi się sukienki. Mam ochotę na elegancką kolację.

- Wolę piknik na podwórku.

- Pikniki od tej pory są moją ulubioną rozrywką.

Spodziewała się, że początkowo będzie niezręcznie - przedstawianie się, zapoznanie z ludźmi. Ale знаła tak wielu z obecnych, że wszystko wydawało się łatwe i przyjemne, tak przyjemne jak podwórze Matta z wielkim tarasem i dymiącym grillem.

Josie, ładna i ciężarna żona Matta, niemal natychmiast porwała Cillę, odbierając ją Fordowi.

- Masz. I znikaj. - Podała mu piwo i zwróciła się do Cilli: - Wino, piwo, coś bezalkoholowego?

- Och, zacznę od tego ostatniego.

- Spróbuj lemoniady, jest wspaniała. Potem zamierzam cię porwać na jakieś dziesięć minut, schronimy się tam, w cieniu. Powiedziałabym, żebyśmy się przespacerowały, ale w ósmym miesiącu ciąży człowiek kołysze się jak kaczką. Bardzo chciałam cię poznać.

- Możesz zaglądać do mnie o każdej porze.

- Niewiele brakowało kilka razy, żeby się do ciebie wybrała, ale z tym? - Poklepała się po brzuchu. - I z tym? - Wskazała gromadkę dzieciaków na huśtawkach. - Ten mały facet w niebieskich szortach i czerwonej koszulce, który ściska się ze Spockiem w geście wzajemnego uwielbienia, jest mój. Sama więc rozumiesz, że mając to wszystko na głowie i jeszcze robotę na pół etatu, ciężko mi się wyrwać. Mogłam więc albo cię zaprosić, albo się dopytywać, jak ci idzie robota. Matt twierdzi, że doskonale.

- To wspaniale z nim pracować. Jest bardzo utalentowany.

- Wiem. Poznałam go, kiedy się tu sprowadziliśmy. Miałam siedemnaście lat i byłam rozżalona, że ojciec wyciągnął mnie z Charlotte i pozbawił przyjaciół. Uważałam oczywiście, że to koniec mojego życia. Aż następnego lata moi rodzice zatrudnili miejscową ekipę, żeby powiększyć dom. Pracował w niej młody, przystojny stolarz. Zabrało mi to cztery lata - mrugnęła porozumiewawczo. - Ale upolowałam go.

Usiadła w cieniu z przeciągłym i szczerym westchnieniem.

\_ Od razu powiem. Uwielbiałam tę twoją Katie. Miałam jej lalkę. Prawdę

powiedziawszy, wciąż ją mam. Przechowuję dla niej. - Przesunęła czule dłonią po brzuchu. - Tym razem będzie dziewczynka. Widziałam większość filmów twojej babki, jeśli nie wszystkie, mam też *Taniec w stodole* na DVD. Myślę, że się polubimy, bo spotykasz się z Fordem, a ja go kocham. Co więcej, Matt wie, że jeśli kiedykolwiek się nim znudzę i postanowię go rzucić, to polecę na Forda.

Cilla łyknęła lemoniady.

- Wiesz, ja chyba już cię lubię.

W ciężkim i przygniatającym upale ludzie szukali cienia pod ogrodowymi parasolami albo gromadzili się przy stołach pod rozłożystymi drzewami. Dzieciaki, najwidoczniej nie przejmując się gorącem i wilgotnością, wspinały się na huśtawki albo biegały z niewyczerpaną energią po podwórzu jak szczenięta. Cilla obliczyła z grubsza, że na wielkim podwórzu Matta, na solidnym tarasie i w ładnym piętrowym domu zgromadziła się setka ludzi, obejmująca z pięć pokoleń.

Siedziała z Fordem, Brianem i kilkoma innymi przy jednym ze stolików; na talerzach piętrzyły się hamburgery, hot - dogi, przeróżne letnie sałatki. Na tarasie dostrzegła ojca, Patty i rodziców Forda. Rozmawiali i posilali się. W pewnym momencie Patty wybuchnęła śmiechem, położyła dłoń na policzku Gavina i pogłaskała go. Ujął rękę żony i ucałował leciutko kostki jej dłoni, nie przerywając rozmowy.

Poczuła tępe ukłucie zazdrości, ale to świadomość pewnego faktu poruszyła ją jeszcze bardziej. Kochali się. Oczywiście, domyślała się tego w głębi ducha. Teraz jednak zobaczyła to na własne oczy, dostrzegła w odruchowych gestach, o które już ich nie posądzała. Trwała i prosta miłość. Nie tylko nawyk czy zadowolenie, nawet nie więź, która trwała już... jak długo byli razem? - zastanawiała się. Dwadzieścia trzy, dwadzieścia pięć lat? Nie, nie chodziło tylko o więź trwającą pół życia.

Zaryzykowali i wygrali.

Obok pojawiła się Angie - taka młoda, świeża, ładna - z jakimś tyczkowatym facetem w obszernych szortach, którego wcześniej przedstawiła jako Zacha. Przystanęła na tarasie, a Cilla uświadomiła sobie z zaskoczeniem, jak bardzo pragnie podejść i usłyszeć, o czym z takim ożywieniem rozmawiają jej bliscy. Po chwili, opierając dłoń na ramieniu matki, Angie pochyliła się i ucałowała głowę ojca, po czym ruszyła dalej.

Nie pozostawiało to żadnych wątpliwości - skostatowała Cilla. Stanowili rodzinę. Angie miała wrócić na jesieni do college<sup>^</sup>. Mogła przenieść się w każdej chwili swojego życia o tysiące kilometrów dalej. I wciąż byłiby rodziną.

Odwróciła wzrok od tej sceny.

- Chyba wezmę sobie piwo - powiedziała do Forda. - Masz ochotę?

- Nie, wystarczy jak dla mnie. Przyniosę ci.

Powstrzymała go, kiedy zaczął wstawać z miejsca.

- Zostań. Wezmę sobie.

Podeszła do wielkiego ocynkowanego wiadra, pełnego lodu, butelek i puszek. Nie miała szczególnej ochoty na piwo, ale pomyślała, że musi coś wziąć. Wyłowiła puszkę i, wykorzystując ją jako rekwizyt, zbliżyła się do grilla, który obsługiwał Matt.

- Robisz sobie kiedykolwiek przerwę? - spytała go.

- Miałem ze dwie. Ludzie przychodzą cały dzień, tak to jest podczas tego rodzaju imprez. Muszę pilnować ognia.

Podbiegł do nich mały synek Matta, objął ramionkami nogę ojca, gaworząc coś po dziecinnemu, czego Cilla nie mogła zrozumieć. Matt jednak zdawał się wszystko doskonale pojmować.

- Obejrzyjmy dowód.

Chłopak, z szeroko otwartymi oczami, podciągnął koszulkę, odsłaniając brzuch. Matt postukał syna w okolicę żołądka.

- No dobra, idź i powiedz babci.

Kiedy chłopak popędził w stronę domu, Matt dostrzegł zadziwioną minę Cilli.

- Wyznał, że właśnie skończył hot - doga, i spytał, czy może zjeść wielki kawał babcinego ciasta.

- Nie wiedziałam, że jesteście dwujęzyczni.

- Szczyć się różnymi umiejętnościami. - Na potwierdzenie swoich stów obrócił fachowo burgery na ruszcie. - A jak już jesteśmy przy umiejętnościach, Ford mi wspominał, że obramowałaś dziś rano okna w salonie.

- Tak. Wyglądają teraz, jeśli mam to powiedzieć - i powiem - cholernie dobrze. To twój warsztat? - Wskazała puszką cedrowy budynek na tyłach posesji.

- Tak. Chcesz zobaczyć?

- Zapewniam, że tak, ale zrobię to następnym razem.

- Gdzie zamierzasz postawić swój?

- Jeszcze nie zdecydowałam. Rozważam zbudowanie czegoś od zera albo przerobienie części stodoły. Ta druga opcja jest bardziej praktyczna.

- Ale budowanie od fundamentów to frajda.

- Nigdy tego nie robiłam, więc czuję pokusę. Jak myślisz, jaką powinien mieć powierzchnię? - spytała, zadowolona, mogąc pogadać o rzeczach, które lubiła i na których się

znała.

Wraz z nadejściem zmierzchu ludzie zaczęli kierować się do pobliskiego parku. Tłoczyli się na spokojnej bocznej uliczce, niosąc składane krzeselka, przenośne lodówki, koce, dzieci i niemowlęta. W parku witał ich wesoły, donośny dźwięk rogów.

- Marsze Sousy - wyjaśnił Ford. - Zgodnie z tym, co mówiłem.

Chwycił mocniej dwa składane krzeselka, które trzymał pod pachą, podczas gdy Cilla prowadziła Spocka na smyczy.

- Dobrze się bawisz?

- Tak. Matt i Josie urządzili niezłe przyjęcie.

- Przez chwilę wyglądałaś na zagubioną.

- Naprawdę?

- Kiedy jedliśmy. Zanim poszłaś po piwo, a ja straciłem cię na rzecz Matta i fachowej rozmowy o narzędziach.

- Pewnie zjadłam za dużo sałatki z makaronem. To mój pierwszy Czwarty Lipca w dolinie Shenandoah. Jak dotąd jest wspaniale.

Park rozpościerał się u podnóża gór, te zaś spowijała mgła upału; otaczało je drgające powietrze, które przypominało fale wody. Wokół zgromadziły się setki ludzi, niektórzy rozłożyli się na trawie. Stragany kryte markizami cieszyły się ogromnym powodzeniem; oferowano kanapki z lokalną szynką, hamburgery z sosem pomidorowym, rożki, napoje. Cilla wychwyciła zapach tłuszczu i cukru, trawy i emulsji przeciwsłonecznej.

Z głośników dobiegły najpierw trzaski, a po chwili odbijająca się echem informacja, że konkurs w zjedaniu placka z borówkami odbędzie się za pół godziny przed północnym pawilonem.

- Wspominałem o tym konkursie, prawda?

- Tak, i o czterokrotnym zwycięzcy, Wielkim Johnie Porterze.

- To odrażająca impreza. Ale nie możemy jej przepuścić.

Chodź, zaanektujemy kawałek trawnika. - Przystając, Ford rozejrzał się wokół. - Trzeba będzie uwzględnić miejsce dla Matta, Josie i Sama. O, Brian już się usadowił. Ta dziewczyna, która z nim jest, to Missy.

- Tak, już ją poznałam.

- Poznałaś dziś po południu połowę mieszkańców okręgu. - Posłał jej spojrzenie z ukosa. - Nikt nie oczekuje od ciebie, żebyś jeszcze pamiętała imiona.

- Missy Burkę, rzeczoznawca ubezpieczeniowy, ocenia szkody, rozwiedziona, bezdzietna. W tej chwili rozmawia z Tomem i Daną Anderson, którzy są właścicielami małej

galerii w Village. A Shanna spaceruje z Billem - nikt nie wymienił jego nazwiska - który jest fotografem.

- Przyznaję się do błędu.

- Widzę, że pogawędki to tutaj styl życia.

Ledwie się usadowili i zamienili kilka słów ze znajomymi, kiedy Ford zaczął ją ciągnąć na zawody w zjadaniu placka.

Dwudziestu pięciu zawodników szykowało się już do walki, na szyi mieli białe plastikowe śliniaki. Były wśród nich zarówno dzieci, jak i staruszkowie, ale najbardziej wyróżniał się ważący co najmniej sto dwadzieścia kilo Wielki John Porter.

Na dany sygnał dwadzieścia pięć twarzy zanurzyło się w cieście jagodowym. Cilla nie mogła zapanować nad śmiechem, który utonął w ogólnej wrzawie i wiwatach.

- Boże, to rzeczywiście odrażające.

- Ale zabawne. Jezu, znowu mu się uda! Wielki John! - zaczął skandować Ford.

Tłum podjął ten okrzyk i wybuchnął aplauzem, kiedy zwycięzca uniósł szeroką, upaćkaną na fioletowo twarz.

- Niepokonany - zawyrokował Ford, kiedy Wielkiego Johna ogłoszono zwycięzcą. - Tego faceta nie można pokonać. Jest Supermanem zjadaczy placka. Okej, w południowym pawilonie odbywa się loteria fantowa. Chodź, spróbujemy wylosować coś wyjątkowo brzydkiego i bezużytecznego.

Po dłuższej debacie zdecydowali się na zegar ścienny pod postacią plastikowego koguta w krwistej czerwonym kolorze. Potem poszli kupić losy.

- Witam, pani Morrow. Jak dochody? - spytał Ford.

- Idzie nam w tym roku świetnie. Czuję, że będzie rekord. Cześć, Cilla. Wspaniale wyglądasz. Dobrze się bawisz?

- Doskonale.

- Cieszę się. Przypuszczam, że w porównaniu z tym, jak zwykle spędzasz święto, wydaje ci się to skromne i trochę prowincjonalne, ale chyba udało się nam zorganizować niezłą uroczystość.

No dobrze, ile mogę z was wydusić? To znaczy... - Cathy zatrzepotała żartobliwie rękami. - Ile chcecie losów?

- Ze dwadzieścia - rzucił Ford.

- Dla każdego - dodała Cilla i wyciągnęła banknot.

- To mi się podoba! - Cathy odliczyła losy i oddarła od nich kupony. - Powodzenia. Zdążyliście w ostatniej chwili. Ogłoszenie wyników losowania zacznie się za dwadzieścia

minut, podadzą to przez głośniki. Ford, jak zobaczysz swoją mamę, powiedz jej, żeby mnie odszukała. Chcę z nią porozmawiać o...

Cilla wyłączyła się z rozmowy, kiedy zauważyła, że z drugiego końca pawilonu przygląda jej się z uwagą Hennessy. Poczła niemal dreszcz na skórze, wywołany jego nienawistnym spojrzeniem. Obok mężczyzny stała niewysoka kobieta o zmęczonej twarzy i równie zmęczonych oczach. Pociągnęła go za ramię, ale on się nie ruszył. Dzień pozbył się nagle żaru, światła, wszelkiego koloru. Nienawiść zabija wszelką radość - pomyślała Cilla. Ale nie zamierzała się odwracać, nie chciała sobie na to pozwolić.

Więc to on się odwrócił, ulegając namowom żony; oddalili się od pawilonu, idąc po letniej zielonej trawie.

Nic nie powiedziała Fordowi. Nie chciała psuć tego dnia. Ukoła lemoniadą gardło, w którym zaschło jej od tego milczącego spotkania, i ruszyła przez tłum, podczas gdy słońce zaczęło zniżać się ku szczytom na wschodzie.

Rozmawiała, śmiała się. Wygrała zegar w kształcie koguta. Poczła, jak opuszcza ją napięcie. Kiedy się ściemniło, na kolana Forda wspiął się Sam i obaj zaczęli prowadzić jakąś dziwną i podekscytowaną rozmowę.

- Skąd wiesz, co on mówi? - nie mogła zrozumieć Cilla.

- To język zbliżony do mowy Klingonów.

Ogłoszono, że zaraz zostanie odegrany *Gwiazdzisty sztandar*, i wszyscy wstali z miejsc. Ford, tuż obok Cilli, podniósł Sama na wysokość biodra. Wokół niej, pod niebem koloru indy go, w blasku lamp jarzeniowych i migotaniu światełek w ciemności, narastała pieśń niezliczonych głosów. Pod wpływem odruchu i nagłego pragnienia wzięła Forda za rękę i nie puszczała jej do chwili, aż ucichły ostatnie takty hymnu.

Gdy tylko zajęli miejsca, na niebie eksplodowały pierwsze fajerwerki. Na ten dźwięk Sam zerwał się z kolan Forda i pobiegł do ojca. A Spock natychmiast zajął miejsce chłopca.

Bezpieczni - pomyślała Cilla, kiedy w górze rozbłyskiwały błękitem światła. Tu, gdzie zawsze będą bezpieczni, o czym obydwójce wiedzieli.

- Dobrze było? - spytał Ford, kiedy jechali cichymi drogami w stronę domu.

- Bardzo dobrze. - Zdziwiała, jak sobie teraz uświadomiła. - Na początku, w środku i na końcu.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - Zerknął na zegar.

- Z tym? - Cilla trzymała koguta w ramionach. - Czy tak się mówi o naszym dziecku? - Poklepała czule zegar. - Zastanawiam się nad stodołą. Przydałby mi się tam zegar, a ten jest w sam raz. Poza tym chcę mieć pamiątkę po pierwszym Świącie Niepodległości. Wiesz,



kiedy dom zostanie ukończony, będzie już koniec roku, za późno na przyjęcie pod gołym niebem, ale chyba zaplanuję coś na przyszłość. Coś wielkiego, na świeżym powietrzu. Ogień w palenisku, półmiski zjedzeniem, kwiaty i świece. Chciałabym się wreszcie przekonać, jak to jest, kiedy dom wypełniają ludzie, którzy przy nim nie pracują. - Wyciągnęła nogi. - Ale dziś wieczór jestem rozrywkowo zaspokojona. Miło wracać do ciszy i spokoju.

- Już prawie jesteśmy na miejscu.

- Chcesz dzielić ten spokój ze mną?

- Chodziło mi to po głowie.

Spojrzeni na siebie porozumiewawczo, kiedy Ford skręcał w jej podjazd. Strumień światła reflektorów przesunął się po czerwonym klonie.

- Co tam wisi...

- Mój pikap! - Pochyliła się gwałtownie do przodu, przytrzymując się deski rozdzielczej. - O, do diabła, co za sukinsyn!

Zatrzymaj się! Zatrzymaj się!

Zdażyła już odpiąć pas i zaczęła otwierać drzwi, jeszcze zanim stanął za jej samochodem. Z tylnej szyby pozostały tylko kawałki. Błyszczały na żwirze, chrzęszcząc pod jej stopami, kiedy biegła w stronę swego wozu.

Ford wyciągnął komórkę i zaczął wystukiwać numer policji.

- Zaczekaj, Cilla. Zaczekaj.

- Wszystkie szyby. Roztrzaskał wszystkie szyby.

W przedniej ziały dziury po kulach, po całej powierzchni szkła biegły pajęczyny pęknięć. Dławiąc się lodowatą wściekłością, zobaczyła, że reflektory też są stłuczone, a osłona chłodnicy wgnieciona.

- Cholernie mi pomógł ten alarm. - Miała ochotę płakać.

Miała ochotę krzyczeć. - Cholernie.

- Wejdziemy do środka, sprawdzimy, co z alarmem. Ja to zrobię, a ty potem zostaniesz w domu.

- Za dużo tego, Ford. O wiele za dużo. Tej złośliwości, odgrywania się, obłędu. Tego starego drania trzeba zamknąć.

- Hennessy'ego? Wyjechał z miasta.

- Nie wyjechał. Widziałam go dziś wieczorem, był w parku.

Wrócił. I jestem pewna, że gdyby mógł w tym momencie użyć przeciwko mnie tego, czego użył tutaj - kija albo stalowej rurki - zrobiłby to bez wahania.

Odwróciła się na pięcie, nie mogąc stłumić wściekłości. I zobaczyła w świetle

reflektorów to, co wisiało na gałęzi klonu i co wcześniej zauważył Ford.

Chwyił ją za ramię, kiedy ruszyła przed siebie.

- Wejdźmy do domu. Poczekamy na policję.

- Nie. - Strząsnęła jego rękę i zeszła ze żwirowej ścieżki na trawę.

Przypominała sobie, że miała sześć lat, kiedy na rynku pojawiła się ta lalka. Miała jej włosy - jasne blond włosy, które nie zaczęły jeszcze ciemnieć - zebrane w dwa kucyki, przewiązane różową wstążką tuż nad uszami. Wstążka zdobiona różowo - białą sukienkę z tkaniny bawełnianej była tego samego koloru. Białe, koronkowe skarpetki tuż nad lśniącymi skórzanymi lakierkami.

Uśmiech miała tak słoneczny jak włosy, tak słodki jak różowe wstążki.

Zauważyła, że pętlę skreślił ze sznura na białiznę. Była to dokładna i staranna robota, lalka przypominała makabrycznie prawdziwego wisielca. Tuż nad wstążką otaczającą talię umieszczono tekturową tabliczkę ze słowem DZIWKĄ.

- Można było dokupić do tej lalki zestaw naczyń. Bardzo mi się podobał. - Odwróciła się i wzięła na ręce popiskującego i drżącego Spocka. - Masz rację. Powinniśmy wejść do środka i sprawdzić dom, tak na wszelki wypadek.

- Daj mi klucze. Chcę, żebyś poczekała na werandzie. Proszę.

Uprzejme słowo - pomyślała Cilla. Jakie to dziwne, słyszeć ton absolutnej władczości w tej prośbie.

- Wiemy, że go tam nie ma.

- Dlatego możesz spokojnie poczekać na werandzie. - By zakończyć dyskusję, otworzył po prostu jej torebkę i wyjął klucze.

- Ford...

- Zaczekaj tu.

Zostawił drzwi otwarte, nie miał więc wątpliwości, że Cilla zrobi to, co jej kazał. Wzruszyła ramionami i podeszła do balustrady. Poglaskała Spocka i postawiła go na ziemi. W domu nikogo nie było, mogła więc spokojnie czekać. I nie było sensu się spierać.

Zresztą z miejsca, w którym stała, widziała dokładnie swój wóz i mogła rozmyślać o tym, co się stało. Zagłębiać się w refleksjach. Czula się tak dobrze tamtego dnia, kiedy kupiła ten samochód, i była pełna oczekiwań, kiedy pakowała go przed podróżą na wschód.

Pierwsze kroki, by spełnić swoje marzenie.

- Wszystko w porządku - odezwał się Ford za jej plecami.

- Ale tak naprawdę nie jest?

Jakaś jej cząstka, wredna i żalosna, podpowiadała jej, by zrzucić z ramion te pełne

pociechy dłonie. Ale powstrzymała się.

- Wiesz, co mi się dzisiaj zdawało? Że gram w filmie. Nie w tym złym znaczeniu, wręcz przeciwnie. Drobne fragmenty i sceny filmu, w którym chciałam uczestniczyć. Nie wczułam się w to jeszcze do końca, jakbym pierwszy raz stanęła na planie. Ale zaczęło mi być... naprawdę dobrze w swojej skórze. - Wciągnęła głęboko powietrze w płuca i odetchnęła przeciągle. - A to, co się stało, to rzeczywistość. Potłuczone szyby. Ale jedno jest dziwne, naprawdę dziwne. To byłam ja, dzisiaj. To byłam ja. A to tutaj? Nieważne, co to oznacza, to tylko iluzja, miraż. Dym i zwodnicze zwierciadła.

*Cmentarz Forest Lawn 1972*

Powietrze było gorące i nieruchome, przesycone smogiem, który przypominał ślady pozostawione przez spocone palce. Groby skrywające w swych wnętrzach zarówno gwiazdy, jak i zwykłych śmiertelników przypominały zimne kamienie w zieleni. I wszystkie te kwiaty, łączy rozlane przez żywych dla zmarłych.

Janet była ubrana na czarno, jej ciało pod sukienką skurczyło się z żalu. Niczym gałązka wierzby, która nagle zrobiła się krucha. Jej twarz kryła się w cieniu szerokiego czarnego kapelusza i za ciemnymi okularami, ale te zasłony nie mogły powstrzymać żalu i smutku.

- Nie mogą jeszcze położyć kamienia. Najpierw musi osiąść ziemia. Ale widzisz go, prawda? Imię wyryte na białym marmurze, te krótkie lata, kiedy go miałam. Myślałam o jakimś wierszu, kilku wersach, które można by tu umieścić, ale jak mogłam myśleć? Jak mogłam? Kazałam więc tylko wyryć słowa „Aniołowie zapłakali”. Tylko tyle. Pewnie płakali. Z żalu za moim Johnniem. Widzisz anioły, które spoglądają na niego z góry i płaczą?

- Tak, przychodziłam tu wcześniej.

- Wiesz zatem, jak będzie to wyglądało. Jak zawsze będzie wyglądało. Był miłością mojego życia. Wszyscy mężczyźni, kochankowie, przychodzili i odchodzili. Ale on? Johnnie. On wyszedł ze mnie. - Każde słowo, które wypowiadała, przesycał żal. - Powinnam mieć... tyle rzeczy. Możesz sobie wyobrazić, co to oznacza dla matki stać nad grobem swojego dziecka i myśleć: „Powinnam mieć”?

- Nie. Przykro mi.

- Tak wielu ludziom jest przykro. Wyrażają swój żal, a on niczego nie zmienia. Później trochę pomaga. Ale przez te pierwsze dni, pierwsze tygodnie, niczego nie zmienia. Będę tam. - Wskazała ziemię obok grobu. - Wiem o tym nawet teraz, ponieważ tak ustaliłam. Ja i Johnnie.

- I twoja córka. Moja matka.

- Z drugiej strony. Obok mnie, jeśli zechce. Ale jest młoda i pójdzie swoją drogą. Ona chce... wszystkiego. Wiesz o tym, a ja nie mam dla niej nic, teraz, przez te pierwsze dni, pierwsze tygodnie. Nic do ofiarowania. Ale będę tam niedługo, w ziemi, z Johnniem. Nie wiem jeszcze kiedy, nie wiem, jak szybko się to stanie. Ale myślę, żeby to zrobić teraz. Myślę o tym codziennie. Jak mogę żyć, kiedy moja dziecinka nie żyje? Zastanawiam się, jak to zrobić. Pigułki? Żyletka? Wejść do morza? Nie mogę się zdecydować. Żal otępił umysł.

- A miłość?

- Miłość otwiera umysł, kiedy jest prawdziwa. Dlatego może tak bardzo boleć. Zastanawiasz się, czy mogłam temu zapobiec. Gdybym nie pozwoliła mu tak oszaleć. Ludzie mówili, że pozwoliłam.

- Nie wiem. Tamtej nocy zginął też inny chłopiec, a trzeci został sparaliżowany.

- Czy to była moja wina? - spytała Janet, kiedy gorycz stłumiła na chwilę żal. - Wina Johnniego? Wszyscy wsiedli tamtego wieczoru do samochodu, prawda? Pijani, naćpani. Którykolwiek z nich mógł usiąść za kierownicą i nic by się nie zmieniło. Tak, tak, folgowałam mu i teraz dziękuję za to Bogu. Dziękuję Bogu, że dałam mu w tym jego krótkim życiu wszystko, co mogłam. Zrobiłabym to jeszcze raz. - Zakryła twarz dłońmi, a jej ramiona zaczęły drżeć. - Jeszcze raz.

- Nie winię cię. Jak mogłabym? Nie wiem. Hennessy cię wini.

- Czego więcej chce? Krwi? - Odjęła dłonie od twarzy i wyrzuciła ręce przed siebie. Po białych policzkach spłynęły łzy. - Przynajmniej ma swojego syna. A ja mam tylko imię wyryte w marmurze.

Osunęła się na kolana.

- Myślę, że chce więcej krwi. Myślę, że chce mojej - powiedziała Cilla.

- Nie może chcieć więcej. Powiedz mu to. - Janet położyła się obok grobu, przesunęła po nim dłońmi. - Dość już było krwi.

## ROZDZIAŁ 20

Cilla nie powiedziała nikomu. Wszyscy myśleli, że pojechała po materiały, które dostała od firmy ubezpieczeniowej.

Zatrzymała się przed domem Hennessych, na zacienionej uliczce w Front Royal. Na podjeździe, obok podwyższenia, które prowadziło do drzwi wejściowych parterowego domku w stylu ranczo, parkowała furgonetka.

Załomotało jej serce. Nie zastanawiała się, czy z nerwów, czy z gniewu. Było to bez znaczenia. Miała zamiar zrobić to, co musiała. I powiedzieć to, co musiała.

Drzwi się otworzyły, zanim Cilla zdążyła zapukać, i na progu stanęła kobieta, którą widziała poprzedniego wieczoru w parku.

- Czego pani tu chce?

- Pomówić z pani mężem.

- Nie ma go w domu.

Cilla obróciła głowę i popatrzyła znacząco na białą furgonetkę, potem znów spojrzała w oczy pani Hennessy.

- Pojechał do warsztatu moim wozem, który wymagał naprawy. Myśli pani, że kłamię?

- Nie znam pani. Pani nie zna mnie. Nie znam pani męża, w każdym razie nie lepiej, niż on zna mnie.

- Ale wciąż nasyła pani na nas policję. Dziś rano znowu przyszli z tymi swoimi pytaniami i podejrzeniami, z pani oskarżeniami. - Pani Hennessy westchnęła urywanie. - Chcę, żeby pani odeszła. Odeszła i zostawiła nas w spokoju.

- Chętnie bym to zrobiła. Z przyjemnością. Niech mi pani powie, co może go powstrzymać.

- Powstrzymać przed czym? Nie mamy nic wspólnego z pani kłopotami. Czyż nie mamy dość własnych? Nie trzeba nam jeszcze, żeby wskazywała pani na nas palcem.

Cilla powiedziała sobie w duchu, że się nie cofnie. Że nie będzie czuła się winna tylko dlatego, że przypiera do muru tę małą, wystraszoną kobietę.

- Przejeżdża obok mojego domu prawie każdego dnia. I prawie każdego dnia parkuje na poboczu, czasem stoi tak przez godzinę.

Pani Hennessy wykrzywiła wargi i spłotła palce.

- To nie jest zakazane przez prawo.

- Nachodzenie prywatnego terenu jest zakazane przez prawo.

Roztrzaskanie człowiekowi czaszki jest zakazane przez prawo.

Włamanie i niszczenie czyjejs własności jest zakazane przez prawo.

- Nie zrobił nic takiego. - Strach pozostał, ale teraz można było dostrzec też gniew. -

Jeśli twierdzi pani inaczej, to jest to kłamstwo.

- Nie kłamię, pani Hennessy, i nie jestem dziwką.

- Nie wiem, czym pani jest.

- Wie pani, jeśli nie jest pani równie szalona jak on, że nie ponoszę odpowiedzialności za to, co stało się z waszym synem.

- Proszę nie mówić o naszym chłopcu. Nie znała pani mojego chłopca. Nic pani o tym nie wie.

- Zgadza się. Nie wiem. Dlaczego mnie pani wini?

- Nie winię pani. - Ogarnęło ją znużenie. - Dlaczego miałabym winić panią za to, co stało się tyle lat temu? Tyle strasznych lat temu? Nikogo nie można winić. Winię panią za to, że sprowadza pani policję na mojego męża, kiedy nic pani nie zrobił.

- Podeszłam do jego wozu, żeby się przedstawić, wyrazić swoje współczucie, a on nazwał mnie jeszcze dziwką i napluł na mnie.

Na policzkach pani Hennessy pojawił się rumieniec wstydu. Zadrżały jej wargi, a wzrok uciekł gdzieś w bok.

- To pani tak mówi.

- Moja siostra przyrodnia przy tym była. Ona też kłamie?

- Nawet jeśli tak było, to i tak nie ma porównania z tym, co pani nam robi.

- Widziała pani, jak patrzył na mnie wczoraj wieczorem w parku. Wie pani, jak bardzo mnie nienawidzi. Apeluję do pani, pani Hennessy. Niech trzyma go pani z dala ode mnie i mojego domu.

Cilla odwróciła się. Zdążyła dotrzeć do połowy schodów, kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwiami i zgrzyt zamka.

Dziwne, ale ta rozmowa, chociaż pełna napięcia i trudna, sprawiła, że poczuła się lepiej. Zrobiła coś więcej prócz wzywania policji i siedzenia w oczekiwaniu na następny atak.

Idąc za ciosem, tak jak była zdecydowana zrobić, podjechała pod biuro nieruchomości, żeby złożyć ofertę kupna pierwszego domu, który wybrała. Udało jej się zaferować znacznie mniej, niż dom był wart na rynku. Cilla zawsze traktowała negocjowanie i oferty jako doskonałą zabawę.

Siedząc w wozie, skontaktowała się z agentem od nieruchomości, by umówić się na oglądanie drugiego domu. Doszła do wniosku, że trzeba kuć żelazo, póki gorące. Pojechała z

powrotem do Morrow Village, załatwiła kolejną porcję zakupów, w tym także spożywczych, i ruszyła do domu.

Dostrzegła białą furgonetkę, zanim Hennessy dostrzegł ją. Ponieważ nadjeżdżał od strony Małej Farmy, przyszło jej do głowy, że zdążył zajrzeć do domu, porozmawiać z żoną i znów wyjechać, kiedy ona zajmowała się sprawunkami w Fort Royal i Village.

Zauważył ją, kiedy się mijali. Jego twarz zapłonęła wściekłością.

- Tak, zgadza się - mruknęła, skręcając na rogu. - To nie mój pikap, ponieważ rozwaliliś go zeszłej nocy.

Otrząsnęła się z irytacji i skręciła w następną ulicę. Zerknęła w lusterko wsteczne i zauważyła białą furgonetkę.

A więc chcesz to załatwić? - zastanawiała się. To, co Ford nazwał spotkaniem twarzą w twarz? Doskonale. Świetnie. Proszę bardzo, niech jedzie za nią do samego domu, gdzie...

Kierownica szarpnęła gwałtownie w jej dłoniach, gdy furgonetka walnęła w jej wóz od tyłu. Szok nie pozostawił miejsca na gniew czy nawet strach, kiedy zacisnęła palce na kole kierownicy.

Znowu ją walnął - trzask metalu, pisk opon. Miała wrażenie, że jej samochód podskoczył i skręcił w prawo. Szarpnęła kierownicą, by zapanować nad wozem. Zanim zdążyła wcisnąć gaz, uderzył w nią po raz trzeci. Koła zjechały z asfaltu na pobocze, ona zaś poleciała gwałtownie do przodu, a potem do tyłu. Błotnik otarł się o barierkę, a jej skroń uderzyła o boczne okno.

Przed oczami zatańczyły jej małe jasne kropeczki; zacisnęła zęby i pomodliła się, gdy autem zarzuciło. Wóz się zakołysał i przez jedną straszną chwilę sądziła, że będzie dachować. Wylądowała z okropnym łomotem, maską do przodu, w przydrożnym rowie po drugiej stronie drogi, z eksplodującą poduszką powietrzną.

Potem, już po wszystkim, wiedziała, że to było działanie adrenaliny, czysta wściekłość wywołana czymś absolutnym chamstwem - wyskoczyła z samochodu i zatrzęsła drzwiami. Jakaś kobieta biegła po trawniku obok domu po tej stronie drogi.

- Widziałam, co zrobił! Widziałam to! Wezwałam policję!

Ani Cilla, ani Hennessy nie zwracali na nią najmniejszej uwagi. Wygramolił się z furgonetki i ruszył w stronę Cilli z zaciśniętymi pięściami.

- Nie będziesz nachodziła nas w domu! Nie będziesz rozmawiać z moją żoną!

- Pieprzę cię! Pieprzę! Jesteś stuknięty. Mogłeś mnie zabić.

- Byłabyś w piekle razem z resztą.

Przewracając dziko oczami, obnażając zęby, pchnął ją brutalnie.

- Nie waż się dotknąć mnie jeszcze raz, stary draniu!

Znowu ją pchnął; zatoczyła się i wpadła na swój wóz.

- Widzę cię. Widzę cię, ty suko!

Tym razem uniósł pięść. Cilla wymierzyła mu kopniaka w krocze i zwała na ziemię.

- O Boże! O mój Boże!

Jak przez mgłę zalewana falą adrenaliny, która tryskała jak woda przez dziurawą tamę, zobaczyła kobietę biegnącą w jej kierunku. W jednym ręku miała komórkę, w drugim kołek ogrodowy.

- Nic pani nie jest? Kochanie, wszystko w porządku?

- Tak, chyba. Jest mi... trochę niedobrze. Muszę... - Cilla usiadła i wsunęła głowę między uniesione kolana. Nie była w stanie złapać oddechu, nie miała czucia w palcach. - Może pani po kogoś zadzwonić?

- Oczywiście, że mogę. Nie próbuj się pan podnosić, ostrzegam. Walnę cię tym kolkiem w łeb, przysięgam, że to zrobię. Po kogo mam zadzwonić, kochanie?

Cilla zwiesiła głowę, czekając, aż oprzytomnieje, a potem podała jej numer Forda.

Zjawił się na miejscu przed policją i niemal wyskoczył ze swojego wozu. Spróbowała wstać, wdzięczna, że kobieta, Lori Miller, stoi nad Hennessym niczym strażnik więzienny.

Hennessy usiadł, na jego białej jak papier twarzy z wolna wysychał pot.

Ford pochylał się nad Cillą.

- Stało ci się coś? Krwawisz!

- To nic. Uderzyłam się tylko w głowę. Chyba wszystko w porządku.

- Chciałam wezwać karetkę, ale się nie zgodziła. Jestem Lori. - Kobieta wskazała ręką swój dom.

- Tak. Dzięki. Dzięki. Cilla...

- Jestem tylko trochę roztrzęsiona. Myślałam, że zwymiotuję, ale mi przeszło. Pomóż mi wstać, dobrze?

- Najpierw popatrz na mnie.

Ujął ją pod brodę, spojrzał w oczy. To, co w nich zobaczył, uspokoiło go na tyle, że pomógł jej podnieść się na nogi.

- Trzęsą mi się kolana - poskarżyła się. - Boli tutaj.

Przytknęła palce do miejsca pod guzem na skroni.

- Ale to chyba jedyna kontuzja. Nie wiem, jak pani dziękować - zwróciła się do Lori.

- Nic takiego nie zrobiłam. Wie pani, jak o siebie zadbać, bez dwóch zdań. O, jadą - Lori wskazała zbliżający się radiowóz policyjny. - No, teraz mnie się kolana trzęsą -



oznajmiła, parszczając śmiechem. - Tak się chyba dzieje, kiedy najgorsze mija.

Opowiedziała swoją wersję wydarzeń jednemu z zastępców szeryfa, podczas gdy Lori, jako świadek zajścia, rozmawiała z drugim funkcjonariuszem. Cilla przypuszczała, że ślady opon na asfalcie mówią same za siebie. Hennessy, o ile mogła się zorientować, odmówił składania jakichkolwiek wyjaśnień. Widziała, jak zastępca szeryfa wsadza go na tylne siedzenie radiowozu.

- Mam zakupy w pikapie. Muszę je wyjąć, zanim odholują wóz.

- Przyślę po nie kogoś. Chodź.

- Byłam prawie w domu - powiedziała, kiedy Ford pomógł jej wsiąść do swojego samochodu. - Jeszcze kilometr i byłabym bezpieczna.

- Przyłożymy ci lód na to stłuczenie, a ty musisz mi powiedzieć prawdę, jeśli gdziekolwiek jeszcze cię boli. Musisz, Cilla.

- Nie mogę się jeszcze zorientować. Czuję się trochę odrętwiała i wyczerpana. - Westchnęła przeciągle, kiedy zatrzymali się przed jej domem. - Chyba posiedzę sobie przez chwilę w jakimś chłodnym miejscu, żeby wrócić do siebie, jak to się mówi. Zadzwońisz do kilku chłopaków, żeby zabrali rzeczy z mojego samochodu?

- Tak, nie martw się o to.

Otoczył ją w talii ramieniem i poprowadził w stronę domu.

- Łóżko czy kanapa?

- Myślałam o krześle.

- Łóżko czy kanapa? - powtórzył.

- Kanapa.

Wprowadził ją do salonu, żeby nie tracić jej z oczu, i jednocześnie przygotowywał worek z mrożonym groszkiem na skroń. Spock przy dreptał i zaczął się ocierać łbem o jej rękę.

- W porządku - zapewniła zwierzaka. - Nic mi nie jest.

Oparł się przednimi łapami o siedzisko kanapy, obwąchał jej twarz i polizał po policzku.

- Złaż - rozkazał Ford, zjawiając się z lodem.

- Nie, niech zostanie... może potrzynam go przez chwilę na kolanach.

Ford poklepał kanapę. Spock natychmiast wskoczył na sofę, wyciągnął się na brzuchu obok Cilli i ułożył łeb na jej kolanach.

Ford poprawił poduszki pod jej głową. Przyniósł zimnego drinka, musnął wargami jej czoło, a potem położył zimny okład na skroni.

- Pójdę zadzwonić. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

- Nie, mam wszystko. Już lepiej.

Uśmiechnął się.

- To magiczny groszek.

Kiedy się odwrócił i wyszedł na tylną werandę, żeby zadzwonić, uśmiech na jego twarzy przerodził się w nieklamana wściekłość. Uderzał rytmicznie pięścią w balustradę, wystukując drugą ręką numer na komórce.

- Nie bardzo mogę rozmawiać - powiedział, kiedy po drugiej stronie odezwał się Matt.

- Cilla jest tutaj. Nic jej się nie stało.

- Co przez to rozumiesz, że nic jej...

- Nie mogę teraz mówić.

- Okej.

- Jej samochód stoi jakiś kilometr stąd, w stronę miasta.

Chciałbym, żebyś posłał tam kogoś po rzeczy, które dzisiaj kupiła. Hennessy ją zaatakował i teraz zajmuje się nim policja.

- Jasna chol...

- Zadzwonię później, jak będę mógł już o tym gadać.

Wyłączył się, zerknął na swoją dłoń i zobaczył, że wałąc o słupek balustrady, skaleczył się. Dziwne, ale pomogło mu to.

Uznawszy, że jest dostatecznie spokojny, wszedł z powrotem do domu. Ponieważ Cilla leżała spokojnie z przymkniętymi powiekami, obejmując jedną ręką psa, uniósł wieko skrzyni pod oknem i wyjął jedną z narzut, które były tam schowane. Otworzyła oczy, kiedy ją przykrył.

- Nie śpię. Próbowałam sobie przypomnieć, jak się medytuje - Medytuje?

- Kalifornia, pamiętasz? Każdy, kto choć rok spędził w Kalifornii, musi nauczyć się choćby w minimalnym stopniu medytacji. Nigdy mi to nie wychodziło. Opróżnić umysł? Jak tylko opróżniam go trochę, zaraz coś do niego wskakuje, żeby wypełnić puste miejsce. Wiem, że mówię bez sensu.

- W porządku, nie przejmuj się.

Usiadł na brzegu kanapy i przewrócił worek z groszkiem na chłodniejszą stronę.

- Ford, on naprawdę chciał mnie zabić. - Wlepiła w niego wzrok, w którym dostrzegł cień bólu, kiedy się uniosła, żeby usiąść. - To nie jak baletowe skoki przez las, kiedy człowieka goni ożywiony psychopatyczny zabójca. Czasem ludzie mnie nie cierpią. Moja własna matka, od czasu do czasu. Niektórzy nawet próbowali mnie skrzywdzić. Chodziłam

kiedyś z jednym facetem, który raz mi nieźle dołożył. Raz - powtórzyła. - Nie miał szansy zrobić tego ponownie. Ale nawet on mnie nie nienawidził. Nie chciał mnie zabić. Nie wiem, jak sobie wytłumaczyć, że ktoś może tego pragnąć. Nie wiem, jak to dopasować do swojego życia i poradzić sobie z czymś takim.

- Nie wytłumaczysz sobie. Nie można wytłumaczyć sobie czegoś, co jest pozbawione racjonalności i logiki. I jeszcze jedno.

Cilla, radzisz sobie z tym. Poradziłaś sobie. Powstrzymałaś go.

- Naprawdę szczęśliwy kopniak w siedemdziesięcioletnie czy osiemdziesięcioletnie jaja. Byłam tak wkurzona, Ford. że nie myślałam w tamtej chwili. Czy zostałam w samochodzie, zamknęłam drzwi, zadzwoniłam na policję albo do ciebie, albo do kilku innych facetów w odległości pół kilometra jak racjonalna osoba? Nie, wyskoczyłam z samochodu i stanęłam do konfrontacji z tym... tym świrem, który chciał mnie dopiero co staranować swoim autem, jakby się bał mojego ostrego języka. I wciąż byłam taka wkurzona, kiedy mnie pchnął, że mu nie popuściłam, jakbym nie potrafiła zwać przed facetem, który mógłby być moim dziadkiem.

- Ucieczka to nie w twoim stylu. - Położył jej palec na ustach, kiedy znów zaczęła mówić. - To nie ty. Czy wolałbym, żebyś zamknęła się w samochodzie i zadzwoniła do mnie? Może. Bo wtedy mógłbym popędzić ci na pomoc. To ja mógłbym skopać mu jaja. Ale prawdę powiedziawszy, czuję się lepiej, wiedząc, że kiedy ktoś próbuje cię skrzywdzić, to potrafisz sobie poradzić.

- Nie miałabym nic przeciwko temu, że bym nie musiała przez dłuższy czas tego udowadniać.

- Ja też. - Poglaskał ją po włosach, gdy położyła mu głowę na ramieniu. - Ja też.

I może nie miałby nic przeciwko temu, by nie uświadamiać sobie jeszcze, że jest w niej zakochany. Mógłby dojść do tego powoli, tak jak wchodził do jej domu po drugiej stronie drogi. Zwyczajnie i bez trudu. Tymczasem uderzyło go to z siłą ciosu, zaatakowało wraz z gniewem i strachem, kiedy zobaczył ją siedzącą na poboczu szosy.

Nie mógł nic z tym teraz zrobić - powiedział sobie. Kiepski moment. Teraz najbardziej potrzebowała ramienia, na którym mogłaby się wesprzeć, kogoś, kto przynosiłby jej zimne okłady z mrożonego groszku i ofiarował jakieś spokojne miejsce, gdzie mogłaby... dojść do siebie.

- Jak głowa?

- Dziwne, ale mam wrażenie, jakbym uderzyła nią o szybę w samochodzie - zażartowała.

- Chcesz aspiryny?

- Tak. I może dobrze zrobiłaby mi sesja w twoim jacuzzi.

Jestem trochę zeszywniała i obolała. Nieźle mną rzucało, kiedy walił w mój samochód.

Z trudem zapanował nad pragnieniem, by mocniej wziąć ją w ramiona, by przytulić do siebie.

- Zajmę się tym.

- Dzięki. - Odwróciła głowę i musnęła mu krtań wargami. - Dzięki przede wszystkim za to, że pomogłeś mi się uspokoić. Tobie też - dodała, całując Spocka.

- W domu Sawyera masz zapewnioną terapię posttraumatyczną.

Pomógł jej zejść na dół. Przygotował jacuzzi i włączył natryski, podczas gdy ona ściągała koszulę.

- Przynieść ci iPod'a?

- Nie, nie trzeba. Może mimo wszystko spróbuję pomedytować. - Skrzywiła się, próbując rozpiąć stanik na plecach. - Jezu naprawdę jestem zeszywniała i obolała.

- Pozwól, że to zrobię. Mam doświadczenie z takimi wynalazkami.

Uśmiechnęła się i opuściła ręce, kiedy stanął za nią.

Znów poczuł przypływ furii, uderzenie ślepej i bezmyślnej wściekłości. Jej plecy i łopatki pokryte były fioletowymi sińcami, które przypominały gniewne czarne obłoki. Jeszcze więcej sińców dostrzegł na lewym przedramieniu i świeżą czerwoną szramę, jak oparzenie, biegnącą wzdłuż ramienia.

- Kłopoty z mechaniką? - spytała Cilla.

- Nie. - Zdumiewające - pomyślał - jak spokojnie brzmi jej głos. Jak rzeczowo. - Masz tu kilka sińców.

- I czuję się, jakbym je miała. Pewnie zrobiłam to sobie, kiedy pchnął mnie na samochód. - Pochyliła głowę na próbę, potem przekrzywiła ją i syknęła, przesuwając palcami po ramieniu i klatce piersiowej. - Pas też zrobił swoje. Cholera! No cóż, lepsze to niż coś gorszego.

- Kurwa - powiedział cicho, ale ona usłyszała i odwróciła się.

by spojrzeć na niego.

- Ford.

- Kurwa! - Wyrzucił z siebie to słowo, nie mogąc już dłużej zapanować nad wściekłością, która wezbrała w nim jak gejzer. - Będziesz musiała znaleźć swój spokój i zen gdzie indziej, boja ci w tym nie pomoże. Do diabła! Do diabła! Ten sukinsyn rzucił się na

ciebie. Jesteś cała posiniaczona i poobijana. On ci to zrobił Widziałas swój samochód? Na litość boską, widziałas, co zrobił, co próbował zrobić? Skrzywdził cię.

Obróciła się i spojrzała na niego. Dłońmi zaskakująco spokojnymi w porównaniu z jego twarzą i głosem rozpiął guzik przy jej spodniach i ukląkł, by ściągnąć je z nóg.

- Twój samochód stoi w pieprzonym rowie, a ty nie jesteś w nim tylko dlatego, że mu się nie dałaś. Na szosie były ślady poślizgu, o ile mogłem się zorientować. - Zdjął jej buty, skarpetki, podniósł jej stopę, a potem drugą, żeby zsunąć z niej spodnie. - Lepsze to niż coś gorszego? Będzie lepsze, kiedy wybiję temu stukniętemu draniowi zęby. Wtedy będzie lepsze.

Podniósł ją i pomógł wejść do bulgoczącej wody, gdzie po prostu usiadła, patrząc na niego.

- Przyniosę aspirynę i ten szlafrok, który tu zostawiłaś. Kiedy ruszył po schodach, Cilla odetchnęła głęboko i westchnęła: „Rany”. Nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Medytacja może rzeczywiście niewiele by jej pomogła, ale kwadrans spędzony w gorącej wodzie przy akompaniamencie natrysków zrobił jej bardzo dobrze. Zwłaszcza że wciąż przypominała sobie gniew Forda, leżąc z zamkniętymi oczami.

Zaskoczona tym, jak bardzo się uspokoiła, wyszła ostrożnie z wanny. Owijając się ręcznikiem, usłyszała, jak schodzi na dół.

- Ja to zrobię - uprzedził ją, kiedy chciała przykryć wannę wiekiem. - Trzymaj.

Dał jej pastylki i wodę, a potem pomógł włożyć szlafrok.

- Przepraszam, że się wkurzyłem. Nie potrzebujesz jeszcze jednego bredzącego szaleńca.

- Mylisz się. Pomogłeś mi, dając dokładnie to, czego potrzebowałam, żeby się uspokoić, kiedy byłam najbardziej roztrzęsiona. Zachowałeś zimną krew, zaprowadziłeś gdzieś, gdzie było chłodno i cicho. Dałeś mi magiczny groszek i pozwoliłeś oprzeć się na sobie. Niewielu ludzi w moim życiu pozwalało mi na to. - Położyła mu dłonie na piersi, po obu stronach serca. - A kiedy już najgorsze było za mną, dałeś mi coś jeszcze. Wściekłość, gniew, ślepą chęć odwetu. To pomaga, kiedy człowiek wie, że ktoś inny może odczuwać to za niego. I że czując to wszystko, potrafił się jeszcze mną zajmować. Nic dziwnego, że tak cholernie mi się spodobałeś.

- Tak bardzo jestem w tobie zakochany, Cilla!

- Och! - Poczowała gwałtowny wstrząs, niemal tak silny, jak Podczas wypadku. - Och, Ford!

- Może chwila jest nieodpowiednia, ale to niczego nie zmienia. Powiem ci, że nie tego

początkowo szukałem. To nie jest proste, tu nie chodzi o to, w którym łóżku będziemy spać i kto będzie szedł rano do domu. Tak sobie właśnie wykombinowałem, ale się myliłem.

- Ford...

- Jeszcze nie skończyłem. Kiedy ta kobieta, ta Lori, zadzwoniła do mnie, była na tyle rozsądna, żeby mi od razu powiedzieć, że nic ci nie jest. Ale wystarczyło, że wymówiła słowo „wypadek”, od razu stanęło mi serce. Właściwie to aż do tej chwili nie miałem pojęcia, co to znaczy naprawdę się bać.

Wszystko, co czuł wcześniej, co czuł teraz, było w jego oczach. Tak wiele - pomyślała Cilla. Tak wiele.

- Kiedy tam dotarłem i zobaczyłem cię siedzącą na poboczu... byłaś taka blada. Najpierw odczułem ulgę, wielką falę ulgi.

Jest, cała i zdrowa. Nie straciłem jej. Fala ulgi i jednocześnie ta świadomość. Wiedziałem. Nie myliłem się. Kocham cię, Cilla.

Cilla pomyślała, że oto nadszedł dzień wstrząsów, niezwykłych wydarzeń i doniosłych chwil.

- Jesteś taki opanowany, Ford, a ja taka niezrównoważona.

- Mówisz po prostu, że nie jesteś taka jak ja.

- Moje słowa nie są przez to mniej prawdziwe. W tej chwili nie wiem, co zrobić, jestem niemal przerażona, że ktoś taki jak ty mówi mi, że mnie kocha. I mówi poważnie. I wszystko się komplikuje, ponieważ czuję coś do ciebie, to jest silne i wyraźne. Chyba też jestem w tobie zakochana. Czekał. - Uniosła rękę, kiedy postąpił krok w jej stronę. - Czekał. Doznałam pewnie lekkiego wstrząśnienia mózgu.

Jestem w niekorzystnym położeniu. Ty jesteś opanowany i spokojny - powtórzyła. - I założę się, że wiesz, czego oczekujesz po miłości. Ja jestem niezrównoważona, więc nie wiem. Ale wiem, albo przynajmniej jestem pewna, że spodziewasz się określonych zmian.

- Tak. Ale to nie musi być dzisiaj ani jutro. Jestem zrównoważony, ale wiem też, jak doceniać to, co jest w tej chwili. - Ujął jej twarz w dłonie. - Jesteś - szepnął i musnął jej wargi ustami.

Cilla zamknęła oczy.

- Boże! Nie mam pojęcia, co robić.

- Wszystko będzie dobrze. A teraz chodźmy. Musisz się położyć.

Położył ją na sofie w salonie i, tak jak się spodziewał, po dwudziestu minutach, zmęczona fizycznie i wyczerpana emocjonalnie, zasnęła. Wyszedł z telefonem na werandę, nie zamykając za sobą drzwi, żeby słyszeć, gdyby się obudziła. Usiadł w miejscu, skąd mógł

ją obserwować przez okno, i zaczął od rozmowy z jej ojcem.

Kiedy Ford zobaczył Matta nadchodzącego od strony domu Cilli, domyślił się, że jego przyjaciel poważnie się zaniepokoił. Skończył rozmawiać, tym razem ze znajomą pielęgniarką - chciał się po prostu upewnić, że właściwie opatrzył obrażenia Cilli. Rozłączył się i wskazał Mattowi krzesło.

- Co się, u diabła, dzieje, Ford?

- Hennessy - odparł krótko i opowiedział wszystko.

- Jezu! Stuknięty sukinsyn. A z Cillą wszystko okej?

- Właśnie rozmawiałem z Holly. Pamiętasz ją?

- Pielęgniarkę Holly?

- Tak. Uważa, że byłoby lepiej, gdybym skłonił Cillę do przebadania się. Ale tymczasem wystarczy gorąca kąpiel, chłodne miejsce, odpoczynek, ibuprom. Na szczęście mogłem to zapewnić. Widziałeś jej pikapa?

- Tak, nieźle go urządził. Swoją furgonetkę też. Naprawdę skopała mu jaj a?

- Tak.

- No cóż, dobrze zrobiła - oznajmił Matt z rozbawieniem i podziwem. - Sam chętnie bym mu dokopał.

- Nie krępuj się.

- Słuchaj, gdybyś czegoś potrzebował, gdyby ona czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Mnóstwo ludzi po drugiej stronie drogi powie to samo.

- Wiem.

- I powiedz jej, żeby się nie martwiła o robotę. Wszystkim się zajmiemy. Przyjdź wieczorem i włącz alarm, jeśli będzie dziś u ciebie nocować.

- Tak, zajmę się tym.

- Pytania, wiadomości, cokolwiek, wszystko zostawię w jej słynnym notesie. Pogadam też z Brianem. Zajrzę do ciebie jutro.

Po dwóch godzinach Ford zaczął się zastanawiać, czyjej nie obudzić, bo może naprawdę doznała wstrząśnienia mózgu. Zanim się zdecydował, zobaczył, jak na jej podjeździe parkuje jakiś nieoznakowany samochód. Czekał i patrzył, jak Wilson i Urick wysiadają, a potem wchodzi do domu. Po chwili wyszli, wsiedli z powrotem do wozu i ruszyli w stronę jego podjazdu.

- Pan Sawyer.

- Zaczynacie tu regularnie zaglądać, co?

- Zastaliśmy pana McGowan?

- Tak. Jest poobijana i zmęczona. Śpi. Gdzie Hennessy?

- W celi. Chce pan obejrzeć listę zarzutów, jakie mu postawiliśmy?

- Nie, dopóki wystarczają, żeby trzymać go pod kluczem.

- Chcielibyśmy mówić z panią McGowan, chodzi o zeznanie.

- Śpi - powtórzył Ford i wstał. - Miała dosyć jak na jeden dzień. Dosyć, koniec, kropka. Gdyby Hennessy wcześniej trafił do celi, tam gdzie jego miejsce, to nie próbowałby jej zabić.

- Gdybyśmy mieli przeciwko niemu wystarczające dowody, tobyśmy wsadzili go wcześniej.

- Więc co? - odparł ze złością Ford. - Lepiej późno niż wcale?

- Ford. - Cilla otworzyła drzwi z ochronną siatką. - Wszystko w porządku.

- Akurat.

- Właściwie masz rację. Nie jest w porządku. Ale porozmawiam z panami. Załatwmy to. - Otworzyła drzwi szerzej. - Moglibyście poczekać chwilę w salonie? - spytała detektywów.

Kiedy weszli do środka, zamknęła drzwi i położyła dłonie na ramionach Forda.

- Nikt nigdy mnie nie chronił. - Pocałowała go. - Przez całe życie nikt nigdy nie chronił mnie przed nieprzyjemnymi rzeczami. To dziwne uczucie. I dziwne jest to, że nie muszę cię pytać, czy ze mną zostaniesz, kiedy będę z nimi rozmawiać. Twoja srebrna zbroja może leżeć w warsztacie. Nie potrzebujesz jej.

Wzięła go za rękę i weszła z nim do domu, by złożyć zeznanie.



# CZEŚĆ III

## OSTATNI SZLIF

*I choć dom to tylko nazwa,  
Słowo, to jednak brzmi mocno;  
Mocniej od słowa wymówionego  
Przez magika czy słowa, na które odpowiedział  
Duch w jakimkolwiek zaklęciu.*

Karol Dickens

## ROZDZIAŁ 21

- Jak się pani czuje? - spytał Wilson, kiedy usiadła na kanapie razem z Fordem i psem, który się usadowił między nimi.

- To może dziwne, ale dobrze.

- Badał panią lekarz?

- Nie, to tylko sińce i zadrapania.

- Byłoby dobrze, gdybyśmy dysponowali świadectwem lekarskim i zdjęciami pani obrażeń.

- Nie jestem jeszcze zapisana u miejscowego doktora. I nie jestem...

- Znam lekarza - przerwał jej Ford. - Zadzwoń do niego.

- Przesłuchaliśmy Hennessy'ego - poinformował ich Urick. - Wstępnie. Nie zaprzecza, że uderzył swoim autem w pani pikapa albo że próbował zepchnąć panią z drogi. Twierdzi, że napastowała pani jego żonę.

- Poszłam się z nią zobaczyć dziś rano. Zapomniałam cię o tym powiadomić - zwróciła się do Forda. - W końcu miałam inne rzeczy na głowie. Tak naprawdę to chciałam zobaczyć się z Hennessym, ale powiedziała, że nie ma go w domu. Rozmawiałyśmy na werandzie. Potem odjechałam. Nie napastowałam jej ani nikogo innego. I jeśli uważa, że rozmowa z jego żoną usprawiedliwia zepchnięcie mojego wozu do rowu, to jest stuknięty.

- O której godzinie rozmawiała pani z żoną Hennessy'ego?

- Nie wiem dokładnie. Około dziewiątej. Potem pojechałam po zakupy. Zatrzymałam się cztery czy pięć razy, jak mi się wydaje, między Front Royal i Morrow Village. Zobaczyłam jego furgonetkę nadjeżdżającą od strony mojej farmy, kiedy wracałam do domu. Dostrzegł mnie i już po minucie był za mną i zbliżał się coraz szybciej. Walnął mnie. Trudno mi w tej chwili powiedzieć, ile razy. Co najmniej trzy albo cztery. Wiem, że rzucało mnie po całej drodze. Wpadłam w poślizg i pomyślałam, że będę dachować. Wylądowałam w rowie. Pasy i poduszka powietrzna uratowały mnie przed poważniejszymi obrażeniami.

- Wysiadła pani z pikapa - podpowiedział jej Wilson.

- Zgadza się. Skrajnie wkurzona. Zaczęłam na niego wrzeszczeć, a on na mnie. I pchnął mnie. Potem jeszcze raz, wpadłam na tylną klapę swojego wozu. Powiedział: „Widzę cię”. I podniósł pięść. Właśnie wtedy go kopnęłam.

- Jak pani myśli, o co mu chodziło z tym: „Widzę cię”?

- O moją babkę. Chciał powiedzieć, że widzi moją babkę.

I przyznaję, że jeśli musiał mnie skrzywdzić, żeby się na niej zemścić, to zrobił to.

Zaatakował mojego przyjaciela, dokonał zniszczeń na mojej posesji, a teraz zaatakował mnie.

- Nie przyznał się do żadnego z wcześniejszych incydentów, które wydarzyły się przed dzisiejszym popołudniem - oznajmił Wilson. - Wszystkiemu zaprzecza.

- Wierzy mu pan?

- Nie, ale trudno zrozumieć, dlaczego człowiek, który przyznaje się do ataku na drodze, lekkomyślnego spowodowania niebezpieczeństwa i celowej napaści, nie chce się przyznać do wtargnięcia na czyjś prywatny teren i wandalizmu. Prawdę mówiąc, pani McGowan, sprawia wrażenie człowieka, który uważa, że postąpił słusznie. Nie ma wyrzutów sumienia ani nie obawia się konsekwencji swojego postępowania. Gdyby jego żona nie zatrudniła adwokata, moglibyśmy wydusić z niego więcej.

- Co będzie teraz?

- Akt oskarżenia, przesłuchanie w sprawie kaucji. Biorąc pod uwagę jego wiek i okres zamieszkiwania w tej okolicy, jego obrońca wniesie o zwolnienie za poręczeniem. Natomiast biorąc pod uwagę charakter przestępstwa, bliskie sąsiedztwo z panią, spodziewam się, że prokurator okręgowy zażąda, by go nie zwalniano. Trudno powiedzieć, jaka będzie decyzja sądu w tym wypadku albo czy nie zdecyduje się na coś pośredniego.

- Jego żona przysięga, że nie opuszczał domu zeszłego wieczoru. - Urick wziął do ręki notatnik, który trzymał na kolanach. - Że zniknęli z parku, jak tylko panią zobaczyli, i że nie wychodził nigdzie przez całą noc. Wyciągnęliśmy z niej jednak, że jej mąż często przesiaduje w pokoju ich syna, zamyka się w nim, śpi tam.

Mógł więc wyjść z domu bez jej wiedzy. Będziemy to jeszcze sprawdzać, obiecuję pani.

Cilla ledwie zdążyła się uspokoić po rozmowie z detektywami, kiedy przyjechał jej ojciec w towarzystwie Patty i Angie. W chwili gdy sądziła, że nie zapanuje nad gniewem i emocjami, zjawiała się matka Forda z dużym plastikowym pojemnikiem i bukietem kwiatów.

- Nie wstawaj, moje biedactwo. Przyniosłam ci trochę swojej zupy z kurczaka.

- Och, Penny, jesteś taka troskliwa! - Patty zerwała się, żeby wziąć od niej kwiaty. - Nawet nie pomyślałam o jedzeniu czy kwiatkach. Do głowy mi nie przyszło...

- Oczywiście. Czy można się dziwić, skoro masz tyle na głowie? Cilla, zaraz podgrzeję ci zupę. Zapewniam cię, że pomaga na wszystko. Przeziębienie, grypę, guzy, siniaki, sprzeczki zakochanych i deszczowe dni. Ford, znajdź jakiś wazon na te kwiaty.

Nic tak nie poprawia humoru jak bukiet słoneczników.

Przyciskając kwiaty do piersi, Patty wybuchnęła płaczem.

- No dobrze, już dobrze. - Penny ścisnęła w jednym ręku plastikowy pojemnik z zupą,

a drugą obejmowała przyjaciółkę. - Chodź ze mną, kochanie. Zajmiemy się czymś pożytecznym, a od razu poczujesz się lepiej.

- Widziałaś jej biedną twarz? - załkała Patty, kiedy Penny wyprowadziła ją z pokoju.

- Jest taka przybita i zdenerwowana. - Angie usiadła obok Cilli i wzięła ją za rękę.

- Wiem. Wszystko w porządku.

- Nie jest w porządku. - Gavin, który patrzył przez okno, odwrócił się. - Absolutnie. Już dawno powinienem się rozprawić z Hennessym, załatwić to. A ja po prostu schodziłem mu z drogi.

Unikałem tego, bo to było kłopotliwe. Nieprzyjemne. I dlatego, że zostawiał w spokoju Patty i Angie. Ciebie nie zostawił w spokoju, a ja nadal mu pobłażałem.

- Nawet gdybyś postąpił inaczej, niczego by to nie zmieniło.

- Nie czułbym się jak ojciec, który się nie sprawdził.

- Nie jesteś...

- Angie - zwrócił się Gavin do córki, przerywając Cilli. - Pomożesz matce i pani Sawyer?

- W porządku.

- Ford? Zechciałbyś...

Przytakując, Ford wymknął się w ślad za Angie.

Cilla usiadła, czując, jak ściskają w żołądku z niepokoju.

- Wiem, że jesteś podenerwowany. Wszyscy jesteśmy trochę podenerwowani - zaczęła.

- Pozwoliłem, żeby cię zatrzymała. Pozwoliłem Dilly zatrzymać cię przy sobie i po prostu odszedłem.

Cilla spojrzała mu w twarz i zadała to jedno pytanie, którego nigdy nie śmiała zadać:

- Dlaczego?

- Wmawiałem sobie, że będzie ci lepiej. Nawet w to uwierzyłem.

Wmawiałem sobie, że jesteś tam, gdzie twoje miejsce, i że będąc tam, będąc ze swoją matką, zdołasz robić to, co daje ci szczęście.

Że na tym skorzystasz. Nie byłem tam szczęśliwy, a to, co działo się między mną a twoją matką, ujawniało nasze najgorsze strony, kiedy się kłóciliśmy. O ciebie. Gdy tu wróciłem, poczułem się... wolny.

- Miałam tylko rok, kiedy się wyprowadziłeś, i niespełna trzy, kiedy wyjechałeś.

- Nie potrafiliśmy zamienić nawet dwóch zdań, żeby się nie zacząć kłócić. Było lepiej, trochę lepiej, kiedy dzieliło nas kilka tysięcy kilometrów. Przyjeżdżałem co miesiąc albo dwa,

żeby cię zobaczyć, przez pierwszych kilka... potem rzadziej. Byłaś już wtedy aktorką. Łatwo było mi sobie wmawiać, że masz takie wspaniałe, pełne życie, zgadzać się, że nie jest w twoim najlepszym interesie przyjeżdżać tu na wakacje, skoro mogłaś w tym czasie występować.

- I budowałeś tu sobie życie.

- Tak, zacząłem wszystko od nowa, zakochałem się w Patty. - Popatrzył na swoje dłonie, potem opuścił je wzdłuż boków. - Prawie nie byłaś dla mnie rzeczywista, ta mała piękna dziewczynka, którą odwiedzałem kilka razy w roku. Mogłem sobie wmawiać, że spełniam swój obowiązek - ani razu nie zapomniałem wysłać czeku z alimentami czy zadzwonić w dniu twoich urodzin albo na Boże Narodzenie i przysłać prezentu. Nawet jeśli wiedziałem, że to kłamstwo, wierzyłem w nie. Miałem Angie. Tutaj, pod ręką.

Potrzebowała mnie, a ty nie.

- Potrzebowałam. - Cilla poczuła łzy w oczach.

- Wiem. I nigdy nie zdołam ci tego wynagrodzić. Ani sobie. - Jego głos stał się stłumiony. - Chciałem spokojnego życia, Cilla.

I poświęciłem cię, żeby je sobie zapewnić. Zanim to zrozumiałem, byłaś dorosła.

- Kochałeś mnie kiedykolwiek?

Przycisnął palce do oczu, jakby go piekły; po chwili odsunął dłonie od twarzy i podszedł do niej.

- Byłem w sali porodowej, kiedy przychodziłaś na świat. Dali mi cię potrzymać i pokochałem cię. Ale było to niemal coś w rodzaju zdumienia. Zaskoczenie, przerażenie i strach. To pamiętam najlepiej, przez kilka pierwszych tygodni, kiedy już cię przywieźliśmy do domu. Wstałem wcześniej i usłyszałem, jak płaczesz. Pielęgniarka nakarmiła cię przedtem, ale byłaś grymaśna. Wziąłem cię na ręce i usiadłem na bujanym fotelu. Zabrudziłaś mi całą koszulę. A potem spojrzałaś na mnie. Spojrzałaś mi prosto w oczy.

A ja cię pokochałem. Nie powinienem był cię zostawiać.

Wzięła głęboki oddech i poczuła, jak coś otwiera jej się w piersi.

- Pomogłeś mi wybierać krzewy różane i klony. Pomalowałeś mój salon. I jesteś teraz tutaj.

Po raz pierwszy, o ile sobie przypominała, po raz pierwszy w swoim życiu wtuliła twarz w jego pierś i zapłakała.

Później zjadła zupę z kurczaka. Sama była zaskoczona, że zrobiło jej to tak dobrze. Wysoki zielony wazon ze słonecznikami też działał kojąco. Doszła do wniosku, że wygląda zapewne znacznie lepiej, skoro Ford nie sprzeciwiał się, kiedy zaproponowała, żeby przeszli

się do jej domu i obejrzeni postępy w robotach.

- Mały spacer sprawi, że nie zeszywniejesz za bardzo, mam nadzieję - zauważył.

- Trochę ochłoneń. Dobrze być na dworze. Pachnie tak, jakby zanosilo się na deszcz.

- Zamieniasz się w wiejską dziewczynę.

Uśmiechając się, podniosła twarz ku niebu.

- Owszem, poza tym jak każdy przedsiębiorca budowlany sprawdziłam dziś rano prognozę pogody w telewizji. Wieczorem mają być burze z piorunami, duże prawdopodobieństwo. A mówiąc o burzach, skutecznie poradziłeś sobie z tą wcześniejszą, emocjonalną.

- Z trudem, jeśli chcesz znać prawdę. Moja matka pociesza Patty, Angie się przyłącza, w końcu moja matka też się rozkleja.

Mam w kuchni trzy płaczące kobiety, które jednocześnie podgrzewają zupę i układają kwiaty w wazonie. - Wyraźnie zmęczony, przesunął dłonią po zmierzwionych włosach. - Nieomal zwałem.

Spock dał nogę przez swoje drzwiczki jak ostatni tchórz. Miałem ochotę zrobić to samo.

- Ford jest z mocniejszego materiału.

- Może, ale sprawa wyglądała naprawdę niepewnie, kiedy zajrzałem do salonu, by sprawdzić sytuację na tym froncie, i zobaczyłem łzy w twoich oczach.

- Dzięki, że wytrzymałeś.

- Tego oczekuje się po zakochanych mężczyznach. - Otworzył drzwi i pchnął je na oścież.

Przystanęła w progu, Spock natomiast poczuł się jak u siebie w domu i wszedł do środka.

- Byłeś kiedykolwiek?

- Co byłem?

- Zakochany.

- Kochałem się w Ivy Lattimer, kiedy miałem osiem lat, ale potraktowała mnie z szyderstwem i wyśmiała. W wieku trzynastu zakochałem się w Stephanie Provost, która darzyła mnie tym samym uczuciem przez sześć wspaniałych dni, zanim rzuciła mnie dla Dona Erbeego i jego basenu.

Przycisnęła dłoń do piersi.

- Mówię poważnie.

- I tak traktowałem te związki w tamtym czasie. Potem były jeszcze inne. Ale jeśli

pytasz, czy kiedykolwiek zaangażowałem się szczerze, czy kiedykolwiek patrzyłem na kobietę i jednocześnie wiedziałem, czułem, chciałem i pragnąłem... nie. Ty jesteś pierwsza.

Podniósł jej dłoń i przesunął wargami po kostkach, co przypomniało jej ojca, który zachował się tak samo wobec Patty. Po chwili rozejrzał się wkoło.

- Nie widzę, żeby cokolwiek się tu zmieniło. Co ci goście robią po całych dniach?

Weszła do salonu.

- Bo nie wiesz, gdzie patrzeć. Kontakty i puszki wypustowe, które kazałam zrobić na zamówienie - antyczny brąz - zainstalowane. Nie musieli tego robić, ale zrobili; to miłe z ich strony.

Matt zostawił listwy, ponieważ wie, że jestem do nich przywiązana i że sama chcę je zamontować. - Ruszyła dalej i wydała pełen radości okrzyk, kiedy stanęła w drzwiach do damskiej toaletki. - Położyli płytki. - Przykucnęła i zaczęła przyglądać się uważnie terakocie. - Ładnie, bardzo ładnie, ten ciepły odcień mozaiki dobrze współgra z kolorem sieni i części mieszkalnej.

Ciekawe, czy doszli już do łazienki na drugim piętrze i czy skończyli układać płyty kartonowo - gipsowe?

Jezu! Jest niezmordowana - pomyślał Ford, podążając za nią.

Zanim sprawdziła wszystko ku swemu zadowoleniu, rozległ się pierwszy grzmot. Spock wydał z siebie pisk przerażenia i przywarł do nogi Forda jak rzep.

Nastawiła alarm i zamknęła drzwi.

- Zaczyna się zrywać wiatr. Uwielbiam to. Naprawdę lubię, kiedy deszcz czeka aż do nocy i nie przeszkadza w pracy. Ekipa Briana ma zjawić się jutro i w końcu zabierzemy się do basenu. No i... do diabła, zupełnie zapomniałam. Złożyłam dziś rano ofertę kupna domu. Wiesz, taki impuls, nie mogłam się oprzeć, musiałam to od razu zrobić. Powinnam się dowiedzieć jutro, czyjej nie odrzucili. Dlatego, też jutro, umówiłam się w sprawie drugiego domu. Pomyślałam sobie, że jeśli nie będzie ci pasować, to przełożę spotkanie. I zupełnie o tym zapomniałam.

- Ciekawe, dlaczego - zażartował. - Na którą się umówiłaś?

- Na piątą. Przez cały dzień będę zajęta, więc piąta mi pasuje.

- Doskonale. Pojedziemy tam zaraz po badaniach, są o czwartej.

- Ale...

- Czwarta - oznajmił tym tonem, który rzadko u niego słyszała. Który, jak przypuszczała, nie znosił sprzeciwu.

- Okej. W porządku.

- No dobra, co powiesz na to, żebyśmy posiedzieli na werandzie i popatrzyli sobie na burzę?

- Powiem, że to bardzo miłe zakończenie paskudnego dnia.

Cilla uważała, że radzi sobie całkiem nieźle. Wyspała się porządnie - może dzięki dwóm kieliszkom wina, dwóm pastylkom motrinu i jeszcze jednej miseczce słynnej zupy kurczakowej Penny. Udało jej się nawet wstać o siódmej, nie budząc przy tym Forda. Krótka kąpiel w jacuzzi, trochę ostrożnej jogi, potem jeszcze motrin i piekielnie gorący prysznic sprawiły, że poczuła się niemal normalnie.

Siedząc z filiżanką kawy, zastanawiała się, dlaczego musi iść do lekarza. Nie potrzebowała jego rady, żeby wiedzieć, że poobijała się zdrowo i że będzie trochę zeszywniała i obolała jeszcze kilka dni. Wątpiła jednak, czy Ford podzielał jej zdanie.

Czyż nie było to miłe, kiedy się nad tym głębiej zastanowić? Był ktoś, komu zależało na tyle, by zachowywać się władczo i zdecydowanie. Nic nie szkodziło ulec odrobinę i się dostosować.

Poza tym najgorsze miała już za sobą. Hennessy siedział w więzieniu i nie mógł tknąć ani jej, ani jej własności, ona zaś miała czas dokończyć remont domu. I zająć się następnym.

Pomyślała, że będzie mogła naprawdę się zastanowić, co to rzeczywiście oznacza - że ktoś taki jak Ford się w niej kocha. I zamartwiać się, i zastanawiać obsesyjnie, co znaczy dla niej być zakochaną - jeśli naprawdę pojmowała to uczucie - w mężczyźnie takim jak Ford.

Może udałoby im się po jakimś czasie zbudować coś trwałego, pomyśleć, jak przy wznoszeniu domu, o jego strukturze, odcieniach i ozdobach? Mogliby ocenić starannie fundamenty. Wiedziała, że w jej przypadku są tak nierówne i nietrwałe. Mnóstwo pęknięć, ale może zdołaliby je wzmocnić, podeprzeć i naprawić?

Ponieważ jego fundamenty były takie solidne, takie mocne, istniała szansa, że uda im się stworzyć coś stałego. Coś, co przetrwa.

Tak bardzo pragnęła trwałości.

Zostawiła mu karteczkę, którą oparła o ekspres do kawy.

„Czuję się dobrze. Poszłam do pracy. Cilla”.

Blizsze prawdy byłoby określenie „czuję się mniej podle”, ale „dobrze” też wydawało się odpowiednie.

Napełniła swój termiczny kubek kawą i ruszyła w stronę drzwi, tylko o dwie godziny później, niż jak zwykle przystępowała do pracy.

Cofnęła się gwałtownie. Po drugiej stronie progu stała pani Hennessy, dłoń miała uniesioną, jakby chciała zapukać.



- Pani Hennessy.

- Pani McGowan, miałam nadzieję, że panią zastanę. Muszę z panią pomówić.

- Nie wydaje mi się, by był to dobry pomysł, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Proszę. Proszę. - Pani Hennessy otworzyła drzwi z ochronną siatką i wkroczyła do środka, zmuszając Cillę, by się cofnęła. - Wiem, że jest pani zdenerwowana. Ma pani powody, ale...

- Zdenerwowana? Tak, racja, mam powody. Pani mąż próbował mnie zabić.

- Nie. Nie. Stracił panowanie nad sobą, i to częściowo moja wina. Źle postąpił. Źle postąpił, robiąc to, co zrobił, ale musi pani zrozumieć, że nie myślał wtedy logicznie.

- Kiedy nie myślał logicznie? Kiedy przyjechał tu po raz pierwszy czy wtedy, kiedy walił raz za razem w mój samochód, aż wpakował mnie do rowu? I kiedy mnie pchnął? A może wtedy, kiedy podniósł na mnie pięść?

Oczy pani Hennessy lśniły - był w nich strach, niepokój, prośba o wybaczenie.

- Nie ma usprawiedliwienia dla tego, co zrobił. Wiem o tym. Przyszłam do pani prosić o odrobinę współczucia. O to, żeby otworzyła pani swe serce i zrozumiała jego ból.

- Trzydzieści lat temu spotkała was tragedia. Wini mnie za to. Jak mogę zrozumieć?

- Trzydzieści lat temu, trzydzieści minut temu. Dla niego to bez różnicy. Nasz syn, nasze jedyne dziecko straciło tamtej nocy całą swoją przyszłość. Nie mogliśmy mieć więcej dzieci. Miałam problemy, a Jim powiedział mi wtedy. „To bez znaczenia, Edie. Mamy wszystko. Mamy naszego Jimmy'ego”. Kochał tego chłopca jak nikogo na świecie. Może za bardzo. Czy to grzech?

Czy to źle? Proszę spojrzeć. - Wyjęła z torebki oprawione zdjęcie i podsunęła Cilli. - To Jimmy. Nasz chłopiec. Niech pani na niego spojrzy.

- Pani Hennessy...

- Wykapany ojciec - powiedziała starsza kobieta pospiesznie, niecierpliwie. - Wszyscy tak mówili, jak się tylko urodził.

To był taki dobry chłopiec. Taki bystry, słodki, zabawny. Chodził do college'u, zamierzał pójść na medycynę. Chciał być lekarzem.

Ani Jim, ani ja nie chodziliśmy do college'u. Ale oszczędzaliśmy, odkładaliśmy pieniądze, żeby Jimmy mógł się uczyć. Byliśmy tacy dumni.

- Był bardzo przystojny - zauważyła z trudem Cilla i zwróciła kobiecie zdjęcie. - Przykro mi z powodu tego, co się stało. Naprawdę mi przykro. Ale to nie moja wina.

- Oczywiście, że nie pani. Oczywiście, że nie. - Bliska płaczu, przycisnęła fotografię syna do piersi. - Żałowałam, pani McGowan, żałowałam przez wszystkie dni swojego życia

tego.

co stało się z moim chłopcem. Jimmy nigdy już nie był ten sam po tamtej nocy. Nie chodziło tylko o to, że nie mógł chodzić czy posługiwać się rękami. Stracił światło, które miał w sobie, stracił iskrę. Nigdy już nie odzyskał dawnego siebie. Straciłam go i tej samej nocy straciłam męża. Przez lata zajmował się Jimmym. I nie pozwalał mi tego robić. Uważał, że to jego obowiązek. Karmić syna, zmieniać mu bieliznę, podnosić go. To go pochłaniało. Całkowicie.

Opanowała się trochę.

- Kiedy Jimmy zmarł - ciągnęła - to bez zażenowania wyznam pani, że odczułam coś w rodzaju ulgi. Jakby nasz chłopiec znów był wolny, taki jak dawniej, jakby mógł chodzić i śmiać się. Ale to, co pozostało w moim Jimie, po prostu zniknęło, zwiędło. Jimmy był dla niego powodem, by istnieć, nawet jeśli to istnienie wydawało się tylko gorzkie. Coś w nim pękło, ot tak.

Cały ten ciężar przygniótł go po prostu. Błagam, niech pani nie posyła go do więzienia. Potrzebuje pomocy. I czasu, by się wyleczyć. Niech mi go pani nie odbiera, bo tylko on mi został. Nie wiem, co zrobię.

Zakryła twarz dłońmi, jej ramionami wstrząsał szloch. Cilla dostrzegła kątem oka jakiś ruch. Kiedy Ford zaczął zstępować po schodach, zatrzymała go ruchem ręki.

- Pani Hennessy, wie pani, co on wczoraj zrobił? Rozumie pani, do czego się posunął?

- Rozumiem, co pani mówi, i wiem, że panią wczoraj skrzywdził. Nie powinnam mu była mówić, że pani przyszła do mnie.

Byłam zdenerwowana i naskoczyłam na niego. Wściekł się. Gdybym go nie sprowokowała...

- A inne przypadki?

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem o innych przypadkach. Nie widzi pani, że on potrzebuje pomocy? Nie widzi pani, że jest chory w sercu, w duszy, w umyśle? Kocham swojego męża. Chcę go odzyskać. Jeśli pójdzie do więzienia, to umrze. Po prostu tam umrze. Jest pani młoda. Wszystko przed panią. A my straciliśmy to, co w życiu najważniejsze. Nie może znaleźć pani w sobie dość współczucia, żeby nam pomóc? Żebyśmy mogli odzyskać spokój?

- Co według pani mogę zrobić?

- Mogłaby pani im powiedzieć, że nie chce go pani posyłać do więzienia. - Wyciągnęła rękę, by chwycić Cillę za dłoń. - Adwokat mówi, że mógłby poprosić o badanie psychiatryczne i pobyt w szpitalu. Mogliby posłać Jima gdzieś, gdzie otrzyma pomoc.

Musiałby tam pójść, byłaby to kara, prawda? Musiałby, aleby mu pomogli.

- Nie wiem...

- A ja sprzedałabym dom. - Ścisnęła mocniej dłonie Cilli, która poczuła desperację tej kobiety. - Przysięgam pani na Biblię.

Sprzedałabym dom, wyprowadzilibyśmy się stąd. Gdyby mu się polepszyło, wyjechalibyśmy na Florydę. Moja siostra i jej mąż przenoszą się jesienią na Florydę. Znajdę tam coś i się przeprowadzimy. Nigdy więcej nie będzie pani niepokoił. Mogłaby im pani powiedzieć, że chce go pani posłać do szpitala psychiatrycznego, dopóki mu się nie polepszy. Skrzywdził panią, więc posłuchają.

Znałam pani babkę. Wiem, że też kochała swojego chłopca. Wiem, że rozpacziała po nim. Wiem to, tak mi serce podpowiada. Tylko że Jim nigdy w to nie wierzył i winił ją, winił za każdym razem, gdy spojrział na naszego syna na wózku inwalidzkim. Nie mógł wybaczyć, i to go zatruwało. Nie może pani wybaczyć? Nie może?

Jak mogła oprzeć się takiej prośbie? Tak straszemu pragnieniu?

- Porozmawiam z policją. Ale niczego nie obiecuję. Porozmawiam z nimi. To wszystko, co mogę zrobić.

- Niech panią Bóg za to błogosławi. Nie będę więcej pani niepokoić. Jim też nie będzie. Przysięgam.

Cilla zamknęła oczy, a potem drzwi. Westchnęła znużona i usiadła na schodach. Oparła głowę na ramieniu Forda, kiedy zszedł na dół i usiadł obok niej.

- Są różne rodzaje przemocy - powiedział cicho. - Przemoc wobec ciała, umysłu, serca.

Przytaknęła tylko. Rozumiał, że czuła się przybita z powodu tej wizyty, błagań, łez.

- Chodzi o odkupienie, prawda? - spytała. - Przynajmniej w jakimś sensie. Zjawiam się tutaj, przywracam dom Janet do życia. Siebie przywracam do życia. Szukam jej w tym wszystkim, szukam odpowiedzi, powodów. Nigdy nie otrząsnęła się po śmierci Johnniego. Nigdy już nie była taka sama. A większość ludzi twierdzi, że właśnie dlatego odebrała sobie życie. Można by powiedzieć, że Hennessy nie miał tego luksusu. Jego dziecko wciąż żyło, ale było takie zniszczone, takie złamane, wymagało bezustannej opieki. Nie mógł się od tego odwrócić, musiał z tym żyć każdego dnia. I to go wykończyło.

- Nie mówię, że nie potrzebuje pomocy - oznajmił z rozmysłem Ford. - Ten przymusowy pobyt w szpitalu psychiatrycznym nie jest rozwiązaniem problemu. Widzisz, Cilla, to nie on prosi o współczucie czy wybaczenie. To nie Hennessy szuka odkupienia.

- Tak, nie on. - I teraz też wiedziała, że ma rację. - Nie robię tego dla niego. Jeśli ma to

w czymkolwiek pomóc, robię to dla zrozpaczonej i przerażonej kobiety. I co ważniejsze, robię to dla Janet.

Cilla wiedziała z doświadczenia i kontaktów z ekipami budowlanymi, że nie ma mowy o rozpieszczaniu tylko dlatego, że jest się przypadkowo kobietą. Owszem, chłopcy pytali ją o różne rzeczy, wyrażali troskę, gniew i oburzenie, ale nie w większym stopniu, niż gdyby była mężczyzną.

Nasłuchiwała się też mnóstwa żartów i komentarzy, jaka to z niej pogromczyni męskich jaj.

- Hej, Ciii! - Jeden z robotników wsunął głowę do salonu, gdzie stała na drabinie i mocowała do sufitu profil sztukatorski. - Przed domem jest jakaś pani, mówi, że cię zna. Na imię ma Lori. Mam ją do ciebie przysłać?

- Tak, powiedz jej, żeby tu przyszła. - Cilla wstrzeliła ostatni gwóźdź i zaczęła schodzić z drabiny.

- Jakbym oberwała tak, jak pani wczoraj, to leżałabym w łóżku, a nie łaźła po drabinie - zauważyła kobieta, wchodząc do pokoju.

- Rodzaj terapii. - Cilla odłożyła pistolet i zwróciła się do swej wybawczyni. - Zamierzałam wybrać się do pani dziś po południu albo jutro i jeszcze raz podziękować.

- Podziękowała mi pani wczoraj.

- Może to trochę niepoważne w tej sytuacji, ale nigdy nie zapomnę, jak biegła pani drogą, z telefonem w jednej ręce i motyką w drugiej.

Lori wybuchnęła śmiechem i potrząsnęła głową.

- Razem z mężem wzięliśmy sobie tydzień wolnego, takie krótkie wakacje, żeby uporządkować dom i podwórze. Pojechał akurat z naszymi dwoma synami kupić trochę torfowca i środka odstrasającego na jelenie, a ja właśnie zajmowałam się w ogrodzie pomidorami. Proszę mi wierzyć, gdyby był wtedy w domu, toby walnął tego idiotę motyką w głowę. - Zaczęła się przyglądać ze współczującym uśmiechem sińcowi na skroni Cilli. - Wciąż pewnie boli. Jak się pani czuje?

- Nieźle. Wygląda chyba gorzej, niż jest.

- Mam nadzieję. - Rozejrzała się po pokoju. - Powiem szczerze, że zawsze chciałam zobaczyć, jak tu wygląda od środka.

- Duża przebudowa, ale mogę panią oprowadzić, jeśli pani chce.

- Z przyjemnością, ale może innym razem. Ten pokój jest bardzo ładny. Uwielbiam ten kolor. No cóż, powiem szczerze, co mnie tu sprowadza. Oczywiście, wiem, kim pani jest i kim była pani babka. Sprowadziliśmy się tu mniej więcej dwanaście lat temu, ale Janet Hardy

to legenda, wiedzieliśmy więc, że to jej dom. Dobrze, że ktoś się tym zaopiekował, ale nie o to mi chodzi.

- Coś się stało?

- Trudno powiedzieć. Co prawda wiem, kim pani jest, i budzi pani moje zainteresowanie, ale w gruncie rzeczy pani nie znam.

Dziś rano zadzwonili do mnie jacyś dwaj dziennikarze, chcieli, żebym im opowiedziała o tym, co wydarzyło się wczoraj, - Och! No tak, rozumiem.

- Oznajmiłam im, że opowiedziałam wszystko policji. Obaj byli dość nachalni, co mnie trochę zirytowało.

- Przykro mi, że się pani zdenerwowała.

Lori machnęła lekceważąco ręką.

- Przyszłam, żeby pani powiedzieć, że ktoś rozmawiał z dziennikarzami. O ile się orientuję, sama mogła pani z nimi rozmawiać, ale widzę, że tak nie było.

- Nie, ale będę musiała. Dziękuję za wiadomość.

- Jesteśmy sąsiadami. Nie będę pani przeszkadzać, proszę wracać do pracy. - Rozejrzała się w koło. - Chyba najwyższy czas zacząć suszyć głowę mojemu mężowi, żeby pomalował salon w naszym domu.

Cilla odprowadziła Lori do drzwi, potem wróciła do pokoju i usiadła na drabinie. Zaczęła się zastanawiać nad rzeczowym i prostym oświadczeniem. Wciąż miała kontakty i nawet jeśli nie były zbyt pewne, to nazwisko Hardy nadal robiło wrażenie.

Potrzebowała czegoś krótkiego i zwięzłego, odpowiednio napisanego. Nauczono ją nie uników, ale konfrontacji i walki z klasą.

Wyciągnęła komórkę zza paska spodni, kiedy ta zadzwoniła, i zamknęła oczy.

- Cześć, mammo.

- Cilla, na litość boską, co tam się dzieje?!

- Miałam trochę kłopotów. Daję sobie radę. Słuchaj, mogłabyś mnie skontaktować ze swoim rzecznikiem prasowym?

Wciąż korzystasz z usług Kim Cohen?

- Tak, ale...

- Proszę, skontaktuj się z nią i daj jej mój numer. Poproś, żeby zadzwoniła jak najszybciej.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego mam ci wyświadczać przysługę po tym, jak potraktowałaś...

- Mammo. Proszę. Potrzebuję pomocy.

Przez chwilę po drugiej stronie panowało milczenie.

- W porządku. Zaraz do niej zadzwonię. Miałaś wypadek?

Jesteś w szpitalu? Coś ci się stało? Słyszałam o jakimś szaleńcu, który myślał, że jesteś duchem mamy, i próbował przejechać cię samochodem. Słyszałam, że...

- Nie, to nie tak. Nie jestem ranna. Potrzebuję Kim, żeby wszystko wyprostowała, napisała oświadczenie.

- Nie chcę, by coś ci się stało. Wciąż jestem na ciebie wściekła - oznajmiła Dilly, pociągając nosem, co rozbawiło Cillę. - Ale nie chcę, by stała ci się krzywda.

- Wiem i zapewniam, że nic mi nie jest. Dzięki, że zadzwonisz do Kim.

- Przynajmniej wiem, jak wyświadczać przysługi - odparła Dilly i się rozłączyła.

Cilla nie mogła temu zaprzeczyć, gdyż rzeczniczka prasowa matki zadzwoniła w ciągu dwudziestu minut. Po dwudziestu kolejnych wspólnie opracowały oświadczenie. Zanim Cilla schowała komórkę, wiedziała, że zrobiła wszystko, co mogła.

- Nie jestem jakąś znaną osobistością - powiedziała do Forda, kiedy odjeżdżali spod gabinetu lekarskiego na spotkanie z agentem nieruchomości. - Ale skandal czy rozróżba zawsze wzbudza takie czy inne zainteresowanie. W dodatku ma to związek z Janet Hardy. Ale oświadczenie powinno załatwić sprawę.

Nikt się tym nie będzie specjalnie zajmował.

- Ale nie tutaj. W tej okolicy to będzie sensacja, w każdym razie przez kilka dni. Jeśli w dodatku dojdzie do rozprawy. Skontaktowałaś się z policją?

- Rozprawa? Miejmy nadzieję, że do niej nie dojdzie. Policja.

Owszem, skontaktowałam się. Wiem, że według Wilsona muszę być stuknięta, jeśli proszę, aby zbadali Hennessy'ego i ocenili jego stan emocjonalny i umysłowy.

- Co powiedział?

- Badania są już w toku. Na wniosek obrony i prokuratury.

- Pojedynek psychiatrów.

- Na to wygląda.

- Obaj, jak przypuszczam, dojdą do wniosku, że Hennessy ma nierówno pod sufitem.

- Tak. Podejrzewam, że ostateczny wynik będzie zależał od tego, co powie psychiatra powołany przez oskarżenie, rozumiesz, czy prokurator podtrzyma zarzuty, zaproponuje ugode albo zasugeruje zakład psychiatryczny i leczenie. Spójrz w lewo, widać już ten dom.

- Hm? Który?

- Ten, przed którym parkuje czerwony kompakt. Już tu jest.

Vicky Fowley. Dom był wynajmowany, w tej chwili jest pusty, właściciel chce się go

pozbyć. Vicky też chce się szybko uporać ze sprzedażą.

Ford spojrział na zarośnięte, zachwaszczone podwórze od frontu i niewielki brązowy domek w kształcie pudełka.

- Nie rozumiem, dlaczego. Czyżby chodziło o to, że jest paskudny?

- Odpowiednia postawa. Tak trzymaj, mówię poważnie. - Poklepała go po dłoni dla dodania odwagi. - I pozwól, że ja będę mówić.

## ROZDZIAŁ 22

Ford wiedział, że ma bogatą wyobraźnię. Uważał się za człowieka zdolnego do wizji. Jeśli chodzi o to, co Cilla określała jako „mały domek w stylu Cape Cod”, nie bardzo potrafił sobie jednak wyobrazić, jak ktokolwiek może określać coś takiego mianem domu; on sam, jeśli cokolwiek sobie wyobrażał, to tylko to, że ktoś litościwie zrówna ten koszmar z ziemią.

Dywan w maleńkim salonie znaczyły plamy podejrzanego i zdecydowanie nieprzyjemnego charakteru. Cieszył się tylko, że Spock znów był zajęty gdzie indziej, ponieważ w przeciwnym razie uznałby za rzecz honoru oznaczyć teren jeszcze raz.

Listwa przypodłogowa była nadgryziona przez jakieś zwierzę albo armię gryzoni. Sufit, także paskudnie poplamiony w jednym rogu, pokrywały wypryski, które Cilla nazwała popcornem.

Kuchnia stanowiła brzydki miszmasz źle dobranych urządzeń, podartego linoleum i zardzewiałego zlewu. Niebiesko nakrapiane blaty szafek nosiły okrągłe ślady garnków i patelni. W narożnikach zalegał brud i Bóg wie co jeszcze.

Widział oczami wyobraźni karaluchy wylaniające się z tego zardzewiałego zlewu, uzbrojone w automatyczny oręż i prowadzące czołgi i wozy opancerzone przeciwko pająkom w bojowym rynsztunku i z bazookami, które pluły ogniem.

Bez trudu zdał się na Cillę. Musiał przyznać, że go zamurowało.

Na piętrze znajdowały się dwie sypialnie zaśmiecone pozostałościami po poprzednich lokatorach i łazienka, do której by nie wszedł bez stroju ochronnego.

- Jak widzicie, jest tu dużo do zrobienia! - Vicky pokazała olśniewająco białe zęby w nieco sztucznym i desperackim uśmiechu. - Ale przy odrobinie wysiłku można z tego zrobić prawdziwy domek dla lalek. Urocze gniazdko na początek, w sam raz dla takiej młodej pary jak wy.

- Jakiej pary? - rzucił Ford, a Cilla posłała mu spojrzenie z ukosa.

- Vicky, miałabyś coś przeciwko temu, żebyśmy rozejrzeli się tu sami przez kilka minut i omówili wszystko?

- Ależ skąd! Gadajcie sobie, jak długo chcecie. Wyjdę na zewnątrz i załatwię kilka telefonów. Nie przejmujcie się mną!

Kiedy Vicky oddaliła się poza zasięg głosu, Ford spytał:

- Dlaczego każde zdanie kończy wykrzyknikiem? Strach?

Podniecenie? Doznaje wielokrotnych spontanicznych orgazmów?

- To urocze.



- Cilla, wydaje mi się, że ta kupa szmat, która kiedyś była pewnie ubraniem, właśnie się poruszyła. W środku może być ciało. Prawdopodobnie armia karaluchów, które czekają na sposobną chwilę do ataku. Powinniśmy wyjść. I nigdy tu nie wracać.

- Gdyby to było ciało, to cuchnęłoby gorzej.

- Jak bardzo gorzej? - mruknął. - I czy kiedykolwiek wahałaś jakieś zwłoki?

Znów spojrzała na niego z ukosa.

- Karaluchy są niewykluczone. Gdyby właściciel miał trochę oleju w głowie, toby zrobił tu porządek i wywalił ten nieprawdopodobnie zapaskudzony dywan. Ale jego strata może być naszym zyskiem.

- Chyba żartujesz. Jedyne, co możemy tu zyskać, to zarazki tyfusu. Albo cholery. - Przyglądał się podejrzliwie kupie szmat.

Nie był do końca pewien, czy rzeczywiście się nie poruszyły. - Cilla, na tym domu nie da się zarobić.

- Bo nie wiesz, gdzie patrzeć. Umawialiśmy się, że jak nie chcesz ryzykować, to nie będziesz. Ale pozwól, że najpierw ci coś powiem. Pod dywanem jest solidne drewno. Sprawdziłam to, kiedy byłam tu poprzednio. - Podeszła do narożnika i przykucnęła, żeby podnieść brzeg dywanu. - Dąb, deski o różnej długości, i to w zadziwiająco dobrym stanie.

- Okej, mamy dobrą podłogę.

- I dobre fundamenty, przyzwoita działka.

- To wygląda jak pole minowe. Prawdopodobnie najeżone pułapkami wybuchowymi, które umieściły tu atomowe pająki.

- Położyć nową darń - ciągnęła, niezrażona. - Trochę roślin, ładny niewielki taras na tyłach. Wypatroszyć łazienkę.

- Czy nie byłoby bardziej humanitarne po prostu ją zbombardować?

- Nowa wanna, nowa umywalka, ładne kafelki. W przypadku pomieszczenia o takich wymiarach mogłabym znaleźć jakąś tanią końcówkę serii w neutralnym kolorze. Wywalamy wykładzinę. Wymieniamy drzwi garderoby, dodajemy półki. Odnawiamy sufit, malujemy. Masz tu dwa ładne pokoje dla dzieci.

- A gdzie będą spać rodzice? - Wsunął ręce w kieszenie spodni, bojąc się dotknąć czegoś przez przypadek. - W hotelu, jeśli będą mieli odrobinę zdrowego rozsądku.

Zakrzywiła znacząco palec.

- Tę ścianę można przesunąć o pięć metrów.

- Naprawdę?

- Owszem, a biorąc pod uwagę szerokość domu, zmieści się tu główna sypialnia z

widokiem na tylne podwórze. Osobne pomieszczenie na garderobę, przyległa łazienka z przyzwoitą wanną i prysznicem. Może ciemnoszara glazura. Znajdziemy coś taniego.

- Co będzie trzymało tu cenę? Nadzieje i marzenia?

- Nowa kuchnia i wspaniały pokój.

- Ach, rozumiem.

Dziwne, ale zaczął widzieć to wszystko tak jak ona. Albo tak jak przypuszczał, że ona to widzi.

- Okropny dywan do wyrzucenia, dąb zostaje - mówiła, ruszając na dół po schodach. - Wymienić tę cienką balustradę.

Odremontować sufity, nowe listwy wykończeniowe, nowe stiuki.

Wszędzie nowe okna. Wypatroszyć kuchnię.

- Dzięki Bogu.

- Mała łazienka i pralnia w tym miejscu. Kuchnia, aneks jadalny i pokój rodzinny, wszystko na planie otwartym, barek śniadaniowy na szybkie posiłki, widok przez oszklone drzwi na mały ładny taras. Zewnętrzna farba w jakimś żywym kolorze, zastąpić popękany beton na ścieżce kostką brukową, posadzić kilka roślin, jakiś niewielki dereń. I to mniej więcej wszystko.

- No tak, to doprawdy niewiele.

Roześmiała się.

- Owszem, sporo, ale będzie nieźle. Stan jest opłakany. Obliczam roboty na jakieś szesnaście tygodni. Można by się uporać z tym w dwanaście, ale nie wtedy, kiedy ma się na głowie inną pracę, więc powiedziałabym raczej, że szesnaście. Biorąc pod uwagę cenę, materiały i robociznę, do tego opłaty hipoteczne przez pięć miesięcy, powiedzmy, i cenę rynkową po pozytywnych zmianach w tej okolicy, to możesz liczyć na zysk w wysokości od czterdziestu do czterdziestu pięciu tysięcy.

- Poważnie?

- Tak, jak najbardziej. Zależnie od sytuacji na rynku, kiedy dom będzie gotowy, można nawet liczyć na sześćdziesiąt tysięcy.

Okolica idzie w górę. - Zaczęła wyliczać na palcach: - Wprowadzają się tu młodsze małżeństwa, mniejsze rodziny, bardziej dbają o otoczenie. Blisko szkoła i centrum handlowe. Sypialnie, kuchnie i łazienki - tam właśnie dokonuje się sprzedaż i tam uzyskujesz największe przebicie swojej inwestycji.

- Okej.

- Nie, musisz być pewien. Przemysł to sobie przez jakiś czas.

Przygotuję ci plany przebudowy.

- Nie, już się zdecydowałem. Chodź, wprawimy Vicky w doskonały nastrój - zaproponował i pomyślał: dopóki karaluchy i pająki przyczaiły się chwilowo.

- Czekaj, czekaj. Niech trochę pocierpi. Masz zrobić interes na tym domu, Ford. - Złośliwa przyjemność, widoczna na jej twarzy, udzieliła mu się. - Zaslugujesz na to, ponieważ sprzedawcy nie chciało się nawet doprowadzić tej rudery do porządku.

Powiemy jej, bardzo nieprzekonująco, że musimy się zastanowić.

Potem odejdziemy. Za tydzień, dziesięć dni, oddzwonię do niej.

- A jeśli ktoś to kupi w tym czasie?

- Kiedy czeka na chętnego od trzech czy czterech miesięcy i dwa razy już obniżono cenę? Nie wydaje mi się. Rozczarujemy Vicky, tak jak tego oczekuje. Potem chcę pojechać do domu, zanurzyć się w twojej wannie i odprężyć.

Okazało się to problematyczne, gdyż pod jej murem przycupnęło z sześciu reporterów.

- Mówiłaś coś o braku zainteresowania.

- To nic. - Spodziewała się czegoś takiego. - Drobnny skutek naszego oświadczenia. Większość to lokalne media, może z Waszyngtonu. Jesteśmy dość blisko. Wejdz do domu. Ja się tym zajmę.

- Zamierzasz udzielać im wywiadów?

- Niezupełnie. Rzucę kilka okruchów. Porwą je i odfruną.

Nie ma powodu, żebyś się w to angażował. Poza tym potraktowaliby cię jako kolejne źródło informacji.

Lecz gdy tylko wysiedli z wozu, uniosły się kamery. Jak na zawołanie reporterzy ruszyli na drugą stronę drogi, wykrzykując imię Cilli i przerzucając się pytaniami. Fordowi wydało się, że to atak, i odruchowo przysunął się do boku towarzyszki.

- Georgia Vassar, WMWA - TV. Czy może nam pani coś powiedzieć o wczorajszej scysji z Jamesem Robertem Hennessym?

- Jak poważne są pani obrażenia?

- Czy to prawda, że Hennessy uważa panią za wcielenie Janet Hardy?

- Wydałam już oświadczenie na temat tego incydentu - odparła chłodno Cilla. - Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Czy to prawda, że Hennessy groził pani już wcześniej?

I zaatakował Steve'a Chenskigo, pani eksmałżonka, kiedy ten mieszkał z panią? Czy ta napaść była powodem nieudanego pojednania?

- O ile wiem, pan Hennessy nie został oskarżony o napaść na Steve'a, który odwiedził

mnie na krótko tej wiosny. Zawsze byliśmy przyjaciółmi, w czasie naszego małżeństwa i potem. Nie było potrzeby żadnego pojednania.

- Czy ma to coś wspólnego z pani związkiem z Fordem Sawyerem? Panie Sawyer, co pan sądzi o tym ataku na panią McGowan?

- Przypuszcza się, że pan i Steve walczyliście o Cillę i że został on ranny. Co pan na to?

- Bez komentarza. Rany, panowie, wydaje się, że znajdujecie się na moim prywatnym terenie. Jesteśmy tu nastawieni przyjaźnie, ale wolałbym, żebyście się cofnęli.

- Nie będzie mowy o przyjaznym nastawieniu, jeśli wkroczycie na mój teren - ostrzegła Cilla.

- Czy to prawda, że przyjechała pani tutaj, by komunikować się z duchem swojej babki?! - krzyknął ktoś, kiedy ruszyła wraz z Fordem w stronę domu.

- Brednia rodem z tabloidu - odparła Cilla. - Przykro mi.

Wszystko to brednia.

- Jakoś poszło - oznajmił Ford, zamykając drzwi. - Zawsze chciałem wypowiedzieć zdecydowanym tonem słowa „bez komentarza”.

- Dadzą spokój. Będzie o tym głośno przez jakieś dwa dni, i to głównie w pisemkach z supermarketów, obok wiadomości o dzieciach kosmitów w Utah.

- Wiedziałem! - Wysunął palec do góry. - Wiedziałem, że z Utah jest coś nie tak. Co powiesz na kieliszek wina i kąpiel, podczas gdy ja się zastanowię, jak tu ściągnąć swojego psa?

- Nie najlepszy pomysł. Wino, owszem, i Spock, ale w twojej siłowni jest mnóstwo okien. - Popatrzyła na niego przeproszająco, bo tyle tylko mogła zrobić. - Okna i teleobiektywy. Nie ma sensu im tego ułatwiać. Znają twoje nazwisko. Też wyładujesz obok dzieci z kosmosu.

- Wreszcie spełnię życiowe marzenie. - Sięgnął po kieliszek i zerknął na swoją automatyczną sekretarkę. - Czyż nie jestem sławnym facetem? Czterdzieści osiem wiadomości.

W tym momencie zadzwonił telefon.

- Powinieneś się przed tym wszystkim chronić, Ford. Myślałam, że wystarczy krótkie i jasne oświadczenie, a sprawa będzie załatwiona. Kim, rzeczniczka prasowa, zgodziła się ze mną. Ale z jakichś powodów niektóre media chcą to ciągnąć i nie zadowolają się bzdurnymi wyjaśnieniami.

- Zróbmy to. - Podniósł telefon i wyłączył dzwonek. - Pozostałe też wyłączę. Moja

rodzina i przyjaciele znają numer mojej komórki, jeśli będą chcieli się ze mną skontaktować. Zadzwońię do Briana i spytam, czy przenocuje u siebie Spocka. Weźmiemy trochę wina, przygotujemy mrożoną pizzę i przyczaimy się na górze za zaciągniętymi zasłonami. Wreszcie będę miał okazję urządzić maraton filmowy i pokazać ci wszystkie odcinki *Battlestar Galactica*.

Oparła się o barek, czując, jak opuszczają napięcie w ramionach. Nie gniewał się, jak sobie uświadomiła. Nie był podenerwowany. Nie był nawet szczególnie rozdrażniony. Jakim cudem mogła się kiedykolwiek związać z kimś tak niesamowicie zrównoważonym?

- Naprawdę wiesz, jak wszystko uprościć.

- Dopóki Cylonowie nie zechcą zniszczyć naszego gatunku, wszystko jest proste. Przygotuj pizzę, ja zajmę się winem.

Cilla obudziła się o piątej rano na sygnał wewnętrznego budzika, który nastawiła w środku nocy, kiedy na Małej Farmie odezwał się alarm. Powinna się była tego spodziewać - uświadomiła sobie, idąc pod prysznic. Niektórzy reporterzy niektórych mediów zwyczajowo łamali prawo, goniąc za historią. Spędziła godzinę w towarzystwie Forda i policjantów po drugiej stronie drogi.

Założyła też kłódkę na tylnych drzwiach, które nosiły ślady nieudanego włamania za pomocą łomu.

Ubrała się i zostawiła karteczkę dla Forda. Radiowóz wciąż parkował na jej podjeździe, jak na posterunku. Ptaki ćwierkały, dostrzegła też trio jeleni obok swojego stawu. Pod murem jednak nie obozowali żadni reporterzy.

Może miałam po prostu szczęście - przyszło jej do głowy. Po prostu szczęście. Wzięła samochód Forda i pojechała do miasta. Wróciła przed szóstą trzydzieści i zaniósła policjantom pudełko pączków i dwie duże kawy.

Funkcjonariusz za kierownicą spuścił szybę.

- Wiem, że to oklepane. Policja i pączki - powiedziała. - Absolutnie.

- Hej, to bardzo miłe z pani strony, pani McGowan. Mieliśmy spokój.

- I długą noc. Wygląda na to, że najeżdźcy się wycofali. Zamierzam wziąć się do roboty. Przed siódmą zaczną się pojawiać robotnicy.

- Ładnie tu u pani. - Drugi policjant wyjął z pudełka lukrowany pączek z posypką. - Ma pani niesamowitą łazienkę na piętrze. Moja żona chce odnowić naszą.

- Jeśli się zdecydujecie, zadzwońcie do mnie. Konsultacja gratis.

- Może skorzystamy. To już niedługo. Chce pani, żebyśmy przed odjazdem ściągnęli tu drugi radiowóz?

- Chyba już nie trzeba. Dzięki, że pilnowaliście mi domu.

Zacząła przygotowywać narzędzia, żeby dokończyć listwę przypodłogową. Przed ósmą zrobiło się głośno jak w ulu. Fuga, uszczelnianie, konsultacje w sprawie kostki brukowej na podjeździe i przy stawie. Cilla zajęła się trzecią łazienką i zaczęła mierzyć garderobę. Kiedy usunęła drzwi, do pokoju zajrzał Matt.

- Cilla, chyba będzie lepiej, jak wyjrzysz na zewnątrz.

- Co? Jakiś problem?

- Musisz wyjrzeć i sama to ocenić.

Oparła drzwi o ścianę i pospieszyła za nim. Wystarczyło jedno spojrzenie przez okno głównej sypialni, by odebrało jej mowę.

Sześciu reporterów można było uznać za irytujący kłopot, w dodatku spodziewany. Sześćdziesięciu to była istna klęska.

- Właśnie zaczęli się pojawiać, i to jednocześnie - wyjaśni!

Matt. - Jak na dany sygnał. Brian mnie zawołał i powiedział, że niektórzy wykrzykują jakieś pytania pod adresem chłopaków. Jezu, są kamery TV i wszystko.

- Okej, okej, muszę pomyśleć.

W domu i wokół niego pracowało co najmniej dwunastu ludzi. Dwunastu ludzi, których nie mogła kontrolować ani którym nie mogła zamknąć ust.

- To niemożliwe, żeby ten wypadek, który spowodował Hennessy, wywołał takie zainteresowanie. Kilka migawek w niezbyt poważnych wiadomościach, i to lokalnych. Muszę zadzwonić.

Słuchaj, Matt, gdyby ci się udało załatwić, żeby chłopcy nie rozmawiali z tymi reporterami, przynajmniej na razie... potrzebuję kilku minut, żeby... - Nie dokończyła, widząc czarną limuzynę, która pojawiła się na jej podjeździe.

- Rany! Patrzcie tylko.

- Tak, patrzcie tylko - powtórzyła jak echo Cilla. Nie musiała czekać, aż z wozu wysiądzie Mario, by wiedzieć, kto przyjechał.

I dlaczego.

Nim dotarła na werandę, Bedelia Hardy stała na podwórzu, wspierając się na ramieniu męża. Przechyliła głowę pod odpowiednim kątem, jak zauważyła z najwyższą niechęcią Cilla, tak aby wszystkie te teleobiektywy mogły uchwycić jej odpowiednio dramatyczny wyraz twarzy. Miała rozpuszczone włosy, które lśniły w słońcu nad lnianą marynarką tego samego koloru co oczy.

Kiedy Cilla zamknęła za sobą drzwi z siatką ochronną, Dilly rozłożyła ramiona,

przechylając się odpowiednio, by reporterzy mogli ją uchwycić z profilu.

- Kochanie!

Podeszła w swoich olśniewających sandałach na sześciocentymetrowych obcasach. Nie mając wyjścia, Cilla zeszła po schodkach w swoich wysokich butach roboczych i znalazła się w matczynych ramionach i oparach perfum Soir de Paris. Ulubiony zapach Dilly, niczym znak rozpoznawczy, był też kiedyś ulubionym zapachem jej córki.

- Moja dziecinka, moja dziecinka.

- To twoja sprawka - wyszeptła Cilla w ucho matki. - Dałaś przeciek do prasy, że przyjeżdżasz.

- Oczywiście. Każda prasa to dobra prasa. - Odchyliła się, a Cilla dostrzegła, jak za bursztynowymi szklami matczynych okularów jej nieszczerze zamglone oczy rozszerzają się w nieklamanej trosce. - Och, Cilla, twoja twarz! Mówiłaś, że nic ci się nie stało. Och, Cilla!

Właśnie to, ten moment szczerzego przerażenia i zmartwienia stepił nieco ostrze niechęci, jaką odczuwała Cilla.

- Mam kilka guzów, to wszystko.

- Co powiedział lekarz? Och, ten okropny człowiek, ten Hennessy. Pamiętam go. Drań o ściągniętej twarzy. Mój Boże, Cilla, jesteś ranna!

- Nic mi nie jest.

- Może nałożysz choć trochę makijażu? Nie ma teraz na to czasu, zresztą tak pewnie jest lepiej. Chodźmy. Wszystko załatwiłam. Musisz mnie tylko słuchać.

- Napuściłaś ich na mnie, mamó. Wiesz doskonale, że tego nie chcę.

- Nie chodzi wyłącznie o ciebie i o to, czego ty chcesz. - Dilly spojrzała ponad ramieniem Cilli na dom, potem odwróciła wzrok. I znów Cilla dostrzegła cień czegoś szczerzego. Bólu. - Nigdy nie chodziło. Potrzebuję zainteresowania prasy, występów przed kamerami. Potrzebuję rozgłosu i wezmę go sobie. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz możesz skupić ich zainteresowanie wyłącznie na sobie albo scedować je na mnie. W części albo w całości. Jezu! A co to takiego?

Cilla spojrzała we wskazanym kierunku i zobaczyła Spocka, który siedział cierpliwie z wyciągniętą łapą i wpatrywał się wielkimi, wylupiastymi oczami w Dilly.

- To pies mojego sąsiada. Chce, żebyś mu uściśnęła łapę.

- Chce... nie ugryzie?

- Nie. Po prostu uściśnij mu łapę, mamó. Doszedł do wniosku, że jesteś nastawiona przyjaźnie, ponieważ mnie objęłaś.

- No dobrze. - Nachyliła się ostrożnie i, jak Cilla musiała jej przyznać, uściśnęła

Spockowi łapę całkiem energicznie. - Jest taki brzydki, ale w jakiś dziwnie słodki sposób. A teraz zmykaj!

Dilly odwróciła się, obejmując zdecydowanym ruchem Cillę w talii, i pomachała do swojego męża.

- Mario!

Przytruchtał posłusznie, ujął jej dłoń i pocałował.

- Jesteśmy gotowe - oznajmiła Dilly.

- Wyglądasz pięknie. Tylko kilka minut tym razem, kochanie. Nie powinnaś przebywać zbyt długo na słońcu.

- Zostań w pobliżu.

- Jak zawsze.

Nie puszczając Cilli, matka ruszyła w stronę wjazdu i kamer.

- Wspaniałe buty - pochwaliła Cilla. - Kiepskie na trawę i żwir.

- Wiem, co mam... Kto to jest? Nic nie może przeszkodzić reporterom. Dlaczego ten się wyłamuje z szeregu?

- To nie reporter. - Cilla zobaczyła, jak Ford przeciska się między dziennikarzami. Kiedy zbliżył się, powiedziała: - Nie zatrzymuj się. Nie powinieneś brać w tym udziału.

- To twoja matka? Nie spodziewałem się pani przyjazdu, pani Hardy.

- Gdzie indziej mogłabym być, kiedy moja córka została ranna? Czyżby nowa sympatia? - Obrzuciła go taksującym spojrzeniem od stóp do głów. - Słyszałam co nieco o tobie. Nie od ciebie - wyjaśniła, zerkając na Cillę. - Będziemy musieli porozmawiać, ale teraz poczekaj z Mariem.

- Nie. To nie Mario, nie możesz mu rozkazywać jak tresowanemu pieskowi. Ford, nie daj im tej satysfakcji.

- Wejdę do domu i zaparzę sobie kawy - zdecydował. - Chcesz, żebym zadzwonił po policję?

- Nie. Ale dziękuję za dobre chęci.

- Prawdziwy południowiec, palce lizać - oświadczyła Dilly, kiedy Ford oddalił się w stronę domu. - Gust wyraźnie ci się poprawił.

- Jestem na ciebie taka wściekła! - Nie kłamała, gniew dosłownie pulsował w jej piersi. - Uważaj, żebyś nie przeholowała.

- Myślisz, że to było dla mnie łatwe przyjechać tu? Robię to, co muszę.

Dilly uniosła brodę, dzielna matka, dodająca otuchy swemu skrzywdzonemu dziecku. Zewsząd posypały się pytania, ale nie zwróciła na nie uwagi, niczym żołnierz lekceważący



wrogi ogień i pracy ku liniom nieprzyjaciela.

- Proszę. Proszę. - Podniosła dłoń, mówiąc głośniejszym głosem: - Rozumiem wasze zainteresowanie i nawet w pewnym sensie je doceniam. Wiem, jak bardzo pragną się wszystkiego dowiedzieć wasi widzowie i czytelnicy, i naprawdę mnie to wzrusza. Musicie jednak zrozumieć, że nasza rodzina znów przechodzi trudne chwile. I jest to... bolesne. Moją córkę spotkało coś okropnego.

Przyjechałam tu dla niej, jak zrobiłaby każda matka.

- Dilly! Dilly! Kiedy się dowiedziałas o wypadku Cilli?

- Zadzwoiła do mnie, kiedy było to tylko możliwe. Nieważne, ile dziecko ma lat, czy jest dorosłe - kiedy dzieje mu się krzywda, potrzebuje matki. Choć powiedziała mi, że bym nie przyjeżdżała, że bym nie przerywała prób przed swoim występem, nie narażała się na żal i smutek wspomnień związanych z tym miejscem, przyjechałam bez wahania.

- Ostatni raz byłaś tu krótko po samobójczej śmierci Janet Hardy, jak oświadczyłaś. Czym jest dla ciebie powrót do tego miejsca?

- Nie mogę o tym myśleć. Jeszcze nie. Najważniejsza jest teraz dla mnie córka. Później, jak już spędzimy ze sobą trochę czasu, zastanowię się nad tym, co czuję. Moja matka... - Jej głos załamał się jak na dany sygnał. - Moja matka na pewno by chciała, że bym poświęciła w tej chwili całą swoją energię córce.

- Jakie są twoje plany, Cilla? Udostępnisz dom zwiedzającym? Mówi się, że zamierzasz wystawiać tu pamiątki po Janet.

- Nie. Zamierzam tu mieszkać. Mieszkam tu - skorygowała chłodnym, niezmaconym głosem, choć jej gniew nie ustępował ani na chwilę. - Ta posiadłość należała do mojej rodziny od pokoleń, zarówno ze strony Hardy'ch, jak i McGowanów. Remontuję go i przebudowuję. Będzie to dom prywatny, taki, jakim był zawsze.

- Czy to prawda, że podczas remontu prześladowała cię plaga włamań i aktów wandalizmu?

- Zdarzały się pewne incydenty. Nie nazwałabym tego plagą.

- Jak skomentujesz pogłoski, że to duch Janet Hardy nawiedza ten dom?

- Duch mojej matki jest tu wciąż obecny - odezwała się Dilly.

zanim Cilla miała czas cokolwiek powiedzieć. - Kochała tę małą farmę, a ja wierzę, że jej duch, jej głos, jej piękno wciąż tu trwają.

Jesteśmy tego dowodem. - Dilly przyciągnęła córkę do siebie. - Jej duch jest w nas. We mnie, w mojej córce. I teraz, w pewnym sensie, są tutaj trzy pokolenia Hardy'ch. A teraz wybaczcie, pragnę pójść ze swoją córką do domu i trochę odpocząć. Proszę was jako matka,

byście uszanowali naszą prywatność. Jeśli macie jeszcze jakieś pytania, to spróbujcie na nie odpowiedzieć mój mąż.

Przechyliwszy głowę ku córce, Dilly odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

- Trochę przesadziłaś z tą matczyną troską - zauważyła Cilla.

- Nie wydaje mi się. Co się stało z drzewem?

- Jakim drzewem?

- Tym z czerwonymi liśćmi. Było większe. O wiele większe.

- Zostało zniszczone; usychało i umierało. Posadziłam drugie.

- Wygląda inaczej. Było więcej kwiatów. - Głos Dilly zadrżał, ale Cilla wiedziała, że tym razem nie jest to wykalkulowane. - Mama kochała kwiaty.

- Będzie ich więcej, kiedy robota dobiegnie końca. - Cilla czuła, jak matkę coraz bardziej opuszcza energia, wreszcie zaczęła podtrzymywać Dilly. - Jesteś zmęczona. Musisz wejść do środka.

- Wiem. Weranda była biała. Dlaczego taka nie jest?

- Musiałam niemal całą wymienić. Nie zdążyłam jej jeszcze pomalować.

- Te drzwi są niewłaściwe. - Jej oddech przyspieszył, jakby nie szła, tylko biegła. - To nie są jej drzwi. Dlaczego wszystko jest tu pozmieniane?

- Bo było zniszczone, pleśń i próchno. Mój Boże, mamó, przez ostatnich dziesięć lat nikt o to prawie nie dbał, tak jak przez poprzednich dwadzieścia. Jeśli coś się zaniedbuje, to taki jest skutek.

- Nie zaniedbywałam tego. Chciałam zapomnieć. Teraz nie mogę, prawda?

Cilla poczuła, jak matka drży. Chciała ją uspokoić, ale Dilly odsunęła się od niej, wchodząc do domu.

- Źle. Wszystko wygląda źle. Gdzie są ściany? Mały salon? Farba ma niewłaściwy kolor.

- Zmieniłam pewne rzeczy.

Dilly obróciła się gwałtownie na swoich wysokich obcasach i spojrzała rozpalonymi, błyszczącymi oczami na córkę.

- Mówiłaś, że chcesz odtworzyć ten dom.

- Mówiłam, że chcę go odnowić, i właśnie to robię. Odnawiam po swojemu, szanując to, co było.

- Nigdy bym ci go nie sprzedała, gdybym wiedziała, że rozbierzesz go na kawałki.

- Owszem, sprzedałabyś - oznajmiła chłodno Cilla. - Potrzebowałaś pieniędzy, a ja chciałam tu mieszkać. Jeśli pragnęłaś zachować go w nienaruszonym stanie, to miałaś na to

kilkadziesiąt lat. Nie kochasz tego domu, przebywanie tutaj sprawia ci tylko ból. Aleja go kocham.

- Nie wiesz, co czuję! Byłam jej tutaj bliska, bardziej niż gdziekolwiek indziej. Oczywiście, dopiero po Johnnie, zawsze po nim, jej ukochanym synu. - Jej słowa mieszały się ze łzami. - Ale byłam jej bliższa w tym domu, kiedy spędzałyśmy tu czas. Bliższa niż gdziekolwiek indziej. Teraz wszystko się zmieniło.

- Wcale nie. Kazałam naprawić tynki, podłoga też będzie odnowiona. Ta, po której chodziła. Kazałam doprowadzić do porządku piec i lodówkę, z których korzystała i z których sama będę korzystać.

- Ten duży stary piec?

- Tak.

Dilly przycisnęła w zamyśleniu palec do ust.

- Czasem próbowała upiec pierniki. Szło jej okropnie. Zawsze je przypalała, a potem się śmiała. I tak je zjadaliśmy. Do diabła! Cilla. Do diabła! Tak ją kochałam.

- Wiem.

- Miała mnie zabrać do Paryża. Tylko ja i ona. Wszystko było już zaplanowane. A potem zginął Johnnie. Zawsze mi wszystko psuł.

- Boże, mamo!

- Tak to wtedy odczuwałam. Po pierwszym szoku i okropnym żalu, bo go przecież kochałam. Kochałam go, nawet gdy chciałam go nienawidzić. Ale potem, kiedy nie chciała już jechać do Paryża, pomyślałam sobie: wszystko mi popsuł. - Dilly odetchnęła powoli i urywanie. - Kochała go martwego bardziej niż mnie żywą. Nieważne, jak się starałam, nie mogłam temu sprostać.

Wiem, jak się czujesz - pomyślała Cilla. Wiem dokładnie. Na swój sposób Dilly kochała swoją nieżyjącą matkę bardziej, niż mogła kochać swoją żywą córkę.

Może tu też chodziło o odkupienie. Więc Cilla zrobiła jeszcze jeden krok.

- Myślę, że kochała cię, i to bardzo. Myślę, że tamtego lata, kiedy umarł, wszystko się straszliwie roztrzaskało. A ona nigdy nie doszła do siebie. Gdyby miała więcej czasu...

- Więc dlaczego nie wybrała takiej drogi? Dlaczego zamiast tego wybrała pigułki? Zostawiła mnie. Zostawiła mnie. Przypadek czy nie przypadek - a ja zawsze będę wierzyła, że to był przypadek - wzięła pigułki, kiedy mogła wziąć mnie.

- Mamo. - Cilla podeszła do matki i dotknęła jej policzka. - Dlaczego nigdy wcześniej mi tego nie powiedziałaś? O tym, jak się czułaś?

- To przez ten dom. Niepokoi mnie. Wszystko odgrzebuje.

Nie chcę go. Po prostu go nie chcę. - Otworzyła torebkę i wyjęła pudełeczko z pastylkami. - Daj mi trochę wody, Cilla. Butelkowanej .

Cilla pomyślała, że jej matka nigdy nie umiała dostrzegać ironii pewnych sytuacji. Córka, która rozpaczała, ponieważ jej matka wybrała pigułki zamiast niej, teraz postępowała identycznie.

- W porządku.

W kuchni Cilla wyjęła plastikową butelkę ze swojej małej lodówki. Wzięła szklanę, dorzuciła do niej lodu. Przyszło jej do głowy, że Dilly tym razem będzie musiała się obejść bez swojego plasterka cytryny. Nalewając wodę, wyrzała przez okno.

Ford stał nad zarośniętą wodą w towarzystwie Briana i jej eksperta od stawu. Trzymał w ręku kubek z kawą, kciuk drugiej dłoni wsunął w szlufkę od dżinsów.

Wysoki i szczupły - pomyślała - i tylko trochę niezdarny. Niechlujne kasztanowe włosy z jaśniejszymi pasemkami. Tak wspaniale, cudownie normalny. Już sam jego widok ją uspokajał, a także świadomość, że pozostanie - ten mężczyzna, który tworzył superzłoczyńców i bohaterów, który miał wszystkie odcinki *Battlestar Galactica*, i to obu serii, na DVD. Człowiek, który, o czym była przekonana, nie odróżniał śrubokręta krzyżakowego od zwykłego i który wierzył, że ona potrafi dać sobie radę. Dopóki nie dochodził do wniosku, że jednak nie potrafi.

- Dzięki Bogu, że tu jesteś - powiedziała cicho. - Zaczekaj na mnie.

Zaniosła wodę matce, żeby mogła popić swój środek uspokajający.

## ROZDZIAŁ 23

- A więc poszli sobie. - Ford wskazał na dom trzymaną w ręku puszką coli, którą wziął z kuchni Cilli.

- Tak. Po wielkim finale i matczyńskich objęciach przed kamerami.

- Wracają do Kalifornii?

- Nie, zostają na noc w Waszyngtonie, w Willard. Dzięki temu będzie mogła urządzić jeszcze kilka reporterskich zasadzek i przygotować się do wrześnieowego występu w National Theater. - Cilla podniosła ręce i potrząsnęła głową. - To było wykalkulowane, ale nie do końca. W jakichś osiemdziesięciu procentach. Pozostałych dwadzieścia to była szczerza troska o mnie, którą wyraziłaby i zaspokoila przez telefon, gdyby nie dostrzegała korzyści z tej podróży. Dużo ją kosztował przyjazd tutaj, na farmę. Nie rozumiałam tego aż do dzisiaj albo nie rozumiałam w pełni, jakie to dla niej przeżycie. Łatwiej mi teraz wybaczyć, że tak zaniedbała dom, i zaakceptować jej gorycz, kiedy przedstawiłam ofertę, której nie mogła odrzucić.

- Czy byłoby rzeczą nielogiczną przypuszczać, że gdyby nie chciała tego domu, nie była w stanie się nim zajmować, to mogłaby ci go po prostu oddać?

- Nie w świecie Dilly. Tam obowiązuje zasada wet za wet.

Nie wiedziałam, jak bardzo czuła się pod koniec niekochana albo spychana na drugie miejsce w sercu Janet, bo pierwsze zawsze zajmował Johnnie. Wcale nie jestem pewna, czy nie ma racji. Tak, wiem, że zrobiła dzisiaj coś, czego nie chciałam. Usprawiedliwiała to nie tylko dlatego, że dostrzegała w tym korzyść dla siebie, ale też dlatego, że w jej przekonaniu było to dobre dla mnie. Ma w tym wprawę.

- Będzie z niej ciekawa teściowa.

- Boże! - Poczowała ucisk paniki w gardle. - Nie mów o tym.

- Już wszedłem do tego ogródka i właśnie przemierzam krętą ścieżkę. „Kręta” to chwilowo odpowiednie słowo. - Łyknął coli. - Nie ma pośpiechu.

- Ford, musisz zrozumieć...

- Przepraszam, Cilla. - Podeszedł do nich Matt. - Przywieźli deski, te na drugie piętro. Warto chyba, żebyś rzuciła na nie okiem, zanim wniesiemy je na górę.

- Tak, tak, dobrze. Zaraz przyjdę.

- Już kładzicie podłogę? - spytał Ford.

- Musi najpierw poleżeć przez kilka dni w pomieszczeniu, coś w rodzaju aklimatyzacji. Ponieważ mamy zainstalować tam jeszcze parę rzeczy, podłoga powinna...

nieważne.

- Okej. Jeśli nie jestem już tu potrzebny, wróć do siebie, może uda mi się jeszcze popracować.

- Dobrze, dobrze - odparła, wciąż walcząc z niepokojem, który wywołały jego słowa.

- Aha, tak przy okazji, skończyłem skanować te zdjęcia dla ciebie. Przypomnij mi, żebym ci je dał - oznajmił Ford.

- Boże, zupełnie o nich zapomniałam! Będę musiała podziękować twojemu dziadkowi.

- Myślę, że najlepszą podzięką było dla niego to, że widział cię w ręczniku kąpielowym.

- Musiałeś mi przypomnieć, oczywiście. - Wyszli na podwórze, gdzie właśnie wjeżdżał tyłem wóz dostawczy. - No, super!

- Zostawiam cię, żebyś mogła entuzjasmować się swoimi deskami. - Ujął szybko jej twarz w dłonie i pocałował. - Będziemy czekać na ciebie.

Tak, będą - pomyślała. On i jego dziwny pies. Było to zarówno wspaniałe, jak i przerażające.

Ford zamknął się w swojej pracowni na bite cztery godziny. Szło mu nieźle. Nawet mając na głowie mnóstwo rzeczy, które go rozpraszały - seksowną sąsiadkę, włamanie, nowego przyjaciela w szpitalu, troskę o seksowną sąsiadkę i miłość, którą do niej odczuwał - robił znaczne postępy.

Przyszło mu do głowy, że może Brid zostanie ukończona w tym samym czasie co dom Cilli. Było to coś w rodzaju doskonałej synchronizacji. Teraz jednak zasłużył na odpoczynek i poważną sesję na werandzie. Wstał, cofnął się o kilka kroków i popatrzył krytycznym okiem na swoje dzieło.

- Jesteś cholernie dobry, Sawyer. Niech nikt ci nie mówi, że jest inaczej.

Poklepał się w myślach po plecach i zszedł na dół, zatrzymując się po drodze, żeby popatrzeć przez okno. Nie zauważył ani jednego reportera, co go ucieszyło ze względu na Cillę. Nie dostrzegł też żadnych ciężarówek, co oznaczało, że i ona skończyła robotę. Skierował się do kuchni, żeby wziąć sobie zimne piwo, i przywołał Spocka z tylnego podwórza, chcąc posiedzieć w jego towarzystwie na werandzie i poczekać na Cillę. W lodówce znalazł karteczkę przyklejoną do butelki piwa. „Skończyłeś? Jeśli tak, odwiedź Chez McGowan. Jestem na tyłach domu”.

Uśmiechnął się do karteczki.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Siedziała na kamiennym patio, przy tekowym stole pod niebieskim parasolem. Trzy

stopnie schodków ozdabiały trzy miedziane donice z bujnymi roślinami. W tej swojej czapce z daszkiem, z wyciągniętymi nogami, które skrzyżowała w kostkach, nie zdjawszy butów roboczych, i na tle krzewów różanych wydała mu się nie tylko zrelaksowana, ale też nadzwyczajna. Uśmiechnęła się - odprężona i wesoła - kiedy usiadł naprzeciwko niej.

- Wygrzewam się na słońcu - oznajmiła, drapiąc Spocka.

- Zauważyłem. Skąd to wzięłaś? - Wskazał parasol.

- Przywieźli go dzisiaj, nie mogłam się oprzeć i go postawiłam. Potem Shanna przyciągnęła tutaj te donice. Wybrałam je podczas jednej z wypraw do miasta, sama jeszcze nie wiedziałam, co z nimi zrobić. Ale ona zobaczyła ten stół i od razu pojechała do sklepu ogrodniczego, wybrała rośliny i sama się tym zajęła, ot tak, po prostu. Będę musiała je przenieść, kiedy zacznie się bejcowanie i malowanie na zewnątrz, ale w tej chwili uwielbiam na nie patrzeć. - Przesunęła się, sięgnęła do wiaderka z lodem i wyciągnęła dwa piwa. - A teraz w dodatku możesz zażywać kąpeli słonecznej w moim towarzystwie.

Zdjął kapsle i stuknął się z nią.

- Za pierwszą z wielu kąpeli słonecznych pod niebieskim parasolem! Jak rozumiem, miałaś dobry dzień.

- No cóż, nie obyło się bez kłopotów. Nie mogło być gorzej niż na początku, ale zdarzały się potknięcia. Moja ekscytacja podłogą była krótkotrwała, kiedy się okazało, że przywieźli niewłaściwe drewno. Potem twierdzili, że dzwoniłam do nich wcześniej i sama zmieniłam orzech na dąb, co jest kompletną bzdurą i opóźni robotę z podłogą na drugim piętrze o jakiś tydzień. Skończyłam garderobę w trzeciej łazience i zaczęłam tę w łazience numer cztery. Sprzedawca pomylił panel od drzwi do prysznic parowego, co także oznacza zwłokę, ale wanna, którą wypatrzyłam do trzeciej łazienki, właśnie pokazała się w sprzedaży. Agencja ubezpieczeniowa waha się, czy dać mi kolejny wóz, w sytuacji kiedy zgłosiłam dwie szkody w ciągu dwóch dni, i z pewnością podniesie mi stawkę. Postanowiłam pogrzać się na słońcu zamiast się wkurzać.

- Dobry wybór.

- No cóż, przestoje i potknięcia to chleb powszedni w tej robocie. Róże kwitną, a ja mam niebieski parasol. Wystarczy w zupełności, jeśli o mnie chodzi. A jak tobie dziś poszło?

- Znacznie lepiej niż zwykle. Rozwiązałem poważny problem, a potem już było z górki. Na koniec znalazłem bardzo miłe zaproszenie w swojej lodówce.

- Tak sobie pomyślałam, że jak tylko zejdziesz na dół, to od razu je znajdziesz. Prawdę powiedziawszy, najpierw weszłam na górę, ale byłeś zajęty, więc nie chciałam ci przeszkadzać. - Zainteresowana i zaciekawiona, przechyliła głowę. - Co to był za problem?

- Złoczyńca. Na początku pierwowzorem dla tej postaci był pan Eckley, mój nauczyciel algebry ze szkoły średniej. Mówię ci, ten facet to było wcielenie zła. Ale w miarę jak ten bohater się rozwijał, uświadomiłem sobie, że to niewłaściwa perspektywa - w sensie fizycznym. Chciałem kogoś szczuplejszego, mniej podłego, a jednocześnie przystojnego, może trochę arystokratycznego i rozpustnego. Cokolwiek bym próbował, wciąż wychodziło mi coś w rodzaju Johna Carradine'a albo Basila Rathbone'a.

- Niezły wygląd, w obu przypadkach. Zapadnięte policzki przenikliwe, świdrujące oczy.

- I odznaczają się zbytnią wyrazistością jak na tę postać. Utknąłem w miejscu. Dzisiaj doznałem oświecenia. Zrozumiałem, że nie szukam rozwiązłości, ostrych kości policzkowych i powagi. Nie chudego i kościstego Carradine'a, ale czegoś drobniejszego, może nawet z pewną skłonnością do zniewieścienia. Kontrast między wyglądem a zamiarem - wyjaśnił. - Między wizerunkiem a celem. Gdy facet niszczy na zimno, nosząc jednocześnie garnitur od Armaniego, to groza jest znacznie większa.

- Więc oparłeś go na jakimś agencie hollywoodzkim?

- W dużym stopniu. To Numer Pięć.

Zdołała przełknąć piwo, nie zakrztusiwszy się przy tym.

- Mario? Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej. Wystarczyło mi dzisiaj rano jedno spojrzenie na tego faceta, żeby mi łuski opadły z oczu. Ma wszystko, co trzeba - budowę ciała, posturę, fryzurę za pięćset dolarów i tę lśniącą, promienistą powłokę. Nie wiem, dlaczego tego nie zauważyłem, kiedy widziałem go wcześniej. Chyba za bardzo skupiłem się na panu Eckleyu.

- Mario! - Zerwała się z miejsca, chwyciła Forda za włosy i przywarła do jego ust w namiętnym pocałunku, który wprowadził Spocka w radosny taniec. - To w pełni rekompensuje ten spieprzony ranek. Dzięki.

- Tak naprawdę nie zrobiłem tego dla ciebie. A radość, jaką ci to sprawia, to korzyść uboczna.

- Nie szkodzi. - Osunęła się na swoje krzesło. - Można powiedzieć, że dzień był lepszy niż zwykle.

Cilla obrabiała kolejne listwy w chłodnym cieniu stodoły. Lubiła ciszę i lubiła tę robotę. Nie chciała jej nikomu zostawiać, nawet gdyby miała do oczyszczenia, uzupełnienia, zabejcowania i pomalowania całe kilometry listew. Zdrapując warstwy białej i niezglębionej jasnoniebieskiej farby z drewna orzechowego, pomyślała, że pewnego dnia przejdzie się po swoim nowym domu i będzie podziwiał każdy centymetr drewna. I będzie mogła powiedzieć:



„Jato zrobiłam. Sama”.

Rozebrała się do podkoszulka i zielonych szortów, co było ustępstwem wobec upału, który dokuczał jej nawet w zacienionej stodole. Przerwała pracę, żeby napić się wody, i patrzyła, jak ekipa, zajmując się stawem, usuwa z niego i rozdziela lilie i wykopuje zbyt rozrośnięte rogoża.

Pomyślała, że kiedy staw będzie gotowy i zgodny z normami ekologicznymi, to nic nie stanie na przeszkodzie, by sama się nim zajmowała. Jeśli chodzi o teren wokół domu, to z pewnością przyda się pomoc, nawet jeśli kupi sobie traktor do strzyżenia trawy. Przyszło jej do głowy, że z przyjemnością będzie krzątać się po terenie, ścinać trawę, pielic, zamiatać liście jesienią, zgarniać śnieg zimą, sadzić nowe kwiaty wiosną.

Wiedziała jednak, że nie zdoła zająć się wszystkim sama - domem, ziemią, stawem, ogrodami - i jednocześnie prowadzić biznes.

Ekipa sprzątająca - pomyślała, zapinając butelkę przy pasku i biorąc do ręki blok z papierem ściernym. Przynajmniej raz w tygodniu, zdecydowanie. Przyszło jej do głowy, żeby pogadać z Brianem, który mógłby przysłać kogoś raz w miesiącu, od marca do października, przynajmniej do czasu, aż sama się zorientuje lepiej, co należy zrobić i z czym sobie zdoła poradzić bez pomocy.

Potrzebowała poza tym dobrej rady w sprawie ogrodu warzywnego, który miała nadzieję założyć, zwłaszcza że w żaden sposób nie mogła się nim zająć tego roku, tak jak na to liczyła. Musiała też wiedzieć, czy pola powinno się zaorać i obsiać - i czym? I kto, u licha, miałby to robić? Przydałyby się kolejne konsultacje, gdyby uległa pragnieniu, które od dawna nie dawało jej spokoju, i kupiła sobie konia. Wymagałoby to ćwiczeń, przygotowania stajni, karmienia, czyszczenia i było zapewne zwariowanym pomysłem.

Ale... czy para koni, dokazujących i pasących się na jednym z tych pól, nie wyglądałaby wspaniale? Czyż taki widok nie byłby wart wysiłku, czasu, kosztów?

W przyszłym roku - obiecała sobie. Może.

Nie mogła ulegać euforii i samozadowoleniu tylko dlatego że kilka dni minęło gładko, a ona była tak cholernie szczęśliwa. Rzeczywistość to były nieszczelne krany, mszyce i paluszniki niszczące trawę, zapchane rynny i krnąbrne, zawodne urządzenia. Zdawała sobie sprawę, że będzie się z tym zmagać, jak i z wieloma innymi problemami, do końca życia.

I czyż nie było to po prostu cudowne?

Śpiewała, szlifując starą orzechową listwę.

- Przypomniałaś mi, jak bardzo masz do niej podobny głos.

Podniosła wzrok, zmrużyła oczy i uśmiechnęła się na widok Gavina, który przesunął

się z jasno oświetlonego miejsca w cień.

- Owszem, bez tej skali, głębi czy naturalnego vibrato.

- W moich uszach brzmiało wspaniale, poza tym to ciekawe, że dziewczyna w twoim wieku śpiewa *Blue skies*.

- No cóż, to miejsce poniekąd prowokuje do nieśmiertelnych standardów. A może ona to robi? No i - pokazała palcem niebo - z pewnością mamy dziś błękitne niebiosa.

- Przeszedłem się po domu i zobaczyłem gotowy produkt. - Postukał palcem listwy. - To jeszcze jedna rzecz, o której zapomniałem albo której nigdy nie dostrzegłem, kiedy tu byłem lata temu. To jest piękne. Naprawdę piękne.

- I sprawia mi ogromną radość. Dlatego śpiewałam. Zastanawiałam się, kiedy znowu wpadniesz, żebym mogła cię namówić na pędzel.

- Pokaż mi ściany i farbę.

- Sypialnia czeka na dwie warstwy „starego koniaku”. - Wskazała gazetę, którą trzymał w dłoni. - Zapewniamy płachty ochronne. Nie musiałeś przynosić swojej.

Kiedy się nie uśmiechnął, poczuła ostrzegawczy ucisk w żołądku. - Oho.

- Słyszałem o tej medialnej inwazji i wizycie twojej matki dwa dni temu. Zajęli się tym - telewizja, prasa.

- Tak, widziałam już co nieco. Posłuchaj, wiem, że wyciągnęli twoje nazwisko i...

Przerwał jej machnięciem dłoni.

- To nieważne, Cilla. Zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że ktoś musi ci o tym powiedzieć albo ci to pokazać, i to szybko. Patty była dziś rano w supermarkecie. Położyli to przy kasie.

- Tabloidy. - Przytaknęła, ściągając rękawice ochronne. - Wiedziałam, że to się stanie prędzej czy później. Nie martw się.

Jestem do tego przyzwyczajona.

Wyciągnęła rękę po gazety. Tytuły dosłownie krzyczały. Jak zawsze w przypadku brukowców, ale te krzyki wydawały się o wiele głośniejsze, kiedy chodziło o nią.

**DUCH JANET HARDY PRZEŚLADUJE JEJ WNUCZKĘ! BYŁA KSIĘŻNICZKA HOLLYWOOD NIEMAL GINIE W WYPADKU!**

**BEDELIA HARDY STAJE U BOKU CÓRKI PO ATAKU SZALEŃCA!**

**CZY MAŁA KATIE TO WCIELENIE JANET HARDY?**

Zdjęcia były jeszcze gorsze, ziarniste, złośliwe. Na pierwszej stronie znajdowała się fotografia Cilli, ujęcie podkreślało jej posiniaczoną twarz; obok, obejmując córkę, stała Dilly, na której policzku widać było pojedynczą łzę. W tle majaczyła upiorna postać Janet Hardy,

podpis pod spodem głosił: „Duch mojej matki jest tu uwięziony - mówi Bedelia Hardy. - Zdjęcie, które widzicie, potwierdza te smutne słowa”.

W środku zamieszczono fotografię Cilli z tą samą listwą, którą teraz odnawiała. „Cilla stara się przegnać ducha Janet z jej farmy w Wirginii”.

- Okej, fatalnie. Gorzej, niż się spodziewałam. - Oddała ojcu gazety. - Na pierwszej stronie w każdym brukowcu obszerny opis. Mama będzie zachwycona. Wiem doskonale, jak to brzmi - warknęła, zanim ojciec zdążył cokolwiek powiedzieć. - Sama to sprowokowała. Każdy, z kim pracuję, z kim robię interesy, zobaczy te bzdury. A Ford też został wciągnięty w to bagno, bo miał klapki na oczach i się we mnie zakochał. A teraz...

- Zakochał się w tobie? - przerwał jej Gavin. Nim zdążyła wzruszyć ramionami, położył dłoń na jej barku. - Jest w tobie zakochany? A ty w nim?

- Słowo na „M” zostało wypowiedziane przez obie strony, no, może ja zrobiłam to aluzyjnie. Albo, jak napisali w tym szmatławcu, wypowiedziane przeze mnie za pośrednictwem Janet, bo się zastanawiają, czy rozwścieczony kochanek Cilli został uwiedziony przez ducha mojej babki. Nie mów mi, że nie powinnam się wkurzać. Nie mów mi, że każdy uznaje to za stek bzdur. Te gazety się sprzedają, ponieważ ludzi fascynują takie bzdury.

- Chciałem tylko powiedzieć, że zawsze bardzo lubiłem Forda. Jeśli jesteś dzięki niemu szczęśliwa, to lubię go jeszcze bardziej .

- Nie będzie zadowolony, kiedy zobaczy to wszystko i będzie musiał tłumaczyć swojej rodzinie, przyjacielom, wydawcy, na litość boską, dlaczego jego twarz i nazwisko obsmarowali tak dokładnie. - Bezradna, przycisnęła dłoń do obolałego brzucha. - Wiedziałam, że go w to wciągną, i ostrzegałam go, ale nie wiedziałam, że będzie aż tak źle.

- Albo przeceniasz siebie, albo nie doceniasz Forda. Tak czy inaczej masz prawo być zdenerwowana. Wkurzona jak diabli.

Nie mam tyle doświadczenia w tych sprawach, co ty, ale wiem, że masz dwie rzeczy do wyboru. - Mówił spokojnie, oczy spoglądały poważnie. - Wychodzisz z cienia, robisz aferę, żądasz sprostowania, grozisz procesem albo to ignorujesz. Zrobisz to pierwsze, będziesz miała niewielką szansę na satysfakcję, podczas gdy historia nabierze rozpędu i sprzedadzą jeszcze więcej gazet. Zrobisz drugie - sprawa się sama wypali, w każdym razie za jakiś czas.

- Muszę to zignorować, wiem o tym. Ale to się tak łatwo nie skończy. Wyciągną te zdjęcia, te najgorsze, ilekroć uznają, że trzeba znów przypomnieć Janet Hardy, albo kiedy mama rozwiedzie się w końcu z Numerem Piątym. Muszę się jeszcze zdrowo powkurzać,

zanim dam sobie z tym spokój.

- Mógłbym kupić ci szczeniaczka.

- Co? - Zaskoczona, przesunęła dłonią po włosach. - Po co?

- Rozłożysz wtedy te idiotyczne gazety na podłodze, a on narżnie na nie i nasika.

Uśmiechnęła się leciutko.

- Zawsze chciałam mieć szczeniaczka, ale najpierw powinnam ukończyć przebudowę. Potem zacznę zajmować się dodatkami w rodzaju zwierzaków.

- No to może zamiast tego pomaluję tę sypialnię? Odcień „starego koniaku”, tak?

- Zgadza się. Pokażę ci, gdzie jest farba.

Ford oderwał się od pracy, żeby napić się wody i przyjrzeć dokładnie ostatnim rysunkom, które właśnie ukończył. Podobały mu się subtelne zmiany w postaci Cass, kiedy już się przebudziła i przekształciła w Brid. Spojrzenie oczu, odmiennosc postawy, kiedy była sama. Zmieniła się, i nie tylko wtedy, gdy emanowała siłą, a symbol jej pozycji i rangi płonął na ramieniu. Skromna, spokojna pani profesor ustępowałaby powoli, aż w końcu byłaby bardziej maską niż rzeczywistym charakterem.

Ta strata osobowości stałaby się tematem przyszłych tomów historii.

Wybór ścieżki przeznaczenia, jak powiedziała jej Nieśmiertelna w części trzeciej, strona sześćdziesiąt trzy, wymagał poświęcenia. Nigdy już nie byłaby tą, którą była dawniej, kiedy dokonałaby wyboru.

Jak by sobie poradziła? - zastanawiał się Ford. Jak przyjęłaby to, kim się stała, i kogo pozostawiłaby za sobą podczas tej podróży?

Pomyślał, że byłoby ciekawie się tego dowiedzieć. Miał nadzieję, że czytelnicy też będą zainteresowani.

Przyszło mu do głowy, że nie zawadzi odwiedzić kilka blogów, przekazać garść tajemniczych aluzji co do opowieści. Tak czy inaczej musiał sprawdzić swój e - mail. A godzinna przerwa w pracy zawsze pobudzała twórcze soki.

Już miał usiąść przy swoim warsztacie, gdy usłyszał pukanie do drzwi wejściowych. Ostrożny od czasu Wielkiej Inwazji Reporterów, wyjrzał przez okno, zanim zszedł na dół, żeby otworzyć.

- Witam, panie McGowan.

- Mam nadzieję, że nie zjawiłem się nie w porę, Ford.

- Nie, prawdę mówiąc, zrobiłem sobie właśnie przerwę. proszę, niech pan wejdzie.

- Chcę z tobą pomówić o kilku sprawach.

- Jasne. - To głupie czuć się podenerwowanym - powiedział sobie w duchu. Upłynęło

już trochę czasu, od kiedy miał na głowie prace semestralne i egzaminy. - Chce się pan napić czegoś zimnego?

- Z chęcią. Właśnie zagruntowałem kilka ścian u Cilli.

- Jakiś problem na budowie? - spytał Ford, prowadząc gościa do kuchni.

- Coś z podgrzewaczem wody, dłuższa debata na temat szuflad pasujących do drzwi w jakichś szafkach, poza tym Buddy gdera na jakieś pierścienie uszczelniające. A poza tym mam wrażenie, że wszystko idzie doskonale.

- Jak widać, Cilla świetnie sobie radzi. Niech pan siada.

Może być herbata mrożona?

- Oczywiście, będzie doskonała.

Gavin czekał, podczas gdy Ford nalewał herbatę do wysokich szklanek z lodem. Potem położył na barku plik tabletek.

Ford zerknął na gazety i przysunął sobie tę na wierzchu, by się lepiej przyjrzeć.

- Rany! Cilla to widziała?

- Tak. Zakładam, że ty nie widziałeś.

- Nie, cały dzień siedziałem w Centurii. To znaczy pracowałem - wyjaśnił. - Jak to przyjęła?

- Nie za dobrze.

- Jezu! Nie mogło być już chyba gorzej - zauważył Ford.

stukając palcem w zdjęcie z „duchem” Janet. - Każdy dwunastolatek, posługując się Photoshopem, zrobiłby to lepiej. Ale ta wstawka z Cillą jako dzieciakiem jest całkiem niezła.

Gavin otworzył bez słów gazetę, a potem się przyglądał, jak Ford przesunął wzrokiem po stronie i zobaczył swoją twarz.

- Jezu! Muszę iść do fryzjera. Cały czas myślę o tym, żeby się w końcu zająć włosami. Hm. „Rozwścieczony kochanek Cilli rusza jej na pomoc”. Nie sprawiam na tym zdjęciu wrażenia szczególnie rozwścieczonego. Raczej zatroskanego. Powinni...

W końcu dotarło do niego, co napisano w gazecie i że przy jego barku siedział rodzony ojciec Cilli, popijając mrożoną herbatę. Odchrząknął zakłopotany.

- Proszę posłuchać, panie McGowan, Cilla i ja... to znaczy nie... to znaczy tak, ale...

- Ford, nie jestem zaszokowany tym, że ty i Cilla śpicie ze sobą, i nie mam przy sobie strzelby.

- Okej. No cóż. - Napił się herbaty. - W takim razie okej.

- Naprawdę? - Gavin otworzył następną gazetę. - Jeśli to przeczytasz, dowiesz się, co tu sugerują. Że zostałeś uwiedzony przez samotnego i uwięzionego ducha Janet Hardy albo

uwiodłeś wnuczkę, żeby zostać kochankiem Janet.

Ford nie mógł się opanować i parsknął śmiechem.

- Przepraszam, ale to mnie bawi. Gdyby odznaczyli się jakkolwiek wyobraźnią, zrobiliby ze mnie drugie wcielenie kogoś odpowiedniego. Bogarta albo Gregory'ego Pecka, który gasi pożądanie do wcielenia Janet Hardy, idąc do łóżka z Cillą przy każdej nadarzającej się okazji. Boże! Przepraszam za tę wzmiankę o łóżku. Szczerze.

Gavin wyprostował się i łyknął herbaty.

- Byłeś jednym z moich najlepszych uczniów. Byстрыm, twórczym. Trochę nieporadnym i ekscentrycznym, ale nigdy nudnym.

Zawsze podobało mi się to, co nazwałbym twoim wyjątkowym procesem myślowym. Powiedziałem dziś rano Cilli, że zawsze cię lubiłem.

- Miło mi to słyszeć, biorąc wszystko pod uwagę.

- I biorąc wszystko pod uwagę, jakie są twoje zamiary wobec mojej córki?

- O Boże! Właśnie ścisnęło mnie za mostkiem. - Ford walnął się w pierś. - Myśli pan, że skrajny niepokój może wywołać atak serca u kogoś w moim wieku?

- Wątpię, ale obiecuję wezwać pogotowie, jeśli zajdzie taka konieczność. - Patrząc Fordowi prosto w oczy, Gavin nachylił się w jego stronę. - Jak już odpowiesz na pytanie.

- Chcę, żeby za mnie wyszła. Nie jest jeszcze zdecydowana.

Do diabła, wciąż mnie uciska - dodał, masując sobie pierś. - Na razie tylko... - Doszedł do wniosku, że obrał złą drogę. - Znamy się dopiero od kilku miesięcy, ale wiem, co czuję. Kocham ją. Mam powiedzieć panu o swoich szansach i w ogóle? Po raz pierwszy rozmawiam o tych sprawach.

- Ja też. Powiedziałbym, że jeśli chodzi o ciebie i Cillę, to twoje szanse przedstawiają się zupełnie nieźle. Dodałbym też, że według mnie bardzo do siebie pasujecie.

- No, przechodzi. - Ford odetchnął głęboko. - Potrzebuje mnie. Potrzebuje kogoś, kto zrozumie i doceni to, kim jest i kim chce być. Ja też jej potrzebuję, ponieważ to, kim jest i kim chce być, jest właśnie tym - to dla mnie niespodzianka - na co czekałem całe życie.

- Doskonała odpowiedź. - Gavin wstał. - Zostawię to tutaj. - Wskazał gazety. - Zróbcie z tym to, co uważacie za stosowne. Ja idę malować. Nie odprowadzaj mnie do wyjścia. - Zatrzymał się na progu kuchni. - Nie mógłbym być bardziej zadowolony, Ford.

Ford, ze swej strony też cholernie zadowolony, usiadł przy barku i przeczytał wszystko, co napisano w gazetach, każdą historię. I wiedział, co z tym zrobić.

Zabrało mu to trochę czasu, ale końcowy rezultat był jak najbardziej zadowalający. Potem udał się wraz ze Spockiem na drugą stronę drogi, a stwierdziwszy, że drzwi frontowe

są zamknięte, posłużył się kluczem, który mu wcześniej dała. Krzyknął, a nie doczekawszy się odpowiedzi, ruszył na górę. Szum prysznic rozwiązał zagadkę. Zastanawiał się krótko i intensywnie, czy się do niej nie przyłączyć, ale zakłóciłoby to ustalony porządek wydarzeń. Nie mówiąc już o tym, że zaskoczenie kobiety pod prysznicem w zamkniętym domu mogło spowodować wrzaski. Zadowolił się więc siedzeniem na brzegu łóżka w pokoju gościnnym - ponieważ było to jedyne łóżko w całym domu - i czekał.

Nie wrzasnęła, kiedy go zobaczyła, ale sądząc po ilości powietrza, które wciągnęła w płuca, cofając się gwałtownie, stłukłaby wszystkie szyby w promieniu dziesięciu kilometrów, gdyby odetchnęła.

- Boże, Ford, wystraszyłeś mnie na śmierć!

- Przepraszam. Uznałem, że wystraszyłbym cię jeszcze bardziej, gdybym wszedł do łazienki, kiedy brałaś prysznic.

Zacisnął pięść, jakby na rękojeści noża, i zaczął uderzać nią w powietrze, odtwarzając z wprawą słynną scenę zabójstwa pod prysznicem z *Psychozy*.

- Tak, mogło być jeszcze gorzej. Gdzie Spock?

- Chciał sprawdzić, czy na tyłach są jakieś niewidzialne koty.

- Muszę się ubrać. Może posiedzisz na patio? Zejdę za kilka minut.

Niezadowolona - zauważył. Poirytowana. I odrobinę zniechęcona. Jego pomysł albo by pomógł, albo jeszcze pogorszył sprawę. Spróbował się przekonać.

- Przyniosłem ci coś.

- Co? Może zanieziesz to na dół, a ja... - Urwała, kiedy wyjął zza pleców małą paczkę zawiniętą w gazetę.

Mocniej zawiązała ręcznik na piersiach.

- A więc widziałeś to.

- Tak. Aha, dwóch twoich pracowników, to znaczy mój przypuszczalnie dozgonny przyjaciel Matt i Brian urwali się z roboty, przyszli do mnie i zaczęli sobie robić ze mnie żarty. Ukarz ich, jak chcesz. Ale tymczasem rozpakuj swój prezent.

- Przepraszam. Naprawdę przepraszam. Kompletnie nie doceniłam zainteresowania tych ludzi z mediów. I sama w to się wpakowałam, wykorzystując rzeczniczkę prasową swojej matki.

Jestem głupia, głupia, głupia!

- Okej, możesz się ubiegać o nagrodę głupoty. Rozpakuj prezent. - Poklepał łóżko obok siebie.

Usiadła i wlepiała wzrok w paczuszkę, którą położył jej na kolanach.

- Nie posłużyłem się gazetami, w których opisano naszą historię. Może kiedyś zechcemy założyć album z wycinkami.

- To nie jest zabawne, Ford.

- Wobec tego prezent ci się nie spodoba. Zabiorę go i zakopię na podwórzu. Tam, gdzie będziemy się mogli natknąć na robaki i zjeść je wspólnie.

- To naprawdę nie jest zabawne. Nie masz w ogóle pojęcia... - Pod wpływem złości rozdarła papier. Wtedy wreszcie mogła spuścić wzrok.

Była to cienka książeczka w rodzaju komiksu, tak w każdym razie przypuszczała. Na okładce widniał kolorowy rysunek - ona i Ford, w pełnym namiętności uścisku. Nad ich głowami widniał napis sporządzony krzykliwą, jak oceniła, czcionką: „Miłosne przygody i wiele istnień Cilli i Forda”.

- Napisałeś komiks?

- To bardziej krótka, ilustrowana historyjka. Inspirowana ostatnimi wydarzeniami. No śmiało, przeczytaj.

Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, przynajmniej na początku. Pięć stron, na których umieścił czarno - białe rysunki z dymkami i tekstem narracji, zawierały sceny śmieszne, pornograficzne i brutalnie zabawne.

Zachowała kamienną twarz - wciąż знаła kilka sztuczek aktorskich - czytając opowieść.

- To. - Postukała palcem w rysunek przedstawiający Forda w stanie pełnego podniecenia, biorącego w ramiona Cillę, podczas gdy Spock zasłaniał sobie oczy łapami. - Doszło tu chyba do zakłócenia skali. Pewien atrybut jest przesadzony.

- To jest mój atrybut, a ja jestem artystą.

- I naprawdę myślisz, że powiedziałabym: „Och, Ford, przygwoźdź mnie”?

- Każdy ma prawo do krytyki.

- Ale naprawdę podoba mi się początek, kiedy napalone duchy Janet i Steve'a McQueena unoszą się nad naszymi śpiącymi ciałami.

- Wydawało się trafne, skoro żyje legenda o tym, jak zrobili to w stawie. I jeśli miałbym być opętany przez jakiegoś ducha, to Steve byłby na pierwszym miejscu listy.

- Tak, czempion wszech czasów - zgodziła się. - Podoba mi się też, jak paparazzo spada z drzewa, robiąc zdjęcia przez okno sypialni, i te krzyżyki, które ma w oczach na następnym rysunku, kiedy Spock ciągnie faceta, żeby go zakopać. Ale mój ulubiony rysunek to chyba ten, na którym leżymy wszyscy czworo na łóżku, paląc papierosy z tym wyrazem seksualnego zadowolenia na twarzy - Lubię szczęśliwe zakończenia.



Podniosła wzrok znad komiksu i popatrzyła w te jego zielone oczy.

- Chcesz mi przez to dać do zrozumienia, żebym nie brała tego wszystkiego zbyt poważnie?

- Daję ci do zrozumienia, byś sama sobie dała do zrozumienia, jak należy to brać.

Położyła się na łóżku i oparła o wezglowie.

- Poczytajmy to wspólnie. Ja będę Cillą i Janet, ty Fordem i Steve'em.

- Okej. - Przesunął się i usiadł obok niej.

- Potem to odegramy.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- To będzie jeszcze lepsze.

## ROZDZIAŁ 24

Każdego dnia zjawiali się goście. Niektórych witała serdecznie, innych ignorowała. Jeśli chodzi o tych drugich, niewiele więcej mogła zrobić, kiedy parkowali swoje wozy albo przystawali na poboczu drogi i robili zdjęcia domu, terenu albo jej samej. Nie zwracała uwagi na swoich pracowników, którzy bawili się doskonale, pozując fotografom. Nie mogła ich winić za to, że są podekscytowani, że chcą uszczknąć dla siebie tę odrobinę piętnastominutowej sławy.

Mówiła sobie, że prędzej czy później to zainteresowanie przeminie. Kiedy dostrzegała kątem oka jakiegoś paparazzo, który skradał się za nią, gdy kupowała drewno albo zamawiała coś w sklepie żelaznym, udawała, że go nie widzi. Dostrzegając zdjęcia swojego domu albo samej siebie w tabloidach i gazetach plotkarskich, zaczynała myśleć o czymś innym. A gdy rzeczniczka jej matki zadzwoniła z prośbą o wywiady i zdjęcia do rozkładówek, zdecydowanym ruchem odłożyła słuchawkę.

Zajmowała się przebudową i modliła, by jedna z obecnych złych dziewczyn Hollywoodu zrobiła coś oburzającego, co odwróciłoby od niej uwagę. W miarę jak lipiec przechodził z mozołem w sierpień, koncentrowała się na domu. Miała mnóstwo roboty.

- Dlaczego chcesz mieć zlew w tym miejscu? - zrzędził Buddy. - Skoro drugi chcesz mieć w tamtym miejscu?

- To zlew do wstępnego przygotowywania potraw, Buddy, i naprawdę nie wiem, dlaczego właściwie chcę go mieć. Po prostu chcę. Zlew tutaj. - Wskazała palcem punkt na zmodyfikowanym i absolutnie ostatecznym planie kuchni. - Zmywarka tutaj, Obok lodówka. A tu ten pierwszy zlew, zainstalowany w wyspie.

- Twoja sprawa. - Oznajmił to w typowy dla siebie sposób, dając do zrozumienia, że jego rozmówczyni na niczym się nie zna. - Mówię tylko, że umieszczając wyspę w tym akurat miejscu i dodatkowo ten drugi zlew, ograniczasz powierzchnię blatów.

- Zamontuję na tym zlewie deskę do krajania. Będzie przykryty, jak zechcę coś pokroić, i odkryty, jak zechcę coś w nim umyć.

- Co?

- Jezu, Buddy! No, warzywa na przykład.

Obdarzył ją tym swoim grymasem buldoga.

- A co zamierzasz myć w tym drugim zlewie?

- Krew z dłoni, jak już zadżgam cię na śmierć swoim śrubokrętem.

Drgnęły mu usta z rozbawienia.

- Masz zwariowane pomysły.

- Tak? No to posłuchaj. Chcę mieć kran z wyciąganym kurkiem.

- Chcesz mieć dwa cholerne zlewy i jeszcze jedno z tych urządzeń, z taką długą rączką, żebyś mogła sięgnąć nad kuchnią i napełnić garnki wodą?

- Tak, zgadza się. Może chcę napełniać wielkie gary, żeby ugotować w nich makaron albo umyć sobie cholerne nogi. Albo żeby ugotować głowę stukniętego hydraulika, który się ciągle ze mną kłóci. Może mam fetyszystyczną obsesję na punkcie kranów. Ale chcę mieć coś takiego.

Podeszła do ściany i uderzyła pięścią w miejsce oznaczone literą X, którą nakreśliła ołówkiem stolarskim.

- I chcę to dokładnie w tym miejscu.

Wzniósł oczy ku sufitowi, jakby pytając Boga, co ją opętało.

- Muszę poprowadzić rury, więc trzeba będzie wyciąć tynk, żeby je zamontować i umocować.

- Wiem o tym.

- To twój dom.

- Tak. Mój.

- Słyszałem, że kupiłaś jeszcze jeden, tę starą rudere przy Bing.

- Na to wygląda. - Lekki ucisk w dołku świadczył o podnieceniu i nieznacznych obawach. - Umowę podpisujemy dopiero w październiku, ale na to wygląda.

- Pewnie tam też zechcesz zainstalować różne dziwactwa.

- Pewnie się z radością dowiesz, że planuję tam coś zwykłego i typowego.

Musiała zacisnąć usta i powstrzymać uśmiech, kiedy dostrzegła rozczarowanie na jego twarzy.

- Mówisz tak teraz. No cóż, zacznę we czwartek planować ułożenie tych rur.

- Świetnie.

Zostawiła go, żeby mógł się krzywić i kalkulować.

Jak obliczała, nowe szafki miały być gotowe za dwa tygodnie; zdecydowała, że ustawi je gdzieś chwilowo, na czas instalowania rur i przewodów, które będzie musiał jeszcze zaakceptować nadzór budowlany. Tynki odnowione, malowanie skończone, podłogi położone. Gdyby blaty przyszły na czas, mogłaby mieć gotową kuchnię na Święto Pracy, pomijając urządzenia, które wciąż były w renowacji.

Przyszło jej do głowy, że mimo wszystko wyda przyjęcie, chociaż bała się, żeby nie zapeszyć.

- Puk, puk! - W drzwiach wejściowych ukazała się głowa Cathy Morrow. - Brian powiedział, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebym do ciebie zajrzała.

- Jasne. Co u ciebie?

- Doskonale, tyle że umieram z ciekawości. Brian opowiadał nam, jak wszystko tu wspaniale wygląda, więc musiałam przyjść z Tomem i zobaczyć to na własne oczy. Tom jest na tyłach, tam gdzie stawiają ten wysoki mur, który będą oplatać pnące krzewy, jak wyjaśnił Brian.

- Tak, dodaje wysokości i głębi podwórzu, no i będzie mniej trawy do strzyżenia.

- Brian chyba jeszcze nigdy nie wykonał tak dużej roboty dla prywatnego klienta, to znaczy nie w celach zarobkowych. Jest...

Och, Cilla! To po prostu piękne.

Cilla przyglądała się z rumieńcem dumy, jak Cathy obchodzi salon.

- Jest gotowy oprócz podłogi, bo wszystkie będziemy wykańczać jednocześnie. A jeśli chodzi o meble, dodatki, obrazy, okna i kilka drobnych szczegółów w rodzaju...

- Jest otwarty i ciepły. Uwielbiam takie światło. Czy to koniczyna na tej obręczy, czy jak to się nazywa?

- Na medalionie. Tak, koniczyna. Dobby naprawdę się postarał. Ta ozdoba jest zgodna z charakterem domu. Nie wiem, co było tu poprzednio. Nie znalazłam żadnych zdjęć, a ojciec nie mógł sobie przypomnieć. Ale myślę, że ten nieskomplikowany styl rzemiosła artystycznego, te linie i diamentowy wzór w kolorze bursztynu i głębokiego błękitu pasują tutaj.

- Wygląda cudownie. Mój Boże, co za kominek!

- Punkt centralny pomieszczenia. - Cilla podeszła do kominka i przesunęła dłonią po ciemnoniebieskim granicie. - Chciałam, żeby kontrastował ze ścianami, tak jak niebo kontrastuje z górami. A wyrazista barwa wymaga solidnego gzymsu.

- Czy nie był wcześniej... tak, to była cegła.

- Poplamiona sadzą i podziobana, a samo palenisko nie spełniało norm, co widać po tych śladach na podłodze.

- Zabawne, wszystko, co pamiętam z tego pokoju i domu, zawsze było najnowsze, ostatni krzyk mody. Długa sofa w różowym kolorze szminki z białymi satynowymi poduszkami.

Robiła na mnie wrażenie. Tak jak Janet, kiedy na niej siedziała w niebieskiej sukience. Była taka piękna. No cóż, wszyscy byli piękni - dodała Cathy ze śmiechem. - Sławni, bogaci i ważni.

Nie mogłam uwierzyć, że tu jestem. Zostaliśmy zaproszeni tylko dlatego, że ojciec Toma był ważną osobistością w okolicy, ale nic mnie to nie obchodziło. Zaproszono nas tu trzykrotnie i za każdym razem było to niesamowicie ekscytujące. Boże, byłam młodsza od ciebie, to znaczy wtedy - powiedziała z tęsknym westchnieniem. - Tyle czasu upłynęło. Ten ostatni raz to było przyjęcie gwiazdkowe. Te wszystkie ozdoby, światła. Szampan, mnóstwo kieliszków szampana, muzyka. Ta niezwykła sofa. Ludzie prosili ją, żeby zaśpiewała, aż w końcu się zgodziła. Pod oknem stał fortepian gabinetowy i... Och! Kto to był, ten, o którym wszyscy mówili, że ma z nim płomienny romans... kompozytor? A okazało się, że był gejem. Zmarł na AIDS.

- Lenny Eisner.

- Tak, tak. Boże, wspaniały mężczyzna. Tak czy inaczej on grał, a ona śpiewała. Magia. To musiało być ostatnie Boże Narodzenie przed śmiercią twojego wuja. Przepraszam - powiedziała nagle Cathy. - Śnię na jawie.

- Wszystko w porządku, lubię słuchać o tym, jak tu było.

I jaka ona była.

Cathy odrzuciła do tyłu lśniące włosy.

- Mogę ci powiedzieć, że żadna z kobiet nie była tak urzekająca jak Janet. Tak, pamiętam, Marianna miała kilka tygodni i po raz pierwszy zostawiliśmy ją z opiekunką. Byłam zdenerwowana, że ją zostawiłam, i skrępowana, bo wciąż miałam tuszę po tej ciąży. Ale Janet spytała mnie o dziecko i powiedziała, że wyglądam wspaniale. Miłe z jej strony, bo jak byłam w ciąży, to przypominałam wieloryba, a po porodzie hipopotama. Pamiętam to dobrze, bo moja teściowa zrzędziła, że jem tyle kanapek.

Jak mogę zrzucić kilogramy, skoro tak się opycham? Irytująca kobieta. Och, ale ojciec Toma, jaki on był przystojny tamtego wieczoru. Krzepki i pełen wigoru. Janet z nim flirtowała, co denerwowało moją teściową, a mnie strasznie bawiło. - Parsknęła śmiechem na to wspomnienie. - Nigdy się nie polubiłyśmy, matka Toma i ja. Tak, wyglądał niesamowicie tamtego wieczoru.

Nigdy byś nie uwierzyła, że rak tak strasznie go wykończy dwanaście lat później. Stali tutaj, dokładnie w tym miejscu, Janet i Drew - to znaczy Andrew, tata Toma. A potem oboje zmarli.

No, teraz to już naprawdę przepraszam. Co mnie naszło, żeby opowiadać takie smutne rzeczy?

- Stare domy są pełne życia i śmierci.

- Pewnie masz rację. Choć teraz, kiedy robisz tu to wszystko, to raczej życie. Och,

zapomniałabym. Przyniosłam ci dwie mimozy.

- Przyniosłaś mi drinki?

Cathy musiała złapać się za brzuch ze śmiechu.

- Nie. Drzewa. No, to będą drzewa za parę lat, jeśli je zechcesz. Zasiałam kilka, na prezenty. Mam tu dwie piękne mimozy. Może nie będzie ci się chciało przy nich grzebać, nie obrażę się. Mają w tej chwili ledwie dwadzieścia centymetrów wysokości; nie zobaczysz jeszcze przez ładnych kilka lat, jak zakwitają.

- Wezmę je z przyjemnością.

- Są na werandzie, w starych plastikowych doniczkach. Może pokażemy je Brianowi, żeby nam powiedział, gdzie je najlepiej posadzić.

- To będzie mój pierwszy prezent na nowe mieszkanie. - Cilla wyszła z Cathy na zewnątrz i podniosła jedną z czarnych plastikowych torebek z delikatnymi, rozłożystymi sadzonkami. - Podoba mi się, że je posadzę, kiedy są takie młode, a potem będę się przyglądać, jak rosną, rok za rokiem. Wspomniałaś o przyjęciach, a ja właśnie zastanawiałam się, czy nie urządzić czegoś takiego w Święto Pracy.

- Och, koniecznie! Będzie wspaniale.

- Problem polega na tym, że dom nie będzie jeszcze ukończony, a ja nie zdążę go umeblować i przystroić...

- A kto będzie na to zwracał uwagę?! - Zapaliwszy się najwidoczniej do pomysłu, Cathy trąciła Cillę łokciem. - Urządzisz drugą imprezę, jak już uporasz się z wszystkim. A to pierwsze przyjęcie to będzie... preludium. Z radością ci pomogę, Patty też, jak się domyślasz. I matka Forda. Prawdę powiedziawszy, same byśmy to zaproponowały, gdybyś tego nie planowała.

- Może, może. Pomyślę o tym.

Kiedy robotnicy się porozjeżdżali, a w domu zapanowała cisza, dwie zaś kruche sadzonki ze swoimi różowymi, pokrytymi puszkami kwiatami, które miały przed sobą jeszcze lata dorastania, zostały posadzone w słonecznym miejscu na krawędzi podwórza i pola leżącego odłogiem, Cilla usiadła na odwróconym do góry dnem wiadrze w salonie domu, który kiedyś należał do jej babki. A teraz do niej.

Wyobraziła sobie, że roi się w nim od ludzi, pięknie ubranych, pięknie uczesanych. Kolorowe światełka bożonarodzeniowe, elegancja świec i ognia w kominku - płonącego, błyskającego, migoczącego.

Różowa kanapa z białymi satynowymi poduszkami.

I Janet, jaśniejsza od pozostałych, krążąca między gośćmi w eleganckiej sukience

niebieskiego koloru, z kryształowym kieliszkiem pełnym musującego szampana w dłoni.

Wnuczka siedziała na obróconym do góry dnem wiadrze, słysząc widmowe głosy i wdychając nieistniejącą woń bożonarodzeniowej sosny.

I tak ją zastał Ford - siedzącą samotnie pośrodku pokoju, w przygasającym świetle letniego zmierzchu.

Zbyt samotna - pomyślał. Nie jedynie sama, nie tym razem. Nie zagłębiona w myślach, ale absolutnie samotna i bardzo, bardzo wyobcowana.

Ponieważ pragnął, by powróciła do rzeczywistości, podszedł i przykucnął przed nią. Tych dwoje niezwykłych oczu wpatrywało się jeszcze przez chwilę czy dwie w coś odległego, a potem skupiło spojrzenie na nim.

- Było przyjęcie bożonarodzeniowe - powiedziała. - Ostatnie, jakie wyprawiała, ponieważ to były te święta przed śmiercią Johnniego. Pełne światła i muzyki, tłumy ludzi. Pięknych ludzi.

Kanapki i szampan. Śpiewała dla nich, na fortepianie przygrywał jej Lenny Eisner. Miała różową sofę. Długą jasnoróżową sofę z białymi satynowymi poduszkami. Cathy mi o tym powiedziała. Jak w stylu Doris Day, prawda? Jasny róż, głęboki róż. Nigdy by już tu nie pasował do tych ścian w odcieniu zamglonej zieleni.

- To tylko farba, Cilla; to tylko materiał, struktura.

- Nie, to deklaracja. Moda się zmienia, odchodzi i przychodzi, ale deklaracje pozostają. Nigdy nie zniósłabym tu różowej kanapy z białymi satynowymi poduszkami. Nie jest mi z tego powodu przykro. Nigdy nie będzie tu tak elegancko, tak śmiało i jasno, jak niegdyś, w jej obecności. To też mi nie przeszkadza. Ale czasem, kiedy tu jestem, muszę - i wiem, że zabrzmi to jak kompletne wariactwo - muszę ją spytać, czy i jej to nie przeszkadza.

- Przeszkadza?

Uśmiechnęła się i dotknęła czołem jego czoła.

- Zastanawiam się nad tym. - Wyprostowała się z westchnieniem. - No cóż, skoro wygłaszam szalone deklaracje, to równie dobrze mogę zadać ci szalone pytanie.

- Posiedźmy za zewnątrz, na werandzie. Znajdziemy tam odpowiednie miejsce do zadawania szalonych pytań. Jestem za duży, nie dam rady kucać tak długo.

Pomógł jej wstać z wiadra.

Usiedli na schodach werandy, wyciągając przed siebie nogi, Spock zaś krążył po podwórzu.

- Jesteś pewien, że to odpowiednie miejsce na szalone pytania?

- Wykupiłem karnet na cały sezon.

- Okej. Znałeś dziadka Briana? Ojca jego ojca?

- Słabo. Umarł, kiedy byliśmy dziećmi. Pamiętam tylko wrażenie, jakie robił. Był duży, postawny. Emanował siłą.

- Ile miałby lat w tamte święta? Sześćdziesiąt? Chodzi mi o to ostatnie przyjęcie bożonarodzeniowe.

- Nie wiem. Coś koło tego, jak mi się zdaje. Dlaczego pytasz?

- Nie był za stary - zastanawiała się głośno Cilla. - Janet lubiła starszych mężczyzn, młodszych też, w każdym wieku, bez względu na rasę i wyznanie.

- Myślisz, że dziadek Briana i Janet Hardy?... - W jego śmiechu pobrzmiewało zaskoczenie i zdumienie. - To po prostu... dziwaczne.

- Dlaczego?

- Okej, jeśli sobie wyobrażasz, że dziadkowie miesali romanse, to przede wszystkim musisz sobie też wyobrazić, że uprawiali seks, i to jest właśnie dziwaczne.

- Nie tak bardzo, jeśli wziąć pod uwagę, że twoja babka ma wiecznie trzydzieści dziewięć lat.

- Rzeczywiście.

- Poza tym dziadkowie uprawiają seks. Mają do tego prawo.

- Owszem, ale nie chcę, żeby ten obraz utkwił mi w głowie, bo za chwilę zacznę sobie wyobrażać własnych dziadków, jak to robią. Widzisz? Widzisz? - Trącił ją żartobliwie w ramię. - Już mi to siedzi w mózgu, i to w wysokiej rozdzielczości. Teraz będę bał się przez całe życie. Serdeczne dzięki.

- Tak, istotnie, to weranda, na której człowiek zadaje szalone pytania i udziela szalonych odpowiedzi. Słuchaj, Ford, to on mógł pisać te listy.

- Mój dziadek.

- Nie, nie... no cóż, on także. Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, też mi to przyszło na myśl. Był nią zauroczony, sam się do tego przyznał. Zrobił jej te wszystkie zdjęcia.

Ford opuścił głowę i złapał się za nią dłońmi.

- Boże, co ty wyprawiasz, przez ciebie mam straszliwe, okropne wizje.

- Powiedziałbyś, gdybyś go spytał?

- Nie wiem i nie chcę go pytać. Za żadne skarby świata. I opuszczam tę werandę.

- Czekał, czekał. Zamieńmy tych dziadków. Zajmijmy się dziadkiem Briana. Trudno uwierzyć, by twój był taki przywiązany do tych wszystkich zdjęć, gdyby ich romans zakończył się tak źle. Ale dziadek Briana pasuje w sam raz. Prawda? Człowiek władzy, ważna osobistość. Żonaty. Żonaty i obarczony rodziną, udana kariera publiczna. Mógł napisać



te listy.

- Trudno cokolwiek udowodnić; nie żyje od ćwierćwiecza.

To przeszkoda - pomyślała - ale niekoniecznie taka, której nie można pokonać.

- Zachowały się gdzieś pewnie próbki jego pisma.

- Tak. - Ford westchnął znacząco. - Tak.

- Gdybym mogła zdobyć taką próbkę i porównać ją z listami, tobym wiedziała. Oboje odeszli i na tym wszystko by się zakończyło. Nie byłoby sensu wyciągać tego na światło dzienne. Ale...

- Wiedziałybyś.

- Wiedziałabym i mogła odłożyć do lamusa tę część jej życia której nigdy nie spodziewałam się znaleźć.

- A jeśli to mimo wszystko nie oni?

- No cóż, pozostanie mi nadzieja, że pewnego dnia zadam właściwe pytanie właściwej osobie.

- Zobaczę, co da się zrobić.

Minęły dwa dni, zanim Ford obmyślił odpowiednią taktykę. Nie mógłby kłamać. Nie znaczy to, by nie był do tego zdolny; po prostu cholernie kiepsko mu to wychodziło. Jeśli kiedykolwiek kłamstwo uszło mu na sucho, to tylko wtedy, gdy okłamywanej osobie robiło się go żal i machała na to ręką. Nauczył się ponosić wszelkie konsekwencje prawdy.

Przyglądał się, jak Brian i Shanna wysypywali torfowiec na ziemię pod świeżo ukończonym murem z kamienia.

- Mógłbyś złapać za łopatę - zauważył Brian.

- Mógłbym, ale obserwowanie i podziwianie też ma wartość. Zwłaszcza obserwowanie i podziwianie tyłka Shanny.

Poruszyła obowiązkowo pośladkami.

- Wszyscy wiemy, że patrzyłeś na mój tyłek - odpalił Brian.

- To prawda. Shanna jest jedynie przykrywką dla moich prawdziwych skłonności. Żeby wyglądało to jeszcze bardziej przekonująco... może zechciałybyś nachylić się jeszcze bardziej i... jestem zachwycony - oznajmił, kiedy zrobiła, jak kazał, i wybuchnęła śmiechem.

Wszystko dzięki temu, że przez całe życie byli przyjaciółmi - pomyślał Ford. Jeszcze jeden powód, dla którego kłamstwo było wykluczone. Ale nie gra na zwłokę.

- Czym się tu zajmujecie?

Brian wyprostował się, otarł spocone czoło przedramieniem, a potem wskazał krzewy w donicach.

- Weź się do czegoś pożytecznego, skoro nie masz nic lepszego do roboty, jak się zdaje. Przyciągnij tutaj te donice, żebyśmy mogli poustawiać i zobaczyć, jak wyglądają.

- Jest wredny, bo zamierzam wziąć sobie dziesięć dni wolnego. Jadę do Los Angeles odwiedzić Steve'a - wyjaśniła Shanna.

- Tak? - Ford chwycił donicę z azalią. - Więc?...

- Przyszłość nie została jeszcze zapisana.

Nie można było nie uwielbiać kobiety, która cytowała *Terminatora*.

- Pozdrów go ode mnie i w ogóle.

Czekał, kiedy ustawiali rośliny, które przyciągnął, ponownie ustawiali, spierali się i w końcu zaczęli się przyglądać i wypowiadać krytyczne uwagi.

- Okej, masz rację - przyznała Shanna. - Zamienimy ten rododendron i tę azalię.

- Zawsze mam rację. - Brian z dumą postukał się kciukiem po piersi. - Dlatego jestem szefem.

- Jako szef, możesz poświęcić mi chwilę? - spytał Ford. - Mam sprawę.

- Jasne - odparł Brian.

Odeszli na bok.

- No dobra, to musi pozostać między nami - zaczął Ford. - Cilla znalazła kilka listów pisanych przez faceta, z którym jej babka miała romans.

- I co?

- Wielki, sekretny romans z żonatym facetem. Popsuło się tuż przed jej śmiercią.

- Powtarzam: i co?

- No cóż, te listy nie były podpisane, a Janet je przechowywała i ukrywała, więc stały się wielką tajemnicą. Prawdę powiedziawszy, myśleliśmy nawet, jeszcze zanim Hennessy poszedł na całość, że te włamania były dziełem jakiegoś tajemniczego faceta, który chciał odzyskać listy.

- Nie miałby przypadkiem setki na karku?

- Może, ale niekoniecznie. I mnóstwo facetów po siedemdziesiątce bzykało kiedyś kobiety, które nie były ich żonami.

- To szokujące - oznajmił sucho Brian. - Hej, może to mimo wszystko był Hennessy, który miał okoliczność z piękną, seksowną gwiazdą filmową. Tylko że pewnie urodził się już jako wysuszony dupek.

- Hennessy'ego bym wykluczył. Ale, logicznie rzecz biorąc, jest inna możliwość... widzisz, znała twojego dziadka, był tu ważną figurą i zjawiał się na jej przyjęciach.

Ford stał i drapał się po głowie, podczas gdy Brian, zgięty wpół, zaśmiewał się do

rozpuku.

- Jezu! Jezu! - wydusił w końcu. - Nieżyjący wielki Andrew Morrow zabawiający się z Janet Hardy?

- Logicznie rzecz biorąc, nie można tego wykluczyć - upierał się Ford.

- Według mnie to niemożliwe, Sawyer. Nie pamiętam go za dobrze, ale wiem, że był twardy i zadufany w sobie.

- A moim zdaniem zadufani w sobie faceci często szukają okazji na boku, zanim wrócą do domu, do żony i dzieciaków.

Brian spowaźniał już i teraz zaczął się zastanawiać.

- Tak, masz rację. I Bóg wie, że trudno było wytrzymać z moją babką. Nigdy nie była zadowolona. Jezu, wyżywała się na mojej mamie przez cały czas. Do samej śmierci. Byłoby niesamowite, gdyby wielki Drew Morrow odbył kilka rundek z Janet Hardy - zdecydował w końcu.

Nie było kłamstwem zatajenie historii z ciężą i paskudnego tonu ostatniego listu. Po prostu o tym... nie wspomniał.

- Masz coś, co własnoręcznie napisał? Kartkę z życzeniami na urodziny, list, cokolwiek?

- Nie. Ale przypuszczam, że mama coś będzie miała. Trzyma papiery rodzinne i tego rodzaju rzeczy.

- Możesz zdobyć dla mnie próbkę jego pisma, tak żeby się nie zorientowała, po co to?

- Pewnie tak. Przechowuje w garażu pudełko z moimi rzeczami. Wypracowania szkolne, świadectwa, tego rodzaju bzdury.

Coś może tam znaleźć. Od lata mi suszy głowę, żebym zataszczył to do swojego domu. Mógłbym teraz to zabrać i przejrzeć przy okazji.

- Super. Dzięki.

- Hej! - krzyknęła do nich Shanna. - Kończycie, chłopaki, czy mam sama obsadzić ten taras?

- Zrzęda! - odkrzyknął Brian.

Ford przyglądał jej się przez chwilę. Świetnie zbudowana, rubaszna, piękna.

- Jak to się stało, że nigdy do niej nie wystartowałeś? - spytał.

- Niepowtarzalna okazja minęła i Shanna została moją siostrą. - Wzruszył ramionami.

- Ale mamy umowę. Jeśli do czterdziestki pozostaniemy singlami, to wyjedziemy na tydzień na Jamajkę i przez cały ten czas będziemy uprawiać dziki, pierwotny seks.

- No cóż. Życzę szczęścia.

- Pozostało tylko dziewięć lat! - zawołał Brian, oddalając się w stronę Shanny.

Przez chwilę Ford stał jak oniemiały. Dziewięć lat? Naprawdę? Nie myślał o tym, że będzie miał czterdziestkę. Czterdziestka to była przyszłość. Dorosła przyszłość.

Jak to możliwe, by pozostało tylko dziewięć lat?

Wbił dłonie w kieszenie spodni i ruszył w stronę domu, żeby odszukać Cillę.

W kuchni, gdzie cały blat został oderwany od ściany i usunięty, a z podłogi, która wyglądała jak pogryziona przez pijane szkodniki, sterczały dziwnie wyglądające rury, pracował Buddy, pochylając się nad wielką szczeliną w ścianie. Obrócił w rękę jakieś wielkie narzędzie, które Fordowi nasunęło na myśl głowę metalowej papugi o szyi żyrafy.

- Kto, u diabła, chce instalować kran ponad cholernym piecykiem? - spytał poirytowany Buddy.

- Nie wiem. Na wypadek pożaru?

- Brednia.

- Nic innego nie przyszło mi do głowy. Jest tu gdzieś Cilla?

- Ta kobieta zawsze gdzieś tu jest. Sprawdź na strychu. Toalety na strychu - mruknął Buddy, znów zabierając się do roboty. - Krany nad piecykami. Za chwilę oznajmi, że chce mieć wannę w sypialni.

- Prawdę powiedziawszy, widziałem kiedyś... Nic - zastrzegł Ford, kiedy Buddy obrócił na niego zmrużone oczy. - Nic nie widziałem.

Krążąc po domu, zauważył, że listwy w holu i przedpokoju są niemal na ukończeniu. Na piętrze zajrzał do pomieszczeń.

Wciąż czuł zapach farby w pokoju, gdzie ściany miały delikatną, przyćmioną barwę brązu. W głównej sypialni obejrzał z uwagą trzy kolory maźnięte na ścianie. Najwidoczniej nie wybrała jeszcze pomiędzy srebrzystą szarością, błękitem o szarym odcieniu i zgaszonym złotem.

Ruszył korytarzem, a potem zaczął wchodzić po szerokich, ukończonych już schodach. Była tam w towarzystwie Matta, oglądali próbki drewna w świetle sączącym się przez okno.

- Tak, podoba mi się kontrast dębu i orzecha. - Matt przytaknął. - Wiesz, co moglibyśmy zrobić? Obudować drzwi i okna orzechem. Będiesz miała... cześć, Ford.

- Cześć.

- To spotkanie na szczycie - wyjaśniła Cilla. - Omawiamy wykończenie.

- Nie przeszkadzajcie sobie.

- Okej, to będzie wyglądało tak.

Matt zaczął rysować na płycie kartonowo - gipsowej, a Ford skupił uwagę na szerokich pasmach farby na przeciwległej ścianie. Miała tu próbkę tej samej srebrzystej szarości i ciepłej radosnej żółci, która kontrastowała z czymś, co uznał za kolor morelowy.

Zajrzał do łazienki, rzucił okiem na płytki i odcienie.

Znów zaczął się przysłuchiwać Mattowi i Cilli, którzy dochodzili do porozumienia w kwestii materiałów i projektu.

- Zacznę nad tym pracować w swoim warsztacie - oznajmił Matt.

- Jak się czuje Josie?

- Jest pobudzona i niecierpliwa, poza tym się zastanawia, dlaczego, u diabła, nie obliczyła sobie wszystkiego zeszłej zimy i me wpadła na to, że będzie musiała przechodzić całe lato w ciąży.

- Kwiaty - podsunął Ford. - Kup jej kwiaty, jak będziesz wracał do domu. Wciąż będzie pobudzona, ale szczęśliwa.

- Może tak zrobię. Sprawdzę przy okazji, czy we wtorek przywiozą deski na podłogę. Jeśli nic szczególnego się nie wydarzy, zaczniemy kłaść je tutaj, na strychu. Róże zawsze działają, co, Ford?

- Są z jakiegoś powodu klasyczne.

- Okej. Dam ci znać, co z podłogą, Cilla.

Kiedy Matt zszedł na dół, Ford zbliżył się do niej, uniósł jej brodę i pocałował.

- Blade srebro tutaj, stłumiony złocien w głównej sypialni.

Przechyliła głowę.

- Może. Dlaczego?

- Pasuje lepiej do łazienek niż inne odcienie. I choć oba kolory są ciepłe, szarość daje poczucie chłodu. To strych, bez względu na to, jak bardzo zechcesz go ożywić. A złocien w sypialni będzie spokojny, ale wciąż wyrazisty. A teraz mi powiedz, dlaczego Buddy instaluje kran nad piecykiem.

- Żeby mogła napełniać wodą garnki.

- Okej. Rozmawiałem z Brianem.

- Często z nim rozmawiasz.

- O listach. O jego dziadku.

- Powiedziałeś... powiedziałeś mu? - Otworzyła usta ze zdziwienia. - O tym, że według mnie jego dziadek łamał przykazania z moją babką?

- Nie wspominaliśmy chyba o przykazaniach. Chodziło ci o próbki pisma. Brian pewnie je zdobędzie.

- Tak, ale... nie mogłeś być bardziej dyskretny, przebiegły?

Nie mogłeś skłamać?

- Przebiegłość kiepsko mi wychodzi. A nawet gdybym w tej dziedzinie był złotym medalistą, to i tak nie okłamałbym przyjaciela. Rozumie doskonale, że powiedziałem mu to wszystko w zaufaniu, a on go nie nadużyje.

Odetchnęła głośno.

- Chyba dorastaliście na innej planecie niż ja. Jesteś pewien, że nie wspomni o niczym swojemu ojcu? Sprawa jest cholernie delikatna.

- Jestem pewien. Ale Brian powiedział coś interesującego. A gdyby to Hennessy pisał te listy?

Cilla znów otworzyła usta ze zdumienia.

- Hennessy? Ten sam, który chciał mnie zabić swoim samochodem?

- No cóż, pomyśl o tym. Jak bardzo byś się wściekła, gdybyś miała romans z jakąś kobietą, a potem syn tej kobiety byłby odpowiedzialny - w twoim przekonaniu - za kalectwo twojego własnego syna? Wiem, to naciągane. Zamierzam jeszcze raz przeczytać te listy, mając to na uwadze. Żeby się przekonać, jak to wygląda.

- Wiesz co? Jeśli się okaże, że nie można tego wykluczyć, że to może być prawda, to nie wiem, czy chcę o tym wiedzieć. Już sama myśl o mojej babce i Hennessym przyprawia mnie o dreszcz.

Westchnęła i ruszyła razem z nim na dół.

- Rozmawiałam dziś z policjantami - poinformowała Forda. - Nie będzie rozprawy. Zawarli układ, Hennessy się przyznał do winy, czy jak to tam nazywają. Spędzi co najmniej dwa lata w stanowym zakładzie psychiatrycznym.

Ford sięgnął do jej dłoni.

- I co ty na to? Jak się z tym czujesz?

- Nie wiem, słowo daję. Więc przestanę o tym myśleć i skupię się na dniu dzisiejszym.

- Weszła do głównej sypialni i przyjrzała się próbkom farby na ścianie. - Tak, masz rację co do kolorów.

## ROZDZIAŁ 25

Cilla wykorzystała niedzielny poranek, by przejrzeć magazyny poświęcone dekoracji wnętrz i urządzaniu domu, a także poserfować w Internecie w poszukiwaniu pomysłów i adresów różnych firm. Nie mogła uwierzyć, że osiągnęła etap, kiedy to dobór mebli wydawał się jak najbardziej na miejscu.

Dzieliły ją od tego jeszcze tygodnie, musiała też uwzględnić buszowanie po sklepach ze starzyzną, a nawet jakimś pchlim targu - nie mogła też wykluczyć wyprzedaży rzeczy używanych - ale nadchodził powoli moment, kiedy będzie musiała zamawiać sofy i krzesła, stoły i lampy.

Potem przyjdzie czas na pościel, wyposażenie kuchni, pracowni, ozdób okiennych, chodniczków, czyli na to, co da największą frajdę, te wszystkie drobne szczegóły, które wypełnią dom i sprawią, że stanie się on przytulnym siedliskiem. Jej siedliskiem.

Jej prawdziwym pierwszym siedliskiem.

Z upływem czasu, gdy wszystko to przybierało realny kształt, uświadamiała sobie coraz wyraźniej, jak bardzo pragnie mieć swój własny dom. Wystarczyło wyjść na zewnątrz, spojrzeć ku przeciwległej stronie drogi i zobaczyć go.

Siedząc teraz przy barku Forda z laptopem, magazynami, notatnikami, rozmyślała o tym, jak daleko zaszła od marca. Nie, to zaczęło się jeszcze wcześniej - sprostowała w duchu. Początkiem tej drogi była podróż przez Blue Ridge, podróż, w którą wyruszyła z konkretnym zamiarem - zobaczyć Małą Farmę swej babki, dowiedzieć się, skąd pochodził jej ojciec, i być może zrozumieć, choć trochę, dlaczego tu wrócił i pozostawił córkę swemu losowi.

I zakochała się w tych wzgórzach, które przeistaczały się z wolna w wysokie szczyty, w gęstych zagajnikach, w małych i dużych miastach, w domach i ogrodach, krętych drogach i strumieniach. Ale najbardziej zakochała się w starej farmie, która przycupnęła za kamiennym murem, w otoczeniu zapuszczonych i zapomnianych ogrodów.

Zamek Śpiącej Królowej, być może, ale ujrzała w nim swój dom. Już wówczas.

A teraz to, o czym marzyła, do czego tęskniła, należało już niemal do niej.

Siedziała przy barku, popijając kawę, i wyobrażała sobie, że budzi się w pokoju o barwie jaśniejszego i pełnego nadziei brzasku, że prowadzi życie, jakie sobie wybrała, a nie takie, jakie wybrano dla niej.

Ford mruknął sennie, wchodząc do kuchni.

Wystarczy na niego spojrzeć - pomyślała. Ledwie przytomny, to długie, bardzo długie ciało, niemal niezdarne, okryte tylko bokserkami i postrzępionym podkoszulkiem. I te

kasztanowe włosy z jaśniejszymi pasemkami, zmierzwiona czupryna, i te zielone oczy, zaspane i odrobinę nawiedzone.

Czyż nie był niewiarygodnie uroczy?

Nalał sobie kawy do kubka, posłodził i dodał mleka.

- Boże, poranki są do kitu - oznajmił i zaczął pić, jakby jego życie zależało od kofeiny.

Potem się obrócił i oparł łokciami o blat barku.

- Jakim cudem jesteś taka przytomna?

- Może dlatego, że siedzę tu już od trzech godzin. Jest po dziesiątej, Ford.

- Nie masz żadnego szacunku wobec niedzieli.

- To prawda. Jest mi wstyd.

- Nieprawda. Ale agenci nieruchomości też nie mają szacunku wobec niedzieli. Przed chwilą zadzwoniła na moją komórkę Vicky i wyrwała mnie z wyjątkowo gorącego snu o tobie, o mnie i farbach do malowania palcami. Robiło się naprawdę ciekawie, kiedy przerwano mi w tak niegrzeczny i irytujący sposób. Tak czy inaczej cena spadła o kolejne pięć tysięcy.

- Farby do malowania palcami?

- Jako artysta mogę powiedzieć, że zapowiadało się arcydzieło. Od ceny, którą zaproponowaliśmy, dzieli nas tylko dziesięć tysięcy, jak zauważyła morderczyni snów, Vicky, więc może...

- Nie.

- Do diabła! - Miał minę jak dzieciak, któremu właśnie powiedziano, że w słoju nie ma już pierników. - Wiedziałem, że powiesz „nie”, czego nie zrobiłaś, kiedy kreśliłem wokół twojego pępka kobaltowo - niebieskie kółko. Nie moglibyśmy po prostu...

- Nie. Podziękujesz mi później, kiedy będziesz mógł te dziesięć tysięcy włożyć w poprawki i naprawy.

- Ale ja naprawdę chcę tę rudę już teraz. Chcę ją mieć na własność. Kocham ją, Cilla, tak jak tłusty dzieciak kocha słodycze. - Zdobył się na pełen nadziei uśmiech. - Moglibyśmy pójść na kompromis.

- Nie. Twardo obstajemy przy swoim. Nikt więcej nie złożył oferty. Sprzedający nie jest zainteresowany jakimkolwiek remontem. Ustąpi.

- Może nie ustąpi. - Zmrużył zaspane oczy. - Może jest równie uparty jak ty.

- No dobrze, zrobimy tak. - Odchyliła się, uosobienie eksperta przy stole negocjacyjnym. - Jeśli nie ustąpi, jeśli nie zgodzi się w ciągu dwóch tygodni na twoją ofertę, możesz przystać na cenę. Ale wytrzymaj jeszcze czternaście dni.



- Okej. Dwa tygodnie. - Znów zdobył się na pełen nadziei uśmiech. - Zastanawiasz się nad jajecznicą?

- Nie za bardzo. Ale zastanawiam się nad czymś innym. Patrząc na tę twoją sofę, ponieważ akurat szukam odpowiedniej do swojego domu, zastanawiam się, co by się stało, gdybym wyciągnęła się na tej dużej i miękkiej kanapie. - Zsunęła się ze stołka, uśmiechając się przez ramię i zmierzając w stronę sofy. - I zastanawiam się, czy będę musiała leżeć tam zupełnie sama, w pojedynkę ze swoimi niezaspokojonymi pragnieniami i lubieżnymi myślami.

- Okej, zdecydowała ta wzmianka o lubieżności.

Obszedł barek, zbliżył się do Cilli leżącej na sofie i położył się na niej.

- Cześć.

Roześmiała się cicho, rozsunęła nogi i zaczęła się przekręcać, aż znalazła się na nim.

- Tym razem ja będę na górze.

Pochyliła głowę, wzięła między zęby jego dolną wargę i zaczęła zagryzać lekko.

- Tak właśnie okazuję szacunek niedzieli.

- Myliłem się co do ciebie. - Przesunął po niej dłońmi, po luźnym białym materiale jej koszuli. - Cilla.

- Jesteś cały zmierzwiiony i podniecający... - Ściągnęła mu podkoszulek i cisnęła na podłogę. - I prawie nagi.

- Brakuje tylko farby do malowania palcami. - Uniósł się, objął ją ramionami i przywarł ustami do jej warg. - Tęsknię za tobą. Jak tylko się zbudzę, a ciebie tu nie ma.

- Nie jestem daleko. - Przywarła do niego, a potem odsunęła się tylko na chwilę, by zdjąć białą koszulkę. I och, te dłonie, powolne i pewne. - Jestem tutaj. Tutaj.

Ujęła jego głowę i zmusiła go, by zsunął się niżej, aż w końcu jego usta zamknęły się na jej piersi. Wyswobodziła się z szortów, westchnęła, gdy zaczął jej dotykać i pieścić, zajęczała, unosząc się i osuwając, by wypełnić nim siebie.

- Tego właśnie chcę w niedzielny poranek.

To ona go brała, poruszając się w górę i w dół, jej dłonie wspierały się na oparciach kanapy. Szczupłe, twarde mięśnie, włosy o barwie przypalonego miodu, chłodne niebieskie oczy, tak czyste, że zaglądały wprost w jego serce.

Żaden sen, żadna fantazja nie mogły się równać z jej prawdziwością. Żadne pragnienie, żadna cudowność się z nią nie równały.

- Kocham cię, Cilla. Kocham cię.

Wiązał jej oddech w krtani; serce biło jak szalone. Wygięła ciało w łuk, a strzała

dosięgła celu.

Osunęła się na niego, przywarła całą sobą do jego ciała. Uwielbiał to, jak idealnie do siebie pasują, to, jak jej włosy rozsypują się po jego piersi.

- Więc... gdzie dokładnie kupujesz te farby?

Uśmiechnął się szeroko, wodząc leniwie palcami po jej kręgosłupie.

- Znajdę i zgromadzę większy zapas.

- A ja dostarczę płachtę ochronną. Skąd masz tę kanapę?

- Nie wiem. Nabyłem ją gdzieś, gdzie sprzedają meble.

- Dobry rozmiar, kształt, miły materiał. Wygodna. Już czas, żeby się zastanowić nad meblami, a mam do urządzenia wielki salon. Miejsce do wypoczynku, oświetlenie i dzieła sztuki. Nigdy wcześniej tego nie robiłam. To trochę onieśmielające.

Zerknął na Spocka, który przywędrował, spojrzał na nich, splecionych i nagich na sofie, po czym się oddalił. Jest po prostu zazdrosny - pomyślał Ford.

- Nigdy wcześniej nie kupowałaś mebli?

- Pewnie, trzeba na czymś siedzieć. Ale nigdy nie wybierałam rzeczy z myślą o tym, że będą mi służyć dłuższy czas. Wszystko było zawsze prowizoryczne. - Musnęła mu ustami obojczyk, trąciła nosem ramię. - I pracowałam z facetami, którzy meblowali domy na sprzedaż. Łatwiej było je upłynnić. Wiem z grubsza albo mam pojęcie o tym, jak zapełnić przestrzeń. Ale tu nie o to chodzi. Takie meblowanie jest jak plan filmowy. Rozmieszcza się rekwizyty, a potem zabiera z powrotem.

- Nie miałaś domu czy mieszkania w Los Angeles?

- Steve miał. Po naszym pięciominutowym małżeństwie mieszkałam przez pewien czas w BHH.

- BHH?

- Beverly Hills Hotel. Potem trochę podróżowałam albo przesiadywałam u Steve'a, kiedy miałam akurat robotę. Później był ten krótki epizod w college'u, wynajmowałam mieszkanie poza kampusem. Kiedy Steve kupił ten dom do remontu w Brentwood, urządziłam się tam. Miałam zwyczaj mieszkać w domach, które wystawiał na sprzedaż. Dzięki temu mogłam je lepiej poznać.

Miejsca, budynki, nieruchomości. Nigdy dom - przebiegło mu przez myśl. Nigdy nie miała tego, co on sam i wszyscy, których znał, uważali za rzecz oczywistą. Nigdy nie miała domu. Przyszło mu do głowy, że siedziała w tym wielkim, pustym salonie o pięknych ścianach i wspaniałym obramowaniu okien i drzwi wyobrażała sobie przyjęcie świąteczne sprzed wieków.

Pragnęła znaleźć przyszłość.

- Możemy przenieść tę kanapę do ciebie - powiedział, gdy ogarnęła go nagła i desperacka chęć, by dać jej coś. - Będiesz mogła się przekonać, jak wygląda u ciebie, i będziesz miała na czym siedzieć, pomijając to wszechstronne wiadro.

- To bardzo miła propozycja. - Pocałowała go odruchowo, a potem usiadła i zaczęła rozglądać się za swoim ubraniem. - Ale praktyczniej będzie poczekać, aż ukończą podłogi. Oczywiście, teraz, kiedy się dałam namówić na przyjęcie, powinnam poszukać jakichś odpowiednich mebli na zewnątrz.

- Przyjęcie?

- Nie mówiłam ci? - Wciągnęła na siebie koszulę. - Niebaczenie wspomniałam Cathy Morrow, że chciałabym - może - wydać przyjęcie w okolicach Święta Pracy, ale że dom nie będzie jeszcze ukończony i umeblowany. Zapaliła się do tej pierwszej części, a drugą zupełnie zignorowała. Teraz Patty do mnie wydzwania z propozycjami kulinarnymi, a twoja matka zaofiarowała się przyrządzić wieprzowinę na grillu.

- Jest naprawdę wspaniała.

- Bez wątplenia. Zastanawiam się tylko, jak mam znaleźć czas na zaplanowanie przyjęcia, skoro instaluję szafki w kuchni kończę obramowanie okien, osadzam drzwi, kończę podłogi, nie wspominając już o eksploracji świata sof, kanap, leżanek i szezlongów.

- Kupisz grilla, trochę mięsa i mnóstwo napojów alkoholowych.

Potrząsnęła ze zdumieniem głową.

- Ale z ciebie mężczyzna!

- Pewnie. Fakt, który przed chwilą udowodniłem ponad wszelką wątpliwość. - A ponieważ była niedziela, pomyślał, że powinien podjąć próbę udowodnienia tego jeszcze raz.

- Przyjęcie to dobra rzecz, Cilla. Zjawiają się ludzie, których lubisz i znasz, z którymi chcesz przebywać. Pokazujesz z dumą to, co udało ci się osiągnąć.

Dzieliś się tym. Dlatego usunęłaś bramę.

- Ja... - Miał rację. - Jakiego rodzaju grill?

Uśmiechnął się tylko do niej.

- Poszukamy czegoś razem.

Zamaszystym gestem skrzyżowała dłonie na sercu.

- O takich słowach w ustach mężczyzny większość kobiet może tylko pomarzyć. Muszę się ubrać. Przy okazji będę mogła obejrzeć farbę i narzędzia, może rzucić okiem na oświetlenie do kuchni.

- Czyżbym powiedział coś niezwykłego?

Obdarzyła go uśmiechem, wychodząc z pokoju.

- Pojedziemy moim samochodem.

Wciągnął bokserki, ale nie ruszył się z miejsca, myśląc o niej. Nie zdawała sobie sprawy, ile mu właśnie powiedziała. Nigdy wcześniej nie wspominała o domu czy domach, w których dorastała.

On ze swej strony mógłby opisać z najdrobniejszymi szczegółami dom swojego dzieciństwa, słońce, które sączyło się albo wdzierало przez okna jego pokoju o każdej porze dnia, zieloną umywalkę w łazience, odprysk na kuchennej terakocie, w miejscu, gdzie uderzył upuszczony przez niego czterolitrowy dzbanek z sokiem jabłkowym.

Pamiętał to uczucie bólu, kiedy rodzice sprzedali dom, chociaż był wtedy w Nowym Jorku, chociaż już dawno się wyprowadził; chociaż przenieśli się zaledwie kilka kilometrów dalej. Po latach, ilekroć przejeżdżał obok tego starego domu z cegły, wciąż powracało to uczucie.

Starannie odtwarzane obramowanie okien i drzwi, listy schowane w książce, stara stodoła znów pomalowana na czerwono. Wszystko to, każdy krok i szczegół stanowiły ogniwa, które Cilla wykuwała, by odtworzyć więź z tym miejscem.

Przyrzekł sobie, że zrobi wszystko, by jej w tym pomóc, nawet jeśli sprowadzało się to tylko do wspólnego zakupu grilla.

- Hej, Ford!

- Tutaj! - zawołał, usłyszawszy głos Briana, i zsunął się z kanapy, kiedy przyjaciel wszedł do środka. - Jaki grill kupić, Webera czy Vikinga?

- Trudny wybór - odparł Brian, nie prosząc o jakiegokolwiek wyjaśnienia. - Zdecydowałbym się na Webera, jak wiesz, ale Viking jest dobry do wszystkiego.

- A gdyby miała wybierać kobieta?

- Kobiety nie mają prawa stać nad grillem. Takie jest moje zdanie. - Schylił się i podniósł podkoszulek Forda. - Wskazówka. Mówi mi, że zjawiłem się zbyt późno, żeby zakłócić poranny seks. Niech diabli tę drugą filiżankę kawy!

Cisnął Fordowi w twarz jego podkoszulek i przywitał się ze Spockiem.

- Jesteś zazdrosny, bo ty nie miałeś porannego seksu.

- Skąd wiesz?

- Bo tu jesteś. Co cię sprowadza?

Brian, podchodząc do lodówki, wskazał na barek i materiały Cilli.

- Gdzie Cilla?

- Na gorze, ubiera się, żebyśmy mogli wyjść i zastanowić się nad odpowiednim

wyborem. Weber albo Viking.

- Masz tutaj dietetyczną colę - zauważył Brian, biorąc sobie tę prawdziwą. - Widomy znak, że jesteś zakochany. Zajrzałem wczoraj do mamy. - Brian otworzył puszkę i łyknął. - Zabrałem ku jej radości niejedno, ale dwa pudła rupieci, które dla mnie zachowała. Co mam zrobić z rysunkiem, na którym jest dom.

wielkie żółte słońce i patykowaci ludzie?

- Nie wiem, ale nie możesz go wyrzucić. Jak twierdzi moja matka, pozbywanie się pamiątek z dzieciństwa to kuszenie losu. - Ford też sobie wziął colę. - Mam trzy pudła z takimi rzeczami.

- Nie zapomnę, że to twoja wina, no wiesz, że musiałem zabrać te rupiecie. - Wyjął z kieszeni kopertę i rzucił na barek. - Jednakże, ponieważ nie cieszyłem się ostatniej nocy kobiecym towarzystwem, przejrzałem co nieco i znalazłem to. Kartkę, którą mój dziadek dał mojej matce z okazji moich urodzin. Jest tam trochę tekstu.

- Dzięki. Zrewanżuję ci się.

- No pewnie. Cholera, trzymam teraz w domu każde świadectwo, począwszy od podstawówki, a skończywszy na szkole średniej. Daj mi znać, jeśli charakter pisma będzie się zgadzał.

Rozumiesz, teraz i mnie to dotyczy.

- W jakimś sensie.

Ford wziął kartkę do ręki i zaczął się przyglądać mocno nakreślonym, grubym literom w imieniu „Cathy”.

- Muszę lecieć, zawożę Shannę na lotnisko. - Przykucnął i podrapał tańczącego z radości Spocka w głowę i grzbiet. - Przekaż Cilli, że jutro zjawi się u niej dwóch gości, dokończą ściółkę, i że obejrzą ten nowy dom, który kupuje. Rzucę okiem na podwórze.

- Okej. Powiem ci, co i jak z tą kartką.

Brian uśmiechnął się złośliwie.

- Tak, jestem zaniepokojony.

Ford poszedł na górę, do sypialni, gdzie Cilla wiązała włosy w koński ogon.

- Jestem gotowa - oznajmiła. - Ubierz się, a ja zajrzę jeszcze do Internetu.

- Właśnie odwiedził mnie Brian.

- Och, oglądał już ten dom?

- Nie, robi to w przyszłym tygodniu. Przyniósł to. - Ford pokazał jej kartkę.

- Czy to... No tak, oczywiście. Nie spodziewałam się, że znajdzie coś tak szybko. O rany! - Przycisnęła dłoń do brzucha. - Wielka tajemnica może być rozwiązana. Trochę się

denerwuję.

- Chcesz, żebym sam to sprawdził i ci powiedział?

Przestała się trzymać za brzuch.

- Za kogo mnie masz? Za dzieciaka?

- Nie.

- Więc zróbmy to.

- Listy są w mojej pracowni.

Poszła z nim, a potem patrzyła, jak zdejmuje książkę z półki i kładzie przed nią na stole.

- Cały czas myślę o tym, że wybrała *Gatsby'ego*. Bogate, pełne blasku życie, blichtr i znużenie, romans, zdrada i wreszcie tragedia. Była tak nieszczęśliwa. Znów śniła mi się niedawno.

Nie mówiłam ci o tym. Jeden z moich snów o Janet i Cilli. Forest Lawn. Oboje są pochowani na tym cmentarzu. Ona i Johnnie.

Byłam tam tylko raz. Jej grób był dosłownie zakryty kwiatami.

Patrzyłam na to ze smutkiem. Wszystkie te kwiaty przyniesione przez obcych ludzi, więdnące w słońcu...

- Zasadziłaś je dla niej tutaj. A nawet jeśli zwiędną, będą zakwitać na nowo. Rok za rokiem.

- Lubię myśleć, że byłoby to dla niej ważne. Mój osobisty hołd. - Otworzyła książkę, wyjęła plik listów i wybrała jeden. - Ja obejrzę ten, a ty tę kartkę.

Ford wyjął z koperty sztywny kawałek papieru. Spodziewał się jakiegoś radosnego zdjęcia z niemowlakiem czy czegoś sentymentalnego, na przykład matki z dzieckiem. Zobaczył jednak tylko inicjały Andrew Morrowa na grubym, kremowym papierze.

- Dość oficjalne - zauważył i otworzył kartkę.

*Gratulacje dla mojej uroczej synowej z okazji wydania na świat pierwszego syna. Mam nadzieję, że te róże sprawią Ci przyjemność. Są tylko skromnym dowodem mej wielkiej dumy. Wraz z Brianem Morrowem narodziło się następne pokolenie.*

*Szczerze Ci oddany, Drew* Cilla położyła list obok kartki.

*Moja Droga. Moja Kochana, nie mam słów, by wyrazić swój smutek, swoją solidarność, swój żal. Tak chciałbym Cię przytulić, pocieszyć, nie ograniczając się do słów na tej kartce. Wiedz, że jestem z Tobą całym sercem, że moje myśli są pełne Ciebie. Żadna matka nie powinna przeżywać straty swego dziecka, a potem być zmuszana do tego, by okazywać swój ból publicznie.*

*Wiem, że kochałaś Johnniego ponad wszystko. Jeśli może być to dla Ciebie jakąkolwiek pociechą, pamiętaj, że czuł tę miłość przez wszystkie dni swego krótkiego życia.*

Tylko Twój - Czy to przypadek, los? - spytała cicho Cilla. - Że wybrałam list, który mówi o stracie syna, by porównać go z kartką, która mówi o narodzinach innego syna? To miły list - ciągnęła. - Oba są miłe i jednocześnie dziwnie odległe. I tak starannie sformułowane, jak mi się wydaje. Każde z tych wydarzeń powinno przecież wzbudzić w autorach głębokie uczucia, intymność.

Ten ton, treść. Mogły wyjść spod ręki jednej i tej samej osoby.

- Charakter pisma jest podobny. No... cóż, niezupełnie. Widzisz to S na kartce? Kiedy zaczyna wyraz - „Szczерze” - od S, to litera wygląda jak drukowana. W liście - „smutek” i „solidarność” - to tradycyjna mała litera pisana kursywą.

- Ale W i T pisane są identycznie. Spójrz na nachylenie liter.

W obu przypadkach jest bardzo podobne. Poza tym oba teksty dzielą lata. Słowo „moja” rzeczywiście wygląda jak pisane tą samą ręką, tak jak J, ale duże D nie za bardzo. - Ford wiedział, że patrzy na to okiem artysty, i nie był przekonany, czy to dobrze, czy źle. - Ale na kartce to D jest w podpisie. Niektórzy ludzie piszą pierwszą literę swojego imienia inaczej, niż gdyby chodziło o jakieś słowa. Nie wiem, Cilla.

- A więc sprawa pozostaje otwarta. Przypuszczam, że nie znasz żadnego eksperta od charakteru pisma.

- Moglibyśmy kogoś znaleźć. - Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. - Chcesz iść tym tropem?

- Nie. Może. Nie wiem. Do diabła! Nie ma tu prostych odpowiedzi.

- Może uda się nam zdobyć jakąś próbkę pisma bliższą chronologicznie tym listom. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebym poprosił o to Briana.

- Odpuśćmy sobie chwilowo. - Złożyła list i wsunęła go z powrotem do koperty. - Wiemy teraz jedno. To nie był Hennessy. Zapomniałam o tym liście po śmierci Johnniego. Nie ma mowy, żeby Hennessy, nawet gdyby był szaleńczo zakochany, napisał coś takiego po wypadku, kiedy siedział przy swoim synu w szpitalu.

- Masz rację.

- Gdybym więc sporządziła listę podejrzanych, mogłabym wykreślić jedno nazwisko. To już coś. Chwilowo wystarczy. Przynajmniej chwilowo.

Ford zamknął książkę i odłożył na półkę. Odwrócił się do Cilli i wziął ją za rękę.

- Co ty na to, żebyśmy pojechali kupić grilla?

- Powiedziałabym, że jest to właśnie to, co chcę teraz zrobić. Zostawił jednak na

biurku podpisaną kartkę, kiedy poszedł się ubrać. Postanowił, że znajdzie grafologa. Kogoś spoza Wirginii, kogoś, komu nazwisko Morrow nic nie mówiło. By się przekonać, dokąd ich to zaprowadzi.

Radość, jaka ogarnęła Cillę, kiedy w końcu, we wtorek, przywieziono orzechowe deski na podłogę, przygasła gwałtownie już przed południem, gdy jej glazurnik pojawił się niczym burza obok stodoły, gdzie pracowała.

- Cześć, Stan. Miałeś pojawić się dopiero w czwartek. Czy... - Stwierdziła nagle, że cofa się w przestrachu, dostrzegając jego morderczy wzrok. - Zaraz, zaraz, o co chodzi?

- Myślisz, że wolno ci traktować ludzi w ten sposób? Myślisz, że możesz rozmawiać w ten sposób z ludźmi?

- Co? Co?

Zmusił ją niemal do tego, by się cofnęła pod ścianę stodoły. Zbyt zaszokowana widokiem zwykle przyjacielskiego Stana, któremu pulsowała żyła na czole, Cilla podniosła dłonie w geście zarówno obrony, jak i pojednania.

- Myślisz, że jak masz forszę i występowałaś w telewizji, to jesteś lepsza od nas?

- Nie wiem, o czym mówisz. Gdzie...

- Miałaś tupet, do diabła, że zadzwoniłaś do mojej żony i rozmawiałaś z nią w ten sposób.

- Nigdy...

- Masz zastrzeżenia do mojej roboty, to gadaj ze mną. Rozumiesz? Nie wydzwaniam do mojego domu i nie wrzeszcz na moją żonę.

- Stan, nigdy nie rozmawiałam z twoją żoną.

- W dodatku zarzucasz jej kłamstwo? - Przysunął do niej twarz tak blisko, że niemal wyczuwała jego wściekłość.

- Niczego jej nie zarzucam. - Poczowała, jak gniew zaczyna ścisnąć jej krtań, więc starała się uważnie dobierać słowa. - Nie znam jej i nie mam pojęcia, o czym, do diabła, mówisz.

- Wróciłem do domu, a ona była tak zdenerwowana, że ledwie mogła mówić. Zaczęła płakać. Jedyne powód, dla którego nie przyjechałem tu od razu wczoraj wieczorem, jest taki, że błagała mnie, bym tego nie robił, a ja nie chciałem zostawiać jej w takim stanie. Ma nadciśnienie, a ty ją wkurzasz, bo uznałaś, że nie podoba ci się moja robota.

- Powtarzam ci, że nigdy nie dzwoniłam do ciebie do domu i nigdy nie rozmawiałam z twoją żoną i że nie jestem niezadowolona z twojej roboty, wręcz przeciwnie. Bo dlaczego, na Boga, cię zatrudniłam, żebyś położył mi płytki w kuchni?

- Sama mi powiedz, do diabła!



- Nie potrafię! - odwrzasnęła. - O której niby godzinie miałam dzwonić do twojej żony?

- Około dziesiątej wczoraj wieczorem, sama doskonale wiesz.

Wróciłem do domu około wpół do jedenastej, a ona leżała na łóżku, cała czerwona i roztrzęsiona, bo nawrzeszczałaś na nią jak jakaś wariatka.

- A czy słyszałaś kiedykolwiek, żebym tak wrzeszczała?

Wczoraj o dziesiątej byłam u Forda. Zasnąłam przed telewizorem. Spytaj go. Jezu! Stan, pracujesz tu od kilku miesięcy. Powinieneś wiedzieć, że nie tak załatwiam sprawy.

- Powiedziała, że to byłaś ty. Cilla McGowan. - Ale jego wściekłość zaczęła ustępować zaskoczeniu. - Powiedziałas Kay, że jest prostytutką, tak jak większość ludzi w tej okolicy. Że nie potrafię za cholere układać płytek i że dopilnujesz, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli. Że jak stracę robotę, to nie będę mógł winić nikogo z wyjątkiem własnego leniwego tyłka. I że może podasz mnie do sądu w związku z tą nędzną robotą.

- Jeśli twoja żona jest prostytutką, to ja też nią jestem. Mieszkam tu teraz. Nie najmuje ludzi, którzy odwalają kiepską robotę. Powiem ci więcej, w zeszłym tygodniu poleciłam ci swojej macosze, jeśli uda jej się kiedykolwiek namówić mojego ojca na odnowienie ich łazienki. - Uświadomiła sobie, że brakuje jej niemal tchu, ale atak złości zaczął z wolna ustępować. - Po co, u diabła, miałabym to robić, Stan, gdybym uważała, że twoja robota jest do niczego?

- Nie zmyśliła sobie tego ot tak.

- Okej. - Odetchnęła głębiej. - Okej. Jest pewna, że ten, kto dzwonił, podał moje imię i nazwisko?

- Cilla McGowan, a potem Kay powiedziała, że ty... to znaczy jakaś kobieta - poprawił się, najwyraźniej gotów przyznać Cilli rację - powiedziała: „Wiesz, kim jestem?”, tym wrednym tonem, typowym dla ludzi, którzy uważają się za kogoś ważnego. A potem po prostu się na nią wydarła. Musiałem uspokajać ją niemal godzinę, kiedy wróciłem do domu z rozgrywek letniej ligi bejsbola. Musiałem dać jej tylenol, żeby mogła zasnąć. Taka była zdenerwowana.

- Przykro mi. Przykro mi, że ktoś posłużył się moim nazwiskiem, żeby ją wyprowadzić z równowagi. Nie wiem, dlaczego... - Poczowała, jak ucisk schodzi niżej, do piersi, i zaczyna gniesć. - Dostawca podłogi powiedział, że zadzwoniłam i zmieniłam zamówienie. Nie orzech, tylko dąb. Nie dzwoniłam. Pomyślałam sobie, że coś tam pomylili. Może nie pomylili. Może ktoś robi mi świństwa.

Stan nie poruszał się przez chwilę, potem włożył ręce do kieszeni spodni, znów je

wyjął.

- To nie ty dzwoniłaś.

- Nie, to nie ja. Posłuchaj, Stan, wyrabiam sobie tu markę, chcę otworzyć biznes. Staram się nawiązać kontakty z podwykonawcami i facetami od usług. Kiedy ktoś się włamał i zniszczył łazienki, znalazłeś czas, żeby naprawić szkody i położyć nowe płytki. Dzięki tobie nie było przerwy w robocie.

- Miałaś problem. T prawdę mówiąc, byłem dumny z tej pracy i chciałem zrobić to jak trzeba.

- Nie wiem, jak wyjaśnić sprawę z twoją żoną. Mogłabym z nią porozmawiać, wytłumaczyć wszystko.

- Lepiej sam się tym zajmę. - Odetchnął głęboko. - Przepraszam, że na ciebie naskoczyłem.

- Na twoim miejscu zachowałabym się tak samo.

- Kto by zrobił coś takiego? Szkodził tobie, atakował Kay?

- Nie mam pojęcia. - Cilla pomyślała o pani Hennessy, której mąż trafił na dwa lata do zakładu psychiatrycznego. - Ale mam nadzieję, że uda mi się to ustalić, zanim znów do czegoś dojdzie.

- Chyba pojedę do domu załatwić sprawę z Kay.

- Dobra. Czwartek wciąż aktualny?

Uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Jasne. Aha, gdybyś z jakiegoś powodu musiała do mnie zadzwonić, to może ustalimy hasło czy coś w tym rodzaju.

- Chyba tak.

Stała potem w cieniu stodoły, przyglądając się listwom, które stały oparte o ścianę albo suszyły się na koźle do piłowania drewna, i zastanawiała się, ile jeszcze razy przyjdzie jej płacić za zbrodnie, grzechy i błędy innych ludzi.

## ROZDZIAŁ 26

Cilla stała w swojej sypialni, patrząc na świeżo pomalowane ściany, podczas gdy ojciec zakrywał wieczkiem puszkę farby.

Przyglądała się, jak silne popołudniowe światło zalewa pokój i nadaje tym ścianom blask.

- Listwy na okna i drzwi nie są jeszcze gotowe, trzeba też położyć podłogi, ale kiedy tu wchodzę, od razu czuję się podekscytowana.

Wyprostował się i też przyjrzał się wnętrzu.

- Kawał dobrej roboty.

- Mógłbyś się z tego utrzymywać.

- Dobrze mieć coś w rezerwie.

- Pomalowałeś prawie cały dom. - Odwróciła się do niego.

Wciąż nie wiedziała, jak ma na to zareagować, co mu powiedzieć. - Dzięki tobie zaoszczędziłam kilka tygodni. Nie wiem, czy wystarczy podziękować.

- Wystarczy. Sprawiało mi to przyjemność, i to z wielu powodów. Podobało mi się, że biorę w tym udział. W tej całej przebudowie. Niejedno lato nam umknęło, tobie i mnie. Jestem szczęśliwy, że akurat to mogłem spędzić z tobą.

Przez chwilę stała tylko bez ruchu i patrzyła na swego przystojnego ojca. Pierwsza do niego podeszła. Pocałowała w policzek, potem otoczyła ramionami.

Przytulił ją mocnym i zdecydowanym gestem. Poczwała, jak wzdycha.

- Pamiętasz ten pierwszy dzień, kiedy się tu spotkaliśmy?

Podszedłem do tylnych drzwi, a ty podzieliłaś się ze mną kanapkami na tej zapadającej się werandzie.

- Pamiętam.

- Nie podejrzewałem, że zajdziemy tak daleko. Zbyt wiele zostało zaniedbane, zbyt dużo czasu upłynęło. Mówię o tym domu, o nas. - Uwolnił ją z objęć, a ona ze zdumieniem, a nawet przestachem, ujrzała łzy w jego oczach. - Dzięki tobie pojawiła się szansa. Dla domu, dla mnie. A teraz stoję tu ze swoją córką.

Jestem z ciebie taki dumny, Cilla!

Poczwała, że jej także wilgotnieją oczy, i przytuliła twarz do jego ramienia.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że jesteś dumny, to było po koncercie w Waszyngtonie i jeszcze raz, kiedy przyszedłeś na plan *Naszej rodziny* i patrzyłeś, jak odgrywam scenę. Ale teraz po raz pierwszy naprawdę w to wierzę. - Uścisnęła go i cofnęła się. - Poznajemy się

lepiej dzięki lateksowej półmatowej farbie do wnętrz.

- Dlaczego mielibyśmy na tym poprzestać? Chodź, obejrzymy dom z zewnątrz.

- Nie możesz pomalować domu. Pokoje to inna rzecz.

Wysunął wargi i zaczął wodzić wokół zamyślonym wzrokiem.

- Chyba przeszedłem próbę pomyślnie.

- W środku. To dwupiętrowy dom. Naprawdę wielki, dwupiętrowy dom. Pomalowanie będzie wymagało pracy na rusztowaniach i wysokich drabinach.

- Sam kiedyś wykonywałem numery kaskaderskie. - Roześmiał się, kiedy przewróciła wymownie oczami. - Może i nie, a może to było dawno temu, ale odznaczam się doskonałą równowagą.

Zrobiła poważną minę.

- Praca na rusztowaniach i wysokich drabinach w piekielnym sierpniowym upale...

- Nie zniechęcisz mnie.

W końcu odwołała się do argumentu praktycznego.

- To nie jest robota dla jednego człowieka.

- Prawda. Niewątpliwie będę potrzebował pomocy. O jakim kolorze myślałaś?

Poczuła się niemal pokonana.

- Posłuchaj, starą farbę trzeba zedrzeć w miejscach, gdzie odłazi...

- Szczegóły, szczegóły. Rzućmy na to okiem. Chcesz, żebym skończył przed Świętem Pracy?

- Przed Świętem Pracy? Malowanie nie jest w planach nawet do połowy września. Kiedy, miejmy nadzieję, będzie trochę chłodniej. Ekipa, która malowała stodołę...

- Będę szczęśliwy, mogąc pracować z tymi ludźmi.

Całkowicie zbita z tropu, wsparła dłonie na biodrach.

- Zawsze sądziłam, że jesteś... bez obrazy... ustępliwy.

Poklepał japo policzku, niewzruszony.

- Nie obraziłem się. A listwy, werandy?

Wydeła policzki i odetchnęła głośno. Teraz dopiero dostrzegła, jaki jest naprawdę. Ustępliwy, akurat. Ignorował jej argumenty i stawiał na swoim.

- Okej, rzucimy okiem na próbki kolorów, o które mi chodzi. A kiedy się będę decydowała, ty możesz malować okiennice i werandy. Ale nie zgodzę się, żebyś przesiadywał na rusztowaniach albo wlaził na wysuwane drabiny.

Uśmiechnął się tylko do niej, potem pogłaskał japo ramionach, tak jak to robił z Angie, co zdążyła wcześniej zauważyć, i sprowadził ją na dół.

Chociaż nie było tego na jej liście - naprawdę chciała pójść do pracowni i sprawdzić, jak przebiega układanie podłogi, czy Stan uporał się z płytkami i zaczął mocować listwy przy oknach - otworzyła trzy puszki z farbą zewnętrzną.

- Można wybrać coś bardziej zdecydowanego niż ten niebieski. Dodać odrobinę szarego i barwa straci trochę na mocy, a białe obramowania podkreślą odcień. - Uderzyła dłonią w drewno.

- Kolor, który mocno przemawia.

- Tak. Albo wybiorę coś spokojnego i tradycyjnego, to znaczy ten żółtobrazowy, i oczywiście biel na obramowania okien i drzwi, albo kolor kremowy. Kremowy może będzie nawet lepszy. Bardziej miękki.

- Ładny i stonowany.

- Albo mogę się zdecydować na subtelniejszy odcień błękitu i znów domieszka szarego ociepli barwę. Będzie współgrał z białymi listwami.

- Pełen godności, ale ciepły.

Cofnęła się o krok, przechyliła głowę najpierw w lewo, potem w prawo.

- Zastanawiałam się także nad żółtym. Wiesz, coś wesołego, ale dostatecznie miękkiego, żeby nie wyglądało jak wielki żonkil, który nagle wyrósł z ziemi. Może trzeba się trochę wstrzymać z decyzją. - Zagryzła wargę. - Aż do...

- Widywałem już, jak podejmowałaś różne decyzje co do tego domu i terenu. Dlaczego tym razem przychodzi ci to tak ciężko?

- Bo to jest coś, co wszyscy będą widzieć. Ilekroć będą przejeżdżać obok domu. Wielu będzie zwalniać, pokazywać go palcem. „To dom Janet Hardy”. - Cilla odłożyła pędzel i otarła dłonie o robocze szorty. - To tylko farba, tylko kolor, ale jest ważne, co ludzie zobaczą, przejeżdżając drogą, i co sobie pomyślą. Położył jej dłoń na ramieniu.

- Co chcesz, żeby zobaczyli, kiedy będą przejeżdżać?

- To, że była prawdziwą osobą, nie tylko postacią na starym filmie czy głosem na CD albo płycie winylowej. Żywą osobą, która czuła i jadła, która śmiała się i pracowała. Która miała jakieś życie. I była tu szczęśliwa, przynajmniej przez pewien czas. Na tyle szczęśliwa, by nie pozbywać się tego domu. Zachowała go, bym mogła tu przyjechać i urządzić sobie własne życie. - Parsknęła śmiechem, zażenowana. - Ile człowiek może oczekiwać po dwóch warstwach farby. Jezu! Powinnam chyba wrócić na terapię.

- Daj spokój. - Potrząsnął nią delikatnie. - Oczywiście, że ma to znaczenie. Ludzie czasem z powodów o wiele bliższych traktują poważnie coś tak przyziemnego jak farba. Ten dom, to miejsce należało do niej. Co więcej, było to coś, co sama wybrała i co sobie ceniła.

Coś, czego potrzebowała. I co zostało przekazane tobie. To ma znaczenie.

- Było też twoje poniekąd. Nie zapominam o tym. Jest to teraz ważniejsze niż wtedy, kiedy zaczynałam. Ty wybierz kolor.

Cofnął dłoń z jej ramienia.

- Cilla...

- Proszę. Naprawdę chcę, żebyś to ty o tym zdecydował.

Wybór McGowana. Ludzie będą myśleć o niej, przejeżdżając drogą. Ale kiedy ja będę tu spacerować albo wracać po długim dniu, to też będę o niej myśleć, i o tobie. O tym, jak przyjeżdżałeś tu jako mały chłopiec i goniłeś kurczęta. Wybieraj, tato.

- Ten drugi odcień niebieskiego. Ciepłego i pełnego powagi.

Wzięła go pod rękę, a potem przyglądała się świeżej barwie na tle starej, oblażącej farby.

- Chyba będzie idealnie.

Kiedy Ford zjawił się pod koniec dnia, zobaczył na werandzie Gavina zdrapującego farbę z frontowej ściany domu.

- Jak leci, panie McGowan?

- Powoli, ale pewnie. Cilla jest gdzieś wewnątrz.

- Właśnie kupiłem dom.

- Naprawdę? - Gavin przerwał robotę i zmarszczył czoło. - Wyprowadzasz się?

- Nie, nie. Kupiłem, no, taką toksyczną budę, ale Cilla twierdzi, że potrafi ją doprowadzić do porządku. Ażeby potem sprzedać. Właściciel zaakceptował właśnie moją ofertę. Mam lekkie mdłości i nie wiem, czy to dlatego, że jestem podekscytowany, czy dlatego, że widzę wielki, ziejący pustką dół pod swoimi stopami. Dół, który będzie pochłaniał moje pieniądze. Mam na karku dwie hipoteki do spłacenia. Chyba lepiej, jak usiądę.

- Weź tę skrobaczkę i pomóż mi. To cię uspokoi.

Ford popatrzył z powątpiewaniem na narzędzie.

- Swojego czasu zawarłem długotrwałe porozumienie z narzędziami. Trzymamy się od siebie z daleka. Dla dobra ludzkości.

- To tylko skrobaczka, Ford, nie piła łańcuchowa. Zeskrobujesz w zimie szron z przedniej szyby swojego wozu, prawda?

- Kiedy muszę. Wolę pozostać w domu i czekać, aż szron sam się rozpuści. - Wziął jednak narzędzie do ręki i spróbował zastosować technikę usuwania lodu z szyby samochodowej przy zeskrobywaniu farby ze ściany domu. - Będę miał dwie hipoteki do spłacenia, co więcej, będę miał też czterdzieści lat.

- Co jest, przenieśliśmy się w czasie? Nie masz chyba więcej niż trzydzieści.

- Trzydzieści jeden. Pozostało mi niecałe dziesięć lat do czterdziestki, a zdaje mi się, jakbym pięć minut temu przygotowywał się do egzaminu policealnego.

Gavin skrzywił usta, nie przerywając skrobania.

- Z czasem jest coraz gorzej. Każdy kolejny rok upływa szybciej.

- Dzięki - odparł kwaśno Ford. - To właśnie pragnąłem usłyszeć. Zamierzałem jeszcze trochę poczekać, ale jak można to zrobić, kiedy ma się mniej czasu, niż człowiek sądzi? - Odwracając się, pomachał skrobaczką i o mało nie wrzucił jej przez otwarte okno. - Ale jeśli jestem gotowy, a ona nie, to co, u licha, mam robić?

- Skrob dalej.

Ford skrobał - farbę i własne kłykcie.

- Bzdura. Jako metafora życia jest do kitu.

Cilla wyszła z domu i zobaczyła Forda, który ssał odrapane kostki u dłoni i krzywił się boleśnie.

- Co ty robisz?

- Zdieram farbę i kilka warstw własnej skóry, a twój ojciec filozofuje.

- Pokaż, obejrzę. - Ujęła jego dłoń i przyjrzała się kłykciom. - Przeżyjesz.

- Będę musiał. Mam na głowie dwie hipoteki. Au! - jęknął, kiedy Cilla ścisnęła mu obolałe palce.

- Przepraszam. Przyjęli twoją ofertę?

- Tak. Muszę pojechać jutro do banku i podpisać plik dokumentów. Grozi mi hiperwentylacja - powiedział. - Potrzebuję torebki, w którą będę mógł oddychać.

- Podpisanie umowy w listopadzie?

- Zgodnie z naszymi ustaleniami.

Trąciła go w żebra.

- Przestraszony?

Jego odpowiedzią był kwaśny i niewyraźny grymas.

- Zwali się na mnie dług. Taki, który ma bardzo dużo zer.

Wiesz, że powonienie to najsilniejszy ze zmysłów? Cały czas pamiętam, jak tam cuchnęło.

- Odlóż to, zanim zrobisz sobie krzywdę. - Wyjęła mu z dłoni skrobaczkę i położyła na parapecie. - I chodź ze mną.

Mrugnęła do ojca i pociągnęła Forda za sobą do domu.

- Pamiętasz, jak wyglądała kuchnia, kiedy pierwszy raz ją zobaczyłeś?

- Tak.

- Brzydka, brudna, zniszczone podłogi, popękany tynk, gołe żarówki. Widzisz to?

- Widzę.

- Zamknij oczy.

- Cilla...

- Mówię poważnie, zamknij je i przyjrzyj się temu obrazowi.

Potrząsnął głową, ale spełnił posłusznie polecenie, a potem dał się jej prowadzić.

- A teraz chcę, żebyś mi powiedział, co widzisz, kiedy otworzysz oczy. Bez zastanowienia, bez analizowania. Po prostu otwórz oczy i powiedz mi, co widzisz.

Zrobił, jak mu kazała.

- Duże pomieszczenie, puste. Mnóstwo światła. Ściany w kolorze lekko przypieczonego chleba. I podłoga, duże kwadratowe płytki, sporo odcieni miodu na kremowym tle i sterczące spod spodu rury. Wielkie, nieobramowane okna, które wychodzą na patio z niebieskim parasolem, i ogrody, gdzie zakwitają wariacko róże, a zieleń rozrasta się bujnie. I góry na tle nieba. Mam przed oczami wizję Cilli.

Chciał zrobić krok, ale go powstrzymała.

- Nie, nie chodź jeszcze po terakocie. Stan położył przed godziną fugę.

- Możemy zrobić to samo z moim domem.

- Jak najbardziej. Wymaga to planowania, wysiłku, gotowości zmagania się z nieoczekiwanymi problemami i prawdziwego poświęcenia dla końcowego efektu. Doprowadzimy twój dom do porządku, Ford, a kiedy to zrobimy, będziemy mieli coś, z czego będziemy obydwój dumni.

Odwrócił się do niej i pocałował w czoło.

- Okej, okej. Mam jeszcze trochę skrobania.

Wyszła z nim na zewnątrz i poczuła się zaskoczona, kiedy machnął tylko jej ojcu i ruszył przed siebie.

- Dokąd on idzie? Powiedział, że ma jeszcze trochę skrobania.

Gavin uśmiechnął się do siebie, kiedy Cilla potrząsnęła głową i weszła z powrotem do domu. Dobrze było wiedzieć, że jego córka znalazła sobie miejsce, swój cel, że znalazła mężczyznę, który ją kochał.

I było dobrze wiedzieć, że znajdowała się poza zasięgiem człowieka, który pragnął jej krzywdy.

Nazajutrz rano Cilla wyszła od Forda i stwierdziła, że ktoś poprzebijał opony w jej samochodzie. Na ziemi, obok przedniego lewego koła, twarzą do ziemi, leżała kolejna lalka, a



z jej pleców sterczał nóż o krótkiej ręczce.

- Powinnaś natychmiast przyjść po mnie. Do diabła, Cilla! - Ford chodził tam i z powrotem po podjeździe, wreszcie stanął pod schodami, na których siedziała. - A gdyby ten mężczyzna - czy kobieta, nieważne - wciąż tu był?

- Nie było go. Policjanci przyjechali w ciągu piętnastu minut.

Nabrali już w tym wprawy. Nie widziałam potrzeby...

- Jestem do niczego, bo nie potrafię obsługiwać piły mechanicznej czy cholernej wiertarki?

- Nie to miałam na myśli i wiesz o tym doskonale.

Matt stanął między nimi.

- Uspokój się, Ford.

- Nie ma mowy. To już drugi raz ktoś tak urządził jedną z tych cholernych lalek, żeby ją przestraszyć, a ona siedzi tu sobie sama i czeka na policję, kiedy ja śpię po drugiej stronie drogi. To cholernie głupie.

- Masz rację. Mimo wszystko się uspokój. Zgadzam się z nim - zwrócił się Matt do Cilli. - To było wyjątkowo głupie. Jesteś superszefem, Cilla, i jednym z najlepszych stolarzy, z jakimi pracowałem, ale pozostaje faktem, że ktoś cię prześladował i grozi ci; to, że siedziałaś tu zupełnie sama, kiedy znalazłaś pod domem coś takiego, nie świadczy o wielkim rozsądku.

- Ten ktoś posłużył się tchórzliwą taktyką zastraszenia, poza tym nikt cię nie prosił, żebyś biegł na drugą stronę drogi, wyciągał Forda z łóżka i żebyście potem we dwóch mogli na mnie naskakiwać. Nie jestem głupia. Gdybym się naprawdę bała, sama bym pobiegła do domu Forda i wyciągnęła go z łóżka. Byłam wściekła, do diabła! - Zerwała się na nogi, jakby uważała, że siedząc i patrząc na dwóch zirytowanych mężczyzn, czuje się słaba i mniejsza. - Wciąż jestem wściekła. Jestem wkurzona i zmęczona tym, że ktoś mnie prześladował i grozi, jak się wyraziłeś. Że zostałam zepchnięta z drogi, że zniszczono mi kawał dobrej roboty i z powodu całej reszty. Wierzcie mi, gdyby ten, kto za tym stoi wciąż tu był, to pewnie wyrwałabym ten nóż z tej idiotycznej lalki i dźgnęła go w szyję. I wciąż byłabym wkurzona.

- Jeśli jesteś taka mądra - oznajmił zimno Ford - to wiesz, że to było głupie.

Otworzyła usta, ale po chwili je zamknęła i dała za wygraną. Potem znów usiadła.

- Przyznaję, że byłam nierozważna. Ale na głupią się nie zgadzam.

- Uparta i nierozważna - odpalił Ford. - To moja ostateczna oferta.

- Jak wolisz. A teraz, jeśli byś zechciał wrócić do łóżka, a ty do roboty, to będę mogła sobie tu posiedzieć i upajać się swoim smutkiem.

Matt bez słowa podszedł do niej, poklepał ją po głowie i wszedł do domu. Ford usiadł

obok na schodkach.

- Jakby mi zależało, żebyś umiał posługiwać się piłą mechaniczną - zauważyła z przekąsem.

- Dzięki Bogu nie zależy ci.

- Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby pójść po ciebie. Byłam zbyt wściekła. Nie rozumiem tego, po prostu nie rozumiem. - Przesunęła się i - folgując sobie i jemu - wsparła głowę o jego ramię. - Hennessy jest w psychiatryku. Jeśli robi to jego żona, to dlaczego?

Wiem, że jej mąż musi odsiedzieć dwa lata, ale czy to moja wina?

Niewykluczone, że jest tak samo stuknięta jak on.

- Może Hennessy rzeczywiście tego nie zrobił. Owszem, zepchnął cię z drogi. Jest stuknięty, to na pewno. Ale może nie jest odpowiedzialny za resztę. Nie przyznał się do tego.

- To byłoby naprawdę wspaniałe, gdyby co najmniej dwóch ludzi chciało mi zrobić z życia piekło. - Nachyliła się i wsparła łokcie o kolana. - Może chodzić o te listy. Ktoś jeszcze wie o nich, wie, że je znalazłam, że wciąż istnieją. Jeśli to Andrew je napisał, to ktoś się mógł o nich dowiedzieć, o tym romansie, ciąży... Jego nazwisko wciąż coś tu znaczy. Mogłoby chodzić o zachowanie reputacji...

- Kto, ojciec Briana? Brian? Poza tym to nie Andrew Morrow napisał te listy. Posłałem kopie grafologowi.

- Co? - Wyprostowała się gwałtownie. - Kiedy?

- Dwa dni po tym, jak Brian przyniósł kartkę. Tak, sam to załatwiłem, nic ci nie mówiąc ani nie naradzając się z tobą... owszem, to było nierozważne. Teraz jesteśmy kwita.

- Boże, Ford, jeśli prasa się do tego dorwie...

- Nie dorwie się. Dlaczego miałyby to zrobić? Znalazłem faceta w Nowym Jorku, który nie odróżnia Andrew Morrowa od Bruce'a Wayne'a. A na stronie, której kopię mu posłałem, nie ma żadnej wzmianki o Janet czy miejscu, nie sposób nawet ustalić dokładnej daty. Byłem ostrożny.

- Okej, okej.

Musiała przyznać, że rzeczywiście zachował wszelkie środki ostrożności.

- Wniosek jest taki, że nie było to pisane tą samą ręką. Facet przyznał, że nie daje głowy za ekspertyzę, po to były kopie, poza tym powiedziałem mu, że obie próbki pisma dzielą cztery lata.

Ale nie uznałby ich za dokumenty, które wyszły spod tej samej ręki. Dodał jednak, że mają zbliżony styl i że obie osoby mógł uczyć pisanie ten sam człowiek.

- Nauczyciel?

- Możliwe.

Cilla uświadomiła sobie, że to całkiem nowa droga poszukiwań.

- A więc to mógł być ktoś, kto chodził do szkoły z Andrew.

Przyjaciel. Bliski przyjaciel. Albo ktoś, kto uczęszczał do tej samej szkoły i miał tego samego nauczyciela. To naprawdę zawęża pole poszukiwań.

- Mógłbym się tym zająć albo przynajmniej spróbować. Pogadać z dziadkiem. Byliby w tym samym mniej więcej wieku, on i Andrew. Może coś pamięta.

Cilla wpatrywała się w cztery spłaszczone opony swojego wozu.

- Myślę, że to dobry pomysł. Jeśli chcesz uzyskać odpowiedzi, powinieneś zadawać pytania. Muszę wracać do pracy. A ty musisz wracać do łóżka. - Trąciła go ramieniem. - Zgoda między nami?

- Dopiero wtedy, kiedy znów zaczniemy uprawiać seks.

- Umieszczę to na liście priorytetów.

Ford podjechał pod niewielki domek na przedmieściach. Wysiadając z samochodu, usłyszał pomruk kosiarki, więc razem ze Spockiem obszedł dom i otworzył furtkę w ogrodzeniu z siatki drucianej.

Jego dziadek, ubrany w koszulkę polo, bermudy i adidasy, jeździł kosiarką po kwadratowym trawniku, omijając hortensje, krzewy różane i klon.

Stojąc przy furtce, Ford widział na skroniach dziadka strużki potu spływającego spod czapeczki Redskinów. Zawołał do niego, zamachał rękami i podszedł bliżej. Kiedy mężczyzna dostrzegł Forda, na jego twarzy pojawił się uśmiech. Wyłączył kosiarkę.

- Cześć, Ford. Cześć Spock - dodał, poklepując się po udzie, by pies mógł oprzeć na nich łapy i podstawić łeb do podrapania. - Co wy tu robicie?

- Pomożemy ci kosić trawnik. Jest za gorąco, dziadku, żebyś sam mógł to robić.

- Chciałem się zabrać do tego wcześniej.

- Myślałem, że wynająłeś do tej roboty dzieciaka z sąsiedztwa. Tak mi powiedziałeś, kiedy zaproponowałem, że wpadnę do ciebie i sam to zrobię.

- Chciałem wynająć. - Na twarzy Charliego pojawił się grymas. - Lubię sam ścinać swoją trawę. Nie jestem jeszcze na ostatnich nogach.

- Owszem, masz jeszcze nogi, ale nie musisz ich forsować, pracując w takim upale i wilgotności, że mógłbyś się utopić we własnym oddechu. Ja to dokończę, a ty przygotuj dwa zimne drinki. Spockowi też przydałaby się woda - dodał Ford, wiedząc, że sztuczka okaże się skuteczna.

- No dobra. Ale pamiętaj, żeby odstawić kosiarkę do szopy, jak już skończysz. I

uważaj na róże. Chodź, Spock.

Wystarczyło około dwudziestu minut, by uporać się z trawnikiem - pod czujnym okiem dziadka, który obserwował Forda uważnie jak jastrząb przez siatkę przy tylnych drzwiach domu. Co oznaczało - jak pomyślał Ford - że klimatyzacja nie jest w środku włączona.

Zanim Ford schował kosiarkę do szopy, przeszedł po maleńkim cementowym patio i otworzył drzwi, cały ociekał potem.

- Jest sierpień, dziadku.

- Wiem, jaki mamy miesiąc. Myślisz, że jestem stetryczały?

- Nie, tylko szalony. Zapewniam cię, klimatyzacja nie jest narzędziem szatana.

- Nie jest dość gorąco na klimatyzację.

- Jest dość gorąco, żeby człowiekowi się zagotowały wewnętrzne organy.

- Wieje przyjemny wietrzyk.

- Tak, wprost z piekła. - Ford osunął się na krzesło przy stole kuchennym i wypił jednym haustem mrożoną herbatę, którą podał mu Charlie, podczas gdy Spock leżał, pochrapując. Pewnie w śpiączce spowodowanej przez upał. - Gdzie jest babcia?

- Twoja ciotka Ceecee ją zabrała. Na sesję gadulstwa w klubie książki. Do księgarni twojej matki.

- Och! Gdyby tu była, toby mi dała coś słodkiego. Wiem doskonale, że poczęstowałaś Spocka, zanim stracił przytomność.

Charlie parsknął śmiechem, ale wstał, żeby wziąć pudełko pierniczków cytrynowych z szafki, gdzie je schował po nakarmieniu psa. Wysypał kilka na talerzyk i postawił przed Fordem.

- Dzięki. Kupiłem dom.

- Masz już dom.

- Tak, ale w tym wypadku to inwestycja. Cilla zamierza go wyremontować, odstawić kilka cudów, a potem go sprzedam i będę bogaty. Albo stracę ostatnią koszulę i będę musiał wprowadzić się do ciebie i babci i cierpieć na prostrację z gorąca. Widząc to, co zrobiła ze swoim domem, stawiam na cud.

- Słyszałem, że odstawiła tam kawał niezłej roboty. Mnóstwo zmieniła.

- Na lepsze, jak sądzę.

- Sam się chyba o tym przekonam podczas ubawu, który zamierza wyprawić w Święto Pracy. Twoja babka kupiła już sobie na tę okazję nową sukienkę. To trochę dziwnie iść tam na przyjęcie po tylu latach.

- Myślę, że wielu ludzi, którzy tam przyjdą, bywało na przyjęciach, kiedy żyła Janet Hardy. - Doskonały początek - pomyślał Ford. - Mama i tata, rodzice Briana. Znałeś jego dziadka, prawda?

- Wszyscy tu znali Andrew Morrowa.

- Przyjaźniliście się?

- Z Drew Morrowem? - Charlie potrząsnął głową. - Nie zadzierał nosa, ale nie obracaliśmy się w tych samych kręgach. Był ode mnie starszy o jakieś sześć, osiem lat.

- Więc nie chodziłeś z nim do szkoły?

- Do tej samej. Wtedy była tylko jedna. Czego się Andrew Morrow dotknął, zamieniało się w złoto. Miał też złoty język - powiedział Charlie i zwilżył gardło. - Umiał nakłonić ludzi, by powierzali mu pieniądze, ale Bóg mi świadkiem, że potrafił napęłnić kieszenie tych, którzy to robili. Kupując ziemię, stawiając domy, nabywając je, otwierając sklepy, biurowce. Zbudował całe miasteczko, pełnił funkcję burmistrza. Mówiło się, że będzie gubernatorem Wirginii. Nigdy jednak nie wystartował w wyborach. Podobno nie wszystkie jego interesy były do końca czyste.

- Z kim się spotykał, kiedy byliście jeszcze małymi chłopcami?

- Och, przypomnijmy sobie. - Charlie wymienił pospiesznie kilka nazwisk, które Fordowi nic nie mówiły. - Niektórzy z nich nie wrócili z wojny. Kolegował się trochę z Hennessym, tym, który siedzi teraz w psychiatryku.

- Naprawdę?

- Chodził przez pewien czas z jego siostrą Margie, potem zerwał z nią, to było wtedy, kiedy poznał Jane Drake, tę, z którą się ożenił. - Charlie uśmiechnął się złośliwie i potarł kciuk o palec wskazujący. - Rodzinny majątek. Potrzebował forsy, żeby kupić ziemię i budować domy. No i była ślicznotką. W dodatku arogancką.

- Pamiętam ją. Zawsze wyglądała na wkurzoną. Pieniądze nie dają szczęścia, jeśli kupuje się w niewłaściwych miejscach, jak mi się zdaje. Może Morrow szukał przyjemniejszego towarzystwa.

- Może i znalazł.

- I dlatego nie ubiegał się o stanowisko gubernatora - snuł domysły Ford. - Niebezpieczne romanse, ryzyko odkrycia, kiepska prasa. Nie pierwszy raz kobieta załatwiłaby komuś karierę polityczną.

Charlie przesunął wierzchem dłoni po szyi.

- Politycy - powiedział tonem, który wyrażał pogardę dla wszystkich, którzy zajmują się polityką. - Cieszył się tu jednak sporą popularnością. Pomógł tacie Buddy'ego ruszyć z

interesem, wiesz, hydraulika. Mnóstwo ludzi miało dzięki niemu pracę w dolinie. Buddy pracuje na tej farmie, prawda?

- Zgadza się.

- Pracował też za czasów Janet, on i jego stary. Buddy miał wtedy więcej włosów na głowie i mniej brzucha i już wtedy, o ile się nie mylę, prowadził ten swój interes. Był mniej więcej w twoim wieku, może trochę starszy.

Ford, orientując się, że rozmowa zmierza w niewłaściwym kierunku, postanowił skierować ją na odpowiednie tory.

- Myślę, że w tamtych czasach, kiedy była tylko jedna szkoła, wszystkich uczyli ci sami nauczyciele. Tak jak Briana, Matta, Shannę i mnie. Uczył nas wszystkich pan McGowan, także młodszego brata Matta i starszą siostrę Briana. W szkole podstawowej uczyła nas pisać pani Yates. Zawsze krytykowała moją kaligrafię. Jestem pewien, że byłaby zdziwiona, gdyby się dowiedziała, czym się zajmuję. Kto cię uczył pisać, dziadku?

- Boże! Zamierzchłe czasy. - Uśmiechnął się teraz, oczy zaszyły mu mgłą wspomnień. - Zaczęła moja mama. Siadaliśmy przy stole, a ona kazała mi przesuwając ołówkiem po literach, które kreśliła. Byłem cholernie dumny, kiedy udało mi się napisać własne imię. Wszystkich nas uczyła kaligrafii pani Macey. Obniżała mi oceny za to, że pisałem tak, jak nauczyła mnie mama.

Zostawiała mnie po lekcjach w szkole i kazała pisać alfabet na tablicy.

- Jak długo tam uczyła?

- Och, wieki wcześniej i wieki później. Kiedy miałem sześć lat, to uważałem, że jest stara jak świat. Nie miała chyba więcej niż czterdziestkę. Jedno jest pewne, to była twarda sztuka.

- Nauczyłeś się kiedykolwiek pisać tak, jak ci kazała?

- Nigdy. - Charlie uśmiechnął się i ugryzł piernika. - Mama nauczyła mnie jak należy.

Potem Ford relacjonował Cilli rozmowę z dziadkiem, siedząc z piwem pod niebieskim parasolem:

- Niewiele się dowiedziałem. Wszyscy mieli tę samą nauczycielkę w osobie wymagającej pani Macey. Mnóstwo ludzi z pokolenia Morrowa i tych, którzy zjawili się później, uczyło się pisać pod jej kierunkiem. Przyjaźnił się z Hennessym, przynajmniej do chwili, kiedy rzucił jego siostrę dla bogatej i zarozumiałej Jane. To dzięki niemu powstała firma Keystone Plumbing i inne też. Może prowadził, ale niekoniecznie, jakieś niejasne interesy i miał jakieś tajemne romanse, co nie pozwalało mu startować w wyborach na gubernatora. Miał wysoko postawionych przyjaciół i, można powiedzieć, windował swoich.

Za sprawą tych powiązań niektórzy z nich poznali twoją babkę, no i mógł się z tego zrodzić jakiś romans.

- Te wszystkie znajomości i powiązania nie wyglądają inaczej niż w Hollywood. - Albo gdzie indziej - dodała w myślach Cilla. - Buddy pracował tutaj, kiedy miał trzydzieści lat? Raczej trudno sobie wyobrazić Janet tarzającą się w miłosnym uścisku z jakimś hydraulikiem, zwłaszcza naszym Buddym. Mimo wszystko był tylko o kilka lat młodszy od niej.

- A możesz sobie wyobrazić Buddy'ego, który pisze rzeczy w rodzaju: „Składam me serce i mą duszę w twoje cudowne dłonie”?

- Raczej nie. Jest więcej związków łączących dzień wczorajszy z dzisiejszym, niż sobie to uświadamiałam. Być może nigdy się nie dowiem, czy prócz tego domu istnieje jeszcze jakieś ogniwo. Odkrywanie prawdy idzie nam dość opornie, mogę się więc nigdy nie zorientować, w jaki sposób to, co się tu dzieje, wiąże się z przeszłością.

- Dom Hennessy'ego jest na sprzedaż. - Ford położył dłoń na jej rękach. - Przejeżdżałem tamtędy, wracając od dziadka.

Okna są zasłonięte, na podjeździe nie ma żadnego samochodu.

Na podwórzu stoi nowa tablica.

- Gdzie ona jest? Pani Hennessy?

- Nie wiem, Cilla.

- Może był to ostatni akord, jeśli jest odpowiedzialna za to, co stało się dziś rano. Coś w rodzaju: „Pieprz się i koniec”.

Ford nie był przekonany. Rysunki nie pasowały do siebie, a widniejące na nich obrazy nie wydawały się prawdziwe. Pomyślał, że będzie musiał je przestawiać, zmieniać, dopasowywać pod względem wielkości, aż pojawi się nie tylko obraz, ale cała opowieść.

## ROZDZIAŁ 27

Cilla z ogromną przyjemnością powiesiła pierwszą szafkę w kuchni.

- Dobrze wygląda. - Matt przytaknął, wsunawszy kciuki w kieszenie spodni. - Kolor wiśni będzie współgrał z orzechowym obramowaniem okien.

- Zaczekaj, aż osadzimy drzwi. Są piękne. Warto było na nie czekać. Facet jest prawdziwym artystą.

Przyłożyła poziomnicę i ustawiła szafkę.

- Niezła robota. - Powiódł spojrzeniem wkoło. - Ale zainstalujemy je dzisiaj. Kiedy przywiozą lodówkę i resztę?

- Za trzy tygodnie, może cztery. A może sześć. Wiesz, jak to jest.

- Ten stary sprzęt będzie tu doskonale pasował. - Mrugnął do niej, kiedy zeszła z drabiny. - Tylko niech Buddy ci nie wmówi, że jest inaczej.

- Dam mu jakiś powód do narzekania prócz tego kranu nad piecykiem. - Przesunęła czule dłonią po drugiej szafce. - Powieśmy ją - Jedną chwilę - powiedział Matt, kiedy zadzwoniła jego komórka. Zerknął na wyświetlacz. - Hej, kochanie! Co? Kiedy?

Ton jego głosu, te dwa słowa wypowiedziane niemal jednocześnie, wszystko to sprawiło, że Cilla spojrzała na niego zaciekawiona.

- Tak. Tak. Okej. Już jadę. Josie odeszły wody - wyjaśnił, chowając telefon. - Muszę lecieć.

Chwycił Cillę w pasie i podniósł do góry, uszczęśliwiony.

- A więc takie rzeczy dzieją się tu cały dzień - oznajmiła Angie, wchodząc do pokoju.

Matt tylko wyszczerzył zęby jak idiota.

- Josie rodzi.

- Och! To co ty tu robisz?

- Wychodzę. - Postawił Cillę z powrotem na podłodze. - Zadzwoń do Forda, okej? Przekaze dalej. Przepraszam... - wskazał szafki.

- Nie zwracaj sobie tym głowy. - Cilla zaczęła machać na niego, jakby chcąc go wygonić. - Jazda! Idź po dziecko.

- Mamy dziewczynkę. Dziś będę miał córkę. - Chwycił Angie, zmierzając do drzwi, przechylił ją, pocałował, potem podniósł, puścił i wybiegł z pokoju.

- Boże, zjawiłam się w samą porę. - Angie dotknęła ze śmiechem ust. - Dobrze całuje. O rany, co za dzień! Muszę zadzwonić do Suzanny, młodszej siostry Josie. Jesteśmy przyjaciółkami.



O rany, ale tu niesamowicie!

- Roboty się posuwają. Rozejrzyj się, jeśli chcesz. Muszę zadzwonić do Forda.

Kiedy Cilla dzwoniła, Angie obejrzała kuchnię i składzik.

- Mężczyźni są dziwni - zauważyła Cilla, mocując komórkę przy pasku. - Powiedział: „Świetnie. Do zobaczenia”.

- Małomówny.

- Nie zawsze.

- No cóż, ja nie będę małomówna i powiem, że wszystko to wygląda wspaniale. - Angie rozłożyła ramiona. - Absolutnie zdumiewająco. I skąd, u licha, wiesz, gdzie powiesić te szafki?

- Dzięki schematowi.

- Tak, ale najpierw musiałaś go przygotować. Wierz mi, mam problemy, kiedy muszę przesunąć łóżko z jednego końca pokoju na drugi i zastanowić się, gdzie postawić szafkę.

- A ja miałam problemy ze szkołą, nie mówiąc już o tym, że nigdy nie potrafiłabym uczyć, o czym marzysz. Wszyscy robimy to, co umiemy.

- Chyba masz rację. - Angie zasalutowała energicznie. - Szeregowiec McGowan melduje się na służbie.

- Słucham?

- Jestem tu, żeby malować. Mogłabym ci pomóc wieszać te szafki, skoro Matt jest zajęty gdzie indziej. Ale chyba bardziej docenisz moje umiejętności malarskie niż umiejętności wieszania szafek. A tak przy okazji, jak się je mocuje? - zaczęła się zastanawiać.

- To znaczy, na czym się trzymają? Mniejsza z tym.

wolę posługiwać się pędzlem.

- Angie, naprawdę nie musisz...

- Chcę. Tata powiedział, że skończyli zeskrobywać starą farbę od frontu i na dwóch ścianach i że dzisiaj zajmą się tyłem.

I że gdyby ktoś zgłosił się do pomocy, to moglibyśmy położyć podkład na tym, co zostało już oczyszczone. Mam wolny dzień. Więc mogę pomóc. - Podciągnęła nogawkę bufiastych spodni malarskich. - Spójrz. Jestem odpowiednio ubrana.

- To urocze, ale nie chcę, żebyś czuła się w jakikolwiek sposób zobowiązana.

Wyraz żartobliwości na twarzy Angie zniknął pod maską powagi.

- Czy kiedykolwiek myślisz o mnie jak o siostrze?

- Myślę. - Cilla pogrzebała w kieszeni i wyjęła poziomnicę. - Oczywiście, że tak. To znaczy... jesteśmy siostrami.

- Jeśli mówisz prawdę, to powiem tylko: zamknij się i pokaż mi, gdzie jest farba. -  
Uśmiechnęła się chytrze. - Albo tata się dowie, że jesteś dla mnie wredna.

Cilla walczyła z rozbawieniem, ale odczuwała też dziwną powagę.

- Jesteś taka jak on. To znaczy ten, który uczynił nas siostrami.

- Mam tylko jego dobre cechy. Ty natomiast...

- Farba jest w stodole. Chodźmy tędy. - Cilla otworzyła tylne drzwi. - Może nie podoba mi się, że moja siostra jest młodsza ode mnie i ma małe, piękne ciało cheerleaderki.

- Może nie podoba mi się, że moja siostra ma nogi do samej ziemi i kilometry doskonałych włosów. Aleja mam lepszy tyłek.

- Nie masz. Mój tyłek jest słynny.

- Tak, dość się go napokazywałaś w *Terrorze nad głębokim jeziorem*.

- Nie pokazywałam go w tym filmie. Nosłam bikini. - Powstrzymując śmiech, zatrzymała się, żeby wyjąć klucze, i zerknęła na dom. - Och, do diabła!

Angie odwróciła się i otworzyła usta na widok ojca, który stał na rusztowaniu na wysokości drugiego piętra, zdrapując starą farbę ze ściany.

- Tato! Natychmiast zejź na dół! - krzyknęły jednocześnie.

Gavin rozejrzał się wokoło, potem spojrział w dół, wreszcie pomachał im wesoło.

- Mówiłam mu, żeby tam nie włąził. Żadnego rusztowania, żadnych drabin.

- Nie słucha, jak coś sobie postanowi. Uduje, że słucha, a potem i tak robi, co chce. To bezpieczne? - spytała Angie, chwytając Cillę za ramię. - Chodzi mi o to, czy rusztowanie się nie zawali albo nie przewróci.

- Nie. Ale...

- W takim razie nie patrzmy. Chodź, weźmiemy farbę. Ja stanę od frontu, ty wejdiesz do środka. Tak, żebyśmy go nie widziały na tym rusztowaniu. I nigdy, przenigdy nie powiemy o tym mojej matce.

- Okej.

Cilla odwróciła się z namysłem, po czym wsunęła klucz do kłódki.

Olivia Rose Brewster przyszła na świat o 2.25 rano.

- Matt jest wniebowzięty - powiedział Ford Cilli, kiedy jechali do szpitala. - Rozdaje wszystkim gumę do żucia w kształcie cygar i uśmiecha się przy tym głupkowato. Dzieciak jest fajny, ma czarne włosy. Ethan był łysy jak mój wuj Edgar, ale dziewczynka ma niezłą czuprynę.

- Wujek Ford też wygląda na zadowolonego.

- To frajda. Cholerna frajda. Josie wyglądała na wypompowaną, kiedy ją zobaczyłem

tuż po wszystkim.

- A to ci niespodzianka! Uważasz, że jak wypchnęła z siebie cztery i pół kilo, to od razu powinna wyglądać niczym modelka przed sesją zdjęciową...

- No dobra, dobra. Nie potrzebuję szczegółów. - Wyszukał wolne miejsce na parkingu szpitalnym. - Rozmawiałem z Mattem, kiedy sprzątałaś u siebie. Mówi, że oboje czują się świetnie.

- Miło tu wrócić, kiedy wydarzyło się coś szczęśliwego - powiedziała, zerkając ku wejściu na oddział nagłych wypadków.

- Rozmawiałaś z Shanną po jej powrocie?

- Nie.

- Wróciła zachwycona. - Ford wziął Cillę za rękę, kiedy ruszyli przez parking. - Mówi, że Steve wygląda dobrze. Nabiera ciała i zapuszcza włosy w stylu, jak to określiła, rzymskiego gladiatora. Podpiera się laską tylko wtedy, kiedy jest zmęczony.

Ford pchnął ciężkie szklane drzwi.

- Przesyłam mu e - mailem zdjęcia domu. Muszę jeszcze sfotografować szafki kuchenne. O, sklep z upominkami. Prezenty dla mamy i dziecka.

- Zniosłem już jej kwiaty - zaproponował Ford. - I wielkiego różowego pluszaka.

- Cztery i pół kilo...

- Dobra, sklep z upominkami.

Obładowani kwiatami, balonikami, pluszową owieczką z pozytywką i plikiem książeczek do kolorowania dla nowego wielkiego brata, wkroczyli na salę, gdzie leżała szczęśliwa matka.

Josie siedziała na łóżku, trzymając w ramionach dziecko, które na ciemnych włoskach miało jasnoróżowy czepek. Obok stała młodsza siostra Josie, szczebiocząc nad maleńkim białym zawiniątkiem, podczas gdy Brian odwijiał kolejne cygaro, a Matt pstrykał żonie i dziecku zdjęcia.

- O, następni goście! - rozpromieniła się Josie. - Cilla, minęłaś się właśnie z tatą i Patty.

- Przyszłam zobaczyć się z kimś innym. - Nachyliła się nad łóżkiem. - Cześć, Olivia. Jest piękna, Josie. Wspaniale się spisałaś.

- Hej, ma moją brodę i nos - wtrącił Matt.

- I twoje wielkie usta. Chcesz ją potrzymać, Cilla?

- Już myślałam, że nigdy nie spytasz. Handel wymienny. - Położyła na łóżku owieczkę i wzięła dziecko. - Aleś ty ładna!

Jak się czujesz, Josie?

- Dobrze. Naprawdę dobrze. Tylko siedem i pół godziny krwi, potu i łez. Przy Ethanie trwało to dwa razy dłużej.

- Mam tu coś dla wielkiego brata - oznajmił Ford, kładąc w nogach łóżka książeczkę do kolorowania.

- Och, to miłe! Moi rodzice wzięli go do domu na obiad.

Sprawia wrażenie takiego dorosłego i mężnego. Nie mogę... Och, znów te hormony - wymamrotała przez łzy.

- Pełna chata! - oznajmiła Cathy, wkraczając do sali z bukietem róż oraz kwiatów polnych i w towarzystwie Toma. - Pokażcie mi to piękne dziecko.

Cilla obróciła się w jej stronę.

- Och, cóż za wspaniałe włosy! Tom, popatrz tylko na to cudowne maleństwo.

- Śliczna jak obrazek. - Tom położył wiązanki pośród istnego ogrodu kwiecica, a potem trącił Briana w ramię. - Kiedy zabierzesz się do roboty, żeby i nas obdarzyć takim maluchem? Matt ma nad tobą podwójną przewagę. Ty, Ford, też się za bardzo nie starasz.

- Obiboki - skomentowała Josie i wyciągnęła ramiona po Olivię.

- Mam bardzo wysokie wymagania - oświadczył Brian. - Nie zamierzam się wiązać z kobietą, która nie jest tak doskonała jak mama.

- Sprytnie się wymigujesz - zauważyła Cathy, ale promieniała zadowoleniem, całując Briana w policzek. Potem się odwróciła i ucałowała Matta. - Gratulacje.

- Dzięki. Myśleliśmy, że mamy jeszcze tydzień. Kiedy Josie zadzwoniła dziś rano, przyszło mi do głowy, że chce mi przypomnieć, żebym przywiózł jej deser lodowy. O smaku karmelowo - kokosowym. Zjadała tego całe góry.

- Nie mogłam się powstrzymać! - powiedziała Josie ze śmiechem.

- W moim przypadku to były cukierki orzechowe. Kilogramy. Mam szczęście, że zostały mi zęby.

- Upłynie prawdopodobnie bardzo dużo czasu, zanim znów spojrzę na kokosa. - Josie pogłaskała Olivię po policzku. - Dzięki Bogu, że nie trwało to jeszcze tydzień.

- I teraz będziesz mogła popisywać się dzieckiem na przyjęciu Cilli. Wszyscy czekamy na nie z niecierpliwością - dodała Cathy. - Możesz chyba powiedzieć, Cilla, że dom to też twoje dziecko.

- Bez różowego misia i białej sukienki - zgodziła się Cilla.

Matt rozdał kolejne cygara.

- Musiałem się wykić od roboty. Właśnie zaczęliśmy wieszać szafki kuchenne. Jak

idzie?

- Trzeba tylko zainstalować wyspę, osadzić drzwi i tak dalej.

Błaty zamocujemy zgodnie z planem.

- Zamierzam zwołać naradę wojenną z Patty i matką Forda.

I jeśli uśmiechniesz się do Toma, to może przyrządzi swoje specjalne żeberka -  
oznajmiła Cathy.

Cilla uśmiechnęła się.

- Co sprawia, że są specjalne?

- Wszystko polega na odpowiednim przyprawieniu - wyjaśnił Tom. - Sekret rodzinny.

- Nawet mnie nie chce go zdradzić. - Cathy się roześmiała.

- Jest przekazywany z pokolenia na pokolenie tylko przez członków rodziny. Wielu  
chciało go odkryć. Nikomu się nie udało. Musimy już iść, Cathy.

- Zaprosiliśmy gości na obiad. Odpoczywaj, Josie. Zajrzę do ciebie i tego cudownego  
dzieciaka jutro.

Pożegnanie trwało jeszcze kilka minut, zwłaszcza że co chwila ktoś się zjawiał. Zanim  
wyszli, Cilla miała w kieszeni cygaro.

- To miłe, że wasi rodzice - twoi, Briana, Matta - tak bardzo się wami interesują. To  
jak solidarność plemienna.

- Byliśmy prawie nierozłączni - oznajmił Ford. - Shanna również. Jej rodzice rozstali  
się jakieś dziesięć lat temu. Oboje zawarli związki małżeńskie i wyprowadzili się stąd.

- Ale pozostali rodzice wciąż są blisko ze swoimi dziećmi.

W trzech przypadkach na cztery. Powyżej średniej krajowej.

Wyglądają na takich szczęśliwych! Chodzi mi o Matta i Josie. Widać to po ich oczach.  
Od jak dawna są małżeństwem?

- Od około sześciu lat, jak sądzę. Ale razem są o wiele dłużej. Słuchaj, jeśli chcesz się  
gdzieś zatrzymać na obiad, to w porządku. - Stukał palcami o kierownicę. - Ale szczerze  
mówiąc, wolałbym pojechać do domu.

- Zgoda. Stało się coś?

- Nie, nic się nie stało.

Z wyjątkiem lekkiego podenerwowania, jak przypuszczał. I naglej, nieuniknionej  
świadomości, że musi zrobić następny krok, zdobyć się na kolejne posunięcie.

Bez względu na to, czy jest gotowy, czy nie. Nadszedł czas.

Nalał dwa kieliszki wina, zaniósł je na werandę, gdzie siedziała Cilla, drapiąc stopą  
Spocka i przyglądając się domowi po drugiej stronie drogi.

- Warstwa podkładu od strony frontowej nie wygląda zbyt stylowo. Ale jest czysto. Dowodzi staranności i określonego zamiaru. Wiesz, Ford, to było dziwne, naprawdę dziwne. To, że pracowałam przy szafkach, wiedząc, że ojciec skrobie na tyłach farbę, a Angie kładzie od frontu podkład. Potem, w porze lunchu, zjawiała się Patty z kanapkami. Zanim zniknęły, trzymała w dłoni pędzel. Nie wiedziałam, co o tym myśleć, jak to rozumieć.

- Rodzina się włącza do odbudowy.

- Właśnie o to chodzi. Dosłownie przez pierwszą połowę mojego życia rodzina stanowiła iluzję. Na planie filmowym.

Jako dziecko śniłam o matce. To były wyraziste, pełne rozmów sny. Ale ona była na planie filmowym, stanowiła część tej iluzji, część Lydii - aktorki, która grała matkę Katie.

- Wydaje mi się to całkiem normalne, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Mój terapeuta powiedział, że to moja podświadomość łączy ze sobą te dwie kobiety, ponieważ rzeczywistość nie przynosi mi szczęścia. Bzdura, to było bardziej skomplikowane. Pragnęłam obu tych światów. Ale to ja w nich byłam, nie Katie. Byłam Cilla.

Katie miała swoją rodzinę. Przez osiem sezonów.

- A Cilla nie miała.

- Miała, innego rodzaju. - Kruchego - pomyślała teraz. - Później oderwałam się od tego. Musiałam. I przyjeżdżając tutaj, znowu się oderwałam. To dziwne - zastanawiać się, jak na tym etapie odzyskać rodzinę.

- Bądź moją.

- Co?

- Bądź moją rodziną. - Położył przed nią pudełko z pierścionkiem. - Wyjdź za mnie.

Przez chwilę nie była zdolna do jakiegokolwiek myśli czy słowa, jakby ktoś uderzył ją nagle w głowę.

- O mój Boże, Ford!

- To nie jest jadowity owad - powiedział, kiedy cofnęła gwałtownie rękę. - Otwórz to.

- Ford...

- Otwórz to, Cilla. Nie powinnaś wkurzać faceta, kiedy się oświadcza. Proszę bardzo, możesz go przyprawić o dreszcz euforii albo zdołować, ale nie wkurzaj go.

Kiedy się zawahała, Spock warknął na nią i trącił jej łydkę łbem.

- Po prostu otwórz.

Zrobiła to i w łagodnym zmierzchu błysnął pierścionek. Niczym sny. Wyraziste, cudowne sny.

- Nieczęsto nosisz biżuterię, ale kiedy już ją wkładasz, to nie po to, żeby się chwalić.

Zyskujesz wtedy na subtelności, klasie. - Znów poczuł ten ucisk w piersi, to bolesne ciśnienie, jak wtedy, gdy rozmawiał z jej ojcem w swojej kuchni. - Pomyślałem więc sobie, że nie będę robił na tobie wrażenia wielkim jak gład kamieniem. Poza tym pracujesz rękami, to też musiałem brać pod uwagę. Zdecydowałem się więc na brylanty, które są osadzone w złocie zamiast sterczeń beczelnie. Moja matka pomogła mi go wybrać kilka dni temu.

Znów poczuła w krtani falę paniki.

- Twoja matka.

- Jest kobietą. To pierwszy pierścionek, jaki kupiłem kobiecie, potrzebowałem więc fachowego wsparcia. Podobał mi się pomysł z trzema kamieniami. Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość. Mamy swoje wczoraj, mamy swoje dzisiaj. Chcę przyszłości z tobą. Kocham cię.

- Jest piękny, Ford. Absolutnie piękny. Jeszcze piękniejszy przez to, co się z nim wiąże. Jestem beznadziejną kandydatką. - Wyciągnęła ręce i ujęła jego dłonie. - Nawet propozycja małżeństwa mrozi mnie do szpiku kości. Nie nadaję się do tego. Przypomnij sobie, o czym przed chwilą rozmawialiśmy. Ty masz dwoje rodziców, każde z nich zawarło tylko raz związek małżeński. Ty wierzysz. Ja mam dwoje rodziców, którzy siedmiokrotnie zawierali związek małżeński. Jak mogę wierzyć?

Dziwne - pomyślał - że to jej zdenerwowanie, jej lęki i wątpliwości pomogły mu pozbyć się tego ucisku w piersi.

- To fikcja, Cilla. To nie ty i nie ja. Kochasz mnie?

- Ford...

- Pytanie nie jest takie trudne. Wystarczy odpowiedzieć: tak lub nie.

- Dla ciebie to proste. Możesz powiedzieć „tak” i będzie to proste. Mogę powiedzieć „tak”. Tak, kocham cię, i jest to niewiarygodnie przerażające. Ludzie kochają, a potem wszystko się rozpada.

- Ludzie kochają i nic się nie dzieje, miłość trwa.

- I to ma być podążanie krętą ścieżką? Czy nie tak to nazwałś?

- Przyspieszyłem kroku. Co nie znaczy, że nie mogę poczekać. - Ford zamknął pudełko i podsunął je Cilli. - Weź to. Zatrzymaj. Pomyśl o tym.

Wpatrywała się w tekturowe opakowanie.

- Myślisz, że się nie oprę i otworzę je, zajrzę do środka. Że ulegnę czarowi.

Uśmiechnął się. Nic dziwnego, że ją kochał.

- Ośmiel się.

Zacisnęła dłonie na pudełku, oddychając wolno, i wsunęła je do kieszeni.

- Jestem byłą aktorką z rodziny trapionej przez alkoholizm, narkotyki i samobójstwa.

Nie mam pojęcia, dlaczego, u licha, mnie pragniesz.

- Widocznie jestem szalony. - Uniósł jej dłoń i pocałował. Ulegając chwili, Spock pocałował ją w kostkę. - Co kilka dni będę pytał tylko: „Więc?”. A ty będziesz wtedy informować mnie o swoim aktualnym nastawieniu.

- Tylko tyle? „Więc”?

- Zgadza się. Poza tym nie zamierzam poruszać tego tematu.

Noś przy sobie pierścionek i myśl o tym. Umowa stoi?

- W porządku - powiedziała po chwili. - W porządku.

Podniósł kieliszek i stuknął się z nią.

- Może zamówimy chińszczyznę?

Spock zaczął radośnie tańczyć u ich stóp.

Nie wiedziała, jak to zrobił, naprawdę nie wiedziała. Ten mężczyzna po prostu się jej oświadczył. Dał jej pierścionek tak idealny dla niej, tak odpowiedni, ponieważ o niej myślał, kiedy go wybierał. O tym, kim i czym była. Jej reakcja, jej niechęć i - bądź szczerza, Cilla, dodała w duchu, przykręcając miedziane uchwyty do szafek kuchennych - jej dławiące przerażenie, wywołane jego propozycją, musiały go zranić.

A jednak, kiedy już powiedział to, co zamierzał, zamówił najspokojniej w świecie krewetki i kurczaka. Jadł tak, jakby nie miał ściśniętego boleśnie żołądka - w przeciwieństwie do niej - a potem zaproponował oglądanie pierwszej serii *Buffy, pogromcy wampirów*.

I w którymś momencie, w trakcie trzeciego odcinka, kiedy już zdołała odprężyć się na tyle, by pomyśleć o czymś innym niż o pierścionku w jej kieszeni, on zaczął ją wolno i delikatnie całować, a potem leniwie i przeciągle pieścić. Zanim otrząsnęła się z mgły rozkoszy, pierścionek był jedyną rzeczą, o jakiej mogła w ogóle myśleć.

Minęło niemal dwanaście godzin, a ona wciąż nie potrafiła zapomnieć o tym przeklętym pierścionku.

Nie wierzyła w małżeństwa. Po prostu. Nawet mieszkanie pod jednym dachem najeżone było pułapkami. Do licha, z trudem przywykła do tego, że ją kocha, że w to uwierzyła. Nie ukończyła jeszcze domu, nie otworzyła interesu. I od miesiący ktoś ją prześladował.

Czy nie miała dość na głowie? Czy nie miała dość do roboty bez pierścionka zaręczynowego, który obciążał jej kieszeń, i bez troski, jaką napawała ją myśl, że Ford może w każdej chwili zadać jej pytanie: „Więc”?

- Hej!

- Cilla!



Usłyszawszy te głosy, zaczęła uderzać rytmicznie głową o drzwi szafki kuchennej. Wspaniale - pomyślała - po prostu wspaniale. Patty i matka Forda. Lukier na jej rozpadające się ciasto.

- Tu jesteś! - rzuciła Patty. - Jak zawsze przy pracy.

Cilla widziała wyraźnie, jak dwie pary oczu skupiły spojrzenie na środkowym palcu jej dłoni. I jak zaszły mgłą niezadowolenia. Wspaniale! Z jej powodu w życiu tych dwóch kobiet w średnim wieku pojawił się smutek.

- Miałyśmy nadzieję, że znajdziesz kilka minut, żeby omówić z nami menu na przyjęcie - zaczęła Patty. - Że zrobimy jakieś zakupy i przechowamy je u siebie, skoro nie masz tu za dużo miejsca.

Miałyście nadzieję na znacznie więcej - pomyślała Cilla.

- Dobra, wyjaśnijmy to od razu. Tak, poprosił mnie o to. Tak, pierścionek jest absolutnie piękny. Nie, nie noszę go na palcu.

Nie mogę.

- Nie pasuje? - spytała Penny.

- Nie wiem. Nie mogę o tym myśleć. Nie mogę. To było z jego strony cholernie sprytne - dodała rozgorączkowana. - Doceniam...

nie, prawdę powiedziawszy, nie doceniam tego, że przyszłyście tu obie, ot tak, ale staram się zrozumieć, dlaczego miałybyście to robić. Już i tak mam dużo na głowie, a on dorzucił jeszcze to. Nie wiem nawet, czy słuchał tego, co mu powiedziałam, czy pojmuje powody, dla których... - Urwała nagle.

Nie słucha - powiedziała Angie o swoim ojcu, jak przypomniała sobie Cilla. Nie wtedy, kiedy chce coś zrobić. Udaje, że słucha, a potem i tak robi, co chce.

- O Boże! Czyż nie jest to wspaniale? On jest jak tata. On jest jak tata, tylko bardziej zwariowany. Solidny, cierpliwy, draży i draży, aż w końcu człowiek sobie uświadamia, że jest wobec niego całkowicie bezbronny. To taki typ - oświadczyła.

- Nie kochasz się w typie, tylko w mężczyźnie - skorygowała Penny. - Albo się nie kochasz.

Matka Forda - upomniała się w myślach Cilla. Ostrożnie.

- Kocham go dostatecznie mocno, by dać mu czas. By mógł rozważyć wszystkie powody, dla których nic z tego nie będzie.

Nie chcę go zranić.

- Oczywiście, że go zranisz. A on zrani ciebie. Tak to jest.

kiedy człowiek z kimś się wiąże. Nie chciałabym mężczyzny, którego nie mogłabym

zranić. I na pewno nie poślubiłam takiego, który nie mógłby zranić mnie.

Zbita z tropu, Cilla patrzyła na Penny.

- To dla mnie bez sensu.

- Kiedy już dostrzeżesz w tym sens, to będziesz gotowa sprawdzić, czy pierścionek pasuje. Myślę, że twoje szafki są piękne, sama mam na takie chrapkę. Może gdzieś usiądziemy i pogadamy kilka minut o menu. Potem znikniemy ci z oczu.

Cilla westchnęła.

- Może nie jest ostatecznie w typie ojca. Może jest w twoim typie.

- Nie, na pewno. Zawsze byłam od Forda doskonalsza.

Usiądźmy tam. - Penny wskazała okno. - Pod niebieskim parasolem.

Kiedy Penny ruszyła w stronę werandy, Patty przysunęła się do Cilli i objęła ją w talii.

- Kocha swojego chłopca. Chce, żeby był szczęśliwy.

- Wiem. Ja też.

Cilla zastanawiała się, czy nie powinna sporządzić stosownej listy. Powody przemawiające za wyjęciem pierścionka z pudełka i przeciw. Zawsze, we wszystkich innych dziedzinach życia, polegała na listach, wykresach, schematach. Uważała, że to mądre - przygotować listę przed podjęciem tak ważnej decyzji.

Lista z nagłówkiem „przeciw” nie nastroczałaby większych trudności - uznała, nakładając sobie do miseczki dietetycznych płatków śniadaniowych, by wzmocnić się po porannej porcji ćwiczeń i przed całym dniem pracy. Mogłaby prawdopodobnie zapełnić całą stronę tymi powodami. Na dobrą sprawę - napisać całą pieprzoną książkę o kobietach z rodu Hardyach, tak jak zrobiło to tylu innych.

Musiała szczerze przyznać, że jest kilka powodów „za”. Ale czy nie wynikały one głównie, a nawet wyłącznie, z uczuć? I czy uczucia nie były przesycone niepokojem, ponieważ czekała - wiedząc o tym cholernie dobrze - aż podejdzie do niej, co mogło się zdarzyć w każdej chwili, i spyta: „Więc?”?

Czego nie zrobił jeszcze ani razu.

Dlatego drgnęła gwałtownie, niemal przewracając miseczkę z płatkami, kiedy wszedł do kuchni.

- Kofeina na ciebie działa, że tak reagujesz? - spytał i nasypał sobie płatków na słodko. Spock od razu przystąpił do jedzenia. - Jak ty możesz to jeść? Wygląda jak suche wióry.

- W przeciwieństwie do twojego śniadania, czyli samego cukru?

- Właśnie.

Nie tylko zerwał się o szóstej rano - pomyślała - ale był pełen życia i wigoru. Wiedziała, że siedział do późna. Wstał jednak, ubrał się i zjadł słodzone płatki, ponieważ uparł się, że odprowadzi ją na drugą stronę drogi i poczeka, aż zjawią się ekipy.

Czy byłby to powód za czy przeciw?

- Wiesz, że nikt mnie nie zaatakuje na drodze o wpół do siódmej rano.

- Rzeczywiście, mało prawdopodobne. - Uśmiechnął się i jadał dalej.

- Wiem, że pracowałeś do późna i że to nietypowe dla ciebie wstawać o takiej porze.

- Nieźle mi poszło. Wiesz, okazuje się, że mogę zrobić znacznie więcej do południa, kiedy zrywam się wcześniej. Nawyk, którego się pozbędę w niedalekiej przyszłości, jak mam nadzieję.

Ale w tej chwili... - urwał, żeby nabrać sobie jeszcze płatków - to działa. Do końca dnia powinienem mieć ukończonych dziesięć rozdziałów i dość czasu, żeby wrzucić kilka gotowych rysunków na swoją stronę internetową.

- Chętnie bym ci pomogła, ale...

- Zawsze jesteś nastawiona negatywnie. Lubię to w tobie, ponieważ skłania mnie do szukania pozytywów - tych, których mógłbym nie zauważyć albo uznać za coś zwyczajnego. Przypominasz mi, że kocham to, co robię. A skoro to kocham, jest ciekawiej poświęcić temu więcej czasu niż zwykle. I żeby wynagrodzić nam obojgu wysiłek, zabieram cię na Kajmany - moje ulubione miejsce - mniej więcej w środku stycznia; popatrzymy sobie na morze i piasek, podczas gdy nasi sąsiedzi będą w tym czasie odgarniać śnieg.

- Będę remontowała dwa domy...

- Musisz znaleźć wolną chwilę w swoim harmonogramie.

Zawsze możemy przesunąć morze i piasek na luty. Jestem ustępliwy.

- Tylko udajesz. - Otworzyła zmywarkę, żeby włożyć do niej miseczkę, łyżkę i kubek.

- Jesteś jak kapiąca woda, Ford.

Jego oczy nie przestawały się uśmiechać, kiedy nabierał na łyżkę płatki.

- Naprawdę?

- Jak kapiąca uparcie i niewidocznie woda, która w końcu przeniknie wszystko. Kamień, metal, drewno. Nie robi hałasu i nie tryska jak strumień. Ale robi swoje.

Potrząsnął wymownie łyżką w jej kierunku.

- Traktuję to jako komplement. Błaty szafek przywożą dzisiaj, prawda?

- Dziś rano. Po południu Buddy weźmie się do hydrauliki. Włożył swoje naczynia do zmywarki.

- Wielki dzień. Zaczynamy. Jazda! - powiedział, podnosząc głos, a Spock zakręcił się

w kółko.

Wyszła z nimi przed dom i przystanęła, żeby popatrzeć na Małą Farmę. Nad ziemią w bujnej zieleni zastygło lato. Spojrzała na wielką czerwoną stodołę, jej proste i wyraziste linie, które kontrastowały ciekawie z kamiennym murem i roślinnością.

Widziała fragment stawu, nad którym wciąż wznosiła się poranna mgiełka, i pełne wdzięku pochylenie młodej wierzby, zanurzającej w wodzie gałęzie. Widziała pola porośnięte ostem i nawłocią oraz góry ciągnące się na tle nieba.

I dom, główny punkt, bezładny na pierwszy rzut oka, ale krzepki, z frontową ścianą pomalowaną na ciepły i pełen powagi niebieski kolor.

- Cieszę się, że ojciec namówił mnie na malowanie domu od zewnątrz już teraz. Nie miałam pojęcia, że sprawi mi to tyle satysfakcji. Kiedy malowanie dobiegnie końca, dom będzie wyglądał jak porządna aktorka starej daty po face liftingu. - Roześmiała się, wyraźnie ożywiona, i wzięła go za rękę. - Który pozwoli jej zachować godność i własny styl.

- Myślę, że porównanie jest trafne, biorąc pod uwagę całe to cięcie i zszywanie, którego dom dotychczas wymagał. Ale nie całkiem je rozumiem.

- To tylko sposób na utrzymanie formy.

Niemal poczuła jego niepokój.

- Nigdy byś chyba nie...

- Kto wie? - Wzruszyła ramionami. - Jestem dostatecznie próżna, żeby pozostawić rzeczy takimi, jakimi są, albo je trochę podnieść, kiedy opadną. Moja matka przeszła już dwa takie zabiegi. Prócz paru innych. - Rozbawiona przerażeniem w jego oczach, trąciła go w żebra. - Wielu mężczyzn też się temu poddaje.

- Nic z tego. Nie ma mowy. Wysyłasz jakąś korespondencję? - Wskazał głową skrzynkę na listy z podniesioną czerwoną chorągiewką - sygnałem dla listonosza.

- Nie. Zabawne. Nie chowałam tam niczego po wczorajszym dostarczeniu poczty. Może któryś z chłopaków chciał coś wysłać.

- Albo ktoś wsadził do skrzynki coś dla ciebie. Nie powinien tego robić. Listonosz tego nie lubi.

Podszedł do skrzynki i sięgnął do drzwiczek.

- Zaczekaj! Nie rób tego! - Chwyliła go za dłoń, czując, jak serce podchodzi jej do gardła. Spock zadrżał i zawarczał na dźwięk jej głosu. - Grzechotnik w skrzynce na listy. Wiesz, coś niespodziewanego, jak paskudna, groźna niespodzianka.

- Wiem, co to jest. Też oglądałem *Zagubionych*. No cóż...

odsuń się trochę.

- Poczekaj, aż...

Ale on nie zamierzał czekać. Stał między skrzynką i Cillą, a potem otworzył gwałtownym ruchem drzwiczki.

W środku nie czaił się zwinięty, syczący wąż. Nie wynurzył się ze środka i nie zsunął po słupku. Siedziała tam tylko lalka, ręce miała uniesione, jak w obronnym geście. Jasnoniebieskie oczy były otwarte, a na młodziutkiej twarzy Katie - Cilli zastygł uśmiech. Pocisk pozostawił w czole małą, osmaloną na brzegach dziurę.

## ROZDZIAŁ 28

Dość - zdecydował Ford. Policjanci mieli lalkę; zamierzali wszcząć śledztwo. I jak dotąd nie byli w stanie zapobiec groźbom pod adresem Cilli.

To nie były głupie żarty, to nie było prześladowanie. To były groźby.

Pobranie odcisków palców z lalki i skrzynki na listy, zadawanie pytań, nawet określenie - jeśli zdołaliby to zrobić - kalibru broni, jaką się posłużono, nie rozwiązywało problemu. Nie sprawiłoby, że na twarzy Cilli nie pojawiłoby się następnym razem przerażenie.

Wszyscy wiedzieli, że ten następny raz się zdarzy. A następnym razem, czyli kiedykolwiek, zamiast lalki mogła być Cilla. Tak, dość, a nawet więcej niż dość.

Zajechał pod dom Hennessych. Od czegoś trzeba zacząć - pomyślał. I może tu trzeba skończyć. Podeszedł do drzwi i zapukał.

- Traci pan czas. - Przy ogrodzeniu z prętów, oddzielającym dom Hennessych od sąsiedniej posesji, stanęła jakaś kobieta w wielkim słomianym kapeluszu ogrodowym. - Nikogo tam nie ma.

- Wie pani, gdzie są?

- Wszyscy wiedzą, gdzie jest Hennessy. Za kratkami. - Postukała się w skroń pod rondem kapelusza, a potem zakreśliła palcem kółko. - Próbował dwa miesiące temu zabić kobietę na Meadowbrook Road. Wnuczkę Janet Hardy, tę, która grała małą dziewczynkę w tym serialu telewizyjnym. Jeśli pan chce z nim pogadać, to musi się wybrać do Central State Hospital, w Petersburgu.

- A pani Hennessy?

- Nie widziałam jej od dwóch tygodni. Chce się pozbyć domu, jak pan widzi. - Wskazała tablicę z ofertą sprzedaży, po czym wsunęła mały sekator do kieszonki przy pasku.

Ford domyślił się, że kobieta szykuje się do pogawędki przez płot.

- Miała ciężkie życie. Jej chłopak został kaleką, kiedy był jeszcze bardzo młody. Umarł rok temu czy coś koło tego. Ten jej mąż nie miał tu dla nikogo dobrego słowa. Wrzeszczał albo wygrażał dzieciakom, bo bawiły się za głośno, albo mówił ludziom, żeby pilnowali swojego interesu, kiedy proponowali pomoc. Ja odeszłabym od niego po śmierci chłopaka, ale ona została. Możliwe, że się otrząsnęła, jak go zamknęli, ale bardziej prawdopodobne, że pojechała do Petersburga. Nie wiem, czy ktokolwiek już oglądał ten dom. Mam nadzieję, że kupi go ktoś, kto wie, jak żyć po sąsiedzku.

Do Petersburga kawał drogi - pomyślał Ford.

- Chyba zauważyłaby pani, gdyby się wyprowadziła. Wie pani, bagaże, meble...

- Może i tak, gdybym akurat była w domu. - Przyjrzała mu się nieco twardszym wzrokiem spod szerokiego ronda. - Nie jest pan z nimi spokrewniony, prawda?

- Nie, proszę pani.

- No cóż, mogę panu powiedzieć, że od kilku dni nie widziałam jej, nie słyszałam też, żeby ktoś tam był. Zaczęłam podlewać kwiaty, które tam posadziła. Nie mogę patrzeć, jak coś umiera z powodu zaniedbania.

Cilla próbowała posłuchać rady Forda i szukać jakiejś pozytywnej strony. Na przykład takiej, że lalka w skrzynce na listy nie wyrządziła szkody na posesji. Nie kosztowała jej nic prócz czasu i stresu.

Jaśniejszą stroną mogło być też to, że policja potraktowała całą sprawę bardzo poważnie. Faktem jest, że jak dotąd nie mieli szczęścia i nie ustalili, skąd pochodziła którakolwiek z lalek; trudno się było dziwić, skoro sprzedawano je regularnie przez Internet albo w sklepach z używanymi rzeczami. Mogły nawet być zabrane z czyjejś prywatnej kolekcji. Ale myśl, że policja robi to, co do niej należało, przynosiła jakąś ulgę i pociechę.

No i ekipa była wkurzona z powodu tego, co się stało. Już samo to, że ludzie wyrażali oburzenie i spieszyli ze wsparciem, też należało uznać za plus.

Nowe blaty szafek i osłony nad zlew także okazały się strzałem w dziesiątkę i pomogły obniżyć znacznie poziom jej stresu. Smugi i plamki ciepłego złota, kropki bieli i czerni na tle głęboko czekoladowego brązu uwydatniały odcień szafek. A miedziane garnki i patelnie... Jezu, po prostu przyciągały oko! I miała rację, absolutną rację, upierając się przy zaokrąglonych brzegach. Nadawały szafkom odpowiedni szlif i elegancję.

Cilla przesunęła dłonią po wyspie jak po nagim i ciepłym ciele kochanka i niemal zamruczała jak zadowolony kot.

- Cholernie ciemno, zwłaszcza z tymi miedzianymi rondlami.

Cilla tylko się obejrzała, przechyliła głowę i przemówiła tonem, jakim się zwykle mówi do niegrzecznego chłopczyka:

- Buddy.

Drgnęły mu usta; nie zapanował nad uśmiechem.

- Chyba wygląda w porządku. Szafki są niezłe, tak czy owak.

Masz ich tutaj mnóstwo, ale tych kilka szklanych frontów wprowadza trochę urozmaicenia. No dobra, pomogę ci zamontować zlewy. A jutro, jak już umocują rury, zainstalują zmywarę i krany. Nie mam pojęcia, po co komu miedziane krany.

- Mam świra na tym punkcie.

- I to niezłego. Pomożesz mi przy tych zlewach czy będziesz tak stać i gapić się jak kot, który zżera kanarka?

Kiedy montowali na próbę pierwszy zlew, Buddy gwizdał przez zęby. Po kilku taktach Cilla zaczęła mu nucić do wtóru.

- *Dam sobie radę* - powiedziała. - Popisowy numer mojej babki - Przypuszczam, że człowiek myśli o niej siłą rzeczy, kiedy tu jest. Założyłaś zacisk?

- Tak.

- Dobra, sprawdźmy, czy wszystko pasuje. Już drugi raz zakładam tu zlew.

- Naprawdę?

- Montowałem dla twojej babki ten, który wymieniasz. Chyba ze czterdzieści, może nawet czterdzieści pięć lat temu. Już najwyższy czas na nowy. No dobra, dobra - mamrotał. - Pasuje. W porządku. - Zaznaczył miejsce na zaciski montażowe. - Podnosimy.

Cilla chwyciła za brzeg zlewu.

- Sporo mieliście tu roboty, ty i ojciec.

- I wciąż mam jej sporo.

- Dużo pracowałeś dla Andrew Morrowa.

- Zgadza się. Robiliśmy całą hydraulikę dla Skyline Development. Trzydzieści trzy domy - powiedział, sięgając po wiertarkę. - Opłaciło się, mogłem kupić jeden z nich. W październiku minie trzydzieści siedem lat, jak tam mieszkam. Wielu ludzi załatwiło sobie domy dzięki temu facetowi. Prawie we wszystkich instalowałem kible.

Po zamontowaniu obu zlewów Cilla wyszła na zewnątrz, żeby poszukać ojca. Zdołała utrzymać go tego ranka z dala od rusztowania, namawiając podstępnie, by „wyświadczył jej przysługę” i pomalował okiennice.

Wydawało się, że bawi się równie dobrze, rozpylając po drewnie farbę w spreju, jak i pracując na wysokości drugiego piętra.

- Chcesz zrobić sobie przerwę? - spytała i podała mu butelkę wody.

- Jasne. - Pogłaskał japo ramieniu. - Jak się czujesz?

- Lepiej, zwłaszcza kiedy wzięłam się do roboty. A jeszcze lepiej, kiedy stałam i gapiłam się na swoje szafki z wielkim, niemądrym uśmiechem na twarzy. Coś mi przyszło do głowy, kiedy montowałam zlewy z Buddym. Kiedyś pracował tu z ojcem. Tak jak Dobby. Zastanawiam się, kto jeszcze - wiesz, z ludzi, których najęłam albo nie, lub którzy są już na emeryturze - mógł robić coś tutaj za czasów Janet. Może jest wkurzony, że przebudowuję dom. Nie wydaje się to bardziej nieprawdopodobne niż historia z Hennessym, który próbował mnie staranować za to, co się wydarzyło, zanim przyszedłam na świat.



- Musiałbym pomyśleć. Byłem nastolatkiem, Cilla. Nie powiem, żebym wtedy zwracał na to uwagę. - Zdjął kapelusz i przesunął dłonią po włosach. - Byli tu oczywiście ogrodnicy. Teren wokół domu wyglądał naprawdę wspaniale. Spytam Charliego, kto się tym zajmował. Pamiętam, że miała dozorców, jak byś dzisiaj powiedziała. Małżeństwo, które doglądało wszystkiego, kiedy jej tu nie było, to znaczy bardzo często. Otwierali dom, kiedy miała przyjechać, i tak dalej. Pan i pani Jorganson. Oboje od dawna już nie żyją.

- A stolarka, elektryka, malowanie?

- Może Carl Kroger. Złota rączka, miał tu mnóstwo roboty.

Spytam o to, ale wiem, że kilka lat temu przeszedł na emeryturę.

Może wyjechał na Florydę. Pamiętam go tylko dlatego, że chodziłem do szkoły z jego córką i że w końcu uczyłem jej córkę.

Nie bardzo rozumiem, dlaczego Mary Beth Kroger - teraz nazywa się Marks - miałaby ci sprawiać takie kłopoty.

- To pewnie głupi pomysł. Kolejna teoria, której się chwytam.

- Posłuchaj, Cilla, nie chcę ci mieszać w głowie ani martwić cię jeszcze bardziej, ale czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że ten, kto za tym wszystkim stoi, ma żal osobiście do ciebie. Do ciebie, nie do wnuczki Janet Hardy?

- O co? Jestem byłą gwiazdką, słabą aktorką, która nagrała kilka średnio udanych płyt. Jedyne, co mnie łączy z tą okolicą, to ona i ty. Kiedy tu przyjechałam, nie znałam nikogo z wyjątkiem ciebie, Patty i Angie. Dosłownie. I szczerze mówiąc, nawet was nie znałam za dobrze. Utopiłam w miejscowej gospodarce kilkaset tysięcy dolarów. Nie bardzo rozumiem, dlaczego miałoby to kogoś wkurzyć.

- Masz rację. Wiem, że masz rację. Wszystko przez te lalki.

To taki bezpośredni cios w ciebie. Coś więcej niż zwykły wandalizm, Cilla. Masakrowanie tych lalek, tego dziecka, którym byłaś, wydaje się o wiele bardziej osobiste niż cała reszta.

Przyglądała mu się uważnie.

- Jesteś tu po to, żeby malować czy mnie pilnować?

- Mogę robić jedno i drugie. Przynajmniej do chwili, kiedy zacznie się rok szkolny. Lato przemija - powiedział, patrząc gdzieś ponad jej ramieniem. - Będzie mi tego brakowało, tej pracy. Zrobiliśmy od czerwca ogromne postępy.

„Zrobiliśmy - ty i ja”. Zrozumiała słowa, których nie wymówił.

- Tak, to prawda. Pomimo wszystko to było najlepsze lato mojego życia.

Ford przyglądał się, jak Cilla zawiesza okiennice frontowe, które pomalował jej

ojciec. W powietrzu unosiła się woń farby, trawy, upału i goździków w wielkim niebieskim wazonie na werandzie.

- Chcę to po prostu skończyć. Nie musisz się tu kręcić.

- Nie kręcę się. Obserwuję. To naprawdę satysfakcjonujące - siedzieć sobie w letnim dniu i patrzeć, jak ktoś inny pracuje.

Obrzuciła go wymownym spojrzeniem, kiedy usiadł w swobodnej pozie.

- Wiesz, mogłabym cię nauczyć, jak się wkręca śruby.

- Po co miałbym się tego uczyć, skoro mam ciebie.

- Zignoruję tę uwagę, ponieważ kupiłeś mi tę ładną donicę.

No i są jeszcze te steki. Obiecałeś przyrządzić je na grillu, który poskładałam.

- Mam kukurydzę i świeżo zerwane z krzaka pomidory.

Urządzimy sobie ucztę.

Sprawdziła zamocowanie okiennicy, przyłożyła poziomnicę, potem zabrała się do następnego okna.

- Zanim przystąpimy do uczy - ciągnął - załatwmy mniej przyjemną sprawę. Wybrałem się dziś rano do domu Hennessych. Nie ma jej tam - dodał, kiedy Cilla odwróciła głowę i spojrzała na niego. - Od dwóch tygodni, jak twierdzi jej sąsiadka.

Podejrzewała, że pani Hennessy pojechała do Petersburga, żeby być bliżej szpitala, gdzie go trzymają. Okazało się to prawdą.

- Skąd wiesz?

- Obdzwoniłem najbardziej prawdopodobne motele i hotele w tamtej okolicy. Wynajęła pokój w Holiday Inn Express.

- Ale z ciebie sprytny detektyw! - zauważyła.

- Nauczyłem Poszukiwacza wszystkiego, co wie. Albo vice versa. Tak czy inaczej zastanawiam się, czy tam nie pojechać, ale to chyba strata czasu. To ponad sto sześćdziesiąt kilometrów w jedną stronę, Cilla. Trudno uwierzyć, żeby wlokła się tak daleko w środku nocy tylko po to, żeby wsadzić do twojej skrzynki na listy cholerną lalkę z przestrzelonym czołem. Jeśli chciała cię dorwać, to po co wyjeżdżałaby tak daleko, skoro mieszka o dwadzieścia minut drogi od ciebie?

Wie, jak wszystko odpowiednio poskładać - uświadomiła sobie Cilla. Niczym rysunki, które tworzą logiczną całość.

- Cholernie mi się nie podoba, że jest tak, jak mówisz, i że wydaje mi się to prawdopodobne. Byłoby znacznie prościej i łatwiej, gdyby chodziło o nią. Jeśli nie mogę w to uwierzyć, to znaczy, że muszę przekonać samą siebie, że chodzi o kogoś innego.

Że ktoś inny mnie nienawidzi. - Przesunęła czapkę na tył głowy, przyglądając się leniwie, jak Spock goni za niewidzialnymi kotami po podwórzu. - Wiesz, spojrzalam dziś rano na Buddy'ego, bo gwizdał jedną z piosenek mojej babki, i pomyślałam sobie: hej, Buddy, czy przypadkiem nie wplątałeś się w szalony, namiętny romans z moją babką pewnej nocy, kiedy zjawileś się, żeby naprawić jakiś ciekący kran? Albo może odrzuciła twoje zaloty w sposób, który sprawił, że zapragnąłeś mnie skrzywdzić? To samo pomyślałam o Dobbym, który jest zbyt stary. Ale ma syna, a ten syn też ma syna. I namieszałam sobie w głowie do tego stopnia, że zaczęłam się zastanawiać, czy przyjacielski Jack nie spędza przypadkiem czasu na strzelaniu w moją plastikową podobiznę, z powodu czegoś - nie wiem czego - co wydarzyło się trzydzieści pięć lat temu. A może ma rację mój ojciec, może ktoś zapalał patologiczną nienawiścią do Katie i teraz chce się zemścić na mnie.

- Twój ojciec tak myśli? Że grozi ci ktoś, kto nienawidzi bohaterki telewizyjnej?

- Nie, niezupełnie. Zasugerował, że ktokolwiek to robi, ma do mnie o coś żal, osobiście. Ale to też nie ma większego sensu. - Westchnęła, upuszczając śrubokręt. - A ponieważ nie ma to sensu, zaczynam się kręcić w kółko, co przyprawia mnie o zawrót głowy i irytację. Jakby tego było mało, za kilka dni zamierzam zaprosić tu kilkadziesiąt osób. I wiem, że będę się zastanawiać, częstując kogoś sałatką ziemniaczaną, czy to właśnie ta osoba. Czy ktoś, kto będzie na mnie patrzył i uśmiechał się, dziękując mi uprzejmie za tę sałatkę, chciałby strzelić mi w głowę.

Wstał i podszedł do niej.

- Może i obrywałem po tyłku regularnie, kiedy byłem małym chłopakiem, ale - jak powiada moja matka - to kształtuje charakter. Charakter, który oznacza, że mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że nikt cię nie skrzywdzi, kiedy ja tu jestem. Uwierz mi.

- Jak dotąd nikt nie chronił mnie przed krzywdą. Dlatego ci wierzę. Czuję się przy tobie bezpieczniej niż z kimkolwiek innym, Ford.

Pocałował ją bardzo delikatnie, cofnął się i spytał:

- Więc?

- O, do diabła! Sama się w to wpakowałam. Dałam ci cholerny pretekst. - Odsunęła się odrobine, podnosząc śrubokręt. - Posłuchaj, to był bardzo długi dzień. Nie chcę się tym teraz zajmować.

Ujął japo prostu pod brodę, uniósł jej głowę i popatrzył prosto w oczy.

- Nie wiem - powiedziała. - Nie wiem. Nie sporządziłam jeszcze listy.

Przesunął kciukiem po jej brodzie.

- Co to za lista?

- Moja lista, wszystkie za i przeciw. I jeśli będziesz naciskał, to ostrzegam, odstawię dziesięciminutowy monolog, w którym wymienię wszystkie przeciw. Te, które już znam, i jeszcze inne.

- A co z „za”? Podaj mi choć jeden argument „za”. - Ujął mocniej jej brodę, kiedy potrząsnęła głową. - Tylko jeden.

- Kochasz mnie. Wiem, że tak jest, wiem, że mówisz poważnie. Ale nie bez powodu mówi się: „umieram z miłości”.

Człowiek zaczyna się miotać, kiedy wypłynie na powierzchnię, i zastanawiać się, co, u licha, tu robi. Szuka ucieczki, a to jest koszmarnie. I nie jest to argument za - powiedziała z naciskiem, kiedy się tylko uśmiechnął i znów pogłaskał ją kciukiem po twarzy. - Jedno z nas musi być praktyczne. A co będzie, jeśli powiem: „Tak, tak, pojedźmy do Vegas” - tak jak zrobiły to przede mną moja babka i matka - i wkroczymy do Kaplicy Miłości? Co...

- Powiedziałbym: „Pakuj się, a ja zarezerwuję lot”.

- Och, nie bądź śmieszny. - Bez powodzenia siliła się na irytację. - Wcale nie chcesz jakiegoś tandetnego ślubu w Vegas.

Traktujesz to poważnie. Traktujesz poważnie przyjaźń, swoją pracę, swoją rodzinę. Traktujesz poważnie *Gwiezdne wojny*.

a twoja głęboka niechęć do Jar Jar Binksa...

- Boże! Daj spokój, każdy, kto...

- Traktujesz to poważnie - ciągnęła, zanim zaczął się rozwodzić o Jar Jar Binksie. - Traktujesz poważnie życie na własnych warunkach i nie zmieniasz tego faktu, że jesteś taki niefrasobliwy.

Dla ciebie ma znaczenie, jaki rodzaj kryptonitu jest groźny dla Supermana.

- Trzeba trzymać się klasycznej zieleni. Mówiłem ci, złoto może trwale pozbawić Kryptonijczyków mocy, ale...

- Ford.

- Przepraszam. Pomińmy ten temat i wróćmy do Vegas.

- Nie jedziemy do Vegas. Boże! Przyprawiasz mnie o zawrót głowy. Nie myślisz w ogóle o jakiegokolwiek praktycznej stronie tego wszystkiego, nie masz poczucia rzeczywistości.

- Sprawdź mnie. Wymień choć jeden praktyczny aspekt sprawy.

- Doskonale. Doskonale. Gdzie będziemy mieszkać? Rzucimy monetą? A może...

- Na Boga, Cilla, będziemy mieszkać tutaj. Tutaj - powtórzył, stukając kłykciami o ścianę domu.

Jego natychmiastowa odpowiedź wyprowadziła ją z równowagi.

- A co z twoim domem? Kochasz go. Jest wspianały. W sam raz dla ciebie, dla twoich potrzeb.

- Tak, w sam raz dla mnie. Nie dla nas. Jasne, kocham swój dom i jest w nim mnóstwo mnie samego. Ale to dom tylko dla mnie i Spocka. - Rozejrzał się i zdążył jeszcze zobaczyć, jak jego pies dopada i niszczy znieawidzonego i niewidzialnego kota. - A Spock jest szczęśliwy w każdym miejscu. Nie dałem temu domowi tyle z siebie, ile ty dałaś swojemu. To jest dom dla ciebie, Cilla. Widziałem, jak go tworzysz. - Teraz on z kolei wziął do ręki śrubokręt. - I nie chodzi tylko o to. To coś więcej niż narzędzia, gwoździe i hektolitry farby, znacznie więcej. To twoje miejsce na ziemi. Chcę, żeby było nasze.

- Ale... - Ale, ale, jej umysł był pełen różnych „ale”. - Co z twoją pracownią?

- Tak, to wspianała przestrzeń. Wymyślisz coś. - Oddał jej śrubokręt. - Rób listy, jakie tylko zechcesz, Cilla. Miłość? To zielony kryptonit. Zwycięża wszystko inne. Idę na tyły przygotować grilla.

Stała oszołomiona ze śrubokrętem w dłoni, gdy zniknął za drzwiami. I pomyślała: Co? Miłość jest kryptonitem? Przyszłoby jej kiedykolwiek coś takiego do głowy?

Jak mogła zrozumieć, a co dopiero poślubić człowieka, którego umysł pracował w ten sposób? Człowieka, który mówił coś takiego, a potem najspokojniej w świecie wychodził, by zająć się grillem? Gdzie się podział jego gniew, niepokój, irytacja? I jeszcze dawał do zrozumienia, że mógłby wyrzec się swojego domu i przeprowadzić do niej, nie zastanawiając się nawet, gdzie będzie pracował. To nie miało najmniejszego sensu. To nie miało żadnego sensu.

Oczywiście, gdyby dobudowała od strony południowej siłownię, tak jak początkowo zamierzała, to mogłaby dołożyć jeszcze jedną kondygnację, łącząc ją z istniejącym budynkiem. Mogłoby to nawet ciekawie wyglądać. Można by zainstalować wąskie, kręcone schody, które w dodatku sprawiłyby jej frajdę. Obydwoje mieliby swoje miejsca do pracy, całkowicie oddzielone, gwarantujące spokój i prywatność. No i strona południowa zapewniałaby doskonale światło. Potem mogłaby...

Boże, przyszło jej nagle do głowy. „Wymyślisz coś” - powiedział przed chwilą. I coś wymyśliła. Coś cholernie dobrego - dodała w duchu - po czym odłożyła śrubokręt i zaczęła krążyć po werandzie. Zniszczywszy przepisową liczbę kotów, Spock zaczął towarzyszyć jej krok w krok.

Coś, co nie tylko by się sprawdziło i skomponowało odpowiednio z budynkiem, jak sobie uświadomiła, ale dodałoby mu nawet uroku. Przełamało linię dachu, zakończyło ją

cudownym małym balkonikiem. Do tego dyskretne drzwi, równe ze ścianą.

Do diabła, do diabła, do diabła! Teraz widziała to oczami wyobraźni. Teraz tego pragnęła.

Zeszła z werandy i ruszyła w stronę południowej strony domu. ze Spockiem, który dreptał uszczęśliwiony za nią. O tak, tak, nie tylko da się to zrobić; wydawało jej się wręcz, że sam dom się o to prosi.

Wsunęła dłonie w kieszenie spodni, a jej palce natrafiły na pudełko z pierścionkiem, który nosiła przy sobie. Kryptonit - pomyślała, wyciągając mały pojemniczek. Na tym właśnie polegał problem, wielki problem. Rozumiała jednak tego mężczyznę. I co było jeszcze bardziej przerażające, wspanialsze, on rozumiał ją.

Ufał jej. Kochał ją. Wierzył w nią.

Kiedy zawędrowała na patio, okazało się, że Ford zdążył już rozpalić grilla. Nieobrane kolby kukurydzy zanurzone były w misce pełnej wody; nie pojmowała, dlaczego. Przyniósł też wino. Powietrze przesycone było wonią róż, groszku i jaśminu, kiedy nalewał jej do kieliszka. Przez konary drzew przenikało słońce i odbijało się od stawu, do którego zawędrował Spock, żeby się napić.

Przez chwilę myślała o luksusie, który tu kiedyś panował, o kolorowych światłach, pięknych ludziach przesuwających się zwiewnie po trawnikach. Potem pomyślała o nim, tylko o nim; stał na kamieniach, które pomagała układać własnymi rękami, i proponował jej kieliszek wina i życie, choć kiedyś wydawało się jej nieosiągalne.

Stała razem z nim, trzymając rękę w kieszeni, i w końcu napiła się wina.

- Mam kilka pytań. Po pierwsze - nie daje mi to spokoju - dlaczego moczysz kukurydzę w wodzie?

- Matka powiedziała, że tak trzeba.

- Okej. A gdybym coś jednak wymyśliła z tą pracownią, to skąd byś wiedział, że właśnie chciałbyś czegoś takiego?

Gdybym nie chciał - odparł bez chwili zastanowienia, jakby rozmawiali już od dłuższej chwili - to wiedziałbym, jak powiedzieć, że tego nie chcę. Nauczyłem się robić to dość wcześnie, z różnym rezultatem. Ale jest duże prawdopodobieństwo, że jeśli mówisz o przebudowie i planach, to zaakceptuję wszystko, co przyjdzie ci do głowy.

- Drugie pytanie. Mogłabym cię zranić?

- Cilla, mogłabyś rozerwać mi serce na krwawe strzępy.

Zrozumiała to, rozumiała, że on mógłby zrobić to samo z nią. I czy nie było to wspaniałe? Czy nie było to cudowne?

- Nie mogłabym zrobić tego Steve'owi ani on mnie. Choć bardzo go kochałam. Choć nadal się Kochamy.

- Cilla...

- Zaczekaj. Jeszcze jedno pytanie. Czy poprosiłeś mnie, żebym nosiła pierścionek przy sobie, bo miałeś nadzieję, że podziała jak kryptonit i skruszy mój opór, aż w końcu zgodzę się wyjść za ciebie?

Przestąpił z nogi na nogę, łyknął wina.

- Nie można tego wykluczyć.

Przytakując, wyjęła rękę z kieszeni i zaczęła się przyglądać migoczącemu pierścionkowi.

- Najwyraźniej działa.

Błysnął uśmiechem, nie kryjąc zadowolenia. Ale kiedy przysunął się do niej, położyła mu dłoń na piersi.

- Zaczekaj.

- Taki miałem właśnie zamiar. Zaczekać.

- Zaraz, zaraz - powiedziała miękko. - Wszystko, co wcześniej mówiłam, jest prawdą. Postanowiłam kiedyś nigdy więcej nie wychodzić za mąż. Po co decydować się na to wszystko jeszcze raz, skoro jest prawie na pewno skazane na porażkę? Poniosłam ją wielokrotnie. Częściowo z własnej winy, częściowo tak się po prostu ułożyło. Małżeństwo wydawało się niepotrzebne, ciężkie, pełne węzłów, których nigdy nie da się do końca rozplatać. Ze Steve'em było łatwo. Przyjaźniliśmy się i wiedzieliśmy, że zawsze tak pozostanie. Choć bardzo go kochałam, nigdy nie było ciężko, nigdy się nie bałam. Nie było żadnego ryzyka dla któregokolwiek z nas. - Poczula w gardle ucisk, który prawie nie pozwalał jej mówić. Ale chciała - musiała - wyrzucić z siebie wszystko. - Z tobą tak nie jest, bo cały czas będziemy się ranić.

Jeśli nam nie wyjdzie, nie będziemy przyjaciółmi. Jeśli nam nie wyjdzie, to będę cię nienawidzić do końca życia.

- Ja będę cię nienawidził jeszcze bardziej.

- Jakim cudem jest to absolutnie najlepsza rzecz, jaką mogłeś powiedzieć? Ale nie pojedziemy do Vegas.

- Okej, choć uważam, że warto by było. Co myślisz o domowych weselach?

- Czuję, że myślałeś o tym cały czas.

- O tobie myślałem cały czas.

Potrząsnęła głową, a potem położyła mu dłonie na policzkach.

- Chciałabym mieć wesele w domu. I chciałabym dzielić ten dom z tobą. Nie rozumiem, jakim cudem coś, co mnie tak przeraża, może dawać mi tyle szczęścia.

Pocałował ją, miękko, tak miękko, a pocałunek trwał w tym wonnym powietrzu, w słońcu przenikającym drzewa.

- Wierzę w nas. - Pocałował ją jeszcze raz i zaczął kołysać się delikatnie, trzymając ją w ramionach. - Jesteś jedyną kobietą, z którą umiem tańczyć.

Wsparała głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy.

*Mała Farma 1973*

- Wierzę w miłość - powiedziała Janet, opierając się o białe jedwabne poduszki na różowej kanapie. - Czy w przeciwnym razie tak często bym jej ulegała? Nigdy nie trwała długo, a moje serce pękało albo się zamykało. Ale nigdy nie przestałam go otwierać na nowo. Raz za razem. Wiesz o tym. Czytałaś wszystkie książki, poznałaś wszystkie historie, wszystkie listy. Masz listy, więc wiesz, że kochałam, do samego końca.

- Nigdy nie przyniosło ci to szczęścia. Takiego, które by trwało. - Siedząc w kucki na podłodze, Cilla przeglądała zdjęcia. - To zrobiono w dniu, kiedy poślubiłaś Frankiego Bennetta. Jesteś tu taka młoda, taka szczęśliwa. A mimo to rozpadło się.

- Chciał bardziej gwiazdy niż kobiety. To była lekcja, której musiałam się nauczyć. Ale dał mi Johnniego. Mojego pięknego chłopca. A teraz Johnnie nie żyje. Straciłam swojego pięknego syna. Minał rok, a ja wciąż czekam, aż wróci do domu. Może teraz też urodzi się chłopiec.

Położyła dłoń na brzuchu, podniosła niską szklaneczkę i potrząsnęła leciutko, grzechocząc lodem w wódce.

- Nie powinnaś pić, kiedy jesteś w ciąży.

Janet wzruszyła obojętnie ramieniem i łyknęła.

- Nie robili wokół tego tyle zamieszania, kiedy ja się rodziłam. Zresztą i tak niedługo będę martwa. Co zamierzasz zrobić z tymi wszystkimi zdjęciami?

- Nie wiem. Wybiorę chyba te, które podobają mi się najbardziej, i każę je oprawić. Chcę powiesić w domu kilka twoich fotografii. Zwłaszcza tych, na których widać farmę. Byłaś tu szczęśliwa.

- Przeżyłam w tym miejscu najlepsze chwile i najbardziej samotne. W tym pokoju dałam Carlosowi - Chavezowi, swojemu trzeciemu mężowi - wymówienie. Kłóciliśmy się na całego, tak namiętnie, że zaczęłam się prawie zastanawiać, czy nie przyjąć go z powrotem. Ale miałam dosyć. Jak on nienawidził tego miejsca! „Janet - mówił tym swoim głosem hiszpańskiego torreadora, którym tak mnie zauroczył - dlaczego musimy mieszkać na takim



pustkowiu? Nawet w promieniu kilku kilometrów nie ma tu przyzwoitej restauracji”. Carlos - dodała, podnosząc szklanę - potrafił się kochać jak król. Ale poza łóżkiem nudził mnie śmiertelnie. Problem polegał na tym, że niewiele czasu spędziliśmy poza sypialnią, zanim się pobraliśmy. Seks to nie powód, żeby brać ślub.

- Ford mnie nigdy nie nudzi. Zrobił ze mnie boginię i wciąż mnie widzi, kiedy na mnie patrzy. Zbyt wielu tych, którzy na ciebie patrzyli, nie widziało cię.

- Sama przestałam się widzieć.

- Ale w listach, tych, które przechowywałaś, ich autor nazywał cię Trudy.

- Ostatnia miłość, ostatnia szansa. Nie mogłam wiedzieć.

Choć jednak, jakąś częścią samej siebie, wiedziałam. Może pragnęłam kochać i być kochaną za to, co straciłam albo czego się wyrzekłam. Przez chwilę znów mogłam być Trudy.

- Przesunęła pieśczośliwie palcami po białej poduszce. - Ale i to było kłamstwem. Nigdy nie mogłam jej odzyskać, a on nigdy jej nie dostrzegł.

- Ostatnia szansa - oznajmiła Cilla, siedząc przed rozłożonymi zdjęciami, u stóp Janet usadowionej na różowej kanapie. - Dlaczego była ostatnią? Straciłaś syna i było to tragiczne i straszne. Ale miałaś córkę, która cię potrzebowała. Nosiałaś dziecko.

Zostawiłaś swoją córkę i to ją prześladowało przez całe życie - i myślę, że prześladowało także mnie. Zostawiłaś ją i zabiłaś dziecko, zabijając siebie. Dlaczego?

Janet łyknęła ze szklaneczki.

- Jeśli cokolwiek możesz dla mnie zrobić, to właśnie odpowiedzieć na to pytanie.

- Jak?

- Masz wszystko, czego ci trzeba. To twój sen, na litość boską! Patrz uważnie.

## ROZDZIAŁ 29

To było szaleństwo. Musiała być szalona, skoro wydawała przyjęcie. Nie miała mebli ani naczyń. Nie dysponowała nawet porządną łyżką do nakładania. Piecyk i lodówkę mieli dostarczyć co najmniej za trzy tygodnie. Nie miała cholernego chodniczka. Brakowało nawet czegokolwiek do siedzenia z wyjątkiem kompletu na patio, dwóch plastikowych krzeseł i kilku pustych wiader. Jej urządzenia kuchenne ograniczały się do grilla, płyty grzewczej i kuchenki mikrofalowej.

Miała zapasy, w to nie wątpiła. Miliony talerzyków papierowych, serwetek, plastikowych filiżanek, widelców i łyżeczek i dostatecznie dużo jedzenia w lodówce Forda - ale nie wiedziała jak je przyrządzić, by nakarmić większość mieszkańców okręgu. Tylko gdzie ludzie mieliby to jeść?

- Na stolikach, które mój ojciec, twój ojciec i Matt przyniosą tutaj - powiedział jej Ford. - Wracaj do łóżka.

- A jeśli będzie padało?

- Nic na to nie wskazuje. Istnieje trzydziestoprocentowe ryzyko gradu i szarańczy i dziesięcioprocentowe trzęsienia ziemi. Cilla, jest szósta rano.

- Powinnam zamarynować kurczaki.

- Teraz?

- Nie. Nie wiem. Muszę sprawdzić swoją listę. Wszystko sobie zapisałam. Powiedziałam, że zrobię sos krabowy. Nie wiem, dlaczego tak zdecydowałam. Nigdy nie robiłam sosu krabowego. Dlaczego go po prostu nie kupiłam? Co próbuję udowodnić? I jest jeszcze sałatka z makaronem. - Usłyszała ton obłędu w swoim głosie, ale nie mogła się powstrzymać. - To też wzięłam na siebie. To, że jadłam sałatkę z makaronem przez wiele lat, nie oznacza, że potrafię ją przyrządzić. Do lekarza też chodzę od lat. I co dalej? Zacznę wykonywać operacje?

Choć była to kusząca myśl, nie naciągnął sobie poduszki na głowę.

- Zamierzasz tak wariować za każdym razem, gdy będziesz urządzić przyjęcie?

- Tak. Zamierzam.

- Dobrze wiedzieć. Wracaj do łóżka.

- Nie wracam do łóżka. Nie widzisz, że jestem ubrana? Jestem ubrana, poza tym krążę w kółko i myślę obsesyjnie o chwili, kiedy będę musiała zejść na dół i stanąć twarzą w twarz z kurczakami.

- W porządku, w porządku. - Dźwignął się z łóżka i odgarnął włosy z czoła. -

Zgodziłaś się zeszłej nocy wyjść za mnie?

- Najwyraźniej.

- Wobec tego zejdziemy na dół i razem zajmiemy się kurczakami.

- Naprawdę? Zrobisz to?

- Pomogę ci także przyrządzać sos krabowy i sałatkę. Taka jest głębia mojej miłości, nawet o szóstej rano.

Spock podniósł się, ziewnął, przeciągnął. - I najwidoczniej jego miłość także jest głęboka. Jeśli mamy zatruć ludzi, Cilla, to zrobmy to razem.

- Czuję się już lepiej. Wiem, kiedy jestem maniaczką. - Podeszła do niego, nachyliła się i pocałowała go w zaspane usta. - I wiem, kiedy dopisuje mi szczęście, bo jest przy mnie ktoś, kto pragnie mi towarzyszyć do końca, do samego sosu krabowego.

- Nawet go nie lubię. Po co ludzie jedzą coś takiego? - Pociągnął ją na łóżko. I położył się na niej. - Ludzie zawsze robią sosy do przekąsek z najdziwniejszych rzeczy. Sos szpinakowy, sos z karczochów. Zadałaś sobie kiedykolwiek pytanie, dlaczego?

- Nie wydaje mi się.

- Dlaczego nie zadowolają się pastą na krakersie? To proste. Klasyczne.

- Nie zwiedzisz mnie w ten sposób. - Zepchnęła go z siebie stanowczym ruchem. - Idę na dół. - Obciągnęła koszulę. - Jestem gotowa.

Nie było to aż takie przerażające czy deprymujące, jak odkryła. Nie wówczas, gdy miało się u boku partnera. Zwłaszcza gdy ten partner był tak bezmyślny jak ona. To była prawie zabawa. Pomyślała, że przy odrobinie wprawy i nieco większych umiejętnościach gotowanie makaronu i ugniatanie czosnku może nawet być czymś więcej niż „prawie zabawą” i zamienić się w prawdziwą zabawę.

- Śniłam ostatniej nocy o Janet - zwierzyła się.

- Jak to się dzieje, że zwykły pomidor występuje w tak różnych rozmiarach? - Podniósł stek i garść pomidorów koktajlowych. - To nauka? Natura? Muszę to przestudiować. O czym był ten sen?

- Chyba o miłości, przynajmniej w jednym aspekcie. Moja podświadomość stara się to zrozumieć. Albo zrozumieć, czym to było dla niej. Siedzieliśmy w salonie na farmie. Ściany były identyczne jak moje - to znaczy przestrzeń wyglądała tak jak u mnie, ten sam kolor farby, ale Janet siedziała na tej jasnoróżowej kanapie. Na lśniącem białym stoliku do kawy leżały rozłożone fotografie. Zdjęcia, które kiedyś oglądałam, zdjęcia, które robił twój dziadek, zdjęcia, które mogłam widywać w książkach. Były ich setki. Piła wódkę z niskiej szklanki. Powiedziała, że od śmierci Johnniego upłynął rok i że, jak ma nadzieję, jej nienarodzone

dziecko będzie chłopcem. Powiedziała jeszcze, że to jej ostatnia szansa. Jej ostatnia miłość, jej ostatnia szansa. Było to takie dziwne. Wiedziała, że niedługo umrze. Boja wiedziałam. Spytałam ją, dlaczego to zrobiła. Dlaczego odrzuciła tę ostatnią szansę i położyła wszystkiemu kres. - I co ona na to?

- Że jeśli mogę coś dla niej zrobić, to właśnie się tego dowiedzieć. Że mam to przed oczami, ale nie patrzę dość uważnie.

I obudziłam się sfrustrowana, bo, jak powiedziała, to mój sen.

Jeśli coś wiem, to dlaczego tego nie wiem?

Ford skupił się na swoim zadaniu, czyli krojeniu befsztyka.

- Przecież mogła się czuć tak smutna, tak pogrążona w mroku, że wydało się jej to jedynym sposobem na uśmierzenie bólu.

- Owszem. Ale jakoś nie mogę w to uwierzyć. Nigdy nie mogłam uwierzyć do końca albo nie chciałam uwierzyć do końca.

A od chwili, kiedy tu przyjechałam i zaczęłam przebudowę, wierzę w to coraz mniej. I chcę wierzyć coraz mniej - przyznała. - Ona coś tutaj znalazła. Przypomnij sobie to wszystko, co najpierw brała, a potem po prostu odrzucała. Mężczyzn, małżeństwa, domy, wszelkie dobra. Słyszała z tego, że zdobywała, a potem pozbywała się tego. Ale zatrzymała to miejsce, co więcej, dopilnowała, by pozostało w rodzinie jeszcze długo po jej śmierci. Znalazła tu coś, czego potrzebowała, coś, co sprawiało jej zadowolenie.

Wyjrzała przez okno i zaczęła się przyglądać Spockowi przy jego porannych zajęciach.

- Trzymała psa - powiedziała cicho. - I starego jeepa. Przystarzały piecyk i lodówkę. Myślę, że w jakimś sensie to miejsce było dla niej realne. Reszta taka nie była. Dla ludzi mądrych realny jest ich zawód, dobra praca. Owszem, jest jeszcze sława, ale to rzecz ulotna i kapryśna, w znacznej części tylko iluzja. Ona tu jej nie potrzebowała.

- I zakochała się, żeby to miejsce było dla niej jeszcze bardziej realne?

Spojrzała na niego, wdzięczna, że zrozumiał, o co jej chodzi.

- To się samo narzuca, prawda? Najgorsze, co jej się w życiu zdarzyło, to śmierć Johnniego. To była rzeczywistość, od której nie było ucieczki. Ale ona tu wracała, co wiązało się siłą rzeczy ze wspomnieniami. Nie zamknęła tego domu naглуcho, nie sprzedała go. Nazywał ją Trudy, a ona chciała wierzyć, że to jest właśnie ta osoba, którą on kocha. Myślę, że pragnęła rozpaczliwie tej ostatniej szansy. Myślę, Ford, że pragnęła dziecka. Jedno już straciła. Jak mogłaby, dlaczego miałyby się zabijać i jednocześnie niszczyć szansę posiadania drugiego?

- A jeśli uświadomiła sobie, że ten facet nie kochał Trudy, że to jeszcze jedna iluzja?

- Mężczyźni zjawiają się i odchodzą. Zawsze tak było w jej przypadku. I chyba, dzięki temu snowi z ostatniej nocy, przypomniałam to sobie, uświadomiłam. Jej jedyną prawdziwą miłością był Johnnie. I praca. Namiętnie kochała swoją pracę. Ale Johnnie należał do niej. Moja matka wiedziała, zawsze wiedziała, że jest dopiero na drugim miejscu. Ostatnia miłość, ostatnia szansa?

Myślę, że chodziło o dziecko. Nie mogę uwierzyć, po prostu nie mogę, że zabiła się z powodu romansu, który skończył się klęską.

- Powiedziałaś, że piła w tym śnie. Wódkę.

- W jej przypadku standard. - Kiedy minutnik zadzwonił, Cilla zdjęła z piecyka garnek i zniosła do zlewu, żeby przelać makaron do cedzaka. - Ale we śnie nie było żadnych pigułek.

Stała i obserwowała parę, która unosiła się ku górze.

- Gdzie były pigułki, Ford? Wciąż wracam do tych listów, zwłaszcza tych ostatnich, pełnych gniewu. Nie chciał jej obecności w tym domu. Była dla niego zagrożeniem, nieobliczalna kobieta, zrozpaczona, w ciąży. Ale nie chciała się tego wyrzec.

Tego miejsca, tego dziecka, tej szansy. Więc odebrał jej tę szansę.

Nie mogę się od tego uwolnić.

- Jeśli masz rację, to następnym krokiem będzie udowodnienie tego. Próbowaliśmy już ustalić, kto pisał te listy. Nie wiem.

ile jeszcze tropów trzeba by zbadać.

- Mam wrażenie... mam wrażenie, że już podążaliśmy tym właściwym albo że zbliżyliśmy się do niego. I przeoczyliśmy coś, co było oczywiste. Po prostu oczywiste. Że nie zwróciłam na to dostatecznej uwagi i że umknęło. - Odwróciła się do niego. - Teraz to jest moja rzeczywistość, Ford. Ty, ty i ta farma, to życie. Znalazłam to i mogę wziąć dzięki niej. Jestem jej coś winna. Coś więcej niż sadzenie róż czy przybijanie młotkiem drewna. Więcej niż przywracanie tego miejsca do życia w hołdzie dla niej. Jestem jej winna prawdę.

- To, co znalazłaś i co wzięłaś, być może rzeczywiście zaczęło się od niej. I jeśli chcesz poznać prawdę, to zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc ci ją znaleźć. Ale farma i to, co tutaj zrobiłaś, to coś więcej niż hołd dla Janet Hardy. To hołd dla ciebie, Cilla. To farma jest tym, co robisz, dla czego pracujesz, co z siebie dajesz. Te ściany w tym śnie były twoje.

- I nic nie ustawiłam wewnątrz. Mówię o tym, ale nie podejmuję żadnych kroków. Nie wstawiłam tam ani jednego krzesła, ani jednego stołu, prócz tego, czego potrzebował Steve.

Chyba muszę coś z tym zrobić.

Czekał na to. Czekał na ten krok.

- Mam dom pełen mebli. To na początek. Możemy coś wybierać.

Podeszła do niego i objęła go za szyję.

- Wybieram ciebie. Wybieram faceta, który kroi ze mną pomidory o siódmej rano, ponieważ jestem stuknięta. Faceta, który nie tylko obiecuje mi pomoc, ale także pomaga. Faceta, dzięki któremu zrozumiałam, że jako pierwsza od trzech pokoleń kobieta z rodu Hardy'ch mam to szczęście, że jestem zakochana w kimś, kto mnie widzi. Wybierzmy coś u ciebie i przenieśmy na drugą stronę drogi. Ustawimy to w domu, żeby nie był jej, żeby nie był mój. Żeby był nasz.

- Głosuję za łóżkiem.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Zgadza się.

Było to oczywiście śmieszne - dwoje ludzi przygotowujących przyjęcie przerwało pracę, żeby rozebrać łóżko, a potem znieść ramę, wezłowie, materac, skrzynię ze sprężynami i pościel na dół, a następnie wrzucić na półciężarówkę i przewieźć na drugą stronę drogi, w towarzystwie Spocka, który biegł za nimi. A potem zrobili to jeszcze raz, tylko w odwrotnej kolejności.

Cilla uznała to nie tylko za symboliczne, ale też terapeutyczne.

Mimo wszystko propozycja Forda, by wypróbować nowe łóżko od razu, szła trochę za daleko.

Dziś w nocy - zapewniła go. Zdecydowanie.

Teraz to był ich pokój - myślała, poprawiając poduszki. Ich pokój, ich łóżko, ich dom. Ich życie.

Owszem, zamierzała porozwieszać w domu zdjęcia Janet, tak jak powiedziała we śnie. Ale byłyby też inne zdjęcia. Zdjęcia z nią i Fordem, z przyjaciółmi i rodziną. Postanowiła, że spyta ojca, czy ma jakieś fotografie swoich rodziców i dziadków, które mogłaby skopiować. Zamierzała naprawić stary fotel bujany, który znalazła na strychu, i kupić naczynia w wesołych barwach, a także wstawić do salonu wspaniałą obszerną kanapę.

Pamiętała, co było, i teraz tworzyła to, co miało być. Czy nie taki zawsze przyświecał jej cel? Wiedziała też, że będzie szukać uparcie prawdy. Dla Janet, dla swojej matki, dla siebie.

Siedząc u Forda, wyszła na chwilę na zewnątrz, żeby zadzwonić do Nowego Jorku.

- Mamo.

- Cilla, jest ledwie dziewiąta rano. Nie wiesz, że muszę się porządnie wysypiać? Mam dzisiaj występ.

- Wiem. Czytałam recenzje. „Dojrzała i doskonalsza Bedelia Hardy wraca triumfalnie na scenę”. Gratulacje.

- No cóż, mogli sobie darować tę „dojrzałą”.

- Jestem z ciebie strasznie dumna i nie mogę się doczekać twojego równie triumfalnego występu w Waszyngtonie za dwa tygodnie.

Po krótkiej przerwie Dilly oświadczyła:

- Dziękuję, Cilla. Nie wiem, co powiedzieć.

I gdy matka zaczęła się rozwodzić na temat ciężkiej pracy, trzech bisów, oklasków, „morza” kwiatów w garderobie, Cilla tylko się uśmiechała i słuchała. Dilly czasem brakowało słów, ale nigdy zbyt długo.

- Oczywiście, jestem kompletnie wyczerpana. Ale jakoś potrafię wykrzesać z siebie energię, kiedy trzeba. No i Mario się mną opiekuje.

- Cieszę się. Słuchaj, mam, ja i Ford się pobieramy.

- Kto?

- Ford, mam. Poznałaś go, kiedy tu byłaś.

- Trudno, żebym pamiętała każdego, kogo poznaję. Ten wysoki? Sąsiad?

- Jest wysoki i mieszka po drugiej stronie drogi.

- Kiedy to wszystko się stało? - spytała Dilly, a w jej głosie pojawiły się pierwsze nuty rozkapryszania. - Dlaczego za niego wychodzisz? Kiedy wrócisz do Los Angeles...

- Mam, posłuchaj tylko. Posłuchaj i nie przerywaj mi, dopóki nie skończę. Nie wracam do Los Angeles. Nie wracam do biznesu.

- Ale ty...

- Posłuchaj. To jest teraz mój dom, buduję tu sobie życie.

Kocham niezwykłego człowieka, który też mnie kocha. Jestem szczęśliwa. Jestem teraz tak szczęśliwa jak ty, kiedy pojawiaasz się w światłach sceny. Chcę, żebyś zrobiła dla mnie jedną rzecz.

Tylko jedną, ten jeden raz. Chcę, żebyś powiedziała, nieważne, szczerze czy nieszczerze: „Cieszę się, Cilla”.

- Cieszę się, Cilla.

- Dzięki.

- Cieszę się, nie rozumiem tylko, dlaczego...

- Wystarczy, mam. Po prostu ciesz się. Nie musisz rozumieć. Zobaczymy się za dwa

tygodnie.

Wystarczy - powtórzyła w myślach Cilla. Może któregoś dnia zdobędą się na coś więcej, a może nie. Więc na razie wystarczy. Weszła z powrotem do domu, wracając do Forda.

Zjawily się posiłki z półmiskami i miskami, ze stołami i kilogramami lodu. Penny nakazała Fordowi pomoc przy rozładunku zapasów na farmie, zanim wpadła do kuchni z Patty, gdzie Cilla doznawała piekielnych mąk nad sałatką z makaronem.

- Ktoś musi tego spróbować. Ford i ja jesteśmy zbyt emocjonalnie zaangażowani. Brakuje nam obiektywizmu.

- Jest taka ładna! - zawołała Patty. - Czy to nie ładna sałatka.

Pen?

Ale Penny, której sokołe oczy dostrzegły pierścionek Cilli w niespełna trzy sekundy, ujęła Cillę za dłoń.

- Kiedy?

- Zeszłego wieczoru.

- Co? Przeoczyłam coś? O Boże, Boże! Czy to jest to, co myślę? Czy to to? Och, pokaż mi! - Patty przysunęła się bliżej i spojrzała na pierścionek. - Jest piękny. Po prostu piękny. Jestem taka szczęśliwa. Ze względu na was oboje.

Niepotrzebna jest w tym wypadku zachęta - pomyślała Cilla, kiedy Patty objęła ją i zaczęła kołysać się na boki.

- No, szybko odzyskałaś rozum. Odsuń się, Patty, to moja synowa. - Penny odepchnęła lekko Patty i wzięła Cillę w ramiona. - To bardzo dobry człowiek.

- Najlepszy.

- Jestem pewna, że na niego zasługujesz. - Penny odsunęła się, cała w uśmiechach i łzach. - Czy nie obdarzą nas pięknymi wnucętami, Patty?

- Och, no cóż...

- Nie będziemy ci jeszcze suszyć o to głowy - wtrąciła Patty. - Najpierw zaczniemy ci suszyć głowę o wesele. Ustaliliście datę?

- Niezupełnie. Dopiero...

- Jest za późno, żeby zastanawiać się nad jesienią. Za jakieś sześć tygodni zaczną opadać liście. A jest tyle do zrobienia.

- Myśleliśmy o przyjęciu weselnym pod gołym niebem, na farmie. O czymś prostym - wyjaśniła Cilla.

- Doskonale. - Patty zaczęła obliczać na palcach. - Maj, wczesny maj, nie sądzisz? Maj



jest taki piękny, poza tym daje nam to czas na przygotowanie wszystkiego. Najważniejsza jest sukienka. Wszystko obraca się wokół sukienki. Musimy iść na zakupy. Nie mogę się doczekać! - Patty znów zarzuciła ramiona na szyję Cilli.

- Kapitan Morrow melduje się w punkcie zbornym - oznajmiła Cathy, wchodząc do pokoju obładowana torbami. - Co tu się dzieje? Ktoś kroił cebulę?

- Nie. - Patty otarła łzy. - Chodzi o Cillę i Forda. Pobierają się.

- Och! - Cathy rzuciła torby na szafkę kuchenną i przytrzymała jedną z nich, zanim zawartość zdążyła się rozsypać. Potem się odwróciła, cała w uśmiechach. - Gratulacje! Co za wspaniała wiadomość! Kiedy będzie wielki dzień?

- Chyba w maju - odparła Patty. - Maj, prawda? O Boże, czyż nie będzie najpiękniejszą panną młodą? Wesele pod gołym niebem na farmie. Doskonały pomysł, prawda? Wyobraźcie sobie ogrody w maju.

- To będzie wydarzenie roku. Po prostu - dodała Patty z błyskiem w oku, a Cilli wydało się, że być może rozumieją nieco inaczej określenie „po prostu”. - Po prostu największe wydarzenie roku.

- Straszycie biedną dziewczynę. - Cathy objęła ze śmiechem ramiona Cilli. - Za chwilę ucieknie w stronę wzgórz.

- Nie. Zostanę tutaj. To miłe - powiedziała Cilla. - Zrobimy z tego wydarzenie roku. Po prostu.

- To rozumiem. - Cathy uściskała Cillę. - A teraz, drogie panie, jeśli nie zabierzemy się ostro do roboty, to zwali się nam na kark mnóstwo głodnych ludzi i zamiast wydarzenia roku będziemy miały klęskę wszech czasów.

Było o wiele łatwiej, niż sobie wcześniej wyobrażała, i dziwnie satysfakcjonująco. Wokół domu, w promieniach popołudniowego słońca, zebrały się dziesiątki ludzi. Tłoczyli się przy wypożyczonych stołach, sadowili na schodach, siedzieli przy składanych stolikach na werandzie. Pili i jedli, podziwiali dom, ogrody. Nikt się jakoś nie przejmował brakiem mebli i nieformalnym charakterem przyjęcia.

Przyglądała się Dobby'emu. Rozparty na krzeselku, które sam przyniósł, jadł jej sałatkę z makaronem. Poczula przyływ śmiesznej dumy. Jej dom, mimo iż niewykończony, nadawał się do przyjmowania w nim gości.

Przyłączyła się do Gavina, który przerzucał hamburgery na grillu.

- Jak zasłużyłeś na tak strategiczną pozycję?

- Dałem wolne Fordowi. - Uśmiechnął się do córki. - Wprawiam się w roli teścia. Udane przyjęcie, Cilla. Dobrze jest znów urządzić coś takiego w tym miejscu.

- Myślę o tym jak o pierwszym dorocznym Świącie Pracy na farmie. Za rok pójdzie jeszcze lepiej.

- Miło mi to słyszeć. „Za rok”.

- Jestem dokładnie tam, gdzie chcę być. Zostało jeszcze mnóstwo do zrobienia. Mnóstwo rzeczy, których muszę się dowiedzieć. - Westchnęła głęboko. - Rozmawiałam dziś rano z mamą.

- Co u niej?

- Dojrzała, wyrafinowana i triumfująca, jak napisano w recenzjach. Będzie jej trudno przyjechać tutaj, na farmę, żeby wziąć udział w weselu. Przyjedzie, ale nie będzie jej łatwo. A tobie?

- Co masz na myśli?

- No wiesz, chodzi o jej obecność. Będziesz musiał przebrnąć przez cały ten ślubny rytuał, mając ją u boku.

- Ależ skąd, nie masz się o co martwić. - Zaskoczenie w jego głosie natchnęło ją otuchą. - Nie zawsze było między nami źle, Cilla. Musiało się skończyć, żebym mógł być tam, gdzie chcę, i żeby twoja matka mogła być dojrzała, wyrafinowana i triumfująca.

- Wobec tego mogę skreślić to z listy pod nagłówkiem: „O co mam się martwić”. Chcę wziąć tu ślub. To teraz nasz dom, Forda i mój. I cieszę się, że moi rodzice właśnie tutaj pocałowali się po raz pierwszy. I że moja babka spacerowała po tych ogrodach. Że twój dziadek orał te pola. To wszystko powolutku wraca. Chciałam tego przez całe życie. Spójrz na dom - powiedziała cicho.

- Nigdy nie wyglądał bardziej odpowiednio, nigdy nie był bardziej rzeczywisty niż teraz.

- Tego też pragnę. Żeby był odpowiedni i rzeczywisty. Przyjeżdżałeś tu po śmierci Johnniego?

- Kilkakrotnie. Chyba była zadowolona, że mnie widzi.

Ostatni raz na dwa miesiące przed jej śmiercią. Załatwiałem coś w Richmond. Mój ojciec był chory, więc pojechałem go odwiedzić. Kiedy się dowiedziałem, że ona tu akurat jest, zajrzałem na farmę. Wydawało się, że jest z nią lepiej, a może starała się za wszelką cenę sprawiać takie wrażenie. Mówiliśmy o Johnniem, oczywiście. Przypuszczam, że ani przez chwilę nie przestała o nim myśleć. Nie przywiozła nikogo ze sobą, nie tak jak wcześniej, kiedy dom był zawsze pełen ludzi. Siedzieliśmy tu tylko we dwoje, jakąś godzinę. W salonie.

- Na różowej kanapie z białymi satynowymi poduszkami - dodała Cilla.

- Tak. - Uśmiechnął się lekko. - Skąd o tym wiesz?

- Słyszałam. Styl Doris Day.

- Pewnie tak. Musiałem chyba o tym wspomnieć, bo pamiętam, jak powiedziała, że chce, by znów było jasno w domu. Że nadszedł czas na to, co nowe i jasne, więc ściągnęła tę kanapę aż z Los Angeles. - Dźgnął widelcem kurczaki i przewrócił hamburgera. - Następnego dnia wyjechała, a ja wróciłem na resztę lata do Richmond.

A więc to nie mógł być ten ostatni raz, kiedy się widzieliśmy. Ale to naprawdę wspaniały obraz - Janet siedząca na tej różowej hollywoodzkiej kanapie i jej pies śpiący pod stolikiem do kawy.

- Zastanawiam się, czy mam jakieś zdjęcie, na którym siedzi na tej kanapie. Ojciec Forda dał mi tyle fotografii. Muszę jeszcze raz je przejrzeć. Jeśli znajdę coś odpowiedniego, dam ci odbitkę. Pozwól, pomogę ci. - Wzięła półmisek, który Gavin zappełnił górą hamburgerów, hot - dogów i pieczonych kurczaków. - Dostarczę to na stację „Mięso” i poszukam Forda.

Przecisnęła się przez tłum na podwórzu, minęła gości okupujących werandę i weszła do kuchni. Zobaczyła, że Patty i Penny uporały się ze stosem talerzy i misek, teraz pustych i świeżo umytych. Poczula niejake wyrzuty sumienia, więc zamiast włożyć swoje naczynia do zmywarki zaniósła je do zlewu.

Sprawiało jej to przyjemność, kiedy patrzyła przez okno kuchenne w tej krótkiej chwili samotności. Widziała ojca, który wciąż pilnował grilla; teraz towarzyszył mu ojciec Forda i Brian. Buddy i jego żona siedzieli przy składanym stoliku z Tomem i Cathy, obok stała Patty, która podeszła do nich, żeby porozmawiać. Był też Matt, który rzucał piłkę swojemu synkowi, a Josie przyglądała się, trzymając dziecko w ramionach.

Penny miała rację - uświadomiła sobie z rozbawieniem Cilla. Spłodziliby z Fordem wspaniałe dzieciaki. Dawało to do myślenia.

Kiedy zadzwoniła komórka, którą ładowała na szafce kuchennej, i wzięła ją do ręki, na jej ustach wciąż błąkał się uśmiech.

- Tu Cilla. Dlaczego cię tu nie ma?

- Panna McGowan?

- Tak. Przepraszam.

- Detektyw Wilson. Mam dla pani pewne informacje.

Kiedy Ford wszedł do kuchni, zobaczył, że Cilla stoi przy zlewie i wygląda na zewnątrz.

- Popatrz, jacy z nas gospodarze przyjęcia. Ty zmywasz, ja zbieram odpadki. Załadowałem kilka worków na twojego pikapa. Jutro jedno z nas będzie musiało pojechać na

wysypisko.

Objął ją, zaczął przyciągać do siebie i od razu się zorientował.

- O co chodzi? - Odwrócił ją i spojrzał jej uważnie w twarz. - Co się stało?

- Hennessy nie żyje. Popęłnił samobójstwo. Zrobił pętlę z własnej koszuli i...

Przyciągnął ją teraz do siebie i przytulił mocno. Najpierw zadrżała, potem przyłgnęła do niego.

- O Boże, Ford! O Boże!

- Niektórych ludzi nie da się uratować, Cilla. Nie można im pomóc.

- Nigdy się z tym nie pogodził, nigdy się z tego nie otrząsnął.

Wiesz, po tej historii z synem. Przez te wszystkie lata miał jakiś cel i swoją gorycz. Ale gdy chłopak umarł, pozostała tylko gorycz - I to ona go zabiła. - Odsunął ją od siebie i spojrzał jej w oczy, jakby chcąc się upewnić, że zrozumiała. - To nienawiść go wykończyła, Cilla.

- Nie winię siebie. Muszę to sobie powtarzać, muszę tak myśleć, żeby nie zaczęła się winić. I nie winię się. Ale nie mogę zaprzeczyć, że w jakiś sposób w tym uczestniczyłam. Przez niego. To chyba swoista zemsta. I ta jego biedna żona, Ford. Straciła wszystko. Wiem, że to straszne, ale w jakimś sensie odczuwam ulgę.

- Skrzywdził cię i nie zamierzał na tym poprzestać. Potrzebujesz trochę czasu? Mogę iść do gości, wytłumaczyć to jakoś.

- Nie, nie. Dość już zrobił złego. - Spojrzała przez okno na ludzi, którzy przechadzali się po jej trawniku. - Nie pozwolę mu tego zniszczyć.

- Ford, zjawiasz się w samą porę. - Gavin wręczył mu łopatkę i szczypce, a potem wziął do ręki półmisek. - Twoja kolej. - Sięgnął drugą ręką po piwo. - I moja.

- Jesteś pewien, że to młode pokolenie wie, jak obsługiwać grilla? - spytał Tom.

- Możemy was pokonać - odparł Brian. - W każdej chwili, gdziekolwiek.

- Czuję, że zbliża się rozgrywka grillowa. Ale zanim do tego dojdzie, muszę wykorzystać przyszłego zięcia. Chciałbym, żebyś przyszedł do szkoły i pogadał z moimi uczniami na zajęciach kreatywnego pisania.

- Och! No cóż. Hm - westchnął Ford.

- Prawdę mówiąc, zamierzamy zorganizować trzystopniowy, może nawet pięciostopniowy kurs opowiadania historii za pomocą słów i grafiki. Nasz nauczyciel sztuki zapalił się do tego pomysłu.

- Och! - powtórzył tylko Ford, co sprowokowało Briana do śmiechu.

- Przypomniał sobie szkołę średnią, gdzie przewodził klubowi odmieńców.

- Trzy lata prześladowań i brania w tyłek.
- Matt, Shannon i ja ratowaliśmy cię, kiedy tylko się dało.
- Niewystarczająco.
- Daję ci słowo, że nikt nie ruszy twojego tyłka - zapewnił Gavin.

Ford spojrzał na niego kwaśno.

- Będę miał zbrojną eskortę?
- Musimy dopracować szczegóły, ustalić daty i wszystko, czego będziesz potrzebował.

Możemy omówić mój udział w tym przedsięwzięciu. Powinieneś skontaktować się z Sharon, nauczycielką sztuki. Uwielbia twoje książki, tak przy okazji. Dam ci namiary do niej. Ach... - Spojrzał na swoje zajęte dłonie. - Masz coś do pisania?

- Nie. Jezu! Chyba trzeba będzie zapomnieć o wszystkim.

- Mam coś przypadkowo. - Uśmiechając się szeroko, Tom wyjął z kieszeni oprawiony w skórę notatnik i krótki ołówek. - Sharon, powiadasz?

Gavin przekazał stosowne informacje i spojrzał wymownie na Forda, podając mu kartkę.

- Naprawdę chcesz poślubić moją córkę?

- Tak. - Ford, zbity z pantafyku, schował kartkę do kieszeni.

- Rozniosę jedzenie, a potem wrócę i wyjaśnię ci z grubsza, jak to wszystko ma wyglądać.

- Powinienem był się domyślić, że nie obejdzie się bez stawiania warunków - mruknął Ford, kiedy Gavin się oddalił.

- Przywyknij do tego. - Tom poklepał go po ramieniu. - Teraz, kiedy już jesteś zaręczony, a Matt ma swoją uroczą rodzinę, ile upłynie czasu, zanim ostatni z muszkietarów się ustakuje?

- Twoja kolej - oznajmił wesoło Ford, zwracając się do Briana.

Brian potrząsnął głową.

- Ty draniu! Biorąc pod uwagę okoliczności, nie mam pojęcia, dlaczego ci mówię, że gramy w ten weekend w pokera u mnie wieczorem. Tylko faceci. Liczymy, że przyniesiesz piwo i żarcie, które pozostanie z przyjęcia, Rembrandt.

- Kiepsko gram w pokera.

- Właśnie dlatego cię zapraszam, nawet w tych okolicznościach.

- Nie wiem, czy uda mi się...

- Widzisz. - Brian wycelował w ojca palec. - Już trzyma go za jaja. A ty mnie pytasz, dlaczego wciąż jestem kawalerem.

- Nie trzyma mnie za...
- Wciąż obrywasz po tyłku. Tyle że tym razem od baby.
- Jezu! Przypomnij mi, dlaczego się przyjaźnimy.
- Dziewiąta wieczór. Przynieś piwo.

Przy wydatnej pomocy kilkorga przyjaciół sprzątanie poszło szybko. Śmieci wylądowały w torbach, resztki jedzenia w pojemnikach, plastikowe naczynia w kubłach na śmieci. Niewielki konwój zaufanych przeniósł do domu Forda to, co należało przenieść.

- Dwa domy - skomentowała Angie. - I wciąż za mało miejsca. Co mam zrobić z tym plackiem?

- Ford może zabrać go do Briana.
- Nie wydaje mi się, żebym...

Cilla zmroziła go bezlitosnym spojrzeniem.

- Idź, bądź mężczyzną. Zniknij z moich dwóch domów na kilka godzin. Nic mi nie jest, dam radę.

- Oczywiście, że nic jej nie jest. - Patty owinęła folią miseczkę z resztkami sałatki fasolowej. - Dlaczego miałoby coś jej być? Coś się stało? - spytała, dostrzegając spojrzenie, jakim Ford obrzucił Cillę. - Jakies kłopoty?

- Hennessy popełnił zeszłej nocy samobójstwo. Ford martwił się, że za bardzo wezmę to sobie do serca.

- Och, kochanie!
- O to właśnie chodzi, no i nie chcę cię zostawiać samej.
- Zostaniemy z nią - zaproponowała z miejsca Patty.

- Zostaniemy - wtrąciła Penny. - Urządzimy sobie własne przyjęcie, wyłącznie kobiece.

- Nie zostaniecie. Nie potrzebuję nianieek. Zamierzam popracować nad zdjęciami, które dał mi twój ojciec - oznajmiła, wręczając miseczkę matce Forda. - Jeśli czegoś potrzebuję, to dwóch godzin spokoju. Nie obrażcie się.

- Ale...

- I chcę pobawić się w planowanie siłowni i pracowni w przybudówce, ale nie chcę, żebyście zaglądały mi przez ramię. Idźcie. Posiedzę tu, dopóki nie wrócisz - dodała, kiedy dostrzegła sprzeciw w spojrzeniu Forda. - Brid, wojownicza bogini, nie potrzebuje ochroniarzy. A teraz zabierajcie się stąd.

- Dobra. I tak mnie oskubią w dwie godziny.
- No, to rozumiem.

- Dobra, dziewczyny, zabierzmy swoje naczynia i zapakujmy.

Porozwożę was do domów, skoro mężczyźni nas opuścili. - Penny położyła dłonie na ramionach Cilli. - Jutro zadzwonię, żeby ustalić czas i miejsce pierwszej strategicznej sesji na temat wesela roku z naszym udziałem - twoim, Patty i moim.

- Mam się bać?

- Owszem, bardzo. - Penny pocałowała ją w policzek. - Dobra z ciebie dziewczyna.

Widząc, jak Penny z wprawą wyprowadza dziewczyny za drzwi, Cilla pomyślała, że będzie miała bardzo interesującą i zgodną teściową.

- Teraz ty - powiedziała Fordowi.

- Mogę pewnie przegrać w godzinę.

- Przestań. Nic mi tu nie grozi. Nikt nie będzie mnie niepokoił. I nikt mnie nie niepokoi od jakiegoś czasu. Ale Hennessy nie żyje i media rzucają się na to. Znowu się zaczniesz. Przyda mi się spokojny, normalny wieczór, zanim ten cyrk zjedzie do miasta. I nie chcę, żeby któreś z nas martwiło się z powodu jednego wieczoru spędzonego w pojedynkę. Poza tym... - nachyliła się i podrapała Spocka. - Mam strażnika.

- Mimo wszystko zamknij drzwi na zamek.

- Mimo wszystko zamknę drzwi na zamek. - Pocałowała go po raz ostatni, a potem wypchnęła za drzwi. - Nie licz za bardzo na strita.

Potem zamknęła drzwi i bezzwłocznie je zablokowała. Odwróciła się, westchnęła głęboko, a potem uśmiechnęła się do Spocka.

- Myślałam, że nigdy stąd nie wyjdą.

Zadowolona, poszła na górę po pudełko ze zdjęciami.

## ROZDZIAŁ 30

Przeglądanie tych zdjęć sprawiało jej taką przyjemność! Cilla pomyślała, że Ford może zechce wybrać kilka, które oprawią i powieszą w ich domu. Na przykład tę zbiorową fotografię. Z jej ojcem, matką, wujem, Janet i... chyba młodym i przystojnym Tomem Morrowem. Nie ulegało wątpliwości, że Brian był do niego podobny.

Zaczęła je układać według charakteru, a potem chronologicznie.

Patrzyła, jak dorasta jej własna matka - najpierw dziecko, potem dziewczyna, wreszcie młoda kobieta. Zdumiewające - pomyślała Cilla - że o wiele lepiej dogadywały się na odległość. Ale bardziej zdumiewające - dodała w duchu cynicznie - że o wiele lepiej się dogadywały, gdy matka dostawała dobre recenzje.

Bez złośliwości - upomniała się, kładąc na stosie zdjęć przeznaczonych do oprawienia fotografię Janet stojącej w drzwiach domu na farmie.

Czy ktoś na tych grupowych zdjęciach był jej kochankiem? - zastanawiała się. Czy byli na tyle ostrożni, by nie pozować razem? A może zachowywali zimną krew i udawali na zewnątrz obojętnych, gdy pod powierzchnią kłębiła się namiętność?

Bez złośliwości - upomniała się ponownie. Nie mogła się jednak powstrzymać przed snuciem domysłów. Czy ujawniałoby się to siłą rzeczy? Cilli wydawało się, że każdy mężczyzna, który fotografował się z Janet, wyglądał niemal na zakochanego w tej kobiecie. Miała taką siłę.

Boże, nawet Buddy sprawiał wrażenie zauroczonego na tym zdjęciu, gdzie byli razem na werandzie, a Janet udawała, że wali go w głowę jego własnym kluczem hydraulicznym.

Nie można było się jej oprzeć, bez względu na to, co miała na sobie, obszerne dzinsy czy elegancki strój. Wyglądała zjawiskowo w czerwonej sukience na tle białego fortepianu. Boże Narodzenie - pomyślała, biorąc do ręki zdjęcie i przyglądając mu się uważnie. Czerwone świece i ostrokrzew na instrumencie, migotanie światełek w oknie.

Ta ostatnia Gwiazdka przed śmiercią Johnniego. Jej ostatnie przyjęcie. Fotografia wydawała się zbyt bolesna, by ją oprawić i wieszać - przebiegło jej przez myśl. Czy jakakolwiek inna, zrobiona tamtego wieczoru. Ścisnęło jej się serce, gdy zobaczyła swoich rodziców, razem, na tle drzewa. I nieszczęsnego Jonniego, który, uśmiechając się szeroko, trzymał nad ich głowami jemiółę.

I wszyscy ci młodzi ludzie - Gavin, Johnnie, Dilly, matka Forda i ktoś, kto musiał być Jimmym Hennessym, i ten chłopiec, który zginął tamtej nocy z Johnniem - stłoczeni razem na sofie w swoich najelegantszych strojach. Z tym wiecznym już uśmiechem na twarzach.



Nie, tego też nigdy nie mogłaby oprawić i powiesić.

Odłożyła zdjęcie na bok i wzięła do ręki fotografię Toma. Dopiero po chwili rozpoznała w stojącej obok niego kobiecie Cathy. Jej włosy były wtedy popielatokasztanowe i dziwnie ułożone w bufiasty kok. Sprawiała wrażenie onieśmiałej, nerwowej i zakłopotanej. Tłuszczki dziecięcy - przypomniała sobie Cilla - coś, co sukienka i fryzura tylko podkreślały. Drogie perły, błysk brylantów mówiły o pieniądzach, ale widać było, że jeszcze nie wydobyła się do końca ze swego młodzieńczego kokonu.

Mimo wszystko może spodobałaby się jej odbitek tego zdjęcia.

Nadal przerzucała fotografie, zatrzymała się tylko na dłużej przy zdjęciu, na którym Janet usadowiła się na podłokietniku kanapy, a Cathy siedziała obok; obie kobiety się śmiały. Cathy wyglądała ładniej na niepozowanych zdjęciach - zauważyła Cilla. Była swobodniejsza, a w jej uśmiechu dostrzegano już tę dojrzałą kobietę.

Już miała odłożyć fotografię na stos pozostałych, ale nagle zmarszczyła brwi i znów przyjrzała się jej z uwagą. Coś nie dawało jej spokoju. Gdy zaczęła rozkładać pozostałe zdjęcia gwiazdkowe, usłyszała dzwonek do drzwi.

Zawtórowało mu pełne przestrachu szczekanie Spocka.

Ford wziął sobie puszkę coli z automatu Briana. Był dostatecznie kiepski w pokerze, żeby jeszcze dodawać do tego alkohol. Mężczyźni, którzy mieli niebawem oskubać go z pieniędzy, zgromadzili się jak zwykle przed partyjką wokół baru, który skonstruował Matt w pokoju nazywanym przez Briana jaskinią prawdziwych facetów.

Bar, stół do bilardu, ogromny ekran - zawsze podłączony do kanału sportowego - skórzane fotele, kanapa. Scenografia pełna sportowych rekwizytów. I, oczywiście, drugi ekran telewizyjny, przeznaczony do gier TV.

Doszedł do wniosku, że przyda mu się taki w nowej pracowni. Facet musi dysponować odpowiednią powierzchnią. Zamierzał powiedzieć Cilli, że chce mieć wydzielone miejsce na TV.

Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do niej. Zaczął grzebać w spodniach, szukając komórki, i gdy ją wyjął, na podłogę sfrunęła karteczka schowana w tej samej kieszeni.

Żadnych kobiet. - Brian potrząsnął głową. - Dotyczy to także dzwonienia. Dawaj komórkę.

- Nie dam ci swojego telefonu - odparł Ford, pochylił się i podniósł świstek.

- Ale go wzięło. Hej, Matt, Ford chce już dzwonić do domu, żeby skontrolować Cillę.

- Jezu, nawet ja nie jestem taki beznadziejny.

- Telefony, obydwaj. Na dobrą sprawę wszyscy - oświadczył zdecydowanie Brian. -

Żadnych telefonów przy stole. Zasady domu. Połóżcie je na barze. Dawaj swój - zwrócił się do Forda.

- Rany, ale jesteś upierdliwy. Przypomnij mi, dlaczego cię lubię.

- Wciąż potrafisz wygrać ze mną w Grand Thelt Auto.

- No tak, to rzeczywiście jest powód. - Oddał swój telefon i natychmiast poczuł się jak nagi i pozbawiony wszelkiej nadziei człowiek. Pomyślał, że nie ma komórki, że czeka go klęska w pokerze i, spojrzawszy na karteczkę, że będzie jeszcze raz przeżywał koszmarny powrót do szkoły.

Czego to człowiek nie robił w imię miłości i przyjaźni!

Już miał schować karteczkę z powrotem do kieszeni, gdy znieruchomiał i przyjrzał jej się bliżej.

Serce zabiło mu gwałtownie, a potem podjechało do gardła.

Pismo było nieco roztrzęsione, trochę niestaranne. W końcu Tom stał wtedy, posługując się ogryzkiem ołówka, kiedy Gavin mu dyktował informacje dotyczące kontaktu z nauczycielką sztuki.

Ford pragnął za wszelką cenę zaprzeczyć. Nie mógł być przecież pewien. Nie było mowy o pewności. Przynajmniej do chwili, aż porównałby pismo na tym karteluszkach z listami, kładąc jedno obok drugiego. Albo wysłał grafologowi. Zresztą i tak nie miało to sensu.

Ojciec Briana. To było po prostu niemożliwe. A jednak miało to sens.

Przesunął spojrzeniem po pokoju i popatrzył na Toma, który stał z jego własnym ojcem i z ojcem Cilli, uśmiechając się do Briana i otwierając butelkę rolling rock. Przypomniał sobie, jak kiedyś Tom pomógł mu puszczać latawca podczas wakacji, które spędzali wszyscy razem w Virginia Beach. Jak rozstawił im namiot na swoim podwórku, żeby mogli w nim przenocować.

I pomyślał o Stevie w szpitalu. O Cilli patrzącej na połamane kafelki. I o lalce w różowej sukience, wiszącej na klonie, który posadził Brian.

Ford podszedł do mężczyzny i klepnął Toma w ramię.

- Muszę z tobą chwilę pogadać.

- Jasne. Kilka rad przed rozdaniem?

- Wyjdźmy na zewnątrz.

Tom uniósł brwi.

- Pewnie. Trochę świeżego powietrza, zanim twój ojciec zacznie palić te cygara. Ford i ja wychodzimy na dwór. Udzielę mu kilku wskazówek.

- Życzę szczęścia! - zawołał Brian. - Pospieszcie się. Niedługo zaczniemy wpłacać stawkę do puli.

Nie ma sensu tracić czasu - pomyślał Ford. Nie ma sensu tego odkładać na później. Nie było zresztą mowy, by wytrzymał przy stole z tym uciskiem w piersi.

- Noce znów stają się chłodniejsze - zauważył Tom, kiedy wyszli na taras. - Minęło kolejne lato.

- Miałeś romans z Janet Hardy.

- Co? - Tom obrócił gwałtownie głowę. - Na litość boską, Ford!

- Zachowała twoje listy. Ale wiedziałeś o tym. Jeden z chłopaków pracujących dla Cilli słyszał, jak mówiła o tym Gavinowi. Większość pracuje również dla ciebie. To bardzo smakowita plotka. Zbyt smakowita, żeby się nie rozeszła.

- Ledwie znałem Janet Hardy. To śmieszne sądzić, że...

- Przestań. Charakter pisma się zgadza. - Wyciągnął karteczkę. - Mam oko do takich rzeczy. Kształt, styl, forma. Założę się, że ojciec uczył cię pisać. Z pewnością chciał, żebyś miał przewagę nad innymi.

Twarz Toma zeszywniała, zmarszczki wokół ust pogłębiły się.

- Jest to nie tylko obraźliwe oskarżenie, ale również, jeśli mam być szczery, nie twój interes.

Ford poczuł w sobie chłód, o który się nigdy nie posadzał. Bezlitosną i lodowatą wściekłość.

- Cilla to mój interes. I to, co stało się z jej babką. I to, co działo się na jej farmie. To też mój interes.

- Jej babka popełniła samobójstwo. A za to, co działo się na farmie, odpowiedzialny był Hennessy. Jestem zaskoczony, Ford.

I rozczarowany. Teraz wracam do środka. Nie mam ochoty dłużej tego wysłuchiwać.

- Zawsze cię szanowałem, nie mówiąc już o tym, że kocham Briana. - Być może to jego ton, lodowaty i spokojny, kazał się Tomowi zatrzymać. - Dlatego tu z tobą stoję. Dlatego z tobą rozmawiam, zanim pójdę z tym na policję.

- Z czym? Z plikiem niepodpisanych listów sprzed ponad trzydziestu lat i notatką nabazgraną dziś po południu?

- Nie powiedziałem, że są niepodpisane - oznajmił Ford i odwrócił się.

- Czekaj. Czekaj chwilę. - Tom złapał go za ramię, po raz pierwszy zdradzając panikę. - To nie jest sprawa dla policji, Ford. Ujawnienie tego nikomu nie pomoże. Chcesz, żebym się przyznał do romansu? W porządku, w porządku. Byłem nią zafascynowany i zdradziłem

żonę. Nie ja pierwszy. Nie jestem z tego dumny. I skończyłem z tym; skończyłem, zanim się urodziłeś, na litość boską! Kiedy odzyskałem rozum, kiedy uświadomiłem sobie, co robię, skończyłem z tym. Dlaczego miałbyś mnie karać, a przy okazji ranić i przynosić wstyd Cathy i Brianowi z powodu błędu, który popełniłem, kiedy byłem młodszy niż ty teraz?

- Próbowałeś odzyskać te listy. Przez ciebie człowiek trafił do szpitala.

- Spanikowałem. - Podniósł ręce do góry. - Chciałem tylko je znaleźć i zniszczyć. Spanikowałem, kiedy usłyszałem, że się zbliża. Nie miałem wyjścia. Nie chciałem uderzyć go tak mocno. To był instynkt, tylko instynkt. Mój Boże, myślałem, że go zabiłem!

- Więc przygniotłeś go motorem, żeby co... mieć pewność?

- Mówię ci, to był szok. Myślałem, że nie żyje, co innego mogłem zrobić? Przyszło mi do głowy tylko to, żeby cała rzecz wyglądała na wypadek. Wyszedł z tego. Czuje się już dobrze - przekonywał Tom głosem, w którym pobrzmiwała nuta niewzruszonego rozsądku. - Po co teraz robić z tego wielką sprawę?

Ford tylko patrzył na niego. Nie wiedział, co powiedzieć. Ten człowiek, którego szanował, nawet kochał, człowiek, którego przez całe życie uważał za kogoś w rodzaju drugiego ojca, zmieniał się na jego oczach.

- Niemal umarł, Tom. Mógł umrzeć. A ty go prawie zabiłeś...

dlaczego? Żeby ratować swoją reputację w związku z romanssem? Żeby zatuszować coś, co uważałeś za dawno pogrzebane?

- Zrobiłem to, żeby ocalić rodzinę.

- Naprawdę? Co jeszcze zrobiłeś, żeby ocalić rodzinę? Cofnijmy się w przeszłość. Do samego początku. Zabiłeś Janet Hardy?

Trochę poirytowana, że jej ktoś przeszkadza, Cilla podeszła do drzwi i spojrzała przez wizjer. Irytacja przerodziła się w zaskoczenie, gdy ujrzała Cathy i otworzyła drzwi.

- W porządku, Spock. Widzisz?

Przestał się miotać i skoczył, by otrzeć się na przywitanie o nogi Cathy.

- Przepraszam cię. Ledwie Penny mnie odwiozła, gdy zdałam sobie sprawę, że zostawiłam u ciebie pierścionki. - Cathy przycisnęła dłoń do piersi. - Zawsze ściągam je do zmywania. Mam w każdym razie nadzieję, że to zrobiłam. Boże, gdybym je zgubiła... Nie, na pewno tam są. Trochę się po prostu zdenerwowałam.

- Nie dziwię się. Jestem pewna, że je tu zostawiłaś. Zaraz po nie pójdziemy.

- Dzięki, Cilla. Jest mi tak głupio. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby się zgubiły.

- Wezmę tylko klucze. - Zabrała je z małego stolika przy drzwiach wyjściowych. - Chodź, Spock, pójdziemy na spacer.

Na dźwięk słowa „spacer” wypadł na zewnątrz i zaczął tańczyć na werandzie.

- Będą tam - zapewniała samą siebie Cathy. - Jestem pewna, że tam będą. Lata temu straciłam pierścionek zaręczynowy i obrączkę ślubną, wpadły do odpływu w zlewie. Wcześniej schudłam i były za duże, nie zdążyłam ich zmniejszyć. Byłam przerażona, dopóki Buddy, do którego zadzwoniłam w przyпадку hysterii, nie rozkręcił rur i ich nie wyjął. Więc teraz zawsze je zdejmuję, kiedy zmywam naczynia albo biorę prysznic, albo... Boże, zaczynam bełkotać.

Przeszły przez drogę pogrążoną w blasku księżyca.

- Nie martw się - powiedziała Cilla. - Na pewno tam są.

- Oczywiście, że są. - Jednak napięcie w jej głosie skłoniło Spocka do pełnego troski popiskiwanego. - Włożyłam je do małej szklanki przy twoim zlewie, pamiętam to. Jeśli ktoś ich tam nie znalazł i...

- Znajdziemy je - pocieszała ją Cilla i położyła dłoń na drżącym ramieniu Cathy.

- Myślisz pewnie, że jestem idiotką.

- Wcale nie. Mam swój pierścionek dopiero jeden dzień i też bym wariowała, gdybym sądziła, że go zgubiłam.

Otworzyła drzwi.

- Chcę tylko... - Cathy rzuciła się w stronę kuchni, Spock zaś ruszył za nią.

Cilla zamknęła drzwi, wystukała kod wyłączający alarm i weszła do środka.

Cathy stała przy zlewie; po jej twarzy spływały łzy, a pies ocierał się z zadowoleniem o jej nogi.

- Są dokładnie tam, gdzie je zostawiłam. Obok zlewu. Przepraszam.

- Wszystko w porządku. Nic się nie stało. - Cilla przyniosła pospiesznie stary taboret ze składziku. - Usiądź na chwilę.

- Boże, dzięki. Teraz naprawdę czuję się jak idiotka. Bizuteria jest ubezpieczona, wiem, ale...

- Nie chodzi o ubezpieczenie.

- Tak, to prawda. Spójrz na mnie. Wyglądam koszmarnie. - Wyjęła chusteczkę z torebki i zaczęła ocierać policzki. Wskazała butelkę wina na blacie szafki. - Mogę sobie nalać kieliszek?

I dostać aspirynę?

- Jasne. Aspiryna jest na górze. Zaraz ją przyniosę.

Kiedy wróciła na dół, Cathy siedziała przy szafce kuchennej, wspierając głowę o dłoń, obok stały dwa kieliszki wina.

- Wiem, że zakłóciłam ci upragniony spokój, ale potrzebuję kilku minut, żeby dojść do siebie.

- Żaden problem, Cathy.

Cilla położyła aspirynę obok kieliszków.

- Za pierścionki, zaręczynowy i ślubny, i za wszystko, co symbolizują!

Cathy podniosła kieliszek, przez chwilę trzymała go w górze, jakby czekając na coś, a potem stuknęła się z Cillą, kiedy ta podniosła swój.

- I mam nadzieję, że to ostatni raz, kiedy zapukałam rozhisteryzowana do twoich drzwi.

- Myślę, że spisałaś się niezle. Te pierścionki są piękne. Już wcześniej je podziwiałam.

- Tom chciał kupić mi nowy na dwudziestą piątą rocznicę.

Nie zgodziłam się. - Oczy jej błyszczały, kiedy łyknęła wina. - Więc dał mi bransoletkę z brylantami. Mam słabość do brylantów. Dziwi mnie trochę, że ich nie nosisz, pomijając ten twój nowiutki pierścionek. Twoja babka miała wspaniałą biżuterię.

- Jest teraz u mojej matki. Nie zapominaj o charakterze mojej pracy. - Cilla wzruszyła ramionami i wypła trochę wina. - Nie pasuje do biżuterii.

- Nie potrzebujesz jej, bo świetnie wyglądasz. Ona też jej nie potrzebowała. To tylko my, zwykli śmiertelnicy, potrzebujemy upiększenia. Oczywiście, piękno przygasa, kiedy żyje się długo.

Jej piękno nigdy nie przygasało. Nigdy.

- Właśnie przeglądałam kilka starych zdjęć i przyszło mi do głowy... - Cilla przycisnęła dłoń do skroni. - Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem aż tak zmęczona. I jeszcze to wino.

- Musisz wypić do dna. I jeszcze jeden kieliszek, tak dla lepszego samopoczucia.

- Lepiej nie. Przepraszam, Cathy, ale czuję się wykończona.

Muszę...

- Dopij wino. - Cathy otworzyła torebkę i wyjęła z niej mały rewolwer. - Nalegam.

Spock zaczął warczeć.

- Janet popełniła samobójstwo. Żałowałem przez ponad trzydzieści lat, że mogłem mieć w tym jakiś udział.

- Była w ciąży.

- Twierdziła, że... - Tom dostrzegł w oczach Forda coś, co kazało mu na chwilę zamilknąć. Przytaknął. - Tak. Nie wierzyłem jej, dopóki nie porozmawialiśmy w cztery oczy. Kiedy...

kiedy umarła, poszedłem nawet do swojego ojca. Wyznałem mu wszystko. Był na mnie wściekły. Nie miał zrozumienia dla ludzkich błędów, zwłaszcza tych, które narażały dobre imię rodziny. Zajął się tym. Nigdy więcej do tego nie wracaliśmy.

Przypuszczam, że opłacił lekarza z sądówki, żeby zataił fakt ciąży.

I jego karierę polityczną szlag trafił - pomyślał Ford.

- To było konieczne, Ford. Możesz sobie wyobrazić, co opinia publiczna by z nią zrobiła, gdyby to wszystko wyszło na jaw?

Możesz sobie wyobrazić, co stałoby się z moją rodziną, gdyby udowodniono mi ojcostwo?

- Rozmawiałeś z nią w cztery oczy.

- Pojechałem na farmę. Chciałem, żeby dała temu spokój, ale się uparła. Więc pojechałem się z nią zobaczyć, tak jak tego żądała. Piła. Nie była jeszcze pijana, ale już piła od jakiegoś czasu.

Miała wyniki testu ciążowego.

- Miała to przy sobie? - naciskał Ford. - Te wyniki?

- Tak. Posłużyła się swoim prawdziwym nazwiskiem i poszła do lekarza, który jej nie znał. To znaczy osobiście. Powiedziała, że włożyła perukę i umalowała się odpowiednio. Zawsze tak robiła, kiedy się gdzieś spotykaliśmy. Wiedziała, jak się ukryć, jeśli wymagała tego sytuacja. Uwierzyłem jej wtedy, uwierzyłem też, kiedy powiedziała, że zamierza urodzić. Ale ze mną skończyła. Nie zasługiwałem ani na nią, ani na dziecko.

Ford zmrużył oczy.

- Rzuciła cię? Ona ciebie?

- Już wcześniej to zakończyłem. Przypuszczam, że chciała mieć w tej sprawie ostatnie słowo. Kłóciliśmy się, nie będę zaprzeczał. Ale żyła, kiedy od niej wychodziłem.

- Co stało się z dokumentacją lekarską?

- Nie mam pojęcia. Mówię ci, żyła, kiedy pojechałem do domu, żeby zająć się córką. Myślałem o tym wszystkim, co ryzykowałem, o wszystkim, co mogłem zniszczyć. Myślałem o Cathy i dziecku, które nosiła. Myślałem o tym, jak kilka miesięcy wcześniej niemal poprosiłem o rozwód, żebym mógł żyć otwarcie u boku kobiety, która tak naprawdę nie istniała. Mogłem to zrobić. Prawie to zrobiłem. - Oparł się ciężko o balustradę tarasu i zamknął oczy. - To ciąża Cathy pozwoliła mi wyrwać się z tego zauroczenia. Położyłem się w pokoiku dziecięcym ze swoją córeczką i pomyślałem o dziecku, które Cathy miała urodzić jesienią. Pomyślałem o Cathy i naszym wspólnym życiu. Nigdy więcej nie spotkałem się z Janet. Nigdy więcej nie naraziłem swojej rodziny. Trzydzieści pięć lat, Ford. Co da

wyciąganie tego teraz?

- Terroryzowałeś Cillę. Niewiele brakowało, żebyś zabił człowieka, a kiedy to nie wystarczyło, zacząłeś ją terroryzować. Włamałeś się do jej domu, wypisywałeś świństwa na drzwiach jej samochodu, na murze, groziłeś jej.

- Włamałem się, przyznaję. Żeby poszukać listów. I straciłem panowanie nad sobą, kiedy ich nie znalazłem. Byłem wściekły, dlatego zniszczyłem kafelki. Ale jeśli chodzi o resztę, to nie mam z tym nic wspólnego. To był Hennessy. Uświadomiłem sobie, że listy nie miały znaczenia. Żadnego. Nikt by nie łączył z nimi mojej osoby.

- Hennessy nie mógł tego zrobić. Był już pod kluczem.

- Mówię ci, że to nie ja. Po co miałbym kłamać o tym murze czy lalkach? - spytał gorączkowo Tom. - Powiedziałem ci o znacznie poważniejszych rzeczach.

- Twoja żona wiedziała. Janet zadzwoniła do niej. Tak napisałeś w liście, tym ostatnim.

- Janet była wtedy pijana i gadała od rzeczy. Przekonałem Cathy, że to nieprawda. Że to wszystko przez alkohol, pigułki i żal. Była zdenerwowana, oczywiście, ale uwierzyła mi. Ona...

- Jeśli potrafiłeś żyć tak długo w kłamstwie, to dlaczego ona by nie mogła? Twierdzisz, że spałeś w pokoju dziecięcym tamtej nocy, kiedy umarła Janet.

- Tak. Ja... zasnąłem. Obudziłem się, kiedy przyszła Cathy, żeby zabrać dziecko. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Spytałem, czy wszystko w porządku. Odparła, że nic jej nie jest. Od tej pory wszystko było dobrze. - Można było dostrzec w blasku księżyca, jak rumieniec wstydu na jego twarzy zamienia się w trupa błądź. - Mój Boże!

Ford nie czekał już na dalsze wyjaśnienia czy wymówki. Ruszył biegiem. Cilla była sama. A Cathy Morrow wiedziała o tym.

- Dodałeś coś do wina.

- Seconal. Tak jak tej dziwce, twojej babce. Tyle że do wódki.

Cilla poczuła, jak do gardła podchodzi jej fala mdłości.

Strach, świadomość, mieszanina leku i alkoholu.

- Kanapa nie była różowa; sukienka nie była niebieska.

- Napij się jeszcze wina, Cilla. Zaczynasz bredzić.

- Widziałas kanapę i sukienkę tamtej nocy... tamtej nocy, kiedy ją zabiłaś. To właśnie pamiętasz - tamtą noc, nie przyjęcie gwiazdkowe. Tom napisał te listy, prawda? Tom był jej kochankiem, ojcem dziecka, które nosiła w łonie.

- Był moim mężem i ojcem mojego dziecka, i dziecka, które ja nosiłam w łonie. Czy



w ogóle jato obchodziło?

Na jej twarzy pojawiła się furia. Nie szaleństwo - pomyślała Cilla, nie takie jak u Hennessy'ego. Czysta, rozpalona do białości furia.

- Czy choć raz zastanowiła się nad tym, czym jest małżeństwo i rodzina, zanim spróbowała wziąć to, co było moje? Miała wszystko. Wszystko. Ale to jej nie wystarczało. Takim kobietom nigdy to nie wystarcza. Była od niego starsza prawie o dziesięć lat. Zrobiła ze mnie idiotkę i nawet to jej nie wystarczało. Poszedł do niej, zostawił mnie, żeby do niej pójść tamtej nocy, kiedy ja kołysałam naszą córeczkę do snu, kiedy nasze drugie dziecko kopało mnie w brzuchu. Poszedł do niej i do tego bękarta, którego z nim miała. Wypij wino, Cilla.

- Jej też groziłaś bronią?

- Nie musiałam. Piła już od dłuższego czasu. Wsypałam pigułki do jej szklanki. Moje pigułki - dodała. - Sądziłam, że ich potrzebuję, kiedy po raz pierwszy się dowiedziałam, że go uwiodła.

- Jak długo? Jak długo wiedziałaś?

- Od miesięcy. Wrócił do domu, a ja wyczułam jej perfumy.

Soir de Paris. Jej zapach. Widziałam ją w jego oczach. Wiedziałam, że do niej chodził, ciągle. I dotykał mnie tylko wtedy, kiedy go o to błagałam. Ale to się zmieniło, zaczęło się zmieniać, kiedy zaszłam w ciążę. Kiedy się upewniłam, że jestem w ciąży.

Wracał do mnie. Nie chciała do tego dopuścić. Wciąż go wabiła do siebie. Nie chciałam, by się nade mną litowano. Nie chciałam, by przyrównywano ją do mnie i wyśmiewano. Zastrzelę cię, jeśli nie będziesz piła. Powiedzą, że to było kolejne włamanie. Tym razem z tragicznym skutkiem. - Sięgnęła ponownie do swojej torebki i wyciągnęła dużą plastikową koszulkę; w środku była lalka. - Zostawię ją tutaj, na wypadek, gdybyś wolała kulę. Kupiłam ich kilka dawno temu. Nie mogłam się oprzeć. Nie wiedziałam, dlaczego, dopóki się tu nie zjawiłaś.

Zmagając się z zawrotami głowy, Cilla podniosła kieliszek do ust i umoczyła wargi w trunku.

- Sfingowałaś jej samobójstwo.

- Ułatwiła mi to. Zaprosiła mnie jak starą przyjaciółkę. Przeprosiła za to, co zrobiła. Było jej przykro, rozumiesz, przykro, że mnie skrzywdziła czy sprawiła mi ból. Nie mogła tego cofnąć i nie cofnęłaby, nawet gdyby mogła. Bo oznaczałoby to cofnięcie czegoś jeszcze. Pragnęła tylko dziecka i szansy naprawienia błędów przeszłości. Oczywiście, zapewniała, że nigdy nie zdradzi, kim jest ojciec. Kłamliwa dziwka.

- Otumaniłaś ją narkotykiem.

- Kiedy zaczęła tracić przytomność, pomogłam jej zejść na górę. Czułam się wtedy taka silna. Musiałam ją prawie nieść, ale byłam silna. Rozebrałam ją. Chciałam, by była naga, odsłonięta. I dałam jej jeszcze więcej pigułek, więcej wódki. A potem usiadłam i patrzyłam, jak umiera. Siedziałam i patrzyłam, aż przestała oddychać. Potem wyszłam. I często tędy przejeżdżałam. Kiedy już ją zabrali tam, gdzie nigdy nie było jej miejsce; przejeżdżałam tędy. Lubiłam patrzeć, jak ta farma zamiera, podczas gdy ja... się odradzałam. Przeszłam na drakońską dietę.

Ćwiczyłam, aż drżał mi każdy mięsień. Salony piękności, centrum odnowy biologicznej, liposukcja, lifting twarzy. Wiedziałam, że Tom już nigdy nie spojrzy na mnie, pragnąc jej jednocześnie. Nikt już nie miał patrzeć na mnie z litością. Wizerunek - pomyślała Cilla. Iluzja.

- Nic ci nie zrobiłam.

- Przyjechałaś tutaj. - Posługując się drugą dłonią, Cathy dorzuciła do kieliszka Cilli więcej pigułek i dołała wina. - Na zdrowie!

- Myliłam się - wymamrotała Cilla. - Jesteś tak samo obłąkana jak Hennessy.

- Nie, jestem tylko bardziej zdecydowana. Ten dom zasługuje na swą powolną i żalosalną śmierć. Ona tylko zasnęła. I to był mój błąd. Ty przywołałaś ją z powrotem do życia, przyjeżdżając tutaj, i cisnęłaś mi to wszystko w twarz. Ponownie. Sprawiałaś, że mój własny syn sadił dla niej różę. Uwiodłaś Forda, który zasługuje na kogoś o wiele lepszego. Pozwoliłabym ci żyć, gdybyś odeszła.

Gdybyś ty pozwoliła, by ten dom umarł. Ale ty wciąż ciskałaś mi to w twarz. Nie zniosę tego, Cilla. Widzę, kim jesteś. Tylko ja i Hennessy to widzieliśmy.

- Nie jestem Janet. Nigdy nie uwierzą, że sama się zabiłam.

- Ona się zabiła. Twoja matka próbowała - albo udawała, że próbuje - dwukrotnie. Jesteś owocem z tego samego drzewa. - Cathy, jakby nieświadoma tego gestu, poprawiła niesforny kosmyk włosów. - Nie wytrzymałaś, byłaś rozbita, bo doprowadziłaś do śmierci człowieka, któremu życie zniszczyła twoja babka.

Zznam, jak bardzo pragnęłaś, by tego wieczoru wszyscy zostawili cię w spokoju. Gdybyśmy tylko wiedzieli, co zamierzasz...

- Nie jestem Janet - powiedziała Cilla i chlusnęła resztką wina w twarz Cathy.

Spock zareagował natychmiast, zerwał się na równe nogi, a jego głuchy pomruk zamienił się w pełne gniewu warczenie.

Kiedy uderzył łbem w Cathy, Cilla chwyciła za butelkę i ujrzała samą siebie, jak wali

nią w głowę kobiety, ale, osłabiona pigułkami, wzięła zbyt szeroki zamach i ledwie musnęła skroń Cathy.

Ale wystarczyło, by Cathy odchyliła się na taborecie. Cilla rzuciła się do przodu i uskoczyła gwałtownie w bok, kiedy pies rzucił się na Cathy. Broń wypaliła, a pocisk trafił w sufit.

Walczyć albo uciekać. Bała się, że nie ma dość sił ani na jedno, ani na drugie. Poczula, jak uginają się pod nią kolana, i runęła na Cathy, przejeżdżając jej po twarzy paznokciami. Wrzask kobiety sprawił jej satysfakcję, ale jeszcze większą sprawiła jej pewność, że nawet jeśli zginie, dowiedzą się wszystkiego. Pod paznokciami miała skrawki skóry Cathy Morrow. Chwyciła ją za włosy, szarpnęła i wykręciła z całej siły. Mnóstwo DNA - pomyślała mgliście, gdy jej wzrok zaczął tracić na ostrości, a wściekłe ujadanie Spocka cichło coraz bardziej w jej uszach.

Zamachała na ślepo rękami. Usłyszała krzyk, potem jeszcze wrzask. Kolejny strzał. A później pograżyła się w ciemności.

Ford poczuł, jak serce podjeżdża mu do gardła, kiedy zobaczył samochód Cathy na swoim podjeździe. Nie wierzył, że zjawił się za późno. Nie mógł zjawić się za późno. Zatrzymał się gwałtownie tuż za volvo i zdążył przebiec niemal połowę drogi do drzwi, gdy przystanął nagle.

Nie tutaj. Na farmie. Odwrócił się błyskawicznie i zaczął biec w przeciwną stronę. To musiało być na farmie. Zaklął, tak jak klął przez całą drogę, że zostawił komórkę na barze u Briana.

Usłyszał strzał, a strach, którego już wcześniej zaznał, strach, którego już posmakował, zbladł wobec dzikiego i bezgranicznego przerażenia.

Rzucił się na drzwi, wołając Cillę i słysząc wściekłe ujadanie Spocka. Ktoś darł się jak zwierzę. Wpadł do kuchni. Przed jego oczami pojawił się obraz, który już na zawsze miał mu się wryć w pamięć.

Cilla leżąca jak długa na Cathy, wymachująca bezradnie pięściami, jakby były zbyt ciężkie, by je unieść. Cathy z zakrwawioną twarzą i oczami oszalałymi z bólu i nienawiści, i Spock, który gryzł ją wściekłe, warcząc przy tym.

Doskoczył do nich i chwycił jedną ręką nadgarstek Cathy, drugą odepchnął Cillę na bok. Poczul coś w ramieniu, jakby nagle ukąszenie osy, nim wyrwał z dłoni Cathy rewolwer.

- Ford! Dzięki Bogu! - Cathy wyciągnęła do niego rękę. - Oszalała. Nie wiem, co się stało. Nie wiem, co ją napadło. Miała broń i...

- Zamknij się - powiedział zimno i wyraźnie. - Jeśli się ruszysz, to przysięgam na

Boga, że po raz pierwszy w życiu uderzę kobietę. Spock, przestań! Nie żartuję - uprzedził Cathy. - Więc zamknij się, kurwa!

Wycelował w nią broń, przesuając się ostrożnie w stronę Cilli.

- Albo zrobię coś jeszcze gorszego. Cilla! Cilla!

Sprawdził jej obrażenia, potem uniósł jedną powiekę, podczas gdy Spock lizał zajadle jej twarz.

- Ocknij się! - Trzepnął ją po twarzy, najpierw lekko. - Spróbuj się tylko ruszyć! - ostrzegł Cathy głosem, którego niemal nie poznawał. - No, Cilla, skup się! - Uderzył ją ponownie, tym razem mocniej, i dostrzegł, że poruszyły jej się powieki. - Usiądź.

Ocknij się. - Pomógł jej jedną ręką usiąść. - Wezwę karetkę i gliny. Wszystko w porządku. Słyszysz mnie?

- Seconal - zdołała tylko wykrztusić i podniosła dłoń, po czym wepchnęła ją sobie bezlitośnie w gardło.

Później, o wiele później, Cilla siedziała pod niebieskim parasolem. Pomyślała, że wiosna już dawno przeminęła, tak jak i prawie lato. Przyszło jej do głowy, że będzie tutaj, gdy liście zmienią kolor i zapłoną na wzgórzach czerwienią. I gdy spadnie pierwszy śnieg tej zimy, a potem ostatni. Będzie tutaj, przez wszystkie wiosny, przez wszystkie pory roku.

Będzie w domu. Z Fordem. I ze Spockiem. Ze swymi bohaterami.

- Wciąż jesteś blada - zauważył. - Może łóżko to lepszy pomysł niż świeże powietrze.

- To ty jesteś blady - odparła. - I dostałeś postrzał.

Zerknął na swoje zabandażowane ramię. „Draśnięty” było trafniejszym określeniem.

- Tak. Ale może się okazać, że to dobra rzecz. Będę wszystkim mówił: wiecie, postrzelili mnie, kiedy pędziłem - znów odrobinę za późno - żeby ratować kobietę mojego życia, zanim sama się uratowała.

- Jednak mnie uratowałeś. Przegrywałam tę walkę. Co prawda zgarnęłam trochę jej skóry pod paznokcie - dodała, przebierając palcami. - Ale byłam załatwiona. Ty i Spock, nieustraszony pies - mruknęła, pochylając się, by pogłaskać czworonoga - ocaliliście mi życie. Teraz musicie je pielęgnować.

Wziął ją za rękę.

- Taki mam zamiar. Niemal pobiegłem do niewłaściwego domu. Koniec z tym, Cilla. Nigdy więcej dwóch domów. Niemal tam pobiegłem. Wtedy naprawdę byłoby za późno.

- Zorientowałeś się i przyszedłeś po mnie. Możesz rysować bohaterów, jakich ci się tylko spodoba. Ale ty jesteś mój.

- Bohater, bogini i superpies. Dopisuje nam szczęście, tobie i mnie.

- Chyba masz rację, Ford. Wiesz, tak mi przykro z powodu Briana.

- Pomożemy mu przez to przejść. - Żadnych wątpliwości - pomyślał. Nie ma innego wyjścia. - Znajdziemy jakiś sposób, żeby sobie z tym poradził.

- Nosila tę zdradę w sobie przez tyle lat. I nie mogła znieść tego, co tutaj robiłam, po co tu przyjechałam. W pewnym sensie ten dom był dla nas obu symbolem. - Przyglądała mu się teraz - swemu pięknemu domowi, świeżej farbie, oknom, które migotały w słońcu wczesnego poranka. - Pragnęłam przywrócić go do życia; ona pragnęła widzieć, jak umiera. Każdy nowy kawałek drewna, każda warstwa świeżej farby były dla niej jak policzek.

Przyjęcie? Wyobrażasz sobie, jak ją to dręczyło? Muzyka i śpiew, jedzenie i drinki. I rozmowa o ślubie. Jak ona to zniosła?

- Znałem ich oboje całe życie i nigdy się niczego nie domyślałem. Rzeczywiście, odznaczam się typową dla pisarza umiejętnością obserwacji.

- Ukryli to. Zamknęli gdzieś na glucho. Patrzyła, jak Janet umiera. - Ta myśl wciąż przyprawiała jej serce o skurcz. - Była do tego zdolna. I do tego, by potem przejść nad wszystkim do porządku dziennego, stać się kimś innym. Opiekować się rodziną, chodzić na zakupy z przyjaciółkami, piec ciastka i słać łóżka.

I przejeżdżać tędy, raz na jakiś czas, żeby wyrzucać to z siebie.

- Zawór bezpieczeństwa.

- Tak sędzę. A ja ten zawór zamknęłam. Moja babka nie popełniła samobójstwa. To będzie sensacyjna wiadomość. Kamery, prasa, może nawet film fabularny. Więcej książek, talk - show bez końca.

- Wiem już z grubsza, co to oznacza. Nie musisz mnie ostrzegać. Twoja babka nie popełniła samobójstwa - powtórzył. - To najważniejsze.

- Nie, nie popełniła. - Łzy, które pojawiły się w jej oczach, były jak odkupienie. - Nie zostawiła mojej matki, w każdym razie nie tak, jak mama zawsze sądziła. Kupiła różową kanapę z białymi satynowymi poduszkami. Oplakiwała stracone dziecko i przygotowywała się na następne. Ale nie była święta - ciągnęła Cilla. - Spała z mężem innej kobiety i rozbiłaby rodzinę bez skrępułów. Albo z niewielkimi skrępułami.

- Ten kij ma dwa końce. Tom zdradzał swoją żonę, swoją rodzinę. I nawet gdy twierdził, że skończył z tym, w pewnym sensie dalej sypiał z Janet. Miał ciężarną żonę i dziecko w domu i sypiał z wizerunkiem twojej babki - i nie chciał wziąć odpowiedzialności za konsekwencje.

- Zastanawiam się, czy to brutalny ton tego ostatniego listu nie zaważył na jej uczuciach wobec Toma, kazał jej tu wrócić i postawić go wobec faktów dokonanych. „Jestem

w ciąży, dziecko jest twoje, ale nie chcemy cię i nie potrzebujemy”. - Westchnęła. - Chciałabym tak myśleć.

- Mogło tak być, owszem. Z pewnością zgadza się z tym, co powiedział mi Tom. Cathy zniszczyła wyniki testów ciążowych, ale nie wiedziała o listach. Nie wiedziała o *Gatsby*.

- Janet zachowała listy, jak sądzę, żeby przypominały jej, że dziecko zostało poczęte jeśli nie z miłości, to przynajmniej z jakiejś iluzji wielkiego uczucia. I myślę też, że chciała, by farma nie została sprzedana, ponieważ marzyła o tym, by jej dziecko któregoś dnia tu zamieszkało. Johnnie zginął, poza tym wiedziała, że moją matkę nic tak naprawdę nie wiąże z tym miejscem. Ale pojawiła się jeszcze jedna szansa, gdy zaszła w ciążę.

Pytania pozostaną, poznałam jednak odpowiedzi, których poszukiwałam. Zastanawiam się, czy będę jeszcze o niej śniła, tak samo jak dotychczas.

- Chcesz o niej śnić?

- Może. Czasem. Ale myślę, że chciałabym śnić o tym, co się może zdarzyć, o swoich własnych nadziejach, a nie o tym, co było.

Uśmiechnęła się, gdy musnął ustami jej palec.

- Przespaceruj się ze mną. - Podniósł się i pomógł jej wstać. - Tylko ty. I tylko ja. - Spojrzał na Spocka, który zaczął swój radosny taniec. - Tylko my.

Ruszyła z nim po kamieniach, po trawie wciąż mokrej od rosy, w otoczeniu róż, które rozkwiatały jak szalone, i letnich kwiatów, które otwierały się jak klejnoty. Szła u jego boku, a słodki, brzydki pies gonił niewidzialne koty wokół stawu pokrytego pływającymi liśćmi lilii.

Trzymając go za rękę, pomyślała, że to jest jej sen. W tej chwili. Kiedy są razem, we troje, szczęśliwi i bezpieczni.

W swoim domu.